



Z
OKOLIC DŹWINY



Z OKOLIC DŻWINY



KSIĘGA ZBIOROWA

NA DOCHÓD CZYTELNI
POLSKIEJ W WITEBSKU



1912 R.

SKŁAD GŁÓWNY W ZARZĄDZIE TOWARZYSTWA
DOBROCZYNNOŚCI W WITEBSKU

LP 1a

K 1c8

562/27

III

K. 24/6876
8.6. 1600,-



SPIS RZECZY.

DZIAŁ LITERACKI.

<i>J. Obst.</i> Zamiast wstępu	VII
Wspomnienia pośmiertne pośw. pam. W. Fedorowicza:	
I. <i>M. Szadurskiego</i>	XI
II. <i>St. Łopacińskiego</i>	XIII
<i>G. bar. Manteuffel.</i> Nieco z dziejów dawnego księstwa inflanckiego	1
<i>B. Szachno.</i> Zamek Dyneburski	42
<i>K. Bujnicki.</i> Wyjątek z własnoręcznego pamiętnika	46
<i>St. Łopaciński</i>	59
<i>St. Hłasko.</i> Karnawał	63
<i>Al. Ossendowski.</i> Organizacja pomocy lekarskiej w ziemstwie witebskiem	75
<i>Fl. Hłasko.</i> Z dziennika marynarza	78
<i>St. Ulanowska.</i> Historia dziewięciu i pół dusz	82
<i>Biskup Ropp</i>	85
<i>M. bar. Manteuffel.</i> W kuźni amora	87
<i>B. Limanowski.</i> Czem jest ojczyzna	91
<i>Wł. Studnicki-Gizbert.</i> Bolesław Limanowski	93
<i>Ant. Ossendowski.</i> Krzyk urwany	97
<i>Zygm. Jarski.</i> Fragment z testamentu	100
<i>Eug. hr. Broel Plater.</i> Wspomnienie z r. 1863	102
<i>Edw. Słoński.</i> Ja znam ten kraj	108
<i>Józ. Hłasko.</i> Z wycieczki do Poznania i Pragi czeskiej	110
<i>I. Hłakowiczówna.</i> Pieśń o lesie	118
<i>L. Petrzycki.</i> Zasady rozwoju prawa i stanowisko prawne kobiety	125
<i>St. Szadurska.</i> Lilith	129
— Droga mej ziemi	139
<i>R. Mienicki.</i> Pierwszy zatarg Jerzego Lubomirskiego z Janem Kazimierzem	144
<i>Piotr Korsak.</i> Wspomnienie i nadzieja	154
<i>Bron. Korsak.</i> Ach, i ja także śniłem pieśń poetęzną	154
Było to wczora	155
Pani, przed tobą chcę się wypowiedzieć	156

<i>Bohdan Korsak.</i> Z cyklu erotyków	158
<i>Kaz. Noiszewski.</i> Powstawanie i rozkład wyobrażeń wzrokowych	162
<i>Mar. Szadurski.</i> Poezje	173
<i>I. A. Chrapowicki.</i> Wyjątek z djarjusza	176
<i>St. Studnicka-Gizbert.</i> Z lat dziecięcych w Dyneburgu	177
<i>J. Skrutkowska.</i> Kłątwa	180
<i>Janka Kupala.</i> Piosnki	184
<i>Wacł. Studnicki-Gizbert.</i> Z archiwum dyneburskiego	187
<i>Wanda Gizbert-Studnicka.</i> Kilka uwag o idei Boga	190
<i>H. Dynowska.</i> Bajka	192
<i>K. Zmigrodzki.</i> Rzeźby	196
<i>G. Reutt.</i> Z powstania 1863—4	198
<i>W. Ciechanowiecki.</i> Historia Domestica	210
<i>W. Reuttówna.</i> Wspomnienie	219
<i>K. Petrzycki.</i> Kartka z pamiętników Kafra	221
<i>J. Barszczewski.</i> Północna zorza	226
<i>Jan Obst.</i> Baśń	232
Środki lecznicze ludu naszego	234

DZIAŁ NUTOWY.

<i>Ks. Jadwiga Liguori.</i> Valse triste	1
— Serenade slave	5
<i>Józ. Szadurski.</i> Lawonicha	7
<i>Marj. Chrapowicki.</i> Tęsknota	10

ILUSTRACJE.

Mapa dawnych województw inflanckiego, połockiego i witebskiego	XII
Portret Gustawa bar. Manteuffla	1
„ Michała Plater-Zyberka	20
„ Emilii Platerówny	24

Portret Stanisława Sołtana	27
" Mich. Hr. Borchy	34
" Adama Platera	38
" Bohdana Szachny	42
Były zamek dyneburski	—
Pieczęć komtura dynaburskiego	43
Monety krzyżackie	45
Portret Kazimierza Bujnickiego	46
Kościół w Dagdzie	54
Portret Stanisława Łopacińskiego	59
" Stanisława Hłaski	63
" Aleksandra Ossendowskiego	75
" Florjana Hłaski	79
" Stefanji Ulanowskiej	82
" Biskupa Edwarda bar. Roppa	85
" Marjana bar. Manteuffla	87
" Bolesława Limanowskiego	91
" Wład. Studnickiego-Gizberta	93
" Ant. Ossendowskiego	97
" Eugen. hr. Platera	102
" Leona hr. Platera	103
Cela więzienna L. Platera	104
Portret Edwarda Słońskiego	108
" Red. Józefa Hłaski	110
" Prof. Leona Petrażyckiego	125
" Bol. Tomaszewicza	
Ziemianin po powrocie z Monte-Carlo	} pomiędzy
Wymierający typ	
Portret Ignac. Paderewskiego	} str. 128 a 129
" W. Bębnowskiego	
3 Reprodukcje z dzieł Bębnowskiego	
Portret Stanisławy Szadurskiej	129

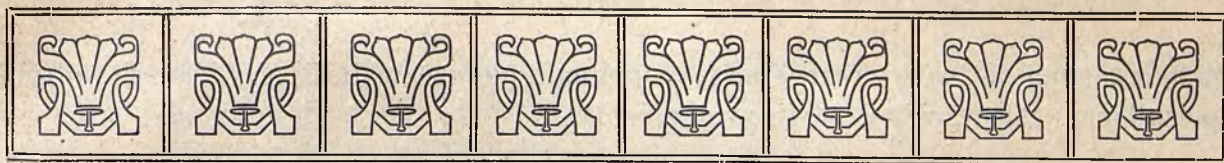
Portret D-ra filoz. Ryszarda Mienickiego	144
" Kazim. Noiszewskiego doc. Akad. Med.	162
" Marjana Szadurskiego	173
Wjazd wojewody J. A. Chrapowickiego na woje- wództwo witebskie	175
Portret wojewody J. A. Chrapowickiego	176
" Stanisławy Studnickiej-Gizbert	177
Widok byłego kościoła Saryńskiego	179
Portret Wacława Gizbert-Studnickiego	186
" Wandy Gizbert-Studnickiej	190
" Wandy Dynowskiej	192
" Konstantego Zmigrodzkiego	196
Rzeźby tegoż	196—197
Portret Gustawa Reutta	198
" W. Reuttówny	219
" Jana Barszczewskiego	226
" Tadeusza Dmochowskiego	230
Dworek na Inflantach	230
Krak i Wanda	231
Portret Red. Jana Obsta	232
4 rysunki z Herbarza Litewskiego	238
Portret ks. Jadwigi Liguori	nuty 1
" Józefa Szadurskiego	" 7

MAPY I PLANY.

6 planików fortec z czasów Stefana Batorego.
Plan oblężenia Połocka w r. 1579.
Mapa Wojew. Połockiego z w. XVI.



DZIAŁ LITERACKI



Gubernja Witebska powstała z trzech dzielnic, całkiem przypadkowo w jedną całość połączonych: właściwego województwa witebskiego, województwa połockiego oraz księstwa inflanckiego, czyli tak zwanych Inflant polskich.

Trzy te prowincje różnią się znacznie zarówno pod względem geograficznym i geologicznym, jako też zwłaszcza etnograficznym. Podczas gdy Witebszczyzna i Połock to rdzenna Białoruś, Inflanty posiadają ludność przeważnie łotewską. Nawet szlachta, która we wszystkich ziemiach byłej Rzeczypospolitej jednaki posiadała i posiada typ i charakter, tu wykazuje pewne różnice, uwarunkowane odmiennem pochodzeniem. Gdy bowiem w obu województwach mamy szlachtę bądź polską, bądź ruską, szlachta Inflant polskich przeważnie wywodzi się od prastarych rodów niemiecko-krzyżackich. O pochodzeniu tem dziś co prawda świadczy jedynie brzmienie nazwisk, gdyż niwelujący wpływ kultury polskiej i tu zrobił swoje: szlachta inflancka, nie przymuszona, od 200 lat przeszło z językiem przyjęła i obyczaj polski.

Miasto gubernjalne Witebsk, położone dość niefortunnie w samym końcu gubernji, na pograniczu gub. Mohyłowskiej, jest przedewszystkiem centrem administracyjnym — pod względem ekonomicznym, kulturalnym i towarzyskim, posiada znaczenie tylko dla okolic bliższych, które to właśnie formowały ongi województwo witebskie. Co się tyczy Połocka, a zwłaszcza Inflant, to związek ich z Witebskiem jest bardzo luźny. Handlowo związane z Rygą i Libawą, dokąd spławiają zboże, len i materiały leśne, skąd otrzymują maszyny i narzędzia rolnicze, pod względem kulturalnym i towarzyskim ciężą stanowczo ku Wilnu. Niezmiernie dogodne warunki komunikacji znacznie ułatwiają stałą łączność ze stolicą Litwy.

Wobec tego, co się rzekło, dziwnym może się wydać projekt połączenia oto w jednej księdze sił literackich i artystycznych, pochodzących z tak różnych dzielnic, które przypadkowo tylko tworzą dziś administracyjną jednostkę.

W rzeczywistości jednak mimo różnic historycznych, geograficznych i etnograficznych istnieje spójnia, silna, najsilniejsza może, która cały ten rozległy kraj

nad brzegami Dźwiny rozpostarty, w jedną, nierozzerwalną łączy całość — tym łącznikiem jest wspólna, odwieczna niedola.

Województwa witebskie i połockie jak nie mniej księstwo inflanckie były to niegdyś najdalej na północ wysunięte placówki kultury zachodniej — pas pograniczny, widownia nieustających, krwawych zapasów. Szczątki zamków starych, grodziska, wały, kurhany — oto niemi świadkowie przeszłości.

Rosną trawy bujne na łąkach, a nim lato minie, ostrzem kosy podcięte, legną w wonnych pokosach. Zieleni się liść na drzewie, burza go zerwie, uniesie, hen w obce strony. Lecz z przyszłą wiosną łąka znów aksamitnym pokryje się kobiercem, z pączków na drzewie tysiąc świeżych wykwitnie listków. Tak właśnie następowały tu jedno po drugim pokolenia. Daleko od kulturalnych środowisk kraju rodzinnego, często odcięci, pozbawieni wszelkiej pomocy, ze strony współbraci, zapomniani, zawsze na posterunku, w obliczu grożącego niebezpieczeństwa — tak wyrobił się tu z czasu biegiem osobny typ ludzi, dla których miłość ziemi rodzinnej, użyźnionej krwią, zasłanej kośćmi ich przodków, była najświętszym ideałem; jedynym prawem: żyć i umierać dla tej ziemi. A że żyć bywało trudno, więc umierali — jedni z piersią przeszytą na polu chwały, inni przedwcześnie strawieni cichą lecz uporną walką o elementarne prawa każdej żyjącej istoty, walką o byt powszedni.

Świeżo ubył nam z szeregu jeden z najdzielniejszych bojowników, ś. p. Wacław Fedorowicz. Cichy pracownik na niwie ojczystej, jeden z tych, co za obowiązki życia obrali sobie wkoło krzepić ducha, upadających podnosić, tych co zwątpili natchnąć wiarą, i trwać na posterunku. Gorący miłośnik przeszłości kraju z jej zabytkami, pozostawił po sobie cenne zbiory, które mogłyby stanowić ozdobę każdego muzeum publicznego. Ludzie pozbawieni uczucia i fantazji krytykowali ś. p. Fedorowicza, za to że się zbyt często „rozrzuca“, że nie obrał jednej, ciasnej specjalności. W tem właśnie kryło się niezrozumienie charakteru zmarłego zbieracza. Jak mógł ten człowiek, pozornie tak spokojny, tak zrównoważony, a przecie tak płomiennie kochający przeszłość narodu, ograniczyć się jedną specjalnością, gdy każdy przedmiot, mający związek z tą przeszłością przemawiał do niego żywym słowem. Zbierał więc wszystko: ozdoby brązowe, siekierki kamienne lub żelazne, wydobyte z kurhanów, świadczące o zaginionej kulturze, o narodzie, który kiedyś, przed nami zaludniał te lesiste i bagniste obszary, a dalej szable, zbroje stare, misterne okucia, kafle, fajanse, obrazy, hafty, pasy słuckie, pieczęcie, numizmaty... Dom jego zatracił charakter mieszkania prywatnego, była to jak gdyby świątynia przeszłości. Gdy się przekroczyło próg tego domostwa, teraźniejszość ginęła, z jej powszedniemi, drobnymi troskami, z jej brudem i zgiełkiem ulicznym. Nastrój uroczysty ogarniał cię, a w duszy budziły się głosy, najprzód dalekie, jak gdyby echo baśni czarodziejskiej, zasłyszanej kiedyś, w dzieciństwie, potem coraz silniejsze, niby tysiąc rozbujanych dzwonów

i hymn, co niebo przebija, i surmy bojowe i okrzyk rycerstwa idącego na bój krwawy: „Jezu Marya!“

Gdy potem, pod przewodnictwem gospodarza, zwiedzałeś jeden pokój po drugim, stawając przed każdym przedmiotem, słuchając objaśnień — w oczach twych z martwych powstawała ta przeszłość, tak bolesna, a tak promienna, tak pełna chwały. Z portretów zstępowały postacie w barwnych kontuszach, z wąsem zawiesistym, podgoloną czupryną. Podkanclerzy dłonią wprawna porywa tłok pieczęci, marszałek laską w ziemię uderza, wojewoda podniósł buławę... ów zaś z miną zawadjacką dopadł starych roztruhanów, i miody złociste nalewa. Młodzież porywa ze ścian karabele, pistolety, przymierza zbroice, słychać zgrzyt żelaza, szczęk szabel, dzwonią ostrogi, zewsząd nawoływania, śmiechy, wkoło gwar i życie kipiące...

A gdy na pożegnanie gospodarz mocno ścisnął dłoń, smutek wielki spływał ci na duszę, że oto prysnął ten sen cudowny, że wracać trzeba do tej słotnej szarzyzny życia powszedniego, które tam czyha za progiem. Lecz jednocześnie dziwny spokój i otucha wypełniały ci pierś, że zginąć nie może naród, co taką ma przeszłość, który potrafi tę przeszłość tak czcić i szanować.

Ś. p. Fedorowicz nie był atoli mólem uczonym, co wszystkie swe zdolności i zapęły pogrzebał w pyłe starych foliantów. Czerpiąc siły w przeszłości, on sił tych dobrze używał w służbie społecznej, i wierzył, całą duszą wierzył w lepsze jutro, i pełną garścią sypał ziarno dla przyszłych, obfitych plonów. Nie było sprawy kulturalnej, do której czynnie nie dołożył dłoni, nie było instytucji, której nie był członkiem.

Wrodzone zdolności niewątpliwe dawały mu prawo zająć stanowisko na szerszej arenie, a temperament, żądny czynu, ku szerszym wołał horyzontom. Lecz ś. p. Fedorowicz obrał sobie za cel życia wytrwać na posterunku, na którym postawiło go przeznaczenie. Więc trwał i pracował nie opuszczając rąk, starając się rozszerzyć wąskie ramy życia prowincjonalnego. Ideałem jego było zgromadzić na tej niwie, którą sam od młodości orał, bodaj na chwilę wszystkich jej synów, tych co wierni zostali partykularzowi ojczystemu, i tych co na szerokim świecie lepszej szukają doli. Ideał ten poczęści ziścić się miał w księdze zbiorowej „Z okolic Dźwiny“, zapoczątkowanej przez ś. p. Fedorowicza. Śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu dokończyć rozpoczętego dzieła. Lecz myśl jego, praca, nareszcie zgromadzone już materiały — nie poszły na marne. Znalazło się grono osób dobrej woli, którzy starania, podjęte przez zmarłego, szczęśliwie oto doprowadzili do kresu.

Powołany przez Komitet Redakcyjny do skreślenia tych kilku słów wstępnych, uważałem za pierwszy obowiązek złożyć hołd pamięci ś. p. Wacława Fedorowicza, jako głównego inicjatora tej książki. Dużo czasu, pracy i oczywiście też pieniędzy poświęcił zmarły bezinteresownie temu ostatniemu dziełu swemu. Ale też na wezwanie jego stanął do apelu cały szereg współpracowników

Jedni — zda się wprost od pługa zasiedli do niezwyklej pracy, inni z dalekich stron świata nadesłali swe przyczynki.

Treść księgi z konieczności nie mogła być jednolita pod żadnym względem. Obok fachowych literatów i artystów, mamy tu spory zastęp dyletantów, obok prawdziwych perełek, sporą liczbę utworów, świadczących tylko... o dobrych chęciach autorów, obok belletrystyki, szkice historyczne, naukowe, oraz bezpretensjonalne wspomnienia, od których ku nam wieje czarem lat dawno minionych.

Celem księgi tej jednak nie jest sprawiać czytelnikom zadowolenie estetyczne, skończoną formą artystyczno-literacką, jej zadaniem jest przede wszystkim wykazać już samem pojawieniem się, swą objętością, ilością nazwisk, wyglądem zewnętrznym, alfabetem łacińskim że... *jesteśmy*. Przetrwaliśmy niezliczone, ciężkie próby, przetrwamy więcej, i trwać będziemy mimo ciężkie przeciwności, które los twardą dłoń bez liku na drodze naszej stawia. A kiedy nas znowu powołają do szeregu — staniemy zdziesiątkowani może, lecz pełni otuchy, chociaż bronią naszą jedyną i puklerzem ta miłość bezgraniczna ziemi ojczystej, wiary przodków, mowy i tradycji.

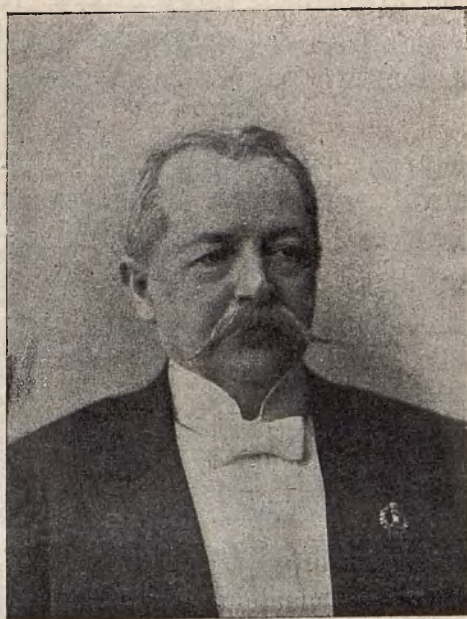
To przywiązanie do stron rodzinnych stanowi łącznik ideowy pojedynczych prac zawartych w tej księdze, ono nicią czerwoną wije się przez wszystkie te karty, gdy wzrokiem nie dostrzeżesz, przeczujesz ją sercem zarówno w wierszyku ulotnym, jak w rozprawie uczonego specjalisty.

Niechże uczucie to tysięcznem echem odezwie się w sercach czytelników, niech wzmocni jeszcze te więzy, które nas łączą z krajem rodzinnym.

Mnie zaś pozwólcie kończyć słowami proroka: Bracia! nie proście Boga o siłę, proście Go o miłość, bo zawsze potrafi się obronić to, co się kocha.

Jan Obst.





Ś. p. Wacław Fedorowicz.
1848—1911.

I.

... Nie było Mu danym dokończyć pracy, którą umiłował, której się oddał z całym zapalem, której poświęcał wszystkie niemal chwile, wolne od zajęć zawodowych.

Częstokroć, gdy miasto oddawna już we śnie pogrążone, patrzyło w noc czarnemi szybami swych okien, jedno okno, niby Strażnica, rzucało na Dźwinę światło jaskrawe. Za tym oknem, w ciszy pracowni, pochylony nad stosem rękopisów, rysunków, szkiców i odbitek, trwał ś. p. Wacław Fedorowicz.

Czuwał...

Stał na straży nietylko spraw setek ludzi, stał, co więcej, na straży Ducha polskiego kresów naszych...

Chciał zeskupić, ustrzelić w jedno ognisko Myśl polską ziemi witebskiej, chciał dać świadectwo, że, aczkolwiek rozproszeni po świecie, aczkolwiek gnębieni i wypierani z siedzib naszych—Placówek, nie wyrzekliśmy się łączności z ziemią rodzimą, nie wyzbyliśmy się ducha ojców naszych...

Więc słał we wszystkie zakątki świata, gdzie wiedział, że są ludzie, których ziemia witebska wydała, gorące odezwy i prośby o wzięcie udziału w pracy zbiorowej...

I Jego głos—Pobudka nie przebrzmiał bez echa...

Świadczy o tym księga niniejsza.

Nie jestem powołany do kreślenia życiorysu ś. p. Wacława Fedorowicza. Kto inny lepiej to odemnie uczyni. Chcę jeno zaznaczyć na tym miejscu stratę niepowetowaną, jaką poniosło społeczeństwo nasze, nie mówiąc już o nas, cośmy Go zblizka znali i kochali.

W nawale pracy zawodowej, przerastającej siły przeciętnego człowieka, ś. p. Wacław Fedorowicz znajdował zawsze czas dla pracy społecznej. Świadczyć o tem mogą liczne instytucje, których był kierownikiem lub członkiem, świadczy o tym, powtarzam, księga niniejsza, Jemu zawdzięczająca swe powstanie.

Uczynność Jego i uprzejmość nie znały granic. Nie było pory dnia, do późnej nocy, by ktoś nie korzystał z nich, nadużywając nieraz tych zalet. W Jego domu nad Dźwiną, istnym *Tusculum*, człowiek przenosił się w jakiś inny, lepszy świat, w przeszłość górną a chmurną, o której lubił opowiadać Gospodarz w nielicznych wolnych chwilach... A znał tę przeszłość, jak nikt, i jak nikt, zda się, miłował ją, a jej zabytki zbierał i przechowywał z rzadkim już dzisiaj pietyzmem, zamieniając mieszkanie swoje w cenne muzeum historyczne.

.....Przed rokiem niemal pisałem dla jednego z dzienników naszych sprawozdanie z obchodu dwudziestopięcio-letniego jubileuszu pracy adwokackiej ś. p. Wacława Fedorowicza. Czyż mogłem wówczas przypuszczać, że dzisiaj spadnie na mnie ciężki obowiązek rzucenia na papier garści wspomnień żałobnych, niby garści ziemi na trumnę, w której spoczął Bojownik o górne, nieprzemijające hasła Prawdy i Miłości...

Bojował o nie życie całe i, chociaż wielce strudzony, mógł długo jeszcze przykładem swym, radą i pomocą nieść owocną służbę Sprawie... Nieubłagana śmierć przedwcześnie wytrąciła Mu broń z ręki, usunęła Go z szeregów naszych, coraz to rzadszych i słabszych...

Przybyła ziemi naszej, gęsto kurhanami usianej, świeża mogiła, nowy, nierozwalny łącznik... I patrząc bez nadziei w przyszłość, z żalem głębokim i smutkiem ślemy myśl ku przeszłości, mogiłom...

Niech Ci mogiła ta, usypana z ziemi rodzimej, którąś tak ukochał, lekką będzie...

Marjan Szadurski.

II.

Dzień jedenastego (dwudziestego czwartego) stycznia bieżącego roku będzie na zawsze smutną datą dla całej naszej witebskiej dzielnicy, a bodaj dla całego naszego kraju i społeczeństwa. Tego dnia przestało bić zacne i szlachetne serce, tego dnia zgasł mąż wielkich zasług i mąż szlachetny, obowiązkowy, mąż, którego strata okryła żalobą nie tylko Jego najbliższą rodzinę, ale, rzec można, wiele, wiele rodzin. Tego dnia, w Rydze, zakończył życie ś. p. Wacław Fedorowicz, znany w szerokich kołach z prawości charakteru, adwokat przysięgły w Witebsku, i również znany, sumienny społeczny działacz!

Wilno oplakuje śmierć Józefa Montwiłła i ma rację. Ale i my mamy rację oplakiwać zgon Tego, który, nie mając materialnych środków znanego wileńskiego działacza i ulubieńca, w miarę sił swoich fizycznych i materialnych, starał się też w każdej żywotnej, społecznej i dobroczynnej sprawie dać swój udział i pracował jako wierny i gorliwy „pracownik Winnicy Pańskiej“ dla dobra ogółu, swego „ja“ wyrzekając się zawsze, nie patrząc, jaka korzyść, bodajby w formie uznania i wdzięczności współobywateli, stąd dlań wyniknie. Cześć Jego pamięci i niech ta ziemia nasza, którą ukochał, będzie Mu lekka, a tam, „wysoko“, gdzie przebywa obecnie, niech Mu nagrodzone będą Jego zacne chęci, prace i uczynki!

Że słuszne są przytoczone wyżej zdania moje o ś. p. Wacławie Fedorowiczu, za dowód niech służy w krótkich rysach skreślony życiorys przedwcześnie zgasłego zasłużonego pracownika.

Urodzony w 1848 roku w Mohylewie, ś. p. Wacław ukończył już w 1872 roku uniwersytet w Moskwie i wstąpił jako kandydat do posad sądowych do Ministerjum Sprawiedliwości; w krótkim czasie przechodzi posady sędziego śledczego, podprokuratora i wreszcie członka Sądu. Urzędował kolejno w Saratowie, Bałaszowie, Carycynie i wreszcie w Erywaniu. Na stanowisku członka Sądu w Erywaniu zastaje go 1884 rok, gdy Ormianie, głównie zamieszkujący erywańską dzielnicę, zaczynają być traktowani jako „inorodcy“, jako obywatele „drugiego rzędu“. My, co sami za takich uważani jesteśmy, wiemy co to oznacza. Ś. p. Wacław nie może się pogodzić z rolą, „wdzięczną“ zapewne, poskromiciela Ormian, ale niezgodną z jego zasadami i ustępuje z posady, która z czasem, gdyby miał naturę bardziej podatną, mogłaby mu zapewnić karierę. Że takie były powody porzucenia przez ś. p. Wacława służby widzimy w słowach jego listu do jednego z przyjaciół: „gdyż nie chcę być z liczby tych, którzy dla orderu i awansu stają się gnębielami narodu“. Porzuca więc ś. p. Wacław świetnie zapowiadającą się karierę i wstępuje w szranki adwokatury witebskiej. Tu niech mi wolno będzie zrobić małe odstępstwo od biografii ś. p. Wacława Fedorowicza, żeby skonstatować, jak rozumiano przy wprowadzaniu nowych sądów w naszych tak zwanych „Zachodnich prowincjach“ wyraz „adwokat“. Mówię o tym z doświadczenia, gdyż sam byłem adwokatem w Kijowie, przy schyłku starych sądów i przy wprowadzeniu nowych.

Ponieważ przedtym adwokatów przysięgłych nie było, a tylko plenipotenci, tak zwani „chodataje“, więc pojęcie o adwokaturze i adwokatach u naszego ziemiaństwa było bardzo mgliste. Oile nie nazywano ich „handlarzami sumienia“, lub ludźmi, co pozbawiają własności na prawnej zasadzie (co mi się zdarzyło słyszeć na własne uszy), to uważano ich, w każdym razie, za osobistości „minorum gentium“. Trzeba było istotnie gorącej chęci poświęcenia się dla spraw swoich współobywateli, aby w tej dobie przełomowej porzucić posadę sądową, dającą stałą pensję i nadzieję „czynow i ordenow“, i zamienić ją na pozycję adwokata, mieszanego z „chodatajem“, w jednym z prowincjonalnych miast „Zachodniego Kraju“.

Ś. p. Wacław Fedorowicz zrobił to i odrazu wysoko podniósł sztandar adwokackiej etyki, adwokackiego honoru, na ogół adwokackiej pozycji. I każdy, co jak ja, miał zaszczyt być klientem nieboszczyka, musi przyznać, że był to człowiek, który, nie dbając o swoje honorarja, o swoją korzyść, miał na celu tylko interes klienta i jego korzyść. A już to samo, że podjął się jakiejś sprawy, było w oczach klienta rękojmią, iż sprawa jego czysta, gdyż nietylko niesłusznych, ale nawet wątpliwych etycznie spraw ś. p. Wacław podejmować się nie chciał.

Ale jedna adwokatura nie wystarczała ś. p. Wacławowi Fedorowiczowi. Umysł Jego potrzebował, prócz rzemieślniczej, jeśli się tak wyrazić godzi, pracy obrońcy, i duchowego pokarmu. Dlatego nie przestawał też pracować na ulubionym przez siebie polu archeologii, historii i krajoznawstwa, oraz nad studjami nietylko praktycznego prawa, lecz i nauki prawa i związanych z nią nauk ekonomicznych i społecznych.

W 1887 roku ś. p. Wacław wybrany został jako delegat na I Zjazd prawników i ekonomistów polskich w Krakowie. W tymże czasie obrany był przez Krakowską Akademię Umiejętności na członka korespondenta. W następnych latach widzimy Go biorącego udział w licznych zjazdach archeologicznych i pomagającego przyjacielowi Jego Prékosińskiemu w wydawnictwie herbarza Szlachty Witebskiej i wydającego osobiście „Herbarz Orszański“, a także umieszczającego pomniejsze prace swoje w wydawnictwach historycznych archeologicznych. Był też ś. p. Wacław Fedorowicz jednym z założycieli, a następnie honorowym członkiem i wice-prezesem witebskiej Komisji Archeologicznej i członkiem korespondentem towarzystwa Krajoznawstwa w Warszawie. W zeszłym roku wygłosił dwa ciekawe odczyty: „O uwłaszczeniu włościan w powiecie dyneburskim“, „O Grunwaldzie“ (w listopadzie 1910 r.) i wiele pomniejszych.

Ś. p. Wacław Fedorowicz nie zadawał sobie jednak i ulubionymi studjami archeologiczno-historycznymi. Znajdujemy Go umiejętnie i sumiennie pracującym na polu społeczności i dobroczynności, oddającym swe usługi każdej instytucji, którą uważał za użyteczną. I tak w 1893 roku zostaje radnym miasta Witebska i pracuje, jako członek i prezes wielu komisji miejskich i jako członek z wyboru Rady Miejskiej do Gubernjalnego Zarządu spraw miejskich. W tym-że czasie, mniej więcej w połowie ostatniego dziesięcia dziesiętnastego wieku, wstępuje ś. p. Wacław do Towarzystwa Wzajemnego Kredytu Ziemian Witebskich i w prędkim czasie zostaje członkiem Rady Nadzorczej Towarzystwa, a w 1907 roku i prezesem takowej, i na obu stanowiskach zostawia po sobie pamięć zacnego i gorliwego pracownika. Był też ś. p. Wacław Fedorowicz jednym z inicjatorów i założycieli Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności w Witebsku i wice-prezesem takowego oraz czynnym członkiem wszystkich miejscowych towarzystw oświatowych, dobroczynnych i spółdzielczych. Na wszystko miał czas, wszędzie był użytecznym, gorliwym i sumiennym pracownikiem.

Gdy nadeszły pamiętne chwile 1905 roku, które zdawały się zapowiadać nową, lepszą erę, ś. p. Wacław był wysłany, jako delegat, na zjazd Wszechrosyjski adwokatów w Petersburgu, który, między innemi sprawami, opracował projekt Autonomji Królestwa Polskiego.

W czasie wyborów do Dumy Państwowej prezesował ś. p. Wacław w Komitecie Wyborczym miejskim i był wyborcą od kurji miejskiej, ale kandydatury swojej na posła, pomimo nalegań przyjaciół, nie wystawił.

W 1909 roku ś. p. Wacław Fedorowicz zainicjował wydanie księgi zbiorowej „Z okolic Dźwiny“, która może mieć ogromne znaczenie kulturalne już samo przez się; jeśli zaś przyniesie i pewne materialne korzyści, to będzie podwójną chwałą dla nieodżałowanego ś. p. Wacława. To też, zdaniem moim, należy się Mu w tej księdze pierwsze miejsce i pragnąłbym wielce, żeby to moje krótkie biograficzne wspomnienie o naszym przedwcześnie utraconym pracowniku tę księgę rozpoczęło.

Stanisław Łopaciński.

Wenecja
15/2 marca 1911 roku.







Gustaw baron Manteuffel.

Nieco z dziejów dawnego księstwa inflanckiego i wybitniejszych postaci tego województwa od XVII do XIX stulecia.

Szanowny inicjator niniejszego wydawnictwa, w liście z d. 19 października 1908 roku do nas kreślonym, wyraził niepłonną nadzieję, że w kolejach czasu dotykana, w niem pomiędzy innymi zostanie także przeszłość trzech dzielnic b. Rzpltej Polskiej (a mianowicie województw: *witebskiego*, *połockiego* i *inflanckiego*) z których w XIX stuleciu utworzoną została gubernja witebska, przyczem zauważył słusznie, iż podkład historyczny może podnieść interes witebskiej księgi zbiorowej, mającej opracowywać temata najrozmaitsze. Nie śmiejąc długo trudzić niepotrzebnym wstępem, podaję do tak pożądaney pracy zbiorowej niektóre wiadomości o *księstwie inflanckiem* od XVII do XIX stulecia, które to województwo Rzpltej Polskiej już w roku 1802 weszło całkowicie w skład gubernji witebskiej.

I.

Jak powszechnie wiadomo Inflanty w rozległości pierwotnej zaledwie przez jedno stulecie do Polski należały. Traci je ona w znacznej części na rzecz Szwecji już w pierwszej połowie wieku XVII. To też zrazu utrata większej części Inflant nie wpłynęła zgoła na skład senatu Rzeczypospolitej ¹⁾. Lecz kiedy ostatecznie w *pokoju oliwskim* zrzekła się Polska aż $\frac{3}{4}$ dawnych ziem inflanckich na rzecz Szwecji, trzeba było przeprowadzić odpowiednie zmiany i co do urzędów, które zawisły w powietrzu.

Uregulowano tę kwestję dopiero w konstytucji z roku 1677 ²⁾. Z pozostałej przy Polsce części Inflant utworzono jedno tylko województwo inflanckie i zamiast trzech wojewodów

¹⁾ Obacz: *Stanisław Kutrzeba* „Skład sejmu polskiego 1495—1793” rozprawa ogłoszona w „*Przeglądzie Historycznym*”. (Warszawa, 1906 r.) tom II, str. 70.

²⁾ Obacz *Volumina Legum* (w wydaniu Jozafata Ohryzki, tom V, str. 237).

wendeńskiego, derpskiego (czyli dorpackiego) i parnawskiego, jednego tylko dano temu kraikowi wojewodę, oraz jednego kasztelana,—obu *inflanckimi* zwanych. Tytuły dawne jednak zachowano przy tych, co je jeszcze przed traktatem w Oliwie posiadli. „Tak więc, wskutek tej zmiany ubyłoby czterech senatorów; wojewoda inflancki zachował to miejsce, jakie mieli jego poprzednicy, t. j. po mińskim a przed ostatnim, czernihowskim, kasztelana atoli inflanckiego, jak widać ze spisów, umieszczono wyżej, bo jako ostatniego z kasztelanów *większych*. Zachował swoje miejsce nadal i biskup wendeński, lecz i on zwać się zaczął *inflanckim*“¹⁾.

Ta czwarta część Inflant co przy zawarciu traktatu oliwskiego przy Rzpltej pozostała odtąd miano *Inflant polskich* nosić poczęła i wiernie jej losy dzieliła. Jedyna to aneksja polityczna i cywilizacyjna, co nam się w zamian za tyle strat wobec świata niemieckiego powiodła. Jakkolwiek utraciła Polska w walce ze Szwedami większą część Inflant, to jednak ta część, co jej pozostała po pokoju oliwskim, lepiej od Pomorza i Prus Zachodnich przystała do organizmu Rzpltej i z nim się zespoliła. Proces zjednoczenia i stopniowej asymilacji nie przedstawia nawet tego oporu, jaki szlachta litewska i ruska aż do unji lubelskiej stawiła wpływom polskim, ani takich zaburzeń, jakie wybuchały co chwila w Gdańsku i innych miastach pruskich. Sejm warszawski z roku 1677 nadał jej tytuł *księstwa inflanckiego* jakkolwiek tworzyła ona tylko jedno województwo z osobnym biskupem, wojewodą i kasztelanem. Stolicą był Dyneburg czyli jak niegdyś pisywano *Dynembork*. Na sejmiku w tym mieście wybierano sześciu posłów, dwóch z Korony; żadnego zaś deputata na trybunał litewski nie posyłało „ponieważ od sądów tutejszych nie do trybunału, ale do asesorii koronnej szła apelacja“. Że zaś Inflanty polskie wspólnie do Korony i Litwy należały, przywileje zatem do tego kraju z kancelarii królewskiej pod dwiema pieczęciami, koronną i litewską, wychodziły.

Herb województwa, a po roku 1677 księstwa inflanckiego był tenże sam, jakiego dotąd gubernja inflancka używa, a jaki przez króla Zygmunta-Augusta dawnym Inflantom przy ich unji z Litwą w roku 1566 został nadany. Jest to gryf biały w polu czerwonym, z koroną na głowie, przednimi szponami wspięty i w prawem z nich trzymający goły miecz do góry; na piersiach powiązane głoski *S* i *A* na pamiątkę dwóch imion królewskich „*Sigismundus-Augustus*“ i uwieńczone koroną; gryf zaś, jak wielu utrzymuje badaczy, miał być wzięty z herbu Jana-Hieronima Chodkiewicza, ówczesnego administratora i wielkorządcy Inflant, który w sprawie złączenia tych krajów z Litwą wielkie położył zasługi. Dokonana w r. 1569 *na sejmie lubelskim* unja Korony z Litwą, wciągnęła i Inflanty do Rzpltej polskiej.

Z osiadłych, w tej części dawnego *inflanckiego państwa związkowego*, co po traktacie oliwskim przy Polsce pozostała, odwiecznych rodów rycerskich, które tu od landmistrzów zakonne dobra lenne niegdyś otrzymały, a jakich przy unji z roku 1566 liczono tu jeszcze 55²⁾,—pozostało w traktatach *dyneburskim*, *rzeżyckim*, *lucyńskim*, *marjenhauskim* przez wojny szwedzko-polskie od przeszło stulecia bezustannie niszczonych, w roku 1677 już zaledwie 24³⁾.

¹⁾ Obacz Stanisław Kutrzeba tamże „Przegląd Historyczny“, tom II. str. 70. (Warszawa 1906 r.)

²⁾ Porównaj książkę naszą „*Inflanty Polskie*“ (Poznań 1879) strona 79.

³⁾ Wymieniamy je w niniejszym przypisku w porządku alfabetycznym: 1. de *Ackerstaff*, mieli dobra w Rzeżyckim; 2. de *Anrep*, dziedziczyli dobra w Lucyńskim; 3. de *Allenbokum*, posiadali Warkow, należący niegdyś do zamku rzeżyckiego; 4. *Berg de-Carmel*, panowie na Prezmie w rzeżyckim z wielu przyległościami; 5. de *Borch*, panowie na Galen (Galany), Trumen (Sterniany), Warkelen (Warklany), Prelen (Prele) i Wypingu w rzeżyckim i dyneburskim; 6. de *Drakenfieldt*, mieli znaczne posiadłości w rzeżyckim; 7. de *Farenholdt*, dziedziczyli dobra Sprikuten w lucyńskim; 8. de *Finkenangen*, dziedziczyli Dziennigal z przyległościami w lucyńskim; 9. de *Grothusen*, panowie na Siwerhofie w dyneburskim; 10. de *Heering*, posiadali Saxtegal, dobra od zamku rzeżyckiego odpadłe; 11. de *Hülsen* ab *Eckeln*, panowie na Dageten (Dagdzie) i Stabiten, dziedzice na Bukhof (Bukmujza); 12. de *Hummeln*, panowie na Humelmojzy w lucyńskim; 13. de *Korff* dictus *Schmising*, panowie na Felmen (Fejmany), Puschen

Natomiast znajdujemy tutaj kilkanaście rodów czysto-polskich z Korony i Litwy przybyłych, które jeszcze na lat kilkadziesiąt przed utworzeniem księstwa inflanckiego przeważnie za zasługi wojenne już to królewsczyzny, już dobra dziedziczne w tej części Inflant otrzymały ¹⁾. Okoliczność ta nie mało zapewne przyczynić się musiała do ustalenia tu kultury polskiej i katolickiej o jaką królowie i Rzplta wielką okazywali dbałość ²⁾.

Nie więc dziwnego, że od roku 1677 sądy ziemskie i grodzkie w Inflantach polskich były takie same, jak w innych województwach Rzpltej. To też ordynacja księstwa inflanckiego na sejmie z r. 1677 postanowiła wyraźnie „żeby sposób sądów ziemskich i grodzkich w tej ziemi niezem się nie wyróżniał od innych województw Rzpltej“.

W tym celu naznaczono elekcję podkomorzego, chorążego, sędziego, podsądka i pisarza ziemskich dla Inflant polskich. Oni to powinni byli sędzić wszystkie sprawy do ich urzędu należące, zakładając jurydykę roków ziemskich w Dyneburgu trzy razy do roku, a mianowicie na Trzy Króle, nazajutrz po Św. Trójcy i na św. Michał; a zaś jurydykę grodzką przy staroście dyneburskim postanowiono z trzema urzędnikami. Tymi byli: podstarości, sędzia

(dzisiejsza Pusza) i Neutera hnen (Zalmuża) w rzeżyckiem, a także na zamku Cruceborch (Kryżbork) w dyneburskiem; 14. *de-Lieven*, panowie na Liwenhofie w dyneburskiem, który atoli niebawem ustępują Pocięjom; 15. *de-Ludingshausen-Wolff*, panowie na Kombulmujzy, Krasławiu, Liksnie, Kirupiu, Nidzgalu i Ambenmujzy w dyneburskiem; 16. *de-Manteuffel* dictus *Soye*, panowie na Apsal, Duxtegall, Resen (Rezenemujża) Ramlen, Bersegall (Berzygał) w rzeżyckiem, dyneburskiem i lutyńskiem, a Katzdangen i t. d. w ziemi piltyńskiej; 17. *de-Mohl*, panowie na Wyszkach w dyneburskiem; 18. *de-Offenberg*, panowie na Łyuzy i Wielonach w rzeżyckiem; 19. *de-Plater* dictus *Brole*, panowie na Niedritz Indrycy w dyneburskiem, Hasson w rzeżyckiem tudzież Plasson w lutyńskiem; 20. *de-Ryk*, dziedziczyli Strusen (Strużany) w lutyńskiem, a Dritzen i Pilcen w rzeżyckiem; 21. *de-Schenking*, dziedziczyli Pylden (Pyldę) w lutyńskiem; 22. *de-Thysenhuis* (Tyzenhauzowie) posiadali całe starostwo rzeżyckie, z którego następnie ustępują Bielińskiemu; 23. *de-Toedwen*, posiadali dobra w rzeżyckiem; 24. *de-Valkershem* (Falkierzamb) dziedziczyli dobra w rzeżyckiem i dyneburskiem. Po bliższe szczegóły odsyłamy czytelników do książki naszej „Inflanty Polskie“ (Poznań, 1879 r.) str. 64—92.

¹⁾ Wymieniamy je w tymże porządku alfabetycznym: 1. *Belińscy* czyli *Bielińscy*, posiadali całe starostwo rzeżyckie; 2. *Beniślawscy* posiadali Birze inflanckie i Zosoły w lutyńskiem; 3. *Brzezińscy*, dziedziczyli po Falkierzambach dobra w dyneburskiem; 4. *Chodkiewiczowie*, posiadali całe starostwo Marjenhauskie; 5. *Chodkowsky*, otrzymali za zasługi wojenne Rogajz i Brodajz w lutyńskiem; 6. *Gołembionscy*, odziedziczyli po Rolofach Łukno i Ciskady w rzeżyckiem; 7. *Januszkiewiczowie*, dziedziczyli Okrę, w dyneburskiem; 8. *Jotkowie*, dziedziczyli Rundany w lutyńskiem; 9. *Karnicy*, otrzymali za zasługi wojenne dobra Bryckowszczyznę z Ewersmujzą i t. d. w lutyńskiem; 10. *Kimbarowie*, posiadali w lutyńskiem dobra Sołosz i Lauder, które niebawem przeszły do Kublickich; 11. *Pocięjowie*, odziedziczyli po Liwenach dobra Liwenhof w dyneburskiem; 12. *Potoccy*, posiadali całe starostwo lutyńskie; 13. *Sapiehowie*, posiadali Dyrwany nad jeziorem Łubaniem w powiecie rzeżyckim; 14. *Sieliccy*, odziedziczyli po Falkierzambach Ruschen (Ruszonę), Wyschkhof (Aglonę) Kamnitz (Kamieniec) i Kaster w dyneburskiem, Wyżki zaś już w pierwszej ćwierci XVII stulecia wniosła Elżbieta Sielicka w dom Mohlów; 15. *Sokołowsky* herbu Korab, otrzymali za zasługi wojenne Hauschen i Muschen (Muszę), tudzież folwark Anselmhof (Andzelmuję) w rzeżyckiem; 16. *Soltanowie*, posiadali Andreпно i Zielonpol w rzeżyckiem, a Lidoksn w lutyńskiem wraz ze Sprykutowem; 17. *Szadurscy*, mieli za zasługi wojenne dobra Dustechal w rzeżyckiem oraz Dunakeln (dzisiejszy Dunakl) w lutyńskiem; 18. *Wotosowscy*, otrzymali za zasługi wojenne dobra Baltyń i Skajstę w dyneburskiem; 19. *Żebrowscy*, przez połączenie się z krzyżacko-ryckim rodem de-Finkenaugen odziedziczyli dobra w lutyńskiem.

Po bliższe szczegóły odsyłamy ciekawych czytelników do książki naszej „Inflanty Polskie“ (Poznań, 1879 r.), a mianowicie do stronic 93—102.

²⁾ Na poparcie tego twierdzenia niech nam będzie wolno przytoczyć choć mały przykład. *Jan-Andrzej Plater*, syn Gotarda, w r. 1670 od króla Michała Korybuta Wiszniowieckiego otrzymał przywilej zwany „*consensus ad cedendum*“ na starostwo dyneburskie. Król Jan III zatwierdził tenże przywilej w r. 1675, a kiedy 20 lat później Jan-Andrzej przeszedł z protestantyzmu na łono rzymsko-katolickiego Kościoła w r. 1695, wiadomość ta taką radością przejęła króla, iż go niebawem wyniósł na województwo inflanckie, które odtąd z domu Platerów już nie wychodziło.

i pisarz gródzki *dyneborscy*. Taż sama ordynacja postanowiła, że starosta grodowy dyneburski jest zarazem starostą inflanckim.

Infanty polskie czyli tak zwane *księstwo inflanckie*, dla szczupłości swej, nie dzieliły się na powiaty, ale na tak zwane *trakty*, od głównych starostw nazwę swą biorące. Nie był to wszakże podział administracyjny, ale raczej konwencyonalny; raz, że około tych czterech głównych punktów, co były niegdyś zamkami obronnymi ¹⁾, skupiła się ludność w pierwszych czasach chrześcijaństwa: drugi raz, że po rozwiązaniu krzyżacko-inflanckiego Zakonu, starostowie polscy, osiadłszy po opuszczanych przez komturów i wójtów zamkach, zastąpili pod pewnym względem ich władzę.

Głównym punktem pozostał Dyneburg, niegdyś siedlisko komtura krzyżacko-inflanckiego Zakonu, a od roku 1677 gród stołeczny księstwa inflanckiego. Tam się bowiem za czasów polskich odbywały sejmiki jedne po drugich. Czy szło o wybranie posła na sejm do Warszawy, czy też o inne sprawy publiczne,—ówczesna szlachta polsko-inflancka nigdzie indziej jak do swego stołecznego grodu „Dünemborka“ w tym celu się nie zjeżdżała. Tam się też, zwyczajem staropolskim, odbywał uroczysty wjazd nowego wyższego urzędnika—starosty lub wojewody inflanckiego. Opisy szczegółowe podobnych „wjazdów“ przechował nam po dzień dzisiejszy „*Kurjer Polski*“ wychodzący niegdyś w Warszawie.

Dynebork wszakże i z innego względu od r. 1677 nie małe miał znaczenie. Był bowiem siedliskiem biskupa inflanckiego.

Od czasu kiedy upadło arcybiskupstwo ryskie, a następnie i ustanowione później przez sejm warszawski biskupstwo wendeńskie,—biskupi inflanccy *in partibus*, mieszkając najczęściej w prywatnych miejscach, zarządzali tą małą częścią dyecezy, co jeszcze przy Polsce pozostała.

Następcy ostatniego wendeńskiego biskupa *Otona de-Schenking*: Mikołaj *Krasnowski* (od r. 1643), Aleksander *Chodkiewicz* (1649—1676) i Aleksander *Ludingshausen-Wolff* (1677—79), tytułują się wprawdzie *biskupami inflanckimi*, lecz nie mając utrzymania — Wenden bowiem, Wolmar i inne dobra biskupie przeszły pod panowania Szwedów,—nie rezydują zgola w swej dyecezy, ale w Warszawie jako wikariusze prymasa gnieźnieńskiego.

W Infantach polskich, gdzie ludność wiejska i nie mała liczba rodzin szlacheckich były katolickimi, wojny szwedzkie sprowadziły i pod względem religijnym stan nader opłakany. Kościoły następujące tylko były w księstwie inflanckim w roku 1677.

W *Dyneburgu* jezuicki i katedralny, w *Auli*, erygowany w r. 1626 przez Gosiewskiego, wojewodę smoleńskiego ²⁾, w *Użwaldzie* z r. 1625 fundacji Lackiego, dwa ostatnie obsługiwane przez jezuitów, w *Wyżkach*, fundowany w r. 1621 przez dziedziczkę Elżbietę z Sielickich Mohlową i w *Krasławiu* drewniany w r. 1676 przez ówczesnego dziedzica Jerzego de-*Ludingshausen-Wolfa* wzniesiony ³⁾.

Ponieważ wspomniani wyżej biskupi inflanccy nie rezydowali w swej dyecezy, przeto duchowne potrzeby ich owieczek opatrywali *ratione vicinitatis* biskupi żmujdzcy. Rzeczywistym biskupem inflanckim pierwszy był *Mikołaj Korwin-Popławski* (1685—1710). Osiadł on w Dyneburgu przy katedrze, będącej zarazem kościołem parafjalnym, wizytował dyecezę, wznosił, odnawiał kościoły. Już w roku 1685 konsekrował założony na prędcie w roku 1678 przez Pocijów drewniany kościół parafjalny w Liwenhofie, a także nowo wzniesiony przez *Franciszka Bielińskiego* takież kościół drewniany w Rzeżycy. W roku następnym poświęcał

¹⁾ *Arx Dunaburgensis*, Dyneburg, *arx Rositensis*, Rzeżycza, *arx Lucinensis*, Lucyn i *arx Marienhausensis* Marjenhauza.

²⁾ Obacz czasopismo „*Inland*“ № 51 z roku 1855, a w nim artykuł p. t. „*Stiftung des Wojewoden Gosiewski für die Jesuitenkirche in Düneborg*“.

³⁾ Obacz *G. Manteuffel* „*Krasław*“. Odbitka z „*Kroniki Rodzinnej*“. (Warszawa, 1901 r.).

kościół parafjalny w Lucynie, erygowany tam przez wojewodę krakowskiego, a starostę lucyńskiego *Szczęsnego Potockiego* ¹⁾. W 8 lat potem w roku 1694 założył pierwszy drewniany kościół i klasztor w *Posiniu*, w którym księża Dominikanie osadzeni zostali ²⁾, a w 12 lat później (1698 roku) poświęcił w *Indrycy* kościół także drewniany, przerobiony z protestanckiego i przeniesiony ze wzgórza na dolinę staraniem *Jana-Andrzeja Platera*, co właśnie w tym czasie został katolikiem ³⁾.

Dotąd w Indrycy, równie jak w *Berzygale*, *Fejmanach* i *Kryżborku* istniały tylko protestanckie kościoły, z których następnie jeden już tylko kryżborski pozostał luterskim.

Z powodu, że biskupstwo inflanckie było nędznie uposażone, a nadto sprawą o wykupno dawnego biskupstwa piltyńskiego obarczone, każdy z biskupów rezydujących w Dyneburgu starał się jak najprędzej je opuścić i otrzymać inne w Koronie lub na Litwie, gdyż katedra dyneburska wcale nie była odpowiednią i nie mieli tam biskupi nawet własnego seminarjum.

Ówczesny dziedzic Krasławia, biskup Teodor z Ludyngzhauzu—Wolff, zapisał wprawdzie na seminarjum dyneburskie 4000 talarów bitych, wszelako fundacja zaraz do skutku przyjść nie mogła. Lepsza nadzieja zabłysła dla diecezji inflanckiej gdy w następnym stuleciu Konstanty-Ludwik Plater zaczął wznosić w nabytym przez jego ojca Krasławiu kościół, przy którym miał rezydować sufragan inflancki, a o której to fundacji i dalszych losach rozpowiemy przy przeglądzie osobistości wybitniejszych księstwa inflanckiego, w jednym z dalszych rozdziałów.

II.

Wschodnia część Inflant pozostawiona przy Polsce traktatem oliwskim, w ciągu XVII i XVIII stulecia zespalała się coraz ściślej z organizmem Rzpltej i ulegała wszechstronnemu wpływowi kultury polskiej i katolickiej. Liczne tego dowody napotykamy w działalności obywatelskiej wielu mężów inflanckich, co w dziejach polskich tego okresu niejednokrotnie wybitną, a czasem nawet ważną odegrywali rolę.

Naczelne pod tym względem miejsce zajął w tej części dawnych Inflant ród Hylzenów, który zarówno przez nagromadzone w tej epoce zasoby materialne jak i przez wyższe uzdolnienie umysłowe przodował wśród miejscowego możnowładztwa.

Obok dziedzicznej *Dagdy*, główną podstawą ich olbrzymiej fortuny stało się rozległe *starostwo marjenhauskie* i królewsczyzny *Bukhof* (Bukmujża) i *Essen*, które to posiadłości zostały im nadane w pierwszych latach panowania Augusta II ⁴⁾.

Pierwszym starostą, marjenhauskim z rodu Hylzenów był szambelan, czyli jak wówczas jeszcze mawiano, podkomorzy nadworny Jego Królewskiej mości *Jerzy-Konstanty Hülsen ab Eckeln*, który swój żywot zakończył w Gdańsku, a pogrzebiony został w kościele słynnego klasztoru oliwskiego pod Gdańskiem, gdzie po dzień dzisiejszy zwraca na siebie uwagę podróżnych wspinały grobowiec, jakim syn utrwalił tam jego pamięć. Pomnik w profilu wystaje ze ściany kościoła. Składają go obelisk, ozdobiony herbem Hylzenów, mający kilka metrów wysokości i wsparty na dwóch lwach a u góry otoczony aniołami, oraz cokuł obszerny na jakim spoczywa obelisk. Ten ostatni zawiera napis łaciński:

¹⁾ Ob. *G. Manteuffel* „Lucyn w Inflantach“. (Kraków. 1884 r.) rozprawka źródłowa wydana na dochód komitetu budowy krakowskiego pomnika Adama Mickiewicza.

²⁾ Ob. *G. Manteuffel*. „Z dziejów Kościoła w Inflantach i Kurlandji od XVI do XX stulecia“ rozprawa ogłoszona w lwowskim „Kwartalniku historycznym“, rocznik XVI, str. 401—428.

³⁾ Ob. *G. Manteuffel*. „Inflanty polskie“. (Poznań, 1879 r.) str. 89 i dalsze.

⁴⁾ Oprócz wspomnianych dóbr nabyli Hylzenowie w XVIII stuleciu wiele innych, jak *Pyłdę*, *Runtold*, *Istalsnę*, *Kurjanowo*, *Kurme*, a po Hylzenowej z domu Sołtanównie, przeszła na nich *Kownata*.

D. O. M.

Hic jacet in spem resurrectionis Georgius-Constantinus de-Hülßen, Dominus haeres bonorum Dageten, Stabiten, Essen, Bukhof etc., Camerarius Regis Augusti II, Margenhausensis Capitaneus, vir ingenio aequae ac consilio promptus, in utraque fortuna semper sibi constans, semper idem inimicitias vel non agnoscebat, vel agnoscens superabat i t. d.

W środku obelisku spoczywa (na bogato rzeźbionej konsoli z tegoż żółtawego marmuru) popiersie Jerzego-Konstantego de-Hülßen, doskonałego dłuta, jakiegoś mistrza włoskiego.

Ten dawny dygnitarz inflancki, a starosta marjenhauski już w pierwszych latach XVIII stulecia wznosił w Warszawie, przy zbiegu ulic Przejazd i Nowolipia, okazały pałac ze słynną w swoim czasie biblioteką naukową marjenhauskich Hylzenów ¹⁾.

Odtąd Marjenhauz był już prawie dziedzicznym w rodzie Hylzenów. Gdy w czasie wojny północnej wspomniany powyżej Jerzy-Konstanty Hülßen, piszący się następnie *Hylzen*, został ojcem drugiego syna, Jana-Augusta, późniejszego kronikarza ziemi ojezystej, starostwo marjenhauskie dla niego zawczasu przez rodziców przeznaczone zostało i odtąd aż do pierwszego rozbioru Polski z rodu Hylzenów już nie wychodziło. Ród ten kilka z rzędu kościołów tu w Inflantach wznosił, a z nich pierwszy erekcją swoją sięga wieku XVII. Mamy bowiem przed sobą ciekawą i pouczającą relację biskupa inflanckiego *Krzysztofa Szembeka* (późniejszego prymasa gnieźnieńskiego) do Papieża Klemensa XI, pisaną w r. 1714 o stanie djecezji inflanckiej. Z relacji tej, drukiem nigdzie nieogłoszonej, podajemy w przypisku ustęp, dotyczący kościoła i parafii marjenhauskiej, a opisujący dokładnie ile ta okolica w czasie wojny północnej ucierpiała ²⁾.

Papież Klemens XI, powziąwszy z tej relacji wiadomość o smutnym stanie Marjenhauzu, wpłynął przez nuncjusza na przebywającego zwykle przy boku króla w Warszawie ówczesnego starostę marjenhauskiego Jerzego Hylzena, że jeszcze w roku 1716 z gruntu odnowił kościół i odpowiednio go opatrzył.

Wogóle duchowieństwo polskie tych czasów gorliwą opieką otaczało Kościół inflancki i starało się usilnie o rozkrzewienie i utrwalenie w tym województwie wiary katolickiej. Jeszcze przed prymasem Szembekiem wielkie na tem polu położył zasługi wspomniany

¹⁾ Ów pałac hylzenowski za panowania Stanisława-Augusta, nabył Tadeusz-Antoni Mostowski, a w wieku XIX przeszedł tenże gmach wspaniały w posiadanie władz rządowych. Te, po zwinęciu ulokowanej tam przedtem komisji spraw wewnętrznych, oddały go władzom wojskowym na koszarę i kancelarję. W ostatnich latach dawna ta siedziba polsko-inflanckich Hylzenów, uległa gruntownej przeróbce, z dodaniem nowych oficyn bocznych od strony ulic Przejazd i Nowolipek, jak to prace p. A. Kraushara dokładnie wyjaśniają.

²⁾ „Sexta Ecclesia Marienhausensis prope ipsos Moschoviae et illius partis Livoniae, quae *suecica* dicebatur limites sita etc. Ipsa fabrica Tempelli hujus lignea, miserrima, ex fundamentis extruenda. Decies annos durante hoc bello, a Cosacis, Calmucis et latronibus spoliatum fuit hoc Tempellum, ita ut nec filam de apparatus relictum fuisset. Adhuc modo majori ex parte commutatis utatur apparamentis. Parochiani ibi omnes pauperes, rusticelli. Domini autem loci sive Capitaneatus illius possessores, longius plerumque dissiti, raro ibi residebant“. Obacz rękopis przechowany w archiwum kościoła parafjalnego w Mitawie p. t.

„*Relatio de statu Ecclesiae Livoniensis ab Episcopo Christophoro Szembek Anno 1714 ad Summum Pontificem Clementem XI facta*“. Rękopis po części uszkodzony, zawierający obecnie ogółem stronic *in folio* 28. Z nich tylko str. 26—28 dotyczą wyłącznie *Inflant Polskich* i stanu kościołów polsko-inflanckich w r. 1714. Strony 1—10 manuskryptu obejmują pobieżny przegląd dziejów biskupstwa inflanckiego w jego fazach od roku 1186 do 1558 i od roku 1583 do 1715. Strony 10—28 dają obraz stanu ówczesnego całej *djecezji inflanckiej*, w skład której wchodziły całe Inflanty, tak szwedzkie jako i polskie, Kurlandja, Semigalja i Ziemia Piltyńska, Strony 13—16 poświęcone Inflantom szwedzkim, strona 16-ta ma ustępy, „*Livonia polonica*“ i „*De episcopatu Curoniensi seu Piltinensi*“, strony 17—22 traktują „*De Ducatu Curlandiae*“. Nakoniec str. 22—28 zawierają rozdział „*Livonia mere polonica*“, dotyczący nielicznych kościołów polsko-inflanckich i ich stanu w roku 1714. Ustęp powyżej przytoczony mieści się na stronie 28 oryginału.

wyżej przez nas biskup *Mikołaj Popławski*. Za jego to rządów wzniesiono w księstwie inflanckiem kościoły parafjalne w Rzeżycy, Lucynie, Posiniu, Marjenhauzie, Agłonie, Kownacie i Fejmanach ¹⁾. Zakładanie parafji katolickich w tej części dawnych Inflant co pozostały przy Polsce, musiało się przyczynić do rozszerzenia wiary i gruntownych zasad chrześcijańskich. Tem tłumaczy się też wielka ilość fundacji, jakie w XVII i XVIII stuleciu w Inflantach polskich robiono. Biskup Mikołaj Popławski, założyciel i odnowiciel całego szeregu kościołów i klasztorów, osadzał je przeważnie ojcami Dominikanami. Za jego wpływem założyła na samym początku wieku XVIII Ewa-Justyna z Sielickich-Szostowicka kościół i klasztor dominikański w Agłonie, miejscowości znanej i po za obrębem Inflant z powodu obrazu słynnej łaskami *Matki Boskiej Agłonskiej*, wiernie w „Albumie Wileńskim Wilczyńskiego“ przedstawionego.

W rok po zatwierdzeniu założenia tu klasztoru, wydanem przez papieża *Inocentego XII*, rozpoczęły się w kraju owe znane w dziejach kłęski: napad Karola XII, zatargi o tron pomiędzy *Augustem II* i *Stanisławem Leszczyńskim* i t. p. w czasie których i to spokojne ustroenie nie mało ucierpiało.

O wpływie, jaki pod względem oświaty religijnej wywierał w XVIII stuleciu, założony przez tegoż biskupa Popławskiego klasztor w *Posiniu* na przyległe, a nawet dalsze okolice, rozwódzi się szczegółowo Dominik Chodźko w wydawanym niegdyś w Warszawie pamiętniku religijno-moralnym, a jeden z teraźniejszych historyków polskich nader trafnie zauważył, że „narodowy polski charakter zakonu kaznodziejskiego i bezpośrednia jego styczność z ludem, wpływały bardzo widocznie na całą jego działalność“. Żaden z dotychczasowych zakonów nie zdołał mu pod tym względem dorównać, żaden nie poniósł tak jak on, wiary i cywilizacji na Wschód, żaden nie wzbudził tyle zapału i prawdziwie głębokiej pobożności“ ²⁾. A zaś z przytoczonego powyżej artykułu D. Chodźki (w 31 tomie pamiętnika religijno-moralnego) dowiadujemy się, że zaraz po założeniu klasztoru, przed samym wybuchem wojny północnej, osiadło w Posiniu dwunastu Dominikanów. Ci bezustannie udawali się w głąb kraju dla oświecania w ciemnocie pogrążonego ludu. Nieraz od miejsca swego pobytu tak bardzo się oddalali, że do klasztoru na noc wrócić było dla nich istnem niepodobieństwem. Bezpiecznego zaś schronienia u miejscowej ludności białoruskiej znaleźć nie mogli; jedna jej część żyła w odszczepieństwie od Kościoła, druga znowu pogrążoną była w pogaństwie. Z jednej więc strony spotykała ich wzgardliwa niegościnnosć, z drugiej—barbarzyńska nienawiść. Wówczas Dominikanie, żeby się ustrzedz od zmian powietrza i spokojny mieć przytułek, budują po różnych miejscach tej okolicy kresowej lepianki z chrustu. Dwanaście takich chałupek stanęło wkrótce w stronie zachodniej od Posinia oraz na pobrzeżu gubernji pskowskiej, mianowicie: *Landskorona, Rundany, Brodajż, Rajpol, Pyłda, Słobodzińce, Ewersmujża, Brygi, Słodzie większe, Słodzie mniejsze, Istra i Koniecpol*. Z czasem przy tych chatkach zbudowano kapliczki. później zaś z ośmiu pierwszych małych kapliczek wzniosły się kościoły parafjalne, stanowiące dzisiaj cały dekanat przedlucyński. (*Decanatus Cis-Lucinensis*). Pozostałe cztery są dotąd kaplicami, do których i kilka innych przybyło.

Dominikanie spełniający niegdyś we wspomnianych świątyniach posługi parafjalne, uważali się zawsze za mieszkańców klasztoru posińskiego i zostawali pod zwierzchnictwem posińskiego przeora. Pod jego dozorem odbywały się później studia zakonne w klasztorze posińskim, który w okolicy nazywano „*twierdzą z dwunastu zamkami*“.

W roku 1753, gdy klasztor drewniany spłonął, w lat ośm stanął na jego miejscu wspałały kościół teraźniejszy i obszerny klasztor murowany. A że w tym czasie August III Sas

¹⁾ Ob. *G. Manteuffel*. „Z dziejów Kościoła w Inflantach i Kurlandji“ rozprawka w „Kwartalniku historycznym“ XVI, 419 i dalsze.

²⁾ Ob. *D-r August Sokółowski* „Dzieje Polski ilustrowane“ (Warszawa 1901 r. tom II, str. 284).

już był oddał Janowi Borchowi (późniejszemu kanclerzowi Rzpltej) rozległy klucz landskoroński, złożony z parafji landskorońskiej i posińskiej—więc i Jan Borch nie mało przyczynić się musiał do odbudowania klasztoru i kościoła, w których pamięć jego uwiecznioną została herbami, wykonanymi w ówczesnym stylu barokowym na licznych sztukaterjach sklepień i pułapów.

Dominikański ten klasztor należał do prowincji litewskiej i przetrwał w rękę zakonników aż do roku 1832. Oprócz tego spełniali Dominikanie teje prowincji litewskiej przez czas niejakiś parafjalne obowiązki w parafjach niegdyś jezuickich: w *Wyżkach, Ruszonie, Dyneburgu, Warklanach* i *Prelach*. W wspomnianej zaś już wyżej Agłonie, posiadał zakon Dominikanów aż do ostatniej ćwierci wieku XIX wspaniały klasztor i kościół, będące obecnie w rękę duchowieństwa świeckiego. Odznacza się kościół agłoński równie piękną architekturą i niemniej pięknym ołtarzem loretańskim jak kościół posiński.

Skutkiem ożywienia wiary w XVIII stuleciu w Inflantach polskich przez biskupa Popławskiego i jego następców, stanęło wkrótce w tej części kraju aż dziewięć klasztorów reguł rozmaitych, te zaś, wraz z kilkunastu nowo utworzonymi kościołami parafjalnymi, przyczyniły się nie mało do zachowania w tej części kraju wierności zarówno wyznaniu katolickiemu jako i Rzpltej polskiej.

To też nie później jak w lat cztery po zgonie gorliwego biskupa inflanckiego Popławskiego, pisał z dumą następca jego, biskup Krzysztof Szembek, do Papieża Klemensa XI te oto słowa: „Inflanty polskie z łaski Boga już całe są katolickie, za wyłączeniem bardzo wielu luteranów i schyzmatyków“¹⁾.

Że tę gorliwość w ożywieniu wiary w pozostałej przy Polsce części Inflant, zdołała przełać Rzplta oraz miejscowi biskupi także i na zamieszkałą w niej od wieków szlachtę inflancko-rycerską, wymownie dowodzą fundacje licznych parafjalnych kościołów, erygowanych w Inflantach Polskich w ciągu XVIII stulecia przez Bergów, Borchów, Felkerzambów, Hylzenów, Korfów, Ludyngzhauzów-Wolffów, Manteufflów, Mohlów, Platerów, Ryków i Zyberków, za których przykładem poszła niebawem osiadła tu już w ciągu XVII stulecia szlachta rdzennej polskiej jako to: Benisławscy, Karnicecy, Kubliccy, Sieliccy, Sokołowscy, Sołtanowie, Szadursey i t. d., a na pograniczu Inflant polskich Szczyttowie (kościół i klasztor w Wołyńcach), Zabiellowie (kościół parafjalny w Linkowie, a filjalny w Łaukiesie) i inni. Wszystkie te rody oświecając stale lud miejscowy i erygując w tym kraju nowe parafje, a przy nich szkółki parafjalne, przywiązanie ku Polsce i Stolicy Apostolskiej bezustannie w Inflantach polskich utwierdzali.

III.

Zaznaczyliśmy już we wstępie do rozdziału II, że największą pod tym względem zasługę przypisują słusznie badacze dziejów miejscowych rodowi Hylzenów, piszących się niegdyś „Hülsen ab Eckeln“, których przodek Dyderyk Hülsen w r. 1559 na prawie lennem otrzymał od inflanckiego landmistrza Fürstenberga dobra Łowidę (Loviden) w trakcie dyneburskim. Potomek jego, Jan-Franciszek Hülsen, był czas jakiś kanclerzem kurlandzkim za księcia Fryderyka-Kazimierza; był więc na pół obcym dla Polski. Jeden z jego synów, Fryderyk Hülsen, został starostą kandawskim i po większej części w ziemi piltyńskiej przebywał. Drugi zaś syn, wspomniany w poprzednim rozdziale Jerzy-Konstanty Hülsen, poszedł za przykładem

¹⁾ Obacz: „*Relatio de statu Ecclesiae Livonensis ab Episcopo Christophoro Szembek Anno Dni 1714 ad Summum Pontificem Clementem XI facta*“, gdzie na stronie 22-giej czytamy: „Livonia mere polonica universa jam ex Dei gratia catholica, exceptis paucissimis Lutheranis et Schismaticis“. (Manuskrypt przechowany starannie w archiwum probóstwa katolickiego w Mitawie).

szlachty polsko-inflanckiej i kurlandzkiej jak Borchów, Denhofów, Felkerzambów, Grothusów, Korffów, Manteufflów, Platerów, Tyzenhauzów etc. i służąc u dworu polskiego został podkomorzym nadwornym Augusta II, a następnie starostą marjenhauskim, jak to wygłasza epitafjum na opisanym już wyżej wspomniałym jego grobowcu w kościele oliwskim pod Gdańskiem. Wszakże i w Polsce spotykał już ślady przodków swoich, co orężem służyli królom polskim, zaczawszy od czasów Zygmunta-Augusta i krew przelewali w walkach Rzpltej polskiej.

Synowie Jerzego-Konstantego, *Jerzy-Mikołaj Hylzen*, od r. 1746 biskup smoleński ¹⁾ oraz znany dotąd przez samą tradycję w Inflantach *Jan-August Hylzen* od r. 1744 kasztelan inflancki, a od r. 1754 wojewoda miński,—byli już zupełnymi Polakami. Chociaż w żyłach ich nie było nic jeszcze z krwi słowiańskiej, ale duch polsko-szlachecki widocznie już w nich zasiał nowe pierwiastki życia: „Nie było odtąd Hülsenów Niemców na ziemi polskiej”—są słowa Juljana Bartoszewicza—„ale byli Hylzenowie magnaci polsko-inflancecy, których liczne i coraz zwiększające się dobra rozszerzały się nietylko w Inflantach polskich ale i na Litwie ²⁾, na Białej Rusi ³⁾, w Koronie ⁴⁾, w Kurlandji ⁵⁾, a nawet na Pomorzu ⁶⁾“.

O owem gromadzeniu królewsczyzn zauważył nader trafnie znakomity nasz historyk Stanisław Smolka w cennem dziele swoim „*Polityka Lubeckiego*“, że w wiekach XVII i XVIII tak zwany „*panis bene merentium*“ nie zawsze u nas bywał nagrodą rzeczywistej zasługi, a częściej środkiem zjednywania przyjaciół lub przejednania wrogów szafarza łask, to jest króla. Nieunikniona była gonitwa za starostwami, za krzesłami torującymi drogę do lepszych starostw, i od nich co prawda, nie mógł trzymać się zdala żaden dom magnacki, jeżeli nie miał stracić raz nabytej pozycji. A w tych zabiegach pewniejsza droga wiodła do celu w umiarkowanej rozterce niżli w stałym sojuszu z królem, któremu więcej zależało zazwyczaj na przejednaniu niechętnych możnowładców, niż na wynagrodzeniu wiernie sobie oddanych ⁷⁾.

Syn magnata, starosty Jerzego-Konstantego Hülsena, *Jerzy-Mikołaj Hylzen*, późniejszy biskup smoleński, od lat młodych brał się do pióra. Pierwiastki zawodu kapłańskiego rozpoczął w ojczyźnie swojej—Inflantach polskich. Był proboszczem katedralnym w Dyneburgu. Oświejszczyznę objął jeszcze przed swą konsekracją na biskupa; ta zaś odbyła się 13 lutego 1746 roku u Św. Krzyża w Warszawie. Był to biskup czujny, pojmujący swój urząd pasterski jako poświęcenie i pracę. Znaczny folwark *Płoskie* oddał misjonarzom krasławskim na pomieszczenie nowo utworzonego seminarjum inflanckiego.

Lecz co więcej: gdy w roku 1755 panowała wielka zaraza w smoleńskim, biskup z inflanckiej swej rezydencji *Dagdy* pośpieszył tam, aby pocieszać chorych i razem z owczarnią cierpieć. Znużony i złamany pracą zrezygnował następnie z biskupstwa, a lata ostatnie samej modlitwie poświęcał. Pogrzebiony w Warszawie, serce zaś jego złożono w kościele oświejskim. Bliższe o nim szczegóły podaje książka nasza „*Inflanty Polskie*“, Poznań 1879 r. na stronach 71—74.

¹⁾ Mamy przed sobą wstrętny wiejącym z niego pochlebstwem ale wcale ciekawy panegiryk, zajmujący 30 kart in-folio, a wydany przez pijarów w Warszawie p. t. „III-mo, Exc.-mo, Rev-mo, D-no. Georgio Nicolao in Eklow Hylzen E-po Smollescensi penes solemnem consecrationis actum facta gratulatio A-no D-no 1746 die 13 Febr. incidente in Dominicam Sexagesimam“. Pochlebia w nim autor w sposób niemożliwy, nietylko Hylzenom, ale rodowi chociażby najdalej w jakikolwiek sposób z nimi skoligaconym.

²⁾ Dobra *Belmonckie* na Litwie.

³⁾ Dobra *Oświejskie* na Białej Rusi.

⁴⁾ Dobra *Kozuńskie* pod Warszawą.

⁵⁾ Dobra *Stabiten* w Kurlandji, słynne z cudownej „skały płaczącej“ nad Dźwiną.

⁶⁾ Dobra *Parchowskie* w okolicy Gdańska.

⁷⁾ Porównaj *Stan. Smolka* „*Polityka Lubeckiego*“. Kraków, 1907 r., tom I, str. 8 i 9.

Młodszym od biskupa był brat jego *Jan-August*, kronikarz ziemi ojczystej, nie mniej czynny. Poczytuje mu za zasługę historyk J. Bartoszewicz, że „coraz więcej królewsczyzn gromadził w swoim ręku“. My zaś nie gromadzenie królewsczyzn policzamy do zasług Hylzenom, bo takich spekulantów miała Polska za wiele, ale to, że ze wzrosłej tak znacznie fortuny, prawdziwie chwalebny robili użytek. Oświecanie ludu i *Testamentum occlusum*, o którym dalej będzie mowa, dają świadectwo ich działalności, świadectwo miłości prawdziwej dla wszystkich stanów kraju rodzinnego, a zarazem prawo do wdzięcznej pamięci w narodzie ¹⁾. Oczywiście że wpływ takiego ziemianina jak Jan-August Hylzen musiał wzrastać w księstwie inflanckiem, tem bardziej że przywiązanie swe do ziemi ojczystej bezustannie dowodził czynami. Nie tylko przez prace naukowe, o jakich przy sposobności pomówimy, ale i w dziejach Inflant pragnął się odznaczyć; chciał coś zrobić dla ludu wiejskiego.

Po wioskach polsko-inflanckich w owym czasie mieszkał lud jeszcze nie oświecony i wskutek częstych wojen szwedzko-polskich niemal zdziecały; chociaż wyznawał wiarę chrześcijańską, daleki był jednak od chrześcijańskiego życia. Lud ten miał własny swój język łotewski i dziwne pogańskie uprzedzenia. W religii jego panował gruby zabobon i gusła, ostatki bałwochwalczych czasów; czcił lipy i dęby, węże i żmije ²⁾. Lud ten, innego pochodzenia od szlachty, dawniej jeszcze od niej zamieszkiwał te strony i pochodził od pierwotnych mieszkańców nowej ojczyzny Hylzena ³⁾. Dla niego to chciał pamiątkę zostawić przeznaczy kasztelan inflancki.

W naszych czasach—zauważył trafnie jeden z publicystów, którego nazwiska niestety nie zapamiętałem,—umiemy zrozumieć, odczuć i ocenić kierunki cywilizacyjne, dzieła kultury i sztuki, styl i ducha rozmaitych epok i wieków, o ile one nam się okazują w znacznej od dali i wydobywamy je w kształcie wykopalisk. Ale o ileż mniej przedmiotowi, mniej sprawiedliwi bywamy wobec bliższych nam pokoleń, wobec ludzi i rzeczy, jakie jeszcze nie pokrywa patyna kilku stuleci; przedstawiają się nam one jeszcze jak szata, co niedawno wyszła z mody, o barwach świeżo spłowiałych? Lubimy rzeczy starożytne, nie lubimy staroświeckich. Naturalne to następstwo bezpośredniej reakcji usposobień i smaku. Niemniej jednak przegląd postaci polsko-inflanckich, co mu artykuł niniejszy przeważnie poświęcamy, najlepiej nas zaznajomi z obyczajami, wyobrażeniami i zasadami jedynej części dawnych Inflant, jaka po traktacie oliwskim przy Rpltej polskiej pozostała, a najwierniej jej losy dzieliła. Hylzenowie, z których olbrzymią fortuną znikły z widowni nawet ich liczne portrety, których już nigdzie doszukać się nie możemy, by ich kopjami niniejsze wspomnienie nieco ożywić,—obecnie dają się odtworzyć już tylko opisem ich działalności. Jan-August, kasztelan inflancki, późniejszy wojewoda miński, zapragnął wydać wojnę przesądom i sprowadzić cywilizację chrześcijańską pomiędzy wioski łotewskie naszego kraju. Wspólnie z bratem biskupem myślał stale o rozszerzeniu oświaty. Zarówno pierwsza jego żona, z domu Sołtanówna (dziedziczka Kownaty w powiecie rzeżyckim) jak druga z domu Platerówna, pomagały mu do szlachetnego dzieła.

Kasztelan zakładał misje w rozległych dobrach swoich polsko-inflanckich, znalazłszy współpracownika, prawdziwego kapłana ludu i apostoła. Był nim ksiądz Michał Roth. Mąż ten iście świętobliwy, ożywiony duchem pierwszego apostoła Inflant (Mejnarda biskupa de-

¹⁾ Obacz nasze artykuły *Hylzen* i *hylzenowski testament* w „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej“ (Warszawa, 1900 r.) tom XXX, strony 616 do 620

²⁾ Ob. *G. Manteuffel*, artykuł „Łotwa i jej pieśni gminne“ ogłoszony na stronach 166—261 książki zbiorowej pod tytułem: „... Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych“, poświęconej pamięci Adama Mickiewicza, 1798—1898 r. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1899 r.).

³⁾ Ob. *G. Manteuffel*. „Pierwotni krajowcy dawnych krain inflanckich, pomiędzy którymi, wbrew wywodom uczonych nadnewskich i t. d.“ rozprawka ogłoszona w VI tomie „Przeglądu Historycznego“ na str. 181—191. (Warszawa, 1907).

lkeskola), osiadł na wsi pomiędzy ciemną, na wpół zdziczałą Łotwą, zbliżył się do niej pojęciami i duszą. Jedną z najbardziej czynnych misji w tej części kraju była od roku 1739 *Dagda* i zależne od niej stacje misyjne w Sołtanowskiej *Kownacie* od r. 1742 i w *Bukmujży* od r. 1751.

Jak dalece ksiądz Roth poznał i uszlachetnił miejscowe narzecze łotewskie, które uczona lingwistyka tegoczesna ochrzciła mianem „*die hochlettische Mundart*“ ¹⁾, dowodzi wydane w XVIII stuleciu pierwsze obszerniejsze religijne dwutomowe dzieło w języku łotewskim, noszące tytuł: *Wyssamociņa katoliskā* (t. j. „całkowity wykład nauki katolickiej“), będące przeważnie płodem jego niezmordowanej pracy, a uważane dotąd za niedościgniony pierwowzór mowy w miejscowym narzeczu łotewskim.

Jemu też przypisują nowsi badacze jedną z najpiękniejszych pieśni ludowych polsko-inflanckich, którą niech nam będzie wolno podać tu wraz z jej polskim przekładem możliwie wiernym, pióra naszej Inflantki, pani Emmy Benisławskiej, z Bonifacowa w Birżach inflanckich:

1.

Putneņ! laikā solkas zimas
Kur ir tovs pereklis?
„Zam Dabasym, zam Dabasym!
Ir gon wel kods kaktensz
Koda sylta witenia
Iksz grumbom
Iksz szkerbom!
Tur tajsu perekleni
Wyssuloboku witeni
Zam Dabasym“.

2.

Putneņ! kad jau plyks ir tejrumš
Kur tod ir tovs baruklis?
„Iksz Diwa rūkas, iksz Diwa rūkas!
Ir gon wel kods gryudensz
Koda moza udzenia
Pi celeniom
Pi stydzeniom
Tur atrūnu taj woi szaj
Bet atrūnu sew barūkli
Iksz Diwa rūkas“.

1.

Ptaszku! gdy się zima sroży
Gdzie budujesz gniazdko twoje?
„Znajdę sobie kącik Boży
Gdzie skrzydełka spoczną moje;
Jest nie jedno załamanie
Jest szczelinka lub fałdeczka
W murze, w drzewie, w starej ścianie!
Tam jest miejsce dla gniazdeczka;
A ten kącik Nieba dały
By się rozgrzał ptaszek mały“.

2.

Ptaszku! gdy już nagie pola,
Gdzie też pokarm znajdziesz sobie?
„Boża łaska, Boża wola
Zeszłą pomoc w ciężkiej dobie,
Pośród śniegów i zamieci
Dróżka się nie jedna wiję;
Tam jagódka nieraz świeci,
Ziarno się nie jedno kryje,
Z Bożej ręki okruszyny
Pożywieniem są ptaszyny“.

¹⁾ Obacz liczne prace lingwistyczne D-ra Augusta Bielensteina, wieloletniego prezesa Towarzystwa Naukowego „Die lettisch-literarische Gesellschaft“, tudzież cenne rozprawy słynnego królewieckiego profesora uniwersyteckiego D-ra A. Bezenbergera, ogłoszone w r. 1885 w „Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft“ tom XVII str. 1—180 pod tytułem: „Lettische Djalektstudien“, wreszcie liczne rozprawy petersburskiego docenta uniwersytetu, magistra nauk filologicznych Edwarda Woltera, ogłaszanych w „Archiv für slavische Philologie“, a nakoniec i naszą pracę czysto bibliograficzną pod tytułem: „Bibliografische Notiz über Schriften, die von 1604 bis 1871 in der hochlettischen oder sogenannten polnisch-livländischen Mundart veröffentlicht worden sind“, w licznych pismach naukowych tyloкратно omawianą, a ogłoszoną nietylko w tomie XVII pisma „Magazin d. lett. lit. Gesellschaft“, ale i w osobnej odbitce u N. Kymmła w Rydze.

3.

Putneń! kad jau sausy zory
Kur tod towa dziszenia?
„Iksz sirds dziluma, iksz sirds dziluma!
Gul tur daudz wel dziszeniu,
Daudz neisplaukuszu zideniu
Sirdes kłusa dybynâ!
Atnok drejż pawassarenia
Atsadzejwynoj dziszenia
Diwu tejc nu sirds dziluma
Diwam dzid nu sirds dybyna“.

3.

Ptaszku! gdzie piosenka twoja
Gdy ostatni liść opadnie?
„Obumarła piosenka moja
Leży cicha, w sercu na dnie,
Wiele pączków przy niej drzemie;
Aż gdy wiosna znowu błysnie,
Nowe życie pączki przejmie,
Nowa piosenka z niej wytryśnie
I ku Panu wzleci swemu
Cześć i dzięki nucąc Jemu“.

Wzniosła prostota, jaką tchnie piosenka powyższa, najlepiej maluje piękną duszę autora. Słodki, łagodny ten misjonarz Łotwy, zwiedzał chałupy, cieszył chorych i leczył; grzesznikom przynosił słowo zbawienia, a pamiętał także o potrzebach doczesnych ludu, który raz na zawsze pozyskał dla Kościoła. Kasztelan Hylzen zakładał szpitale, sprowadzał Siostry Miłosierdzia, wznosił szkoły po wsiach, lokował sumy po różnych dobrach, a odsetki z nich obracał na wsparcie podupadłych poddanych. Nie jeden grosz przez ręce księdza Michała Rotha, spłynął jako dar dobroczynny J. A. Hylzena pomiędzy wioski nasze inflanckie. I dzie-dzie i kapłan-misjonarz nie ustawali w zacnej pracy. Księdza Rotha zwano powszechnie apo-stołem łotewskim jeszcze za jego życia, a po śmierci zwłoki jego jako, istotnie niepodległe zepsuciu, stały się przedmiotem głębokiej czci wdzięcznych miejscowych Łotyszów, którzy go po dzień dzisiejszy uważają za świętego. Ta gorliwa działalność obywatelska i religijna, będzie zawsze świeciła w rocznikach naszej przeszłości.

Ksiądz Michał Roth, jak powszechnie wiadomo, był jezuitą. Obok Dagdy, Bukmujży i Kownaty rozwijali księża jezuitci swoją owocną działalność w dawnym „księstwie inflanckiem“ nie tylko z kolegium dyneburskiego i użwałdzkiego, ale i z misji rzeżyckiej (missio Rosittensis) ¹⁾, z osobnymi stacjami misyjnymi w *Neuteranach* czyli *Rogówce* i w *Birżach inflanckich*, gdzie następnie założono kościoły parafjalne; z tych każdy liczy obecnie wiele tysięcy pa-rafjan, a były one aż do drugiej połowy wieku XVIII tylko filjalnymi kościołkami kościoła parafjalnego w Rzeżycy i tamecznego domu misyjnego księży jezuitów.

Z Fejman, gdzie już w r. 1708 wydalili jezuitci ostatnich protestantów, z kościoła niegdyś katolickiego, tworząc tam dawną parafję katolicką, wpłynęli na założenie drewnianego filjalnego kościoła w sąsiedniej *Prezmie*, gdzie od roku 1859 wznosi się wspaniały murowany kościół parafjalny o wysokich wieżach, wykonany na miejscu dawnego drewnianego kosztem odwiecznych dziedziców—Sołtanów. Mieli także jezuitci *misję w Puszy* od r. 1743—1811, do-kąd w roku 1811 przeniesiono nowicjat, a czasowo nawet samo kolegium dyneburskie, zanim w r. 1813 ukończono przeznaczony na nie gmach w *Użwałdzie*, w której to *misji* kolegium pozostało aż do wygnania zakonu z cesarstwa rosyjskiego w r. 1820. We wszystkich powyżej wspomnianych miejscowościach wznoszą się obecnie parafjalne kościoły, zawdzięczające swe istnienie gorliwości zakonu jezuitckiego.

Znacznie później od jezuitów i dominikanów osiedli w księstwie inflanckiem zakonnicy Bernardyni, bo za ledwie w roku 1753. Sprowadził ich surrogator księstwa inflanckiego Mi-chał Ryk do dóbr Ryków drykańskich i erygował dla nich kościół z rozlegle zbudowanym klasztorem w miasteczku Wielonach. W akcie erekcyjnym z r. 1753 opatrzył zakonników

¹⁾ Obacz: „Catalogus domorum Soc. Jesu in Polonia 1564—1899 roku“. (Kraków, 1899 r.) strona 58.

znacznymi annuatami i folwarkiem *Jurynie*, włożywszy na nich obowiązek obsługiwania licznych kościołów i kaplic, wznoszonych w tymże czasie w dobrach *Bałtynie*, *Gajgałów*, *Strużany*, *Drycany* i *Pilcyny*, tworzących odwieczne dziedzictwo wygasłego dziś już całkowicie domu Ryków drykańskich ¹⁾. Kościół wieloński o dziewięciu ołtarzach od roku 1832 przeszedł wraz z przylegającym doń klasztorem, do duchowieństwa świeckiego. W obszernych podziemiach kościelnych znajdują się tu *groby Ryków drykańskich* i rodów z nimi spokrewnionych.

W lat kilka po przybyciu zakonników Bernardynów do Inflant, sprowadzono do Kraszawia księży Łazarzystów, nazywanych zwykle „Misjonarzami“. O nich pomówimy niżej, gdy będzie mowa o Kraszawiu, a obecnie przechodzimy do treściwego opisu działalności obywatelskiej kronikarza Inflant, cośmy go dotąd tylko z filantropijnych fundacji poznali.

IV.

Gorący patriota Jan-August Hylzen uchodził w kraju za uczonego nie lada.

Niezły łacinnik, wielbiciel Cyserona, słyszał mową zwłaszcza w swojej prowincji. Wyznać atoli należy, że pomimo pochwał oddawanych patryjotyzmowi tego zacnego dygnitarza krajowego, patryjotyzm ten był przedewszystkiem nieco ciasnym *patryjotyzmem prowincjonalnym*. Żałował Hylzen tych Inflant co się dostały pod panowanie szwedzkie, wolałby całą inflancką rodzinę widzieć razem pod opieką wolności polskich.

Przyjacielem króla Stanisława Leszczyńskiego nie był, bo wśród położenia spraw politycznych, widział w nim tylko wojnę domową w ojczyźnie. Na sejmiku przedelekcyjnym wnosił, żeby posłowie inflanccy zobowiązali się przysięgą, jako na Leszczyńskiego nie zezwolać.—Chodziło mu oczywiście przedewszystkiem o księstwo inflanckie czyli Inflanty polskie, bo te padłyby pierwsze ofiarą oporu przeciw królowi Sasowi. Mówiąc tak śmiało na sejmiku, stawał nader oględny skądinąd Hylzen przeciw uczuciu własnej rodziny. Ojciec jego drugiej żony, wojewoda Plater, należał do zaciętych stronników Stanisława Leszczyńskiego, teściowa była daleką krewną wygnanego króla. I w ogóle przeważało wśród szlachty polsko-inflanckiej dobre dla króla Leszczyńskiego usposobienie.

Hylzen ostro potępiał projekty zapaleńców, co szlachtę całą chcieli prowadzić do boju, wolał owszem wyprawiać posłów do obozu Marcjana Ogińskiego, wojewody witebskiego, regimentarza w Litwie strony saskiej.

Obrany posłem z Inflant na sejm pacyfikacyjny w roku 1735, pracował tutaj nieco Hylzen dla pogodzenia Augusta III z narodem, ale szło to mu z wielką trudnością—przyznaje sam Bartoszewicz;—„w kraju wzburzonym i znarowionym mało kto słuchał głosu zdrowego rozsądku—twierdzi dalej Bartoszewicz w pracy swojej, trzymanej w tonie panegirycznym ²⁾. Odwodząc szlachtę od tego, nie wahał się mówić J. A. Hylzen: „Sam nawet król Stanisław, gdyby się utrzymał na tronie, za złe by nie miał województwu tego kroku ostrożności, boby w tym kroku właśnie widział tylko siłę wypadków“ ³⁾.

Wbrew wywodom Bartoszewicza, widzimy i w przytoczonych przez niego słowach powyższych Hylzena tylko objaw nieco ciasnego patryjotyzmu zaściankowego. To też ta strona działalności obywatelskiej Jana-Augusta Hylzena, zapewne nie bez miejscowego znaczenia i skutków, nie przedstawia dla nas szczególniejszego interesu z powodu swoich znamion czysto lokalnych w znaczeniu francuskim „*intérêt de clocher*“, w jakim Bartoszewicz zdaje się

¹⁾ Obacz w „Słowniku geograficznym ziem polskich“ artykuły: Rykowo dawniej Bałtynie (tom X, str. 91), Gajgałów (tom II, str. 422) i Drycany (tom II, str. 177 i 178) przy których opisana jest równocześnie przeszłość Strużan i Pilcyn. Przeszłość Wielon tamże tom XIII, str. 368.

²⁾ Ob. *Juljan Bartoszewicz* „Znakomici mężowie XVIII wieku“.

³⁾ Ob. *Juljan Bartoszewicz* tamże, tom II str. 211.

upatrywać patryjotyzm prawdziwy, i dla tego dalej prawi z przejęciem się: „Koniecznością historyczną powodował się Hylzen; był za użyciem surowych środków, ale sejm nie przyszedł do skutku. Nie dziwił się zgoła kiedy stało się to, co przepowiadał, że sejm skończył się na niczem“.

Był także Hylzen posłem na drugi sejm pacyfikacyjny ¹⁾. Sejm ten odbywał się w roku 1736. Trzeci raz posłował na sejm w roku 1738. Tu radził wydać do szlachty wici na pospolite ruszenie, bo wojska rosyjskie nie wychodziły z granic Rzpltej. Więc potrzebne były podług Hylzena wysiłki nie do wypowiedzenia wojny, ale do postawienia się w gotowości i „uczynienia konfederacji o sobie“. Zdanie to—według Podoskiego—inny posłom bardzo się podobało. Na tym sejmie został J. A. Hylzen regentem kancelarii Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dał mu ten zaszczytny urząd w r. 1738 kanclerz Jan-Fryderyk Sapieha, sam jako uczony, mecenas i przyjaciel uczonych—powiada Bartoszewicz. Nie długo został Hylzen starostą brasławskim, a wjazd odbywał do grodu 4 lipca 1739 roku.

Odtąd swoje popisy krasomówcze z Dyneburga przenosi do Brasławia, do powiatu co graniczył z Inflantami polskimi. Był marszałkiem sejmiku przedsejmowego w Brasławiu w roku 1740.

Kanclerz Sapieha coraz więcej przechylając się do zapatrywań Hylzena, pragnął go pomieścić w senacie. Wszelako cała ambicja późniejszego kasztelana była zawsze dla Inflant; przyjąłby krzesło, ale w swoim inflanckim województwie.

Nie mniej życzliwości okazywał mu inny Sapieha, koadjutor wileński. Koadjutorowi był potrzebny Hylzen dla politycznych widoków, kanclerz znowu myślał więcej o literaturze, a z natury ciężki, nie tak pamiętał o przyjaciółach jakby wypadało. Tak i tutaj, za starostą marjenhauskim Hylzenem ujmuje się dalszy przyjaciel—koadjutor. Stan prowincji inflanckiej tego wymagał. Starosta marjenhauski prowadził spór tak zacięty z Borchem, sędziem inflanckim, że aż po całym księstwie echo się rozlegało. Koadjutor Sapieha z wielką usilnością zdołał ich pogodzić. Spokojność w księstwie inflanckim potrzebną była dla wszystkich zacnych obywateli kraju, gdyż, zdaniem ówczesnych badaczy, z tego księstwa zawsze najlepszych wybierano posłów na sejm do Warszawy.

Kasztelanem inflanckim został Hylzen 19 sierpnia 1744 roku za pomocą wiernego przyjaciela, koadjutora Sapiehy, który mu wtenczas nowe pole do zasług otworzył. Marszałkowstwo trybunalskie przyszło mu w roku 1749—50. Gdy został wojewodą mińskim, żył mniej życiem publicznem jak prywatnem. Król August III Sas mianował go wojewodą mińskim w roku 1754, gdy, odrywając się od pożytecznych w Inflantach zatrudnień, przybył kasztelan na sejm do Warszawy, gdzie odtąd jako senator najczęściej w swym pałacu u zbiegu ulic Przejazd i Nowolipie przebywał i tu w dniu 14 listopada roku 1767 swego pracowitego żywota dokonał.

V.

Z dwóch synów Jana-Augusta Hylzena odznaczał się najbardziej w usługach obywatelskich starszy, Józef (urodził się 1736 † 1786 roku). Uczeń Karola Wyrwicza, podróżował z nim po Europie zachodniej. Za powrotem do kraju został paziem królewskim, a w kilkadziesiąt dni potem szambelanem. Na starostwo odbył wjazd uroczysty 1758 roku. W r. 1760 został kasztelanem inflanckim po Justynjanie Szczycie i ożenił się z *Teresą Potocką*, córką sławnego w swoim czasie partyzanta Michała, pisarza polnego koronnego, potem wojewody wołyńskiego.

¹⁾ Obacz *Teka Podoskiego*, IV, 474.

Starostwa parchowskiego na Pomorzu ustąpił mu ojciec już w roku 1762. Za bezkrólewia (po śmierci Augusta III) trzymał się na stronie Józef Hylzen, jak ojciec. Natura w nich ostrożna, „niemiecka“ powiada Bartoszewicz. Zjechał jednak 24 letni kasztelan na sejm konwokacyjny i trzymał się na nim „Familji“.

Oczywiście bał się wystąpić z jakim stanowczym wnioskiem lub zdaniem. Kiedy spór się toczył o pozbawienie hetmana Branickiego władzy, Józef Hylzen odezwał się z Jabłonowskim kasztelanem wiślickim „że wypadaloby wprzód do hetmana słać delegacją i prosić go żeby przystał do Rzpltej“; potem jednak obejrzał się, że to może będzie zbyt po republikańsku i — jak znaczna większość na sejmie — radził po prostu odebrać hetmanowi dowództwo nad wojskiem. Elekcją podpisał razem z województwem inflanckiem ¹⁾.

Osiadł w dobrach *Belmont* pod Braśławiem, będących obecnie w ręku Feliksa Platera, ale ojcu sam zamknął oczy w Warszawie w roku 1767. W kilka godzin po zgonie kronikarza Inflant przybył do pałacu Hylzenów na Nowolipiu pocieszać wdowę w imieniu króla *Jan Borch*, wówczas wojewoda inflancki (następnie kanclerz Rzpltej) i przywiozł kasztelanowi Józefowi przywilej na województwo mińskie po ojcu. Drugie więc krzesło brał syn po ojcu. W r. 1767 został deputatem braślawskim na trybunał litewski, a niebawem z deputata obrany został w Wilnie marszałkiem trybunału ²⁾.

Konfederacja generalna już wtenczas na dobre burmistrzowała na Litwie. Dzielnny Inflantczyk przeto całe swoje usiłowanie ku temu obrócił, żeby zachować niepodległość trybunałowi. Było to właśnie nieuznawać konfederacji, bo prawa Rzpltej stanowiły jasno, że w czasie zamieszek wewnętrznych, kiedy cały rząd narodowy przechodzi w ręce marszałka konfederacji, uznanej za generalną, ustawać mają wszystkie trybunały i obywatele winni okazywać posłuszeństwo nie komu innemu, tylko władzy tymczasowej i dyktatorskiej.

W oporze Hylzena przeciw konfederacji, było więcej jak nieuznanie jej, był tam okropny wyrok na nią, że zawiązała się nieprawnie, właśnie z potarganiem wszelkich praw narodowych. „Wyrok ten — zauważył trafnie Bartoszewicz — wydawał nie Hylzen wojewoda, ale Hylzen marszałek trybunału, najwyższej sądowniczej władzy, mającej prerogatywy majestatu i tytuł najjaśniejszej, od której szła apelacja do samego Boga, bo tutaj nikt już na ziemi nie decydował drugi raz tej samej sprawy, co ją już raz zasądził trybunał, chyba drugi trybunał i to na mocy nowszych dowodów“ ³⁾.

Józef Hylzen miał mądrość stanu swojego ojca, postępował łagodnie, z umiarkowaniem, ale był tam nieugięty, gdzie miał za sobą sprawiedliwość. Nie sam przekonywał, tylko prawo przez niego przekonywało. Pojąć więc łatwo, ile mąż taki był niebezpieczny ludziom, co wywoływali w kraju zamieszanie dla osobistych swoich widoków, albo dla tego, że zmuszeni do tego byli okolicznościami.

Trybunał litewski powinien był ustać wobec konfederacji generalnej w Radomiu; wszakże Józef Hylzen prowadził dalej sądy. Wzywano go gwałtem, ażeby zrobił akces do konfederacji. Nie posłuchał. Owszem wyprawił do króla gońca z prośbą. Poseł, książę Repnin, napominał Hylzena za to, że nie słucha rozkazów konfederacji i t. d. Wszakże Hylzen nie dał się zachwiać.

Nie wielu było ludzi w Rzpltej za Stanisława-Augusta, coby umieli taką pokazać stałość i moc charakteru. Ale wojewoda Józef, znający dokładnie prawo ojczystego kraju, w grę wprowadził wszystkie środki, jakich mu *Volumina legum* i zwyczaje narodowe dostarczały.

¹⁾ *Volumina Legum*, VII.

²⁾ Obacz *G. Manteuffel* „Księstwo inflanckie XVII i XVIII stulecia“. (Kraków, 1897 r.) str. 25.

³⁾ Obacz „*Znakomici mężowie XVIII wieku*“ tom II, str. 253.

Nie chwalił on tego czego nie mógł pochwalić sumiennie, będąc o rzeczy inaczej przekonany ¹⁾).

„Zdawało się—są słowa J. Bartoszewicza—że hart wielki duszy był w Hylzenie, a dowód tego nieuznania konfederacji radomskiej“. Uznał ją przecież na sejm zjeżdżając, na sejmie urzędy biorąc. Mianowany tam został konsyljarzem w asesorji litewskiej na 2 lata do przyszłego sejmu. Gdy zaś dla zaburzeń barskich sejmu nie było, Józef Hylzen zamiast lat dwóch, 6 i 7 w asesorji zasiadał. Był w niej drugim prezesem jako senator. W ciągu tego czasu został wojewodą mścisławskim od roku 1769, spędziwszy tylko 2 lata na województwie mińskim. Na sejmie pierwszopodziałowym otrzymał na własność dziedziczną starostwo kozuńskie pod Warszawą, którem władał już jego ojciec Jan-August Hylzen.

Spokojny z natury Józef Hylzen przebywał po większej części z księgami; znał dobrze literaturę starożytną i nowoczesną francuską, a pisał równie dobrze po łacinie i po francusku jak po polsku. Wszakże nie dużo zaznał szczęścia w pożyciu małżeńskim i ostatecznie doszło do rozwodu.

Jeszcze za jego życia poszła Józefowa Hylzenowa drugi raz za mąż za sławnego w swoim czasie na Litwie Szymona Kossakowskiego (późniejszego Targowiczanina), którego fortunę stworzyła. Gryzł się opuszczony małżonek jej pierwszy, bo czuł się ostatnim potomkiem Hylzenów. Miał tylko jednego syna, Jana-Jerzego, który umarł dzieckiem, bratanek zaś jego Idzi—syn starosty marjenhauskiego Justynjana Hylzena, dziedzica ojczystej Dagdy — był idjotą ²⁾).

Przeżywszy brata Justynjana podróżował wojewoda Józef po Europie, żeby się rozerwać. Najdłużej zatrzymał się w Paryżu, zapoznał się z czynnymi członkami Akademji francuskiej, pisywał i odczytywał publicznie uczone swoje rozprawy, a publiczność paryska je chwaliła. Z Paryża udał się do Włoch i umarł w Rzymie w r. 1786, pozostawiwszy warunkowy testament „*testamentum oclusum*“, a w nim zapisał całą swoją miljonową fortunę na dobre uczynki i podniesienie oświaty w kraju rodzimym.

Główne punkta ostatniego tego testamentu z dnia 30 września 1783 roku, wypisujemy tu dosłownie z leżącej przed nami kopji autentycznej:

„Uwolnić wieczyście poddanych wszystkich dóbr moich, nadać im wolność „wyjścia i udania się dokądby chcieli z całą ich własnością“.

„Łożyć regularnie *wiecznymi* *czasami* połowę dochodów wszystkich dóbr moich „na pomnożenie i zachęcenie nauk i kunsztów, na edukacją ubogiej szlachty, na „utrzymanie ludzi w potrzebie zostających, na erekcję szpitalów lub polepszenie „tych, co są już ustanowione, także na wspomóżenie biednych wieśniaków w ubóstwie lub nieszczęściu pozostających“ ³⁾).

Z powodu rozmaitych trudności zaczęto wykonywać zapisy Józefa Hylzena dopiero w pierwszej ćwierci zeszłego stulecia, zmieniwszy *całkowicie* pierwotne postanowienia szlacheckiego testatora. Wmieszał się w tę sprawę testamentową uniwersytet wileński, z czego jeszcze większe zawikłania wynikły. Wyjaśnienie tej nader zajmującej *sprawy testamentowej* czeka osobnego badacza, co by chciał jej wszystkie fazy dokładnie zbadać i opisać. Niemniej jednak testament ten daje świadectwo działania Józefa Hylzena, miłości jego prawdziwej dla wszystkich stanów kraju rodzimego, a zarazem prawo do wdzięcznej pamięci w narodzie.

¹⁾ Ob. G. Manteuffel. „Księstwo inflanckie XVII i XVIII stulecia“. (Kraków, 1897 r.) str. 26.

²⁾ Obacz „*Inflanty polskie*“ (Poznań, 1879 r.) str. 78 i dalsze, gdzie nawet o niewybitnych członkach tej rodziny mówimy obszernie. Porównaj także artykuły nasze o rozmaitych Hylzenach w „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej“ serji pierwszej tom XXX (Warszawa 1902 r.) strony 616 do 621.

³⁾ Obacz G. Manteuffel, artykuł „Hylzenowski testament“ ogłoszony w „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej“ (Warszawa, 1904 r.), tom XXX, str. 620.

VI.

Nie mniejszą (od Jana-Augusta i Józefa Hylzenów) zasługę w rozszerzaniu zachodniej kultury we wszystkich częściach dawnego księstwa inflanckiego w XVIII stuleciu, miał odwieczny dziedzic Indrycy, Jan-Ludwik Plater (przydomku Brole), starosta inflancki i dyneburski.—Założył on w nabytym przez siebie w drugiej ćwierci wieku XVIII Krasławiu (położonym w malowniczej okolicy wzdłuż brzegów skalistej Dźwiny i wpadającej do niej rzeki Krasławki) główną dziś rezydencją Platerów i ściągnął w tę prześliczną ustroń całe życie dawnego księstwa inflanckiego ¹⁾.

Właśnie z tym krasławskim domem połączył się węzłem małżeńskim kronikarz ziemi ojczyściej, Jan-August Hylzen. Platerowie, jak powszechnie wiadomo, stanowią jedną z odwiecznych inflanckich rodzin z dawnych czasów rycerskich. Jan-Ludwik Plater, ojciec młodej dziewczyny, co ją wybrał sobie za towarzyszkę życia młody wdowiec Jan-August Hylzen, wojewodował w Inflantach polskich. Kreśląc jego portret w jednej z późniejszych mów swoich panegirycznych, powiada Hylzen o teściu, że to był „nieporównany wódz i gospodarz, ojciec prowincji naszej“ to jest księstwa inflanckiego.

Platerowi nie brakło zgoła bystrości pojęcia, a jako ówczesny pan polski miał wiele wymowy sejmowej. W okolicy słynął jeszcze za poetę, gdyż zręcznie składał wiersze łacińskie a dom jego w Krasławiu odrazu został ogniskiem całej okolicy.

Lata swe młodsze spędził J. A. Hylzen po wielkiej części u wojewody Platera, jakby przewidując, że ściślejsze stosunki połączą go kiedyś z tym domem Platerów.

Owoż, będąc jeszcze młodym, stracił pierwszą żonę z domu Sołtanówną, która mu wniosła położoną w trakcie rzezyckim Kownatę, a po jej przedwczesnym zgonie z czterech córek wojewody Platera jedną wybrał i pokochał. Ale widać nie śpieszył się z tem powtór-nem małżeństwem, gdyż jej brat Konstanty w swadzie weselnej, dochowanej nam przez Danejkowicza, powiadał: „nie wprzód z osobą, jako z jej przymiotami zabrał znajomość“.

Nareszcie ślub uwieńczył tę bliską znajomość i Konstancja Platerówna została Hylzenową, starościną marjenhauzką. Zwyczajem ówczesnym, siostrę oddawał publicznie szwagrowi przy mocno napuszonej mowie Konstanty-Ludwik Plater, starosta grawerowski ²⁾, brat, o którym dopiero co wspominaliśmy. Ojca swego stracił Konstanty-Ludwik Plater już w r. 1737. Żał syna i współobywateleli był szczerym, bo wojewoda inflancki Plater przez lat kilkadziesiąt na różnych urzędach księstwa, myślał przede wszystkim o szczęściu współpawietników. „Gdy całą Rzeczpospolitą trapiły klęski wojenne,—powiada jego panegirysta Bartoszewicz—Inflanty polskie zasłonięte prawicą Platera (sic.) dzięki jego polityce i mądrości, statecznie długiego zażywały spokoju“ ³⁾.

Wojewoda osierocał po sobie starostwo dyneburskie, które trzymał do samej śmierci. August III zaraz potem oddał to starostwo Konstantemu-Ludwikowi Platerowi starości grawerowskiemu, bo ojciec wyrobił na to już oddawna dla syna przywilej i byłby za życia jeszcze ustąpił z grodu dyneburskiego, gdyby śmierć nie uprzedziła jego zamiarów.

¹⁾ Obacz *G. Manteuffel* „Krasław“ (Warszawa 1901 r.), stronica 7.

²⁾ Starostwa grawerowskie i szkilthowskie, będące najczęściej w rękach Platerów, leżały w trakcie dyneburskim pomiędzy dzisiejszą *Aulą* i *Uźwałdą*. Obecnie niema ich śladu.

³⁾ *J. Bartoszewicz* „Znakomici mężowie polscy XVIII wieku“, praca prawdziwie mrówcza, trzymana w tonie panegirycznym, ale w swoim rodzaju równie dla nas cenna jak ciekawa, gdyż stanowi przyczynek do bliższego zapoznania się z przeszłością *Inflant polskich*, o jakich częstokroć przychodzi się mówić rodakom jak o ziemi nowo odkrytej. Zaliczają je bowiem nie tylko publicyści nasi, ale częstokroć nawet historycy już to do Litwy, już do Białej Rusi, pomimo iż z tymi prowincjami nie mają wspólnego ich dzieje.

Zwyczajem staropolskim odbywał się z tego powodu wjazd wspaniały nowego urzędnika do Dynemborka (Dyneburga).

Przy wjeździe orator słynny Jan-August Hylzen, dobrze nam już znany z opisów dotychczasowych, przemawiał imieniem województwa inflanckiego do brata swej żony. Ubolewał nad stratą teścia i synowi kazał go naśladować. Mówił do niego: „docieraj sławy wielkiego ojca, postępuj za nim dalej z tego stopnia dostojności prawnej i gospodarskiej, nie tylko na jego senatorskie honory, ale i na te, którymi pogardził“. Zakończył zaś swadę życzeniem: „wniędz przykładem ojcowskim u postronnych w podziwienie, u swoich w poszanowanie, u wszystkich w cześć i miłość, a dokażesz tego, że pochwały sypane ojcu, będą i twoimi pochwałami“¹⁾.

Tenże Konstanty-Ludwik Plater, późniejszy wojewoda mścisławski, potem kasztelan trocki, nie mało się przyczynił do podniesienia miasteczka Krasławia; powziął był bowiem myśl wzniesienia na miejscu skromnej, lecz cudnie położonej mieściny, porządnego miasta.

Zaczął naprzód w połowie XVIII stulecia od wymurowania obszernego ratusza z szeregiem wspaniałych sklepów, wystawił mnóstwo domów murowanych i drewnianych na pomieszczenie licznych rzemieślników, sprowadzonych z Niemiec i z Warszawy.

Jakoż wyrabiano tu kobierce rzadkiej piękności, aksamity, adamaszki, perkale, sukna najrozmaitsze, karty polskie, złoto malarskie, broń sieczną i palną, powozy, wyroby złotnicze i jubilerskie. Wszystko to sprzedawano naprzód na czterech miejscowych jarmarkach, a później nawet wywożono krasławskie wyroby do innych województw Rzpltej. Krasław wszakże, co do handlu i fabryk, upadł całkowicie po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej polskiej²⁾.

Trwalej ustalił swą pamięć w rodzinnym Krasławiu tenże K. L. Plater, wznosząc tam w latach 1755—1767 prawdziwie wspaniały kościół w stylu włoskim. Wykonywał go włoski architekt *Paracco*, który niebawem osiadł w Inflantach polskich. Synowie i wnukowie jego, już najzupełniejsi Polacy, posiadają dobra ziemskie w Lucyńskim i piszą się Parako. Szczegół powyższy przytaczam jako dowód wymowny, z jaką łatwością żywiły obce przyjmowały kulturę polską w województwie inflanckim. Nie braknie i wielu innych przykładów na poparcie tego twierdzenia.

Obok kościoła, który miał kiedyś zostać katedralnym inflanckim, wznosił włoski architekt *Paracco* obszerny gmach dla seminarjum dyecezalnego, na jaki już od roku 1711 przygotował znaczne zasoby były dziedzic Krasławia i ówczesny biskup inflancki Teodor z Ludyngshauzu—Wolff.

Miał tu rezydować stale sufragan inflancki, dla którego fundusz był zapewniony zapisami szlachty rycerskiej. Fundacja ta, do której teraz przeważnie przyczynili się biskupi: Antoni Ostrowski, inflancki i Jerzy Mikołaj Hylzen, smoleński, zatwierdzoną została ustawą sejmu z roku 1768³⁾.

¹⁾ Stojąc zdala od wszelkiego panegiryzmu i pochlebstwa, słowa powyższe krasomówczego Hylzena podajemy w niniejszym przypisku tak jak brzmią w oryginale, co go miał przed sobą Julian Bartoszewicz, gdyż malują one wymownie epokę skażonej makaronizmami polszczyzny, w jakiej zostały z należytym szykiem wypowiedziane: „Wniędz przykładem ojcowskim u postronnych *in admirationem*, u swoich *in venerationem*, u wszystkich *in amorem et cultum, efficies laudes sic patris esse tuas!*“ (J. Bartoszewicz, „Znakomici mężowie i t. d.“ tom II, str. 217).

²⁾ Bliższe szczegóły podaję w rozprawie mojej pod tytułem „Krasław“ (Warszawa 1901 r., z czterema ilustracjami), wydanej na dochód Komitetu budowy kościoła rzezyckiego.

³⁾ Konstytucja na sejmie ekstraordynacyjnym warszawskim z roku 1768, kościół krasławski na katedrę biskupów inflanckich tymi słowy zatwierdziła: „Nowo erygowany na katedrę biskupom y Dyecezyi Inflanckiej w Krasławiu, wieczystych dobrach Wielmożnego Plattera, wojewody mścisławskiego, z funduszem dla O.O. Misyonarzów y Seminarjum dyecezalnem, na wieczne czasy aprobowujemy y potwierdzamy“. (Porównaj *Volumina legum*, wydanie Józafata Ohryzki, tom VIII, str. 379).

Synem założyciela katedralnego kościoła w Krasławiu, Konstantego-Ludwika, był Kazimierz-Konstanty Plater, zgoła innego usposobienia niżli ojciec i dziad jego, lecz mimo to obrany posłem z Inflant na sejm elekcyjny w roku 1764. Był nim także na sejmie z roku 1766. Członkiem rady nieustającej mianowany w roku 1766, zostawał lat 7 w departamencie sprawiedliwości. Później na sejmie grodzieńskim z r. 1784 powtórnie do tejże rady zawezwany, zostawał w niej znowu lat cztery. Postawiony przy królu, wpływał na bieg interesów zagranicznych i towarzyszył mu w podróży do Kaniowa 1787 roku, a w roku 1792 jeździł jako poseł Polski do Petersburga; wreszcie po drugim rozbiórze Polski, w r. 1793, został z ręki Siwersa ostatnim podkanclerzym litewskim i smutnej pamięci Targowiczaninem. Bliższe szczegóły o nim znajdzie czytelnik w rozprawce „Krasław“ (Warszawa 1901 r.). O licznych jego płodach literackich, rozpowiadamy na innem miejscu.

Zgoła nie podobną do niego w zasadach, jakimi się zwykła rządzić, była jego małżonka, Izabella z Borchów Platerowa, urodzona również w Inflantach polskich w wieku XVIII, mianowicie w roku 1735 w dobrach Warklańskich, stanowiących obecnie dziedziczną własność księżny Teresy z Sanguszków-Sapieżyny, której matka była z domu Borchówna). Przeważająca matrona polska w swoim czasie nie mały wpływ wywierała na kulturę księstwa inflanckiego i dalszych województw, i dla tego nie powinna zostać pominęta w rozdziale niniejszym. Ona bowiem pierwsza u nas była redaktorką czasopisma, o czem wspominamy na swoim miejscu; tu zaś zaznaczyć winniśmy przede wszystkim, że słynęła jako prawdziwie wzorowa matka. Syn jej, Michał Plater, odznaczał się w młodości jako oficer inżynierji w sztabie Tadeusza Kościuszki, którego był adiutantem w roku 1794. Nominację na ten urząd zaszczytny, co wkładał na niego obowiązek ufortyfikowania Modlina, przechował z dobrze uzasadnioną dumą, aż do śmierci zaszłej dopiero w roku 1863.

Mąż ten wybitny, słynący nie tylko z wysokiego wykształcenia ale i z cnót rzadkich,—ożenił się z ostatnią Zyberkówną, córką wojewody Tadeusza Zyberka, a będąc adoptowany przez teścia przed wstąpieniem w stan małżeński,—przyjął z woli cesarza Aleksandra I tudzież wojewody Zyberka w roku 1804 w dniu 10 lipca nazwisko i herb Zyberków dla siebie i swego potomstwa. Niektórzy z jego wnuków atoli, już od drugiej połowy XIX stulecia poczęli się mianować Plater-Zyberkami, a od czasu do czasu nazywają siebie po prostu Platerami, za co zapewne mają uzasadnione dowody, jak przypuszczać należy, ale których dotąd nie znamy i dla tego tej kwestji nie dotykamy zgoła.

VII.

Wszelako ród Zyberków (po niem. *von Syberg zu Wischling*) do najstarszych i najwybitniejszych w krajach inflanckich należy. Pierwotnie był osiadły w Westfalii, następnie w Kurlandji w okolicy Kuldygi (Goldingen) na dobrach lennych, jakie życzył posiadać nowo-kreowany w r. 1561 przez króla polskiego Zygmunta-Augusta książę Kurlandji i Semigalji Gotard Kettler, gdyż na stolicę wyznaczono mu Kuldygę czyli Goldyngę, a tameczne dobra dominjalne były bardzo szczupłe. Pragnąc je nieco rozszerzyć zaproponował Zyberkowi Gotard, by je z nim zamienił na położoną w pobliżu dawnego Dyneburga *Bebę* (po niem. *Bevern*), ale już za Dźwiną. Obejrzawszy *Bebę*, oświadczył Zyberk, że jest ona mniej rozległą od jego dawnej posiadłości pod Goldyngą, więc na zamianę dóbr tylko pod tym warunkiem się może zgodzić, jeśliby Kettler mu zarazem ustąpił okoliczne puszcze i świeżo wykarczowane grunta około *Bebry*. Układ przyszedł do skutku, a w sto lat później, na miejscu owych puszczy i pustkowi, rozwinęły się świetnie założone przez Zyberków dobra: *Swenten* (Świętmużja), *Dweta*, *Arona*, *Schlossberg*, *Ittukszta* i t. d. i podniosły zamożność domu tak dalece, że posiadłości dawnych dziedziców *Bebry* i ich spadkobierców już od XVIII stulecia rozlegają się szeroko po obu brzegach Dźwiny na przestrzeni 30 wiorst kwadratowych.

Z innych rodów zakonno-rycerskich, które od czasów związkowego państwa inflanckiego aż do XX stulecia w tej części kraju przetrwały, liczą obecnie w dawnym księstwie inflanckiem czyli Inflantach polskich, oprócz kilku wyżej wspomnianych, już tylko trzy: *Manteufflów* przydomku Soyje (czytaj Sey), *Korffów* przydomku Schmiesing (czytaj Szmizing), i *Borchów* przydomku Lübschütz (czytaj Lubszyce). Z tych pierwsi w r. 1533 w dzień św. Remigjusza otrzymali przywileje lenne na dobra Uialen, Moditen, Katsdaggen i t. d. w ziemi Piltyńskiej, a w r. 1550 na dobra Resen (Rezenmujza) i Duxtigall w rzeżyckim, tudzież w r. 1550 i 1561 na dobra Ramlen tamże. Gdy w r. 1603 w czasie wojen szwedzkich dobra Ramleńskie zniszczone zostały, otrzymali w r. 1619 przywilej na Ekengrawy, jaki w r. 1633 przez



Michał Plater-Zyberk

oficer inżynierji fortecznej przy sztabie Tadeusza Kościuszki
w r. 1794 i adjutant Naczelnika.

(Urodził się 1777 roku a umarł w październiku 1863 roku).

Władysława IV zatwierdzony został, a zaś w roku 1687 przywilej na całą Berzygalszczyznę, zajmującą w owym czasie 34,000 dziesięcin (Ob. Słownik geograficzny ziem polskich, tom I, str. 156), lecz rozdrobione na kilkanaście majątków, przeszły już w XIX stuleciu w obce ręce.

Korffowie jeszcze za czasów rycerskich posiadali w rzeżyckim dobra Fehmen (Fejmany) i Puschen (Puszę), które w ich ręku pozostały do roku 1715, oraz dobra kryżborskie wraz z zamkiem Kryżbork, nadanym Mikołajowi Korffowi w r. 1585 przez króla Stefana Batorego.

Co zaś do *Borchów*, dziedziczyli oni od r. 1558 w rzeżyckim dobra Klissen, od r. 1561 po-Tyzenhauzowskie dobra Galen (Galany) i Trumen (Sterniany) oraz Warkelen (późniejsze Warklany), a od r. 1568 Prele i Wyping.

Do wybitnych postaci XVIII stulecia w księstwie inflanckiem, należało kilku Korffów. Już na początku wspomnianego wieku dwóch z rzędu Korffów za zasługi wojenne posiadało starostwo rzeżyckie, naprzód Mikołaj, a następnie syn jego Zygmunt. Z tychże Korffów polsko-inflanckich Jan-Albert miał rozgłos w wieku XVIII jako uczonego i dyplomata u dworu rosyjskiego, od którego posłował do Kopenhagi i Sztokholmu. Musiał być istotnie mężem uczonym, gdyż w r. 1735 mianowano go prezesem petersburskiej Akademji umie-

jetości, co w braku innych dowodów służyć może za miarę jego wykształcenia. Najnowsze badania uczonych nadbałtyckich przyznają mu obok głębokiej wiedzy także niepospolite zdolności, które wpływ jego ówczesny tłumaczą. Rozpisywaliśmy się o nim w r. 1905 w Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej (tom XXXVI), tam więc ciekawszego czytelnika odsyłamy. W końcu XVIII stulecia widzimy starostwo rzeżyckie w ręku nieco zniemczalego Mikołaja Korffa, należącego do linii Korffów na Kryżborku w dyneburskiem. Ród Korffów w wieku XIX stał się napowrót niemieckim, za wyłączeniem jednej tylko bardzo już podupadłej linii. W wieku XIX synowie starosty rzeżyckiego Korffa, Andrzej i Modest Korffowie mieli sobie dane w dożywocie to starostwo, które wydzierżawiali wraz z istniejącym jeszcze za naszych czasów t. zw. *dworem rzeżyckim*, na wyniosłem wzgórzu w pobliżu dzisiejszej stacji kolej żelaznej „Rzeżyca“.

W XVIII stuleciu piastowali i inflanccy Borchowie wyższe i najwyższe godności krajo-
we. Jan Borch, urodzony w roku 1713, od pierwszej zaraz młodości bywał posłem na sejmy,
aż wreszcie w r. 1744 został podkomorzym inflanckim. Był on zrazu nieprzyjacielem poli-
tycznym książąt Czartoryskich, jawnym zaś stronnikiem domu saskiego, popierał sprawę kró-
lewicza Karola jako księcia Kurlandji, nawet jeździł parę razy do stolicy nadnewskiej jako
upoważniony do rokowań przez Rzpltą polską. Nieodłączny od księcia Karola, przedstawiał
się z nim razem u carowej rosyjskiej Elżbiety w r. 1758. Grały jednak w tem wszystkiem
ambitne widoki, nie samo tylko serce.

Ambicja jego atoli, nie ograniczała się bynajmniej na sobie samym. „Doszedłszy urzę-
dów znakomitych w Rzpltej, ambitny jest dla teścia, dla synów, dla całej rodziny, dla krew-
nych bliższych i dalszych”—piszą o nim jego biografowie.

Dla teścia, Jozafata Zyberka, starosty bolnickiego, wyrobił naprzód kasztelanję, a na-
stępnie województwo inflanckie, dla synów liczne starostwa.

„Możnaby napisać obszerną monografię o Janie Borchu, materiałów nie brak”—powiada
lubujący się w panegirykach Julian Bartoszewicz. W bezkrólewiu po śmierci Augusta III,
zadarł Borch z początku z Czartoryskimi i był przez nich mocno prześladowany. Na sejmie
konwokacyjnym posłował z Inflant, stał za Mokronowskim i wraz z nim salę obrad opuścił.
Atoli król Stanisław-August zaraz na wstępie swego panowania ocenił jego charakter i zdol-
ności. To też niebawem, bo już w sierpniu 1765 roku, wyniósł go na województwo inflanckie.

Wtenczas i Czartoryscy z Borchem się pogodzili; stąd na pierwszym sejmie delega-
cyjnym w roku 1767 przyjął od nich pieczęć mniejszą koronną i został podkanclerzym.

Jako zręczny dyplomata wyznaczony został w tymże roku 1767 do układów z Repni-
nem. Wybuchowi konfederacji barskiej był przeciwny. Wszędzie trzymał z królem. Starostw
miał bez liku, zwłaszcza w rodzimych Inflantach polskich, gdzie uwiecznił swą pamięć fundu-
jąc kilkanaście kościołów parafjalnych, a przy nich szkółki ludowe łotewskie i ochrony dla
starców. Wpływał też nader korzystnie na kulturę i uobyczajanie włościan swych inflanc-
kich, przesiedlając na Łotwę wielu włościan polskich. Tych potomkowie zajmują i po dzień
dzisiejszy całe wioski pomiędzy Łotyszami, a stoją od nich na wyższym stopniu uobyczajania ¹⁾.
W dobrach po-Borchowskich Warklany, w powiecie rzeżyckim, znajdują się i obecnie cztery
wioski zamieszkałe wyłącznie przez włościan polskich, a mianowicie: *Masalscie*, (liczy przeszło
100 osób płci obojga), *Puszcze*, ma więcej stu mieszkańców, *Dziegciorówka*, sto kilkadziesiąt
i tyleż *Szczuck*.

Rzeczpospolita na drugim sejmie delegacyjnym kazała wypłacić Janowi Borchowi tytu-
łem strat, jakie dla kraju poniósł, 335,000 złotych, co na owe czasy było sumą znaczną.

Ambicja jego wtedy już głównie do nabycia starostw się kierowała, bo zresztą miał
przed sobą jeden tylko urząd, to jest wielkie kanclerstwo. W marcu 1780 roku został też
kanclerzem wielkim na 6 miesięcy przed śmiercią. „Był to mąż prawy, sprawiedliwy i stały
w przedsięwzięciach”—piszą jednozgodnie jego biografowie polscy i niemieccy. Jak słusznie
to zdanie wypowiadają, na to mamy liczne dowody we własnem naszym *Archiwum rodzinnem*.
Całe szeregi dokumentów z czasów małoletności i niepełnoletności Fryderyka-Adama-Mikołaja
Manteuffla, podpisywane przez jego głównego opiekuna Jana Borchę, wymownie tę prawdę
potwierdzają. Przeglądał je i sprawdzał kilka razy do roku zrazu podkomorzy, następnie sta-
rosta, później wojewoda, a nakoniec podkanclerzy Jan Borch, zarządzając z niezwykłą już
dzisiaj sumiennością wszystkimi dobrami pupila, położonymi już to w Inflantach polskich,

¹⁾ Przekonał się o tem osobiście piszący, zwiedzając te wioski w roku 1858 z Anatolem Borchem, jedy-
nym synem dziedzica Warklan. Obecnie zaś—jak słyszę—zlewają się ci polscy włościanie coraz ściślej z lu-
dem rdzennie łotewskim i chętnie jego mowę przyjmują. Bliższe szczegóły o owych polskich włościanach po-
daje książka „*Inflanty polskie*“ (Poznań, 1879 r.).

już w księstwie kurlandzkim i semigalskiem. Z niemniejszą troskliwością wywiązywał się Jan Borch z obowiązków opiekuna względem małoletniego Stanisława Sołtana, późniejszego marszałka nadwornego Wielkiego Księstwa Litewskiego, na co w *archiwum Sołtanów* w Prezmie liczne znajdują się dowody.

Borch miał na owe czasy obszerną naukę i biegłość w prawie, znał dobrze dzieje swojego narodu. Obrotny i nader zręczny, niezmordowany w pracy, umiał z każdej okoliczności zręcznie korzystać. O nim to pisze J. Bartoszewicz: „Uwagi jego i refleksje były zawsze gruntowne, zastosowane do czasu i wymagań epoki. Przekonywać umiał doskonale, był wymowny a umysł miał logiczny. Kiedy było potrzeba, milczał jak grób i powagę swoją dzielnie utrzymywał ¹⁾).

Kancelarz wielki koronny Jan Borch pozostawił dwóch synów: Michała i Józefa. Ten ostatni, starosta lucyński, i jego potomstwo stanowili linię polską, która w końcu wieku zeszłego wygasła, a której główną rezydencją były do niedawna (do roku 1869) nadane Borchom przez króla Zygmunta-Augusta w r. 1568 dobra Prele i Wyping. Oprócz tego mieli Warków, Rożanów i starostwo Janowolskie. Michał zaś, wojewoda bełzki, dziedzic klucza warklańskiego, ożeniony z Niemką Brownówną, córką ówczesnego ryskiego generał-gubernatora z pierwszych lat XIX stulecia, — stał się kosmopolitą, co się i na jego potomstwie odbiło.

Za młodu nabrał on pewnego rozgłosu jako podróżnik, zwłaszcza zaś przez studia z zakresu nauk przyrodniczych, jakim się z zapałem oddawał. Wszakże działalność jego była nie-równie większą aniżeli jego wykształcenie, a cechuje ją zawsze i wszędzie pewne samozadowolenie, na którą to okoliczność zwraca uwagę nieśmiertelny Goethe w swojej „*Italienische Reise*“ ²⁾). Wróciwszy z zagranicy młody kancelarzyc koronny, mimo jawnej żyłki do kosmopolityzmu i ciągłego usiłowania zajmowania wszystkich swoją osobą, znalazł względy u króla Stanisława-Augusta, który go mianował generał-lejtnantem w wojsku narodowym, następnie wielkim oboźnym litewskim, wreszcie wojewodą bełzkim. Ożenił się wojewoda na początku XIX stulecia, a jego potomstwo straciło wszelkie cechy narodowości. O płodach jego literackich wspominamy na swoim miejscu.

VIII.

Przesiedlonej w wieku XVIII z Kurlandji do Inflant polskich wspomnianej już w poprzednim rozdziale odwiecznej rycerskiej rodzinie Zyberków, należy się tu obszerniejsze wspomnienie, chociażby już z tego względu, że wpływem swoim podnosiła lud, rozwijała jego uczucia moralne, szerzyła oświatę i tem silniej go wiązała z ojczyzną. Pamiątka tego została w licznych korespondencjach do wychodzącego niegdyś w Warszawie „Pamiętnika religijno-moralnego“.

Wiemy już z jednego z poprzednich rozdziałów, że na początku XVII stulecia można tu było spotkać wielomilowe przestrzenie bez żadnego kościoła. Później wojny szwedzko-polskie przeszkadzały, a nawet kładły tamę nieprzepartą pracy apostolskiej, aż zaledwie w wieku XVIII za smutnej skąd inąd doby saskiej, kraj ten wolniej począł oddychać.

Wiara chrześcijańska, jakby na nowo opowiadana, uszlachetniała serca, podnosiła umysły. Oczywiście, że w takim położeniu rzeczy zasłużyli się Rzpltej ci wszyscy, co tam erylowali nowe parafje, zakładali przy kościołach szkółki ludowe, ochronki i szpitale, zaprowadzali misje i nabożeństwa dla ludu, a w ten sposób przyczynili się nie mało do zachowania wierności tego kraiku dla Polski.

¹⁾ Ob. „*Znakomici mężowie XVIII wieku*“.

²⁾ Ob. „*Dzieła Goethego*“ tom 23.

Jak się rzekło, pierwsze hasło dają tu Hylzenowie, a niebawem naśladowają ich inne dawne rody miejscowe.

Za Marjenhauzą, Pyłdą, Dagdą i Bukmujzą Hylzenów zaświeciły na ziemi inflanckiej całe szeregi parafjalnych kościołów, z których już sami Borchowie wzniesli kilkanaście. Resztę erygowały inne odwieczne rody inflanckie.

Zaludniło się i rozświeciło w Inflantach polskich. Na samem ich pograniczu, w Iłłukszcie, w pobliżu odwiecznej komturji dyneburskiej, założył starosta bolnicki *Jozafat Zyberk* w roku 1754 wspinały kościół i klasztor ¹⁾. To też niebawem literatura zapisała Zyberkowi wdzięczność za tę fundację. Jakób Nakejanowicz, profesor matematyki w ówczesnej Akademji wileńskiej, dedykował staroście bolnickiemu i synom jego: Janowi-Tadeuszowi, Janowi-Kazimierzowi i Józefowi Zyberkom, dziełko pod tytułem: „*Exercitationes in analysi cum finitorum tum infinitorum mathem.*“ (Vilnae, Anno Dni 1758 in 4-to) ²⁾.

W dedykacji umieścił szczegóły biograficzne o Zyberkach, które nas pouczają, że oprócz trzech synów, jakim owe „*Exercitationes*“ zostały ofiarowane, miał starosta także 5 córek, jedną za Strutyńskim, drugą za Reuttem w województwie połockiem, trzecią za Michałem Tyzenhauzem, starostą poswolskim, a 2-do voto za Kossakowskim, czwartą za znanym już czytelnikowi Janem Borchem, wtedy jeszcze podkomorzym inflanckim, a piątą, Ksienią na Litwie.

Wszystkie te panie nic niemieckiego w sobie już nie miały. „Jan Borch, zięć starosty, inflanctzyk ruchliwy i wpływowy“—powiada o Borchu Jan Bartoszewicz—„jeszcze do doby saskiej starał się wyrobić teściowi jakie krzesło w senacie, a za doby Stanisławowskiej podnosił teścia już własną swoją powagą“. Po Józefie Hylzenie, który szedł na województwo mińskie, wyrobił mu kasztelanją polsko-inflancką w r. 1767 ³⁾.

Zanim się wybrał Jozafat Zyberk na podziękowanie królowi i złożenie senatorskiej przysięgi, upłynęło dwa lata. Wtedy już wyższy przyszło mu brać wakans. Przyjechał kasztelan inflancki do stolicy i skoro w dniu 18 czerwca 1769 roku złożył przysięgę na krzesło, zaraz ogłoszony wojewodą inflanckim ⁴⁾.

Wakans był po Stanisławie Brzostowskim, słynnym niegdyś marszałku konfederacji radomskiej. Jan Borch, już wtedy podkanclerzy, niebawem postarał się o krzesło dla teścia i dla tego, kiedy kasztelan Zyberk przyjechał do Warszawy, już go przed nominacją zaczynały nazywać miejscowe dzienniki: „teraźniejszy wojewoda inflancki“.

Jozafat Zyberk, co pomiędzy braćmi swych pradziadów nie jednego liczył komtura, pierwszy w rodzinie został senatorem. O tę godność polską mu tylko chodziło, nie zaś o głos w senacie, gdyż nie był to mąż jakiegoś wyłącznego stronnictwa, jakichś wyłącznych zasad; przeciwnie, każdego sobie ujmował. Dosyć powiedzieć, że nawet rosyjski generał Czernyszew przepadał za nim.

W roku 1775 złożył województwo sędziwy starzec, uprosiwszy atoli króla, by je nadał jego synowi *Janowi-Tadeuszowi*, a niebawem, bo już w roku 1776, umarł w dobrach swych polsko-inflanckich—*Liksna*.

Jan-Tadeusz wojewoda inflancki od 10 kwietnia 1775 roku, został wojewodą brzeskim w r. 1777. Osobistość to wcale nie wybitna, zgoła niepodobna do ojca, co wszędzie zdołał zyskać nietylko niezwykłą popularność ale i prawdziwe poważanie. Obrany konsyljarzem

¹⁾ Ob. *G. Manteuffel* „Z dziejów Kościoła w Inflantach i Kurlandji“, rozprawka ogłoszona w lwowskim „Kwartalniku historycznym“ w r. 1902, tom XVI, str. 401—428.

²⁾ Obacz: „*Kwartalnik historyczny*“ XVI, 411, przypisek.

³⁾ Ob. *Syggillaty*, ks. 31 fol. 107.

⁴⁾ *Syggillaty* (księga 33-cia) zawierają jego nominację na województwo inflanckie z dnia 20 czerwca 1769 roku.

w niepopularnej radzie nieustającej w r. 1784, uzyskał na sejmie głosów 117, a zasiadał z kolei w równie niepopularnym departamencie policji ¹⁾.

Ożeniwszy się po raz trzeci, dopiero wtenczas doczekał się córki, słynnej z rozumu i cnót jedynaczki, co odziedziczyła cały majątek po ojcu i stryjach, a jak się rzekło już wyżej, wraz z fortuną nazwisko ojca przekazała mężowi. Wpływem jej i jej małżonka, niegdyś towarzysza Kościuszkowego, całe życie okolicy skupiało się w *Liksnie*, ich głównej siedzibie polsko-inflanckiej i w *Szlosberku* (Schlossberg-Illuxt), kurlandskiej. W tych dwóch ogniskach Łotwy katolickiej zaćni kapłani już od połowy wieku XVIII stale przewodniczyli ludowi polsko-inflanckiemu oraz włościanom Kurlandji górnej. To też i po dzień dzisiejszy Łotysze w dobrach zyberkowskich na wyższym stoją stopniu uobyczajenia i kultury, stronią od obecnego

warcholstwa protestanckiej swojej współbraci, nie biorą żadnego udziału w ruchu socjalno-demokratycznym Kurlandji i t. zw. Inflant szwedzkich czyli gubernji inflanckiej, gdzie wrzenie i niepokoje trwają wciąż od roku 1905.

W Liksnie, w Inflantach polskich, wychowała się i mieszkała tam z matką swą, znana powszechnie bohaterka nasza *Emilja Platerówna*, urodzona w roku 1806 z ojca Ksawerego Platera (jednego z licznych stryjecznych braci dziedzica zyberkowskiej Likсны, *Michała Plater-Zyberka*, wspominanego już wyżej towarzysza Kościuszkowego) i z matki Anny z Mohłów Platerowej.

Emilja od samego dzieciństwa mieszkała wraz z matką w Liksnie. Już samo otoczenie, atmosfera bojaźni Bożej oraz umiłowanie ideałów narodowych i tradycji świetnych przeszłości kraju naszego, od najmłodszych lat wpływały na rozwijanie się jej rozumu i serca.

Bogaty księgozbiór likśnieński i wykłady uczonego Michała-Zyberka (jednego z założycieli kurlandzkiego Towarzystwa Naukowego dla badania literatury i sztuki), rozwinęły w dziewczęciu zamiłowanie do przedmiotów poważnych, jak historia i matematyka.

Lubiła Emilja od dni najmłodszych ćwiczenia fizyczne i konną jazdę. Wzrostu wysokiego,

go, jaśniała włosami płowymi, ociętymi do szyi, miała oczy modre, pełne łagodności, i ruchy nader zręczne.

Po śmierci matki, którą córka ubóstwiała, wybuchła wojna o niepodległość. Gdy pośpieszyli do obozu bracia jej stryjeczni: *Cezary Plater* i *Władysław Plater* (późniejszy założyciel muzeum narodowego w Raperswilu) tudzież *Kazimierz Plater-Zyberk*, najstarszy syn dziedziców Likсны,—dzielna Emilja poszła za ich przykładem. Ta córka odwiecznej rodziny polsko-inflanckiej, całą duszą poświęciła się sprawie narodowej, ratowała rannych pod gradem kul, odznaczała się nie tylko niewzruszoną odwagą, walcząc zawsze w pierwszych szeregach, lecz także

¹⁾ *Gazeta Warszawska* (№ 85 z roku 1784) opiewa szczegółowo, że na godność drugiego konsyliarza policji przysięgę złożył Jan-Tadeusz Zyberk w dniu 15-tym października 1784 roku.



Emilja Platerówna

ur. w r. 1806, umarła 23 grudnia 1831 roku.

i wojenną pomysłowością, rzutkością, energią i wytrwałością. Emilja miała rangę kapitana, a jej adjutant, panna Ruszanowiczówna, rangę porucznika. Cała oddana sprawie narodowej, uczestniczyła w wielu bitwach: naprzód w dniu 4-yim kwietnia *pod Jeziorosami*; niebawem w *Upicie* połączyła się z oddziałem Załuskiego i przystąpiła do wilkomirskich wolnych strzelców, potem wstąpiła do korpusu Parczewskiego razem z Marją Ruszanowiczówną. Zamianowana przez Chłapowskiego kapitanem pierwszej kompanji 1-go Litewskiego pułku, potem 25-go pułku linjowego, broniła 25-go lipca *pod Kownem* prawej flanki, odznaczyła się *pod Szawłami* i t. d., w końcu—przyłączywszy się do oddziału, co pod generałem Dembińskim (niechcąc szukać schronienia na ziemi pruskiej) usiłował przedarć się przez szeregi nieprzyjaciela,—wraz ze swym adjutantem, panną Ruszanowiczówną, zdążyła ku granicy.

Przedostały się obie panny do gubernji grodzieńskiej nad Niemen. Emilję włościanie w nocy przewieźli do dworu *Warwiszki*, skąd, zawiadomiony o tem dziedzic Justjanowa pan Ablamowicz, zabrał ją do siebie, podając za kuzynkę.

Wszakże już po miesiącu, wskutek przebytych niewygód obozowych, rozwinęło się u bohaterki naszej cierpienie śmiertelne, któremu uległa w Justjanowie dnia 23 grudnia 1831 roku na rękach pani Ablamowiczowej.

Pogrzebiona na wiejskim cmentarzu w sąsiednim *Kopniowie*, gdzie kamieniarz miejscowy wykuł ku jej uczczeniu skromny pomnik grobowy z granitu, z datą jej zgonu. Widok dokładny tego pomnika podaje „*Biesiada Literacka*“ w numerze 44-tym z roku 1906-go. Nie-równie trwałszym pomnikiem uwiecznił tęże bohaterkę wieszcz nasz największy Adam Mickiewicz w przepięknym wierszu powszechnie znanym.

Nie dawniej jak przed kilku laty przypominał rodakom Emilję słynny artysta-malarz *Wojciech Kossak* w powszechnie znanym malowidle „*Emilja Platerówna w ogniu nieprzyjacielskim*“. Natomiast całkiem chybiona wydaje się nam jej postać w powieści p. Gąsiorowskiego p. t. „*Emilja Plater*“ (sic!) gdyż w niczem tej bohaterki nie przypomina.

* * *

Przyjrząwszy się bacznie działalności obywatelskiej i obyczajom dawnych rodów inflanckorycerskich Inflant polskich, o których wysokiem wykształceniu i zachodniej kulturze rozpisuje się słynny etnograf i lingwista Dr. August Bielenstein w rozprawie swej „*Zur Heimatskunde*“¹⁾, —nie możemy nie przyjść do przekonania, że zespoliły się one niemal wszystkie w Rzplta polską i słusznie do jej wiernych synów zaliczane bywają.

Nie też dziwnego, że szczupłe w granicach swoich dawne „księstwo inflanckie“ dostarczało nie mało wdzięcznego materiału do wizerunków osób historycznych polskich, kreślonych co prawda w tonie zbyt panegirycznym przez Juliana Bartoszewicza w dziełku jego dwutomowym p. t. „*Znakomici mężowie XVIII wieku*“, pomiędzy jakimi figurują także mężowie mniej znakomici. Oózkolwiekbaż nie godzi się nam podnosić usterki tej mrówczej pracy zasłużonego autora, chociażby dla tego, że wiele cennych szczegółów jej właśnie zawdzięczamy.

Lubo nie zamierzaliśmy zgoła wstępować w ślady owego płodnego pisarza i kreślić pochwały odwiecznym rodom inflanckim²⁾.—korzystaliśmy tem skwapliwiej z niektórych szcze-

¹⁾ Według D-ra Bielensteina dowodzą tej kultury pomiędzy innymi także bogate księgozbiory w ich rezydencjach polsko-inflanckich jak np. słynne w wieku XVIII biblioteki: dagdzieńska, krasławska, warkłańska, z których dwie pierwsze liczyły po dwadzieścia kilka tysięcy dzieł, a warkłańska, liksnieńska, prezmińska, prelska, taunadzka i parę innych od 8-miu do 12 tysięcy ksiąg naukowych skrzętnie w nich nagromadzonych.

²⁾ Najlepszym tego dowodem odwrotna strona medalu w niniejszym przeglądzie wybitniejszych postaci księstwa inflanckiego XVII i XVIII stulecia, że tylko wspomnę Kazimierza-Konstantego Platera, podkanclerzego, co owe podkanclerstwo przyjął z rąk Siewersa, a ostatecznie przystąpił do Targowicy, tudzież pyszałkowego i próżnego kanclerzycza Michała Borchy, wojewody bełzkiego, którego potomkowie stracili wszelkie cechy narodowości, co po części i o rodzie Korffów zaznaczyliśmy najwyraźniej.

głów przez wspomnianego autora tak skrzętnie nagromadzonych, iż malują one wymownie epokę ówczesną, w której szlachta inflancka wśród głodu rozdawała zboże, wśród zarazy zakładała szpitale, wśród straszliwej ciemnoty ludu stawiała świątynie i szkoły, a w XIX stuleciu, za panowania Mikołaja I, kilkakrotnie napróżno kołatała o wyzwolenie włościan z jarzma poddaństwa. Działalność obywatelska najlepiej wykazuje, jak znaczna część dawnych rodów inflancko-niemieckich już od wieków zła się na zawsze z organizmem Rzpltej, od którego i losy porozbiorowe oderwać ich już nie zdołały.

By poprzeć faktami to ostatecznie twierdzenie, wystarczy wspomnieć chociażby o konfiskatach i systematycznym niszczeniu ich dóbr po roku 1863, o zesłaniu na Syberję Ryszarda Manteuffla, a na podgórze Uralu sędziwego marszałka Ludwika Platera z Indrycy, Stanisława Mohla i wielu innych, o rostrzelaniu w Dyneburgu w d. 27 maja 1863 r. nieodżałowanej pamięci Leona Platera, a nakoniec o dziwnie systematycznym wyzuwaniu ich z fortun przez siepaczy Murawjewskich i równie mściwą jak chciwą biurokrację rosyjską ¹⁾. Do nich to słusznie zastosowane zostały słowa Zygmunta Krasińskiego:

„Ich za Polskę—ścigał świat!
Ich za Polskę—męczył kat,
Nie od wczoraj—od lat wielu
Pierś im palił skwarny brzeg,
Lub krył oczy wygnań śnieg
I więziła cytadela“.

* * *

Wszelako z grona szlachty rdzennie polskiej, a osiadłej już od początku XVII stulecia w dawnym księstwie inflanckim czyli tak zwanych Inflantach polskich, wielu zasłużyło już w wieku XVIII na wdzięczną pamięć u potomności.

I tak na przykład: niezaprzeczoną i wielką usługę oddał przeszłości krajowej *Jan Szadurski*, obożny inflancki, układając w roku 1747 wspólne z *Janem Chrapowickim*, starostą szumlińskim, zachowany po dzień dzisiejszy w Warszawie, w Muzeum Świdzińskich, sumariusz ksiąg metryki wielkiej litewskiej na dobra rozdane przed unją i inne listy od roku 1392 do roku 1553-go z wielkiem staraniem zebrane. Księga *in folio* ma stronic 907, a przechowuje się w zbiorach Świdzińskiego przy bibliotece ordynacji Krasińskich w Warszawie.

Do utwierdzenia przywiązania ku Rzpltej przyczynił się w księstwie inflanckim nie mało *Stanisław Soltan* (urodz. w Andrepnie 1756 r. † w Mitawie w roku 1836) dziedzic *Andrejna i Zielonpola w rzeżykiem a Lideksna ze Sprykutowem w ludyńskim*, tudzież właściciel nabytego przez siebie (od swego teścia Stanisława Radziwiłła) *Zdzięciota*, położonego w *województwie nowogródzkim*.

Wybitny ten Inflantezyk, od roku 1782 wielki chorąży wielkiego księstwa litewskiego, później podkomorzy nadworny i poseł na sejm czteroletni, w czasie tego sejmu zamieszkał w Warszawie na ulicy Daniłowiczowskiej w domu własnym, który w owej epoce kipiał życiem patriotów. Soltan, jako gorący stronnik marszałka sejmowego Stanisława Małachowskiego, czynnie się przyłożył do zniesienia rady nieustającej, do wprowadzenia reformy miejskiej

¹⁾ Wyznaczane co chwila t. zw. „kontrybucje“ z posiadłości rodzin, z których choć jeden członek był w obec rządu skompromitowany, przewyższały w trójnasób dochody majątków. To też zaległe procenty od wysokich przymusowych pożyczek, zaciąganych za czasów wieloletniego prześladowania, spowodowały upadek i ruinę majątków w ten sposób najsystematyczniej niszczonej a ostatecznie ich bankructwo, gdy nakoniec długi ciężące na dobrach rodzin skompromitowanych tak się podniosły, iż same zaległe od nich procenty wynosiły setki tysięcy rubli. W ten sposób wielu posiadaczy wielkich obszarów ziemnych w ciągu lat 40-tu zostało ostatecznie małorolnymi, a częstokroć wyzuwano ich ze wszystkich posiadłości.

i wojskowej. Tu z Hugonem Kollatajem, Ignacym Potockim i bratem jego Stanisławem wchodzi nasz Inflanctzyk w skład stronnictwa konstytucyjnego i uczestniczy w komisji do opracowania wiekopomnej konstytucji, czczonej przez potomność pod znaną nazwą *konstytucji 3-go maja*.

Wczasy tegoż sejmku 4-letniego w dniu 24 grudnia 1790 roku oddał król Soltanowi podkomorstwo wielkie wielkiego księstwa litewskiego po Macieju Radziwille, kasztelanie wileńskim, a zaraz po ogłoszeniu konstytucji (w maju 1791 roku) łaskę nadworną wielkiego księstwa litewskiego po Potockim i mianował go ministrem straży i kawalerem Orła Białego.

Tymczasem jawni stronnicy szlacheckiej swawoli już w roku 1792 ściągnęli swe siły, zapowiedzieli swoje zjawienie się Targowicą i deklaracją Katarzyny II.

Odpowiedział na nią 29 maja zrehabilitowany przez Ignacego Potockiego i jego towarzyszy uniwersał wojenny oraz heroiczny opór niedokształconego jeszcze przez Kościuszkę wojska, ale król i część rady w cichości przygotowywali pamiętną sesję straży z dnia 23 lipca.

Stanisław August przystąpił do Targowicy.



Stanisław Soltan

.....

Nie było miejsca w kraju dla patryjotów.

Po zanieśieniu 27 i 29 lipca przez obu marszałków skonfederowanego sejmku protestacji, marszałkowie z mniejszością straży, z naczelnym wodzem ks. Józefem Poniatowskim i znaczną częścią generałów, usunęli się zagranicę, już to do Saksonji, już do Austrii.

Kościuszkę w roku 1794 wezwany do kraju, podnosi chorągiew powstania.

Wracając wygnańcy na miejsce powinności, Książę Józef Poniatowski pod rozkazy woźdza narodowego, Sapieha do karabina, Małachowski i Potocki wspierać powstanie w Królestwie.

Soltan z Wiednia pośpieszył na Litwę w wielkiej części przez Rosjan już zajętą.

Uprzedzając jego przyjazd do Wilna, schwyтали go najezdźnicy w Nowogródku 14 kwietnia i uwięzili do Smoleńska. Po 15-tu miesięcznym więzieniu w lochach smoleńskich, wywieziono Soltana na wygnanie do Kazania, skąd dopiero za panowania Pawła I mógł wrócić do rodziny.

Wszelako syn jego Adam (co przed kilkunastu laty służył w legjach narodowych, odznaczył się pod Somo-Sierrą i otrzymał rangę pułkownika) był oskarżony o czynny udział w powstaniu z roku 1831 i emigrował. I oto, za udział starszego syna w powstaniu, pomimo starań prawego marszałka gubernjalnego Czetwertyńskiego, wielki marszałek wielkiego księstwa litewskiego Soltan zostaje już w r. 1834 wypędzony z dziedzictwa.

Mąż ten całą fortunę złożył na ołtarzu ojczyzny, a synom nic prócz pamiątek nader cennych nie mógł zostawić; pomiędzy niemi łaska marszałkowska i order, pierścień (dar Tadeusza Kościuszki) z napisem „Gdzie cnota tam sława, Tadeusz Kościuszko Naczelnik“, pas

Wielki Marszałek Księstwa Litewskiego, dziedzic Andrepnia i Zielonpola w *Rzeżyckiem* a Lideksna ze Sprykutowem w *Lucyńskiem* w dawnym księstwie Inflanckiem, poseł na Sejm czteroletni a także dziedzic Zdzięcioła w *Nowogródzkim*, jaki nabył od ojca swej pierwszej żony z domu Radziwiłłówny.



złotolity króla Jana Sobieskiego, podziwiany powszechnie na krakowskiej wystawie zabytków XVII stulecia w roku 1883, i wiele innych pamiątek.

Według świadectwa *Lelewela* i *Józefa Szujskiego*, marszałek wielki litewski Sołtan był jednym z tych, co się najbardziej sprzeciwiali przystąpieniu króla do Targowicy. To też po przystąpieniu do niej Stanisława Augusta, Sołtan niebawem podał się do dymisji. Następca jego w godności wielkiego marszałka litewskiego został Giełgud, nazywany szyderczo przez szlachtę inflancką „marszałkiem targowickim ¹⁾“.

IX.

Sołtan nie był jedynym Inflantczykiem, co czynny brał udział w sejmie czteroletnim. Mielśmy tam posłów inflanckich: *Juljana Ursyna Niemcewicza*, *Stanisława Kublickiego* dziedzica *Sołosza* i *Lauderu* w lutyńskim i *Józefa Weyssenhoffa*, co dziedziczył dobra w rzeżyckiem. Jeden tylko Niemcewicz nie posiadał ani piędzi ziemi w Inflantach, bo jego skromny Ursynów w województwie warszawskim, w parafii służewskiej był położony.

Pomijając w naszym krótkim zarysie znaną powszechnie działalność obywatelską wspomnianych posłów inflanckich na sejm czteroletni ²⁾, nie możemy pominąć mniej znanej działalności *Jana Benisławskiego*, dziedzica dóbr *Zosoły* w lutyńskim, tamże urodzonego w roku 1735. Ten będąc młodym, wstąpił do zakonu jezuitów w roku 1768, otrzymał stopień doktora teologii i w tymże roku wyświęcony został na kapłana.

On to w roku 1783 wysłany był do Rzymu dla wyjednania kanonicznej erekcji arcybiskupstwa mohylewskiego.

Podług *Rohrbachera* i *Crétineau-Joly* mąż ten cnotliwy, choć, jak się zdaje, niezbyt bystrego umysłu, wpłynął nietylko na Stolicę Apostolską, że do łaski swojej przywróciła zakon jezuicki, ale przez *Potemkina* i na cesarzową *Katarzynę II*, że po kasacie jezuitów zawiesiła działanie znanej bulli *Klemensa XIV* na całej przestrzeni państwa rosyjskiego.

Mało kto o tym gorliwym obrońcy jezuitów dzisiaj wspomina, a ci, co od czasu do czasu podnoszą tu i ówdzie jego ówczesną działalność, biorą go całkiem błędnie nie za Inflantczyka, ale za Białorusina.

D-r Jan Benisławski, po kasacie zakonu jezuickiego został przez komisję edukacyjną rektorem szkół brzeskich. Z powodu stosunków rodzinnych i majątkowych przeniósł się chwilowo za „kordon rosyjski“, spotkał się tam z ambitnym sufraganiem wileńskim, biskupem białoruskim *Stanisławem Sistrzeńciewiczem*, ex-huzarem, co stale udawał przyjaźń dla skasowanego już zakonu jezuickiego, polubił ks. D-ra Benisławskiego i upatrzył w nim narzędzie, mogące mu służyć za wędkę na zakon. Wziął go nawet do boku swojego i radził się go we wszystkim.

Za staraniem tegoż kapłana inflanckiego seminarjum mohylewskie weszło w układy z polsko-inflancką gałęzią misjonarzy w *Platerowskim Krasławiu* względem funduszków, jakie mieli odstąpić na utrzymanie owego seminarjum. Misjonarze krasławscy oddali część swoich dochodów na regensa, dyrektora, profesora i dwóch niepłatnych kleryków ³⁾.

¹⁾ Ob. *Joachim Lelewel* „Panowanie Stanisława Augusta“ Bruxella, 1847 r. i *Józef Szujski* „Historji polskiej ksiąg XII“, Warszawa, 1880 stronica 381-sza.

²⁾ Ob. *Walerjan Kalinka* „Sejm czteroletni“. Tom I. Kraków, 1880 r., Tom II. Lwów, 1881 r. i dalszy ciąg tegoż dzieła, jakiego po śmierci autora podjął się *Władysław Smoleński*.

³⁾ Ob. artykuł p. t. „Krótka wiadomość o inflanckiem Seminarjum w Krasławiu, zebrana przez ostatnie go seminarjum regensa“, ogłoszony w polsko-inflanckiem czasopiśmie „*Rubon*“, tom VII, str. 17 i dalsze.

Zaszedł tak daleko Sistrzeńcewicz, że słuchał uważnie pobożnych rozmów ks. Benisławskiego, lubo ten zawsze i wszędzie—jak na duchownego przystało—zwykł mawiać z gorliwością religijną, gdyż był mężem głębokiej wiary i prawego serca. Kapłan ten niezbyt bystrego umysłu ale rzadkiej zacności, nie znając fałszu i obłudy, dał się tak dalece ująć przez chytręgo, a przebiegłego Sistrzeńcewicza, że ostatecznie uwierzył w szczerość jego i pochlebiał sobie, iż go naprawdę nawrócił do Kościoła.

Wyrachowanie zaś Sistrzeńcewicza było takie: Benisławski był skoligacony z generałem Michelsonem, zwycięzcą Puhaczewa ¹⁾; generała lubił książę Potemkin, więc Sistrzeńcewicz trafiał przez Benisławskiego i Michelsona do Potemkina, bo pragnął zostać arcybiskupem.

Zachęcił tedy Michelsona do zaznajomienia Benisławskiego z Potemkinem; ten zaś wkrótce tak się w kapłanie inflanckim rozlubował, że go miał za świętego, patrząc na szczera wiarę i piękność prawdziwie kapłańskiego życia męża, równie cnotliwego jak uczonego ²⁾.

Grzegorz Potemkin, znany kochanek carowej i feldmarszałek rosyjski, pomimo wad wielu, był religijnego usposobienia, a nawet lubił rozmowy ascetyczne; więc podobieństwo skłonności zbliżyło potężnego faworyta i męża stanu do skromnej cnoty cichego kapłana.

Wziął Potemkin księdza Benisławskiego w podróż z sobą do Krymu i ciągle z nim przestawał, dysputował, rozpytywał go o katolicyzm i jego obrzędy. W istocie ks. Benisławski wiele przez Potemkina zrobił dla sprawy swojej wiary, książę nawet w tej materji nie postanowił ani jednego kroku, nie zasiągnąwszy wprzód jego rady. To też pomimo formalnej kasaty rozkwitał w tym czasie coraz bardziej zakon jezuicki, znalazłszy w obrębie cesarstwa rosyjskiego jedyną w swoim rodzaju opieką i ochronę, a tej ostatniej doniosłość obecnie niemal zapomniana.

Za radą Benisławskiego przystał wtenczas książę Potemkin na utworzenie osobnego arcybiskupstwa w krajach polskich za kordonem rosyjskim, ale chciał koniecznie, aby w niem sam ksiądz Benisławski, a nie kto inny, został arcybiskupem-metropolitą.

Przeląkł się tego zaszczytu skromny kapłan i wiele biedy zażył zanim skłonił księcia na stronę Sistrzeńcewicza; tego znowu Potemkin nie lubił i mawiał aż nazbyt głośno, „że to nie kapłan, ale chytry świecki polityk, ex-huzar ³⁾“.

Kiedy utargował jedno, musiał ksiądz D-r Benisławski zrobić w drugim ustępstwo. Chciał ostatki życia przepędzić w zakonie jezuitów, i do niego właściwie nie przestał należeć, gdyż kasatę uważano w zakonie za anulowaną; lecz tego ani dał sobie wmówić książę Potemkin, pomimo opieki, jaką jezuitów osłaniał. Dał mu tedy koadjutorją przy tymże arcybiskupstwie mohylewskiem, które w tym czasie utworzył, dał mu pensją odpowiednią i pałac na stałe mieszkanie w Połocku.

Z wielką biedą pozwolił na to ksiądz Benisławski, ciesząc się, że przynajmniej będzie w Połocku u jezuitów, i że jak dawniej będzie im najniższe oddawał posługi.

Pobiegł niebawem goniec Potemkina po Sistrzeńcewicza, ten zaś teraz zgola odmienne od poprzedniego okazał usposobienie.

Poważał oczywiście obłudny dygnitarz Kościoła księdza D-ra Benisławskiego tylko przez interes. Teraz zły, że znalazł świątobliwy ex-jezuity wysokie względy, że go wszyscy poważają i kochają,—stał się dla niego więcej niż oziębłym, a najwięcej nie podobą mu się „koa-

¹⁾ Ob. *J. Crétineau-Joly* „Histoire politique, religieuse et littéraire de la compagnie de Jésus, composée sur les documents inédits et authentiques“, Paris 1845, tomów 6. Obacz mianowicie tom 5 str. 485.

²⁾ Obacz tamże.

³⁾ Dwulicowości Sistrzeńcewicza poświęca osobny rozdział, zmarły przed paru miesiącami ks. *Stanisław Załęski*, w ostatniem dziele swoim „Jezuici w Polsce porozbiorowej“ (Kraków 1907 r.) str. 143 — 149 tomu I-go.

djutorja“, gdyż, jak wszyscy ludzie niewierzący, mocno był zabobonny i mniemał „że to mu skróci życie“.

W marcu 1782 roku ustanowiono więc za kordonem osobne arcybiskupstwo mohylewskie. Ksiądz Benisławski pojechał do Petersburga, a stamtąd do Warszawy, gdzie go wszechpotężny wówczas Stackelberg przedstawił królowi, po czym już na początku 1783 r. wysłany został do Rzymu, żeby przyspieszyć kanoniczną erekcję nowego arcybiskupstwa. Miał również tajne zlecenie względem utrzymania jezuitów w Rosji.

Podróż swą skierował na Połock, gdzie się widział z jezuitą Czerniewiczem, świeżo wybranym na generalnego wikarego zakonu, a którego już przedtem przedstawiał osobiście księciu Potemkinowi. Zniósłszy się obecnie z Czerniewiczem, dążył dalej przez Warszawę i Wiedeń do Rzymu, dokąd przybył 21-go lutego i jeszcze w tym dniu, za pośrednictwem monsignora Santiniego, otrzymał posłuchanie u papieża ¹⁾.

Niebawem rozeszła się wieść, która się później istotnie sprawdziła, że nuncjusz polski *Archetti*, rezydujący w Warszawie, wybrany będzie na urządzenie hierarchji katolickiej w Rosji, a tymczasem z rozmaitem szczęściem miewał dosyć częste posłuchania ksiądz Jan Benisławski u papieża Piusa VI.

Upłynęło właśnie 200 lat od czasu jak w tej samej porze roku inny, a bardziej sławny jezuita, Antoni Possewin, miewał również częste posłuchania już to u papieża Grzegorza XIII, już to u cara Iwana Groźnego, starając się o ułatwienie pokoju pomiędzy caratem a Polską ²⁾; przypominano to sobie w Rzymie. Wyrobił więc nareszcie ksiądz poseł Benisławski czego tak gwałtownie żądali książę Potemkin i Katarzyna II, pomimo, iż w kurji rzymskiej nie miał zgola przyjaciół jak to wykazują niewątpliwie najnowsze poszukiwania archiwalne w wiecznem mieście.

Z dokumentów sekretnego Archiwum Watykańskiego pada bowiem na całą ówczesną działalność ks. posła Benisławskiego w Rzymie, światło nieco odmienne od tego, w jakim ją zwykle przedstawiali historycy dotychczasowi ³⁾.

Zrazu miał Benisławski całą tę sprawę prowadzić tak niefortunnie, że oburzył na siebie papieża Piusa VI i właściwie już tylko na nalegania Katarzyny II został ostatecznie przekonany na biskupa.

Względem jezuitów nie wdawał się papież w żadne zobowiązania na piśmie, jeno słownie acz sekretnie przyzwolił (po długich wahaniach) na dalszy byt zakonu w tak zwanym „kordonie rosyjskim“. To przyzwolenie papieskie na dalsze istnienie jezuitów na Białej Rusi, przytaczamy dosłownie w odsyłaczu z dzieła Crétineau-Joly ⁴⁾.

¹⁾ Obacz *Stanisław Zaleski* „Jezuici w Polsce porozbiorowej“ (Kraków, 1907 r.) § 21, str. 198.

²⁾ Owe starania i trudy Antoniego Possewina znakomicie zostały opisane w roku 1904 przez Polaka *W. Nowodworskiego* w jego rosyjskiej książce pod tytułem „Борьба за Ливонию между Москвою и Ръчью Посполитою 1570/1582 г.“.

³⁾ Zajmował się ostatnimi laty w Rzymie, w bibliotece watykańskiej, (przystępnej dzisiaj dla wszystkich jak każda publiczna biblioteka), historyk lwowski D-r *Maciej Loreť* badaniem polityki kościelnej Rosji w ziemiach polskich, objętych pierwszym rozbiorem w latach 1771 — 1784 i działalnością nuncjuszków Garampiego i Archettego, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów utworzenia metropolji mohylewskiej. Studja D-ra Lorety przyniosą niewątpliwie wiele nowych szczegółów, dotyczących ówczesnej działalności księdza D-ra Benisławskiego w Stolicy Apostolskiej, jakich napróżno szukaliśmy w świeżo wydanem dziele księdza Stanisława Zaleskiego „Jezuici w Polsce porozbiorowej“ (Kraków, 1907 r.).

⁴⁾ W tomie 5-tym dzieła pana *Crétineau-Joly* p. t. *Histoire politique, religieuse et littéraire de la compagnie de Jésus*“ (w wydaniu z r. 1845) czytamy na stronie 491-wszej: „Benisławski et les jésuites avaient expliqué à Catherine II, qu'il n'était pas besoin pour leur for intérieur d'un Bref régulateur. Le consentement verbal du Pape a la même force. Il faut donc convenir, que le Pontife ne donnerait pas de Bulle aux jésuites de Russie; mais, en présence de Benisławski il prononça ces paroles: „*Approbo Societatem Jesu in Alba*

Wyjechał ksiądz poseł Benisławski z Rzymu 15-go kwietnia 1783 roku ¹⁾. Niedługo potem został prekonizowany na koadjutora arcybiskupa mohylewskiego z tytułem biskupa *gadareńskiego*.

Po przyjęciu paljusza przez Sistrzeńcewicza wyświęcono 8 go lutego 1784 roku księdza Jana Benisławskiego na biskupa w petersburskim kościele św. Katarzyny.

Była to konsekracja dyplomatyczna, jak mawiano w owym czasie w Inflantach, bo zamiast wojewodów i kasztelanów, jak kazał starodawny obyczaj polski, do obrzędu konsekracji służyli biskupowi sami posłowie katolickich mocarstw zagranicznych wraz z klerem miejscowym. Obrzędu dopełniał przybyły z Warszawy nuncjusz papieski Archetti.

Potemkin, który był na tej uroczystości, wziął zaraz z sobą nowego arcybiskupa Sistrzeńcewicza i biskupa Benisławskiego do Moskwy i Krymu, ażeby obaj dostojnicy Kościoła ukazali się nowym owieczkom swoim.

Przy urządzeniu sześciu biskupstw katolickich w Rosji, przeznaczono Benisławskiego na *sufraganją połocką*, którą też zajął.

W roku 1801 chciał cesarz Paweł usunąć Sistrzeńcewicza, a Benisławskiego osadzić na metropolii. Goniec w tym celu wysłany do Połocka, przeraził tą wiadomością biskupa sufragana, który bał się zaciągać nowej na swą duszę odpowiedzialności. Wkrótce atoli przemógł swe skrupuły i poszedł za głosem obowiązku, zabrawszy swego nieodstępного kapelana ze sobą do Petersburga, gdzie po zrzeczeniu się na piśmie Sistrzeńcewicza prezydencji w konsystorzu i t. d. został sam niejako ministrem rzymsko-katolickiego wyznania w Rosji. Otoczył się wtedy zupełnie jezuitami; wszystko przez nich i dla nich działał. Przetworzył całkowicie konsystorz, wyprowadził wkradające się nadużycia i tem istotnie pewne położył zasługi, zwłaszcza, iż wszędzie działał jako prawy Polak i kapłan wzorowy.

Za Aleksandra I złożył swój wysoki urząd, lubo biskup żmudzki pragnął i nalegał, żeby go zachował, a Sistrzeńcewicz pozostał sobie i nadal dla formy metropolitą w szkarłatach. Wszakże, gdy z tego rozdwojenia władzy złe pokazały się skutki, biskup Benisławski stanowczo ustąpił ²⁾.

Odtąd przebywał stale w Inflantach polskich już to w *Styglowie*, dawnych dobrach biskupów inflanckich w trakcie lutyńskim, już w dziedzicznych swoich dobrach *Zosołach* w tymże trakcie położonych, pracując tam w cichości i pokorze nad ożywieniem wiary i ducha polskiego, który tę prowincję podbił moralnie nierównie skuteczniej, niż ją niegdyś oręż polski był zdobył na inflanckich Krzyżakach.

Zbożną działalność biskupa w kraju rodzimym upamiętniły liczne szpitale, kościołki i kaplice niemal w każdym dworze i dworku stawiane, a z nich niektóre i dotąd jeszcze istnieją.

Po podziale Polski w r. 1772 część ostatniego biskupstwa inflanckiego (erygowanego w r. 1677) do nowo-utworzonej archidiecezji mohylewskiej przyłączono, a i katolicy, mieszkający w dawnych „Inflantach szwedzkich“ czyli późniejszej gubernji inflanckiej, tudzież w Estonji, faktycznie trafili już w owym czasie pod zarząd duchowny smutnej pamięci arcybiskupa Sistrzeńcewicza, Kurlandję zaś całą i Semigalję przyjęli *ratione vicinitatis* biskupi żmudzcy. Wszelako do czasu formalnego zniesienia biskupstwa inflanckiego w roku 1798 przez nuncjusza Litę z woli Stolicy Apostolskiej dokonanego, jeszcze następujący pasterze tytułu „*episcopi Li-*

Russia degentem. Approbo, approbo“. L'adhésion était confirmée par l'élévation de Sistrzeńcewicz à la dignité archiépiscopale. Cathérine s'en contenta, puisque les jésuites la trouvaient suffisante. Ils étaient légitimement rétablis en Russie“.

¹⁾ Ks. *Stanisław Zaleski* „Jezuici w Polsce porozbiorowej“ (Kraków, 1907 r.) str. 198 tomu pierwszego.

²⁾ Obacz *G. Manteuffel* „Księstwo inflanckie XVII i XVIII stulecia“ (Kraków, 1897 r.) stronica 45-4a.

voniae“ stale używali: 1) *Antoni Sierakowski* od r. 1778 do 1780, 2) *Józef Kazimierz Kossakowski* od roku 1780 do 1794 i 3) *Jan Nepomucen Kossakowski* od roku 1794 do 1798, w którym biskupstwo inflanckie ostatecznie ustaje.

X.

Po odpadnięciu Inflant polskich od Rzeczypospolitej w roku 1772¹⁾, czeze już tylko tytuły księstwa i urzędów tak senatorskich jako i ziemskich przy Polsce pozostały²⁾. Same zaś Inflanty polskie czyli tak zwane księstwo inflanckie, przeszedłszy przy pierwszym rozbiore Rzeczypospolitej pod panowanie Rosji, z początku otrzymały nazwę „*provincji Dźwińskiej*“, a od roku 1802-go weszły w skład utworzonej wtedy *gubernji witebskiej*.

A że obraz przeszłości nowo-przylączonych do Witebska ziemian inflanckich, jaki w ni-niejszych krótkich zarysach usiłowaliśmy przedstawić treściwie, nie jest pełnym, — niechże nam jeszcze będzie wolno uzupełnić go choć trochę, dotykając na zakończenie płodów literackich dawnego województwa inflanckiego.

Tu najpierw przedstawia się pamięci naszej kronika domowa polsko-inflanckiej gałęzi Korffów, przechowywana starannie po dzień dzisiejszy w ich dziedzicznym zamku Kryżborku, ale dotąd niestety drukiem nie ogłoszona i dla tego dla większości badaczy dziejów inflanckich zgoła nie przystępna.

Opisuje w niej szczegółowo bohaterski autor, walczący przy boku króla Stefana Batorego czyny jego wojenne w tej części kraju dokonane. Rękopis ów cenny rzuca częstokroć nowe światło na czasy i obyczaje ówczesne a znane nawet wiadomości uzupełnia nowymi szczegółami. Imię autora: *Mikołaj na Kryżborku Korff*, pierwszy na owym zamku pan. Obdarzył go nim za czyny waleczne król Batory, ofiarowując mu równocześnie rozstruchan srebrny w obozie ukuty (z herbem Korffów do polskiego herbu „Gozdawa“ nader podobnym) a od roku 1585 przechowywany w zamku kryżborskim jako cenna relikwia.

Do wieku XVII podaje (w sprawach o biskupstwo piltyńskie) ciekawy lubo jednostronnie zebrany materiał *Dawid Werner*, domowy predykant dziedzica Indrycy Jana Andrzeja Platara, starosty dyneburskiego, oczywiście zanim ten Plater, po roku 1696-tym, przyjął wyznanie rzymsko-katolickie. Tytuł ciekawego pod niektórymi względami rękopisu Dawida Wenera: „*Annales antiquae Livoniae*“. Istnieje on aż w dwóch egzemplarzach w bibliotece miejskiej w Rydze.

W wieku XVIII wydały Inflanty polskie wielu wcale wybitnych, lubo obecnie już mało znanych, pisarzy. Wspomnieliśmy już poprzednio o wierszach łacińskich *Jana Ludwika Platara* od roku 1735 wojewody inflanckiego, męża bystrego rozumu i wielkiej biegłości w sprawach krajowych i publicznych.

Wspominaliśmy także pobieżnie o dziełach teologicznych biskupa *Jerzego Mikołaja Hylzena*, kreślonych już-to po łacinie, już po polsku. Niektóre z nich cieszyły się wielkiem powodzeniem, jak naprzykład wydawana aż 6 razy „*Wojna duchowna*“³⁾.

„*Katechizm historyczny*“ z francuskiego przez niego na polski przełożony z dzieł *Klaudjusza Fleury*, wydany w r. 1746 (2 tomy w 8-ce, tom 1 str. 205 tom 2-gi str. 212). W przedmowie powiada autor „że materja i ułożenie jest *Fleurego*, ale gdy autor miał baczność na

¹⁾ Zbiór praw rosyjskich „*Полное Собрание Законовъ*“ w tomie XIX str. 553 № 13,850, pomiędzy prowincjami nabytymi od Polski w roku 1772, na pierwszym miejscu wymienia Inflanty polskie słowami: „*Польская Лифляндія*“.

²⁾ Mimo to jednak, jakeśmy w rozdziale poprzednim zaznaczyli, nie brakło postów z księstwa inflanckiego na sejmie czteroletnim w Warszawie.

³⁾ Obacz *Janocki* „*Polonia*“ I, 28, *Jocher* „*Obraz*“ III, str. 55.

czas i miejsce i mniej swobodnie pisał, tłumacz ochraniając to, niektóre rzeczy opuścił, inne przydał, żeby czytanie książki przedstawiało więcej bezpieczeństwa i pożytku¹⁾.

Nie mniejszem powodzeniem cieszyła się w swoim czasie książka tegoż Jerzego Mikołaja Hylzena wydana w r. 1747 w 8-ce, bez oznaczenia miejsca druku p. t. „Prawidła kaznodziejstwa“.

Oprócz dzieł tu przez nas przytoczonych, znamy tegoż autora kilka prac łacińskich, jako to: „*Monita confessarii etc. per Georgium ab Hülßen episcopum smolenscensem*“ (Gedani 1749), drugie wydanie z r. 1758, następnie: „*Monita generalia*“ (Vilnae 1752) a także „*Pia ad SSS. Trinitatem suspiria*“ (Vilnae 1750) a po polsku „Głos polski biskupa smoleńskiego czyli nauki pasterskie na niedziele i święta“ (wydane w 4-ce w r. 1756).

W roku 1750 wydał kasztelan inflancki *Jan August Hylzen* kronikę pod tytułem: „*Inflanty w dawnych swych y wielorakich aż do wieku naszego dziejach y rewolucjach i t. d.*“ Wilno 1750 r. w 4-ce stron. 457 i LV oprócz kart tytułowych i przedmowy. Pan kasztelan, co prawda, nie miał jasnego pojęcia o tem, jak dzieje pisać należy. Jest on tylko kronikarzem pod względem myśli, treści i formy. Rozdzielił dzieło swoje na dwie bardzo nierówne części: w pierwszej, mającej stron 414, rozповіда o dziejach dawnych Inflant, przeplatając co chwila fakty historyczne baśniami, które już w r. 1786 w czasopiśmie „*Hupel's Nordische Miscellaneen*“ trafne odparcie znalazły²⁾; w drugiej, mającej tylko 57 stronic, rozprawia o szlachcie polsko-inflanckiej, o Kurlandji i o Piltyniu. Nie dość że nazwiska rodzin niemieckich a nawet landmistrzów zakonu inflanckiego w sposób najdziwniejszy przekręca, ale nadto, dla niektórych z nich, nowe zgoła wynajduje. Uwiedziony komplementem panegirysty pijara, nazywa landmistrza inflanckiego *Robina de Eltza* już to Lobeuszem Hylzenem, już to Henrykiem de Hülßen i zalicza go do swych przodków, błąd, w który ślepo za nim postępując, bezwiednie wpada zasłużony historyk polski Julian Bartoszewicz, mieszający prócz tego co chwila tak jak i kasztelan Hylzen, zgoła odrębne pojęcia *zakonu kawalerów mieczowych* z ustalonym później w Inflantach *zakonem inflancko-krzyżackim*. Kasztelan nasz przezacny tak dalece jest kronikarzem, że umieszcza w tekście dokumenta i akta urzędowe; nie tłumaczy ich nawet, jeżeli po łacinie napisane były, a po prostu sam tylko oryginał w tekście drukuje. Dlatego dzieło jego jest właściwie tylko materiałem do dziejów, ale nigdy dziejami, nie jest nawet kroniką, bo i kronikarz zawsze opowiada i ma pewien sąd o wypadkach, a nie przepisuje jeden za drugim dokumentów. Nawet powierzchowność księgi uderza. Tekst Hylzena drukowany małymi czcionkami: wszelkie zaś wstawki wielkimi, a wstawek tych czem dalej tem więcej, tak że niezawodnie większą część książki stanowią. Obszerną jej ocenę znaleźć może czytelnik w książce naszej „*Inflanty polskie*“. (Poznań 1879) na str. 37—43. Tu zaś tylko zauważymy, że panowanie Zygmunta Augusta i unja Inflant z Polską za tego króla zawarta, stanowi oś główną około której obraca się całe dzieło. Wielki to w ogóle panegiryk osobom co w dziejach Inflant zasłużyły.

Książce Hylzena atoli, pomimo jej wad, niepodobna odmówić znakomitej zasługi, jaką dla dziejów naszych w swoim czasie położyła. Stanowi ona i dotąd w języku polskim materiały dosyć ważny, jakiego wszakże tylko z wielką przeczornością używać należy.

Urodzony w roku 1735 w Inflantach polskich w dobrach swych dziedzicznych Zosołach biskup *Jan Benislawski*, pozostawił dwa dzieła: „*Institutiones logicae*“ (Vilnae, A-no 1774) i „*Rozmyślenia dla księży świeckich o powinnościach chrześcijańskich i t. d.*“ (Połock 1799 r. 2 tomy). Musiało to dzieło być cenione jeśli po 60 latach wydano je na nowo w Warszawie w r. 1859-ym.

¹⁾ Patrz *Jocher*, tamże, III, 405 i 614.

²⁾ Ob. „*Hupel's Nordische Miscellaneen*“. Ryga 1786 r. poszyty 11 i 12 str. 362—374.

Liczniesze dzieła zostawił bądź w druku bądź w rękopisach *Kazimierz Konstanty Plater*, ostatni podkanclerzy litewski, dziedzic Indrycy.

Zaczynam od tych, co zaledwie po siedmiu dziesiątkach lat drukiem ogłoszone zostały. Są to jego listy z podróży do Kaniowa 1787 roku; wydał je *I. J. Kraszewski* w Wilnie 1860 roku, oraz „Dyaryusz“ czyli opis czynności autora, który w roku 1792 jeździł jako poseł Rzpltej Polskiej do Petersburga. Ów dyaryusz drukowany w dodatku do krakowskiego „Czasu“ w ciągu roku 1856.

Z prac Kazim. Konstantego Platera, wydanych za jego życia, przytaczamy: „Listy posła i konsyljarza synów do ojca na wsi mieszkającego, oraz odpowiedź tegoż ojca w materjach sejm dzisiejszy zatrudniających“ (9 części, Warszawa 1788 roku) a także „O banku narodowym w Polsce“ (Warszawa 1789 roku ¹⁾).

Wspominaliśmy już w jednym z rozdziałów poprzednich, że małżonka tegoż indryckiego Platera, *Izabella z Borchów Platerowa* była pierwszą u nas redaktorką czasopisma dla dzieci.

Pozostaje więc nam teraz już tylko przytoczyć tu tytuł: „*Przyjaciel dzieci*, pismo tygodniowe“ (Warszawa, roczniki z lat 1789 do 1792, ogółem tomów 5 w 8-ce).

Jan Albert Korff, którego współczesny mu kronikarz Hylzen do polsko-inflackich Korffów najwyraźniej zalicza, — jako prezes petersburskiej Akademii umiejętności pisał poważne dzieła. Z nich przytaczamy: „*Demonstratio qua facultatem eligendi ducis Curlandiae optime jure devolutam ex rerum gestarum indubitabile monumentis ostenditur*“, a także pracę jego niemiecką „*Nachrichten über den litauischen Grossfürsten Gedimin*“ oraz rzecz o konstytucji grodzieńskiej z roku 1726-go.

Porównaj życiorys jego w „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej“ (tom XXXVI, Warszawa 1905 r.), lubo nader treściwy, ale kreślony przez nas na podstawie źródeł archiwalnych. Wielką ich część posiada dział rękopismieniny biblioteki miejskiej w Rydze.

Nader płodnym, chociaż weale niewybitnym pisarzem, był wojewoda bełzki *Michał Borch*, syn wielkiego kanclerza koronnego, urodzony w roku 1751. Odebrał on wychowanie w owym czasie zupełnie modne, po francusku.

W młodym wieku wszedł wprawdzie do wojska koronnego, ale już w latach 1776 i 77 znachodzimy go wyłącznie zagranicą.

Odbywał podróże po Sycylii, zachęcony powabnym opisem tego kraju przez Brydona „*Voyage pittoresque de la Sicile*“. Idąc za popędem rycerskim udał się dalej do Malty. Stąd urosły jego dwie książki francuskie o tej podróży, które nieco później ogłosił.

¹⁾ Z innych prac Kazim. Konst. Platera znamy: „List obywatela do ojca z synem posłem korespondującego“ (Warszawa 1788), „Mowy, zdania i przemówienia się na sejmie 1788 roku“ (tamże 1791 r.), „Głos starośców do stanów zgromadzonych na sejm 1789 roku“, „Kosmopolita do narodu polskiego“ (tamże 1789 r.) oraz rozprawę francuską „*Quelque chose concernant la souveraineté du roi et de la république de Pologne sur les duchés de Courlande et de Semigalle*“, ogłoszoną w Warszawie w roku 1792 i niemiecki jej przekład z uwagami Fri Schulca i wiele broszur mniejszych, jakie pomijamy. Zostawił zaś w rękopisie „Dzieje królestwa polskiego za Stanisława Augusta“ tomów 16, których atoli dotąd nikt nie ogłasza dlatego oczywiście, że autor owych dziejów przyjął podkanclerstwo z rąk Sieversza, w roku 1793, w rządzie tworzonym dla Polski po dokonaniu drugiego rozbioru, z czego wnosić już można, iż poglądy jego nie zawsze odznaczają się niezbędną u dziejopisarza bezstronnością.



Michał Hr. Borch
z portretu Lampi'ego.

Młody, wcale zdolny, ale bardzo powierzchowny i niesłuchanie próżny, wszystkim się po kolei zajmował, szczególnie zaś polubił nauki przyrodnicze.

Traktował więc z upodobaniem historję naturalną, mierzył wysokość Etny, badał elektryczność i pisał o niej po włosku i po francusku ¹⁾.

Zaznaczyliśmy już w przypisku, że wojewoda bełzki Michał Borch był także pisarzem okolicznościowym i wypisywał przytaczane przez nas w odsyłaczu dziwolągi literackie.

Nie mniej ciekawy płód okolicznościowy pozostawił niejaki *Konstanty Benisławski*, ziemianin powiatu lucyńskiego; tytuł tego oryginalnego okazu podajemy z całą ścisłością bibliograficzną w przypisku ²⁾.

Posel na sejm czteroletni, pułkownik *Stanisław Kublicki*, dziedzic dóbr *Lauder* i *Sołosz* w powiecie lucyńskim, pisywał w drugiej połowie wieku XVIII liczne komedje, grywane na ówczesnej scenie warszawskiej, jako to: „Obrona Trembowli“, wydana w Warszawie 1764 r. (drugie wydanie wyszło 1789 r.), „Na postrachu wszystko się zakończy“ (wydane tamże 1780 roku), „Ubył bankrut“ i t. p. Wszystko są to płody małej wartości literackiej. Ale „Obrona Trembowli“ o tyle godną jest uwagi, iż była pierwszą tego rodzaju pracą, osnutą na dziejach ojczystych. Tenże Stanisław Kublicki wydał popularną niegdyś książkę pod tytułem: „Bajeczki i zabawki prozą i wierszem“. Dziełko to wyszło w Grodnie w roku 1785. Cały zaś szereg przemówień sejmowych tegoż Inflantczyka z roku 1788 przytacza bibliografja Karola Estrejchera w tomie IX na str. 561, a szereg podobnychże przemówień autora z roku 1789

¹⁾ Tytuł pracy: „Le principe de l'électricité“, „Il principio del electricismo“. Wydanie z roku 1777 mieliśmy nieraz w ręku w dawnej jego siedzibie w Warklanach. Jest przepyszne, format *in folio* mniejsze, każda stronica w wspaniałych obwódkach rysunkowych, stronice przepołowione, a na nich z jednej strony oryginał francuski Borchy, z drugiej włoskie tłumaczenie. Zrazu dzieło to nam zaimponowało. Zajrzawszy atoli do treści, przekonaaliśmy się niebawem, że pod poważnym tytułem autor wydał tylko... ody do elektryczności! Oprócz owej ody drukował on w Turynie książkę pod Tytułem: „Minéralogie sicilienne“, wyszła w roku 1780, oraz „Lettres sur la Sicile et l'île de Malte, écrites en 1777“, które wydał w dwóch tomach w roku 1782.

Musiły one mieć pewien rozgłos w swoim czasie, gdyż wspomina o nich gienjalny Goethe w swojej „Italienische Reise“ (obacz „Goethes Werke“ tom XXIII), a oddawszy Borchowi należny mu hołd uznania, dodaje: „Die Tätigkeit des Grafen scheint mir übrigens grösser als seine Kenntnisse; er verfährt mit einem gewissen Selbstbehagen, das dem bescheidenen Ernst zuwider ist, mit dem man wichtige Gegenstände behandeln sollte“. (Słowa te wypisał Goethe 13 kwietnia 1787 roku).

W chwili kiedy Goethe kreślił te słowa, Borch już piastował godność senatora. W 3 lata później, gdy złożył senatorstwo ocieżyła wojewoda, bo i to nawet było mu za ciężkie, osiadł w dobrach swoich polsko-inflanckich i w głównej ich siedzibie, Warklanach, w powiecie rzezyckim, otoczony jezuitami oddał się praktykom religijnym i piśmiennictwu. Wtenczas wydał po polsku: „Uwagi nad chorobami, wadami i uszkodzeniami wszelkiego gatunku drzew owocowych i do budowy zdalnych, z sposobem ich leczenia odkrytym i używanym przez Wilhelma Forsyth, ogrodnika króla I-ci angielskiego w Kensington“ (Warszawa, 1791 roku). W roku 1798 wydał w Bazylei przekład „Oberona“ Wielanda na język francuski! Posiadał piękne zbiory, bibliotekę bogatą, z której w połowie XIX stulecia wraz z wnukiem jego, Anatolem Borchem, korzystał niejednokrotnie piszący.

Pomijam tu zgoła niefortunne jego płody literackie jak np.: „Victor Amédée, tragédie en 5 actes et en vers“ (Varsovie, 1789) i wiele innych podobnych, jakie najsumiennie wylicza niemiecki „Schriftsteller-und Gelehrten-Lexicon der Provinzen Liv-Est-und Kurland“ (Mitawa, 1827—1837 roku). Najdrastyczniejsze z nich jednak wymienię: „La Stanislade ou l'heureuse délivrance (*sic!*) de Stanislas II roi de Pologne“ a także „Promenade sentimentale au parc du château de Warklany“. Co prawda nie jednemu szarlatanowi za życia hołdy składano, a dziś albo z niego szydzą, albo mu zlorzeczą! Ale bo w wieku XVIII umieć po francusku i wydawać książki, było to umieć wszystkie języki świata, żyjące i umarłe, a więc móc uchodzić za uczonego.

²⁾ Jest to obszerny poemat, wydany w Wilnie u jezuitów. Przydługi tytuł owej elukubracji przytaczamy dosłownie: „Pienie całodzienne i całonocne na przybycie do krajów swych białorusyjskich (?) najjaśniejszej Imperatorowej, cesarzowej Katarzyny II, stworzycielki, prawodawczyni i matki całej Rosyi, od poddaństwa prowincyi dźwińskiej wierszem królewskim (?) złożone“ (Wilno, 1780 roku, autor Konstanty Benisławski).

wzmiankuje znakomity nasz bibliograf w tymże tomie IX na str. 579, наконец jedno tylko przemówienie z roku 1790 cytuję na stronie 602-giej.

Z czasu sejmu czteroletniego istnieje także wydana u pijarów w Warszawie praca okolicznościowa wielkiego marszałka wielkiego księstwa litewskiego *Stanisława Sołtana*, dziedzica dóbr *Andreпно* i *Zielonpol* w rzezyckiem, *Lideksna* ze *Sprykutowem* w lutyńskim i *Zdzięcioła* w województwie grodzieńskim. Tytuł jej: „Głos na sesji sejmowej z dnia 19 stycznia 1789 roku“.

Oprócz tych autorów i licznych najczęściej nieznanych z imienia pisarzy bądź okolicznościowych, bądź też religijno-ludowych ¹⁾, należy się tu wzmianka dwom jeszcze talentom pisarskim.

Jan Łukaszewicz, jezuita dyneburski, pisał w wieku XVIII pieśni pobożne dla ludu polsko-inflanckiego w języku *łotewskim*, niejednokrotnie odtąd przedrukowywane, a *Konstancja Beniśławska*, stolnikowa inflancka, wślawiła się wydanym w Wilnie w roku 1776 zbiorem pieśni religijnych pod tytułem: „*Pieśni sobie śpiewane, a za naleganiem przyjaciół z cienia wiejskiego na światło wydane* od Konstancyi z Ryków Beniśławskiej Stolnikowej Xięstwa Inflantkiego“. Książkę tę posiadamy w naszym księgozbiore. Stanowi ona obecnie prawdziwą rzadkość bibliograficzną, wydobytą na jaw przez badania nowszych krytyków ²⁾. Z nich dowiadujemy się, że autorka „*Pieśni sobie śpiewanych*“ czynna, energiczna w życiu prywatnem, promienieje umysłową wyższością na swoje otoczenie, a zaś w pieśniach swych, zda się jakby od wiru i gwaru ludzkiego w inne jakieś lepsze uciekała światy. „*Pieśni sobie śpiewane*“, co ku niebu ją wznosiły, mają nie tylko wartość bibliograficznej rzadkości, ale już dzisiaj pewną wartość literacką.

Cykl pieśni p. t. „*Ojciec nasz*“ stanowi punkt kulminacyjny w poetyckiej twórczości autorki, i on też w swoim czasie jej sławę ugruntował. Te „*Pieśni sobie śpiewane*“ są to rozmyślanie, dowodzenie i modlitwy. Są wśród nich zwrotki, które, zdaniem znawców, w antologjach poezji XVIII stulecia stałe miejsce zająć powinny.

Spuścizna literacka Stolnikowej Beniśławskiej, lubo wcale niepospolita,—nie pozwala jej jednak stanąć w równym rzędzie z Drużbacką, Hofmanową, Ziemięcką, Deotymą, a cóż dopiero z Orzeszkową lub Konopnicką. Ale, jeśli nawet widzieć w niej trzeciorzędą tylko gwiazdę—twierdzi trafnie jej biograf Czesław Jankowski — to gwiazdki tej znaczenie niechybnie

¹⁾ Dziełka polsko-inflanckie religijno-ludowe w wieku XVII i XVIII wydane, wylicza systematycznie praca nasza bibliograficzna pod tytułem: „*Bibliographische Notiz über lettische Schriften, die von 1604 bis 1871 in der polnisch-livländischen Mundart veröffentlicht worden sind*“, ogłoszona w tomie XVII na stronach 80 do 205 tej Rocznika uczonego Towarzystwa łotewsko-literackiego pod nazwą: „*Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft*“ (1885 r.). Porównaj w owym spisie bibliograficznym numer 4 do 28-miu, gdzie szczegółowo są one omówione.

²⁾ 1. *Bronisław Grabowski* w artykule „o autorkach polskich XVIII wieku“, zamieszczonym w warszawskim czasopiśmie „*Bluszcz*“ z r. 1888, wymienia Stolnikową Beniśławską jako autorkę „*Pieśni sobie śpiewanych*“. Już przed nim uczynili to J. I. Kraszewski w dziele „*Wilno od początków jego do roku 1780*“ tom IV str. 323 i G. Manteuffel w książce „*Inflanty*“ (Poznań 1879) na str. 91, podając tytuł tego utworu z bibliograficzną ścisłością.

2. *Wincenty Dawid* w artykule „*Zapoznane rymy*“, umieszczonym w „*Niwie*“ (№ 2 z r. 1891) podnosi wysoko utwory Stolnikowej Beniśławskiej.

3. *Czesław Jankowski* w artykule „*W sprawie pieśni sobie śpiewanych Stolnikowej Beniśławskiej*“ (warszawski dziennik „*Słowo*“ № 29 z r. 1891) przypisuje utworom tejże autorki wartość niepospolitą i prosi czytelników o udzielenie mu bliższych informacji, niezbędnych do skreślenia obszernego życiorysu utalentowanej Stolnikowej.

4. Tenże autor w r. 1893 ogłosił w „*Tygodniku Ilustrowanym*“. (Tom VII serji piątej str. 308—309, 327—330, 343—344, 362—363 i 375—378) studjum p. t. „*Konstancja z Ryków Beniśławska, sylwetka poetki z XVIII wieku*“ dając przytem portret Stolnikowej inflantkiej.

podniesie ta okoliczność, iż wcześniej niż inne zabłysła, a w konstelacji pomniejszych nie ostatnie zajmuje miejsce.

Otóż i wszystko co przytoczyć możemy z plodów literackich Inflant polskich z czasów kiedy one nosiły nazwę „księstwa inflanckiego“.

Odkąd wchodzi w skład gubernji witebskiej, nabiera w nich rozgłosu, jako literat, *Kazimierz Bujnicki* (ur. 1788 † 1878 r.), od początku XIX stulecia osiedlony w Dagdzie, znanej nam już z poprzednich rozdziałów ulubionej rezydencji wymarłych całkowicie inflanckich Hylzenów, a chociaż urodzony i wychowany na Białej Rusi, w publicystyce i powieści pierwszej połowy wieku XIX występuje jako rzekomy przedstawiciel Inflant polskich. Wychowany naprzód w domu, pod okiem ojca, potem u jezuitów, pod wpływem tych ostatnich, łatwo się poddał prądowi reakcyjnemu, jaki wśród możnych rodzin zarówno na Wołyniu, jak po części w Inflantach, a zwłaszcza na Białej Rusi, w dobie dojrzewania jego umysłu uwydatnił się w początkach XIX stulecia. Słusznie powiada o nim wytrawny krytyk Piotr Chmielowski, że pokrewieństwem poglądów religijnych i społecznych łączy się z Ignacym Chodźką, umysł ma od Chodźki bystrzejszy, lepiej ukształcony, lecz talent mniejszy. Pod względem upodobań literackich podzielał oczywiście panujący jeszcze smak pseudo-klasyczny, pisywał szumne ody, źle zresztą przez krytykę przyjmowane, ale złożył w końcu hołd nowoczesnemu kierunkowi, podobnie jak Chodźko, chociaż nie pozbył się dawnych klasycznych przyzwyczajęń, stylu nieco sztywnego i wspomnień mitologicznych w poezji.

Jako poeta, nie posiadał ani obfitej, ani ruchliwej wyobraźni. Skłonny był do ironji i szyderstwa; to też najudatniej kreślił obrazki z życia powszedniego, gdzie niema ani silnych namiętności, ani wzniosłych natchnień, ani myśli wielkich. Dlatego najlepiej mu się udawały gawędy jowialne jak *„Moje przygody“* (1841, Wilno). Niższe od nich są *„Siostra Gertruda“* (1842), a zwłaszcza *„Stanowisko poety“* (1848). „Podobnież i jego powieściowe utwory—twierdzi również Piotr Chmielowski—a więc *„Wędrówka po małych drogach“* (1841 dwa tomy), *„Pamiętniki księdza Jordana“* (1849—52 dwa tomy), *„Nowa wędrówka po małych drogach“* (1852 dwa tomy), *„Stara panna“* (1854), *„Biurko“* (1862), są jako całości artystyczne, bardzo słabe w ustępach wznioślejszego polotu—dalekie od doskonałości, ale za to w szczegółach życia potocznego nieraz wyborne. Łagodną satyrą i dowcipem salonowym Bujnicki umiał władać naprawdę; psychologia jego nie jest głęboka, ale zazwyczaj trafna. Był on w gruncie rzeczy nie artystą ale publicystą; forma artystyczna nie tyle go obchodziła, ile rozpowszechnienie umiłowanych przezeń przekonań, szczepienie ich w umysłach.

Temu pragnieniu uczyniło zadość założenie pisma zbiorowego *„Rubon“*, które się drukowało w Wilnie, gdyż Inflanty polskie w owym czasie porządnej drukarni nie miały. Wydawał je Bujnicki od roku 1842 do 1850. Wyszło tego pisma 10 tomów. Pobudziło ono do zawodu literackiego cały szereg ziemian Inflant polskich (a nawet sąsiedniej Białej Rusi) i rozszerzyło w nich chęć do czytania. Zwykłymi współpracownikami *Rubona* byli: *Adam Plater* z Krasławia, *Józef Plater* z Kombula, *Ignacy Chrapowicki* z Kochanowicz, *Józef Gierald-Wyżycki* z Rosicy, *Aleksander Groza* z Białej Rusi, *Michał Borch* z Prel i kilku innych ziemian ¹⁾. Jeżeli krytyka mówi z uznaniem o tej stronie działalności Bujnickiego, to przede wszystkim ma na uwadze wpływ do rozpowszechnienia czytelnictwa. Dziesięć tomów tego wydawnictwa daje i dzisiaj pewne pojęcie o ówczesnym stanie umysłowym prowincji. A jakkolwiek *Feliks Zieliński* wyraża się o „Rubonie“, że tak się miał do „*Athenaeum*“ Kra-

¹⁾ Do najsłabszych artykułów „*Rubona*“ należą niewątpliwie te, jakich dostarczyli *Józef Plater* i *Michał Borch* i one to zapewne przyczyniły się do zdyskredytowania tego pisma zbiorowego u ówczesnej krytyki, której zjadliwe wycieczki przeciw jego wydawcy, przeżywają po dzień dzisiejszy tak zwani „historycy literatury“ z nieukrywanym zadowoleniem.

szewskiego, jak Akademia połocka do uniwersytetu wileńskiego“, to wyznać należy, iż nie brakło zgoda w tem piśmie zbiorowem i artykułów cennych, jakie nawet na inne języki zostały przetłómaczone. Stosuję to zwłaszcza do kilku w nim ogłoszonych prac sędziwego *Adama Platera* z Krasławia i *Józefa Wyżyckiego* z Rosicy. Ten ostatni badacz miejscowej przyrody, mąż czynny, mający niezaprzeczone zasługi w ulepszeniu gospodarstwa w swojej okolicy, ogłosił w r. 1843 w „*Rubonie*“ interesującą i należyście opracowaną rozprawę „o *Torfie*“,



Adam Plater.

w której nawet skreśla historję kopalni torfowych w tym kraju. Oprócz tego wydał samodzielnie „*Zielnik ekonomiczno-techniczny*“ (Wilno 1845 r., dwa tomy w sporej 8-ce), i opisał w nim wyczerpująco florę Inflant polskich, a dzieło to w swoim czasie znane było ogólnie nie tylko w Inflantach, ale na Litwie i Rusi, zanim je nie zastąpiło jeszcze doskonalsze niemieckie, nad którym jeden z lekarzy powiatu rzeżyckiego *Dr. Edward Lehmann* pracował pilnie przez kilka dziesiątków lat i wydał je w końcu XIX stulecia pod tytułem „*Flora von Polnisch-Livland*“ (Dorpat 1895 r., dwa tomy z mapą) ¹⁾.

Co zaś do prac *Adama Platera*, ogłaszanych w „*Rubonie*“, to tłumaczono je i drukowano następnie w uczonych pismach niemieckich, jak dorpackie „*Inland*“ i ryskie „*Mitteilungen der Gesellschaft für Geschichte und Altertumskunde*“ i t. d. co bezwarunkowo przemawia za ich naukową wartością, jakiej płytki krytyk *Feliks Zieliński* niezdolał ocenić. Tenże *Adam Plater* wydał już w r. 1832 u *Glücksberga* w Wilnie „*Rzut oka na skład geognostyczny Inflant polskich*“, ceniony przez uczonych mineralogów. Lecz na większą jeszcze uwagę zasługuje dzieło ichtyologiczne tegoż autora, w którym pod wielu względami zasłużony w literaturze krajowej starzec, wszystkie gatunki ryb,

spotykane w Inflantach polskich, systematycznie ułożył. Autor, pomimo bardzo podeszłego wieku, sam te rysunki pracowicie wykonał, opisując skład anatomiczny wszelkich ryb polsko-inflanckich, zwłaszcza poławianych w głównej arterji wodnej kraju — Dźwinie. Skarb ten

¹⁾ Jak wielkiem uznaniem cieszy się w świecie naukowym znakomita praca D-ra Lehmana, poświęcona roślinności Inflant polskich i krajów ościennych, tego najwymowniejszym dowodem to, że w ciągu niewielu miesięcy, odkąd się ta książka na półkach księgarskich ukazała, omawiali ją mężowie fachowi w łamach najważniejszych pism naukowych z tej dziedziny wiedzy, że tylko przytoczę: „*Botanisches Centralblatt*“ tom I, XV, Nr 4, „*Petermanns Geographische Mitteilungen*“ z r. 1895, „*Verhandlungen der K. K. zoologisch-botanischen Gesellschaft in Wien*“ z roku 1895, Berlińskie czasopismo „*Naturwissenschaftliche Wochenschrift*“ Nr. 8, z r. 1896, „*Oesterreichische botanische Zeitschrift*“ z r. 1896 Nr. 33, „*Allgemeine botanische Zeitschrift*“ Nr. 1, (Karlsruhe 1896 r.) tudzież kilkadziesiąt pism i dzienników krajowych. W języku polskim podały obszernie recenzje tego dzieła „*Ateneum*“, zeszyt marcowy z r. 1897 i krakowski „*Przegląd Powszechny*“, tom 53, str. 108—111.

ichtyologiczny Inflant polskich złożył sędziwy uczony, w darze Warszawskiej Szkole Głównej przy jej otwarciu ¹⁾.

Wspomniany krytyk „Rubona“ z tego głównie powodu zdaje się niedoceniać to pismo zbiorowe że je założył reakcjonista Bujnicki; a o Bujnickim wyraża się w tych słowach: „Nie darmo urodził się on, wykształcił i żył na granicy dawnego województwa połockiego w którym się jezuici najdłużej, bo do roku 1820 utrzymywali, i — jak oni — ludzkość poczytywał za wiecznie niedojrzałe pacholę, któremu zawsze będzie potrzebny pasek duchowny, ażeby nie upadło i nie zbłąkało się...“ Inny krytyk, przytaczając powyższą złośliwą uwagę Feliksa Zielińskiego o Bujnickim, dodaje jeszcze bardziej uszczypliwie: „Te jego przekonania, daleko więcej aniżeli jego średni talent, wyjednały mu dyplom znakomitego powieściopisarza u ówczesnego rozdawcy godności literackich, *Michała Grabowskiego*, który sam coraz lichsze pisał powieści historyczne“. Wszelako wyznać należy, że z czasem pojęcia Bujnickiego znacznie się zmodyfikowały; nie tak już fanatycznie, jak dawniej, wojował, chłodził w swem uwielbieniu dla t. zw. arystokracji, a obraz Marnowickiego i jego żony, nakreślony w „*Biurku*“, oraz przedstawione tamże postaci księdza Gémicourt i panny Regard, wykazują dosadnie ujemne strony arystokracji. Co do artykułów naukowych Bujnickiego, ogłoszonych w wielkiej encyklopedji Orgelbranda, te istotnie nie wytrzymują krytyki poważnej.

Pierwszą pracą Bujnickiego było: dokonane w roku 1810 mierne tłumaczenie Komedjo-opery Holteja: „*Der alte Held*“, pod tytułem polskim: „*Kościuszko w Szwajcarii*“. Odegrano tę sztukę na złotem weselu Kaźmierzowstwa Bujnickich w Dagdzie w roku 1860, jak tego dowodzi przechowane po dzień dzisiejszy ogłoszenie przedstawienia w zbiorach *rzadkich afiszów* wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie. Rzadka to była uroczystość, na którą zebrało się przeszło dwustu ziemian nietylko z Inflant ale i z Litwy, ugaszczanych przez trzy dni w szopie eleganckiej w tym celu przez rodzinę jubilatów w parku odwiecznym Hylzenów wzniesionej, a w wielu pismach polskich ówczesnych dokładnie opisanej. Przemysłny architekt wykonał tę budowę tak zręcznie, że znakomicie służyć mogła nietylko za salę biesiad, ale i za wspaniałą salę balową. Wnętrze prowizorycznego gmachu o wysoko podniesionym pułapie, naśladującym sklepienie, opięte było białym perkalem, co mu dawało pozor sali, wykutej z białego marmuru, którą oświecał wspaniały brązowy pajak o stu pięćdziesięciu świecach oraz niezliczony szereg ósmioramiennych świeczników, rozmieszczonych na konsolach u lśniących białością ścian tymczasowego gmachu. Na przedstawienie teatralne osobny budynek był przeznaczony. Odbyło się ono pomiędzy 4-tą i 6-tą po południu. A że obiad na 7-mą był naznaczony, uczestnicy komedjo-opery pozostali w strojach teatralnych na wyraźne żądanie jubilatów. Jedynym w swoim rodzaju był widok, gdy, w chwili przedobiedniej, kilkanaście szwajcarek rozproszyło się po uroczym parku z towarzyszącymi im kawalerami wyfrakowanymi, a kilkunastu legjonistów ze sceny teatralnej miało za towarzyszek już nie szwajcarki, jak na scenie, ale panie z towarzystwa. To też ta pierwsza praca jubilata, wykonana 50 lat po jej napisaniu, wraziła się wszystkim widzom raz na zawsze, w sposób nader miły.

Ostatnią jego pracą było natomiast ogłoszenie w roku zgonu (1878), dawniej już dokonanego innego przekładu. Był nim „*Psalterz Dawidowy*“. Przekład ten atoli jest słaby i, — jak słusznie wyraził się o nim Piotr Chmielowski — dowodzi jedynie prawdy słów, wypowiedzianych niegdyś przez samego Bujnickiego w jego gawędzie jowialnej z roku 1841 p. t. „*Moje przygody*“: „Ach! kto się raz zachłysłnie wodą Hipokreny, wiek rymy dusić będzie: nie go nie uleczy“!

¹⁾ Jako objaśnienie do zupełnego zbioru ryb zrysowanych z natury, a poławianych w Inflantach polskich służy dziełko Adama Platera pod tytułem: „*Opisanie hydrograficzno-statystyczne Dźwiny oraz ryb w niej żyjących i t. d.* (Wilno, 1861 r.).

Na tem kończę pobieżny przegląd płodów literackich dawnych Inflant polskich od XVI do drugiej połowy XIX stulecia. Jakkolwiek nie wydał nasz kraik arcydzieł, cóżkolwiekby nie brakło w nim zgola kultury zachodniej i każdy bezstronny sprawozdawca niewątpliwie przyznać będzie musiał, że poziom wykształcenia przeciętnego jego ziemian, wyróżniał ich zawsze nader korzystnie od wielu innych okolic kraju.

To też po przyłączeniu „księstwa czyli województwa inflanckiego“ do dawnych województw połockiego i witebskiego, a utworzeniu z nich w roku 1802-gim dzisiejszej gubernji witebskiej—ogólne *wolne elekcje gubernjalne* niebawem poczęły wyróżniać ziemian inflanckich, obierając najczęściej najwyższych swych dostojników niemal wyłącznie z ich grona. Byli bowiem pomiędzy rokiem 1805 a 1863 (w którym ostatecznie wolne elekcje zniesiono) *marszałkami gubernjalnymi* gubernji witebskiej:

1) *Józef Borch* (były starosta lutyński, dziedzic Prelszczyzny w dyneburskiem i znacznych obszarów w lutyńskiem) od roku 1805—1807. 2) *Józef Szadurski* (dziedzic Puszy, Hofcumbergu, Duksztygału-Szadurskich oraz nabytych od Soltana Andrepna i Zielonpola w rzeżyckiem) od r. 1814—1817; 3) *Romuald Bohomolec* (dziedzic Rozentowa w rzeżyckiem, odziedziczonych po Falkerzambach) w roku 1819; 4) *Marcin Karnicki* (dziedzic Landskorony w lutyńskiem) od r. 1826—1833; 5) *Ignacy Szadurski* (dziedzic Puszy, Fejman, Andrepna, Zielonpola i Duksztygału-Szadurskich w rzeżyckiem a Hofcumbergu w dyneburskiem) od r. 1835 — 1838; 6) *Karol Borch* (dziedzic Warklańszczyzny i Murmelstejnu w rzeżyckiem) od r. 1838 — 1848; 7) *Mikołaj Hrebnicki* (w owym czasie już dziedzic Zalesia i Marcinpola w lutyńskiem) od r. 1844—1850; 8) *Michał Borch* (dziedzic całej Prelszczyzny w dyneburskiem) od r. 1850—1852; nakoniec 9) *Jan Lipski* (dziedzic Marjenhauzy w lutyńskiem) od r. 1859 do 1862.

W rok po śmierci tego ostatniego wybory szlacheckie, dla biurokracji zgola niepożądane, całkowicie zniesione zostały.

Wszelako najdosadniej maluje zachodnią kulturę ziemian Inflant polskich okoliczność dotąd mało komu pamiętna, że to właśnie oni pierwsi, na całym obszarze olbrzymiego caratu, podejmowali stale starania o wyzwolenie włościan z jarzma poddaństwa, a wkrótce poszła za ich przykładem i cała szlachta litewska, której owa chwalebna inicjatywa często bywa przypisywana.

Niektóre z ówczesnych w tym kulturalnym celu ze wszystkich trzech powiatów inflanckich zwoływane zjazdy ziemiańskie czyli t. zw. „*konwokacje*“ (do jakich niebawem przyłączył się i sąsiedni powiat *dryzieński*), przypomina sobie żywo piszący z lat swoich młodzieńczych, gdyż ojciec go na nie z sobą zabierał.

Najczynniejszy udział w ogólnych debatach na ówczesnych konwokacjach przyjmowali z powiatu *dyneburskiego*: Ludwik Plater z Indrycy, Mikołaj na Kryżborku Korff i Stanisław Zyberk, a po części nawet Kazimierz Bujnicki, którego zacofanie oczywiście nie było znowu tak wielkiem, jak je sobie wyobrażano; z powiatu *lutyńskiego*: Marcin i Jan Karniccy, tudzież Mikołaj Szadurski, a w ostatniej epoce i Józef Rodziewicz; z powiatu *rzeżyckiego*: Władysław Soltan, Karol Borch, Ignacy Bohomolec, Józef Wyżycki i piszącego ojciec. Nakoniec z powiatu *dryzieńskiego*: Ignacy Łopaciński, Mikołaj Szadurski i Justynjan Szczytt.

Gdy atoli za panowania Mikołaja I i pod tym względem muru głową przebić nie było można, bo przedstawienia w tej naglącej sprawie zawsze z niemałym nieukontentowaniem bywały ziemianom zwracane,—nie jeden z nich przystąpił bez dalszego wahania do oczynszowania swych włościan, by im stworzyć egzystencję nieco znośniejszą. Przytaczam jako przykład *Władysława Soltana*, dziedzica Prezmy w rzeżyckiem; innych sobie dokładnie nie przypominam, ale pamiętam, że ich nie brakło.

A kiedy nakoniec, za liberalnych początków panowania Aleksandra II, ogłoszoną została w całym cesarstwie emancypacja włościan,—ziemianie inflanccy postanowili dokonać własnem

staraniem przekładu na miejscowy język łotewski: „*Ustawy o uwolnieniu włościan z zależności poddańczej*“, wydanej d. 19 lutego 1861 roku ¹⁾ i wydrukować ją własnym sumptem dla wszystkich zarządów gminnych w powiatach inflanckich.

Przekładu owego już w ciągu lata 1861 r. dokonano dokładnie. Lecz gdy druk jego wymagał zezwolenia rządowego, odesłano manuskrypt do Petersburga dla uzyskania cenzury. Tam zaś, po niejakimś namyśle, postanowiono kazać oświadczyć ziemianom „ *iż tego rodzaju dobrodziejstwo winien otrzymać lud inflancki nie z rąk ziemian, ale tylko od rządu*“, który też przekład u siebie w ministerjum spraw wewnętrznych w tym celu zatrzymał. Okazało się atoli niebawem, że z drukiem przełożonej ustawy na nieznany język Łotwy polsko-inflanckiej, wyższe sfery w Petersburgu doradzić sobie w żaden sposób nie mogły. Wezwano więc ziemian inflanckich do Petersburga dla prowadzenia korekty i czuwania nad drukiem.

Zaledwie druk w Petersburgu u Jozafata Ohryzki został ukończony (a drukarnia nie miała prawa zostawić w ręku tłumacza ani jednego egzemplarza jego przekładu), wybuchł w maju 1862 roku znany powszechnie pożar w ministerjum spraw wewnętrznych i wszystkie w nim przechowywane wspaniałe poprawne egzemplarze przekładu łotewskiego zostały ofiarą płomieni.

Po niejakimś czasie miano ów przekład wydawać na nowo i rozpoczęto nawet druk jego; gdy jednak nastał pamiętny rok 1863, przerwano powtórne wydawnictwo jako, przy tych okolicznościach, nowym widokom biurokracji już zgola nieodpowiadające.

Do wszystkich zarządów gminnych i szkółek ludowych wprowadzono bowiem wtenczas język państwowy, a niebawem wzbronione zostały wszelkie druki w narzeczu ludu polsko-inflanckiego jako wydawane przeważnie przez ziemian, mianowicie: *abecadlniki i elementarze, arytmetyki, kalendarze, zbiory pieśni ludowych* i t. d.; ścigano nawet sprzedaż ksiąg do nabożeństwa łotewskich w ciągu długich lat czterdziestu, nierównie srożej niż na Litwie takichże litewskich. Słowem uniemożliwiono oświecanie ludu.

Niemniej jednak usiłowania kulturalne ziemian inflanckich zasłużyły sobie na dobrą pamięć i nie możemy zaiste odpowiedniej zakończyć niniejszego o nich wspomnienia, jak przypominając czytelnikom fakta powyższe, które same za siebie mówią.

Gustaw Manteuffel.

Ryga,

d. 18-go Grudnia 1908 roku.

¹⁾ „Положеніе о крестьянахъ вышедшихъ изъ крѣпостной зависимости“ oraz „Мѣстное положеніе для инфляндскихъ уѣздовъ Витебской губерніи“.

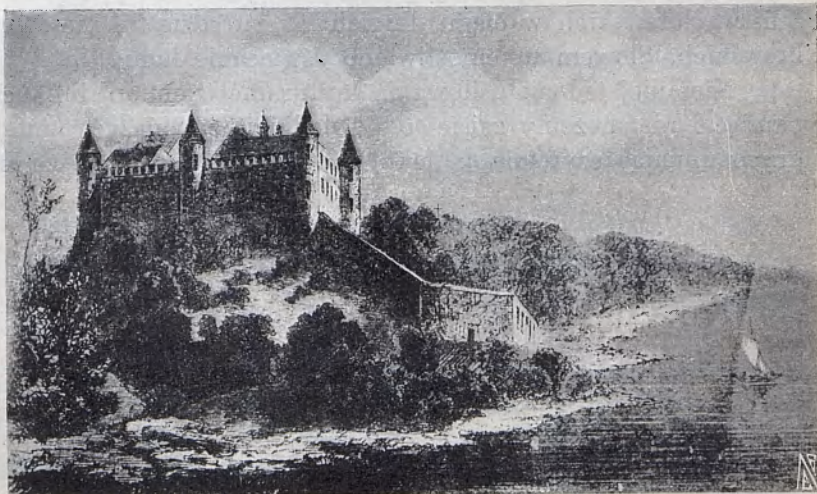


Bohdan Szachno.

Zamek Dyneburski.

Gród stołeczny Inflant Polskich, noszący dziś nazwę Dźwińska, do niedawna Dyneburg, został załedwie w XVI w., mianowicie w 1582 r. przez króla *Stefana Batorego* założony, stary zaś gród Dyneburski oddalony był od dzisiejszego miasta powiatowego Dźwińska, gub. Witebskiej, około dwóch mil, w górę rzeki Dźwiny, o dwie wiorsty odległości od stacji Józefowo, kolei Rygo-Orłowskiej.

Zamek warowny (château fort) w kronikach i dokumentach starych zwany: „Dunenborg“, „Duneborg“, „Duenborg“, też „Dynembork“, został w XIII stuleciu, około 1277 roku przez ówczesnego Mistrza prowincjonalnego (Magister provincialis, po niem. „Land- oder Heermeister“ krzyżaków inflanckich ¹⁾ *Ernesta de Rasseburg* (też Ratzeburg) nad rzeką Dźwiną, na prawym jej brzegu, na odosobnionej górze, nadzwyczaj wąskiej, pośród dwóch wąwozów, zbudowany.



Rysunek ten został wykonany w 1842 r. przez *Adama hr. Platera* z Krasławia, w części według rysunku wziętego ze starej kroniki (pisanej) *Juergenhelms'a*, w części według resztek fundamentów, jakie w tym czasie jeszcze pozostały. Górna część zamku wzięta ze starej ryciny, zaś dolna, dziedziniec warowny przy samej rzece Dźwinie, naszkicowana przez hr. Platera według fundamentów dziedzica. Rysunek z dodatkiem dziedzica był zamieszczony w pracy *Gustawa bar. Manteuffla „Inflanty Polskie“* i w wydawnictwie „*Rubon*“ przy artykule o zamku dyneburskim hr. Platera; rysunek pierwotny zamku z kroniki wyjęty przy artyk. Dr. Ph. C. E. *Napierskiego* w czasopiśmie „*Das Inland*“, Dorpat, 1832 r. „Ueber das Schloss und die comturei Dünaburg“.

¹⁾ Zakon rycerski inflancki był oddziałem niemieckiego zakonu krzyżackiego „Fratres domus Teutonicorum“, po niem. „Deutscher Orden“, „Kreuzritter“, „Kreuzherren“. Zakon niemiecki miał swego Wielkiego Mistrza „Hochmeister“. Ustanowiony w 1202 r. Zakon inflancki kawalerów mieczowych „Fratres Militiae Christi“, zwany też „Gladiferi“, i „Ensiteri“, po niem. „Schwertbrüder“, mający regułę Templariuszów, już w 1237 r.

Zamek panował nad rzeką i nad obszerną okolicą z jednej i drugiej strony rzeki. Dziś gruzły tylko i lochy zrujnowane przypominają, iż na tem miejscu w ciągu wielu wieków Polacy, Litwini, Rossjanie, Łotysze i Niemcy staczali boje zaciekle. Pod murami starego zamku Dyneburskiego na parę lat przed pogromem Grunwaldzkim zadał klęskę Krzyżakom inflanckim bohaterski zwycięzca z pod Grunwaldu i Tannenbergą, Wielki Książę Witold.

Zamek został wzniesiony przez krzyżaków w celu utrzymania w posłuszeństwie Litwinów, których posiadłości z ziemiami zakonu graniczyły. Już w czasie budowy zamku litwini, znając intencje Krzyżaków, starali się tej robocie przeszkodzić, lecz bezskutecznie. Zaraz też po wystawieniu zamku, Litwini pod dowództwem *Trojdena* (Romundowicza), przystąpili do szturmowania Dyneburga, za pomocą (jak kroniki głoszą) czterech wież ruchomych. Widząc jednak niepodobieństwo wzięcia twierdzy, zaniechali tego zamiaru.

Gmach zamku składał się z dwóch części: górnej i dolnej. Część górna zbudowana była z cegły czerwonej, rozmiarów znacznie większych, niż używana obecnie, na fundamentach kamiennych, w kształcie prostokąta podłużnego, 40 kroków szerokiego i 120 kroków długiego, wewnątrz, o ile z gruzów sądzić można, zabudowana, część dolna stanowić musiała dziedziniec zamkowy, mury tej części, na stromym spadku góry wzniesione, podpierając górny zamek rozszerzały się bardziej ku rzece i nad samym brzegiem Dźwiny tworzyły kwadrat. Miasto dawne Dyneburg leżeć musiało za wąwozem od strony zachodu, w miejscu gdzie obecnie stoi wieś nosząca nazwę „Stary Zamek“, po łotewsku „*Waca pile*“, za drugim zaś wąwozem od wschodu miał stać kościół, którego śladów dziś niema i cmentarz.

Po założeniu zamku, stale w nim rezydował komtur ¹⁾ Dyneburski, rządząc rozległemi posiadłościami, które graniczyły z Vogtostwem (wójtostwem) rzeżykiem i lueyńskim i w skład których to posiadłości wchodziły i ziemie, w dzisiejszym pow. Iłukszańskim położone.

Komtur posiadał pieczęć, której podobizna z r. 1397 podana: pole jej, w poprzek podzielone, w górnej części Matka Boska, trzymająca na ręku małego Jezusa, między dwoma słupami; w dolnej postać człowieka,

ka, zapewne rycerza, trzymającego w ręku zamek, z nadpisem dokoła: „S. ²⁾ *Commendatoris de Duneborge*“.

W 1315 r. litewski książę *Witenes* zdobył i zburzył warownię, którą jednak rycerze zakonnicy niebawem odbudowali, zakładając w niej osobną komandorię Dyneburską.

Zasłużony i nieustrudzony badacz przeszłości Inflant Polskich, Gustaw Baron Manteuffel, z dzieł którego przeważnie przy opracowaniu niniejszego artykułu korzystałem, podaje następujący spis rycerzy, którzy urząd komturów w Dyneburgu piastowali:

Teodoryk Fridach po r. 1367.

Bernard Havelman od r. 1387—1390.

zjednoczył się z zakonem krzyżackim niemieckim, przyjmując regułę tegoż ostatniego i strój zakonny a także jego nazwę: „*Fratres domus Teutonicorum*“, z dodatkiem jednak słowa: „*per Livoniam*“, w celu odróżnienia od pruskich krzyżaków.

¹⁾ Spotykamy też nazwę: „Comtur“, „Kumtur“, „Comthur“, „Kommentur“, „Commendator“.

²⁾ Sigillum.



Henryk v. d. Vorste od r. 1416—1418.

W. vom Loë w r. 1431.

Brunon von Hirtzberg od r. 1436—1438.

Henryk Sprengel w r. 1439.

Henryk Wedegge w r. 1445.

Jan Spar von Harten w r. 1450.

Engelbert Lappe von Koningen od r. 1473—1480.

Wilhelm von Bodinckhausen w r. 1481.

Jan Vincke von Overberg w r. 1501.

Walter von Plettenberg (synowiec W. mistrza i jego imiennik) w r. 1509.

Henryk von Bercken w r. 1514.

Henryk Plater od r. 1524—1526.

Jan von Eckel od r. 1527—1534.

Wilhelm Fürstenberg (późniejszy hermistrz inflanckiego zakonu) od r. 1535—1553.

Gotard Kettler (późniejszy hermistrz, a potem książę kurlandzki i semigalski) od r. 1554—1558.

i na koniec ostatni komtur zamku

Jerzy na Wyszlingu Zyberk (von Sieberg zu Wischlingen) w latach 1558 i 1559.

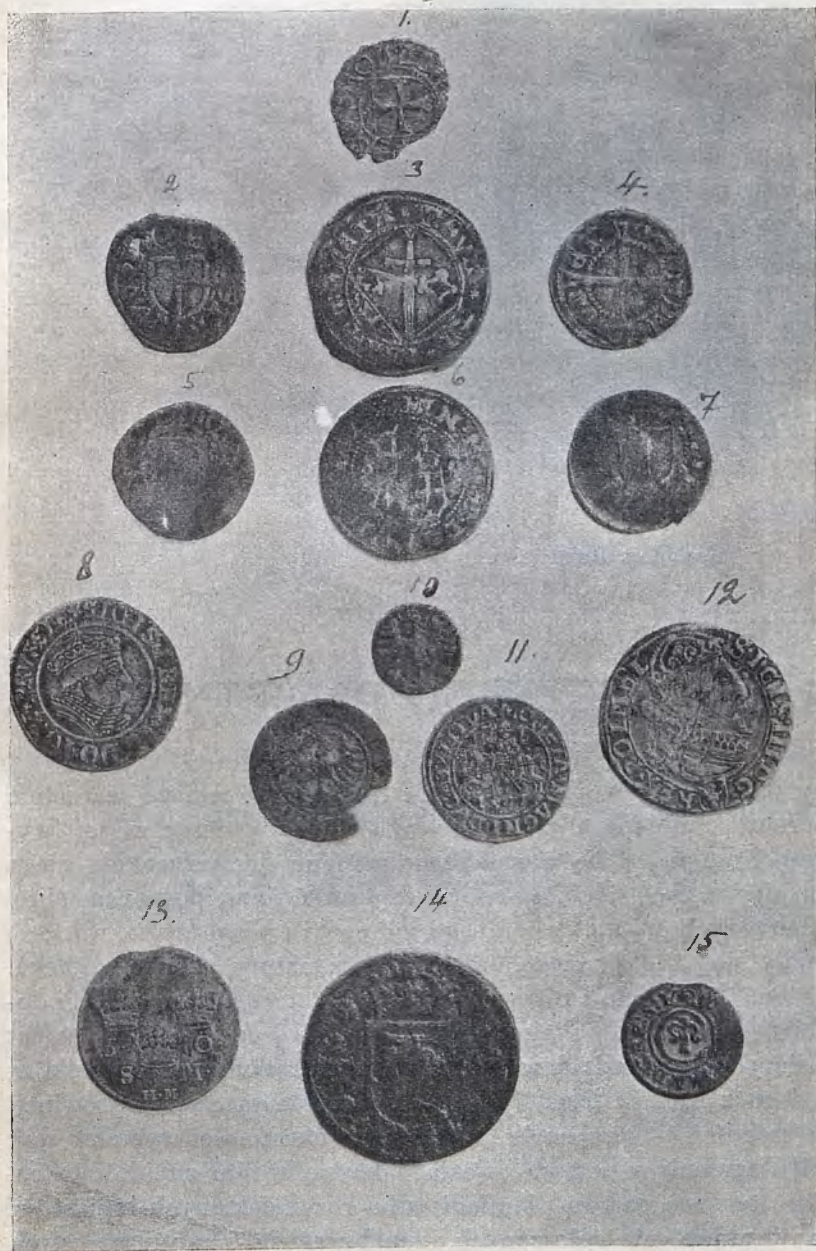
W 1403 r. Krzyżacy inflancy przedsięwzięli wyprawę na Litwę, pobici jednak zostali przez późniejszego zwycięscę z pod Grunwaldu W. Księcia Witolda, który ich aż do Dyneburga ścigał, zdobył, zrabował i spalił zamek „Dynebork“. Rycerze inflancy zaraz zemścili się strasznym napadem na Litwę, poczem zamek zburzony odbudowali i mocno go obwarowali.

Przy zawarciu w 1559 r. traktatu wileńskiego przez zakon krzyżacki z królem *Zygmuntem Augustem*, były komtur Dyneburski, ówczesny hermistrz zakonu inflanckiego *Gotard Kettler* oddał zamek w zakład *Zygmuntowi Augustowi* wraz z rozległemi jego ziemiami na koszt wojenne podczas obrony Inflant od cara *Iwana IV*.

Po dobrowolnem poddaniu się Inflant Polskich w 1561 roku królowi *Zygmuntowi Augustowi* i wezieniu Inflant całych do Korony w 1569 r. na sejmie lubelskim, przeszedł *Dynebork* ostatecznie pod panowanie Polski. Jednak już w 1577 roku, 11 sierpnia, został zamek, po dwutygodniowym oblężeniu przez cara *Iwana Wasiljewicza* (Groźnego), zdobyty, poczem car dalej z wojskiem pociągnął ku *Kreuzburgowi* (*Kryzborkowi*). Zaledwie się jednak oddalił, Polacy pod dowództwem *Wilhelma Platera* zamek zdobyli i zostawioną tam przez cara moskiewskiego załogę wycięli.

Stary zamek od tych bojów ostatnich tak srodze ucierpiał, iż król *Stefan Batory* w 1582 r. kazał warownię *Dyneburską* przenieść na miejsce dzisiejszej twierdzy *Dźwińskiej* przy mieście *Dźwińsku*, do niedawna *Dyneburgu*, gdzie usypać kazał nową wysoką ziemną warownię, zamek zaś stary, którego rysunek załączony, doszedł z biegiem czasu do zupełnej ruiny, tak iż dziś zaledwie ślady fundamentów i lochy zrujnowane pozostały. W pobliżu zamku jednak do czasów ostatnich oracze znajdowali rozmaite przedmioty starożytne, a między innemi rzeczami: kule kamienne, części broni litewskiej i łotewskiej starożytnej, a także monety, świadczące o przeszłości zamku. Załączone reprodukcje monet, w rozmaitych czasach w pobliżu zamku znalezionych, to świadectwo przeszłości i historii Inflant. Są tu monety starodawne krzyżackie (№№ 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7), z tych 3 ostatnie z herbami hermistrzów inflanckich: pierwsza (№ 5), na tarczy trzy koła, mistrza *Joannes Fritag de Lorinkhove*, od r. 1488—1494; druga (№ 7), tarcza wzdłuż na 2 części podzielona, mistrza *Gualterus de Pletenberg* od r. 1494—1535; trzecia

(№ 6), trzy znaki w kształcie litery Z na ukos położone, w tarczy na 4 części podzielonej, na przemian z herbem zakonu krzyżackiego (ecartelé), mistrza *Henricus a Galen* od r. 1551—



1557; następujące dalej monety (№№ 8, 9, 10, 11 i 12) są z czasów polskich: pierwsza (№ 8) z wizerunkiem króla Zygmunta I-go, ostatnia (№ 12) z wizerunkiem króla Zygmunta III; ostatnie trzy monety szwedzkie (№№ 13, 14 i 15) muszą być z czasów najazdów szwedzkich na Polskę i Inflanty.

Wież, położona u stóp zamku starego, na miejscu gdzie musiały być zabudowania dawniejszego miasta, a potem folwarku, wchodzącego w skład starostwa Dyneburskiego, do dnia dzisiejszego nosi nazwę, „Stary Zamek“. Została ta wieś założona na początku XIX w. za panowania Cesarza Mikołaja I, w czasie kiedy urządzano w powiecie Dyneburskim na ziemiach dawniejszego starostwa osady wojskowe¹⁾. Ziemie, otaczające zamek, zostały tym osadnikom podzielone, to też pośpieszyli ci ostatni sprzedać do sąsiedniego m. Dyneburga cegłę i kamień, a w części użyli te materiały i na własne budynki. Starania miejscowych ziemian, podjęte w celu uratowania od zagłady resztek murów zamku, nie zostały przez ówczesną miejscową administrację uwzględnione.

¹⁾ We folwarku Stary Zamek i sąsiednich wsiach, jak głosi Ukaz Cesarza Mikołaja I białoruskiemu generał-gubernatorowi wydany, miała być rozkolonizowaną I-sza Pionerna Brygada.

Źródła: Gustawa barona Manteuffla „Inflanty Polskie“, Poznań 1879 r.; tegoż autora „Dźwińsk“ w tomie XVII wielkiej encyklopedji powszechnej ilustrowanej; dalej artykuł „O Dyneburskim starym zamku“ Adama hr. Platera w piśmie zbiorowym „Rubon“, wydawanem przez K. Bujnickiego, w tomie III, Wilno, 1843 r.

Bohdan Szachno.



Kazimierz Bujnicki.

Ur. 1788, um. 1878.

„WYJĄTEK Z WŁASNORĘCZNEGO PAMIĘTNIKA“.

W roku 1860-m, namawiany od mojego przyjaciela Józefa Gerald-Wyżyckiego, zacząłem być pisać moje pamiętniki, albo raczej autobiografię na szeroką skalę, mieszcząc w niej wypadki polityczne mojego czasu wespół z tem, co się ważniejszego w moim domu i wokoło niego działo. Pamiętniki te spisywałem urywkowie, ale się starałem szycować je w porządku chronologicznym, zaczynając od lat pierwszych wieku dziecinności, od epoki mojego życia, w której wrażenia zewnętrzne stereotypowały się, że tak rzekę, w bystrej z natury pamięci dziecka. W ciągu lat trzech nie spełna byłem już napełnił pismem około 30-tu arkuszy papieru i doprowadził pasmo opowiadania do roku 1813-go, obejmujące 25 lat mojego życia, a 19 lat pamiętek. Właśnie com. był zakończył obraz zaszłych w 1812-m roku wiekopomnych wypadków, ową walkę olbrzymią Napoleona I-go z Aleksandrem I, która mieszkańcom naszej prowincji dała się być uczuć w całej swej srogości, — gdy nagły, nieopisanej okropności wypadek, jak piorun wszystko niszczący, obrócił dom mój w perzynę, a cała, jaka się w nim znajdowała ruchomość, niewylączając rękopisów, stała się pastwą płomieni, albo rozwścieklonych łupieżców. W liczbie prac moich literackich, drukiem nie ogłoszonych, znajdował się i raptularz onych pamiętników; taka widać była wola Najwyższego; poddałem się jej bez szemrania, a ponieważ wygnanemu ze spalonego domu, oddalonemu od gospodarstwa i skazanemu na wegetowanie już bardziej, niż na życie, na tym „padole płaczu“ nic nie pozostało, jedno walczyć ze srogim losem mężnie i z ufnością w nieprzebrane miłosierdzie Boga; aby więc nie oddać się bezczynności, pozbawiającej duszę hartu i pograżającej ją w smutek jałowy, niszczący moralne i fizyczne siły człowieka, postanowiłem zajmować się z umiarkowaniem, po dawnemu pracą umysłową i za pierwszy dla niej przedmiot obrałem pisanie nanowo moich pamiętników.

Wprzód atoli zanim zacznę ab ovo, od narodzenia mojego na tym świecie, chcę opisać ów wyżej wzmiankowany wypadek, który, między innemi spadłmi na mnie klęskami, spra-

wił zniszczenie przepisanej już na czysto 1-szej części moich pamiętników. Słabą albowiem mam nadzieję, iżby wiek mój bardzo już podeszły, obok frasunków, spowodowanych tylu nie-
szczęściami, dozwolił mi to opowiadanie doprowadzić do daty dzisiejszej, to jest do połowy
bieżącego 1863-go roku.

Zniszczenie mieszkalnego mego domu, w majątności mojej dziedzicznej Dagdzie, położo-
nej w powiecie Dynaburskim, gubernji Witebskiej, nastąpiło w dniu 16-m kwietnia tegoż 1863
roku¹⁾, a oto co było przyczyną żałośnego tego, bezprzykładnego w naszych stronach wy-
padku.

Zawiązane w roku 1861-m polskie powstanie wybuchło nareszcie w Królestwie Polskiem
w miesiącu styczniu 1863 roku. Przyczyny tego rozpaczliwego kroku opisywać nie jest moja
rzeczą, a zostawić tę pracę powinienem przyszłym dziejopisom, ograniczam się więc na skre-
śleniu tu samej tylko straszliwej katastrofy, której staliśmy się, ja i trzydziestu moich współ-
obywateli nieszczęśliwą ofiarą. Nie od rzeczy będzie atoli powiedzieć, iż owe powstanie, sze-
rząc się z bystrością, rzec można, pożaru, wkroczyło koleją do Litwy, a stamtąd do dawnych
Inflant polskich i do Białorusi. Zatlony i przez trzy blisko miesiące skrycie żarzący się ogień
ruchu powstańczego, podsycany wysyłaniami od tajemnego komitetu rządowego w Królestwie
agentami, za pośrednictwem prowincjonalnego komitetu litewskiego, wybuchnął nieszczęśliwie
dnia 13-o kwietnia. Wysłany z fortecy Dynaburskiej transport broni ognistej, napadnięty zo-
stał na drodze pocztowej między miasteczkami Krasławiem i Drują przez garstkę inflanckich
zbrojnych powstańców. Ci, po krótkiej walce, położywszy trupem słabą wojskową eskortę, zdo-
byli transport, część sztucerów zabrali z sobą, a resztę spalili. Zamach ten, na rozkaz komi-
tetu wykonany, równie odważnie jak nierozważnie, pociągnął za sobą najstraszliwsze klęski na
część powiatu Dyneburskiego i nawet Inflanty i cała Białoruś, postawiona na stopie wojennej,
uczula skutki tego porwania się na przemożne siły rządowe. Miejscowa władza, uwiadomiona
o napadzie na transport wojskowy, wezwiała włościan do współdziałania przeciw powstańcom.
Chłopi skarbowi, roskolnicy, rzucili się z zapalem do dzieła, a za ich przykładem włościanie
wiosek obywatelskich, świeżo emancypowani, skorzystali z okoliczności, by pod pozorem chwy-
tania powstańców, rzucić się na swoich dawnych panów, napadać ich dwory, rabować, niszczyć
i palić, a samych właścicieli porywać z domów, wiązać, znieważać i jak zbrodniarzy wło-
czyć dla oddawania komendom wojskowym, rozesłanym w różne strony dla stłumienia po-
wstania.

W dniu 14-m kwietnia rozpoczęli chłopi swoje rozbójnicze napady na dwory szlacheckie.
Dom mieszkalny obywatela Stanisława Mohla w majątności Wyszkach najpierwszym stał się
teatrem zajądłości i chciwości potężnego tłumu nabiegłych z wiosek skarbowych i okolicznych
włościan, po większej części rozkolków. Właściciela i szwagra jego p. Komara, oraz braci
Aleksandra i Jana Mohlów, goszczących tamże, porwali i skrępowali, samą panią Mohlową po-
dobnież, a zrabowawszy do szczytu wszystko, co się unieść dało, złupiwszy kasę domową, dom
obszerny, odznaczający się przepychem, podpalili, w gruzy go i w perzynę obracając.

Jednocześnie inna kupa złoczyńców napadła na Ludwiampol hrabiego Kazimierza Platera,
starca, żyjącego samotnie i zajmującego się jedynie gospodarstwem i zbieraniem grosza. Zna-
lazszy go w łóżku, bili go srodze pałkami, dopytując się o pieniądze, o których wiedzieli, że
się w wielkiej znajdowały ilości, a nakoniec jeden ze zbójów, brodacz, ciał go toporem w część
wierzchnią ramienia, nie trafiwszy w głowę, którą nieszczęśliwy męczennik instynktownie uchyl-
ił przed ciosem. Zrabowali potem dom, spichlerze i składy, zabrali ogromną sumę pienię-
dzy, w gotówce i w biletach, chowaną w sklepiu pod podłogą, i cały ten dwór zamożny zruj-
nowali i spalili. Urzędnik policji z kozakami przybył, czy zapóźno, czy też, jak się potem

¹⁾ Przyp. red. Autor używa stylu starego.

tlómaczył, za słabą miał siłę przeciw tysiącu rabusiów, świadkiem więc był tylko rozboju, a ranionego śmiertelnie Platera na chłopskim wozie do Krasławia odwieźć rozkazał, gdzie ten, przywieziony do pułkownika, dowódcy parku artyleryjskiego, Firsowa, kilka godzin pod gołym niebem zostawał bez opatrzenia, a gdy nakoniec ulokowano go w klasztoru sióstr miłosierdzia, już nie było sposobu zachowania go przy życiu i pomimo starań lekarza i szarytek, szóstego dnia, skutkiem przypadłej do rany gangreny, pożegnał się z tym światem.

Tegoż dnia 14-go kwietnia zostało zrabowane Dubno, majątność zięcia mojego Urbana Benisławskiego. Dwór tam jakoś nie doznał klęski pożaru od podpalenia, ale dom mieszkalny został wewnątrz srodze porujnowany, ruchomość rozgrabiona, zboże, bydło, konie, powozy i t. d. zabrane, jako zdobycz napastniczej dzikiej hordy. Właściciel porwany i zaprowadzony do Dynaburga, gdzie, wraz z innymi obywatelami, poddanymi równemu losowi, osadzony został w więzieniu w twierdzy; trzy zaś jego córki zdołały ubłagać rabusiów, że je puścili bez zniewagi, a tak biedne dziewczęta częścią piechotą, częścią na wózku chłopskim dostały się, dzięki Bogu, zdrowe do dworca kolei żelaznej, gdzie znalazły grafa Szuwałowa, dziękującego chłopstwu za gorliwość w imaniu powstańców, z zaleceniem, aby się nie dopuszczali morderstw, pożogi i grabieży; co atoli nie podziało na umysły rozjuszonego tłumu, jak się to później okazało. Rzeczona trzy moje wnuczki mogły więc za pozwoleniem gr. Szuwałowa udać się bezpiecznie do Dynaburga i na nowem przedmieściu tymczasowo się ulokować. Co do ich brata Bronisława, ten dnia tegoż rano, jeszcze przed napadem łupieżców, wyjechał był do Liksny i Schlossberga, lecz się zatrzymał w Liksnie dla nabożeństwa (gdyż to była niedziela), po którym, dowiedziawszy się, że coś strasznego wydarzyło się w Dubnie, pośpieszył napowrót, lecz zaledwie przybył, natychmiast został otoczony chłopstwem, porwany i zaprowadzony do fortecy dynaburskiej, gdzie go uwięziono.

Na drugi dzień (15-go kwietnia) rozpoczęły się też same okropności w innych częściach powiatu. Około 30-tu szlacheckich dworów zostało zrabowanych do szczeru i tyleż domów mieszkalnych obróconych w ruinę, między zaś temi były należące i do Niemców, co zdaje się dostatecznie dowodzić, że chłopstwo wiedzione było do tych zbrodni przez nienawiść do swych dawnych panów, przez chciwość zdobyczy nieprawej i przez demoralizację, posuniętą aż do zezwierzęcenia, a nie przez szczerą chęć dopomagania władzom rządowym w działaniu przeciw powstaniu polskiemu. Najsroższemu atoli wypadkowi tej wściekłości chłopów ulegliśmy ja i moja rodzina w naszym mieszkaniu wiejskiem, w Dagdzie.

W niedzielę (14-o Kwietnia) wieczorem dowiedzieliśmy się (od wnuka mojego Leosia Korską, wracającego z Finfmujży) o napadzie roskołów *posielenców* (włóscian skarbowych) na Syłowiszki i Wyszki pp. Mohlów, oraz o spaleniu tych dworów. W poniedziałek przed południem doszła wiadomość o napadzie włóscian naszej parafji na dwór p. Kłockowskiego Astaszów o 10 wiorst od nas, który spalono, i porwano tamże kilku powstańców. Uwiadomiony o tem proboszcz dagdzieński, X. Pluro, pojechał tam by się o prawdzie przekonać, lecz po drodze we wsi naszej Słobodzie porwany został od tamecznych łotyszów, parafjan swoich, okryty obelgami i osadzony w jednej chacie pod strażą chłopską. Wikariusz X. Szyszniowski, zaledwie się o tem dowiedział, pośpieszył w celu zreflektowania zuchwalców i oswobodzenia plebana; ale ci go nie tylko słuchać nie chcieli, lecz omal podobnemu nie poddali losowi, a kapłan winien był swoje oswobodzenie roskołowi, który go zasłonił sobą od obelg, mówiąc: „My szanujemy naszych *nastawników* (duchownych), a wy podnosicie ręce na waszych kapłanów!“ Zawstydzili się tedy i puścili księdza z pogroźką, że będzie uwięziony, jeżeli domu pilnować nie zechce. Takie zuchwalstwa zaczynały nas niepokoić, aleśmy jeszcze nie przewidywali gorszych następstw tego wzburzenia. Po obiedzie przyjechał *Bolesław* wracający z Łukna, przybył i *Zygmunt**) z Rolniczyzna na herbatę. Tymczasem zaczęło się chłopstwo zbierać przed au-

*) Przyp. red. synowie autora.

sterją w końcu alei, prowadzącej z gościńca do naszego domu. Kupa ich wzrastała przybywającymi konno i pieszo. Wtedy zaczęliśmy się już trwożyć na dobre, nie myśląc wszakże, aby nas chcieli napasć, ponieważ wiedzieli, że w domu naszym nie było powstańców; lecz, niestety, oni się właśnie zebrali, aby na nas uderzyć. O godzinie więc 6-tej ujrzelśmy z przerażeniem, iż cała ta zgraja, uzbrojona w strzelby, kije i topory, puściła się aleją ku nam. Przybywszy na dziedziniec, konni pozsiadali z koni i połączywszy się z pieszymi, stanęli kupą przed domem i zaczęli otaczać go ze wszystkich stron. W tej chwili starszy mój syn Bolesław, który zaledwie był wrócił z podróży do powiatu Rzeżyckiego, wyszedł jako *pośrednik*, czyli *sędziego pokoju* *) i stanąwszy przed ową kupą, zapytał, poco by tu przyszli tak gromadnie. Chłopi, zamiast odpowiedzi, rzucili się nań, porwali, a bijąc i rozmaitemi obelgami okrywając, powlekli go do bliższej wioski, gdzie już był przez nich uwięziony proboszcz miejscowy X. Pluro, osadzili pod strażą obu w jednej chałupie. Tym czasem, oblegająca dom tłuszcza zaczęła strzelać do okien; kazałem więc otworzyć wielkie drzwi wchodowe, by bezskutecznym oporem nie powiększać wściekłości szaleńców. Podczas gdy oni, wpadłszy, zaczęli krążyć po pokojach, szukając niby powstańców i broni, synowa moja, żona Zygmunta, traciła przytomność, a uchwyciwszy synka swojego (niemowlę, wychodzące zaledwie z niebezpiecznej choroby), wybiegła z nim w towarzystwie córki mojej Heleny, by się ratować ucieczką. Chłopi ich zrazu zatrzymali, jednak udało się im jakoś oszukać ich czujność, ujsć z pod ich oka i puścić się ścieżką przez gumnisko, a dalej przez pole do bliskiego lasu, brzegiem którego, a potem łąkami, przez rowy i ruczaje, obarczone ciężarem śpiącego na szczęście dziecka, ciemnym już zmrokiem dostały się na gościńiec, prowadzący przez sąsiednią majątność Staromyśl, do miasteczka Dagdy. Strudzone do wyniszczenia ostalka sił swoich, sześciogodzinną blisko wędrówką, znalazły przytułek u tamecznego młynarza niemca, i — cud prawdziwy — doniosły dziecko ciągle śpiące, którego ani dotkliwy chłód nocny, ani ruch ustawiczny i niepomierny przy przebywaniu rowów nie przebudziły i które nazajutrz zupełnie odzyskało zdrowie. Do północy zostawaliśmy w dręczącej niepewności i trwodze o ich losie, a do późnego wieczora gościła u nas dzika zgraja, szperająca po wszystkich kątach, zabierająca broń domową, lecz nie rabująca jeszcze innych rzeczy. Oświadczyli mi nawet, że mnie się od nich nic złego nie stanie i że domu mojego nie spalą. Spokojnie potem odeszli, i zdawało się nam, że już nas nic gorszego nie spotka. Dodać tu muszę, że syn mój Zygmunt, znajdujący się w onej chwili z nami, zaraz z początku napadu wsiadł na koń, by nie zostać porwanym, ale gdy pędził ścieżką wedle ogrodu, zastąpili mu tam drogę i nie mu nie zostało, jak zeskoczyć z konia, przeskoczyć płot i pieszo przez ogród uciec od napastników. Przepędziwszy blisko dobę na błakaniu się, został wszakże w końcu schwytany od rozsypanych po wszystkich stronach chłopów i zaprowadzony do tejże, co i brat jego wioski, skąd ich aż dnia trzeciego, za przybyciem kozaków, odwieziono do wojskowej komendy, znajdującej się w Astaszewie (o wiorst 8). Bolesław, istny męczennik, miał głęboką ranę na głowie, a na ciele nie zostawili mu zbójcy zdrowego miejsca. On też cudem opatrności uniknął śmierci, gdy zwłaszcza w takim stanie i bez żadnego opatrzenia, ledwie drugiego dnia z Astaszewa dowieziony do Dyneburga, tam dopiero znalazł odpoczynek i pomoc lekarską. Zygmunt i X. Pluro lekkie tylko z tej okropnej przygody wynieśli kontuzje.

Po odejściu niegodziwców z zapadającą już nocą, ja i Wanda, strudzeni na duszy i na ciele, potrzebowaliśmy odpoczynku i snu. Układłem się tedy, nie zdejmując z siebie odzieży i dobrzem zrobił, albowiem o świcie obudzono mię ze snu krótkiego doniesieniem, że znowu

*) Nie są to synonimy. Pierwszy urząd wyznaczono wyłącznie do spraw włościańskich z prawa 19 Lutego 1861 r.; nazwa druga po raz pierwszy została użyta w prawie 20 Listopada 1864 r. dla urzędu sędziego wszechstanowego do spraw mniejszych, z wyjątkiem większości spraw cywilnych i kryminalnych włościan. — Niewłaściwe użycie tu drugiej nazwy tłumaczy się tem, że ta część pamiętników była pisana w połowie roku 1863, czyli na rok z górami przed użyciem tej nazwy po raz pierwszy w prawie pisanem. Red.

banda potężna chłopstwa wali do nas i już jest blizką domu. Jakoż zaledwie zebrałem zmysły, dał się słyszeć hałas, potem zaraz krzyki wściekle, zapowiadające rabunek, pożogę i porwanie mnie samego, jeźlibym z domu ujsć nie zdołał. Zrabowana piwnica dostarczyła łotrom trunków rozmaitego rodzaju; spędziwszy więc noc na pijatyce, przyszli nie wytrzeźwieni dopełnić dzieła zniszczenia. Wanda wybiegła z domu ze służącą, a gdy m spostrzegł iż mam zbójów o kilkanaście już tylko kroków od siebie, nie mogłem zwlekać z ucieczką. Porwawszy zatem z kantorki pugilares, zawierający w sobie z górą 70.000 rubli w papierach (należących do sukcesji ś. p. Józefa Wyżyckiego, którego testamentu byłem eksekutorem), oraz kilkaset rubli własnych, zapomniałem w pośpiechu zabrać leżący przy łóżku mój złoty zegarek i co gorsza, duży portfel z ważnemi papierami, w którym było i kilka klejnotów, bo mi trzeba było dognać na dziedzińcu Wandę, w bojaźni, aby nas nie rozdzielono. Na szczęście z tyłu domu nie było jeszcze nikogo z rozbójników, mogliśmy więc po za kuchnią i lodownią ścieżką spuścić się w zarosłą dolinę i pod tym ukryciem wydostać się przez łąki i pole na inną dróżkę, wiodącą wprost do miasteczka od strony mało uczęszczanej i przez ogrody dobrać się do młyna, gdzieśmy Anielę z dzieckiem i Helenę znaleźli zdrowe; lecz nie wychodzące z przerażenia i trwogi. Widok nasz uspokoił je i ja też, widząc je w miejscu trochę bezpieczniejszem, udałem się do jednego z mieszkańców dostatniejszych—żyda, by się ogrzać i pokrzepić siły kieliszkiem wina. Pocieszyłem się cokolwiek, widząc mieszkańców mojego miasteczka najlepiej dla mnie usposobionych i okazujących mi żywe współczucie, nie mogłem atoli pozbyć się trwogi o dom i ruchomość, znajdującą się w rękach rozbestwionej tłuszczy, a więc niespokojnie patrzyłem w stronę dworu, nie pokaże li się stamtąd dym złowrogi? Niezbyt długo czekałem na to nieszczęście! Około 8-ej rano (16-go kwietnia) słup potężny czarnego dymu wzniosł się poza pagórkami, zakrywającemi widok dworu — dom mój był pastwą ognia.

Westchnąłem ciężko, widząc zupełne zniszczenie nie tylko ruchomego mojego majątku, ale co boleśniesz, stratę niepowrótą tylu drogich sercu memu pamiątek: wizerunki rodziców, dziadów, żony mojej, niedawniutko zesłej w Bogu, korespondencje z osobami ukochanemi, lub szacowanemi wielce, ze znakomitościami w kraju i za granicą, z literatami najpierwszymi polskimi, — wszystko z czegom się chlubił, com mniemał zostawić po śmierci potomkom, jako zaszczyt mojego imienia i domu, wszystko to w jednej chwili obrócone zostało w perzynę ręką barbarzyńców, żadnej nie szanujących świętości! Upadłbym na duszy, wpadłbym był w rozpacz, gdyby dobroczynna w samem karaniu prawica Najwyższego nie podniosła mego serca, nie natchnęła je kornem uczuciem poddania się świętej Jego woli. Udałem się więc niezwłocznie z mojami córkami i synową do kościoła wysłuchać mszy św. i ofiarować Bogu nasze cierpienia, polecając dalszy nasz los litościwej Jego opatrności. Tejże to Opatrności winniśmy byli ocalenie życia naszego i zdrowia, oraz uzdrowienie cudowne dzieciątka minionej okropnej nocy. Jeżeli więc Bóg nas uchronił, miejmy nadzieję, że i do końca pośród otaczających niebezpieczeństw nie opuści. Takimi myślami i modlitwy pokrzepieni, oczekiwaliśmy dalszych skutków tego strasznego wzburzenia pospólstwa. Jam się ulokował w plebanii, a moje biedne kobiety z dzieciątkiem znalazły uprzejme przyjęcie u krewnych naszych panien Domiceli i Pauliny Wejssenhofówien, mieszkających w miasteczku. Pierwszy ten dzień i noc następującą przepędziliśmy niespokojnie; chłopci albowiem, po dopełnieniu swej zbrodni, po zrabowaniu i zniszczeniu ogniem domu, oraz siedmiu innych budynków i po zrujnowaniu reszty zabudowań, zostawili w zamożnym przed chwilą dworze same pustki i zgłiszcza, a sami rozeszli się lub rozjechali po wsiach, obarczeni łupami; pod wieczór zaś mnodzy z nich zgromadzili się do miasteczka, mając za co hulać; to też przez noc całą tłukli się, jak opętani, po ulicach, wrzeszcząc i strzelając, skoro się udało porwać jaką nową ofiarę, ukrywającą się przed ich wściekłością. Takesmy przepędzili noc w ciągłym oczekiwaniu napadu i porwania. Nad rankiem ustał hałas, znużeni i rozmarzeni trunkiem złoczyńcy zwalczeni zostali snem, my zaś

z X. wikarym udaliśmy się do kościoła i gotując się na przypadek śmierci, spowiadaliśmy się i komunikowali. Gdy po nabożeństwie poszliśmy do Wejssenhofówien dla przyjęcia posiłku, a jedna tylko Wanda została na modlitwie, kupa chłopstwa opanowała wnętrze kościoła i krążąc tam zuchwale, przetrząsała ołtarze i zakrystję, szukając składów broni i amunicji. Nic nie znalazłszy, zesłi do podkościelnego sklepu i naruszyli tam prochy umarłych, odbijając zamurowane katakumby i przewracając kości rodziców moich w trumnach. Rozeszli się w końcu, ale miasteczka nie opuszczali, knując niegodziwe przeciwko nam zamiary. Życzliwi mieszkańcy przybiegali do mnie, ostrzegając i prosząc, żebym się ukrył przed okiem napastników, lecz na tom się nie zgodziłem, postanawiając nie okazać trwogi i narazić się raczej na porwanie, aniżeli coś uczynić niezgodnego z godnością osobistą. I bez wątpienia byłbym napadnięty w plebanji, gdyby na szczęście nie przybyła do nas wysłana z Krasławia mała komenda z dwoma oficerami i urzędnikiem policji. Zuchwale chłopstwo, dopóki napadało na bezbronnych, stało się odrazu pokornem i trwożliwem, gdy się ukazały bagnety i kozackie nahajki. Zaczęli nawet, pobudzani plagami, znosić i oddawać nam zrabowane rzeczy, lecz to nie długo trwało. Komenda, zabawiwszy jedną tylko dobę, po nadaremnem szukaniu powstańców po blizkim lesie, odeszła napowrót do Krasławia, a my nieszczęśliwi zostaliśmy znowu otoczeni zaciętym w swej złości motłochem.

Położenie nasze było tem okropniejsze, że aniśmy się mogli ruszyć z miejsca, ani wyprawić posłańca z listami. Po wszystkich drogach snuły się czaty chłopskie, zatrzymując i aresztując każdego jadącego lub idącego człowieka. Bez wojskowej eskorty nikt się nie odważał postawić kroku na gościńcu. Z tej przyczyny synowa moja, postanowiwszy dostać się do Dyneburga za swym mężem, uchwyciła się jedyne go na ten raz środka i z oficerem, wracającym z komendą do Krasławia, puściła się w podróż. Stamtąd wzięła konie pocztowe do pierwszej stacji, Płakszy, gdzie szczęśliwym trafem, a raczej zrządzeniem Opatrzności, znalazła jadącego do Dyneburga prezesa komisji śledczej, tyczącej się powstania, Storożenkę. Ten, ujęty jej prośbami, zabrał ją z sobą i tak wygodnie, w koszu, dojechała do miejsca, opisując mu w ciągu drogi straszliwe nasze przygody oraz występne porwanie przez chłopów jej męża i podobnie szwagra.

Wzruszony tem opowiadaniem generał Storożenko obiecał jej swą pomoc i dotrzymał słowa. Zajechawszy bowiem prosto do fortecy, zajął się znalezieniem dla niej mieszkania, a gdy nazajutrz Bolesława i Zygmunta przywieziono tamże, jako więźniów, on, po krótkiem zbadaniu rzeczy, obu ich oswobodził. Zygmuntowi dał świadectwo, za którem on od sądu ziemskiego dostał paszport roczny, a Bolesława kazał odwieźć do hotelu, aby mu tam co najprędzej dana była lekarska pomoc. Pilnie też było jej potrzeba pokaleczonemu najokrutniej od niego-dziwych zbójów. Stan jego groził niebezpieczeństwem zapalenia mózgu, ale Bóg litościwy zachował go przy życiu, aby może wystawić jego męstwo i rezygnacyę na nowe później próby. Cudem także uniknął Zygmunt kary śmierci, jaka by go niechybnie spotkała, gdyby naprzód poświęcenie się jego żony nie wyrwało go z pod śledztwa, później zaś traf szczęśliwy nie dozwolił mu uciec za granicę.

Kiedy się to działo w Dyneburgu, gdzie więzienia napelniały się codziennie obywatelami i księżmi, porywanymi z domów i ciągnionymi przez chłopstwo do tego miasta, ja i moje dwie córki w temże co i dotąd zostawaliśmy smutnem położeniu, wystawieni na wszystko, coby się zuchwałemu motłochowi zrobić z nami podobało. Wanda i Helena obrały sobie na mieszkanie ubogą izdebkę u jednej z włościanek (u siostry ich pokojówki), szczerze nam życzliwej. Aby zaś nie być postrzeżone przez naszych wrogów (chłopów), wdziały na siebie odzież chłopską. Na szczęście, co drugi dzień przybywały do miasteczka małe komendy, co przeszkadzało niegodziwcom w ich zbrodniczych przeciw nam zamiarach, albowiem oficerowie nie przestawali zabraniać im wszelkiego gwałtu i nakazywali najsurowiej zachowanie się spokojne, a ściganie

samych tylko uzbrojonych, lub tułających się po lasach podejrzanych ludzi. Pomimo tego jednak codzień prawie po kilku chłopów włądziło do plebanji, strasząc X. wikarego, że go wezmą jako przyjaciela *panów*, ale nieustraszony, pocziwy żmudzin stawiał mężnie czoło i energicznie wyrzucał im na oczy popełnione już zbrodnie, namawiając do żalu i pokuty, do powrócenia zrabowanych rzeczy, bez czego nie będzie mógł ich rozgrzeszać. „A kiedy chcecie mnie koniecznie uwięzić — dodawał — więc bierzcie! to będzie drugie zrzędu świętokradztwo, a Bogu zdacie z tego sprawę na tantym świecie.“ Ta śmiała mowa zrobiła na zuchwalcach wrażenie, dali pokój księdzu i w niedzielę zebrali się tłumnie do kościoła, zachowując się przyzwoicie czasu nabożeństwa; lecz gdy potem ksiądz z ambony ponawiał swoje upomnienia, większa część opuściła dom Boży, nie smakując sobie w nauce, przeciwnej ich chuciom zwierzęcym.

Widocznie Bóg czuwał litośnie nad nami nieszczęśliwymi, nie podając nas w ręce barbarzyńskie rozjuszonego motłochu. Śród onych scen okropnych, którem przebywał, czułem ciągle nad sobą opiekę Opatrzności i nie traciłem serca; łązy jednej nad poniesionymi ogromnymi stratami nie uroniłem, dziwiąc się sam później, skąd się we mnie, 75-cio letnim starcu znalazło dosyć siły moralnej i fizycznej do zniesienia tylu naraz wzruszeń duszy, tyle trudów ciała. Myślałem, że przechoruję przynajmniej cokolwiek — owoż ani trochę! apetytu nie straciłem, bezsenności nie doznałem i stan zdrowia utrzymał się w jednej zawsze mierze. Niechże ja, mężczyzna, ale i moje biedne kobietki zniosły wspólną niedolę mężnie i z rezygnacją zupełną. W nieszczęściu to dopiero poznajemy, jak wielkiem dla człowieka dobrodziejstwem jest wiara w religję objawioną. Filozof może siłą rozumowania zdobyć się na większą lub mniejszą dozę męstwa, widząc, że nic się nie nada ubolewać nad tem, co go spotkało, że nieuleganie konieczności wierutnem jest głupstwem, przeto zachowa w sobie równowagę ducha, ale pociechy nie znajdzie; przeciwnie chrześcijanin bez żadnych usiłowań zdobędzie pokój wewnętrzny, bo religja wnet myśli jego obróci ku Niebu i zdroje słodkich pociech, pokrzepiających nadziei dla niego otworzy. Rezygnacja filozofa zimna jest i zaprawiona goryczą, poddanie się chrześcijanina, ogrzane miłością Boga, wlewa w duszę słodycz i tępi kolce nieszczęścia. O tej prawdzie przekonałem się najmocniej własnem doświadczeniem. Chodzi teraz o wytrwanie w tem błogiem usposobieniu duszy, czego bez łaski Najwyższego dokonać nie można. — Ach! iluż to widzimy braci naszych daleko od nas nieszczęśliwszych, ale i nad nimi czuwa też litościwa Opatrzność, a jeżeli chłoscze, to sprawiedliwie i nie bez dobroczynnego celu. „*Castigat quos diligit.*“ — Pokrzepialiśmy więc duszę pociechami religji i ufnością w miłosierdzie Boga, lecz pozostawała jedna powinność trudna ułomnej naturze ludzkiej do spełnienia. — *Odpuścić naszym winowajcom!* ba, i nie dość tego — *miłować ich nawet!* Mogę powiedzieć bez obrażenia prawdy, że nakazał sercu memu, aby nie wołało do Boga o pomstę za wyrządzone mi obelgi i krzywdy; modłę się do Niego, aby tych zbrodniarzy przywiódł do skruchy, do prawdziwej pokuty i uchował ich dusze od wiecznego zatracenia; ale zdawało mi się, iż mogłem bez grzechu domagać się od władz rządowych wymierzenia na rabusiów i podżegaczy ustanowionej prawem kary, bo tu nie już wzgląd osobisty, lecz wzgląd na porządek moralny, wymaga zadosyćuczynienia. Okazało się później, że domaganie się to, podane formalnie, pozostało bez żadnego skutku. Szkarady przez chłopów popełnione uszły im na ten raz bezkarnie, śnać by nie ostudzać ich zapалу w poszukiwaniu uczestników powstania.

Demoralizacja w tutejszem pospółstwie stała się powszechną: nietylko bowiem roskolnicy rusecy, ale i katolicy łotyscy wyuzdali się na wszelkie niegodziwości. Żle pojęta swoboda rozwinęła w nich namiętności najdziksze, najszkodliwsze, przerodziła się w zuchwałą swawolę i nakoniec w bezbożność. Strach pomyśleć o szkaradach, jakich się dopuszczali! Wezwani przez władze rządowe do pomocy w stłumieniu powstania, osądzili rzeczą dla siebie pożyteczną napadać na dwory szlacheckie, bez różnicy polskie i niemieckie, łupić, rozwalać, niszczyć,

palić domóstwa, a winnych i niewinnych, świeckich i duchownych wiązać, znieważać i włóczyć dla oddania w ręce władzy, dopuszczając się nawet miejscami świętokradztwa w domach bożych. Mój Boże! przez dwa z górą wieki Inflanty polskie używały stałego pokoju; Dźwina odgradzała kraik ten po razy kilka od teatru wojny, a któż wie, może też pobożność tegoż ludu łotewskiego, co się dziś na wszelkie złe rozpasał, była tarczą przeciw klęskom wojny? później grzechy panów i poddanych zmordowały cierpliwość Boga i gniew Jego na ten zakątek wywołały.

Rzecz to na pozór dziwna, iż w majątnościach obywatelskich, w których pańszczyzna była lekka i włościanie rządzeni łagodnie, nienawiść ich ku *panom* zaczęła się objawiać od pierwszej chwili ogłoszenia emancypacji wiejskiego ludu. Nienawiść ta zdawała się oczekiwać tylko sposobności, by się okazać w czynie i na nieszczęście, powstanie polskie otworzyło jej drogę. Na Białorusi pojawy tej namiętności we włościanach nader były rzadkie, żadne prawie. A dla czego? Oto, że tam lud przed tem cięższe daleko dźwigał jarzmo poddaństwa gruntowego. Tam powinności dla dziedzica odbywał chłop *pryhonem*, z dusz męskich i żeńskich, co było przyczyną nadmiernej robocizny, na korzyść dworu, a z uciemieniem włościan. U nas zaś w Inflantach pańszczyznę odrabiał chłop z gruntu swego w miarę jego obszerności; tym sposobem gospodarz, siedzący na włoce gruntu, wyrabiał we dworze 2¹/₂, 3, a najwięcej 4 pury wysiewu oziminy, podczas gdy w białoruskich powiatach tejże gubernji takż gospodarz wyrabiać musiał we dworze od 6-ciu do 9-ciu purów. A cóż powiedzieć o innych powinnościach i opłatach? To też uderzająca zachodziła różnica między bytem tych i tamtych włościan. Owóż kiedy nastąpiła emancypacja jednych i drugich, kiedy zaczęto wprowadzać w wykonanie prawidła, orzekające prawa i powinności oswobodzonych z poddaństwa, powinności włościan białoruskich na mocy tych prawideł zmniejszyły się tak znacznie, iż chłop uczuł się szczęśliwym w porównaniu tego, jak był wprzód; norma prawna pańszczyzny stawiała go w możności wystarczania robotom we dworze i u siebie bez targania sił, a to przejście do stanu, względnie bardzo pomyślnego, nie dało do duszy jego przystępu nienawiści ku dawnym panom. Przeciwnie u nas, emancypacja nie przyniosła kmieciom zmniejszenia powinności, gdy w nowej ustawie prawna ich norma wyższą była od dotychczasowej inwentarzowej. Kmieć przeto, materialnie nic na razie nie zyskując, domagał się folgi w pańszczyźnie wbrew przeciw prawu, nie pojmując, na co mu by inaczej przydała się swoboda osobista. Niewierzył, raczej nie chciał wierzyć wyrazom ustawy co do powinności, a choć mu było dobrze, pragnął czegoś lepszego, marzył o bezpłatnem dzierżeniu gruntu, rościł pretensje do własności dziedzica, i, podżegany przez włóczących się propagatorów zasad kommunistycznych, zaczął nienawidzić właścicieli. Tą koleją przyszedł aż do zbrodni, gdy użyty od władz rządowych do imania powstańców, znalazł sposobność dogodzenia swej nienawiści i zarazem chciwości cudzego dobra, pod pokrywką rzekomego patryjotyzmu, a jak drapieżne zwierzę staje się sroższem, skoro krwi skosztuje, tak i motłoch zdemoralizowany rośnie w zuchwałość i złość, gdy mu się udaje rozbijać i rabować bezkarnie. Taki moralny upadek mass grozi krajowi i ludzkości straszliwym kataklizmem, okropnym nawrótem do barbarzyństwa; co zaś najgorsza, to że ten lud w wielkiej części rozzwierzęcony, stracił uszanowanie dla kapłanów i podawaną sobie naukę religijną odpycha.

Ale wrócić mi trzeba do naszych przygód. Tydzień upływał od chwili ucieczki naszej z rąk łotrów, a czas ten, spędzony wśród ciągłej trwogi, bez żadnej wiadomości o Bolesławie, Zygmuncie i X. Plurze, wyglądał nam nader długim i dręczącym. Bliskość kościoła była jedyną w tem położeniu pociechą. Zrzadka dolatywały do nas wieści o napadach włościan na dwory szlacheckie w naszym i w sąsiednich powiatach; porywano, wiano i włócono obywateli starych i młodych, księży i oficjalistów, nie przepuszczano tu i ówdzie kobietom: pani Oskierczyzna, wywleczona z domu i przywiązana do drzewa, przebyła kilka godzin w tej postawie, podczas

gdy rabusie plądrowali i burzyli wszystko w jej pałacu; pani Ewertz, niemkinia, podobnie z łóżka porwana i wpólnaga, a do tego brzemienna, uwiązana była do parkanu, mając przy sobie dwoje małych dzieci, a gdy się jej udało jakoś wydobyć się z więzów i uprowadzić z sobą dziatki, biegła, niosąc młodsze na rękę, boso, przez pola i łąki, przebrnęła rozlew wiosenny, by się co prędzej dostać do lasu i ukrywając się w gąszczu na wilgotnej ziemi i skrzepła od zimna, przebyła kilka godzin w tem położeniu, podczas gdy zbójce pastwili się



Kościół w Dagdzie.

nad jej teściem 66-cio letnim starcem, bijąc go i kalecząc najokrutniej i zwanego powlekli, po zrabowaniu i zrujnowaniu mieszkalnego domu. Inna dama, pani Szumowiczowa, doznała podobnegoż losu, bo ją chłopci zwaną rzucili na ziemię i głośno się potem naradzali, co by było lepiej, — utopić ją w studni, czy też żywcem spalić? Na szczęście przybył sprawnik Hłasko z kozakami w czas, by oswobodzić staruszkę, pośrednika Erazma Korsaka, mojego zięcia, Justyna Sobańskiego i Koziacza, komisarza Szumowiczowej, lecz za późno było zasłonić dom niewłański od rabunku i ruiny. W Bukmujży, rabusie, porwawszy dziedzica So-

bańskiego oraz plebana tamecznego X. Brzostowskiego z jego komendantem, związali tego ostatniego z Sobańskim razem, w ten sposób, iż oba ci nieszczęśliwi jeden drugiemu niewolnie przysparzali męki; i tak związanych zawlekli do Kownaty o 20 wiorst odległej, gdzie już sam właściciel i pośrednik Stabrowski oraz kilkanaście innych osób było już uwięzionych w ręku zajądłego chłopstwa. Oto jakieśmy odbierali codziennie wiadomości z bliższych i dalszych okolic, co nie mogło naturalnie nie powiększać w nas trwogi o własne nasze bezpieczeństwo. Lecz z łaski Boga, nadeszła chwila wyzwolenia nas z tego nieznośnego położenia. 21-o kwietnia o południu ujrzelśmy wchodzącego do mieszkania panien Wejssenhofówien, gdzieśmy się zebrali na obiad, sprawnika Hildebranda z kozakami. Widok ten przeraził nieco damy, ja sam nawet myślałem, że przybył z rozkazem wzięcia mię pod areszt. Lecz się wnet okazało, że przybył z rozkazu ministra spraw wewnętrznych, by nam towarzyszyć z eskortą wojskową do Dyneburga i opatrzyć tam dla nas schronienie bezpieczne od wszelkiej napaści chłopów. Minister Wałujew, znając mnie i rodzinę moją osobiście, skoro tylko się dowiedział o losie, który nas spotkał, wysłał natychmiast do Dyneburga depeszę telegraficzną z wymienionym rozkazem, a ten czyn ludzkości i przyjaźni położył koniec trwodze o bezpieczeństwo nasze osobiste. Smutno wprawdzie było rozstać się z moim malutkim wnukiem, miłem nad wyraz dzieciątkiem, alem go zostawiał pod czułą opieką oddanych nam sercem kuzynek, więc byłem spokojny; do Dyneburga zaś dążyliśmy niecierpliwie w chęci widzenia Bolesława i Zygmunta.

Wyjechawszy z Dagdy 21-go po południu, ja i dwie moje córki Wanda i Helena kareta, w której przyjechał dla zabrania nas sprawnik, stanęliśmy na noc w Krasławiu, gdzieśmy przenocowali. Wzięliśmy z sobą dwoje sług naszych: Ignacego i Helenkę, jego ciotkę. Oboje oni dali nam dowody swojego przywiązania, wierności i poświęcenia się. Pocziwemu chłopakowi winienem był uratowanie z pożaru i rabunku części mojej garderoby, bielizny, zegarka i niektórych innych potrzebnych ruchomości; użył on zaś do tego fortelu, wmówiwszy rabu-

siom, że te rzeczy zabiera na swój użytek, mając, jako włościanin, równe z nimi prawo do rabunku. Tym argumentem przekonał hultajów, którzy nie śmieli już dysputować mu zdobyczy. Oświadczył mi on przytem, że mię nie opuści i będzie się kontentował pensją jaką mu sam wyznacze. Uściskałem ze łzami szlachetnego duszą młodzieńca i mam w nim więcej niż dobrego sługę, bo wiernego przyjaciela. W zamian więc utraconych kosztowności materialnych, dał mi Bóg skarb daleko większy, bo dobrego sługę, skarb istotny w moim wieku i położeniu.

Przenocowawszy w domu jednego z kupców tamtejszych, rosjanina, wielce gościnnego, słuchaliśmy nazajutrz mszy św. w kaplicy Sióstr miłosierdzia. Potem odwiedziłem panią Józefową Platerową, której syn najmłodszy Leon, pojmany przez chłopów i oddany w ręce władzy, wyznał dobrowolnie przy pierwszym badaniu, że dowodził oddziałem powstańców przy zdobyciu transportu sztuczerów. Wspaniałomyślny młodzian wyznaniem tem napisał sam na siebie wyrok śmierci, w celu uratowania ofiarą swego życia towarzyszy swoich; jakoż czyn ten bohaterski rzucił zasłonę na współników, z których jednemu udało się umknąć za granicę, innych zaś nie odkryto. W kilka tygodni później rzeczony Leon wyrokiem polowego wojennego sądu skazany został na karę śmierci i rozstrzelany w Dyneburgu 27 Maja.

Wypadło mi jeszcze przed odjazdem z Krasławia odwiedzić ranionego śmiertelnie Kazimierza Platara, z którym znaleźmy się od naszej młodości. Znalazłem go w stanie najopłakawszym, przytomnego wprowadzie na umyśle, ale już oznaki gangreny widoczne były w jego całym organizmie; jakoż dnia następnego wieczorem skonał, opatrzony św. sakramentami. Oto jak nieszczęśliwie skończył długi swój na tej ziemi żywot człek ten bogaty, niezmordowany w pracy bezustannej około mnożenia swych kapitałów, posiadający piękne dobra i ogromne pieniądze. Spostrzegł za późno, jak niepewne jest posiadanie skarbów doczesnych, jak dosyć jednej chwili, by z bogacza zostać ubogim, jak nagły bywa przechód z życia do śmierci i że rozstając się z tym światem, człowiek nic z sobą nie zabiera, jedno tylko to, co tu dobrego lub złego w ciągu swej pielgrzymki uczynił. On, u którego w skarbcu leżały nagromadzone krocie, którego składy, spichlerze pełne były rozmaitych zapasów, nie pozostawił, umierając, tyle gotowizny, żeby mógł być przystojnie pogrzebiony; synowcowie sprawili mu swoim kosztem pogrzeb bardzo skromny. Testamentu nie zostawił; nikomu więc, oprócz prawnych sukcesorów, nie się z jego spadku nie zostało, a całą po nim pamiątką pozostał murowany dość ładny kościółek przy gościńcu pocztowym między Krasławiem i Plakszą, w miejscu Borówką zwanym. *Requiescat in pace!* W przejeździe wiorst 77 z Dagdy do Dyneburgu, nie widzieliśmy orzących lub bronujących swoje pola włościan; wioski były ledwie nie całkiem puste; cała ludność rozsypana była po gościńcach i drogach, po dworach szlacheckich i miasteczkach, niby to dla łapania powstańców, a bardziej dla czyhania na nowe jakie obłowy z rabunku. Fizjognomja kraju była ponura, okropna. Przybyliśmy do Dyneburga 22-o wieczorem i stanęliśmy na prośbę sprawnika w jego mieszkaniu, bardzo szczupłym i okazującym smutny stan finansów gospodarza. Okazało się później, że gościnność jego spowodowana była obecnością w Dyneburgu brata jego, jenerała żandarmerji, Hildebranda, przyjaciela całej naszej rodziny, a powtórę potrzebą protekcji ministra, z którym wiedział, żeśmy byli w dobrych stosunkach. Jakoż Helena, będąc w wielkiej przyjaźni z panią Wałujew, uprosiła przez nią i ministra, że sprawnika naszego przedstawił do nagrody, którą gdy otrzymał, skończyła się gotowość na usługi, *et il nous a tourné casaque* *). Co do jenerała Hildebranda, ten się wcale różni od swego brata uczuciami i konduitą. Odwiedził nas nazajutrz w towarzystwie gubernatora Ogolina. Oba okazali nam współczucie, lecz pierwszy szczerze, a drugi fałszywie, bo już knował przeciwko

*) Uczynił to może z bojaźni, żeby go nie uważano za stronnika polaków.

nam projekt szkodzenia w komisji śledczej i u wyższej władzy, jak się to wnet okazało. Szczególnie intrygował przeciwko Bolesławowi, usiłując go okazać uczestnikiem buntowniczych pokuszeń, przede mną zaś i przed innymi, udawał, że ubolewa nad jego cierpieniem i boleścią i uważa go niewinnym. Nienawiści tej przyczyną było najpodobniej to, że gubernator źle uprzedzony został o Bolesławie przez urzędnika do osobnych poleceń Dowmontowicza. Człek ten przewrotny, zręczny, nienawidzący Bolesława, który, będąc wprzód prezydentem sądu powiatowego, a później *sędzią pokoju*, nie dozwalał temu biurokracie wtrącać się do czynności obu tych magistratur, człek ten dyszał zemstą i posiadłszy ufnosć gubernatora, potrafił mu wmówić, że Bujnicki stara się mu szkodzić i że mając łaskę u Ministra spraw wewnętrznych, intryguje, by pana Ogolina zrzucić z posady naczelnika gubernji. Do nieszczęścia Bolesława przyłożyła się ta okoliczność, że chłopci znaleźli w sklepie domu dagdzieńskiego skrzyneczkę blaszaną z papierami buntowniczymi, o której niewiedzieliśmy ani ja, ani Bolesław, lecz ponieważ chłopci go wskazali o uczestnictwo w powstaniu, więc, po wyzdrowieniu swoim został uwięziony, badany i pomimo, że się ze śledztwa nie do przekonania go o zbrodnię stanu nie okazało, został większością głosów kommissji oddany pod sąd wojskowy, który go skazał na pozbawienie prerogatyw szlacheckich i na wygnanie do odległych gubernji cesarstwa. Jednakowoż auditorjat polowy w Wilnie, przyjąwszy w uwagę list brata jego Zygmunta, pisany z Paryża, którym ten się przyznawał do zakopania owej skrzynki z papierami w sklepie domu dagdzieńskiego, wyrokiem swoim uznał Bolesława co do tej zbrodni niewinnym, a tylko wskutek obwinienia chłopów, podejrzanym o sprzyjanie powstaniu, za co skazał go na wygnanie do miasta Permu i na sekwestr majątku, ale bez pozbawienia szlachectwa. Wyrok ten confirmowany został przez generała Murawjewa, wielkorządcę gubernji zachodnich, 12-o kwietnia 1864 r., objawiony zaś Bolesławowi w miesiąc później; cały więc rok przesiedział on bez winy w więzieniu, by potem żyć w dalekiej stronie na wygnaniu. Byłem i ja badany przez komisję i dobra moja zasekwestrowane zostawały przez rok cały w wiedzy skarbu, lecz w końcu auditorjat polowy uznał mię niewinnym, co i jen. Murawjew zatwierdził, skazując mię wszakże na opłacenie 300 rub. sr. sztrafu. Po tym dekrete trzymano dobra moje pod sekwestrem jeszcze więcej pięciu miesięcy i prócz tego kazano mi płacić kontrybucje dubeltowe po kilka razy; co wszystko razem pochłonęło bez mała cały dochód z mojego majątku. Jednocześnie także nałożono sekwestr i na majątność ś. p. żony mojej Łukno, w powiecie Rzeżyckim, należącą do jej spadkobierców, z których większa część nie była posadzoną o jaki bądź udział w powstaniu. Schedy nawet Kazimierza, mieszkającego w gubernji chersońskiej i Ludwiki Güntherowej, znajdujące się za granicą, uległy sekwestrowi, a majątek, oddany w dzierżawę chłopowi roskołowi, doznał odeń wielkiej dezolacji i dopiero w 8 miesięcy został eliberowany, z rozkazem oddzielenia odeń schedy Zygmunta pod konfiskatę, a schedy Bolesława pod sekwestr. Synowę moją, żonę Zygmunta, zesłano na wygnanie do Tambowa.

Oto stan oplakany w jakim nas los postawił skutkiem nieszczęsnego powstania, okrywającego ogromną przestrzeń kraju niedolą i żałobą. Kilkadziesiąt tysięcy rodaków poszło w dalekie strony, jedni na wygnanie, a wielka część pozbawiona praw osobistych obróconą została do ciężkich robót w głębi Sybiru. Kobiety nawet szlachetnego rodu uległy temu losowi; niektóre zaś dobrowolnie udały się wślad za mężami swymi na Sybir, by dzielić ich nędzę i osładzać cierpienia dowodami najczulszej miłości i bohaterskiego poświęcenia. W ogólności kobiety nasze okazały w tym czasie przymioty serca, godne uwielbienia i wielkości duszy, przypominające niektóre z niewiast świętych. Pani Józefowa Platerowa, gdy ją uwiadomiono o wyroku śmierci na jej syna, udała się natychmiast do Dynaburga i przybywszy tam w przeddzień krwawej egzekucji, prosiła rządzącego tam generała, by ją wpuszczono do więzienia i dozwolono widzieć swoje dziecię. Otrzymawszy tę łaskę, pośpieszyła doń i oblawszy go łzami,

prosiła go, ażeby w sercu swem nie chował nienawiści ku tym, którzy go skazali, lecz dla miłości Boga odpuścił im śmierć swoją okrutną. A gdy on to jej uroczyście przysięgł, uradowała się, rozważała wspólnie z nim prawdy nieomyłne wiary naszej świętej, krótkość życia doczesnego i nadzieję połączenia się z nim w szczęśliwej wieczności; po czem pobłogosławiwszy go i pożegnawszy po raz ostatni, opuściła straszliwe to miejsce z twarzą spokojną, o własnej sile, a straż wojskowa więzienia dziwiła się męstwu słabej, pochylonej wiekiem i skołatanej nieszczęściami kobiety. Nazajutrz, podczas gdy młodego Leona prowadzono na plac rozstrzelania, też jego matka była już nie daleko od tego placu, w kościele i na kolanach przed obecnym w Sakramencie ołtarza Bogiem, polecała mu najdroższy przedmiot swej macierzyńskiej miłości, odpuszczając tym, co go jej wydzierali; a gdy w ciągu tych jej świętych modłów ozwały się dzwony kościelne i dźwięk ich ponury i przerażający obwieścił, iż dusza Leona była już przed Bogiem, nieszczęśliwa matka wytrzymała ten cios najokrutniejszy dla jej serca z tą rezygnacją, z tą stałością umysłu, które jej towarzyszyły od początku krwawej katastrofy. Dodać tu jeszcze trzeba, że i dwaj pozostali jej synowie Eugenjusz i Michał byli uwięzieni i niepewni, jaki ich spotkać mógł los.

Drugą podobnego rodzaju bohaterką okazała się młoda hrabina Michałowa Wielhorska, której mąż przez sąd wojskowy skazany został na rozstrzelanie. Naczelnik gubernij zachodnich generał Murawjew, obleczonej władzą nieograniczoną, zamienił wprawdzie karę śmierci na wieczne ciężkie roboty w kopalniach nerczyńskich, ale na tą konfirmację rodzice i żona nieszczęśliwego oczekiwali w Dyneburgu przez dwa blisko miesiące, kołysani między straszną bojaźnią i słabą nadzieją. Jedyną dla nich było pociechą w tem nieopisanem cierpieniu, iż mogli codziennie odwiedzać Michała i brata jego Mieczysława, skazanego do ciężkich robót. Nadeszła wreszcie konfirmacja i obaj bracia wysłani zostali do miejsca swojej kary, a rodzice i małżonka, odprowadziwszy ich do dworca żelaznej kolei i pożegnawszy, opuścili strapieni Dynaburg. Podróż skazanych do Nerczyńska trwała około półtora roku, w ciągu której oba bracia przechorowali jeden po drugim na tyfus, i po wyzdrowieniu doprowadzeni zostali do miejsca. Towarzysz ich losu młody August Szadurski, razem z nimi prowadzony do Nerczyńska, dostał podobnie tyfusu w drodze, w porze najcięższych mrozów i zakończył nieszczęśliwe życie na etapie. Zaledwie o tem pani Michałowa Wielhorska otrzymała wiadomość, natychmiast udała się do władzy z prośbą o pozwolenie jechania do swego męża i otrzymawszy je, puściła się w podróż o wiorst 7.000, by się z nim złączyć, dzielić i osładzać mu jego niedolę. Litościwa Opatrzność zrządziła, iż bohaterska niewiasta, pomimo słabej budowy ciała i skołatanego nieszczęściem zdrowia, przeżyła niebezpieczną podróż bez żadnego szwanku i szczęśliwie dokonała czynu swego poświęcenia się. Można sobie wystawić uczucia obojga małżonków, gdy się rzucili sobie w ramiona, a widok ten musiał przejąć podziwem twarde nawet serca dozorców zakładów roboczych. W kilka miesięcy później ciężkiej doznaliśmy boleści, gdy z Wilna nadszedł rozkaz rozstrzelania krewnego naszego Przemysława Kołłba. Młodzieniec ten, pełen najpiękniejszych przymiotów duszy, wykształcony i utalentowany niepospolicie, chlubą był swojego domu; śmierć przeto jego gwałtowna, dopełniła nieszczęścia całej rodziny Kołłbów i dom ten uważać można za upadły bez powstania. Św. p. Przemysław w chwilach ostatnich życia swego okazał się równie bogobojnym, jak mężnym. Kapłan, który go na śmierć gotował i do ostatniego momentu był przy jego boku, mówił potem, iż cały ten czas przebył z aniołem; tak czystem i budującym było życie cnotliwego tego młodziana.

Pobył nasz w Dyneburgu, pośród wielu strapień, trosk i nieprzyjemności, dostarczał nam chwilami i przyjemnych wrażeń, sprowadzając do tego miasta mnóstwo osób, z różnych stron Litwy, Inflant i Białorusi przybywających dla widzenia i pielęgnowania uwięzionych członków

swych rodzin. W liczbie ich byli i nieznajomi nam dotąd krewni i dawno niewidziani znajomi, i tacy, z którymi miło było zabierać znajomość. Wspólne nieszczęście zbliża ludzi ku sobie i zawiązuje stosunek przyjaźni. Tak Bóg miłosierny, gdy w sprawiedliwości swojej karze nas za grzechy, udziela zarazem i niektórych pociech, byśmy nie rozpaczali, lecz poddając się Jego wyrokowi, widzieli w Nim zawsze miłującego nas Ojca.



Stanisław Łopaciński.

Nieporównany nasz Henryk Sienkiewicz wkłada w usta Zagłoby w „Potopie“ pamiętne słowa: „Głowa kiepska, widać z Witebska“. Smutne to świadectwo dla naszej dzielnicy, a i sami często, na wpół żartem, na wpół jakby istotnie, z rumieńcem wstydu, dworujemy sobie z naszych stron i zapytani, z kąd jesteście, mówimy: „z przeproszeniem, z Witebskiej gubernji“. Inni, tembardziej, przejeżdżają się po nas i daje się nieraz słyszeć zapytanie „A u was, tam, w Witebszczyźnie, podobno jeżdżą psami“. Twierdzą też, że żołnierz jakiś, zapytany przez Cesarza Mikołaja I, z jakiej gubernji pochodzi, gdy inni z dumą odpowiadali: „Z moskiewskiej, twerskiej i t. d.,“ odpowiedział z westchnieniem: „Nieczem chwalił się, Wasze Wieliczeństwo—witebskoj“.

Wszystko to, jako żart, jest bardzo zabawne, ale, gdy, naprawdę często o naszej dzielnicy, o obecnej witebskiej gubernji, stanowiącej

zjednoczenie dawnych polskich województw: witebskiego, połockiego i inflanckiego (powiaty: dyneburski, rzeżycki, lucyński), gdy naprawdę, powtarzam, ludzie mówią, i to Polacy, z lekceważeniem, zapytywałem siebie nieraz, czyśmy istotnie tak upośledzeni, czy istotnie mamy się rumienić, żeśmy z witebskiej, a nie z kaliskiej, lub płockiej gubernji? (niech mi wolno będzie, jako Polakowi, nie robić porównania z wielkorosyjskimi gubernjami).—Mnie się zdaje, że tej racji nie mamy, i, jako ex-adwokat, pozwolę sobie parę słów obrony dla naszej dzielnicy wygłosić.

Zacznijmy od oświaty! Obecnie hasłem ogólnem jest powszechne i bezpłatne nauczanie. I do tego ideału dojść nie możemy! Tymczasem, w tym naszym Witebsku, gdzie głowy, według ś. p. Zagłoby „kiepskie“, już w XVIII wieku były szkoły, założone między 1751 i 1753 r. przez O. O. Pijarów, sprowadzonych przez Andrzeja i Annę z Łapów Swirszewskich. „Z początku nie było żadnej fundacji, ani wsi żadnej, a tylko place, ogrody i nie wielka suma pieniężna—tysiąc talarów“.

Przy tak małych zasobach tem bardziej zasługuje na uznanie, że szkoły to były pięcio-klasowe i bezpłatne; „uczeń, uczęszczający do nich, nic zgoła za naukę nie płacił, wyjąwszy tak zwanemu dyrektorowi swojemu; za utrzymanie w konwikcie, naturalnie, pobierano opłatę.“

Odsyłając co do reszty szczegółów o tych szkołach, interesującego się niemi czytelnika do artykułu „Wspomnienie o Pijarach Witebskich“ p. Marka Gozdawy, w „Kwartalniku Litewskim“ tom I, chcę tylko zaznaczyć, na tych że źródłach fun-

dując się, że konwikt O. O. Pijarów przeniesiony w następstwie czasów z Witebska do Połocka (w 1822 r.) został, ale tak w Witebsku, jak w Połocku; „pijarowie odznaczali się wielką starannością i gorliwością w pełnieniu swoich obowiązków“.

Mam przekonanie, że choć, według francuskiego przysłowia, jeden skowronek wiosny nie stanowi, ale te szkoły pijarskie, założone w XVIII wieku z małemi środkami, funkcjonując do 1830 r. i bezpłatnie nauczając, winne być zapisane na aktywę naszej dzielnicy, niestety utraconą, ale nie z naszej przecie winy.

Przejdziemy teraz do innej gałęzi kultury!—do starań i trosk, o rolnictwo krajowe i dobrobyt ludu.—Obecnie na całej przestrzeni naszego kraju egzystuje cała sieć towarzystw, ba, kółek włościańskich-rolniczych! Jest to, poniekąd, już „modą“ (przepraszam za wyrażenie), że każdy powiat niemal ma swoje towarzystwo rolnicze, każda niemal gmina lub parafia—swoje „kółko“ rolnicze.

Cześć i sława inicjatorom tych użytecznych społecznych instytucji! Ale, w pierwszej połowie XIX wieku, w pierwszej jego ćwierci, czy w wielu miejscowościach naszego kraju uznawano potrzebę zrzeszania się dla wspólnych obrad o rolnictwie, dla podniesienia kultury gospodarczej i dobrobytu włościan?—Sądzę, że były to w każdym razie, okazy rzadkie. I taki właśnie rzadki okaz, dziwnym zbiegiem okoliczności, wypadł na dolę witebskiej gubernji.

W 1825 roku założone zostało „Białoruskie Wolno-Ekonomiczne Towarzystwo“. 3 Marca 1825 r. Cesarz Aleksander I, na przedstawienie ówczesnego ministra finansów, najmiłościwiej zezwolić raczył na założenie Białoruskiego Towarzystwa Wolno-Ekonomicznego, oddając do jego rozporządzenia Korowaińskie Starostwo.

Ustawa owego Towarzystwa ma „Wstęp“, w ten sposób opiewający przyczynę założenia towarzystwa i jego cele*).

„Białoruś, z powodu klimatu swego i gatunku gruntów, nigdy nie znajdowała się w tym kwitnym stanie, w jakim widzimy kraje, bardziej od natury uprzywilejowane, ale kroniki i akty dawnych lat świadczą, że gdy ludność kraju była liczniejszą, gdy handel był bardziej rozwinięty, a nieurodzaje zboża nie tak częste i nie tak ogólne, to Białoruś miała pewien dobrobyt. Okoliczności się zmieniły i chociaż, w miarę niepomysłnych warunków, wzmacniała się działalność ziemian, straty często przewyższały zyski i ogólny dobrobyt ludności zmniejszył się! W takim stanie rzeczy, szlachta w myśl dobrych zamiarów głównego zarządu Białej Rusi, zgodziła się założyć towarzystwo, które, wnuknąwszy w obecne warunki rolnictwa i rolnego przemysłu w witebskiej i mohylowskiej gubernji, znalazłoby środki ulepszenia stanu takowych, zwróciło by uwagę swoją na kwestje, odnoszące się do korzyści kraju, potem zaś, rozszerzając zakres swej działalności, udoskonaliłoby wszystkie gałęzie gospodarstwa rolnego, właściwe dla Białej Rusi“.

W 52 lata po założeniu zamkniętego następnie Białoruskiego Towarzystwa Wolno-Ekonomicznego, mianowicie w 1877 roku, wnukowie założycieli owego towa-

*) P. referat p. Wacława Fedorowicza w książce p. t. „Труды первого Областного Съезда Сельских Хозяевъ въ г. Двинскѣ въ 1903 году“.

rzystwa chcieli mieć znowu towarzystwo rolnicze i otrzymali od Rządu zatwierdzenie takowego. Pierwszą myślą nowego towarzystwa rolniczego, było założenie niższej szkoły rolniczej, ażeby wśród włościan i drobnej zagrodowej szlachty rozpowszechnić teoretyczną i praktyczną znajomość rolnictwa. W owym czasie gubernatorem gubernji witebskiej był Rostowcow, zasługi którego rząd wynagrodził nadaniem Starostwa Korwaińskiego, pozostałego po zamknięciu Białoruskiego Wolno-Ekonomicznego Towarzystwa, niemniej jednak on sprzyjał nowemu towarzystwu rolniczemu i pieniądze, zebrane przez włościan gub. witebskiej dla uczczenia 25-go jubileuszu panowania Cesarza Aleksandra II, przeznaczył na założenie owej szkoły rolniczej. Działo się to w 1881 r.; pieniędzy zebranych okazało się kilkanaście tysięcy rubli. Równocześnie, Towarzystwo Rolnicze założyło Towarzystwo Wzajemnego Kredytu obywateli gubernji witebskiej i 5% od czystego zysku tego Ziemiańskiego Banku zaczęto dodawać na ową szkołę rolniczą.

Gubernator Rostowcow wkrótce ustąpił, a miejsce jego zajął obecny członek Rady Państwa generał von Wahl, który, też sprzyjając Towarzystwu Rolniczemu pieniądze, zebranych na szkołę rolniczą nie tknął i takowe leżały w depozycie Gubernialnego Zarządu do spraw włościańskich. Procenty rosły.—Towarzystwo rolnicze nabyło majątek Łużośno pod Witebskiem, gdzie miało założyć szkołę rolniczą. Tymczasem zmieniono i generała von Wahla, a miejsce jego zajął książę Wasili Dołgorukow, który wpłynął na zarząd gubernjalny do spraw włościańskich, że postanowiono: „pieniądze, zebrane na szkołę Rolniczą Towarzystwa Rolniczego Witebskiego, użyć na ufundowanie cerkiewno-parafjalnej szkoły w powiatowym mieście Horodku“. Tylko zawdzięczając energii p. Wacława Kossowa, b. Wice-Prezesa Towarzystwa Rolniczego Witebskiego, prawie w chwili grożącego przedawnienia, rozpoczęty został przez przysięgłego adwokata w Petersburgu p. Bolesława Olszamowskiego proces przeciw zarządowi gubernjalnemu i prawosławnemu konsystorzowi, a zawdzięczając bezinteresownej i znakomitej obronie p. Olszamowskiego, proces ten został wygrany, i pieniądze, zebrane początkowo dla szkoły rolniczej, a oddane następnie prawosławnemu konsystorzowi, zostały wywindykowane i oddane Towarzystwu Rolniczemu, ale dopiero w 1906 roku, wskutek czego, szkoła, zamiast w 1884 roku została otworzoną dopiero w 1909 roku, czyli w 25 lat później!

Ale szkoła egzystuje, uczy się w niej obecnie 30 młodych ludzi, a gdy wszystkie trzy klasy będą otwarte, będzie się uczyć 90 młodzieży. I to jest stan czynny naszej gubernji—nasze aktywa. Te zaś kłopoty i troski, któreśmy mieli, gdy nasze towarzystwo się chwiało, gdy przyjazd na Ogólne Zebranie jego uważany był przez ks. Dołgorukowa niemal za przestępstwo, gdy na przedstawienie tegoż księcia, żeby nie osobista obrona b. marszałka gubernjalnego szlachty śp. Ignacego Chrapowickiego, nasze towarzystwo rolnicze byłoby skasowane i los jego byłby losem dawnego „Białoruskiego Wolno-Ekonomicznego Towarzystwa“, wszystkie te kłopoty i troski nasze, to jak blizny, zdobiące czoło żołnierza, co walczył za dobrą sprawę! I to również uważam za aktywę naszej dzielnicy, która raz jeszcze dowodzi, że nie

zawsze głowa „kiepska“ jest „z Witebska“ bo, mając „kiepskie głowy“, nie potrafiliby nasi ziemianie walczyć przeciw prepotencji administracji i wywalczyć zwrot skonfiskowanych nam pieniędzy! Nie potrafiliby nasi ziemianie założyć Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, którego odsetki od czystych zysków dały możność nabyć dla szkoły majątek i które, pomimo ciężkich finansowych i ekonomicznych warunków, pomimo kryzysów rolniczych, egzystując od 1881 roku, daje swoim członkom tani względnie kredyt i pracę dosyć licznemu zastępowi urzędników naszej narodowości, pozwala im zostawać na miejscu, nie szukając środków do życia na obczyźnie. Czyż i tego nie należy zapisać na rachunek stanu czynnego naszej gubernji?

Na zakończenie, chciałbym podnieść jeszcze jeden zarzut, czyniony naszej dzielnicy. „Ależ tam u Was, w Witebszczyźnie same piaski i błota!“ Tak mówią zwykle jadący z Warszawy do Petersburga pasażerowie, którzy z okien wagonu widzą koło stacji Dynaburg Petersbursko-Warszawskiej kolei istotnie ogromne ławy piasku, a koło Korsówki, Ponderów, Żogowa—błota i trzęsawiska i dowiadują się, że przejeżdżają przez gubernię witebską! Ale nie wszystko jest tak złe i nieestetyczne. W lepelskim, rzeżyckim i dynaburskim powiecie, są doskonałe grunta, a ładnych, malowniczych krajobrazów mamy w naszej gubernji sporo. Są miejscowości tak piękne, że (mówię to bez uczucia, które francuzi nazywają „patriotisme du clocher“) gdyby te miejscowości były gdziekolwiek zagranicą, ludzie jeździliby je oglądać i byłaby masa pocztowych kart z widokami i różne „Schöne Ansichten“, „Aussichts Thurmy“, „Belwedery“ i „Bellewisty“.

Proponuję niedowiarkom zwiedzić Krasław (własność hr. Broel-Platerowej), widzieć Oświej z jeziorem, wielkiem jak morze, (bo w wielu miejscach drugiego brzegu się nie widzi). Oświejskiem jeziorem o zachodzie słońca proponuję zwiedzić Bukmuję (własność pań Szadurskiej i Pruszyńskiej) z cudnymi jeziorami, z masą wysp, zarosłych dębowym lasem,—proponuję przejechać się po lepelskim, rzeżyckim, dynaburskim, newelskim i siebieńskim powiecie, proponuję zwiedzić Ruszony z malowniczym ruszońskim jeziorem (własność p. Marji z Żołędziów Dymszynej), a jestem pewny, że zwiedzający te miejscowości będzie pod urokiem tych widoków, które się jego oczom przedstawiają.

Stanisław Łopaciński.



Stanisław Hłasko.

„Karnawał“.

Karnawał płonie słońcami wesela
I technieniem rozkoszy oddycha,
Dźwięczy radośnie taneczna kapela;
Człowiek od siebie odpycha
Żale, nieszczęścia i troski—
Bawi się cały świat boski;
Wszystko się pławi
W szalów zapalnej czerwieni,
I dusza — pełna promieni —
Bawi się, bawi

Ach, to szaleństwo naprawdę bez miary,
Kiedy szaleje i młody i stary,
I kiedy w dźwięków wesołych topieli
Śmieją się ludzie, coby płakać chcieli.

Sam się więc śmieję
I najwznioślejsze idee
Rzucam w otchłanie zabawy,
Która nakształt lawy
Zalewa świat wkoło:
Jeśli mi wesoło!
Wchodzę w kraj złud uśmiechniony;
Zda się, że mnie niema na ziemi;
Zamiast muie huzar czerwony
Mówi słowami dziwnymi.

Idzie na salę, uśmiecha się blady,
Jak przed początkiem cesarskiej parady;
Ślepi mu wzrok elektryczność
I onieśmiela odrazu
Złudzeń śliczność;
Stał się jak z głazu.

Jakiś margrabia nieznany,
W czarne jedwabie przybrany,
Wita go w progu uprzejmie,
Aż go podziw zdejmie —
Czy to nie dwór Stanisława-Augusta?
Lecz złuda to pusta.

Pan domu.

Czyś mnie nie poznał, huzarze?
Ja o sobie marzę,
Żem zaprzeszłego wieku
Wydał u siebie bal wielki:
Wejdź-że i baw się, człowieku!

Czerwony huzar.

Szukam natchnicielki,
Której wesołość na imię.
W tym gościnnym domu
Doświadczę wrażeń ogromu;
Będę się bawić, jak w Rzymie
Podczas Karnawału.
Nie chcę rozpaczy; chcę szалу.
Tam w przyjęć widzę komnacie
Jakichś dam wielkich postacie.
Łudzę się chyba? Któż to ta pani?
We wspaniałej białej szacie
Wychodzi z wieków otchłani,
Jakby ze dworu Marji Teresy,
Gdzież tu złudzeń kresy?

Pani domu.

Nie poznałam cię naraz, lecz widzę,
Że jesteś jakby wojskowy.
Z jakiegoż wieku?

Czerwony huzar.

Sam ze siebie szydę,
Zda mi się, że umysł mam zdrowy,
A jednak wierzę, że jestem huzarem,
Który przeleciał Europę
Z napoleońskim sztandarem
I stawiał stopę
Na ziemi podbitych ludów.
Tu także szukam cudów,

Pani domu.

Może chcesz zdobywać serca,
Upojone karnawałem?

Czerwony huzar.

Serce nie ściga, los—morderca.
Lecę przez Europę cwałem;
Zaledwie podziwiać zdążę
Niewieście twarze piękne;
Czasem przed damą uklękę
I zaraz w mrok się pogrążę . . .
Dam nie kocham — kocham wojny,
Co wyzwalają z niewoli;
Czasem także kocham sławę.
Mnie więcej boli
Narodów jęk,
Niż kochanków utrapienia
I większy ogarnia mnie lęk,
Gdy widzę ludy, chodzące jak cienie.
Niż gdy nieszczęsne widzę pary:
Bywają i takie huzary,
Co ukochali narody.
Przepraszam, ten szwoleżer młody
Zkąd się tu wziął? Ma mundur balowy,
Biały mundur z amarantem
I jest takim elegantem,
Jakby prawdziwy wojskowy.
Widziałem go gdzieś na balu
W Malmaisonie, czy Wersalu.

Szwoleżer.

Czyś mnie poznał kapitanie?

Czerwony huzar.

Tyś syn domu? Tron Napoleona
W oczach także błysnął tobie?
Już od wieku cesarz w grobie,
A jego pamięć nie kona?
Czym ja na prawdę oszalał?
Może cesarz jeszcze żyje?
Może jeszcze świat nie zmałał
I ja z czary złud nie piję?

Szwoleżer.

Jestem szwoleżer w istocie:
Wszak dziś osiemsetny ósmy rok.

Czerwony huzar.

Mój mundur kapie się w złocie,
Mam oślepiony wzrok:
To tylko ślepy widzi cuda.
Ach, jaka dziwna złuda —
Słyszę brzęk szabel stalowych —
Istne królestwo czarów —
Na salę wchodzi kilku nowych
Napoleonowskich huzarów.
W błękitnych idą kaszkietach
I złożonych epoletach,
A im zwisają u pasów
Torby z cyframi cesarza.
Mnie ich tłum przeraża:
Czy to z grobów wstały trupy
I zajaśniały młodości obrazem?
Czemu trzymają się kupy,
Jakby do boju szli razem?
Niech żyje cesarz! Słyszycie?

Huzarzy.

Vive l'empereur!

Czerwony huzar.

To mi życie!
Hej, porucznicy! Bój pod karnawalem
Będzie gorący. Musicie zwyciężyć
Nieprzyjaciela brawurą i szalem,
I wszystkie siły wyteżyc
By zdobyć hufce panieńskie;
Pijcie szampana i reńskie —
Szał niech was wiedzie!

Huzarzy.

Niech żyje szal!

Czerwony huzar.

Cóż to za osoba
W krótkiej czerwonej szacie?
Jej najpiękniejsza ozdoba —
Płomienna młodość. Czy znacie?

Huzarzy.

To jakieś czary Cagliostro!

La folie.

Jestem *Folie*, duch karnawału;
Zwodnicze dziecię szału.

Szwoleżer.

Czyli poprostu moja siostra.

Czerwony huzar.

Więc jesteś siostrą szwoleżera?
Zwykle tak pełna majestatu,
Zawsze wyniosła i w powadze szczera,
Dziś jakby chcesz uragać światu
I zwiesz się duchem szału?

La Folie.

Używam przecież karnawału.

Czerwony huzar.

Twych ramion alabastry
W elektryczności płoną,
Jak płoną w słońcu białe astry;
Oddycha szybko twoje łono,
Pali się czerwień twojej szaty,
Jak purpurowa zorza . . .
W jakie podążasz zaświaty,
Na jakie zwodzisz bezdroża?

La Folie.

Bawię się sobie wesoło,
Świat mi się śmieje wokoło.

Czerwony huzar.

Nawet i królom zakręci się w głowie,
Gdy cię zobaczą w tym zradnym ubiorze.
Patrzcie hrabiowie, książęta, królowie:
To La Folie, co was opętać może.
Tak sędzi wasza mość królewska?

Król Jan-Kazimierz.

Dobrze się bawi ta Polska nadnewska
I ja się z wami bawię,
Chociaż królestwo me w ciężkiej potrzebie
I jest przez wrogów mych prawie rozdarte,

Z południa je kozak we krwi grzebie,
Z północy szwedzkie napadły rajtary
I Jasną Górę złupić chcieli,
Ale jej strzegli niebiescy anieli.

Rajtar.

Żem szwed, to zaraz was ubodło;
Szkoda, że nam się nie powiodło.

Czerwony huzar.

A co tu waść robisz nad Newą.
Jakbyś przelotną był mewą?

Rajtar.

Alboż ta Newa—to nie szwedzka rzeka,
Alboż tańczycie nie na szwedzkiej ziemi?

Strzelec Piotra.

Car Piotr od szwedzkiego człeka
Odebrał Newę rękami mojami —
I teraz tutaj wy, wszystkie narody,
Macie przywilej tanecznej swobody.

Czerwony huzar.

On mówi o Newie,
A mnie coś się śni o Nilach,
Bramach Teb i krokodylach.
Czy kto z was nie wie,
Co to za kobieta dziwna,
Jakby z pod piramid?
Jej twarzy smugły aksamit
I jej postać prawie sztywna,
I jej ruchy tak powolne,
I jej oczy kusić zdolne,
I jej duma niepojęta —
Co to za egipska święta?

Kleopatra.

Jestem ową Kleopatą,
Co Egiptu była panią;
A moich czarów nie zatrą
Płynące z czasów otchłania
Sennych lat tysiące;
Wciąż mam żrenice pałace.

Czerwony huzar.

Tyś kusiła władców świata,
Chciałaś u stóp mieć cesarów;
Nawet teraz twoja szata
Odbija ogniem pożarów,
Które w sercach nieciła
Wielka wdzięków twoich siła;
Aż mnie się samemu poczyna
W piersi jakiś obłęd palić
I wzbiera uczuć lawina —
Chciałbym w gruzy świat obalić,
Chociaż mówią, że w tym domu
Są piękniejsze od ciebie kobiety.

Kleopatra.

Kto śmie mówić? Kto i komu?
Poznacie, czym jad i sztylety!

Czerwony huzar.

Zamordować tę nędznicę?
Oto idzie: matowe ma lica
I usta słodkie, jakby maliny
Jest czemś nakształt hrabiny
Z dwunastego wieku Franków,
Co nigdy nie знаła kochanków.

Kleopatra.

Zamordować, żeby marzyć
Nawet nie śmiała na chwilę,
Iż mnie może wdziękami przeważyc.
Napoleona schylę
Do stóp moich, gdy mi się ukaże.

Czerwony huzar.

Jesteś piękną, więc się nie wazę
Przeczyć twojej groźnej dumie.
Szalej w twoich wdzięków pysze,
Kap się w fal nilowych szumie!
Niech ciebie więcej nie słyszę . . .
Vive l'empereur!

Huzarzy.

Niech cesarz żyje!

Czerwony huzar.

Nadchodzą ludzie w chitonach
Jakgdyby wschodnich; ich lica
Są w jakichś smagłych półtonach,
I jakaś inna żrenica,
I ciała inne i ruchy:
Co to za duchy?

K t o ś.

To rycerze w guście nowym
Z wysp Nipponu;
Na ich czele poseł tronu
W szarym stroju ludowym.

Czerwony huzar.

Pamiętam bajkę o gnomie.
Bardzo ciekawe postacie.
Czemuż ich tak podziwiacie?

K t o ś.

Bo z nich waleczni żołnierze.
Wasz cesarz marzył o pogromie
Państwa Piotrów i chciał przymierze
Z Anglią zawrzeć i opiekę
Nawet nad Azją rozciągnąć,
Lecz tego nie mógł osiągnąć —
I cofnął się za polską rzekę.
A ich władca armję Piotrową
W boju zwyciężył i zatopił flotę,
Zawarł związek z mórz królową;
Dziś na chryzantemy złote
Zapatrzona Azja cała.

Baron japoński.

Mikadowi chwała!
Jestem trzeźwy dyplomata;
Nawet w szale karnawału
Nie uczuвам szału,
Ani nawet końca świata
Jeszcze dziś nie przewiduję.
Zda się, że tego huzara
Jakaś myśl truje:
Coś się zgadnąć stara.

Czerwony huzar.

Przetańczyliśmy przed laty
Ojczyznę, panie baronie.

Baron japoński.

Uśmiecham się . . .

Czerwony huzar.

Wciąż szukamy straty
W barwnym kotyljonie,
Szalejemy w wirze tańców,
Roztapiamy się w mazurach
I w Piotrowych murach,
Nakształt obląkańców,
Wirujemy wciąż.

Japonka.

Gryzie ciebie smutku wąż?

Czerwony huzar.

Ach, udaję w karnawale,
Że się smucę w tańców szale,
A naprawdę mi wesoło:
Wznoszę harde czoło!

Japonka.

Kiedy wojna, to wojować trzeba,
Gdy karnawał, wtedy tańczyć warto.

Czerwony huzar.

Ty przychylasz dla mnie nieba:
Odpędziłem myśl upartą.
Tańczmy! Zkądś, mój arabie?

A r a b.

Byłem na modłach w Kaabie,
Odwiedzałem grób proroka;
Wracam teraz do Marokka.
Wasze stroje kontuszowe
I te karabele krzywe
Są ze wschodu i dałbym głowę,
Że to janyczary żywe!

Szlachta w kontuszach.

Uprzejme asanowi dzięki,
Że nas między wschodnie ludy
Policzył, choć wierzym w Boże męki:
To są karnawału złudy.

D j a b e ł.

Mam ich wszystkich w ręku:
Tańczą, tańczą bez pamięci —
Te kobiety, pełne wdzięku,
Ci mężczyźni, w szal zakłęci.
Dusze ludzkie rozbawione,
Ciała w strojach śmiesznych;
Aż radością płonę,
Ile tutaj myśli grzesznych.
O czym marzysz panno?

M o t y ł.

Marzę godziną ranną
O tem, jak się w dzień zabawić,
Jak na tańcu noce strawić.

D j a b e ł.

Więc zapomniała modlitwy.
A pan, panie pośle z Litwy?

Posel z Litwy.

Chcę ministrem być choć zaraz!

D j a b e ł.

I ten ma grzeszny ambaras.
A ty, panie Metternichu?

Metternich.

Chcę sobie pocichu
Pokłócić polskie społeczeństwo.

D j a b e ł.

I ten czyni bezceństwo!
A ty czerwony huzarze?

Czerwony huzar.

O tem tylko marzę,
Żeby na twojej skórze

Krzyż wypisać szablą:
Stawaj zaraz — służę!

D j a b e ł.

Ty jesteś zły diabło:
Napoleon zabija ludzi,
A ty chcesz djabłów zabijać —
Umiem ciosy wymijać —
Niech się waść nie trudzi!

Czerwony huzar.

Tak się teraz bawię,
Że poprostu oszalałem.
Nie we śnie, lecz widzę na jawie
Na zebraniu tak wspaniałem
Tyle królów i królowych,
Tyle dostojników wszelkich,
Tyle barw i epok wielkich,
Że wśród widem purpurowych
Błądzę, jakby w jakimś raju,
A nie na ponurej ziemi,
I jak to jest we zwyczaju,
Mówię wierszami lotnemi.

La Folie.

Powiedz mi sonet, huzarze,
Posłucham i trochę pomarzę!

S o n e t.

Nie szukaj szczęścia w blasku karnawałów,
Ani rozmodleń boskich w wirze tanów;
I niepożądaj nieskończonych szarów,
Lecz się nad życiem czasami zastanów,
Nie dość jest kochać uroczych młodzianów
I płonąć ogniem dziewiczych zapalów;
Ukochaj także ludzi wszelkich stanów
I pójdz na służbę wielkich ideałów.
Poznaj, jak życie ludzkie jest ogromne,
Błogość pokoju i krwawy strach wojny,
A szczęście zejdzie na twoje potomne.
I jeśli tobie dan w życiu los hojny,
Nie idź po różach, szal poskrom upojny
I niech two serce będzie Boga pomne.

D j a b e ł.

Cha - cha ! Sonet inny, inne tony !
Ludzie rozstają się z szalem;
Popielcowe jękły dzwony,
Czmycham w piekło z karnawałem !

J a.

Wszystko znikło; sam zostałem.



Aleksander Ossendowski.

„Organizacja pomocy lekarskiej w ziemstwie Witebskiem“.

Dzwiny okolic sięgają wspomnienia,
Do Białorusi, mej ziemi ojczystej,
Weiaż lecą dotąd moje westchnienia,
Bo tam nie oschły z łez pola złociste...

Do ciebie dążę, ojczyzno kochana,
Pragnę oglądać cię w kwiecie dokoła:
Krwia bratnią, łzami tyś była zalana,
Z serca cię wyrwać śmierć jedna podola...

W chwili, gdy ma zapaść w Dumie Państwowej decyzja ostateczna o wprowadzeniu ziemstwa na kresach zachodnich, wszelkie wskazówki i informacje, które by mogły dopomóc rozszerzeniu lub też polepszeniu gospodarki ziemskiej, najbardziej są pożądane. Pełniąc obowiązki w ciągu 19 lat lekarza ziemskiego w powiecie petersburskim, chciałbym wypowiedzieć swe spostrzeżenia co do praktycznego zorganizowania Ziemskiej pomocy lekarskiej w gubernji Witebskiej.

Ziemstwa, niemal pół wieku istniejące w Rosji, miały dostatecznie chyba czasu i materiału statystycznego, by wyrobić najwięcej produkcyjny system w urządzeniu pomocy lekarskiej dla ludności wiejskiej. — System ten był nieraz przez zjazdy lekarzy imienia Pirogowa uchwalany, i głównie ma na celu usunięcie perjodycznych rozjazdów lekarza w swojej dzielnicy, które to z powodu złych dróg wiejskich dużo mu czasu pochłaniają, siły jego i energję wyczerpują, przez co przynoszą najmniejszą korzyść dla ludności.

Organizację ziemskiej pomocy lekarskiej w każdym powiecie gubernji Witebskiej należałoby przeprowadzić w sposób następujący: Powiat się dzieli na niewielkie dzielnice, z których każda ma swego lekarza i ambulatorjum z większą lub mniejszą, stosownie do potrzeb miejscowych, lecznicą, jak w środki lecznicze, tak również i w instrumenta medyczne dobrze zaopatrzoną. Ponieważ w walce z chorobami epidemicznymi najprędsza izolacja chorego rolę najważniejszą odegrywa, dla chorób zakaźnych przy lecznicy powinien być oddzielny budynek—pawiljon wzniesiony i na kilka, niemających między sobą żadnego połączenia, wydziałów, rozdzielony. Wobec też niezbędnej pomocy lekarskiej położnicom, dla tych ostatnich w każdej dzielnicy chociażby nieduży oddział powinien być specjalnie urządzone. Nie ulega wątpliwości, że wymienione wyżej instytucje należy mniej więcej w centrum dzielnicy załokować, gdzie powinien zamieszkać i lekarz, nią zarządzający, by w ten sposób każdemu ułatwić korzystanie z prawidłowo postawionej pomocy lekarskiej. W kilku zaś punktach dzielnicy, najwięcej zaludnionych, mogą być urządzone ambulatorja z niewielką lecznicą o kilku łózkach

dla chorych, prędkiej pomocy potrzebujących; przy takich ambulatorjach stale mieszkać powinni felczer, który szkołę felczerską ukończył i akuszerka—felczerka. Felczerowie obowiązani są nie tylko w dnie naznaczone wsie objeżdżać i śledzić za tem, czy się nie pojawi gdzie choroba zakaźna, lecz i szczepieniem ospy się zajmować. Co do umysłowych chorych, to opieka nad nimi należeć całkiem powinna do gubernjalnego zarządu ziemskiego, który to i obowiązany mieć specjalną lecznicę, obsługującą chorych we wszystkich 11 powiatach gubernji Witebskiej. Winienem jeszcze zaznaczyć, że w każdym powiecie funkcjonować powinna stała komisja sanitarna, na obowiązku której leży nietylko rozstrzyganie wszelkich odnoszących się do części lekarskiej spraw, lecz i dopełnianie wyborów lekarzy. Taka tylko organizacja ziemskiej pomocy lekarskiej może być uważaną za najwłaściwszą, ponieważ odpowiada jednocześnie i wymaganiom nauki i zapotrzebowaniom ludności.

Jeśli się zwrócimy do istniejącej obecnie ziemskiej pomocy lekarskiej w gubernji Witebskiej, to według sprawozdania rocznego Zarządu Ziemstwa za 1908 r., ta gubernja, z 11 powiatów złożona, dzieli się na 43 dzielnice lekarskie, z których każda zawiera w sobie przeciętnie 898,3 wiorst kwadratowych i liczy 524,5 wsi (razem z zaściankami, folwarkami i majątkami) z 34,968,3 mieszkańców. Szpitali było tak mało, że jedno łóżko przypadało przeciętnie na 2444,8 mieszkańców. Bez wątpienia taka pomoc lekarska nie może być uważaną za dostateczną, ponieważ dzielnice są zanadto duże, wobec czego jeden lekarz nie w stanie obsługiwać niemal 35,000 mieszkańców, mając w swym rozporządzeniu na taką ich ilość tylko 15 łóżek szpitalnych.

Przy bliższem zapoznaniu się z mapą gubernji Witebskiej nie trudno się przekonać, że każdy powiat zawiera w sobie dość znaczną liczbę mniej więcej zaludnionych miasteczek. Mniemam, iż miasteczka takowe, jeśli by ziemstwo zechciało wejść z nimi w układy, chętnie by mogły za pewne wynagrodzenie udzielić ziemię i zabudowania, które dało by się przerobić na lecznice. Jak również wiadomo, iż przy nabywaniu przez bank włościański majątków dla parcelacji, dawne siedziby obywatelskie zwykle się rujnują, a budynki niemal za bezcen się sprzedają. Czyżby ziemstwo nie mogło je nabywać na warunkach tak dogodnych pod swe lecznice lub szkoły? W ten sposób można by było nietylko powiększyć ilość szpitali w każdym powiecie, lecz i zaoszczędzić pewną znaczną sumę pieniędzy, coby swoją drogą dało ziemstwu możność pomoc lekarską w gubernji, w obecnej chwili nader niewystarczającą, rozszerzyć i ulepszyć.

Dalej widzimy z tegoż rocznego sprawozdania zarządu ziemskiego gubernji Witebskiej, iż w ciągu 1153 dni w 1908 roku w różnych punktach powiatowych, miejsce lekarza nie było wcale zajęte; fakt ten, tak doniosły, może być wytłómaczonym nie brakiem ludzi, lecz chyba niedostatecznem materjalnem wynagrodzeniem pracy lekarskiej. Personel lekarski jak wyższy, tak też i niższy może wtedy tylko oddać się swej ciężkiej pracy, jeśli ma byt zapewniony. W tym więc celu ziemstwo powinno stałą pensję wyznaczyć i kasę emerytalną wprowadzić, by w ten sposób zapewnić starość każdego, ktoby zechciał swą pracę mu ofiarować.

Zaznaczyć jeszcze należy, iż obok pomocy lekarskiej bezwarunkowo szerzyć się powinna i oświata ludowa, im wyższą bowiem jest kultura ludności, tem łatwiej wśród niej rozpowszechniać pojęcia higieny i profilaktyki. Jeśli do tego, com wypowiedział, dodam jeszcze, iż komunikacja w każdej dzielnicy powinna być dla chorych ułatwioną, to podniesione przeze mnie pytanie wydaje mi się w głównych zarysach wyczerpanem; co się zaś tyczy rozmaitych szczegółów, to samo życie wskazać potrafi, czego w nim jeszcze brakuje i jak się praktycznie można urządzić.

Ma się rozumieć, że dla rozszerzenia i ulepszenia ziemskiej pomocy lekarskiej przede wszystkim potrzebne są pieniądze, one bowiem stanowią główną arterję, podtrzymującą istnienie wszelkich instytucji samorządu miejscowego. Trzeba jednak przyznać, iż budżety miej-

scowe jak miejskie, tak również i ziemskie w Rosji są nader nie wystarczające; tak, naprzykład, rozchody, jakie ponoszą wszystkie miasta rosyjskie, są mniejsze od tych, jakie traci jeden tylko Paryż. Nie zważając na to, iż sanitarny stan Rosji jest bardzo opłakanym, rozchody, jakie ona ponosi na zdrowotność ludności, są nader szczupłe. Przeto nie można się nie zgodzić z poglądem posła do Dumy Państwowej d-ra A. Szingarewa, wypowiedzianym przez niego na ostatnim zjeździe lekarzy imienia Pirogowa, że to pochodzi od zadziwiającej obojętności ze strony Państwa do tak ważnego pytania, jakim powinna być dla niego zdrowotność ludowa, oraz od zestarzałych, ograniczonych i niedemokratycznych pojęć przedstawicieli jak miejskich, tak i ziemskich samorządów, jak również i od krańcowej centralizacji rozchodów ogólnych w budżecie państwowym przy tak małym rozwoju budżetów miejscowych.

Usunięcie wszelkich przeszkód, tamujących rozwój gospodarki jak miejskiej, tak również i ziemskiej, oraz znaczne zwiększenie budżetów miejscowych ze źródeł dochodów państwowych niewątpliwie by wprowadziły na tory uzdrowotnienia całego państwa.

Doktor medycyny **Aleksander Ossendowski.**



Florjan Hłasko

D-r med. w służbie floty rosyjskiej.

„Z DZIENNIKA MARYNARZA“.

I. W TAKU.

22 lipca 1900 r.

Więc wojna z Chinami. Eskadra, złożona ze statków niemieckich, rosyjskich, austriackich, francuskich, angielskich, japońskich, włoskich, amerykańskich, zgromadziła się w ujściach rzeki Peiho. Nad zdobytymi fortami Taku powiewają, zamiast chińskiego smoka, chorągwie państw całego świata. Połączone wojska maszerują ztąd do Pekinu, pokonawszy opór chiński pod Tentsinem.

O co poszło? Podobno w Pekinie zabrano do niewoli wszystkich naszych polityków, dyplomatów, konsulów, wice-konsulów, sekretarzy i *attachés*.

Mówią, że im nie dają nawet jeść. „Naszych więc znieważono“. Naszych—to znaczy przedstawiciele mocarstw całego świata, nie wyłączając japończyków, którzy się tu zachowują jak prawdziwi gentlemani.

Kogo tu niema w Taku! Żołnierze z całej kuli ziemskiej: francuzi, prusacy, rosjanie, austriacy, japończycy, annamici, sipajowe, szkoci, kozacy, neapolitańczycy, jankesi, ba, nawet polacy i to najpyszniej, bo aż w trzech przebraniach. Więc wojna! Tymczasem orkiestry wojskowe wesoło grają na wałach Taku, a my czekamy na wieści z Pekinu.

Operetkowa wojna—myślałem sobie. Ale w żółtych falach Peiho spostrzegam od kilku dni trupy zabitych chińczyków. Fale unoszą te trupy ku morzu lub wyrzucają na brzeg, gdzie je psy gryzą. Musimy strzelać do psów, żeby je odpędzić od wstrętnego żeru. Zresztą niechby prędzej pożarły te gnijące zwłoki, które zanieczyszczają powietrze i powodują epidemie. Trupów jednak wciąż przybywa.

Władcy Chin, jak powiadają, uciekli z Pekinu w głąb kraju, a trupy ich podanych płyną ku oceanowi rozdęte, nabrzmiące, okropne.

A wszak to byli żywi ludzie—ci, co płyną z falami Peiho, obojętni na wyście psów i na groźny widok eskadr całego świata.

Ci ludzie istnieli, pracowali, modlili się po swojemu, płakali, śmieli się, aż ich pomordowano; może i oni mordowali, gdy armaty grzmiały pod Tentsinem. Za każdego „naszego“ żołnierza ich jednak padało może stu w nierównych walkach.

Nierównych, bo te pół miliona żółtego ludu nie posiada ani broni, ani sztuki wojennej. Ta dziwna wojna chyba prędko ustanie. Ona poprostu niema sensu. Gdy posłów w Pekinie wyzwolą, nastąpi pokój.

Przyjdzie wówczas rozumny wice-król Lichungczang i pogodzi Pekin z całym światem, z którym politycy chińscy tak nieroztropnie się pokłócili.

W cieniu mamy 24 stopnie R. Na słońcu o wiele goręcej. A trupy płyną i gniją.

II. W PORCIE ARTURA.

22 września 1904 roku.

Trzymamy się wciąż. Japończycy oblegają uporczywie, bez ustanku. Co noc na jakiś punkt linii obronnej puszczają kilka kolumn swoich wojsk. Co dnia od rana do wieczora, co kwadrans lub dziesięć minut rzucają pociski na miasto i na rejd, gdzie stoją okręty wojenne. Pociski duże — z dział 120-milimetrowych i z haubic 11³/₄-calowych. Oczekujemy, że nas przyjdzie uratować Kuropatkin lub eskadra bałtycka. Rannych mamy już sporo we wszystkich 19 szpitalach.

21 października.

Noc przeszła spokojnie. Na pozycjach nie było nawet ognia karabinowego. Ale zato przed południem, od godz. 11 do 12, trwało ogromne strzelanie. Salutowano z powodu rocznicy urodzin mikada: do portu puszczono 165 wielkich pocisków salwą i do starego miasta również strzelano. Palilo się obok cyrku. Wieczorem na pozycjach ogień karabinów i maszyn szybkostrzelnych.

26 października.

W nocy od wieczora i prawie do rana strzelanina karabinowa, niekiedy wzmagająca się z hukiem dział mniejszych. Zrana od 8 do 3 po południu strzelano z większych armat do miasta i do portu. Pocisk 6-calowy zniszczył moje mieszkanie całkowicie (byłem wtedy w szpitalu); zaś 11-calowy rozbił kanonierkę „*Otważnyj*“. Dwa pociski spadły na krążownik „*Pallada*“.

13 listopada.

Zrana od godz. 8 strzelano do japończyków ze wszystkich fortów. Strzelała Żłota góra, Laoteszan, okręty—zapewne japończycy przesuwają wzdłuż swe woj-ska. Ranek jasny. W centrum około godz. 9 zagrzmiały armaty, kartaczownice i karabiny—coś się dzieje. O godz. 10 bombardowanie wzmogło się z ogromną siłą i japończycy ruszyli do ataku na forty 2 i 3. Atak trwał cały dzień. Jedno-

cześnie bombardowano całe miasto i port. Bombardowanie ustało zaledwie o godzinie 1 w nocy, atak zaś trwał dalej. Padły pociski 6 i 11-calowe.

22 listopada.

Od rana straszliwy atak sił japońskich na górę Wysoką. Atak trwał cały dzień i noc. Gromiono port 11-calówkami, siejącami ogromne zniszczenie.

20 grudnia.

Żadnego wystrzału. Nad zatoką mgła. Na ulicach spacerują. Układy o kapitulację.

Po roku.

Teraz dopiero odczuwam grozę oblężenia Portu Artura. Dziesięć miesięcy żyłem tam pod kulami, widząc ciągle rannych i konających. Wtedy to nie było tak groźne, jak dziś z oddalenia. Wtedy to nużyło, a dziś wywołuje wspomnienia okropności. W Porcie Artura padło dziesięć tysięcy trupów, po stronie oblężonych, a po stronie oblegających czterdzieści tysięcy trupów, nie licząc rannych. A w całej tej wojnie padło trupem półtora tysiąca żołnierzy i marynarzy z obu stron. Tak walczone o ten Port Artura, który był przyczyną wojny.

III. W MESSYNIE.

31 grudnia 1908 roku.

Całe miasto, rozwalone trzęsieniem ziemi—to wielki obraz ludzkiego nieszczęścia. Domy, pęknięte od dołu do góry, pozbawione ścian wewnętrznych, stoją ponuro wzdłuż ulic, zasypanych stosami gruzów. Mury pochylone co chwila grożą zniszczeniem. Widać dziesiątki ulic opustoszałych, wykrzywionych, jakby zbombardowanych przez strasznego wroga. A pod murami pogrzebane tysiące zwłok zdruzgotanych, poszarpanych i pokaleczonych, tysiące ludzi jeszcze konających, a nawet tysiące jeszcze żywych.

W tej ciszy złowrogiej nasłuchują marynarze, czy nie odezwie się gdzie jęk jakiś. Oddział ich idzie ulicami, często przystając i w milczeniu oczekuje na jęk. A gdy ozwie się jęk cichy, ledwo dostrzegalny, wzruszenie ogarnia ratowników. Ostrożnie wspinają się na kupy gruzów, spuszczaają się z nich, lażą po przez chwiejące się mury i sklepienia, aby dotrzeć do ofiary. Gdy dotrą do niej, poczynają usuwać gruzy ostrożnie, bo każdy odruch może zdruzgotać ofiarę i ratowników ciężarem padających ruin. Upływają kwadranse, godziny całe, zanim się dokopią do nieszczęśliwca. Zczerniała, napół obłąkana głowa, piersi krwią ociekłe, ręce złamane. Jeszcze żyje. Poją go winem po długich godzinach głodu i cierpień. Nogę mu przygniotła belka, której niepodobna ani usunąć, ani przepiłować: cały dom runie i wszystkich pogrzebie. Więc na miejscu zmuszony jestem uciąć mu część nogi. A tuż przy nim napół zgniłe zwłoki żony i dzieci.

I tych ofiar jest bez liku.

Gruzy wielkiego miasta rozciągają się na kilkanaście kilometrów kwadratowych. Koszary, szpitale, kościoły, teatry, szkoły—wszystko w gruzach. Tylko gdzieś niedaleko budynki jeszcze całe.

Ile pod temi gruzami zostało ludzi żywych? Bez zgrozy nie można pomyśleć o tej olbrzymiej mogile, gdzie w kilka sekund pogrzebane zostały niezliczone nadzieje i radości, smutki i bóle ludzkie. Jak ratować jeszcze żyjących? Jak odgadnąć, w którym miejscu konają? Sto czterdzieści tysięcy ofiar legło w tem mieście pod ciosami strasznego losu. Nie wszyscy zginęli odrazu. Mnóstwo można było uratować, choćby pokaleczonych. Ale potrzeba, żeby jakaś siła natychmiast usunęła te gruzy z nad ich ciał. Takiej siły nie było i być nie mogło. Kilkanaście tysięcy żołnierzy pracowało dzień i noc, ale mogli uratować niewielu. Reszta zginęła.

Za czyje grzechy ucierpieli tak ogromnie mieszkańcy Messyny? I nie tylko Messyny, lecz innych miast, jak Reggio, San Giovanni, Palmi—po obu brzegach Sycylii i Kalabrii. Messyna i Reggio grzeszyły tylko tyle, co wszystkie miasta dzisiejsze.

Może to jakaś przestroga dla całej ludzkości? Cierpienia Messyny były większe od cierpień najkrwawszej wojny.

Nie chciał bym ponownie widzieć cierpień wojen i cierpień Messyny.



Stefanja Ulanowska.

„Historja dziewięciu i pół dusz“

(Z PAMIĘTNIKA STAREJ OBYWATELKI).

Mało już dziś jest ludzi, którzyby mieli pojęcie dokładne o czasach pańszczyznianych. Co do mnie, zachowałam z tej epoki dużo wspomnień, między innemi jedno takie, od którego serce zawsze mi się ściska żałośnie.

Działo się to na mojej ukochanej, rodzinnej Białorusi. Matka moja, owdowiawszy młodo, sama prowadziła gospodarstwo w majątku, a ja, jej jedynaczka, byłam,—do czasu systematycznego rozpoczęcia nauki, nieodstępną jej towarzyszką.

Pewnego dnia, posłyszałam jak mówiono w domu, że jeden z naszych sąsiadów kupił w innym powiecie 9 i pół dusz i że te dusze mają się zatrzymać w naszym dworze, gdyż matka pozwoliła, aby w drodze dzień jeden u nas wypoczęły. Byłam zaintrygowana i ciekawa jakie to dusze, które kupić można i co znaczy pół duszy i jak to wygląda? Nie wiedziałam jeszcze, że w on czas duszami nazywano poddanych. Mawiano zwykle: to bogaty obywatel, ma aż tysiąc dusz—a ten biedny, ma tylko sto dusz! Czekałam z niecierpliwością kiedy matce oznajmią, że już przybyły, a wtedy, uczepiwszy się jej sukni, prosiłam, aby mi z sobą iść pozwoliła.

Matka wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do oficyny, gdzie obok kuchni był duży pokój. Odemknęła drzwi; wsunęłam głowę, najpewniejsza, że te dusze muszą być skrzydlate, podobne do ptaszków lub motyli i bałam się, żeby nie uleciały przez drzwi otwarte. Ale cóż ujrzałam? Gromadę ludzi zupełnie takich, jak wszyscy inni! Dopieroż było rozczarowanie! Siedziało to wszystko skulone na ziemi, na rozslanej słomie,—jedna z kobiet, otulona białą płachtą tak, że jej twarzy nie było wi-

dać, zawodziła, t. j. płakała, przyśpiewując półgłosem, a mały, kilkoletni chłopak powstał i przypatrywał się nam ciekawie. Był to przedstawiciel owej pół duszy.

— „Mamo, — spytałam, — jakież to dusze? to ludzie tacy, jak my“.

— „A tacy sami, moje dziecko, — rzekła matka, tylko bardzo nieszczęśliwi“.

— „Więc jakże ich kupić można? mówiłam zdumiona, — to jeszcze i mię kupi kto u Mamy“!

Matka się roześmiała.

— „O to nie ma obawy, odparła, bo my należymy do kasty uprzywilejowanej, która się nazywa szlachta, — a ci biedacy, to są poddani, których panowie mają prawo sprzedać lub kupić jak owce, lub konie. To bardzo źle i Pan Bóg tak nie chce, — aleś ty za mała, abyś to zrozumieć mogła“.

I posłała mię do kuchni powiedzieć kucharzowi, żeby się pośpieszył z jedzeniem dla tych biedaków, a mnie się okropnie czegoś smutno zrobiło; chciało mi się płakać i gniewać się, sama nie wiedziałam na kogo.

Skoro przyniesiono misy, pełne strawy i łyżki drewniane, matka moja zaczęła ich zachęcać do jedzenia. Wszyscy się rzucili skwapliwie do mis, tylko owa kobieta, otulona płachtą, ani się ruszyła z miejsca, ani słowa nie odpowiedziała, — na wszystkie prośby i perswazje matki mojej, ażeby się pokrzepiła ciepłą strawą, — była głucha i niema.

— „Hanula! wołali na nią jej towarzysze, chadzi, zjesz ciepłaho, budzieć lah-czej na dusze! (pójdź, zjedz ciepłego, będzie lżej na duszy!) A ona i głowy nie podniosła! Jaka to straszna boleść musiała miotać tem biednem sercem, a ten pan, który ją sprzedał, zapewne nie przypuszczał nawet, aby chłopka mogła tak cierpieć! Nieraz potem myślałam o niej, bom się trapiła, że z głodu umrze. A wiele razy posłyszałam, że na jaką kobietę lub dziewczynę wołano Hanula! to mimowoli drgnęłam i zdawało mi się, że koło mnie rozlega się płaczliwy śpiew tamtej. Kiedy potem pytałam, co się z nią stało, matka rzucała robotę jakby z uczuciem podrażnienia i wsparłszy się na rękę, wpadała w taką głęboką zadumę, że nie mogłam doczekać się odpowiedzi na moje pytanie.

Dopiero po wielu leciech dowiedziałam się szczegółów tej historii. Ci ludzie nie byli sprzedani, gorzej jeszcze, byli przegrani w karty na jarmarku w miasteczku powiatowem. Hanula była to młoda kobieta, nadzwyczaj przywiązana do męża, który, podejrzewając swego pana o nieczne zamiary względem swej żony, hardo się stawił, został obity i zagrożony oddaniem w rekruty. — Mszcząc się, mąż Hanuli podpalił folwark i uciekł, to też, kiedy trzeba było płacić honorowy dług kartowy, pan ów wpisał do liczby sprzedanych niby dziesięciu dusz owego zbiega, a wynikłe stąd nieporozumienie załagodzono sądem honorowym i do nieobecnego zbiega dodano pół duszy — mego ulubieńca Jasia.

Co się tyczy Hanuli, musiała ona udać się z innemi duszami, na to przeznaczonemi, w drogę, którą ją miała na zawsze oderwać od wioski rodzinnej i od nadziei powrotu męża. Nie było jeszcze wtedy dróg żelaznych, a z powodu znacz-

nej odległości, nie było też i nadziei spotkania się kiedykolwiek z mężem. Cóż dziwnego, że odchodziła od zmysłów z żalu, że się stała głuchą na słowa i nieczułą na głód? Niedługo też gościła i na nowem miejscu pobytu: dostała gorączki trwającej i w kilka tygodni umarła. Wytłumaczono, że śmierć jej nastąpiła wskutek zaziębienia się w drodze. Towarzysze jej, bardziej zrezygnowani, lub też może mniej uczuciowo rozwinięci, spokojniej przetrwali koleje losu.

Tego zaś chłopaka sierotę, co to go rachowano za pół duszy, matka zatrzymała u siebie i wzamian dała sąsiadowi krowę, której się ten dawno napierał, gdyż mieliśmy ładny gatunek bydła.

Chłopak ten, imieniem Wańka, później na Jasia przerobiony, był najprzód przy kredensie, pod dozorem naszego starego kredensarza. Żywy i sprytny, zawsze coś nożem dłubał i majstrował, zaglądał do dużego gdańskiego zegara, stojącego w kącie w jadalnym pokoju, biegał do browaru do kotłów, interesował się wszystkimi żelaznymi przedmiotami, dopytując się: „a jak się to robi?”. Wskutek tych swoich upodobań bywał zwykle sadzami wybrudzony. A ja lubiłam go bardzo i zawsze wołałam do pokoju, żeby się ze mną bawił. Kiedy zaś kredensarz mi perswadował: „niech się panienka z Jasiem nie bawi,—Jaś brzydki, Jaś brudny,—niech idzie do łaźni umyć się”,—to go broniłam i głaszcząc po twarzy, mówiłam: nie prawda! Jaś ładny! Jaś czysty!

W swoim czasie, matka moja nauczyła go czytać i zawsze mawiała, że on ma jakieś zdolności techniczne w palcach,—a pisarz prowontowy uczył go pisać, wówczas gęsiem jeszcze piórem. Potem straciłam Jasia z oczu, gdyż został oddany na naukę do ślusarza do Rygi. Kiedy dorósł, matka go usamowolniła, t. j. jak wówczas mówiono: darowała mu wolność.

Minęły lata,—trafiło się, że pojechałyśmy z matką do Rygi. Jaś zaraz przybiegł nas odwiedzić. Był już mężczyzną dorosłym, miał posadę mechanika na jakiejś fabryce. Ubranie na nim było nie tylko porządne, ale eleganckie. Kiedy się zarekomendował, nie wiedziałam z początku, jak mu mówić, a on spostrzegłszy to, zaraz prosił, żeby go nazywać Jasiem, jak dawniej, bo to najmilsze dla niego czasy. Przypominał, jak go kiedyś broniłam i dowodziłam, że Jaś ładny i czysty, choć był zamurzany sadzami,—co, dodał z uśmiechem, trafia mu się i teraz przy robocie. Matkę moją całował po rękach, dziękując ze łzami, że się biednym sierotą zaopekowała, wyprowadziła na ludzi i zapewniła mu chleb do śmierci. Było to bardzo przyjemne spotkanie.

I można byłoby i uśmieać się i ucieszyć z dziwnych losów tej ongi maleńkiej pół-duszy Jasia, gdyby nie tkwiła przed oczami tragiczna postać Hanuli. Lecz od-tąd zdawało mi się, że od ludzkiego czynu mojej zacnej matki padł jakiś promyk jaśniejszy na pamięć tej męczennicy, — że może i jej cierpienia zaważyły na szali losów małego sieroty.

Stefanja Ulanowska.



Biskup Edward baron Ropp.

W naszym społeczeństwie znajdujemy dużo ludzi, którzy przy rozmowie o przeróżnych kwestjach przyznają się do nieznajomości rzeczy specjalnych; tylko w dziedzinie wiary nie natrafiłem nigdy na takie przyznanie. W tej dziedzinie każdy nie waha się wygłaszać zdania i apodyktycznie sądzić, nie uważając na to, że wiedzę swoją osiągnął najczęściej tylko z urywkowego, w obcym języku, wykładu katechizmu w szkole, często już wielce zapomnianego i, że w późniejszym życiu albo nie z bogatej literatury dogmatycznej, apologetycznej, kościelno-historycznej, lub katolicko-społecznej nie czytał, albo przewertował tylko pobieżnie jedną lub drugą książkę, słynną ze swego przeczącego stanowiska.

A jednak śmiem twierdzić, że nikt, poważniej myślący, nie zaprzeczy, że kwestje światopoglądu, Boga, objawienia i stosunku człowieka do Boga są kwestjami pierwszorzędnej wartości, nie tylko teoretycznej, ale i praktycznej, bo logicznie od nich zależy wiele w postępkach i kierunku życiowym człowieka.

Z tego braku harmonji między gruntowną wiedzą i głoszonemi zdaniem, nawet u ludzi, stojących na gruncie wiary, wynikają częste sprzeczności i braki logiki życiowej. Takie usterki, nieraz w skutki obfite, bywają przez samych winowajców nie tyle jasno pojmowane, ile instynktownie odczute.

Trudno aby na takiej chwiejnej podstawie mogła się ugruntować stała harmonijna i celowa działalność, aby w chwilach krytycznych zajaśniała, przy wielkiej często odwadze osobistej, odwaga cywilna; to też chwiejność i brak cywilnej odwagi są cechą licznego zastępu społeczeństwa naszego.

Dziś przeżywamy moment bolesny odnowionego prześladowania i usuwania nas ze wszelkich posad i wpływów. Różni się jednak ta chwila od ubiegłych lat dziesiątków tem, że wszyscy przeczuwamy i przewidujemy jej kres i pewni jesteśmy, że prędzej lub później ponownie do czynności wielkiego znaczenia społecznego i politycznego dopuszczeni będziemy.

Wtedy to okaże się koniecznem wyznanie koloru i mężne stawanie w obrobie swych przekonań.

Obyż społeczeństwo nasze, młodzi i starsi, zechcieli skorzystać z chwili obecnego przymusowego wywczasu, żeby się przygotować do przyszłych czynności, zdobywając, nie tylko między innemi, ale w pierwszym rzędzie niezbędną gruntowną wiedzę w kwestjach pierwszorzędnej wagi. Przekonany jestem, że ci, którzy bez przedwziętych myśli do tej pracy przystąpią, znajdą na gruncie chrześcijańsko-katolickim i tylko na tym gruncie niezbędną podstawę do zdrowego postępu i do celowej pracy, prowadzącej do dobrobytu moralnego i doczesnego, równie osobistego, jak i całego narodu. Kiedy zaświta czas przyszłej czynności społeczno-politycznej, tam też, t. j. w wiedzy i ugruntowaniu na niej przekonaniu chrześcijańskim, znajdą siłę dla niezbędnej i nierozzerwalnej od wszelkiej owocnej pracy odwagi cywilnej, jasności i konsekwentności poglądów.

O ile lubiąca czytać warstwa społeczeństwa naszego, przez nieprzerwyne czytanie beletrystyki nowoczesnej musi przechodzić przez fazy zniechęcenia i może zauważyć na sobie stopniową utratę głębokości i sprężystości myśli, o tyle by zyskała, gdyby we własnej i obcych literaturach sięgnęła tuż do bogatych skarbów ksiąg dogmatycznych, apologetycznych, kościelno-historycznych i katolicko-społecznych; zyskałaby nie tylko osobiście, duchowo i życiowo, ale by też ogromną korzyść przyniosła ogółowi i z korzyścią dla siebie spełniłaby czyn szczerze patriotyczny, uzbrajając się w silne przekonania, na wiedzy oparte i mężnie brnione na czas nieuniknionych przyszłych walk i działalności.

X. Edward Ropp, bp Wileński.

30 listopada 1909 roku.



Marjan baron Manteuffel.

„W KUŹNI AMORA“.

I.

W kuźni amora młot dudni. Po białem czole bożka rześnistymi kroplami spływa pot, złote loki opadły mu na oczy—mały bożek, o skrzydełkach motyla, pracuje, ile ma sił w wątłych rączynach! Raz po raz uderza z rozmachem w duże, płomienne serce, co leży przed nim na błyszczącej powierzchni kowadła, a z pod młota lecą iskry dokoła, niby duże, ogniste, palące łzy!

Kuźnia pełna jest serc. Leżą dokoła porozrzucane, niby kwiaty na łące; duże i małe—gorące i jako lód zimne, złote i pozłacane...

Hej! ileż tych serc w kuźni amora! Leżą pokotem, niby dojrzałe kłosy na polu, po którym w dzień letni z kosami przeszli żniwiarze.

.....

Blady, wysmukły i cichy — stanął w progu.

Zamienili ze sobą badawcze spojrzenia: w jednym malowała się litość — w drugim bajeczne zmęczenie.

Bożek nie przerywał roboty.

Przybyły zatrzymał się we drzwiach kuźni, machinalnie śledząc oczami ruchy amowego młota.

Od iskier, co padały dokoła, oczy jego zajęły się zwolna płomieniem.

A smutneż to były oczy, jako jesienna noc i aż krwawe od bólu, co w nich gorzał! Z wyrazem prośby utkwiał je w różowej twarzyczce bożka i jął mówić tak cicho, jak brzoza, co się skarży jesienią, gdy wichry swawolne targają jej płowe warkocze:

— Zwiedziłem lądy dalekie i morza, widziałem cuda przyrody i wspaniałe wytwory genjuszu ludzkiego, zgłębiałem tajniki wiedzy, miałem się pracy z zakasnymi po łokieć rękawy, w nurtach zmysłowych rozkoszy nurzałem się, niby szaleniec—i oto wracam chory, jakom był, z krwawiącą raną w sercu.

— Coś ty mi wówczas zadał? Ulecz z miłości, którąś mi w duszę wszczepił, bo — czyż nie widzisz? — wszak usycham z tęsknoty!

— Pamiętasz, ty z bogów wszystkich najmniejszy, co jednak światem trzęsiesz — kiedyś to po raz pierwszy stanął pomiędzy nami?

— Maj był na świecie! boski maj! Wiosną pachniało dokoła, aż mroczyło w oczach — i w duszach mieliśmy wiosnę oboje.

— Bzy kwitły... a białe jaśminy, niby ślubna szata panny młodej, pokryły dokoła krzewy wiosenne.

— Ona od bzu była wonniejsza i bielsza od jaśminu.

— Z tą wiosną, po bzach i jaśminach, miłość do serc nam spłynęła, silna — jak czar owej wiosny, jak kwiaty — wonna i odurzająca!

— Bzy kwitły!

— A myśmy wśród onej fioletowej powodzi kwiat bzu o pięciu odnaleźli listkach i z dziecięcym uśmiechem spojrzawszy sobie w oczy, radośnieśmy zawołali:

— „Szczęście!”

— Och, tak — szczęście!

— Bzy i jaśminy kwitną do czasu. Jeszcze naokół bytowała wiosna, jeszcze ptaszki śpiewały wesoło, aż oto wichry nagle zaszumiały — i posypały się kwiaty nasze, niby łzy, ku ziemi... pokryły ją całą kwietnym całunem i wędnąć poczęły, a z nimi i nasze szczęście...

— Nasze szczęście!

— Wracała potem nieraz jeszcze wiosna i bzy rozkwitały na nowo i krzaki jaśminu śnieżnem pokrywały się kwieciami... tylko szczęście, raz pogrzebane, nie wróciło już nigdy więcej.

— Różowy bożku miłości, czemu to tak się dzieje? Czemu się ból odradza stokrotnie, morze łez nie wysycha, tęsknota w bujny, ciernisty wyradza się z czasem krzew — tylko szczęście ludzkie dwa razy nigdy nie zakwita?

Głos mu drżał, zwolna nabierał siły, oczy płomienie ciskać poczęły:

— Ulecz mię — wołał — z owego kochania, bo serce mi pęka, a z tęsknoty schnę!

Amor zaprzestał roboty. A gdy tamten mówić przestał, odrzekł po chwili namysłu:

— Są rany, zadane sercu, które leczy czas. Są inne — które nowa miłość leczy. Ale wierzaj mi, bywają i takie, na które — lekarstwa niema... Ujął znowu młot w obie ręce — a tamten ruszył dalej w świat.

II.

Tam, kędy żółte fale morskie z głuchym łoskotem kruszą się u ostrych zrębów skalnych wybrzeży, tam hen! w sinej, bajecznej niemal dali — tam grzmiały armaty i leje się krew. Ludzie, niby zwierzęta dzikie, rwą siebie w kawały, tarzają się we krwi, mordem dyszą!

Dniem i nocą walą wojska na wschód!

Wojna!

Pięć dni, pięć strasznych dni trwał bój! Dwie armje zmagaly się ze sobą na śmierć i życie! Zdawało się, iż samo piekło zstąpiło na ziemię, drżącą w posadach od grzmotu tysiąca dział, nieustannych salw karabinowych i ryku rozbestwionych walką pułków.

Wszędzie — dokąd jeno okiem sięgnąć — białe dymy... a pośród dymów tych coraz częściej, coraz gęściej, coraz gwałtowniej zapalają się błyski i ognie... to pękające z hukiem szrapnele, bluzgające istnym deszczem żelaza. Świeży powiew budzącego się jesienno dnia nie zdołał jeszcze rozwiać pierwszych dymów — aż oto patrz!... znów tu i tam... hen! wszędy — wszędy ścielą się nowe — aż gęstą mgłą pokryły wreszcie góry i zarośla.

Ruszyły wojska.

Jakżeż strasznie, jak przeciągle, jęczą, gwiżdżą, brykają wreszcie kule!

Zagrzmiały kartacze i bomby — a potem zakolysał się las bagnetów — i niezliczone zastępy ruszyły do ataku. Z niczem niepowstrzymaną siłą porwały fale ciał ludzkich ku sobie, zwały się w jedną skłębioną, szarpiącą się wściekle masę i jęły zmagać ze sobą z jakimś ślepem zapamiętaniem, niby stado zgłodniałych wilków, co się pożarły o końską padlinę.

Ludzie szaleli! Z wyciem piekielnem parli naprzód, bijąc, mordując, miażdżąc wszystko przed sobą. Jakiś szal ich ogarnął, obłęd boju... pijani widokiem krwi, szli na oślep pod kule, co gradem na nich biły — na armaty, co nieustannym żygały ogniem! Wreszcie jedna ze stron, jęła pod gwałtownym naporem ustępować. Niby cięciwa łuku, wygięły się jej szeregi... a potem pękły w najsłabszym miejscu i rozsypały się, jak ogniwa łańcucha, co pryska w napięciu.

I wszczęło się piekło w piekle: krwawa, zajadła, rozpaczliwa walka o okopy, o każdą niemal pędź ziemi... zmiażdżone łby, w kawały poszarpane tułowys, stosy trupów, zarówno ludzkich jak konskich, potrzebne armaty, krwią bluzgająca ziemia, rżenie konających, jęk rannych — a ponadtem wszystkiem... demon zniszczenia na czarnym pędzi rumaku, kosą potrzasa i białe zęby w uśmiechu szczyrzy!

Pięć dni trwał straszny, potworny bój!

Teraz tu cisza. Burza przeszła — jeno niekiedy jeszcze dolatuje gdzieś zdala niewyraźne echo oddalającego się grzmotu dział. Jesienna noc czarnym całunem pokryła krwawe pole. Cisza w okopach... baterje milczą. U zagwożdżonych ar-

mat, przy lafetach i kołach strzaskanych... śpią snem wiecznym waleczni ich obrońcy.

A tam, u dołu—morze gaolianu. Zlekka kołysze je cichy, nocny wiatr—więc pochylają się długie, smukłe badyle, potrząsają ciężkimi, brązowymi czubami i szepcą: śmierć... śmierć...

...Wszędzie śmierć!..

Z poza płynących niebem chmur, raz i drugi wyjrzał srebrny księżyc — aż wypłynął wreszcie w całej pełni i szedł wolno poprzez krwawe pole, zaglądając trupom w straszne, szeroko rozwarte ślepia. Bólem wykrzywione oblicza, rysy napiętnowane zastygłym wyrazem nienawiści, usta zacięte, pozaciskane pięście i oczy — och! nadewszystko ..jakież straszne, oczy!..

Na niebie zapaliły się gwiazdy...

A tam co mignęło w oddali? Ludzież to przyszli, umarłym zakłócać pokój, plądrować poległych i ze zwierzęcym spokojem z ciał sztywnych ściągać resztki szat poszarpanych — czyli też może szakale... ssać krew, która się tu strumieniem lała?..

Wśród stosu krwawych i sztywnych ciał, po śmierci jeszcze uściskiem nienawiści ze sobą splecionych... stanęła niema rozpacz, błędne oczy nieruchomo utkwiała w przestrzeni i długie, chude załamała ręce...

Wśród stosu krwawych, sztywnych ciał... umiera młody żołnierz.

Z otwartych piersi wolno sączy się krew, głowa o jasnych kędziorach podana mocno w tył, oczy utkwione w firmament niebieski...

Umiera i ma widzenie:

Po jasnych smugach światła księżycowego spływa ku niemu postać świetlana, o bujnych, cudnych kształtach kobiety, ujętych w powiewną szatę. Wejrzenie ma smutne i surowe zarazem, a ręce o długich, białych palcach, wyciąga ku niemu matczynym jakimś ruchem...

— „Ktoś ty jest?“ — pyta żołnierz.

Odpowiada mu szeptem cichym:

— „Śmierć“.

Wówczas niebieskie oczy żołnierza uśmiechają się tak rzewnie, tak błogo, tak pogodnie, jak gdyby widziały gdzieś w dali... bzy kwitnące i krzewy wiosenne, białem kwieciem jaśminu pokryte...

A ona biedną jego głowę ujmując w obie dłonie, palcami łagodnie powieki przymyka i na czole składa pocałunek.

Marjan Manteuffel.



Bolesław Limanowski.

CZEM JEST OJCZYŻNA?

„WYJĄTEK Z OSTATNIEGO RĘKOPISU“.

Stanisław Worcell, przyjaciel Lelewela, Mazziniego, Hercena i przez demokratów europejskich wielce szanowany, dał następujące określenie Ojczyzny:

„Naród, względem każdego swego członka, jako spuścizna po ojcach, jako jedność, obejmująca wszystkie następne po sobie pokolenia, ciągiem nieprzerwanym niepodzielnego życia, jako źródło spólnego wszystkim żywota, jako opiekun rodzin, poręczyciel praw, nauczyciel i stróż obowiązków pojedynczych, przecho-wawca podań, przedmiot zamiłowań i cel usiłowań wszystkich swych dzieci, jest *Ojczyzną*“.

Określenie szczytne, wykazujące wielkie narodu dla jego członków znaczenie, lecz nie jest zupełne. Pochodzi to stąd, że pod nazwą Narodu Worcell obejmuje: Lud i Kraj. Podług niego, „Lud w związku z Krajem, jako jedność urzędowa i samodzielna, jest Narodem“.

Niezawodnie, Naród potrzebuje pewnej przestrzeni, pewnego obszaru, ażeby mógł zaprowadzić i urządzić własne gospodarstwo. Jest ono potrzebne, nawet konieczne dla narodu; stanowi jego własność, lecz nie jest jego częścią organiczną.

W szerokiem rozumieniu Ojczyzna, jako spuścizna po naszych ojcach i matkach, jest rozgałęzioną rodziną, „której zarazem—jak powiada Worcell—jest roz-

szerzeniem, obrazem i opiekunką“, która otacza nas życzliwością i niesie nam pomoc; oraz jest dorobkiem rodzinnym całego szeregu pokoleń, nas poprzedzających.

A więc przede wszystkim ojczyzną naszą—jak to pięknie powiedział Worcell —jest sam naród, do którego należymy, którego złe i dobre losy podzielamy.

Dorobek nasz narodowy jest dwojakiej natury: cielesnej, materialnej i duchowej.

Dorobek materialny jest to ziemia, na której naród osiadł, którą on własnym znojem, własną pracą uprawił, użyźniał, uzdrowotnił, uprzyjemnił, zabudował; jest to całe to gospodarstwo, które on na tej ziemi zaprowadził, nasze wsie i miasta rodzinne, nasze rolnictwo i przemysł.

Dorobkiem duchowym jest jego kultura, obejmująca jego mowę ustną i pisaną, jego zwyczaje i obyczaje, jego wierzenia i wiarę, zasady, poglądy, jego sztukę, poezję, naukę. Indywidualna organizacja uczuciowo-umysłowa każdego narodu nadaje swoistość tej kulturze, którą on wytwarza, chociaż jej pierwiastki bierze z ogólnoludzkiej skarbnicy. Zauważono, że pojęcia jednego narodu nie zawsze są przystępne dla innego. Zachwyt, który wzbudza poeta we własnym narodzie, nieraz bywa niezrozumiały dla innych narodów. Nawet w dziedzinie umysłowej, najbardziej ogólnoludzkiej, dają się spostrzegać pewne właściwości w sposobach myślenia każdego narodu, i dla tego umysłowa kultura każdego narodu podnosi się i wzbogaca tylko wówczas, kiedy jest wytworem własnej jego pracy myślowej. Narzucanie narodowi szkoły w obcym języku wyrządza wielką krzywdę umysłowemu jego rozwojowi.

Bolesław Limanowski.

(Jest to urywek z obszernej pracy o Worcellu, która się rychło pojawić ma w druku).



Władysław Studnicki - Gizbert.

„BOLESŁAW LIMANOWSKI“.

Pięćdziesiąt lat pracy, stos książek zapisanych, setki artykułów, jasność myśli, wiedza rozległa, tematy najbardziej żywotne, omawiane sumiennie, miłość gorąca do społeczeństwa swojego, szczególnie ciepłe uczucie do warstw wydziedziczonych, pięćdziesiąt lat tułactwa, życie na wygnaniu i emigracji, całe lata samotności ideowej, wieloletni brak uznania — oto w krótkich słowach dzieje Bolesława Limanowskiego. Żaden typ, wytworzony przez beletrystę, nie wart takiej analizy, jak ów żywy człowiek. Tyle w nim tkwi z duszy narodu polskiego.

Rąbek z zasłony, kryjącej oblicze duchowe B. Limanowskiego, uchyla książeczka jubileuszowa, wydana z powodu czterdziestoletniej pisarskiej działalności jego, zawierającą część autobiografii p. t.: „Jaką drogą doszedłem do socjalizmu?“, a więc do idei, do której przyłgnęła dusza tego człowieka.

Limanowski urodził się w 1835 roku w majątku rodzowym Podgórzu, w powiecie Dyneburskim, w polskich Inflantach, w gubernji Witebskiej, a więc na dalekich kresach dawnej Rzeczypospolitej. Z kresów wychodzą u nas najdzielniejsi ludzie, gdyż to potomkowie rasy zdobywców, którzy pilnowali granice Rzeczypospolitej, ludzi, którzy z sobą Polskę nieśli, jej sprawie nie dawali za wygraną, chociażby byli sami wśród wrogiego dla niej otoczenia. Limanowski odziedziczył po nich umiejętność pozostania samym sobą, stania przy swym sztandarze, chociażby inni od niego odbiegli i za jakąś wytartą szmatę uznali. Od kilku dziesiąt-

ków lat stoi wytrwale Limanowski przy sztandarze niepodległości Polski i socjalizmu, chociaż przez pierwsze lata tego okresu nikt u nas o socjalizmie nie mówił, a przez lata następne socjaliści polscy, pod wpływem prądu zgody z losem, panującego w społeczeństwie naszym, wrogo do walki o niepodległość Polski się odnosili.

Limanowski był jakby ogniwem, łączącym przedstawicieli polskiej partji socjalistycznej z dawną emigracyjną demokracją polską, ale na ruchu socjalistycznym polskim nie wyrył piętna swej indywidualności. Złożył się na to szereg okoliczności, tkwiących tak w samej naturze Limanowskiego, jak i w warunkach naszego rozwoju.

Limanowski organicznie przylegał do dawnych dążeń patriotycznych. Wykarmiły go psychicznie tradycyjne marzenia polskiego dziecka. Następnie zetknął się ze szkołą rosyjską. Im wybitniej zarysowuje się indywidualność dziecka, tem większy konflikt zachodzi między nim a szkołą. „W szkole zawsze byłem gotów do rokoszu”—pisze o sobie Limanowski. Był czas w młodości Limanowskiego, gdy „szeroka natura“ jego kolegów rosjan wciągnęła go do hulatyki, „ich życie hulaszce zaczynało mi smakować“. Ale ruch studencki w 1856 r. przebudził rewolucyjne uczucia Limanowskiego, dając inne ujście jego namiętnościom. W uniwersytecie moskiewskim była spora liczba, około 600 Polaków, tworzyli oni odrębną organizację polską. Wykształcenie polityczno-społeczne młodzieży polską ówczesna, jak i dzisiejsza, zawdzięcza kółkom samokształcenia. Młodzież nie mogła zacieśniać swego wykształcenia politycznego przepisami policyjnego państwa. Kształciła się na zakazanej literaturze. „Czytaliśmy i studjowaliśmy Lelewela, Mierosławskiego”—pisze Limanowski.

Limanowski przeszedł przez wygnanie. Za demonstrację 1863 r. w Wilnie, zostaje wysłany najpierw do gub. Archangielskiej, następnie do woroneskiej; wygnanie zabrało mu ogółem 5 lat. Czy był to czas dla Limanowskiego stracony? Na wygnaniu czytał dużo, przebywał ewolucję duchową. Rzeczy czytane na pustkowiu, wśród dni i nocy, ciągnących się monotennie, wśród braku innych wrażeń, prócz wrażeń umysłowych, przemawiają do umysłu i do wyobraźni silnie. „Oderwany od życia narodowego, rzucony w zabita—jak to mówią—deskami od świata, głuchą miejscinę, cierpiałem na brak wszelkich niemal wrażeń“. Powieść Hugo „Nędznicy“, czytana w samotności, dawała mu to, czego „ówczesne życie moje dać nie mogło“. Z Comtem, który wywarł przeważny wpływ na Limanowskiego, którego socjologii poświęcił bardzo dobrą pracę *), zapoznał się Limanowski ze źródłami rosyjskimi na wygnaniu. Na wygnaniu z rosyjskich miesięczników doszły do niego wieści o nauce i działalności politycznej Lassala. Kto wie, jak fałszywie, jak karykaturalnie i dogmatycznie odbija się w umysłowości rosyjskiej myśl i zachodu, ten musi przyznać, że pewnym minusem w rozwoju Limanowskiego

*) Socjologia Augusta Comte'a, Lwów, 1875 r.

go była cała ta różnica, jaką jest korzystanie bezpośrednie z myśli i życia zachodu, a branie jej przez niemethodyczną, niewydiscyplinowaną naukowo, barbarzyńską i bezwiednie służalczą myśl rosyjską. Ten minus, to klątwa, która ciąży nad trzema czwartymi inteligencji naszej w państwie rosyjskiem zamieszkałej. Wyjechawszy na zachód, Limanowski zerwał styczność z produkcją społeczno-naukową Rosji, ale świadomej jej negacji w pracach jego nie znajdujemy. W tem leży jedno ze źródeł słabości tego pisarza. Każda nowa faza rozwoju nadaje siły do walki z dawną, jeżeli jest świadomem przeczeniem pierwiastków dawnych. Gdy to, co było bliskiem, staje się dalekiem, co było cenione, staje się wrogiem, wówczas siły jednostki rozrastają się dla skutecznej walki. Brakowało mu zawsze pierwiastku nienawiści, który budzi myśl do niweczenia krytycyzmem wytworów wrogów. Limanowski podczas naporu u nas moskalofilstwa rewolucyjnego stał bezsilny, nie niweczył go krytyką, nie druzgotał ironią, bo sam wierzył w rewolucyjność Rosji. W książeczce swej „Powstanie narodu 1863 r.“ uważa za dodatni wynik powstania „przymierze pomiędzy rewolucją polską, a rewolucją rosyjską“.— Polacy pomagali organizować powstanie nad Wołgą i Oką—(132 str.). W jednym ze swych artykułów z przed kilkanastu lat Limanowski ubolewa, że rewolucjonisci rosyjscy w ósmym dziesięcioleciu nie rozpoczęli powstania nad Wołgą. Zamieszki nadwożańskie w 1864 r., o których wieści dochodziły do Limanowskiego w przesadnej formie przez towarzyszy wygnania, broniły od zwątpienia w sprawę polską, która wydawała się być utopiona we krwi, przez Bergów i Murawjewów przelewanej.

Natura Limanowskiego konserwowała jego uczucia i poglądy. W młodości i starości Limanowski był rewolucjonistą ze względu na sprawę polską.

Dla Limanowskiego socjalizm stał się religją, dążnością do jakiegoś innego, idealnego świata na ziemi. Jego „Historja ruchu społecznego XVIII i XIX st.“ to nie studjum krytyczne, pisane metodą naukową, to nie analiza tych stosunków społecznych i ekonomicznych, które zrodziły kierunek, reprezentowany przez tego lub owego pisarza socjalistycznego, to galerja osób przez autora ukochanych: jedni stali mu się bliscy, bo tworzyli koncepcję innego porządku społecznego, socjalizmem zwanego; drudzy przez to, że byli mu drodzy, zostali wciągnięci na listę socjalistów. Stoją szeregowani ludzie różnych czasów, różnych narodowości, różnych światopoglądów, ale oni są lub zostali przez Limanowskiego pasowani na obywateli idealnego świata—socjalizmu. Każdy z nich—myśliciel wspaniały—każdy z nich niech pociąga do socjalizmu—oto cel autora. Zbyt oni są mu drodzy, aby mógł ich analizować. Nie trzeba jednak sądzić, aby uczuciowy pierwiastek był czynnikiem ujemnym w myśleniu. Dążność, rządząca całym światem organicznym, osiągnięcia jaknajwiększych rezultatów przy najmniejszych wysiłkach, zmusza człowieka przyjmować na wiarę każdą myśl, każde słyszane twierdzenie. Przyjęcie to jest tem trwalsze i głębsze, im bardziej dane twierdzenie odpowiada naszym uczuciom. Ale jeżeli uczuciowa strona nie może pogodzić się z danem

twierdzeniem, wówczas im silniej włada człowiekiem, tem silniej pobudza myśl jego do szukania kontrargumentów, dla przeobrażenia sądu. Spencer zwrócił uwagę na to, jak klasowe i narodowe czynniki paczą częstokroć nasze sądy społeczne, my powiemy: nie paczą, ale przeobrażają, gdyż wpływ uczuć klasowych i narodowych wiedzie raczej ku prawdzie, niż ku fałszom, przyczyniając się do przeobrażenia różnych społecznych teorii, do ich rozwoju, których idealnym kresem ma być owa prawda obiektywna, która może zawsze pozostanie nam nieznaną.

W 1904 roku przeniósł się Limanowski do Galicji. Obecnie siedemdziesięcokilkoletni starzec, nie ustaje on w pracy. Od szóstej rano zasiada do biurka; drukuje obecnie wielkie dzieło o Worcellu. Kilkadziesiąt lat pracy, stosy dzieł napisanych nie dały dobrobytu Limanowskiemu. Lecz starość tego człowieka, ze względu na energję umysłową, która go nie opuszcza, jest do pozazdroszczenia.



Red. Antoni Ossendowski.
(Z akwareli p. Anny Ossendowskiej).

KRZYK URWANY.

(SZKIC Z PODRÓŻY).

Nasza „Australja“ krótko stać miała w porcie Shanghai, trzeba więc było śpieszyć ze zwiedzeniem miasta.

Robiliśmy wycieczki z doktorem P. i wkrótce przekonaliśmy się, że na poznanie miasta dość i paru godzin.

Europejska dzielnica ze swymi willami, parkami i jedną linią tramwaju była zwykłym „settlement'em“, jakich mieliśmy dość w Adenie, Singapoore i Hongkongu; chińska zaś dzielnica, Sok-nu-haï, posiadała tak brudne, ohydne i krzywe ulice, roiła od tłumów dobrze nam znanych chińczyków, — że nie pociągała nas bynajmniej, to też postanowiliśmy powrócić do portu.

Gdyśmy już byli na wybrzeżu, zapchanem przez półnagich, opalonych na słońcu „kuli“, i bronzowych rybaków „ju-men“, pośród stosów towarów, w atmosferze, przesyconej zapachem ryb, owoców, dostarczanych z Japonji i Ameryki, skór, cebuli i oleju bobowego, w wirze krzyków, nawoływań, zgrzytu łańcuchów, łoskotu wind, wycia syren i gwizdania lokomotywy,—mój towarzysz zawołał:

— Oszaleję! Biegnę na „Australję“!

Zostałem sam jeden i obserwowałem życie portu.

Małe, silne statki ciągnęły na długich sznurach szeregi wielkich kryp chińskich, któremi przewożono aż do Tchi-Foo ryby, morską kapustę, trepangów, tran i wielkie, czarne ostrygi—„lo-zaj“.

Setki drobnych, dziwacznych łodzi rybackich, o wysokich, pomarszczonych w liczne fałdki, żaglach, przychodziły z morza i wyrzucały wprost na brzeg stopy

ryb, olbrzymich okrągłych krabów, wiązanki wodorostów i wielkie muszle, pokryte warstwą czarnego i cuchnącego mułu.

Pośród hałasu, który unosił się i drgał w powietrzu, nie słysząc prawie było gwizdków parowców.

Zdaleka na widnokręgu ukazał się ciemny punkt i rósł bardzo szybko.

— Statek! Statek wojenny!—krzyknął ktoś w porcie, i wnet ogromny tłum rzucił się do przystani, gdzie zwykle zatrzymywały się szalupy okrętów wojennych.

Zdaleka coraz wyraźniej rysować się zaczynały linje statku.

Miał trzy niskie a grube kominy i trzy maszty. Już można było dojrzeć dział, które z ciekawością wychylały swe długie, nieruchome szyje.

Krażownik angielski!—wołano w tłumie.—Krażownik!..

Za kwadrans okręt wszedł już do portu, zahuczał ponuro i zgrzytnął łańcuchami kotwicy.

Na pokładzie zaczęli biegać ludzie; odwiązywano i spuszczano szalupy, otwierano wielkie luki od magazynów węgla.

Po chwili biała łódź, z dziesięciu wiosłarzami i oficerem przy sterze, była już w przystani, a jakiś majtek wykrzykiwał głośno:

— Paj-Lin! Zawołać Paj-Lina do komendanta!..

Przybiegł siwy, o cienkim warkoczku i prawie czarnej cerze chińczyk i, uniżenie kłaniając się, bełkotał:

— Depesza jest... Węgiel jest... Robotnicy też! Czy można ładować?..

— Natychmiast zaczynaj!—rozkazał oficer, i łódź, pędzona dziesięciu wiosłami, jak mewa pomknęła przez zatokę.

Wkrótce angielski statek portowy przyciągnął do burty krażownika wielką, czarną krypę z węglem i tłumem robotników.

Zaczął się ładowanie.

Sznur ludzi z koszami na głowach ciągnął się od krypy, szedł przez schody, prowadzące na pokład wojennego okrętu, wysypywał z koszy do głębokiej czełusci luki suchy węgiel, który, spadając, rozbijał się na kawałki i pył unosił się w postaci czarnej chmury nad białym krażownikiem.

Wziąłem czółno i kazałem się wieźć w stronę statku, gdyż chciałem zbliżyć widzieć tę gorączkową, prawie konwulsyjną robotę.

Przybyłem w chwili, gdy jakiś gruby marynarz, stojący około luki, okładał pięściami schylonych pod ciężarem ładunku chińczyków, hindusów i malajczyków, nagłąc ich do pośpiechu.

Milcząc, otrzymywali razy i milcząc szli z powrotem po nowy ładunek i nowe razy.

Wtem około luki powstało zamieszanie.

Majtek uderzył robotnika, a ten wnet mu odpowiedział okropnym razem, od którego anglik zachwiał się na nogach.

Natychmiast zagwizdały świstawki komendorów i zbiegli się majtkowie.

Nastąpiło groźne i straszne milczenie...

Huknął strzał... Echo długo biegło nad wodą, aż ucichło gdzieś daleko, pochłonięte przez piaszczyste wybrzeża za Sok-nu-hai.

Z tłumu wypadł człowiek.

Nie był to chińczyk...

Był blady, łapał zakrwawionymi wargami powietrze i drżącymi dłońmi chwycił się za pierś.

Naraz zachwiał się, zatoczył jak pijany, zawadził nogami o zwój sznurów, leżących na pokładzie, i runął do wody...

Wysoko wzbila się do góry zielona woda, mignęła w falach głowa robotnika, znikła na chwilę i znowu się zjawiała...

— Jezus... Mar... rozległ się urwany, a samotny i pełny śmiertelnej trwogi krzyk.

Krew uderzyła mi do głowy.

Ten krzyk wydała pierś Polaka, w której biło, być może, ostatniem tętnem zmęczone, stroskane serce rodaka, rzuconego na ten daleki brzeg na pastwę zmiennego i nielitościwego losu.

Kazałem wiosłować czempredzej na miejsce wypadku, lecz już nikogo nie znalazłem... nawet ruchliwe fale uspokoiły się i z cichym szmerem lizały stalowe ciało krażownika.

Znowu zabrzmiały krzyki, tupot nóg na pokładzie krypy, łoskot wysypywanego węgla i ciężki oddech kotłów, gotowych do dalszej drogi.

Wieczorem, gdy czerwone i zielone sygnały migwały w ciemności nad zatoką, a zdala szumiało miasto głosami tłumów, turkotem kół i dźwiękami orkiestry, stałem na pokładzie „Australji“ i patrząc na wodę, myślałem:

— Ktoś ty był, nieznany rodaku? Jakiż los dziwny, a nieubłagany rzucił cię aż tutaj samotnego? Czyś młody był, czy stary? Kochałeś, czy byłeś kochany? Skąd i dokąd dążyłeś?

Nadaremnie czekałem odpowiedzi...

Cicho szemrały fale, uderzając o boki parowca, a dzwon monotonnie wybijał godziny nocnej warty...

Antoni Ossendowski.

Zygmunt Jarski.

FRAGMENT Z TESTAMENTU.

Sercom bratnim—na pożegnanie,
Duszym bratnim—na powitanie.

A gdy umrę—

nie kładźcie mię w cynową zimną trumnę,
nie kładźcie na nią martwych palm żelaznych
i nie płaczcie nade mną...

A połóżcie w trumnę, zbitą z czterech desek, z prostych desek, gdziebym znalazł ukojenie strapionemu ciału memu...

A kwiatów, kwiatów wonnych, kwiatów barwnych—niechaj będzie istna powódź, bo wszak wiem, że i one wkrótce zwiędną, jak i życie me zwiędniało...

A nie płaczcie, bo śmierć moja, chociaż waszym sercom bratnim będzie pożegnaniem, lecz mym duchom bratnim będzie powitaniem...

A nie wieźcie w cztery konie, a nie kładźcie w tryumfalny wóz, — a zaś wieźcie w jeden koń, w pełen kwiatów wóz...

A nie róbcie widowiska, przedstawienia...

Niechaj pójdą w miejsce odpoczynienia — już wiecznego odpocznienia — tylko blizcy bracia ducha mego, a zarazem serca mego...

Zaśpiewajcie na odchodnem, zaśpiewajcie równą pieśń, pełną smutku, skargi, bólu, zaśpiewajcie taką pieśń, jakiem było życie moje...

Zakopajcie mię pod brzozą, pod płaczącą brzozą, która, gdy nastanie jesień, gdy nastaną mgły jesienne, będzie ronić listki swe, będzie płakać tak nade mną...

A postawcie krzyż, duży czarny krzyż — nie z granitów i marmurów, jeno z dębu, z rodzimego lasu...

A gdy zgnieje krzyż, to nie stawcie mi drugiego, bo wszak wiem, że razem z krzyżem zgienie pamięć o mnie...

A chowajcie tak daleko, żeby żaden szum, żeby żadne echo zgiełku światowego już nie doszło do mnie...

Was ja tylko o to proszę—

Zróbcie tak przez pamięć dla mnie...

A wraz do Was—bratnich serc—kilka słów na pożegnanie...

A więc Wam—braciom kochanym, braciom krwi i ducha—
niech Myśl wasza buja gdzieś w błękitach, szuka gwiazd świetlanych,
niech wasz Czyn o życiu nowem mówi,
niechaj Wiarą waszą będzie przyszłość jasna,
niechaj Nic was nigdy nie odstrasza,
i wciąż śnijcie i wciąż śnijcie...

— a nie będzie Wam tak źle, jak może być...

A siostrom serdecznym, ukojeniu nieszczęsnych—

nieście błogi uśmiech tam, gdzie serce jest strapione,

bądźcie zawsze tam, gdzie dusza jest zboląła,

bądźcie, jako źródlane krynice, do których dąży każdy spragniony,

bądźcie, jako ożywcze promienie, co do życia budzą wszystko,

bądźcie, jako ptaki bez troski, co hymny radosne wznoszą pod stropy niebieskie,

bądźcie, jak potężny ogień, co wszystko ogarnia swemi ramionami i stapia
w złocistych płomieniach,

— a bądźcie wszechsławione,

szczęsne i błogosławione...

Amen.

Nieraz spokój piekłem jest, a piekło niebem.

Nieraz człowiek duszę ma, a nie ma ducha.

Nieraz ruiny są piękniejsze od najpiękniejszych gmachów.



Eugenjusz Hr. Broel-Plater.

Wspomnienie z 1863 roku.

O ile mię pamięć, po upływie 49 lat, nie zawodzi, postanowiłem pokrótce opisać to, co wiem z wypadków poprzedzających i towarzyszących tragicznej śmierci brata mojego, Leona Platera, rozstrzelanego w Dyneburgu 27-go maja 1863 r. w 27-m roku życia.

Już w końcu 1862-go, i na początku 1863 r., zjawiali się rozmaici emisariusze z Królestwa na Litwie i Inflantach, pod rozmaitemi nazwiskami, bywali i w domach, gdzie więcej było młodzieży. Przebąkiwano, że byli wysyłani przez Rząd Narodowy, o którym nikt nie wiedział, gdzie się znajdował i skąd wysyłał swe rozkazy, ale nikt prawie nie śmiał od ich spełnienia uchylać się. W nasze strony inflanckie był wysłany niejaki Ponset pod przybranem nazwiskiem, zręczny i przystojny młodzieniec, bardzo pewny siebie i umiejący zaimponować; robił propagandę i bywał przeważnie w domach, w których mógł rachować na większe poparcie; rozsądniejszych zaś i tych, o których wiadomo było, że ogólnego nie podzielali szaleństwa i przeciwni byli miejscowemu powstaniu, unikał; nie gardził płci pięknej i panienkom patriotkom, mianowicie pannom Benisławskim w Dubnie, się zalecał.

Mój brat, jako młodzieniec gorących uczuć, wciągnięty był przez Mohlów, Zygmunta Bujnickiego i innych do kółek, w których rej wodził Ponset, organizował i rozdawał urzędy, zawsze z rozporządzenia Rządu Narodowego. Uważając, że Leon, człowiek większego charakteru, był pod wpływem tych podnieconych apostołujących osobistości (z których niestety ani jeden nie był dobrej wiary), chcących go wciągnąć do organizacji, działających na jego miłość własną, a nazywających nas, którzyśmy odradzali i widzieli nierozsądek i niebezpieczeństwo tego ruchu, Targowiczanami, starałem się, ile możliwości, perswazją na niego działać, ale on uważał, że, jako Plater, nie może się usunąć i wstydziłby się, gdyby żaden członek rodziny do organizacji nie należał; ufał ponadto nieograniczenie dobrej wierze i szczerym chęciom Ponseta i innych. Byli tacy, i to nie młokosy, lecz ludzie poważni, którzy wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu ręczyli, że powstanie jest u nas możebne i ma wszystkie szanse za sobą, bo włościanie z pewnością pójdą ze szlachcią, utwierdzali delegatów Rządu Narodowego

w mniemaniu, że powstanie tak na Inflantach, jak też na Białej Rusi jest konieczne. Jednak nie było żadnego ładu: na sesjach zdania były podzielone, jedni byli za rychłym powstaniem, drudzy chcieli zwlekać; nie było zgody, nie było obmyślanego planu, czas mijał na pustych starciach. Leon to uważał i to go zniechęcało: ku wiośnie, w marcu, wydawał mi się mniej zapalony i mniej ufający w powodzenie ruchu, tem bardziej, że postawa i usposobienie włościan, podżeganych przez roskołów, którzy im wmawiali, że panowie chcą bunt podnieść przeciw carowi, aby poddaństwo przywrócić, nie dobrego nie rokowały.

Tak było mniej więcej do 11-go kwietnia; tego dnia zrana, pojechałem do Leona do Kazanowa, by mu imienin powinszować; znalazłem go samego, czyszczącego broń. Rozmówiliśmy się szczegółowo: wyznał mi, że się przekonał, jakim byłoby szaleństwem rozpoczynać tu powstanie, że może to, zgodnie z mojem uprzednio mu udzielonem zdaniem, sprowadzić tylko nieszczęście na całą okolicę i że z tego powodu postanowił z wiernymi mu sługami przedarć się na Litwę i tam się przyłączyć do partji Narbutta, który w owym czasie dzielnie się trzymał i odpierał zwycięsko napady wojska rosyjskiego. Widząc, że postanowienie jego jest niezłomne i że przekonania jego nie zmienię, nie oponowałem i pożegnałem go z myślą, iż się nie prędko zobaczymy.

Tegoż wieczora wpadła do niego partja powstańców z Zygmuntem Bujnickim, ekswojskowym, na czele, z rozkazem Rządu Narodowego pod groźbą natychmiastowej śmierci, gdyby nie posłuchał, aby się w przeciągu paru dni przyłączył do partji pod dowództwem tegoż Bujnickiego, mającej w lesie Bałtyńskim, na pocztowej drodze, napaść na transport rządowy broni, konwojowany z fortecy dyneburskiej do Dżisny, odebrać broń, przedostać się przez Wyszki, majątek mianowanego naczelnikiem powiatu, Stanisława Mohla, gdzie miały czekać przygotowane konie dla powstańców, za Dźwinę na Litwę. Stosując się do tego rozkazu, w sobotę, 13-go kwietnia, po południu, pod dość niezręcznym pretekstem polowania, Leon wraz z pięciu uzbrojonymi swoimi sługami, którzy do końca wiernie przy nim zostali, służącym Zabłockim, starostą Cytowiczem, szlachcicem Niecieckim, stangretem Antonim i kucharzem Janem Baurą, udał się na miejsce wskazane i czekał przybycia transportu broni. Transport został odbity, 3-ch żołnierzy zabitych, 2-ch ciężko ranionych, karabiny w części zabrane, w części zakopane w lesie, poczem powstańcy zapalili wozy, na których zostawili rannych i ulotnili się, pozostawiwszy na miejscu Leona ze swoją służbą, aby, stosownie do postanowionego planu, przedarł się za Dźwinę. Dowódca jednak niedołężnie, pomimo swej wojskowości, wziął się do rzeczy, gdyż kilku z żołnierzy eskortujących uciekło do Krasławia, do tamecznego pułkownika parków artylerji, rozgłaszając o napaści i żądając pomocy przeciw powstańcom, skutkiem czego, przygotowani już zawczasu włościanie, mianowicie sąsiedni starowierzy, otrzymali rozkaz łapania „buntowników“. Leon w taki sposób opuszczony i zostawiony na pastwę losu, przedewszystkiem ratował nieszczęśliwych żołnierzy, zostawionych na palących się kolasach, opatrzył ich i złożył na mechu w lesie i dopilnowawszy zniszczenia wozów i zbytecznej broni, jał się przeprawiać przez las manowcami, przez tak nazwane „Ziemie posielenne“¹⁾, zamieszkałe przez starowierów, rozwścieklonych wiadomością o napaści, bo innej drogi nie było. Tymczasem już tłumy roskołów, uzbrojonych w kije i rusznice, zebrały się z krzykiem, wymyślanem i kłatwą. Leon ze swojemi musiał się odstrzeliwać i bronić i tylko w taki sposób



Hr. Leon Plater.

¹⁾ Niegdyś starostwa dyneburskiego.

mogli ująć cało. Okropna to była noc, gdyż powstańcy byli w ciągłym niebezpieczeństwie, upadali na siłach, wlokąc się z karabinami 30 wiorst, w ciągłym naprężeniu, broniąc się od tłuszczy, ciągle się wzmagającej. Nareszcie nad ranem zdołali dotarć do Wyszek.

Tu miały na nich czekać konie. Ale ich nie było ani śladu... Stanisław Mohl, obawiając się zemsty, nie dotrzymał słowa; nie mu to jednak nie pomogło, bo roskoli tegoż jeszcze dnia zbiwszy go, związali, a zrabowawszy i spaliwszy dwór, odwieźli do Dyneburga. Zawiedziony w nadziei ratunku, ostatecznie wyczerpany, Leon ze swojemi towarzyszami ostatkami sił starał się brnąć dalej lasami dubieńskimi przy ciągle napastujących tłumach. W końcu, zaledwie się już wlec mogąc, zostali wszyscy schwytani, związani, ciężkimi razami



Cela więzienna hr. Leona Platera w Dyneburgu.

okładani i pokrwawieni. Tłuszcza, pastwiąc się nad nimi, z tryumfem przyprowadziła do generał-adjutanta [Szuwałowa (późniejszego generał-gubernatora i ministra). Ten, wybadawszy Leona, kazał go natychmiast rozwiązać i zapytał go czy był dowódcą napadu. Leon, myśląc o Bujnickim, który miał żonę i dziecko, wziął na siebie winę i nie zaprzeczył. Odesłano go do fortecy dyneburskiej i osadzono tam w więzieniu ze sługami, ale osobno.

Tymczasem rozpoczęła się ogólna pożoga. Włościanie, rozjuszeni przez starowierów, żądnych rabunku, pod pretekstem chwywania powstańców, rzucali się na dwory, niszcząc, paląc, rabując, bez przeszkody ze strony rządu. W ciągu dni kilku wiązano obywateli i księ-

ży i oddawano władzy, jako buntowników; wszędzie łuny pożarów, zuchwałość wyuzdana i zawziętość, której sobie folgę dawali włościanie, utrzymując, że taki mieli rozkaz. W taki sposób zrabowano i zniszczono kilkadziesiąt dworów i poszłoby to dalej, gdyby się rząd nie opatrzył, widząc czem to grozi i za pomocą wojska nie powstrzymał dalszych rozruchów. W majątku Ludwianpolu przeszło 60-ciu letni stryj mój, Kazimierz Plater, został napadnięty w nocy przez tłumy roskołów, niby szukających u niego broni i prochu. Służbę powiązano, a jeden z napastników ciął go toporem i rozrąbał ramię, poczem jedni rzucili się na skrzynię żelazną, w której znajdowały się pieniądze i papiery wartościowe, a porąbawszy ją zaczęli z niej wydobywać zawartość, kalecząc się przytem, drudzy rozbijali i zabierali sprzęty, gruchotali wszystko, wyciągali kufy okowity ze sklepów, chwyтали co tylko mogli. Ponieważ trwało to długo i był czas zawiadomić o tem w Krasławiu policję, przybył pośpiesznie komisarz i znalazłszy roskołów przy robocie około skrzyni żelaznej, jął sam chwytać pieniądze papierowe garściami i tyle tego nachwytał, że w późniejszym czasie kupił sobie za nie majątek ziemski. Tenże komisarz, chcąc powiększyć popłoch, sam dał hasło do pożaru, bo wystrzelił w dach słomiany, od którego wszczął się ogólny pożar i wszystkie zabudowania: dom mieszkalny, oficyny i kilka spichrzów spłonęło do szczytu. Stryj mój musiał na to patrzeć, leżąc bez opatrunku, rzucono go bowiem na telegę wążką, a później, nie zważając na ranę,

przywieziono galopem, jako powstańca, do Krasławia. Tam trzymano go na dworze, niezem nie przykrytego; dopiero wieczorem doktor miejscowy otrzymał pozwolenie opatrzyć go i na usilne prośby Sióstr Miłosierdzia pułkownik wreszcie pozwolił przyjąć go pod strażę do ich szpitalu, ale dopiero po kilku dniach; tam też wkrótce z ran umarł.

Nazajutrz po odbiciu broni przez powstańców, ja i mój brat Michał zostaliśmy aresztowani w Krasławiu, dokąd przybyliśmy jak zwykle na niedzielę. Osadzono nas w zimnym, i wilgotnym hauptwachcie; nazajutrz zaś przeprowadzono na inną, niby przyzwoitszą kwaterę i 4-go dnia wywieziono na furmankach pod eskortą do fortecy dyneburskiej, do obszernego więzienia, gdzieśmy licznych znaleźli obywateli, księży i oficjalistów, przywiezionych jako więźniów, pojmanych przez włościan. Strasznie tam było ciasno, gwarno i niespokojnie. Główny doktor wojskowy, Konradi, ludzki i przyzwoity człowiek, który z urzędu przychodził widywać więźniów, ponieważ byli tam i chorzy, wszedł w nasze położenie i obiecał wziąć jako słabych do szpitala więziennego. Oczyszczono tam jedną, tak nazwaną kamerę od aresztantów przestępców i usadowiono nas wraz z kilkunastu innymi, odziewszy w rządowe, aresztanckie płócienne „chałaty“. Doktor Konradi przychodził codziennie egzaminować chorych i od niegośmy się dowiadawali o tem, co się działo z bratem Leonem, bo go też codziennie widywał. Jemu też zawdzięczamy, żeśmy w temże szpitalnem więzieniu dzień cały z Leonem spędzili, gdyż go nam, jako chorego, do szpitala sprowadził. Wtenczas dowiedzieliśmy się od Leona o szczegółach jego pojmania; był dobrej myśli i nieprzewidywał, aby mu tak wielkie groziło niebezpieczeństwo, gdyż nigdy do pesymistów nie należał.

Już nazajutrz przyszedł rozkaz, aby go przeprowadzono do nowego więzienia, w samem mieście niedawno postawionego, skąd kilkakrotnie wywożono go do fortecy na badania śledcze i tak zwane oczne stawki; Konradi zaś otrzymał wymówkę, że ośmielił się w szpitalu go ulokować. Została naznaczona komisja sądowa z Petersburga, pod przewodnictwem radcy stanu Storozenki i Paniutina, szczególnie niechętnego człowieka. Komisja z rozkazu Murawjewa rozpoczęła swoje działania. Z góry widać było, że istniało postanowienie skazania Leona; cel ten wyraźnie się wykazywał w całym ciągu indagacji. Nam też chciano dowieść, żeśmy uczestniczyli w napadzie odbicia broni, ale za wiele było rozmaitych świadków, którzy nas widzieli tegoż dnia i wieczora przy robotach gospodarskich i zajęciach domowych, więc w tym razie na chęciach skończyć się musiało. Indagacja przeciągnęła się. Rozmaite dochodziły nas wiadomości, pochodzące od samych członków komisji, że coraz więcej wynajdywali argumentów na potępienie Leona.

Tymczasem Zygmunt Bujnicki, poznawszy niebezpieczeństwo swego położenia, udał się natychmiast po zamachu do Petersburga i tam od ministra Wałujewa, przez siostrę, która była przyjaciółką p. Wałujewowej, otrzymał paszport i udał się za granicę. Prędko doszła wiadomość, że jest bezpieczny i nie mu nie grozi. Leon zaś za niego mógł być lada dzień na śmierć skazany. To też niektórzy członkowie rodziny Bujnickich zaczęli się domagać od Zygmunta, by się publicznie przyznał do winy. Jakoż, niestety, zbyt późno wystosował list do komisji, w którym pisał, że to on był prawdziwym i jedynym dowódcą oddziału, który odbił broń w lesie Bałtyńskim około Krasławia. Żona jego podjęła się osobiście wręczyć list ten członkom zebranej komisji. Przyjęto list z niedowierzaniem, przeczytano go, ale żadnej nie zwrócono nań uwagi, nawet, jak się zdaje, nie wciągnięto go do protokołu. Do jakiego stopnia panowała stronność i zła wola w łonie komisji w tej sprawie, prócz innych licznych dowodów, dało się widzieć z następującego szczegółu. Dwóch żołnierzy rannych, uratowanych przez Leona, umieszczono osobno w szpitalu; w toku indagacji przyprowadzono do nich Leona, aby go poznali i świadczyli, że to on dowodził partją w lesie; w tym samym pokoju leżał za parawanem rzekomo śmiertelnie chory niejaki Petruszewicz, obywatel z Litwy, schwytany jako powstaniec,

który wydawał się już być zupełnie nieprzytomny, tak, że żadnej na niego nie zwracano uwagi; on jednak wszystko słyszał i widział, jak Paniutin po głośnem zaprzeczeniu żołnierzy, że nie stojący przed nimi Leon był dowódcą, nachylił się do jednego z nich, mówiąc mu: „wszak to ten był naczelnikiem?“ na to się ranny ofuknął: „ja wam mówiłem, że nie on, on mnie życie ratował; naczelnik zaś wyglądał inaczej“ i opisał jego wygląd i ubiór. O tem jednak także ani wzmianki nie uczyniono w protokule. Znaleźli się między tymi niedojrzałymi powstańcami tacy, którzy przez tchórzostwo winę Leona wobec rządu powiększali. Obywatel Hluszanin, wzięty niby powstaniec z majątku swojego Skajśła, chcąc się uniewinnić, utrzymywał w komisji na ocznych stawkach, że zmuszony był pójść, bo nie miał wyboru, ponieważ mu Leon groził natychmiastową śmiercią z pistoletu. Leon naturalnie temu zaprzeczył, bo i cienia prawdy w tem nie było, komisja jednak skwapliwie skorzystała z tego obwinienia, niesłusznie zaś obwiniony nawet żalu nie miał do oszczerey, tylko ubolewał nad jego małodusznością.

Zebrawszy wszystkie poszlaki, komisja, na mocy stanu wojennego, wedle praw istniejących za zbrojne powstanie i dowództwo nad partją, wydała wyrok śmierci, który miał pójść na zatwierdzenie wyższe i jak powszechnie twierdzono, miał być złagodzony. Wszyscy dziwili się temu, tak ostremu wyrokowi i przekonani byli, że to tylko postrach i że w Petersburgu będzie zamieniony na inną karę. Leon był tegoż przekonania, ale dekret nie poszedł do Petersburga, bo Murawjew wyrobił sobie prawo skazywania na śmierć bez apelacji. Rodzina moja, o ile mogła robiła starania, udając się do rozmaitych wpływowych osób, ale daremnie. Między innemi stryjeczno-rodzona siostra, zamieszkała w Poznańskiem, Anna Platerowa, udała się przez ks. Czartoryską z Hôtel Lambert do cesarzowej Eugenji, która obiecała wstawić się przez ambasadora francuskiego w Petersburgu. Na to, po długiej zwłoce, otrzymała odpowiedź, że cesarzowa, gdyby wiedziała o kogo chodzi, z pewnością by z góry odmówiła, bo ów Leon Plater nie zasługuje na żadne względy, jest to bowiem rewolucjonista, który już w r. 1830 dowodził bandami i najgorszą po sobie zostawił pamięć...

Takich to argumentów używano, aby udaremnić wszelką akcję ratunkową.

Gdy zapadł był dekret sądu wojennego, słudzy Leona (których skazano na ciężkie roboty), mianowicie służący jego Józef Zabłocki, gwałtownie domagał się w komisji, aby mu pozwolono dzielić los swego pana i aby, gdy ten miał być rozstrzelany, i on mógł z nim razem pójść na śmierć. Jednak wierność ta najmniejszego w komisji nie wzbudziła współczucia, tylko jakoby komendant fortecy, który nie sympatyzował z wojennym naczelnikiem, generałem Dłatowskim, miał być przywiązaniem sługi dla swojego pana przejęty. W końcu maja dowiedzieliśmy się z przerażeniem, że Leon został nagle pod silną eskortą przeprowadzony z więzienia na przedmieściu, gdzie przebywał z politycznymi więźniami, do więzienia fortecy pod Nr 1-szy. Tam mu 26-go maja oznajmiono, by był gotów, gdyż nazajutrz rano miał być stracony. Zastano go spokojnie piórem piszącego na papierze. Poprosił o księdza; przyzwolono na to, i pełniący obowiązek proboszcza ks. Bolesław Aleksandrowicz (w późniejszym czasie skazany na ciężkie roboty i zmarły po drodze w Tiumeniu) otrzymał pozwolenie od komendanta spędzenia z nim nocy przedśmiertnej. W najwyższem skupieniu, na ciągłej modlitwie, zeszła ta noc ostatnia. Leon spowiadał się, otrzymał ostatnie sakramenta, darował winy tym, którzy się przyczynili do jego zguby, dziękował Bogu, że mu pozwolił być ofiarą w dobrej sprawie, ofiarował śmierć swoją za Ojca Świętego i nieprzyjaciół Kościoła i Ojczyzny, i tak pokrzepiony na duchu doczekał ranka. Prosił o widzenie się z matką i siostrami, które w tym celu przybyły ze wsi do Dyneburga i o pożegnanie się z nami, braćmi. Tego ostatniego jemu i nam odmówiono; otrzymaliśmy tylko od niego karteczkę pożegnalną (którą chowam w medaljonie wraz z jego włosami) następującej treści:

„Kochani, drodzy moi bracia! Nie sądzono nam widzieć się na tej ziemi—mocno mię to boli. Przyjmcie moje uściśnienie, choć tylko listowne. Błogosławię was, przyciskam do serca. Do widzenia w lepszej kiedyś krainie. Kochający was brat Leon. 27 maja 1863 r.“

Przytem rozporządzenie odnośnie legatów dla sług, którzy mu towarzyszyli i prośba o zapłacenie kilku drobnych długów. Matkę i siostry, jakoż kilku krewnych, których do niego dopuszczono, przyjął z największą pogodą i spokojem, prosił, aby się nie martwiły, bo ta śmierć, to dla niego szczęście. Zrobił uwagę, że on drugi z rodzeństwa umiera śmiercią gwałtowną, bo jeden brat starszy, Kazimierz, temu lat parę, utonął w jeziorze, kąpiąc się. Prosił też matkę, aby nie miała żalu do sprawców jego śmierci. Czule się z nimi pożegnał, nie zwlekając, bo już nastawali, aby jechał.

Siadł z księdzem, który przez cały czas leż swych pohamować nie mógł, na wóz, i nie okazując najmniejszego strachu, dojechał na miejsce, gdzie miał być stracony, za fortecą na piaskach, na lewo od toru Dynebursko-Ryskiej kolei; tam mu włożono koszulę śmiertelną po zdjęciu wierzchniego odzienia i salwa z karabinów położyła w jednej chwili koniec temu szlachetnemu życiu. Licznie zebrana publiczność, nawet rosjanie, mianowicie oficerowie, mocno byli przejęci bohaterstwem tego zgonu. Panowie: Storożenko, Paniutin, generał Dłatowski i inni, przyglądali się z wałów fortecznych tej egzekucji. Jakie przy tem były ich myśli? Bogu jednemu wiadomo. Działo się to o jedenastej przed południem; myśmy w więziennym szpitalu wiedzieli o tem, i klęcząc przy oknie zakratowanym, słyszeliśmy salwę, która nas pozbawiła brata. Natychmiast po rozstrzelaniu Leona, zakopano go tamże i wojsko, jak to jest we zwyczaju, podeptało mogiłę, przechodząc po niej kilkakrotnie. Postawiono straż i wszyscy się rozeszli, ale po północy przybył oddział z trumną, wykopano zwłoki i wywieziono, — dokąd? nikt się o tem, pomimo starannych poszukiwań i badań, nie mógł dowiedzieć. Wnoszą, że je pochowano w ogrodzie komendanta w fortecy. Komendant, zapytywany o to w późniejszym czasie, przez osoby, z którymi był w dobrych stosunkach, odpowiedział: „Nie mogę panom żadnej dać o tem dokładnej wiadomości, tyle tylko powiedzieć mogę, że zwłoki Leona Platera złożone są w przyzwoitem miejscu“...

W kilka miesięcy po tej katastrofie matka moja podała prośbę do cesarzowej Marji, błagając ją, jako matkę, o zezwolenie na wydanie jej zwłok rozstrzelanego syna. Książę Suworow, ówczesny generał-gubernator w Petersburgu, mąż szlachetny, który nam stałe sprzyjał i któremu zawdzięczamy, że nas nie wywieziono do Rosji, sam przeczytał ową prośbę cesarzowej. Wydawało się, że zrobiła na nią niejakiś wrażenie, ale nie obiecała i matka moja żadnej nawet nie otrzymała odpowiedzi. Mnie z moim bratem, po przeszło 20-to tygodniowym więzieniu uwolniono nareszcie dla braku poszlak, ale internowano w Krasławiu, prześladowano na każdym kroku; pomimo spalonych dworów, zrabowanych kompletnie majątków, kazano niezwłocznie wypłacić podwójną kontrybucję, dobra zaś ś.p. Leona zasekwestrowano, a w późniejszym czasie skonfiskowano. Nieszczęsny Ponset, który był sprawcą i głównym motorem tego chybionego na Inflantach pseudo-powstania, został schwytany i jako delegat Rządu Narodowego sądzony na śmierć, a w drodze ulaskawienia zesłany do katorgi, ale przez krewną, która była żoną jednego z ministrów w Petersburgu, już w ciągu roku zdołał się wykręcić i bezpiecznie dostać do Krakowa, gdy tyle ofiar jego niedarowanej, grzesznej i lekkomyślnej zarozumiałości pokutowało i życiem przypłaciło pokładane w nim zaufanie. W pięć lat potem spotkałem go w Krakowie w ogrodzie publicznym; udawał że mnie nie poznał i dobrze zrobił; bo takie spotkanie dla obu stron nie mogło być miłe.

Oto są wspomnienia pokrótce i pobieżnie zebrane z owej smutnej epoki i tego chybionego ruchu, którego ofiarą padł Leon Plater.



Edward Słoński.

Ja znam ten kraj...

1.

Ja znam ten kraj, gdzie nie cytryny rosną,
nie pyszny laur, nie wonny mirt rozkwita,
gdzie stary dąb rozmawia z ciemną sosną
i w skwarny dzień wygląda chaber z żyta.

Ja znam ten kraj, gdzie wiatr nie palmy muska,
lecz w ciemną noc w przydrożnej łące olszynie,
ja znam ten kraj, gdzie stara Dźwina pluska
i—ojciec rzek—sędziwy Niemen płynie.

Tam ciemny bór mi szumiał nad kołyską
w wieczorny zmierzch pogańskie swe pacierze,
i konał dzień i mgła się słała nisko
na kwietnych łąkach i mokrych mchów bezbrzeże.

I wówczas sny stawały u wezgłowia
i szarych dni powszedniość czarowały
szepem, co szedł, jak cichy szum sitowia:
—Pamiętaj! tu już bogi umierały!—

2.

Ja znam ten gród, gdzie z cegieł tynk opada
i starych run obnaża żywe głoski—
pogański mur tam dziwy opowiada
o bogach swych cudownej Matce Boskiej.

Ja znam ten gród... Pas Wilii srebrnolity,
w zieleni drzew świętego Piotra wieże
i dworków rząd i wzgórz liliowych szczyty
i święty gaj, szumiący swe pacierze!

Tam idzie szept z mogiły do mogiły
i ginie w bram i ulic labiryncie:
—o, biada wam! kiedy nie macie siły!
przynajmniej tak, jak bohaterzy gińcie!

Ja znam ten gród... Jak z murów tynk zwietrzały,
Opada sen z nabrzmiątych łzami powiek..
—Jakże ty chcesz, żeby zmartwychwstał człowiek
z pod gruzów tych, gdzie bogi umierały?

Edward Słoński.



Red. Józef Hłasko.

Z wycieczki do Poznania i Pragi czeskiej.

(Lato 1908 r.)

I.

W tegorocznej wycieczce za kordon, zawadziłem między innemi o Poznań, ze wstydem wyznać muszę, po raz pierwszy. Zabór pruski, niestety, jest dotąd najbardziej odciętą od innych dzielnic częścią Polski, a jednak tyle względów przemawia za nawiązaniem z nim jak najbliższych stosunków. Jest to przede wszystkim pragnieniem serc naszych, tak gorąco biorących udział w walce, jaka się tam toczy o zachowanie dla Polski kolebki państwa. Zarazem zaś poznanie bliższe tego zaboru jest nadzwyczaj pouczające; rodacy nasi tam właśnie rozwinać zdołali do wysokiego stopnia te właściwości, których brakło nam najwięcej, a których posiadanie w znacznej mierze rozstrzyga o wyniku walk, jakie na całej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej toczyć musimy. Mam tu na myśli przede wszystkim zdolność do wytrwałej i systematycznej pracy i popierania się wzajemnie wszystkich warstw społecznych.

Z uczuciem trwożliwej ciekawości wjechałem do Poznania. Ani w wagonie, w którym podążałem z Berlina, ani na dworcu kolejowym nie oblił się o uszy moje ani jeden dźwięk polski. Dopiero, gdym wsiadając do dorożki rzucił jeden wyraz „Bazar“, usłyszałem: „Dobrze, proszę pana“. „Bazar“ jest hotelem polskim; wymienienie jego nazwy było więc określeniem mojej narodowości wobec dorożkarza, który, jak mi się wydało, odczuwał też potrzebę zarekomendowania mi się, jako Polak.

Na wstępie do miasta rzuca się w oczy szereg świeżo wykończonych gmachów, mających świadczyć o niemieckim charakterze, a między nimi tkwi już pomnik Bismarka. W liczbie tych gmachów znajduje się Akademyja, mająca popierać wysoką kulturę niemiecką na kresach państwa, i zamek królewski, w którym ma część roku przepędzać następca tronu, by wzmacniać uczucia dynastyczne ludności, czyli raczej niemieckiej jej części.

Wiem już z doświadczenia, zdobytego w innych dzielnicach kraju, że nie należy sądzić o charakterze miejscowości z tego, co rzuca się w oczy na wstępie. Nie tylko w Poznaniu

starano się o złudne „pierwsze“ wrażenia dla przybyszów. Niestety, i przy bliższem poznaniu miasta dojść się musi do przeświadczenia o znacznej przewadze żywiołu niemieckiego w tej niegdyś stolicy Polski, — przewadze nie liczebnej wprawdzie, bo jednak Poznań liczy przeszło 50, choć mniej niż 60 procent Polaków, ale przewadze ekonomicznej i kulturalnej. Większość przechodniów, spotykanych na głównych ulicach, mówi po niemiecku; bardzo wiele sklepów pierwszorzędnych ma napisy wyłącznie też niemieckie, zwłaszcza w dzielnicach nowych, a wobec nader szybkiego wzrostu miasta, zajmują one bardzo znaczną przestrzeń; rzucają się w oczy nie tylko czysto niemieckie nazwy ulic, uwieczniające imiona członków rodziny cesarskiej i wszelkiego rodzaju bohaterów i znakomitości niemieckich, ale i wyraźnie niemiecki charakter budownictwa. Ze strony Niemców jest to bodaj dążenie zupełnie świadome, któremu nie przeciwdziałają dostatecznie architekci polscy, wychowani w szkołach niemieckich, naśladowujący też chętnie wzory obce. Z przyjemnością dowiedziałem się jednak, że społeczeństwo polskie zwróciło już na to uwagę, że więc w przyszłości oczekiwać możemy zmiany pod tym względem.

Porównyując stosunki poznańskie z bliższymi mi, zauważyłem, że niemieckość Poznania opiera się jednak przeważnie na rodowitych Niemcach, nie zaś na Żydach, którzy uznali się tu narodowo za Niemców i należą do najzagorzalszych hakatystów. Wpływ Żydów jest tu jednak bardzo znaczny. Jakkolwiek jest ich zaledwo 5,000, w poznańskiej Radzie miejskiej mają oni dwudziestu z czemś przedstawicieli, czyli przeszło $\frac{1}{3}$, gdy Polacy zaledwie coś 7. Ale też Żydów-nędzarzy w Poznańskiem wogóle niema; są to przeważnie bogaci kupcy, przemysłowcy i finansiści.

Przewagę widoczną żywiołu polski ma na krańcach miasta, w dzielnicach uboższych. Nie znaczy to jednak, by żywioł polski został skutecznie przez Niemców na niziny społeczne zepchnięty. W Poznaniu samym, jak i w całym Księstwie, mamy liczne drobne mieszczaństwo na dorobku. Liczba polskich kupców i rzemieślników, podnoszących się ekonomicznie, jest znaczna, i pod tym względem znawcy stosunków miejscowych stwierdzają postęp, nie zaś cofanie się. A jak zawsze i wszędzie, ważnem jest stwierdzenie nie tyle stanu obecnego, ile kierunku zmian się dokonywających.

W zacieklej walce z niemieczyzną dążącą do zniszczenia, żywioł polski w Księstwie rozwinał znakomicie swe zdolności gospodarcze, i naogół rzecz można, ziemianie, włościanie i mieszcianie polscy przewyższają już Niemców, demoralizowanych przez opiekę państwa, pod względem pracowitości, zapobiegliwości i umiejętności. Stwierdzenie tego faktu daje Polakom tutejszym poczucie siły i budzi otuchę, że i najnowsze, coraz bezwzględniejsze zamachy zostaną odparte skutecznie. Zwycięstwa niemieckiego w Poznańskiem obawiają się na miejscu daleko mniej, niż u nas. Owszem, są tu przeświadczeni, że polityka antypolska niebawem całkowicie zbankrutuje. W umysłach ludu przeświadczenie to wylewa się w wiarę, że sprawiedliwość Boża zatryumfuje, i rodzi nawet legendy o rychłym końcu panowania niemieckiego. Do Poznania przyjechać warto choćby dlatego, żeby zaczerpnąć bezpośrednio od walczących otuchy na przyszłość. Dla mnie jest to największą korzyścią, osiągniętą z wycieczki. Dodać zaś muszę jeszcze, że obcowanie z inteligencją miejscową, zwłaszcza młodszą, daje jeszcze jedno wielkie zadowolenie: przekonywamy się mianowicie, że mimo kordony, stanowimy jeden naród, mający te same cele i ukochania, myślący w podobny sposób i biorący do serca również żywo interesy i walki wszystkich części Polski.

Jakkolwiek Poznań jest miastem, liczącem około 150 tys. mieszkańców, w czem przeszło połowa Polaków, to jednak ze względu na skład ludności życie polskie nie ma tu charakteru wielkomiejskiego. Inteligencja zawodowa, wobec tego, że wszyscy urzędnicy, nauczyciele i t.d. rekrutują się jedynie z pośród Niemców, jest nieliczna, główną zaś część ludności polskiej stanowią rzemieślnicy, kupcy i wyrobnicy. Przyjezdny odczuwa w Poznaniu na każdym kro-

ku brak tego, co daje mu każde wielkie miasto, a przede wszystkim brak odpowiednich rozrywek, odpowiednich lokalów publicznych. Prócz pierwszorzędnego istotnie lokalu „Bazaru“, który bynajmniej jednak nie jest zastosowany do dłuższego tam przebywania, wszystkie przez Polaków uczęszczane mają charakter zakładów drugorzędnych. Ponieważ teatr jest latem nieczynny z powodu braku odpowiedniego gmachu, przyjezdny Polak, o ile nie może spędzić wieczoru w domu prywatnym, nie ma żadnego wyboru i musi iść do ogrodu Krentza, gdzie ma coś w rodzaju kabaretu. Orkiestra gra tam chętnie mazury Lewandowskiego, poza tem produkują się humoryści niemieccy, trupy śpiewackie: rosyjska i ukraińska, i nie usłyszysz nawet piosnki polskiej.

Rząd pruski stara się gorliwie o zwiększenie ilości inteligencji niemieckiej w Poznaniu, ściaga więc tu rozmaite instytucje, zakłada nowe i wszystkie posady od siebie zależne obsadza wyłącznie Niemcami. To też życie niemieckie nosi tu inny charakter, niż polskie. Mają oni dobre koncerty i wspaniałe lokale do rozporządzenia. Ale do tych Polacy nie uczęszczają wcale. Jest to rzeczą nawet wprost męczącą na każdym kroku czuwać, by nie przekroczyć niemieckiego progu, ale konieczność tej baczności sama się wprost każdemu narzuca.

Po wyjeździe z Poznania, gdy się zsumuje wszystko, co się widziało i słyszało, dochodzi się do pocieszającego przeświadczenia o naszej sile odpornej i naszej żywotności. W czasie pobytu jednak doznaje się często najboleśniejszych wrażeń. Pamiętam żywo, jak raz przejęty smutnymi myślami i wprost znękany niemczyzną, krzyczącą z każdego rogu ulic o swoim zwycięstwie, zwróciłem swe kroki ku tym upośledzonym obecnie, ale najstarszym dzielnicom miasta, w których polskość zachowała się najeżyściej i w których najmniej znać panowania niemieckiego. Wstąpiłem wreszcie do Katedry, mieszczącej tyle pamiątek przeszłości. Oprowadzający mnie zakrystjan przechodził z kaplicy do kaplicy, aż otworzył mi tak zw. „Królewską“ czyli „Złotą“. W uroczystej ciszy, w refleksach złotych, stoją tu pomniki Mieczysława I i Bolesława Chrobrego, a przy ścianie przeciwległej mieści się sarkofag z ich popiołami, sarkofag, w którego skład wchodzi też szczątki pierwotnego grobowca. Ogarnęło mię silne wzruszenie, a z głębi serca wyrwał się krzyk: „O wy, założyciele państwa polskiego, czy też widzicie, co się z dziełem Waszem stało?..“

II.

Z Pragi, którą w tym roku po latach kilku dwoma nawrotami odwiedziłem, wyjeżdżałem z mocnem przeświadczeniem, że byłoby rzeczą dla nas niezmiernie korzystną bliższe zapoznanie się z życiem czeskim. I nie dlatego, że mogą się sprawdzić przepowiednie Mickiewicza, iż Czesi odegrają rolę pośredników między zwaśnionymi narodami słowiańskimi, a więc i między Polakami i Rosjanami. Co i kiedy z tego pośrednictwa wyniknie, jest to jeszcze pytanie, na które ludzie rozważni, nie dający się powodować ani optymizmem, ani pesymizmem, nie mogą dać żadnej odpowiedzi. Czesi wari są poznania dla samych siebie, bez względu na widoki polityczne, jako okaz narodu, który w niezmiernie trudnych warunkach dokonał olbrzymiego postępu i w którego pracy kulturalnej szukać możemy nieraz wzorów dla siebie.

Przed 70 laty można było wątpić, czy istnieje naród czeski. O jego wytworzeniu z warstw ludowych marzyła dopiero garść inteligencji, warstwy wyższe były bowiem całkowicie zniemczone. Przed laty 60 Praga była miastem nawskroś niemieckim. W roku 1848, jak pisał niegdyś w warszawskim „Ateneum“ dr. Gabler, nie wiedzano, w jakim właściwie języku — niemieckim, czy też czeskim przemawiać należy w Pradze na zgromadzeniach ludowych.

A dzisiaj naród czeski ma swoje szkoły wyższe, średnie i niższe, ma swoją literaturę, sztukę, ma bogato rozwinięty przemysł i nie tylko kieruje rządami Czech i Moraw, ale ma duże

znaczenie polityczne w Austrii i znaczne wpływy w krajach słowiańskich monarchji habsburskiej,—przekracza nawet jej granice: nawiązuje stosunki przyjazne z Francją i obecnym ruchem „nowosłowiańskim“ zdobywa sobie nowe wpływowe stanowisko wśród rzeszy narodów słowiańskich.

A naród to drobny, liczący obecnie zaledwie 7 milionów, podzielony zresztą administracyjnie na trzy prowincje (Czechy, Morawy i część Śląska), żyjące poniekąd odrębnem życiem i na własnem terytorjum walczyć zmuszony z żywiołem tak potężnym, jak niemiecki. Walkę zaś o swe odrodzenie, jakieśmy wspomnieli, zaczynał bez „naturalnych przewodników“, bez zasobów zniszczonej gruntownie cywilizacji rodzimej. Gdy się przypomni, że naród nasz liczy 22 miliony, że mamy nieprzerwaną nie tradycję historycznej i rozwoju cywilizacji, to zaiste ból ściska serce. Ustępuje on jednak miejsce otusze. Krwawą pracą urósł naród czeski,—nie zginie i nasz. I u nas też na czoło życia wysuwają się te warstwy twarde a wytrwałe, które dały zwycięstwo Czechom. Poznańskie np. pod wielu względami przypomina mi Czechy. I tu i tam mniej polotu niż w innych dzielnicach Rzeczypospolitej, mniej wytworności,—ale to wszystko znajdzie się z czasem, przedewszystkiem wywalczyć trzeba sobie miejsce na ziemi i rozwinąć poczucie łączności narodowej. A pod tym względem włościanin, rzemieślnik i kupiec poznański, czy czeski, przewyższa niezmiernie naszą miękka, ustępliwa i działająca w rozsypkę szlachtę.

Wyższe sfery rozwoju duchowego przyjdą z czasem niewątpliwie w Poznańskim, jak w znacznej mierze są już w Czechach. Nietylko przemysłem własnym może już się naród czeski pochwalić: ma on poetów, malarzy i muzyków, mogących współzawodniczyć z artystami każdego innego narodu. Na konferencji praskiej przekonać się wreszcie mogliśmy o wielkiej umiejętności obcowania Czechów, o ich dużym takcie, o ich odczuwaniu obcych drażliwości narodowych. Gościć u siebie jednocześnie przedstawicieli różnych narodowości słowiańskich i żadnego z nich nieczem nie urazić, przeciwnie, pociągnąć ku sobie i zbliżyć do pożądanego przez się celu — na to trzeba mieć sporo subtelności i dużo talentu dyplomatycznego.

Niebawem zresztą Czesi mieć będą i swoje warstwy wyższe, co niewątpliwie wzbogaci ich kulturę i wzmocni jeszcze ich wpływy polityczne. Arystokracja miejscowa, tak czeskiego, jak i niemieckiego pochodzenia, przechyla się coraz bardziej na stronę czeską, coraz więcej rodów przyznaje się do narodowości czeskiej, lub zajmuje stanowisko neutralne. Toż samo widzimy wśród bogatych przemysłowców. Ułatwia to zbliżenie fakt, że od początku ruchu odrodzeniowego wśród Czechów spotykamy mnóstwo nazwisk o brzmieniu niemieckiem.

Odczuwam wielki szacunek dla narodu czeskiego i jego przyrodzonych właściwości, ale przyznać muszę, że pod wielu względami miał on łatwiejsze, niż my, warunki rozwoju. Zduszono w wieku XVII narodowy rozwój czeski, ale o kraj i jego rozwój dbano zawsze. Nie trzeba długich badań, by dojrzeć, że dzielnice Rzeczypospolitej traktowane były przeważnie jako łup wojenny. Dość porównać odrapany i zamieniony na koszary Wawel krakowski z praskimi Hradczanami, które bądź co bądź nie przestały być rezydencją monarszą. Dziś Praga jest miastem nawskroś czeskiem. Czesi stanowią nietylko ogromną większość mieszkańców (do narodowości niemieckiej zalicza się zaledwie $\frac{1}{6}$ ogółu), ale mają przewagę na każdym kroku. Do nich należy większość instytucji publicznych, teatrów, muzeów i t. d., w ich ręku znajduje się wreszcie zarząd miasta, który usunął niemieczyznę ze wszystkich napisów ulicznych. Zaznaczyć wszakże trzeba, że Niemcy mają jednak w mieście większe znaczenie, niżby to z ich drobnej ilości wypadało. Innemi słowy—wśród ludności niemieckiej jest stosunkowo więcej ludzi zamożnych i wykształconych. Daje się to dostrzedz już na znakach kupieckich. Nikt tu nie jest obowiązany do umieszczania na sklepach napisów niemieckich, a jednak większość bodaj sklepów na ulicach głównych dobrowolnie to czyni. Przypomina

mi to sprawę szyldów w Poznaniu. Hakatyści niemieccy dbają ogromnie o nadanie wyglądu niemieckiego miastu, mimo to jednak niema tam żadnych przepisów co do szyldów w języku niemieckim. Nad każdym sklepem musi być zamieszczona firma tak, jak jest zaprotokółowana w rejestrze handlowym; poza tem wolno każdemu dawać napisy, jakie chce. Niema więc ani obowiązkowości napisów niemieckich, ani przepisów o wielkości liter lub o stronie, po której figurować ma niemieczyzna. Mimo to kupcy i przemysłowcy polscy wszyscy bodaj dają napisy niemieckie obok polskich dobrowolnie, widząc w tem widocznie swój interes. Rzecz prosta, wielu też Niemców i Żydów zawiesza na sklepach swych napisy polskie, ale liczne są też szyldy bez tłumaczenia polskiego. I fakt ten świadczy wymowniej o przewadze Niemców w Poznaniu, niżby to robiły wszelkie przepisy policyjne.

Charakter narodowościowy Pragi nie jest wynikiem li tylko naturalnej przewagi Czechów. Rozwijają oni też planowo i systematycznie działalność w tym kierunku, jak znowu Niemcy starają się również z całą świadomością o utrzymanie „mieszanego“ charakteru miasta. Na tem tle rozwija się współzawodnictwo dwóch narodów o posiadanie głównych ulic, jak np. „Przykopów“ (Grabenu). Ten oto dom — powiadają mi — miał przejść w ręce niemieckie, ale pośpieszono z jego nabyciem i przerabiają go obecnie na siedzibę jakiejś instytucji czeskiej.

Niemieczyzna jest zresztą w Pradze popierana do pewnego stopnia przez skupienie w mieście wyższych zakładów naukowych niemieckich i przez znaczną ilość urzędników Niemców.

Dodać tu muszę, że „Złata Praha“ należy do najpiękniejszych miast w Europie. Zawdzięcza to przede wszystkim swemu położeniu nad obydwojma brzegami Wełtawy i otoczeniu przez wzgórza, z których miasto prześlicznie się przedstawia. Pod tym względem przypomina ono nieco Lwów, który ma takie piękne widoki z Góry Zamkowej lub parku Kilińskiego. Przyjrząwszy się bliżej miastu, spostrzegamy, że pięknem jest w Pradze zarówno starannie utrzymywane stare miasto, jak i nowe, świadczące na każdym kroku o zamożności kraju. Najlepszym dowodem wielkiego ekonomicznego rozwoju Czech jest zresztą piękna wystawa „jubileuszowa“, urządzona na cześć 60-lecia rządów cesarza Franciszka-Józefa.

III.

Język czeski jest bardzo bliski do polskiego, i porozumieć się Polakowi w Pradze łatwo. Podobne wyrazy mają jednak nieraz odmienne znaczenie, co prowadzi niekiedy do przykrych nawet nieporozumień.

Każdego Polaka uderzało np. w Pradze, że wystawa jubileuszowa mieściła się „w oborze“, wprawdzie „królewskiej“, ale bądź co bądź... Okazało się jednak niebawem, że to dziwne dla naszego ucha miano nosi wspaniały park, położony na kresach miasta, a stanowiący własność kraju. Częstkę jego tylko zajmuje wspaniała, a rozległa wystawa.

Rozmiary jej zdumiewają tembardziej, gdy się dowiadujemy, że nie jest to ani wystawa narodowa, ani nawet krajowa, lecz tylko „okręgu izby przemysłowej praskiej“. Ten okręg wprawdzie liczy około 400.000 robotników, produkcję zaś jego roczną szacują na 1½ miljarda koron. Te cyfry mówią same za siebie. Jest to okręg bodaj najbardziej przemysłowo rozwinięty w Austrii i zarazem w obrębie Królestwa czeskiego okręg najbardziej czeski.

Urzędowo wystawa jest dwunarodowa: czeska i niemiecka; przemysłowcy niemieccy jednak stanowią zaledwie 10% wystawców i zarząd wystawy stara się usilnie nadać jej charakter jaknajbardziej czeski. Niemcy czują się na wystawie nieswojsko i podobno pocichu ją bojkotują, nie zwiedzając prawie. A jednak tłumy się tam zbierają. W niedziele i święta liczba zwiedzających dochodzi do 60.000. Ponieważ Praga sama liczy zaledwie niecałe pół miliona

mieszkańców, całe Królestwo czeskie jakieś 5 milionów, a cały naród czeski nie przekracza 7 czy 8 milionów, cyfra ta staje się wprost zdumiewającą.

Rozwiązanie zagadki znajdziemy jednak, przyjrawszy się bliżej tym tłumom. Dostrzemy wówczas, jak wiele jest wśród nich kobiet, przybyłych z prowincji, bardzo skromnie ubranych i z chusteczkami na głowie. Mamy tu przykład czeskiego patriotyzmu. Wystawa uchodzi za przedsięwzięcie narodowe, więc niezamożny nawet rzemieślnik czy robotnik czeski uważa za obowiązek ją odwiedzić i rzucić przy wejściu swój grosz na cele oświaty narodowej. Te kobiety w chusteczkach — to symbol czeskiej potęgi narodowej.

Większość zwiedzających na tej wystawie, jak i na każdej innej „wielkiej wystawie“, przesuwają się pośpiesznie przez pawilony wystawowe, by możliwie najwięcej przeznaczonego czasu spędzić w niezliczonych piwiarniach, restauracjach czy cukierniach, posłuchać muzyki, lub wziąć udział w różnorodnych rozrywkach w rodzaju trotuarów ruchomych, zjeżdżania z góry w saneczkach i t. d. Na usprawiedliwienie powiedzieć można, że dokładne zbadanie wystawy wymaga bardzo wiele czasu i światłego przewodnictwa, i że w niedziele i święta wśród tłumu jest to wprost niemożliwe.

Nie będę się kusił o opis wystawy, której dokładnie zwiedzić nie miałem również czasu. Zaznaczyć tylko muszę, że obejmuje ona wszelkie działy i robi wrażenie wprost imponujące. Niefachowego nawet widza uderza ogromna ilość najprzeróżniejszych maszyn, przepięknie wykonanych. Obfitość tu przedewszystkiem maszyn rolniczych, których Czechy wytwarzają coraz więcej i coraz więcej wysyłają za granicę, nawet za ocean, do Ameryki południowej. Zwracają uwagę nowe pomysły i ulepszenia. Uwagę dziennikarza przykuwają gdzieindziej maszyny drukarskie i zecerskie, które oglądać może w działaniu. Tłumy wreszcie przyglądają się eleganckim wagonom salonowym i restauracyjnym, na których napisy świadczą, że przeznaczone są dla różnych krajów Europy i Ameryki. Między innemi zwraca uwagę nowy pomysł: wagon z jednym wejściem w samym środku. Na platformę, albo raczej do sionki, prowadzą szerokie schody, po których jednocześnie wchodzić mogą co najmniej dwie osoby.

Prześliczny jest dział reprodukcji sztuki. Wytworne druki czarne i wielobarwne, kopje obrazów i rzeźb przykuwają do siebie widza. W tym dziale przemysłu Czesi nikomu bodaj nie ustępują, a nieskończenie przewyższają napewno wszystkie narody słowiańskie. Co prawda, możnaby powiedzieć ogólnie, że pod względem wytwórczości Czesi prześcignęli wszystkich Słowian. Na wystawie praskiej bije w oczy, że jedną z pobudek do zbliżenia słowiańskiego jest dla Czechów potrzeba znalezienia nowych rynków zbytu dla swoich towarów i lokaty dla swoich kapitałów.

Rozrywki wystawowe nie są wyszukane; teatrzyk jest wprost nędzny. Pięknie się przedstawia natomiast iluminacja. Oto o 9-tej wieczorem, tysiące lampek elektrycznych rozżarza się na głównych pawilonach. W mroku nocy zarysy gmachów występują wybitnie, a gdy z pewnego oddalenia nie widzi się już poszczególnych lampek, a tylko linje świetlne, pawilony nabierają jakiegoś fantastycznego charakteru: są to niby powiewne pałace z jakiegoś żywego złota. Wtem zaczyna grać orkiestra, której zdala, niby echo, odpowiada druga; wreszcie z wieży rozlega się hejnał na trąbkach. Chwila jest osobliwa, pełna uroku, nastrojowa.

I przypomina się Kraków i jego hejnały z wieży kościoła Marjackiego. I w tej chwili ogarnia świadomość, że, jakkolwiek Praga jest piękna, ty, polski przybysz, nie doznasz tych wzruszeń, jakie da ci np. Kraków. Nie staniesz tu przed Hradczanami w bolesnej zadumie, jak przed Wawelem; nie zakręci się ci tu nigdzie łza, jak przy wejściu do grobów królewskich; nie zadrży ci tu serce, jak przed kościołem, który w XIII wieku wytrzymał oblężenie Tatarów; w żadnym muzeum i w żadnym kościele tutejszym nie odczujesz, że stoisz wobec tej przeszłości, której sam jesteś spadkobiercą, która cię napęlnia, i dumą, i szczęściem, i bólem rozpaczliwym.

Tego wszystkiego Praga dać nam nie może, bo doznać tych wzruszeń można tylko w starodawnych siedzibach własnych, a przedewszystkiem w Krakowie.

IV.

Jak w całej Europie zachodniej, tak i w Czechach, każdy mieszkaniec czuje się w pewnej mierze gospodarzem kraju i cudzoziemców traktuje jako swoich gości, ze szczególną uprzejmością. Przybysz słowiański zwłaszcza może być pewien serdecznej gościnności w Czechach. Z nielicznych co prawda spostrzeżeń własnych dochodzę do przekonania, że „uczucia słowiańskie“ są w Czechach istotnie rozwinięte w takim stopniu, jakiego większość z nas zrozumieć nie może. A jednak jest to rzeczą naturalną. Budzący się do samodzielnego życia Czech przeciwstawiał się Niemcowi plemiennie raczej (jako Słowianin), niż narodowo. Z biegiem czasu, w miarę szybkiego rozwoju, nabierały i nabierają wciąż większego znaczenia pierwiastki narodowe, — ale w wielkim patryjotyzmie czeskim słowiańskość gra zawsze rolę czynnika składowego. Przed jakimiś 40 bodaj jeszcze laty powiedzenie „jestem naprzód Czechem, a dopiero potem Słowianinem“ było śmiałą nowością.

Z tym faktem i jemu podobnymi liczyć się trzeba, by zrozumieć psychologię Czecha, wielce od naszej odmienną. Rzecz prosta, Czesi są zbyt dzielnym i żywotnym narodem, by, bardzo szczerze przejmując się hasłami słowiańskimi, nie służyli przedewszystkiem własnym interesom narodowym. Mam tylko szacunek dla nich z tego powodu i nie chciałbym bynajmniej budzić powątpiewań co do ich szczerości w tym względzie. Wszak Francuzi w końcu XVIII wieku byli bez zaprzeczenia bardzo szczerze przejęci hasłami ogólnoludzkimi, co bynajmniej nie przeszkadzało im doskonale służyć własnym interesom. W ich duszach interes całej ludzkości utożsamiał się z interesem własnego narodu, nie budząc żadnej rozterki duchowej.

Ruch słowiański może przynieść duże korzyści Czechom. Uczucia słowiańskie i ich znajomość języków i literatur słowiańskich, przeznacza ich dla roli pośredników, wysoki zaś rozwój kulturalny i ekonomiczny zapewnia im stanowiska instruktorów i kierowników nie tylko w instytucjach ogólnosłowiańskich, ale nawet i w instytucjach poszczególnych narodów. Poza temi jednostkowymi korzyściami ruch słowiański nadaje całemu narodowi czeskiemu większe znaczenie w świecie i lepsze stanowisko międzynarodowe. Nie powinno to w nas budzić żadnej zawiści, lecz tylko szlachetne współzawodnictwo. Oczywiście musimy przedewszystkiem sami dbać o swoje interesy i baczyć, by bliższe stosunki z Czechami nie przerodziły się w wyzyskiwanie nas przez nich. Zachodzi pewna sprzeczność interesów ekonomicznych Galicji i Królestwa czeskiego, nie taka jednak, by przy naszej czujności nie dała się usunąć i zamienić na korzystne dla nas współdziałanie. Na Śląsku wreszcie mamy spory graniczne, które jednak właśnie przez zbliżenie z Czechami mogą być łączniej z korzyścią dla nas zakończone.

Mało dotąd znamy Czechów i niedostatecznie ich rozumiemy, — stąd wpadamy w różne ostateczności, szkodliwe dla normalnego ukształtowania naszych stosunków z obopólną korzyścią. Podobnież nie zdajemy sobie dobrze sprawy ze znaczenia i z psychologii wybitnych jednostek i sądzymy je jak najopaczniej, co oczywiście musi być dla nas samych tylko ze szkoda. Czego np. nie mówiono i nie wypisywano nawet u nas o prezesie Konferencji słowiańskiej, dr. Kramarzu. Jeśli zwolennicy jego przesadzali w pochwałach, to znaleźli się też przeciwnicy, którzy wystawiali go, jako „bankruta politycznego“, dążącego za wszelką cenę do wysunięcia się naprzód, za karjerowicza, ubiegającego się o tekę ministerjalną i t. d. i t. d.

Osobiste moje stosunki z dr. Kramarzem ograniczyły się zamianą kilku słów; przyglądałem się mu jednak bacznie i rozpytywałem starannie ludzi, rzeczy świadomych. Przedewszyst-

kiem nikt nie zaprzeczy, że jest to człowiek wybitny, zdolny, energiczny, wytrwały i umięjący ludzi popychać tam, gdzie chce. Prawdopodobnie jest on też człowiekiem ambitnym; sądziłbym jednak, że ambicja jego jest w wielkim stylu i nie mogłaby się zadowolnić złotym kolnierzem ministerjalnym.

I to niewątpliwe, że prezes Konferencji praskiej nie należy śród Czechów do rzędu specjalnych „przyjaciół Polaków“, do rzędu tych, co, poznawszy nasze życie i naszą literaturę, żywią do nas szczególną sympatię i są jakby rzeczownikami naszych interesów w piśmiennictwie czeskim. Dr. Kramarz po polsku nie mówi, żonaty jest z Rosjanką i w Rosji spędza co rok parę miesięcy. W poglądach swych na Polaków i stosunki polsko-rosyjskie dr. Kramarz hołdował do niedawna rozpowszechnionym dotąd w Czechach hasłom panslawistycznym, łączącym sprawę słowiańską z Rosją, i to Rosją urzędową, i nie sympatyzującym bynajmniej z naszymi dążeniami i walkami. Jego dawniejsze występy publiczne wywołały nawet protest naszych czeskich przyjaciół: Jelinka i Czernego.

Wypadki lat ostatnich: prześladowania pruskie Polaków, wzmocnione poczucie odrębności śród narodów słowiańskich, klęska Rosji urzędowej w wojnie z Japonją i powstanie rosyjskiego ruchu wolnościowego, wpłynęły jednak na d-ra Kramarza, jak wpłynęły na wielu innych przedstawicieli Słowiańszczyzny. Dr. Kramarz był jednym z pierwszych wśród tych, którzy dążenie do zbliżenia słowiańskiego na innych, niż dotąd, chęć oprzeć zasadach. Dr. Kramarz ruchowi nowosłowiańskiemu oddaje swe siły i zdolności. Wystarcza to zupełnie, byśmy się mogli z nim porozumiewać i z nim współdziałać, pamiętając naturalnie zawsze o tem, że my sami na straży swoich interesów stać powinniśmy.

Zanim zakończę tę garść wrażeń, chciałbym jeszcze zaznaczyć, że nie brakło nigdy w Czechach wspomnianych wyżej „przyjaciół Polaków“. Z jednym z nich wiązą mnie dawne stosunki przyjaźni osobistej, odnowione w roku bieżącym po kilku latach niewidzenia. Chciałbym przekazać jego zacne imię szerszemu kołu czytelników polskich. Mam tu na myśli pana Jarosława Rozwodę. Okoliczności jego życia złożyły się tak, że na studja uniwersyteckie wybrał się do Lwowa, i tu go w r. 1894 na wystawie Kościuszkowskiej po raz pierwszy spotkałem. Na ogół lat kilka, najpiękniejszych lat swojej młodości spędził on we Lwowie i Warszawie. Tu żył się z nami, śmiem powiedzieć — pokochał nas i nie pozostał obojętnym widzem, ale wziął czynny udział w życiu naszym i naszej pracy narodowej, skutkiem czego przesiedział nawet kilka miesięcy w cytadeli warszawskiej. Po powrocie do Czech przyjeżdżał też często do nas, zwiedzając różne części Rzeczypospolitej. Przez ten czas poznał nas gruntownie, wszedł w stosunki osobiste z mnóstwem wybitniejszych Polaków, nawet rzecz można, przeniknął w najtajniejsze zakątki naszej duszy. O jego głębokiej znajomości naszych serc świadczy najlepiej fakt, że, gdy przed kilku laty we Lwowie byliśmy razem na „Weselu“ Wyspiańskiego, odczuł je zupełnie tak, jak gdyby był Polakiem.

Po powrocie do kraju Rozwoda prostował błędne poglądy swych rodaków na sprawę polskie i słowiańskie i był niewątpliwie zwiastunem w Czechach prądu „nowosłowiańskiego“. Dużo też rzeczy polskich przełożył na język ojczysty. I dziś, pomimo ciężkiej walki o byt rodziny, pracuje gorliwie na niwie słowiańskiej, a w czasie konferencji był jednym z najgorliwszych, choć nieurzędowych „przewodników Polaków“. Pomimo kilku lat niewidzenia, przekonałem się od razu, że nie zatracił czucia z Polską. Rozumieliśmy się wybornie i w rozmowie ani na chwilę nie spostrzegłem, że mam do czynienia z cudzoziemcem. Na pożegnanie z Pragą posyłam mu serdeczny uścisk dłoni z życzeniem, bym mógł to niedługo uczynić osobiście.

Józef Hłasko.

PIEŚŃ O LESIE.

O smutku!.. Serce moje smutkiem niespokojne!..
O pieśni!.. Duszo moja wzburająca pieśnią!
O lesie, kołysany wicherem w słońcu złotem,
jak smutek jesteś śpiewny, jak pieśń jesteś smutny.

I.

Las jest, jak świętych skarbów strzegący bohater:
stopy wparł w ziemię, głową obłoków dosięga
i zda się wypatrywać łupieżców i wrogów;
a z taką zaciętością i dumą pogląda,
i taką wkoło grozę sieje i zalekłość,
że wichry, które z czterech świata stron nadbiegły
mocnych ramion na sosnach próbować wiekowych,
zwinęły skrzydła, pióra zjeżyły na grzbietach,
a strach im z przepaścistych oczu blady wieje.
I pyta się północny wicher wschodniego brata:
„zali nie lepiej wrócić nam na sine morze,
na przestwór, fale włóczyć po brzegu za włosy
i białe żagle w strzępy rozwiewać żalosne?
zali nie lepiej wrócić nam, o bracie młodszy?“
Lecz tamtemu wnet grają oczy jak djamenty
i rzecze: „Tam, po drugiej stronie boru czeka
mnie brat najukochańszy, przybyły z zachodu.
Pędziłem tutaj gnany tęsknotą i muszę
nim noc zapadnie brata miłego uściskać.“
To mówiąc skrzydła wielkie rozwija szeroko
i szponami uderza w pierś wielkiego boru,
a tuż mu i północny wicher z pomocą idzie.

II.

Las mocarz przed wiekami królową Jezioro
potężnemi przygarnął do piersi ramiony
i tak ją niewolnicą uczynił; lecz ona,

do kolan mu przypadłszy, płacząca i korna
poblądłych ust bronila błaganiem i łzami:
aż się zdumiał bohater nad tyłą niemocy
i uwolnił ją z ramion gwałtownych—nietkniętą.
Zaś ona odtąd cicha stoi, przerażona,
w sitowie oplątana cała, jak we włosy;
i tylko z nią rozmawia niebo letnią nocą
i tylko się jej gwiazdy uskarżają blade,
że im nie wolno z wichrem bujać—jak motylom.
I tylko Lilje Wodne, zakłète Rusalki
wychodzą z fali, światłem zlane księżycowem,
myć gieźla białe—dotąd, aż królewicz Jaśko,
Nieginkiem zwany w bajce, przyjdzie o miesiącu
zgubionego pierścionka szukać aż hen, na dnie...
I wyjdzie doń najstarsza Rusalka—zaśpiewa,
i wyjdzie z wody druga—perłami zapłacze,
aż wychynie najmłodsza—pocałuje w usta,
ustami gorącemi w zimny zmieni kamień
i padnie wedle niego w trawę z pustym śmiechem.

III.

Dzwonią dzwonki liljowe, dzwonią dzwonki miodne,
dzwonki, które kochała niegdyś matka moja...
A teraz się jej serce zrosło z matką ziemią
i może w tych kwiatowych bije kieliszeczkach,
i może się przechadza po świecie z puchami,
latawcem upierzonym w moich siada włosach,
albo się w pyle kwietnym nosi, albo w różę,
w czerwone serce róży cudem zamienione,
teraz przy skroni mojej jest i mówi do mnie,
pieszczone słowa szepce mnie do ucha biednej...
Ja, biedna, słodkiej mowy nie pojme matczynej...
Dzwonią dzwonki liljowe, dzwonią dzwonki miodne:
Bożą krówkę ktoś zdeptał w lesie, na gościńcu;
wielkiego żuka wczoraj burza zmiotła z liścia;
konik polny wyśpiewał duszę dla kochanki;
ziębę—matkę chłopaki wiejskie w sidła zdradne
złapały i pisklęta dziś umarły rano.
Brzoza biała, siekierą cięta, żarta piłą
upadła; chłop z niej ogień rozpali wieczorem,
a dzieci się do iskier śmiać będą i cieszyć.
Dzwonią dzwonki liljowe, dzwonią dzwonki miodne...
Śmierć przechodzi codziennie borem, kosę niesie.

IV.

Pójdźmy wieszać na sosnach sieci wielkookie;
pójdźmy cicho w poranek świąteczny do boru

skryć się w gąszczu jałowca lub dzikich malinach,
albo się w szorstko-listnych położyć paprociach,
by czatować na Radość, która lecąc górą,
o zielone wierzchołki nuż zawadzi stopą
i w postawione sidła jak jaskółka wleci.
Radość ta jest jak kropla żywicy—przezrocza;
ustrojona w uśmiechy, jak w złote paciorki
idzie poprzez polany, poprzez bahun siwy;
a za nią wilgi lecą, zięby i sikory.
Ona Radość w słoneczne się rodzi południe,
a umiera, gdy śpiewać przestają słowiki
—gdzieś w borze.. na zielonym mchu.. pod olchą starą...
Taką to ułowiwszy w sidła, złote sieci,
damy dzieciom na zabaw wierną towarzyszkę,
aby im na luteńce grała, jak Danusia,
z wierzby giętkiej fujarki kręciła przekorne,
umiejące grać piosnkę smutną o malinach,
o złej siostrze, co młodszą zabiła siostrzyczkę
i wesolą—o koniu Siwku-Złotogrzywku.

V.

O Lesie, ja dziś jestem ośleplym słowikiem,
słowikiem, który w czole ma duże, czarne jamy;
a przez te jamy patrzy w okno śpiewająca
i rozplakana rzewnie dusza słowikowa;
i przez te jamy płynie w serce słowikowe
Piękno; a tak wyraźne jest, choć niewidome,
że się śpiewaka serce rozrasta, rozrasta
aż pęknie!.. jako serce biednego słowika,
którego Syrokomla opisał i zabił..
Słowiku oślepiiony, gdybyż twoje pieśni
trucizny miały władzę, gdybyż były mieczem,
od którego zabójcy zginąć mieli krwawol!
Ale ty, biedny, katom śpiewasz na uciechę,
katom swoim wieczory osładzasz miłosne;
ale ty, biedny, jesteś smętną pozytywką,
która ich niedostojne dusze Pięknem poil.
O Lesie, ja dziś jestem jak słowik oślepy....
Doleciały mię wrzosów twoich wonie miodne.
doleciała mię twoja tęsknota olbrzymia,
i oto moja tęskność już rozwija skrzydła,
już nadpowietrzne drogi mierzy orla lotem
by na pierś twoją z wielkim, wielkim upaść płaczem!

VI.

Dziś nad jeziorem w greckiej leżałam świątyni...
Łabędzie, wiatrem gnane, kędyś z błękitności

przybyłe oddalonej, wielkie skrzydła w słońcu
rozpostarły jak żagle, a przez białe pióra
słonecznymi oczyma migotała woda;
a tuż nad wodą smukła siostra moja, sosna,
ku tym łabędziom stała schylona lęklwie,
w smutek strojna, jak w welon szary z pajęczyny.
I tak mi przypomniła drzewo z boru,
jedno drzewo znajome, u drzwi jakichś drogich,
jak na straży wyrosłe, jedno drzewo takie,
koroną wybujale dumnie ponad inne,—
—że mi się myśli jęły chwytać złotych wioseł
i popłynęły z duszą moją, jakby z branką;
zaś pozostało ze mnie samo tylko ciało
na tych marmurach białych, pod kolumny temi,
oddychające wonią tui i fijołków.
I długo trup mój cichy czekał na latawce,
aż powróciły takie smutne i żałosne
żem się, liłością zdjęta, nigdy nie spytała
jakie się teraz cienie ścielą rad tym domem,
gdzie kiedyś dusza dziecka kwitła i świeciła.

VII.

Położ się w trawie, oczy wyteż, słuch, jak sieci
zastawione na ptaki, trzymaj w pogotowiu,
abyś mógł Piękno posiąść, usidlić, zatrzymać,
aby się ono stało tobie oswojone,
pragnieniom twego serca szalonym--przychylne
i jak kochanka wierna—wiecznie nieoporne.
Ale nie wbijaj tego motyla na szpilkę,
jeżeli, dziki, z tobą pozostać nie zechce,
bo ci się zmieni w palcach w żmiję-trucicielkę,
albo śmiertelnem zrani szerszenia ukłóciem
i nigdy, nigdy więcej z tobą nie postanie.
Położ się w trawie, ucisz serce: niech nie boli;
a myśli niespokojne roześlij po lesie,
na te rozległe, kwietne wypuść wrzosowiska
i każ niech zliczą pszczoły co się w kwieciu kręca,
co w powietrzu trącają, leąc, srebrne struny;
i powiedz niech się miodu leśnego napiją,
a potem niechaj zginą sobie gdzieś w paprociach,
niech się uczepią igieł sosnowych i zasną.
Położ się w trawie, ucisz duszę, niech nie walczy,
niech miecz odpasze, ciężką odrzuci przyłbicę
i pójdzie po słonecznych wędrować promieniach.

VIII.

Swobodą opętana dusza twego dziecka,
o Lesie, miłowaniem swobody—szalona.

I oto już zerwała łańcuchy niejedne:
kajdany wierzeń starych, ciernie dni minionych,
złoty wieniec widziadeł ukoronowanych,
i te więzy, co były nad wszystkie mocniejsze,
ból i wysiłków krwawo zapieczętowane,
a za początek miały ramion drogich dwoje.
A dziś, o duszo, trzeba rwać ci łańcuch nowy;
a dziś, o duszo, trzeba tobie wielkiej woli,
by skruszyć więzy tkane z żywej krwi i ciała!
Trzeba ci, duszo, dumę twoją wziąć jak drewno
oporne i pod stopą złamać nieugiętą;
trzeba ci pożądania twoje i tęsknoty,
tajemny płomień pragnień, gorejący nocą,
oddechem orkanowym skierować jak burza
i ku najwyższym gwiazdom pchnąć go z całej mocy!
O bądźże ty mi duszo, swobodą szalona;
o bądźże mi szalona pragnieniem potęgi!
O bądź mi Dostojności spragniona śmiertelnie,
aby cię nie włożyły w proch twoje Bogi
jak smutną niewolnicę, by tobą nie władły!

IX.

Woń twoja, Lesie, idzie ze mną poprzez miasta,
przez ciżbę ludzką ciemne cyprysów aleje,
i mnie tułaczkiej, czyni koronę jak świętej,
pozbawionej królestwa bladej monarchini.
Woń twoja czysta, Lesie, jest jak kryształowa
tafla; o nią się wszystkie połamiał spojrzenia
bezwstydne,—a nikczemność, co się w oczach czai,
przez ona szklaną zbroję mnie zranić nie zdolna,
jak osa latać będzie dokoła i brzęczeć.
O, kto się upił kiedy tą wonią żywiczną
w południe, kiedy wiatr na trawie, dysząc, leży,
kiedy się szczyty sosen kołyszą, kołyszą
i jak sztandary szumią pod niebem ogromne,
zaś pnie są jak w przyłbice przybrani rycerze...
O, kto z Was, bracia, wtedy oczy miał otwarte,
ten widział jak w sztandarów poświstach i szumach
szła Moc i potrasała oszczepem z płomienia!..
Jam widziała i wiem, że kiedy głęboko
w chłodnym piasku spoczywać będę, snem ujęta
—to w takie bezobłoczne, gorące południe
Duch mój w płomieniach przyjdzie śpiewać Wam i świecić
Miłością, co śmiertelne rozrywa pieczęcie!

J. Iłakowicz.

JESIEŃ.

Opada z klonów wichrem zerwany
 uwiedły liść..
Wyjrzałem w pole, wyszedłem na łąny;
 niewiem dokąd iść..
Widzę zórawie, kluczem ciągnące,—
 za ptakiem ptak;
Zachodzi krwawo jesienne słońce
 za złoty szlak.
Przyjdą tu słoty, przyjdą śnieżyce,
 wichury... deszcz..
Niewiem czy kiedy szczęścia pochwycę
 gorący dreszcz..
Wichrem targany, wichrem zerwany
 opada liść..
Tęsknotą chory, tęsknotą gnany
 niewiem dokąd iść!..

TĘSKNOTA.

Snuje pajęczyn cienką nie
nieukojona tęsknota;
na kłębek już od tylu lat
dni moich pasemko mota.
 A gdy się ocknie stary ból,
 mówią, że wtedy tęsknota
 przyciąga mocniej cienką nieć:
 a potem znów dalej mota.
I tak przez lata będzie snuć
i wić niteczkę tęsknota,
aż mi serdeczny z duszy ból
z gorącym życiem wymota.

JAM JEST...

Jam jest bezdenny żal
 za słońcem, upadłem w morze..
Wieczysty pochód fal
 świtu wywołać nie może.
Od wieków walka trwa
 wściekła, gwałtowna, daremna,

I noc nad wodą lka
 bezkresna cicha i ciemna.
Może już wieków sto
 słońce pod wodą spoczywa,
A fala, rwąca dno,
 koral i bursztyn odrywa.
Jam jest serdeczny płacz...
 na brzegu piaszczystym klęczę...
Na fale Czarny Tkacz
 sieci zarzucił pajęczę;
Nie wróci żadna łódź,
 wszystkie okręty zatona!
Ciemność dokańcza snuć
 całun nad wodą uśpioną.
Słyszę podwodnych strun
 i dzwonów zaklętych pienia,
Lecz niebo się od łun
 na wschodzie nie zarumienia.
Jam jest bezdenny żal
 za słońcem upadłem w morze...
Szalona walka fal
 świtu wyzwolić nie może;
Woda się kłębi, wre,
 dno zęby kamienne szczyrzy;
A tam na chłodnem dnie
 gdzieś słońce umarłe leży.
Płynę płaczący w dal,
 ramieniem bałwany porzę..
Jestem bezdenny żal,
 rzucony za słońcem w morze.

MROKI.

W komnacie mojej—mroki;
Deszcz dzwoni, wichura szaleje...
Złożyłem w grób głęboki
 nadzieję.

W komnacie mojej noc...
Nie umiem już płakać, nie umiem...
Że zgasła żywa moc
 —rozumiem!

W komnacie mojej cień
Cień śmierci mówi pacierze...
Że wstanie nowy dzień
 —nie wierzę...

J. Iłakowicz.



Prof. Leon Petrażycki.

Zasady rozwoju prawa i stanowisko prawne kobiety.

(Wyciąg z odczytu, wygłoszonego na I-ym zjeździe kobiet w Petersburgu, sporządzony przez autora do druku).

Zrozumienie historii ludzkości i ludów poszczególnych, oraz świadoma działalność prawodawcza i wszelka inna społeczna, wymagają przede wszystkim ustalenia zasad rozwoju prawa, albo przynajmniej wyjaśnienia, w jakim kierunku prawo rozwijało się w historii i powinno rozwijać się nadal. W najnowszych czasach prawoznawstwo coraz bardziej uznaje i podkreśla konieczność rozwiązania tego zadania. Dotąd, niestety, pozostaje ono — nierozwiązaniem.

Wnioski poniższe przedstawiają krótkie powiadomienie o istocie rozwiązania, do jakiego autor doszedł po długiej pracy nad danym zagadnieniem.

Prawo jest zjawiskiem duchowym i jego działanie i znaczenie w życiu ludzkim polega na oddziaływaniu na psychikę ludzką.

Oddziaływanie to zasadza się przede wszystkim na wzbudzaniu lub tłumieniu motywów, przyczyn, pobudzających do rozlicznych czynów lub powstrzymywać się (motywacyjne działanie prawa).

Już samo prawouświadomienie, świadomość swego prawnego obowiązku i prawa innych osób do pewnego stosunku z naszej strony — jest mniej lub więcej silną przyczyną, pobudzającą do pewnego sposobu postępowania.

Następnie prawo zawiera cały układ wpływów motywacyjnych pomocniczych, wywierających pewien nacisk i pobudzających do spełnienia obowiązku nawet takie osoby, które posiadają nader słabą świadomość obowiązku w dziedzinach odnośnych, lub świadomości takiej nie posiadają wcale: wykazanie rozmaitych korzyści, wypływających ze spełnienia lub gorliwego spełnienia obowiązku (np. nagrody, awanse, emerytura i t. p.) oraz uszczerbku i strat na wypadek niespełnienia tegoż obowiązku, kary za wykroczenia przeciw prawu i t. d.

Wyniki działania świadomości obowiązku prawnego i wyżej wskazanych wpływów motywacyjnych pomocniczych, polegają na odpowiednim indywidualnym i zbiorowym, naogół prawidłowym i ścisłym, — postępowaniu i powodują, że ludzie muszą liczyć się z danym po-

stępowaniem indywidualnem oraz z porządkiem społecznym i stosować się do nich, jak muszą liczyć się z prawami przyrody oraz w wypadkach i dziedzinach postępowania, dla których nie istnieją określone przez prawo przepisy i które są pozostawione naszemu wolnemu zapatrywaniu się na nie. Prawo wywołuje przyczyny, pobudzające do niezliczonych takich działań i takich układów, które przez prawo same przez się nie są przepisane, np., w dziedzinie życia ekonomicznego: do założenia i prowadzenia przedsiębiorstwa z przeświadczeniem, że prawo zabezpieczy sposób postępowania, niezbędny dla odnośnego przedsiębiorstwa, dla osiągnięcia i zachowania pewnych korzyści przez gospodarza (*subjectum*) przedsiębiorstwa i jego bliskich za jego życia i po jego śmierci (prawo spadkowe). Główne, rzecz można, znaczenie motywacyjne wielu składników prawa i ich układów, polega na wywołaniu takiego indywidualnego i zbiorowego postępowania, o którym prawo nie mówi wcale, którego nie przepisuje, które jednak ludzie dobrowolnie wybierają pod wpływem istniejącego prawoustroju.

Motywacyjne działanie prawa polega nie tylko na wywołaniu impulsów dodatnich, pobudzających do takiego lub innego postępowania (motywacja prawna dodatnia), lecz i na usunięciu lub uprzedzeniu powstania rozmaitych przyczyn pewnego postępowania, na usunięciu „pokus” i t. p. (motywacja prawna ujemna). Różne rodzaje motywacji kombinują się w prawie poczęści tak, że podtrzymują się wzajemnie, wzmacniają, poczęści zaś tak, że wpływające z pewnych składników prawa procesy motywacyjne, o ile np. prowadzą do zjawisk szkodliwych, są paraliżowane przez inne procesy motywacyjne prawne i t. d.

Współrzędnie z oddziaływaniem motywacyjnem, prawo wywiera na psychikę indywidualną i zbiorową wpływ wychowawczy, pedagogiczny, innemi słowy, zmienia w pewnym kierunku tę indywidualną i zbiorową psychikę.

Już czyni same, których prawo wywołuje mnóstwo niezliczone, pozostawiają ślad głęboki w charakterze osób, spełniających je. Powtarzanie pewnych czynów wywołuje odpowiednie przyzwyczajenia, dodatnie, przyzwyczajenia spełniania czynu i ujemne—przyzwyczajenia wstrzymywania się od czynu. Przyzwyczajenia zaś z kolei wpływają na rozwój charakteru, na zakorzenienie jednych rysów, na osłabienie innych. Następnie, wygrywając swój złożony koncert psychiczny na różnych strunach podlegającej wzruszeniom duszy ludzkiej, powołując do życia i ćwicząc jedne skłonności wzruszeniowe, tłumiąc działanie innych, np. złych zwierzęcych, wogóle antyspołecznych, prawo wiedzie niechybnie do rozwoju i wzmocnienia jedne skłonności wzruszeniowe, do osłabienia i zaniku inne i t. d. Prawo wogóle przedstawia złożoną i potężną szkołę uspołecznienia, przystosowania do rozumnego współżycia charakteru narodowego.

Wywierając wraz z innymi czynnikami życia społeczno-duchowego, w tej liczbie wraz z moralnością, estetyką, wierzeniami religijnymi i t. d., wpływ na rozwój psychiki ludzkiej, zmieniając charakter ludzki w kierunku przystosowania do życia społecznego, prawo samo zmienia się stosownie do tych zmian psychicznych, przystosowuje się do nich. I tu właśnie leży klucz do tych zasad rozwoju prawa, tych tendencji historycznych, których szukaliśmy dotąd napróżno, ogólna tendencja zasadnicza historycznego procesu tworzenia się i przemian prawa zawiera się w przystosowaniu prawnej motywacji i pedagogiki do danego stanu psychiki narodu: za pomocą duchowego oddziaływania odpowiedniego układu prawnego—indywidualne i zbiorowe postępowanie oraz rozwój psychiki narodu skierowują się w stronę powszechnego dobra. W miarę odpowiedniego postępu, odpowiedniego przystosowania się psychiki ludzkiej do życia społecznego, zmienia się odpowiednio i prawo. Późniejsze układy prawne wymagają i otrzymują od obywateli więcej—w znaczeniu społeczno-rozumnego postępowania, niż wcześniejsze, poprzednie układy prawa, przystosowane do bardziej pierwotnej psychiki i osiągają już przedtem wymagane postępowanie w drodze oddziaływania na bardziej wzniosłe strony charakteru ludzkiego, spożytkowują osiągnięte wyniki kultury duchowej i opie-

rają się na takich przymiotach charakteru zbiorowego, na których nie mogły opierać się wcześniejsze układy motywacji prawnej, przystosowane do bardziej z gruba ociosanej i społecznie mniej przydatnej psychiki; np., przejście w dziedzinie wytwórczości materialnej od układu prawa niewolnictwa, od pracy niewolniczej, z jej pierwotną, brutalną motywacją, z batem nadzorcy, z prawem kary śmierci i t. d., do prawa pracy wolnej, do układu wolności ekonomicznej i konkurencji—jest zjawiskiem i wytworem wzmożonej zdolności charakteru zbiorowego w narodzie; to samo oznacza odbywające się obecnie w różnych sferach, w dziedzinie gospodarki państwowej, gminnej i t. d. uspołecznienie wytwórczości, przypuszczające dla swego powodzenia pewien stopień nie tylko zdolności i skłonności do pracy energicznej nie dla siebie, lecz dla dobra ogólnego; zupełnie tak samo przemiana ustroju groźno-despotycznego w układ państwowego i gminnego samorządu, postępową demokratyzację odpowiedniego ustroju prawno-państwowego—jest zjawiskiem i wytworem danego postępu psychiki narodu i t. d.; o ile prawo ma do czynienia z postępowaniem jednego rodzaju i z zastosowaniem jednego rodzaju motywacji, np., karzącej, lub nagradzającej, w miarę udoskonalenia charakteru ludzkiego, osiągnięcie danego społecznie-rozumnego postępowania wymaga coraz to mniejszego motywacyjnego nacisku tego rodzaju; kary i nagrody zmniejszają się, odpowiedzialność zbiorowa całej grupy za wykroczenia, zwiększając nacisk motywacyjny, przedziera się w indywidualną,—pierwotna sroga odpowiedzialność za zło, wyrządzone chociażby wypadkowo, zamienia się w układ karny, zezwalający na różne usprawiedliwienia i złagodzenie odpowiedzialności i t. d.; dla dojścia do ścisłego i uczciwego spełniania kontraktowo-obligacyjnego prawa na niższych stopniach kultury stosowano groźby w rodzaju ówiartowania przez wierzycieli niewypłacalnego dłużnika (prawa XII tablic), sprzedaży do niewoli, bicia na placu aż do wypłaty długu, zwiększenia w dwójnasób długu na wypadek przeoczenia terminu i t. p.; historia prawa kredytowego jest zniżającą się progresją tego nacisku; obecnie pozostał zeń jedynie obowiązek zwrócenia istotnie spowodowanych strat i t. d.

W okresach łączenia się mniejszych ustrojów społecznych, pierwotnie niszczących się wzajemnie, w większe grupy solidarne, np., w wielkie państwa, odbywa się przez to samo wzrost wymagań społeczno-rozumnego postępowania, wystawia się żądanie „bratniego stosunku“ do obcych przedtem i wrogów i t. p. i wówczas, jak to wypływa z naszego prawa, wzmacnia się surowość kar, społecznego ustroju wogóle i t. d., lecz tylko czasowo do chwili odejścia do takiej dalszej kultury charakteru, która umożliwi dalsze złagodzenie *régime'u*.

Ta sama zasada rozwoju przejawia się w historii prawnego stanowiska kobiet.

W starożytnej patryarchalnej rodzinie kobiety zależały od absolutnej władzy, groźnego i surowego rządu domowładcy (*patris familias*), któremu przysługiwało prawo najrozmaitszych kar, nie wyłączając kary śmierci (*ius vitae ac necis*). Dotyczyło to zresztą nie tylko kobiet. Takiej samej groźnej dyscyplinie domowładcy, wraz z karą śmierci, podlegały według starożytnego prawa wszyscy członkowie rodziny, więc i mężczyźni, synowie, wnuki i t. d., a groźna opieka ta trwała i po dojściu do pełnoletności i do wieku sędziwego. Prawo takie wykazuje wielką stosunkowo niekulturalność, brak cywilizacji ówczesnej psychiki ludzkiej. By osiągnąć należyte, społecznie niezbędne postępowanie, koniecznem było podzielenie ludzi, w tej liczbie dorosłych, kobiet i mężczyzn, pomiędzy groźnych naczelników i opiekunów, wprowadzających i podtrzymujących pokój, porządek, pracowitość i t. d. w podwładnej im grupie za pomocą nieograniczonej władzy karzącej.

Na czem winien był polegać dalszy rozwój danego ustroju prawnego, można wywnioskować z wyżej wskazanej ogólnej zasady rozwoju prawa.

Przedewszystkiem, zgodnie z ustaloną zasadą, dalszy rozwój winien był przedstawiać stopniowo (w miarę uspołecznienia i naogół wzrostu wartości charakteru ludzkiego) zniżającą się progresję nacisku motywacyjnego, zniżającą się progresję stopnia uległości i surowości

ustroju. Stwierdza to całkowicie historia prawa narzeczniejszych narodów. Nasamprzód prawo kary śmierci uznanem zostaje za zbyt ciężkie i zostaje usunięte. Wystarczają już dla należytej dyscypliny pozostałe kary: prawo kary cielesnej, w tej liczbie kary, powodujące kalectwo, prawo dożywotniego pozbawienia swobody, niewolnictwo i t. d. Następnie łagodnieją i zanikają najbardziej surowe z tych kar. Zanika prawo kar kaleczących, pozostają jedynie zwyczajne kary cielesne. Prawo pozbawienia swobody: sprzedaż do niewoli lub wtarcenie do więzienia łagodnieje stopniowo; dożywocie takich kar zamienia się na czasowe pozbawienie wolności, przyczem czas zmniejsza się stopniowo i t. d.

Następnie rozwija się proces stopniowego wyzwolenia różnych kategorii członków rodziny z pod władzy i opieki *patris familias*.

Dla zrozumienia historii prawa kobiet i określenia dalszych jego losów należy zwrócić uwagę na okoliczności następujące:

1) Dopełnieniem naturalnem albo składnikiem podwładności, zależności i uległości—jest zależność majątkowa. Dla zwiększenia siły nacisku na postępowanie i siły dyscypliny, na mocy starożytnego prawa nie tylko kobiety, lecz i mężczyźni, w tej liczbie dorośli i starzy ojcowie rodzin zależą majątkowo najzupełniej od swych opiekunów - pogromców. Według staro-rzymskiego i niektórych innych praw starożytnych, wszyscy podwładni, żona *patris familias*, synowie jego i ich żony i t. d., pozbawieni są w zupełności praw majątkowych; wszystko, co zdobywają, zarabiają, stanowi własność wyłączną domowładcy. Od jego łaski zależy utrzymywać ich, karmić i t. d. Według innych prawodawstw, zależność majątkowa podwładnych osiągana była za pomocą innych form prawa. Zasadą rozwoju dalszego—jest stopniowa emancypacja majątkowa różnych kategorii członków rodziny.

2) Dalszem psychologicznym dopełnieniem naturalnem starożytnego ustroju, surowej dyscypliny i uległości bezwzględnej, jest nieistnienie dla podwładnych żadnych praw w zakresie zarządu sprawami społecznymi, kompletne ograniczenie w dziedzinie prawa publicznego. Stosuje się to nie tylko do kobiet, lecz i do reszty podwładnych. Według prawa pierwotnego stanowią o sprawach społecznych li tylko seniorowie-domowładcy; inny stan rzeczy mógłby zachwiać ich autorytet, podkopać uległość i świadomość nicości w podwładnych. Zasadą dalszego rozwoju jest stopniowy wzrost możności posiadania przez podwładnych praw publicznych, w szczególności prawa udziału w zgromadzeniach narodowych, prawa pełnienia czynności sądowych i innych.

W wyżej przytoczonych tezach zawiera się krótki szkic kwintessencji i znaczenia powtarzającego się typowo u różnych ludów rozwoju stanowiska prawnego kobiet.

Co zaś dotyczy przyszłości, z ustalonej ogólnej zasady rozwoju prawa i przytoczonych zasad poszczególnych rozwoju ustroju rodzinnego i majątkowego, oraz publiczno-prawnego stanu podwładnych, wynika, że za wyjątkiem stosunkowo łagodnej, dyscyplinarnej i innej władzy nad niepełnoletnimi i dziećmi, potrzebującymi z natury swej opieki i oddziaływania wychowawczego, wszelkie uprzednie rodzaje podwładności rodzinnej i ściśle z nią związanego ograniczenia możności korzystania z praw majątkowych i publicznych winny zaniknąć.

Dodać należy, że o ile *manus mariti*, władza męża nad żoną, między innymi władza dyscyplinarna karna, staje się społecznie zbyt ciężką i zanika w społeczeństwie kulturalnem, wszelkie inne ograniczenia praw kobiet tembardziej pozbawione są racji bytu, są przeżytkami, utrzymującymi się tylko za pomocą siły inercji, które należy jaknajprędzej usunąć. Są to zbyt ciężkie hamulce ekonomicznego i wszelkiego innego rozwoju owocnego, oraz wychowania społecznego.

Życie artysty tej miary, jak Bolesław Tomaszewicz, zamknąć w kilku wierszach nie sposób, nieć dat, imion zda się czemś suchym, nie zespälającym się z duchem twórczości artysty. Lecz podane tu prace jego zarazem będą komentarzem do krótkiego rysu i czytelnik, patrząc na kartę tytułową tej książki, na portret bs. Roppa, Ignacego Paderewskiego i resztę podanych tu prac, sam najlepiej oceni wybitną twórczość artysty.

Bolesław Tomaszewicz urodził się w powiecie Dyneburskim, spędził młodzięcze lata w szkole realnej w Dyneburgu, po ukończeniu której wstąpił do Petersburskiej Akademji Sztuk Pięknych. Z opuszczeniem jej zaczęła się gorączkowa praca artysty, widzimy go więc w r. 1888, wyróżnionym na konkursie Tow. Archeologicznego, i prowadzącym dział ilustracji w „Kraju”. Artysta dużo podróżuje, między innem zwiedza i rodzinne strony i wszędzie zbiera bogaty plon, stossy portretów, szkiców, widoków.



Bolesław Tomaszewicz.



Ziemianin po powrocie z Monte-Carlo.

Rozchwiał się projekt, zaś Bolesław Tomaszewicz osiadł na roli w Dyneburskim i tu umie połączyć pracę nad gospodarstwem z umiłowaną sztuką.

I jak wielkim już wtedy cieszył się uznaniem Bolesław Tomaszewicz, można wnioskować z tego, że gdy powstał projekt utworzenia Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie, przyjaciele-artysci i wpływowe sfery namawiały go do objęcia kierownictwa.



Wymierający typ.



IGNACY PADEREWSKI.

Artysta - rzeźbiarz Wacław Bębnowski, urodzony 20 lipca 1865 r. w majątku rodzinnym Dubieńcu, w powiecie Połockim, od wczesnego dzieciństwa zdradzał wybitne zdolności do rysunku i rzeźby. W 16-tym roku wstąpił do szkoły sztuk pięknych w Moskwie; po chlubnem ukończeniu szkoły udał się do Krakowskiej Akademii Sztuk



W. Bębnowski.

Pięknych, gdzie kształcił się pod kierunkiem Matejki. Mistrz cenił wybitne zdolności ucznia i wyróżniał go; wskazówki jego pozostawiły głęboki ślad na twórczości Bębnowskiego. Uczeń nie zawiódł nadziei Mistrza — na wystawach w Akademii zdobywa najwyższe nagrody, i wreszcie zostaje wysłany dla dalszych studjów do Monachjum



i Paryża, gdzie pracuje pod kierunkiem artystów tej miary, jak Argeubeurre i inni.

Po powrocie do kraju osiada czasowo w Warszawie, w tym czasie stwarza szereg większych prac, jak obraz i ambona w kościele w Służewie, figury świętych w kościele Ciechocińskim, stacje w kościele w Raciążku.

Lecz to nie zadawalnia artysty — jest przejęty jedną



myślą, jedną chęcią — spopularyzować sztukę, uczynić ją dostępną dla najszerszych mas, wpoić w nie poczucie piękna. Przejęty tą myślą otwiera w Aleksandrowie pogranicznym pracownię wyrobów terrakotowych. Tu wśród starych dębów, w zacisznym dworku z pod ręki artysty wychodzą, niezrównane w kształcie i poczuciu piękna, dzieła sztuki.



Stanisława Szadurska.

LILITH^{*)}

(FRAGMENTY).

Rajski sad—usiana tysiącbarwnymi kwiatami zieleń łąk, świeża, wiosenna. Na niej porozrzucone grupy różnorodnych drzew płaczą i gną gałęzie kwitnące, osypują kwiat, barwią się owocem. Pyły kwietne, płatki przekwitłe unoszą się w rozslonecznionym, rozgrzanym powietrzu. Zapach miodny lip, grusz, słodycz migdałów i oliwek, odurzająca woń akacji, żywica sosny, przepełniają aromatem przestrzeń, odświeżaną przez lekki powiew. Źródła szeleszczą, skrzą się srebrzyście wśród traw, spadają kaskadami ze wzgórz. Krzewy schylone nad nimi zwieszają bukiety różane, białe, fioletowe.

Szmer pszczoł, śpiew ptasząt—napęnia sad radosnym gwarem. Libelle i motyle, tysiące drobnych, barwnych owadów unoszą się nad kwiatami. Tu i tam—igrają grupy zwierząt: sarna w ruchu wdzięcznym obok sennego lwa i t. p.

Świat jest w pierwszych dniach istnienia, świat bezgrzeszny, naiwny, radosny, żyje całą piersią, życiem bujnym, świeżym, prostoty pełnym i prawości, spokoju i olśnienia.

W środku sadu, w miejscu gdzie inne drzewa zdają się rozstępywać i cofać onieśmione, gdzie nie krąży żaden ptak, nie zbliża się zwierz, w miejscu pustym, otoczone tajemniczym lękiem, jak kołem magicznym, stoją dwa drzewa:—Drzewo Wiedzy—w złotych gwiazdach kwiatów i żółtych jabłkach i Drzewo Żywota,—o purpurowych kielichach i krwawym owocu.

Z głębi raju wychodzą dwa anioły: *Lucifer* i *Aryel*, zdają się nie stapać, lecz unosić lekko nad ziemią—nad czołem ich płoną gwiazdy, skrzydła niosą odblaski tęczy, jak muszle perłowe.

*) Mała Genezis, czyli Księga Jubileuszów, uznana za apokryf, mówi o Lilith, pierwszej kobiecie, stworzonej razem z Adamem z mułu ziemi. Lilith zgrzeszyła pychą, według innych—miłością do Lucifera, za co została też ukarana piekłem.

Aryel ma cichą łagodną twarz i głębokie zamyślenie w oczach. W ciemnych puklach *Lucifera* gwiazda rzuca błyski zorzy o zachodzie. Oczy mu płoną, śmiałość i duma bije z postaci, twarz, suknia i skrzydła mają barwę złotawą, jakby wciąż w słońcu gorzały.

LUCIFER.

W bezwiednym pięknie, jak kwiaty, co w cieniu
drzew rajszych wątle pochylają twarze —
w blaskach, co padły przez liści witraże,
pieszcząc biel piersi pocałunkiem złota —
stała — cudna — pod drzewem Żywota,
i zlekła, w włosów skryła się płomienie.
Nad nią wiosenne drzewo chwiało kwiatem —
a wiatr je trącał — po traw aksamicie
pod stóp jej konchy kwietne rzucił — Życie —
Aż kwiat purpurą ustroił murawę,
we włosach zwisył jej kielichy krwawe
zapłonily ramion śnieg szkarłatem!

ARYEL.

Słowa Twe płoną — —

LUCIFER.

Zdało mi się właśnie,
że świat rozpłonął, że słoneczne jaśnie
zeszły w porannej zorzy aureoli, —
jak gdy się ziemia obudza powoli
i rosę z ramion otrząsają wiśnie
i grusze białe, i krzewy magnolji —
A słońce nagle z za obłoku tryśnie —
i grusze spłoną, rosa się rozteczy
i tak tęczowych barwami obręczy,
pomiędzy krzewem i ziemią zawisnie,
że ziemia patrzy w niebo przez barw strugi!

ARYEL.

Ogień masz w oczach — —

LUCIFER.

Duch mój z ciemni długiej
zdawał się wstawać —

Jak gdy mię z niebytu
pragnienie Stwórcy pierwszym „stań się“ — zwało —
i jam się budził, brał świetliste ciało
i myśl otwierał, jak kielich do świtu

kwiaty uśpione, i skrzydła rozpinał
na lot nieznany — i tęsknić poczynął — — —
O, bracie Słodki — jam się stał raz drugi!
I gdy mi serce rozdarł grom pożarem,
gdym cierpiał szczęściem, szczęśliw cierpień darem—
Pan dotknął jej czoła — —
I w Pana tchnienie
tchnąłem moją tęsknotę —
i rozpałem w jej piersi płomienie złote,
których już nie w życiu stłumić nie zdoła!

A R Y E L.

Drzę lękem, Jasny — —

L U C I F E R.

O, nie znaj bojaźni!
Kwiat winien cudem być — nie męką kaźni —
Miej śmiałość szczęścia!

A R Y E L.

Gwiazda nad twym czołem
blednie — —

L U C I F E R.

O, bracie, niech w niebie dalekiem
każda z gwiazd kona, niech słońca zagasną,
niech żaden miesiąc nie lśni twarzą jasną,
I żaden anioł nie będzie Aniołem! — —

A R Y E L.

Jest-że raj większy nad anielskie raje? —

L U C I F E R.

A jeśli, Cichy, mniejszych mi nie staje? —

A R Y E L.

Czym chcesz Świetlisty, być? — —

L U C I F E R.

Może człowiekiem — — —
Albo czymś więcej niż przed niebios progiem —
aniołem złotym słońce —

A R Y E L

(złękły) Lucifer!

LUCIFER

(cicho) — — Bogiem!

AR YEL stoi zadumany.

LILITH idzie powolnie ku Drzewom Wiedzy i Żywota.

LILITH.

Błądę — pustka wkoło. Do tych Drzew
coś mię wiedzie niemym zapytaniem —
Woła sercu ptasząt dźwięczny śpiew,
szepcze sercu pszczelny dźwięczny rój —
— Czemu? — pyta serce nieukojne — —

AR YEL.

Stój —
drzewa bronne!

LILITH.

A myśli Ci rojne
nie pytają, czemu bronisz drzew?
Czemu ptasząt tak swobodny śpiew —
czemu moje pragnienia niewolne?
Ktoś ty, Strózu?

AR YEL.

Anioł Stwórcy - Boga.

LILITH.

Pięknyś ty — Lecz ja znam twarz inną.
Nie tak — niewinną,
nie radosną —
W twarzy twojej śni cisza i trwoga —
A twarz tamta potęgą nakazu,
Niezwalczoną lśni siłą, płomieniem,
I spytała mię oczu krzykiem, ust milczeniem —
I spytała mię pewnego razu
o słowo, które powiedzieć może dusza tylko — — —
I śnię o nim wciąż —
O słowie niewypowiedzianym — — —

AR YEL.

Adamowi cię Stwórca dał — —

L I L I T H.

Adamowi mię Stwórca dał,
Adamową mię żoną zwał —
jak kwiat, na Adama rzucił pierś — —
A kwiat czyliż woli niema mieć
Słońcu kwitnąć — czy mrokom nocey?
Nie na każdej wykwitnie kwiat roli.
Stwórca dał mi dar woli —
A niewolną Adamowi dał — —

A R Y E L.

Ty uporna — —

L I L I T H.

Nie chcę Pana!
równiej sobie chcę duszy
równą duszą chcę być miłowana,
Lub tak duszą całą umiłować,
Bym się sama ugięła do stóp.
Z ziemi ja — i Adam z ziemi,
Czemu wyższym ma być!

A R Y E L.

Tyś jest — pycha!

L I L I T H.

Jam jest — Krzywda — — —

Słońce zachodzi w głębi złotą luną, rozrzucającą wkoło tęczę barw jasnych, przeświec-
nych. Gwar stworzeń milknie, kwiaty stulają kielichy. Cichy wieczór zapada powoli. ADAM,
wpatrzony w błękit, klęka, i zaczyna modlitwę. ARYEL, stojąc za nim, pochyla nad nim
skrzydła.

A D A M.

Stworzyłeś słońce, co rozjaśnia światy —
Stworzyłeś ziemię, co mknie w słońca strony —
rozlałeś źródła i rozwileś kwiaty —
Bądź pochwalony —

A R Y E L.

Rzuciłeś w błękit gwiazdy i księżyce,
rozpiąłeś tęczę nad zachód zamglony,
zasiałeś w sercach cisze i tęsknice —
Bądź pochwalony. —

A D A M.

Blaski ślesz niebom — ziemi owoc płodny,
w ptaszącej piersi pieśni niecisz tony,
dajesz dar sercom ufności niezwodnej —

Bądź pochwalony —

A R Y E L.

Świat i zmrok w setne malujesz kolory —
rozwieszasz w niebach cichych mgieł zasłony —
dajesz porankom ruch, spokój w wieczory —

Bądź pochwalony.

A D A M.

Anielskim skrzydłom dałeś biel i moce,
w ludzką pierś marzeń złote siejesz plony —
stwarzasz dzień czynu — i wytchnienia nocę —

Bądź pochwalony.

A R Y E L.

Rozrzutną dłonią siejesz cud i dary —
Stworzyłeś życia bezmiar nieskończony —
Rzuciłeś w dusze pragnienia bez miary —

Bądź pochwalony — —

LUCIFER, MICHAŁ ARCHANIOŁ, ARYEL.

L U C I F E R.

Książę, książę wojsk niebiańskich zbrojny,
ty masz w sercu niewolną pokorę,
ty za duszę masz strumień ukojny —
W mojej piersi sto barwnych łun gore!
W mojej piersi sto wicherów szaleje,
sto piorunów gra!
W mojej piersi sto tęsknot łka!
sto zwątpień woła!

M I C H A Ł.

Stwórca gniewny ku tobie mię szle;
bunt twój znany jest Panu nad Pany.

L U C I F E R.

Stwórca gwiazdy nam pali u czoła,
Skrzydła daje u ramion tęczowe —
i na skrzydła nakłada kajdany.

MICHAŁ.

Stwórca począł z własnego cię ducha,
jego myśli byś służył — nie — szydził!

LUCIFER.

A więc własny duch znienawidził —
nie ukochał!

MICHAŁ.

Ty bluźnisz, Pan słucha!

LUCIFER.

Stwórca, co pęta chce na każdy ruch
włożyć i każdy złamać gest —
wie, żem jest
wolny duch!

MICHAŁ.

Stwórca cię władny w mrok z blasku pograżyć!

LUCIFER.

Lepiej mi mroku być samotny król,
niż sługą światła w szlak pokorny krażyć!
Lepiej mi być swobodny ból,
niżli niewolną rozkoszą!
Chcę wiedzieć wszystko, zbadać, widzieć, czuć!

ARYEL.

O Luciferze!

LUCIFER.

Gwiazdę z czoła zrzucić!
Stań się, nie jesteś dziś —
Ty śniesz,
żeś jest!

MICHAŁ.

Ty — nie będziesz!

LUCIFER.

Ja się staję właśnie,
ja tworzę siebie — ja sam —
niech gwiazda gaśnie!

(Gwiazda blednie mu nad czołem i z krwawo-złotej staje się mętna, stalowe rzucająca światło).

A R Y E L

(zakrywa twarz)

o zgrozo — ból — — —

LUCIFER.

Wśród tysiąca gwiazd
ważyłem skrzydła w szlakach drogi mlecznej —
I jak rój pszczoł
złocistych — roje gwiazd
krażyły wkoło smutnej mojej skroni.

Z mgławicy kół
plotłem korony lśniące
i tysiące
nowych światów w obłąkany
rzuciałem ruch —
posłusznych pragnieniu memu
w niebios toni —

I spytały mię nagle, krążąc: — Czemu? —
I powtórzyły: — Czemu? — mój duch. —
Ujrzałem prawdę całą, jak w olśnieniu:
— Czemu stworzeniu

wszemu stawiać kres?
Czemu zaznaczać światom ciasne kręgi?

Czemu potęgi
nie dać — mogąc dać?

Czemu ma trwać
niepojęty zakaz tajemniczy —
Czemu tworzyć — dawać byt —
ku czemu?

Kto zliczy
ile pytań w piersi wzrosło nagle —
I rzuciłem pytanie w bezmiary
między komet błędnych złote żagle,
między słońca i złękłe Cheruby
u tronu wieczności!

M I C H A Ł.

Pragniesz zguby!

LUCIFER.

Pragnę szczęścia
sobie, wam, bezmiarom i ludzkości!
Bo czy ty wiesz — czym przeznaczenie —
blask — rozkosz — cienie —
męka?

Lecz duch twój klęka
w pokorze —

Gdzie cel, gdzie meta!
Boże
jeśli tak bezcelowo
ma krążyć życia planeta
nad nicości głową —
ja wnet ją zwrócę!

MICHAŁ.

Kajdan ci rzucę!

LUCIFER.

Kajdany skruszę! Na bój!

ARYEL.

O, stój
Światły, zgubę zwiesz — —

LUCIFER.

Czy ty wiesz,
że jest zguba może siebie znalezieniem —
Jam zatracił siebie będąc słońcem —
Niech stanę się cieniem!

MICHAŁ

Szaleńcze!

LUCIFER.

Ten zwycięży, kto uwierzy w szal!
Ty mię zmożesz — a niezwyciężon będę stał —
na wiek.

MICHAŁ.

Hufce moje, Anioły, tu — ku mnie!

(Z szelestem skrzydeł, migotem błysków gwiazd, lśnieniem szat białych, zlatują wkoło tłumy aniołów — otaczają Michała i Lucifera).

LUCIFER.

O potencje, Serafy i Trony,
O Cheruby w bezkresu regjony
uniesione — o, białe Archanioły —
wołam was, wyzywam waszą potęgę,
moc skrzydeł tysiąca
niech bezmiar trąca —
lećmy słońca nieznane witać —
za toń niebios cicha, szafirowa, —
— — — — —

Chcę odczytać

— Słowo! — — — —

OKRZYK GROZY.

O — o — o — o.

LUCIFER

Słowo! — cel bytu, zagadka istnienia.

wszechтворów koniec i początek —

Tchnienie,

co światom dało wątek

i światy w sobie pochłonie —

Owe „wszystko“ — całość niezbadana —

Duch Pana,

co się waży nad czarną nicością

i płonie —

wszechjasny!

Za mną — kto je zdobędzie

równym będzie

Stwórcy światów niezliczonych

w bezmiarze! —

ANIOŁY.

Zakaz Pana — — —

LUCIFER.

Pan dał ziemi raj i dał zakazy!

Pan nam zakaz stawia, jak pokusę!

(Anioły stoją niepewne, wahające)

LUCIFER.

Tchórze!

A więc ze mną nikt, ja sam!

W stu kohortach brak dumnego ducha!

W setce hufców brak jednego serca!

Niewolnicy — —

ARYEL.

Ukorz się, usłucha

Pan, ja go modłem ubłagam — —

LUCIFER.

Więc ja sam —

sam, w mój szlak zawrotny —

tym większy, im bardziej samotny!

MICHAŁ.

Złamię moc twą!

LUCIFER.

Zdepcesz skrzydeł puch,
lecz nie złamiesz ducha mego mocy!
W górę ducha mój! Zdobędzie duch
prawdę!

(Pod błyskiem miecza MICHAŁA grom uderza, przepaść roztwiera się u ich stóp. MICHAŁ strąca LUCIFERA).

MICHAŁ.

W mrok nocy!

Stanisława Szadurska.

Kraków, 1910.

DROGA MEJ ZIEMI.

Szara i pylna, smutna i uboga,
kamieniem siana pod znużone nogi,
ta ziemi mojej potępiona droga,
co wiedzie w przestrzeń przez krze i rozłogi.

Słońce tam rzadko lśni nad pól obszarem,
nizko zawisłe wiatr przegania chmury—
i tylko czasem z poza chmur, jak czarem,
nad ziemią smutną schyla się lazury.

Droga mej ziemi szmaragdowym cieniem
borów głębokich, jak złocista żmija
w zieleni łąki, pierścień za pierścieniem
pomiedzy gąszcze piaskiem się przewija.

A nad nią sosny, lichymi rozmowy
z wiatrem, — nim stopy jego wdał pobiegły—
budzą uśpienie, chyląc ciemne głowy,
jakby tej drogi szlaków żółtych strzegły.

Droga mej ziemi idzie zboża polem,
gdzie rzadkim złotem lśnią ciężarne kłosy,

a snop uwity barwi się kąkołem,
a perz i zielsko płaczą łąk pokosy.

Gdzieś ku pagórkom idzie po ugorze—
i nad jeziora, jak stal chłodna, lśniące.
A purpurowe, jak krwi wielkie morze,
gdy je w zachody tęcz rozbarwi słońce.

Nad ziemią czarną, czarnymi szeregi
krzyże przydrożne—a gęsto—a blisko
prężą ramiona, aż pod niebios brzegi,
że ziemia wkoło—jedno cmentarzysko.

I zda się skarżyć swoich krzywd bez miary,
z pod krzyżów wolać w błękit nocą ciemną,
gdy wichher goni poprzez rżysk obszary,
a gwiazdy nie lśnią:—litości nademną!—

Czasem, wieczorem, na ramiona krzyża
ptak mały siądzie odbity od stada.
Znużone skrzydła słabną—noc się zbliża—
Ptak u stóp krzyża piersią ranną pada.

I widzi nieraz, jak za słońca smuga,
szeregi ptasząt lecą wolnym szlakiem— — —
On wie gdzie ku nim okiem śmierci — długo — —
I może litość krzyż ma—nad tym ptakiem.—

Czasem garść dzieci nad tą spotkasz drogą,
co między krzyże bose, głodne bieży—
I nie wie—czemu—i nie wie—do kogo—
i żadne może nie umie pacierzy.

Czasem powitasz idące za pługiem
czoła schylone—a w nich myśli drzemią.
I krzyż, co patrzy za brózd długim smugiem,
może ma litość wtenczas nad tą ziemią— — —

Czasem tam troska blada chodzi głuszą
i ręce łamie, i zawodzi łkanie.
Albo gdzie smutek fujarką pastuszą
płynie.—A czasem tam słowicze granie—

od sadów zleci— — I napotkasz wtenczas
ludzi, co idą jak w snu czar ujęci.
I w oczach cichych cały niosą cmentarz,
jak potępieni—albo też jak święci.—

Brzozy przydrożne, na które kurz siada,
i każda ręka odziera i targa,
płyną ku ziemi—powiewna kaskada—
a szelest cichy ich drży, jak łez skarga.

Piersi rozdarte sączą krew żywicy,
krzywda ramiona młode w ziemię zniża.
Kapłanki białe, jak blask ognia zniczy,
liść złoty w jesień sypią do stóp krzyża.

Osty wy szare nad wstęgą mej drogi,
jak starce smutne w żebraczym łachmanie!
Rumianki białe i różane głogi,
fiolety dzwonek na niepłodnym łanie!

Mchy borów, baśni cudna w minjaturze
dziewiczych lasów,—Czarodziejstw paprocie—
śnie kwiatu szczęścia! Maki w szat purpurze,
konwalje ciche, jaskry w lśniącym złocie.—

Kwiaty mej ziemi! Kto czar paprociowy
Gwiazdą złocistą snu ułowił jawie!
Komu na piersi rzucił mak pąsowy
sen nieprześniony—aż kwitł sercem krwawie?

Kto w mchu utonął złudnym aksamicie,
by widzieć duszą przez szkła snów olbrzymie
cuda—i zaklął duszy cud w jaw-życie—
Ten świata może wielkie rzucił imię!

Przestrzeń daleka, płaska, mdła—jak nuda.
Jałowiec ostre pręży kolce skrajem.
Obłoków białe sploty—krain złuda—
zawisły nisko nad posępny krajem.

Nie błyska nigdzie.—Dale mgłą zasnute,
Słońce za wyraj senną pada głową.
I tylko jedną bladą życia nutę
rzucają w półmrok wrzosa fioletowe.

Lipy przez stary płot kwietne konary
chylą k ziemi. Dworu postać blada
w stawu zwierciadle drży. Dwór cały biały
a ze ścian dworu biały proch opada.

Dach się pochylił. Wino słup oplata
w krwawiące sploty. Koło okien szczyrby.

Nad progiem Panny Przenajświętszej szata,
a pod Jej stopą—poczerniały herby.

Wioska, co drobnych łni światełek rojem,
wśród chat pochyłych idzie moja ścieżka.
A w wiosce dachy—słomianym zawojem.
A na tych dachach pleśń zielona mieszka.

W okna nie zajrzy nigdy słońca dużo,
ścian czarnych złotem zachód nie poznać.
Wicher tam hula w wiosce, deszcze plużą.
I mrok tak straszny—jak na dnie rozpaczy.

Ziemio, o ziemio, kto twe wskrzesi moce,
śpiące bezwiednie w czarnym, twardym łonie!
Kto ziarno świetlne rzuci po opoce,
aż głos złocisty strzeli na zagonie.—

Kto, bijąc w wieko trumienne, obudzi
na polach twoich rycerskie mogiły?
Ziemio! kto na to jest dość silnym z ludzi,
albo, kto z bogów na to ma dość siły!

Ciemno i cicho. Z mroku cmentarzyska,
co zapomniane śpi w leszczyn ochronie,
ogień wstał błędny—mieni się, połyska—
i po zorany pomknął w mrok zagonie.

A z wież kościelnych, jakby nagłym łkaniem,
bijąc o wiernych lip uspione liście,
za sen mogiły—za mogił powstaniem—
zagrały dzwony—przeciągle—srebrzyście—

Ogniu zbłąkany z mogił, ogniu blady,
po drodze mojej płyniesz blaskiem gromnic.
Chylisz się ziemi, ogniu, złocisz ślady—
ja o tych śladach może chcę zapomnieć.

Dokądś odeszli drogą swojej ziemi—
i snów purpurą szary proch krwawili— —
A może, ogniu, szli śladami temi,
ale ku ziemi już wstecz—nie wrócili,— —

A może, ogniu, ta ziemia tak złana
krwi i łez darem, że nam po tym polu
nie stapać dzisiaj—a paść na kolana,
i jak pokutnik tak iść śladem bólu.

A może, ogniu błędny na mogile,
z ramiony na świat rozkrzyżowanymi,
idąc w świat dali—w dróg samotnych pyle —
serce gorące wyryć na tej ziemi— — —

W topoli szczyty, w klon spowity, dęby.
Zwalisk cień w polu wyrósł ponad wzgórze.
I pokruszone na horyzont zręby
rzucił posępnie, ostro. A po murze,

co w proch upada, pną się leszczyn liście;—
malina wątła koral tuli blady.
I strojny, jakby na wesela przyjście,
gruz zamku stary—patrzy w dzień zagłady.

Gwiazdy zabłysły. W koło mrok. Jałowy
ugor i pustka. Tylko głązów cienie
patrzą w gwiazdziste niebios złotogłowy,
jak w szczęścia uśmiech spogląda cierpienie.

Szara i pylna, samotna, uboga,
kamieniem siana pod znużone nogi,
ta ziemi mojej potępiona droga
wiedzie w mrok, w przestrzeń, przez krze i rozłogi. — — —

Stanisława Szadurska.

Kijów, Listopad.
1908.



D-r filozof. Ryszard Mienicki.

Pierwszy zatarg Jerzego Lubomirskiego z Janem Kazimierzem (1651).

Postać Jerzego Lubomirskiego, wyraziście zarysowywująca się na tle czasów Jana Kazimierza potężnymi konturami, przerasta wielu najwybitniejszych owoczesnych mężów polskich talentem, czynami, wreszcie dumą i ambicją przechodzącą aż w pychę. Ta pycha łącznie z wrodzoną porywcznością stanowią wybitne cechy tej postaci nawskroś historycznej.

Do biografii Jerzego Lubomirskiego posiadamy mnóstwo niewyzyskanego jeszcze materiału w kronikach, pamiętnikach, dyarjuszach i czasopismach polskich i obcych; daleko więcej tego surowego materiału ukrywa się w manuskryptach bibliotek i archiwów; nie znamy przeto tego niezwykłego człowieka, przezywanego „zdrajcą“ i „ojcem ojczyzny“ w całości jego czynów i zamiarów, pomimo szczegółowych opracowań, odnoszących się do młodości ¹⁾, albo do sprawy z fatalnego dla późniejszego marszałka i hetmana, oraz i Rzpltej roku 1664 z procesowym epilogiem ²⁾, wreszcie do „końca“ jego żywota, pełnego matactw politycznych, ambitnych pertraktacji z cesarzem i elektorem ³⁾.

Sądźmy, że, nim nasza literatura historyczna wzbogaci się taką monografią, jaką np. mają Jerzy Ossoliński ⁴⁾, Bohdan Chmielnicki ⁵⁾ etc., o J. Lubomirskim, ciekawem i ważnem może być wykrycie i przedstawienie tego lub owego szczegółu ze względu na osobę, do której się odnosi, jak i ze względu na własny charakter i ewentualne konsekwencje.

¹⁾ Mamy tu na myśli szkic histor. prof. Czerbaka p. t. „Młodość Jerzego Lubomirskiego“.

²⁾ Tegoż aut.: „Sprawa Lubomirskiego w r. 1664“—Ateneum 1885 t. III i IV, 1886 t. I, oraz ³⁾ „Koniec Jerzego Lubomirsk. (r. 1667)“ w studjach histor. „Z czasów Jana, Kazimierza“ Lw. 1893 r.

T. Korzon w dziele p. t. „Dola i niedola Jana Sobiesk.“ poświęcił dużo miejsca J. Lubomirskiemu.

⁴⁾ Mowa tu o „Jerzym Ossolińskim“ nie Bohomolca, ale—L. Kubali, 1882.

⁵⁾ „Bohdan Chmielnicki“ 2 tomy. Franc. Rawita-Gawroński. Lwów, 1906 i 1908.

Zajście, o którym mamy mówić, przypada na czasy względnego i chwiejącego się spokoju Rzpltej. Utarczki z drobnymi oddziałami hajdamactwa powtarzały się ustawicznie; Chmielnicki poddał się Tureji, za co uzyskał protekcję tejże, oraz tytuły „księcia Rusi“ i „stróża Porty Ottomańskiej“, zarazem zdołał oderwać i hana od Rzpltej, a „koło idei zemsty, jak koło osi obracały się wszystkie jego czyny. Jego zuchwałość, jego mściwość, jego bezwzględność dostępne były najprostszemu umysłowi i imponowały mu. Z byle jakiego powodu we wściekłość wpadał“ ¹⁾. Dalsze zapasy były nieuniknione. Rzplta musiała wystąpić ponownie do boju, tymczasem trzeba było siły gotować, zbroić się a jedności i zgody pilnować. Każde naruszenie wewnętrznego pokoju, zamącenie zgody, każde bezprawie i gwałt każdy teraz musiały ważyć podwójnie, a sprawcy ich ściagać na swoje sumienie ciężar podwójnej przewiny.

Z jakąż tedy przykrością spotykamy się z Jerzym Lubomirskim, występującym w roli takiego właśnie burzyciela publicznego, takiego ducha niesforności i bezprawia!

Dziad Jerzego—Sebastjan, kasztelan wojnicki, na żupach wielickich zbogacił się głównie i przez nie dźwignął swój ród. Rad korzystał z tegoż źródła i wojewoda krakowski (Stanisław), chociaż sół często nabawiała go kłopotów poważnych i waśni srogich, o czym świadczy korespondencja krewkiego senatora z jesieni r. 1647 ²⁾. Skoro w niecałe dwa lata potem (16 czerwca 1649) „z tym się światem pożegnał“, pozostawiał przecież żal szczery i pamięć dobrą wśród społeczeństwach, której wyraz znajdujemy np. w „Pamiętnikach“ Albrychta ks. Radziwiłła: „w splendorze życia równego sobie w całej koronie nie miał—wspomina z westchnieniem kanclerz Lit.—ludzkość i szczodroblowość od dzieciństwa aż do ostatniej starości zachował, Rzpltę radą i pomocą utrzymywał tak dalece, że wszyscy trzymali, iż starania publiczne do śmierci mu dopomogły“ ³⁾. Nietylko spokrewnieni, jak Radziwiłł, ale i obcy pisarze równie dodatnie rysy w wojewodzie upatrywali, przekazując je potomności. Rudawski zwał zmarłego „mężem sławnym z urodzenia, odwagi i bogactw“ ⁴⁾.

„Dzieje wspominają z pochwałą—zaznacza dalej kanonik ołomuniecki—na jaką podówczas prawie nikt w takiej mierze nie zasłużył, o jego wojennych wyprawach i jemu właśnie trzeba przypisać znamienitą, choćimską wiktoryę nad ottomańską potęgą. Zaprawdę, zasłużył Lubomirski na miano najgodniejszego obywatela ojczyzny“—⁵⁾ wnioskuje w końcu, z czem się zgadza i autor Klimakterów.

Prócz dobrych wspomnień pozostawiał wojewoda bardzo znaczną spuściznę i trzech synów na niej, którzy z dziedzictwem powinni byli przejąć i cnoty ojcowskie ⁶⁾.

Z tych średni, Jerzy Sebastjan, w chwili śmierci rodzica był starostą, czyli generałem krakowskim, a 3 stycznia 1650 r. dostał łaskę nadworną ⁷⁾, by po paru miesiącach, rychło po zgonie Kazanowskiego, zamienić ją na wielką. Przy podziale ojcowizny wziął sobie owe żupy wielickie ⁸⁾, względem których już za króla Władysława istniały pertraktacje z nieboszczykiem wojewodą, celem poddania ich rewizji i, wedle istniejącego prawa, zamienienia na jakie dobra tytułem ewikeji za kopalnię, mającą przejść w posiadanie królewskie. Mimo wy-

¹⁾ „Bohdan Chmielnicki“ tom II. str. 114.

²⁾ Świadczy o tem korespondencja wojewody krak. z X i XI 1647: ms. bibl. muz. XX. Czartor. nr. 398 Acta za Wł. IV i J. Kazim.

³⁾ Pamiętniki Albrychta Stanisława X. Radziwiłła, t. II, str. 376.

⁴⁾ Historiar. Poloniae etc. lib. I. cap. VII. ⁵⁾ Ibidem.

⁶⁾ Obok Jerzego: Aleks. Michał, naonczas koniuszy koz., hr. na Wiśniczu, starosta sądom. i zator., i Stanisław, starosta sądecki.

⁷⁾ Pam. A. Radziw., t. II, str. 402. ⁸⁾ Tamże str. 434.

znaczenia odpowiedniej komisji i pewne ograniczające warunki, do takiej tranzakcji nie przyszło i utrzymał się status quo aż do zgonu Władysława IV ¹⁾.

Przy obiorze Jana Kazimierza postawiono za warunek sprawę zamiany prowadzić przez komisję, wyznaczyć się mającą na sejmie ²⁾.

Jednakże czas upływał, a kwestja pozostawała nierozstrzygnięta i nie postępowała wcale naprzód. Król, zniecierpliwiony taką przewłoką i podszczerwany jakoby przez instygatora kor., Daniela Żytkiewicza ³⁾, wrogo usposobionego względem całego domu Lubomirskich ⁴⁾, sam mianował komisję, w skład której weszli: Bogusław Leszczyński, podskarbi kor., generał wielkopól., oraz starosta międzyrzecki i samborski, Łukasz z Bnina Opaliński, marszałek nadw., star. rubieszowski, ksiądz Teodor Zaporski, kantor wrocławski i sekretarz królewski, Grzegorz Jakób Michałowski, wojski lubelski, tudzież rzeczony Daniel Żytkiewicz wraz z kilku urzędnikami ⁵⁾.

Komisja miała za zadanie zrewidować szyb Św. Kingi (Cunegundia), zostający w ręku marszałka przy współudziale i braci jego, skontrolować linje graniczne ziemi Lubomirskich z królewską, oraz przeprowadzić potrzebne śledztwo i—prawne zarządzenia ⁶⁾. Sam Jerzy Lubomirski, aczkolwiek niechętnie i po pewnem wahaniu się, zgodził się przecież z wolą królewską i „nie chcąc urazić króla“ komisję „akceptował“ ⁷⁾. Nader bliska przyszłość dobitnie wykazała na jak kruchych podstawach opierała się ta „akceptacja“, bo na podstawach zmien nego humoru kapryśnego magnata, co, zdaje się, jakby tylko „przez politykę“ wobec króla nie stawiał wyraźnego veto, obiecując sobie stanowczo nie zezwalać na żadne uszczuplenie własnych prerogatyw i majątku.

Królewscy rewizorowie stanęli w sobotę 4 lutego w Wieliczce, przywieźli też ze sobą podkomorzego krakowskiego Franciszka Dębińskiego i nieznanego nam z nazwiska sędziego wschowskiego, a stosując się do rozkazu królewskiego zabrali także jakiegoś Proszowskiego, burmistrza. Jakież było ich zdziwienie, kiedy przy wspomnianym szybie nikogo nie zastalili atoli zdziwienie zamieniło się rychło w przykry zawód: albowiem, kiedy urzędnicy zamierzali przystąpić do pełnienia funkcji, do „fundowania jurisdietii przy tymże“ — zjawiała się niespodzianie, jakby z pod ziemi, cała gromada „przyjaciół“ domu Lubomirskich, gdzie rej wiedli dwaj prowodyrowie: sędzia krakowski z niejakim p. Mikołajem Rzezyckim; ci ostatni ogłosili, że „nie dopuszczają fundowania jurisdietii“, a to dlatego, że wszelkie tworzenie zgromadzenia komisarskiego z kompetencją sądowniczą bez oparcia na prawomocnym dekrete „na gruncie szlacheckim nie może być“. Gorliwi „przyjaciele“ w bardzo kategoryczny sposób z góry zakładali protest przeciw jakimkolwiek czynnościom prawnym ze strony urzędników, prócz rewizji granic i szybu; nie omieszkali przecież dodać, że i na tę szczególną łaskę zezwalają jedynie powodując się czcią ku osobie monarchy ⁸⁾. Łatwo pojąć, że wszystko co powiedzieli i uczynili „przyjaciele“—było dziełem samego marszałka i wyrazem jego woli, objawem dwulicowości i arogancji. Komisarze ze swej strony zaprzeczali podstaw powyższej protestacji na słowach, ale nie obalali jej czynem i zarazże porozjeżdżali się, pełni złych przeczuć, upadli na

1) Tamże. K. Szajnocha; „Dwa lata dziejów naszych“ w t. IX, str. 11, 46.

2) Radziwiłł: t. II, str. 434.

3) Stanisława Oświęcima Dyaryusz 1643—1651 w „Scriptores rerum polonic.“ t. XIX, str. 260. 4) Tamże.

5) Rkpsm. Akademji Umiejętn. w Krakowie nr. 367: podpisy z „Protestationis Copia ex parte Magnificorum, Venerabilium et Generosorum Commissariorum contra Mgnficum Mareschalcum Regni in Metrica. canc. majoris 1651“. Karta 155 i 156.

6) Ibid. i: „List od JMPP. Komisarzów JKM. ex parte szybu Kunegundy 1651 do Króla Jgmcı“ w tymże rpsm. kor. 154 i 155.

7) Pamiętn. A. Radziw. t. II, str. 434.

8) List od komisarzów.

duchu, ogarnięci zwątpieniem w pomyślny skutek w wypełnieniu nakazanego zadania. Gdy skonsternowani namyślali się przez resztę dnia i nazajutrz, nie wiedząc, co począć, przybyli do nich wysłańcy od Lubomirskich, ale nie z dobrą nowiną: wieścili toż samo, co wczoraj oświadczała „przyjaciele”—niech rewizorowie oglądają szyb i granice, ale niech nie nie poczynają takiego „coby najmniej juridico processu pachnąć miało...”

Gdyby komisja składała się z ludzi energicznych, szybko orjentujących się w sytuacji, jasno zdających sprawę z całej swej misji, to jej członkowie potrafiliby dać odpowiedź, harmonizującą z godnością własną i wolą królewską, ale że byli to ludzie przeważnie chwiejni i nie posiadający w kraju szacunku, ani popularności, że byli wysadzeni nie wolą sejmu a znajdowali się wobec butnego magnata, przeto, czując się słabymi, nie ośmielili się zdecydować na krok stanowczy i pograżyli się w narady. „Wzięliśmy to tedy na rozwagę—czytamy w liście pełnym skarg—co więcej expedit: czyli cale in istis accessoribus rozerwać komisję? czyli omissis solennitatibus juris w rzeczy samej zadosyćuczynić intencji W. Król. Mości?”¹⁾

Król wprawdzie łatwo mógłby przekonać się, na czym gruncie wybity szyb, (bo w tej kwestji także istniały wątpliwości) z „zewnątrznego widzenia” samych urzędników, tudzież z dokumentów przedstawionych przez marszałka, ale czy na tem wypadało poprzestawać? czy takie załatwienie sprawy mogłoby wystarczać, chociażby najbardziej dogadzało temuż marszałkowi? A on, najoczywiściej przez wysłańców, tak tłumaczył komisarzom: „wy możecie granice obejrzeć, a potem królowi zdajcie relację z tego, coście widzieli, ustnie, albo, co lepsze, piśmiennie. Ja, ze swej strony, przedstawię dokumenta i sprawa we właściwym czasie i przez miarodajne czynniki będzie rozpatrywana i rozstrzygana!”

„Teraz zaś—stanowczo oświadczać—w żadne dyskwizycje, ani terminy prawne zachodzić nie myślę”²⁾. Tak było w niedzielę 5 lutego. Droga kompromisu nie wiodła do celu. Komisarze już nazajutrz (6 lut.) raz jeszcze, przed południem, zgromadzili się na narady do Łukasza Opalińskiego i tu wreszcie zdecydowali się na określenie porządku postępowania: mieli rozpocząć czynności od obejrzenia granic, co zgadzało się i ze zleceniem króla, aby z kolei zajrzeć i do szybu. Nowy szkopuł jednak nabawił ich innej troski: zasłyszeli, że Lubomirscy nie chcą nawet „cierpieć” widoku burmistrza, owego Proszowskiego. Wyłoniła się potrzeba nowych układów; wysłani Michałowski z sędzią wschowskim mieli oświadczyć zuchwałym dzieciom, iż rewizorowie „wolę J. Król. Mości muszą wykonać”³⁾. Ale i odwołanie się do majestatu, o czci dla którego słyszymy z ustawiecznych a bezwartościowych zapewnień całego stanu „rycerskiego” bez istotnych rycerskich przymiotów, nie zaimponowało „hardym animuszom” zawziętych królewiat: „raczej wolelibyśmy, żeby nam szyje pucinano—słali w odpowiedzi—niżelibyśmy mieli przychodzić na obrót tego zdrajcy i szubienicznika!”⁴⁾.

„Taką deklaracją wzięwszy—podają komisarze—postanowiliśmy wziąć go przecie z sobą, jako burmistrza, z gromadą na grunt; jakoż i tak było”. Komisarze, jak widzimy, zaczęli zdobywać się na stanowczość, a przed udaniem się na miejsce rozglądali się w dokumentach, odnoszących się do opisu granic, czego zaś nie mogli dobrze zrozumieć, pytali Żytkiewicza; ten im tłumaczył, a zawsze wszystko „wywiódł tak jaśnie, dowodnie, oczywiście, że... żadnej nie zostawało wątpliwości...”⁵⁾ czemu chętnie wierzymy, znając gładkość mowy instygatora, uchodzącego przytem za kutego prawnika, co to umie dowodzić snadnie i gładko w każdej sprawie, czy kiedy toczył się proces Radziejowskiego, czy kiedy skarżył się przed królem na swoją niedolę, czy kiedy haniebnie oszukiwał wiernych torunian, skłaniając ich do wiarołomstwa w imię wierności, do wyrzeczenia się prawowitego pana w imię posłuszeństwa jemu⁶⁾.

¹⁾ List od komisarzów. ²⁾ Tamże. ³⁾ Tamże.

⁴⁾ List od komis. ⁵⁾ Tamże.

⁶⁾ Rudawski w „Histor. Polon.” lib. VI, cap. V, pag. 213 podaje, że Żytkiewicz posiadając kilka blanków

Ale, nim instygator kor. zejdzie na manowce dezereji i zdrady, tymczasem, w obecnej chwili jest pożyteczny, elokwencją swoją oddaje usługi królowi, przy którym stoi i ułatwia drogę kolegom, wespół z którymi dopiero po obiedzie rusza „prosto do szybu Cunegundy“ ¹⁾.

Tu właśnie nastąpiło pierwsze spotkanie z Lubomirskimi, przybyłymi już wcześniej. Przewodził tu, naturalnie, Jerzy, witający „gości“ z wielką ostentacją, bo na czele blisko 500 „clientów, krewnych, sług, hajduków, dragonów, wołochów nawet“, jak czytamy w kopji protestacji, o której będziemy mieli sposobność nadmienić ²⁾. Łatwo możemy wyobrazić, jaki „dysgust“ sprawiała urzędnikom sama obecność tej różnobarwnej czeredy, gotowej za pierwszym skinieniem swego pana wywołać awanturę, popełnić skandal. Wszakże od gwałtów spotkanie się nie zaczęło, postępowano z obu stron całkiem „politycznie“. Po krótkiej naradzie zdecydowano, ażeby sami Lubomirscy pokazywali granice swojej posiadłości. Ale jakież niebawem zapalali oburzeniem komisarzy, gdy wskazywane przez dziedziców linje graniczne nie zgadzały się z opisem, owszem, gdy nawet „granice od nich pokazane żadnego cum documentis literatoriis podobieństwa nie miały!“ Kopców nigdzie ani śladu, a miasto nich zaledwo tu i owdzie „przekopy“. Żle to bardzo świadczyło o skrupulatności w przestrzeganiu cudzych granic i szanowaniu obcej własności ze strony Lubomirskich, a zwłaszcza Jerzego, bo on tu przecież przedewszystkiem był właścicielem. Fakt ten rzuca cień na postać marszałka, którego życie ustawicznie przeplatały zasługi i wykroczenia względem Rzpltej i tronu. Obecnie napotykanne co kroku objawy bezskrupulatności srodze oburzały Żytkiewicza i ten za każdym razem wytykał fałsz, popierając twierdzenie rzetelnymi dowodami, które miał w ręku, w czym wspomagali go i koledzy. Wedle świadectwa uczestników komisji miał instygator odzywać się zawsze „przystojną mową“; ³⁾ zkadinał słyszymy o ostrych słowach, chociaż, niestety, dość trafnych, a nadewszystko, mimo pewnej trywjalności słusznych, że „sprawa musi być tak prowadzona, aby nie okradać Rzpltej“. ⁴⁾

Znając wybujały resentyment Żytkiewicza ku Lubomirskim, biorąc pod uwagę rozdrażnienie, spowodowane najbliższymi zajściami, tudzież rezultatem kontroli granic, możemy uznać świadectwo Oświęcima za całkiem prawdopodobne.

Nieszczęśliwy to był dzień dla marszałka — 6 lut.: poił go wstydem, a kompromitacji miał tyle, że lada chwila trzeba się było spodziewać wybuchu obrazy i gniewu; wszakże Jerzy Lubomirski dosyć długo panował nad wzbierającym uczuciem oburzenia, stłumił wściekłość i z udanym spokojem wysłuchał odczytanej u szybu konstytucji z r. 1635, po obejrzeniu granic, przez Drozdowskiego, pisarza krak.; konstytucja ta wyraźnie świadczyła o „pozwoleniu na rewizję szybu tego“; czytał następnie pisarz „akt rewizorów“, stwierdzający, „że na gruncie dziedzicznym JWPP. Lubomirskich szyb ten bity był“, o czym miały świadczyć własnoręczne podpisy tych rewizorów ⁵⁾. Kto wie, jakby dalej potoczyła się sprawa, gdyby nie ponowne odezwanie się Żytkiewicza, być może ostre, przyganiającego owej rewizji powierzchnowność i brak ścisłości. Mówił to za porozumieniem się z resztą komisarzy, poczem

z król. podpisem, chcąc przysłużyć się Karolowi Gustawowi, na jednym z nich napisał „jak gdyby Jan Kazimierz, zrozpaczywszy o Rzpltej, koronę złożył, a naród od przysięgi uwolnił“. Gdy mieszczenie sceptycznie przyjęli ów skrypt, nie zawahał się Żytkiewicz osobiście w wymowny sposób ich o tem przekonywać, co się wreszcie udało. Rudawski zowie go przy tej sposobności „szalbierzem“: „et fuit graeculus homo, deceptor non potestremus“.

¹⁾ List od komis.

²⁾ Copia protestat., jak wyżej.

³⁾ List komisar.

⁴⁾ Dyar. St. Oświęcima 260: „aby non defraudare Rempublicam“.

⁵⁾ List komisar.

uważał za słusne dodać coś i od siebie, zdjawszy przeto czapkę rozpoczął orację z retorycznym patosom: „MMPanowie! meretur Ojczyzna, spółna Matka nasza“....

„Powolejby—przerwał mu nagle w bezceremonjalny sposób rozgorączkowany marszałek—z tem przeciwko niej affektem, który nam jest podobniejszy, cośmy się w niej starożytnie porodzili!“ ¹⁾).

Sytuacja, mimo perspektywy groźnego zatargu, przybierała i komiczny charakter: instygator powyższą uwagą zbity z tropu, natychmiast wsadził czapkę na głowę i napuszywszy się odrzekł wyniośle: „Moi MMPanowie! i jam też szlachciec tak dobry jak WMość!“

Tego już nie potrafił znieść marszałek od instygatora, Lubomirski od Żytkiewicza! Mógł jemu wybaczać inwektywy, rzucane z powodu nadużyć granicznych, mógł puszczać mimo uszu ostre wyrazy, piętnujące te nadużycia, ale znieść chełpliwość osobnika, uważanego poprostu za plebejusza ²⁾, było ponad siły marszałka; duma rozpalona przez porywczosć wybuchnęła gwałtownym potokiem: rozjuszony zaklął, kłameą Żytkiewicza nazwał, zwymyślał go w niezwykle ostry i ordynaryjny, wprost cyniczny sposób, a „nie kontentując się słowy—czytamy w kilkakroć cytowanym liście komisar skim — laską dużą, trzcinianą, z jaką nawykł chodzić, uderzył w głowę (instygatora) i drugi raz uderzyć chciał, by mu był p. sędzia wschowski ręki nie zatrzymał. W tymże prawie momencie obuchem go uderzono z tyłu i z konia ciągnąć poczęto i cudzoziemiec jakiś z pistoletem, a drugi z dobytą bronią brali się do niego“...

Śród powszechnej wrzawy i zamieszania, śród całego tumultu rozlegał się donośny rozkazujący głos marszałka: „przy mnie moi stójcie!“ ³⁾).

Dalszy przebieg całej tej gorszącej awantury tak miał się przedstawiać wedle żalosnej relacji skontemptowanych niemiłosiernie rewizorów królewskich: „Co widząc JWPan Podskarbi, książd Zapor ski, p. Michałowski, którzy bliżej p. Instygatora stali, wzięli go między się, chcąc temu zabieżeć i obronić zdrowie jego, które w jawnem niebezpieczeństwie było, prowadzili go, a podtenczas, gdy JWP. Podskarbi z inszemi uwodzi go z tego niebezpieczeństwa, a słudzy JPP. Lubomirskich pomykali się za p. Instygatorem i łajali mu; JP. Marszałek nadw. kor. odłajał im, a nadto i samych JPP. Lubomirskich broniąc honoru Wasz. Kr. Mości i nas komisarzów i rzekł:—wy, Lubomirscy, nastąpiliście na kolegę mego i porywacie się na komisarzów do kija, ale my mamy na was szablę!...—i to wyrzekłszy dobył wpół szablę, a gdy był proszony od p. marszałka w. kor., aby się jeszcze został,—ponieważ my nie mamy z WMPanem nic—rzekł: „aż was zabiją i z waszą solą, z którejście powstali!“ ⁴⁾).

Tak niefortunnie zakończyła się rewizja szybu Ś. Kingi w Wieliczce z lutego r. 1651, od początku utykająca z powodu niechęci marszałka w., charakteru komisji pozbawionej powagi, jakaby mogła imponować, gdyby była wystawiona przez sejm, wreszcie z powodu charakteru samychże komisarzów. A nad tem wszystkiem unosi się wybujała prywata, wprost brutalna buta, lekceważenie prawa i słuszości przez potężnego ministra, który przez powyższy skandal uwikłał się przecieź w „srogie terminy“.

Rewizja zakończyła się, ale nie zakończyły się dalsze rachunki, właściwie sprawą wchodziła teraz na nowe tory, na drogę niebezpieczną, pochyłą i krętą, ciągnąc za sobą i Lubomirskich, a przede wszystkim Jerzego jako najwinniejszego i istotnego sprawcę awantury, obrazy urzędnika, pełniącego funkcję z woli i ramienia króla Jgmcia.

¹⁾ Tamże.

²⁾ Wyrażnie w tym względzie wypowiedział się Hier. Radziejowski w swem piśmie z 1652 p. t. „Manifestatio Innocentiae“, zwąc Żytkiewicza „podłym z urodzenia“ lub „byłym chłopem wojewody krak.“ oraz „chłopem rodem“.

³⁾ List komisar.

⁴⁾ Tamże.

Zbici z tropu urzędnicy na razie nie wiedzieli co począć? Chcieli zaraz „sprawić łożenną protestacją“ i „do grodu ją którego blizkiego podać;“ postanowili jednak o całym zajściu nasamprzód królowi donieść, co zaraz wykonali, a tymczasem wedle wskazówek geometrów kazali bić nowy szyb „blisko tej Cunegundy, którembyśmy im mogli w oczy zajrzeć—donośli do Warszawy—naznaczyliśmy dozór tego p. burmistrzowi... sumpt na to naznaczywszy“ ¹⁾—czem oczywiście musieli dokuczyć krzywdzicielom.

Obraza osobista, wogóle dotkliwa dla rewizorów, szczególnie bolesna dla Żytkiewicza, nie mogła być poniechana, a już tembardziej, skoro przechodziła w zbrodnię obrazy majestatu. Protestacja niebawem zaniesiona do grodu warszawskiego, zwąc awanturę Jerzego Lubomirskiego „okrutną zbrodnią“ i „publiczną zniewagą“ ²⁾ skierowała sprawę na drogę sądową.

Sam Jan Kazimierz czuł się mocno urażonym, w krzywdzie Żytkiewicza słusznie upatrywał zlekceważenie własnej osoby, monarszej powagi i szukał w przeszłości analogicznego wypadku i znalazł podobieństwo, niezbyt właściwe, w znanym ekscesie szalonego Piekarskiego ³⁾. Wydano pozwy ⁴⁾; czyn marszałka w. uznano za kwalifikujący się do spraw kryminalnych, za godny najostrzejszej kary; nie poprzestawał król na powyższych zarządzeniach, czynił usilne zabiegi w kierunku urobienia opinii na niekorzyść winowajcy: do senatorów rozpisywał listy, ⁵⁾ pełne gniewu i oburzenia na dziką jego zuchwałość. Nie działało się to jakoby bez ustronnego wpływu niechętnych ⁶⁾. Kto wie, czy nie tkwi racja i w zdaniu St. Oświęcima ⁷⁾ że „największe było aggravans kilkadziesiąt tysięcy intraty z szybą Kunegundy solnego, aby go jako do stołu królewskiego za tą okazją przyłączyć bez uszczerbku innych dóbr królewskich?“. Zresztą Oświęcim, przyjaciel i sługa Lubomirskich, w postępkach Jerzego nie upatrywał zgola nic złego, owszem okazywał zupełne zadowolenie z nauki, udzielonej Żytkiewiczowi i nie bez dobrego humoru opowiada, że kiedy ostatni przy szybie „nazbyt ambitiose et praesumptuose“ odpowiedział,—Lubomirski w gębę mu kijem sam wprzód dał, a potem słudzy obuchami mu się złożyli, aż ledwie uszedł“ ⁸⁾. We wszczętym stąd „hałasie srogim“ upatruje pokojowiec dworski zupełnie zbędny, niepotrzebny objaw, bez którego można byłoby wyśmienicie się obejść. W duchu zapewne śmiał się szlachcic-dworak i uważał krzywdę powyższą za słuszną karę, spotykającą tego, co poduszczał króla do odebrania szyb, co dowodził, że szyb ten na królewskiej ziemi, ⁹⁾ co niecił w królu zawieść i rozgrzewał chciwość, czyhającą na 50,000-ną intratę, stanowiącą i dla dworu pożądaną sumę.

Przypisywanie tak wybitnej roli Żytkiewiczowi przed powyższem zajściem zdaje się być przesadą, bo, jak zaznaczyliśmy, i przedtem, nim Żytkiewicz pojawił się na dworze i nim głos jego nabrał znaczenia, nawet nim Jan Kazimierz został królem, sprawa o szyb św. Kingi była w toku, na porządku dziennym. Żytkiewicz mógł nalegać na przyspieszenie jej dokończenia, czem zdobywał tylko zasługę, uprzątając jedną z tak wielu niezalatwionych, niedokończonych spraw, przysparzających nieporozumień i szkodliwych komplikacji. Pobudki instygatora pozostają w niedostępnej sferze myśli skrywanych i uczuć nie ujawnionych na piśmie, przeto nie możemy wchodzić w ich analizę i ograniczamy się do czynów jego.

¹⁾ List komisar.

²⁾ Owa „protestatio“ zowie ją: „atrox facinus“, „aperta violatio“.

³⁾ Ten Piekarski, obłąkany, 1621 w kość. warsz. Ś. Jana obuchem uderzył kilka razy króla, za co śmiercią ukarany. Lubomirski był zawsze „sanus mente“ i na życie króla, bądź co bądź, nie nastawał. O awanturze Piekarsk. w Dyar. K. Fil. Obuchowicza, str. 3.

⁴⁾ Pamiętn. r. A. Radz. II. 434. List prymasa do podkancl. kor. w pam. Ks. Michał, str. 616.

⁵⁾ Radziwiłł, tamże. ⁶⁾ Dyaryusz St. Oświęcima, str. 260, 277, 278. ⁷⁾ Tamże. ⁸⁾ Tamże 260.

⁹⁾ Oświęcim. str. 260.

Znacznie szkodził jakoby obecnie delikwentowi marsz. nadw. kor., Łukasz Opaliński, co tak się odgrażał przy szybie: ten doradzał wprost odebranie Jerzemu Lubomirskiemu łaski; ¹⁾, miał się powodować zazdrością i pragnieniem objęcia jej w spuściznie. Nie doczekał się przecież nigdy tego wyniesienia.

Jacyś inni doradcy wywodzili przed królem, że powinien zmusić marszałka w. do wypłacenia dochodów z omawianego szybu przynajmniej od lat 20, co by wyniosło ogromną sumę przechodzącą milion ²⁾.

Podsuwano sposoby i łagodniejszego załatwienia zatargu, bo znaleźli się i tacy, co doradzali „przeproszenie króla i instygatora z karty“ ³⁾, a nie brakło i innych pomysłów.

Miłośnicy wewnętrznego pokoju i publicznego dobra miarkowali gniew królewski i „poważnemi swemi instancjami i perswazjami wiedli pana do tego, aby łagodniej i łaskawiej z poddanemi takowemi, na których mu acz zawsze, ale nie mniej pod te czasy należało, „postępować“ ⁴⁾.

Książę Albrycht St. Radziwiłł, szwagier winowajcy, dowiedziawszy się o zatargu z listu królewskiego i skargi samegoż marszałka, wystosował do króla list „wolnie“ napisany, t. j. z przestrogami o miarkowaniu się, przecież nie nie wskórał, jak sam o tem pisze, a Lubomirskiemu król zabronił i na oczy pokazywać się ⁵⁾.

I ujrzał się potężny dygnitarz zewsząd zagrożony, sytuacja wikłała się, sprawa rosła, uderzenie łaską trzećnią rozległo się głośniejszem echem, niż przypuszczał, a ból, spowodowany tem uderzeniem, dawał się i sprawcy odczuwać dotkliwie. Na dworze widział tylu ludzi nieżyczliwych ku sobie, lub obojętnych, na wstawiennictwa innych król dodad nie zważał, upokorzona duma napawała goryczą nieznośnego bólu duszę jego! A dalej—zatarg o szyb solny złączył się ze zbrodnią obrazy Majestatu, a to przecież, wedle prawa, wiodło do kary śmierci... Najśmielszy mógł stracić głowę i popaść w rozpacz. Jednocześnie musiał szukać dróg wyjścia z matni; ale w czymże miał pokładać nadzieję ratunku? Chyba w warunkach, wśród których znalazła się Rzplta? w słabości władzy wykonawczej? w „klemeneyi“ królewskiej? we wstawiennictwie tych, co mogli go wspomóc? I do nich przeto się udał, a nadzieje nie zawiodły, gwiazda szczęśliwego losu miała marszałkowi świecić jeszcze przez lat wiele!

Pierwszą osobą na dworze, jeśli nie z wieku, to z „urzędu“, co do wpływu i stanowiska była sama królowa; do jej łaski jednakże Lubomirski nie zaraz począł kołatać, nasamprzód zwrócił się do Radziwiłła, z jakim skutkiem—widzieliśmy; udał się następnie do ks. prymasa—Macieja Łubieńskiego. Dobrotliwy biskup gorąco przyjął do serca zmartwienia marszałka i słał do króla przyczynny list, pisząc jednocześnie do faworyzowanego naonczas przez dwór Hieronima Radziejowskiego, podkanclerzego kor. ze Skierniewic w d. 13 marca. Zaznaczał prymas na początku, że udaje się do niego „w sprawie JWP. marsz. kor. i braci jego; w sprawie—pisał dalej—(nie przeczę) takiej, którą słusznie monarsze nieuważnym i popędlwym postępkiem p. marszałka urażonemu, godną kary wydawać się musi. Ale jaka miara gniewu i zemsty?

Oto rzuca się kornie do nóg Króla JMei strapiony obywatel, wielki urzędnik!

Kto żałuje za wykroczenie,—wolny jest od kary. Ludźmi jesteśmy narażonymi na słabości, na losu igraszki JWP. Marszałek wymaże przewinienie wierną usługą swoją i odwagą zdrowia. Przy dostojeństwie J. Kr. Mości będzie umiał służyć i zawdzięczać dobrym przyjaciołom, którzy nie fortunę, ale przyjaźń jego szczerze uszanowali. Życzę i tej sławy WPanu, abyś, znękanego widząc, niechęci dawne i szpetną żądzę zemsty na stronę odrzucił, a stara-

¹⁾ Oświęcim. str. 278. ²⁾ Tamże. ³⁾ Tamże. ⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ Pam. Radz. II. 434.

niem pilnem i radą Pana prowadził do łagodniejszego postępowania, tych zwłaszcza trudnych i niebezpiecznych ojczyzny czasów, w których zaszkodzić może zbyt surowość i niepo-(trzebny w tym) czasie zawzięty gniew przeciwko zacnemu i potrzebnemu do usług pańskich urzędnikowi. Więc, że nie tylko JWP. Marszałek, ale wszyscy zaraz bracia bez racji są pozrywani, gdy tak nagłemi mandatami ich przed sąd Króla JMci pociągniono, nie życzą tej niesprawiedliwości nieposzlakowanej sławie Króla JMci, aby świątobliwe dekreta jego jakimkolwiek podejrzeniem jawnie były osłabiane, bronione więcej przez zemstę niż—sprawiedliwość¹⁾.

Tak pisał stary prymas, wiedziony dwojakim uczuciem: dobroci, co grzechy przebacza a urazy darowuje, oraz miłości ojczyzny, co prywatę każe podporządkowywać interesowi publicznemu; te dwie cnoty stawiał przed oczy podkanclerzemu, którego brat, Mikołaj Radziejowski, kasztelan sochaczewski, został także wciągnięty w sieci zabiegów i, o ile można sądzić z dalszych słów listu arcybiskupa,²⁾ brał czynny udział we wspomaganii Jerzego Lubomirskiego.

Mimo to wszystko Lubomirski nie mógł pochłubić się, ażeby szanse jego w ciągu marca poprawiły się, ażeby rozjaśnił się horyzont jego przyszłości; nad głową porywczego ministra wisiała ciężka chmura, a niepokój wgryzał się w myśli jego. Cóż go, bowiem, mogło rozweselić—czy rozruchy kozackie, czy uniwersały królewskie na pospolite ruszenie? Marszałek, jak i jego bracia, pragnął iść na bój z kozactwem, wieść na pole walki chorągwie własne; nikt Jerzemu nie odmówi talentu militarnego, a duch rycerski zawsze gorzał w jego piersi. Nie ustawał przeto w zabieganiu koło pojednania się z królem, nie ustawali i przyjaciele jego wraz z pragnącymi zgody wewnętrzej. Okoliczności i rozsądek nakazywały samemu królowi okazać większe serce, nie odpychać garnącego się możnowładcy, którego współdziałanie mogło dużo pomódz, nieprzyjaźń i wroga postawa nie mała zaszkodzić całej Rzpltej. A jak wprzód chętniej słuchał przeciwników Lubomirskiego, tak teraz, w kwietniu, przychyłał się ku doradzającym przebaczenie. Miało to nastąpić dopiero w Lublinie, dokąd Jan Kazimierz zawitał w połowie kwietnia.

Lubomirski, jadąc na Zaklików i Wilkołazy zbliżył się do Trzeszkowic,³⁾ wsi odległej o 2 mile od Lublina i tu pozostawał, oczekując na ostateczną decyzję, pchnawszy kilku wiernych dworzan, z Oświęcimem na czele, do Lublina, aby agitacją swą promowali przez najbliższe dworowi osoby pomyślnie zakończenie sprawy⁴⁾.

Traktowali wysłańcy ze spowiednikiem królowej, ks. Fleury'm i „przez niego z Królową Jejmością, prosząc, aby ona z Młówej łaski swej to opus tak dobrze zaczęte dokończyć drogą możliwych warunków chciała“⁵⁾.

Udali się petenci i do ks. Leszczyńskiego, kancl. kor., tudzież do podskarbiego kor., Bogusława Leszczyńskiego, upraszając o łaskawe poparcie ich pana, wystawiając, że niepo-myślny rezultat sprawy może nadszczerbić sławę całego domu Lubomirskich, co wedle owoczesnych pojęć było okropnem nieszczęściem⁶⁾. W ciągu całych 3 dni (4—7 maja) trwały nieprzerwane zabiegi. W niedzielę (7 m.) zabrał głos H. Radziejowski, uchodzący za nieprzyjaciela domu Lubomirskich. Czogoż więc po nim można było spodziewać się? Znając podkanclerzego z kądiną i wiedząc o jego kłótniach z Lubomirskimi, najłatwiej byłoby puszczęć, że wskrzesi dawne, pokryte warstwą zapomnienia, nieprzyjazne uczucia i zemstę

¹⁾ Księga Pamiętnicza Michałowskiego, str. 218: Xże prymas do podkanclerzego H., Radz. za Lubomirskim marszałk. wstawiając się. Skierniewice 13/III 1651, str. 615, 616.

²⁾ Tamże, str. 616.

³⁾ Dyar. St. Oświęcima. 278.

⁴⁾ Tamże str. 279. ⁵⁾ Tamże. ⁶⁾ Tamże.

wywrze... Stało się inaczej,—ze zwykłą swadą i siłą oratorską zanosił instancję za stroskanym marszałkiem. Sądźmy, że zaważyła tu inspiracja prymasa i ks. kanclerza, względem którego miał pewne obowiązki wdzięczności. Mowa jego przechyliła ostatecznie szalę decyzji, tegoż samego dnia przywołano Jerzego Lubomirskiego dla dopełnienia ceremonji przeprosin, co się odbyła w następujący sposób: „przeprosił króla w pokoju, kilką słów dobrych dewinkując sobie Pana, tyle dobrodziejstw mu przyznawając, naostatek łaskę i siebie pod nogi Majestatu jego kładąc. A do instygatora (którego także trzeba było przeprosić) to tylko, po skończonej do króla mowie, rzekł:—i WMości, panie Żytkiewicz, będę to umiał w podających się nagradzać okazjach!—co bardziej na śmiech i aekwiwokację, aniżeli na przeprosiny poszło; musiał się jednak i to kilką słów kontentować. A król mile się mu i ludzko stawiał, kilką słów oną swoją urazę odpuszczając i do dawnej przypuszczając łaski, co obłapieniem go zaraz oświadczył, a ów też łaskę zaraz tamże podniósł“ ¹⁾.

„Ale przecie szyb Kunegundy przeszedł na stronę królewską na zawsze i z wioską dziedziczną poblizu będącą, z niemалą szkodą i uszczyrbkiem intraty acz wszystkich trzech braciej—dodaje przy sposobności ich szczery przyjaciel — ale mianowicie owych dwóch drugich, którzy nie będąc uczestnikami tej urazy, przypłacili przecie piwa tego, z obietnicą jednak od Króla JMci nagrodzenia tego w podanych okazjach królewszczynami, któreby każdemu z nich najmniej 15,000 uczynić mogły; czym się na ten czas kontentować przyszło, że z tego targu z uszyna do domu“ ²⁾.

Tak więc za całą karę starczyło odjęcie szybu z wioską, natomiast skłonność ludzka do przesady zaimprovizowała obietnicę, rzekomo wymuszoną na Jerzym Lubomirskim, złożenia łaski „za pierwszą okazją“, co tak srodze przeraziło p. Radziwiłową, siostrę rodzoną, „że z boleści mało nie umarła“, ³⁾ czem z kolei bardzo się martwił i sam kanclerz lit., jako wielce przywiązany do żony, którą zwał „niewiastą nieporównaną w świętobliwości, w skromności, w roztropności, piękności, a, co większa rzecz jest, kochającą męża swego“ ⁴⁾.

Przecież wszyscy wyszli z całej imprezy prawie bez szwanku, za wyjątkiem: Rzpłtej i Żytkiewicza, któremu przypadła w udziale rola ofiary wyuzdanej pychy Jerzego Lubomirskiego, złęczonej z rozpalonym gniewem i brzydką cheiwością. Żytkiewicz został pokrzywdzony, ale nie splamiony, splamił się za to Lubomirski czynem nieprzystojnym i nieobywatelskim, niepatrijotycznym. Że czyn jego był nieprzystojny—o tem niema potrzeby mówić, że nieobywatelski i niepatrijotyczny—pojąć łatwo: wichrzył spokój, burzył zgodę, gwałcił prawo, łamał słusność, wąlił władzy powagę, dawał zły przykład, szerzył demoralizację wśród rozwichrzonego żywiołu szlacheckiego w najburzliwszych czasach, dając żywe świadectwo gorzkiej prawdy inwektywie zasłużonego dziejopisa, że w Polsce owoczesnej nie było „nie świętego i nietykálnego, nie przepisanego prawem, nie obwarowanego najświętszemi przysięgami“, że „każden rad, gdy może, oszukać, znęcić, podejść, zedrzeć wykrętami i podstępem“... ⁵⁾.

I kto wie, gdyby nie pojednawcza interwencja wpływowych osobistości, a nadewszystko—nie konieczność zgody, zrozumiana i oceniona doskonale przez Jana Kazimierza wobec nasuwających się bojów z kozactwem, kto wie, czy zawierucha rokoszowa, bezwątpienia w innej postaci, nie cofnęłaby się o lat czternaście?...

Ryszard Mienicki.

Sielihory.

1) Oświęcim. str. 279.

2) Tamże.

3) Pamiętn. A. Radziwiłła. II. str. 436. 4) tamże, str. 376.

5) Rudowski „Histor. Polon.“ liber II, caput I.

Wspomnienie i nadzieja.

Wspomnienie w smutnej kolei
Cieszy serce utęsknione,
Samo.... nie zrówna nadziei,
Jest szczęściem, gdy z nią złączone.

Gdy wiosna życia dojrzeje,
Już czuję w sercu wzruszenie,
W młodości czcimy nadzieję,
W podeszłem wieku wspomnienie.

Gdy się dni nasze zachwieją,
Żyję w przeszłości marzeniem,
Choć się rozstaniem z nadzieją,
Jeszcze się cieszym wspomnieniem.

Luba! z przeznaczeń kolei
Me szczęście się w tęskność zmienia,
Bo miłość żąda nadziei
A jeszcze nie ma wspomnienia.

Annińsk, d. 12^{ty} Stycznia 1829 r.

Piotr Korsak.

„Ach! i ja także śniłem pieśń potężną“.

Ach! i ja także śniłem pieśń potężną
O jakiej jeszcze ludzie nie słyszeli,
Jak wojsko polskie skrzydlatą i męzną
A tak serdeczną jak lza przyjacieli,
Albo kobiety.—Dziś jestem spokojny
Na twarzy uczuć niedopatrzyś wojny.

Dziś tylko z marzeń dziecięcych się śmieję,
Byłem dziecięciem—ach! to już tak dawno
I miałem wiarę i miałem nadzieję,
Nieraz płakałem nad rzeczą zabawną,
Wszystko przechodzi—aż nam czas na wardze,
Jak na posągu wydłutuje „gardzę“.

Jestem spokojny, jak morze milezący,
Choć nad nim chmury jak orły się ważą,
Albo jak wulkan na popiołach śniący,
Choć wre w kraterze i lawy się żarzą—
Jak greckie bogi wykute w marmurze
Stoję spokojny i niedbam o burze.

I już nie tęsknię nad moją przeszłością,
Bo widzę tylko ślady krwi na śniegu
I lżę Chrystusa nad biedną ludzkością,
I łódź mych pragnień strzaskaną u brzegu,
I przyjacieli co na grobach padli,
I przyjacieli co od nędz pobladli.

I w przyszłość patrzę jak w chmurę jesienną,
Która mi błękit i gwiazdy przysłania,
Bo gnać niewarto za marą promienną,
By paść konając w przeddzień zmartwychwstania,
By zwiędłe kwiaty rzucili na trumnę
I leżkę siostry na me serce dumne.

Zginę nieznany, bo niezem nie byłem
Zginę jak obłok w maju, jak marzenie,
A jednak serce nie nędzne nosilem,
Lecz snąć inaczej chciało przeznaczenie.
Cicho zapadnę, jak lza w oceanie
Szczęśliwy, kiedy pamięci niestanie. —

Pisałem w roku 1870-ym.

„Było to wczora“...

Było to wczora w piękny wieczór letni,
Kiedy wiatr drzewom plotki rozpowiadał:
Jak młody orlik i niepełnoletni
Białą gołąbkę w jasny dzień napadał,
Jak słowik zdradzał róże więdnące,
Jak widział lilje w błękit zapatrzone,

Że mdlały smutne, jak gwiazdy gasnące
Padaly w morze w perłach zakochane
I jak podobny fjolek do kobiety,
Która niewinna a jednak zwodnica
Kryjąc się, nęci, wabi i zachwyca —
Drzew tych gadulstwa, brzeżne oczerety
Odniosły fali, a fala psotnica
Zebrała wszystko w bajkę dla poety.

1871. 1 Kwietnia.

Kiedy myśl piękna, w duszy rozkwitnie
Jak polne róże, albo kłosa żytnie,
Tę myśl z pod serca, suszym na papierze
Zamiast ją złożyć w kochającym szczerze
I żywem sercu.—Potem niepojmuję,
Kiedy ktoś powie: „jest poezja żywa!”
Niedrukowana, bez rymów, prawdziwa!
Jednak najmiłsza! my poezję czuję
I znosim z sobą, jak słońce nad światem
Ach! bo dzień szczęścia już jest poematem.

20 Listop. 1871.

„Pani, przed tobą chcę się wypowiadać“.

Pani, przed tobą chcę się wypowiadać,
Zła myśl nademną jak chorągiew ciemna
Z wiehrem szeleści—O! nie każ odkładać
Dłużej spowiedzi, bo burza podziemna
Albo pod czaszką tak samo szaleje
Bądź litościwą—daj mi, daj nadzieję.

Smutek, jak powój oplątał mi duszę,
Że nawet w szczęściu już przeczuwam burzę,
Że nawet w szczęściu, widzieć smutek muszę
I chodzić w smutku jak księżę w purpurze—
Bądź litościwą i przebacz mi, Pani,
Że moje szczęście oblewałem łzami.

Jak ptak zdziczałem, ach! bo zawsze czeilem
Świętość uczucia, gdy ludzie zrazili,
To moją świętość tak przed ludźmi kryłem,
Że przyjaciele nawet nie wierzyli,
Że mogę kochać! O! niech Pani powie
Czy mogę kochać?...

Przebacz, że dotąd nie miałem odwagi
Wiązać noc moją z światłem twego rana
Byłem ubogi—jak dąb stałem
Bez wianka z liści.—Toż kiedy mi dana
Jasność słoneczna, tyle szczęścia niosę,
Że łzy Ci daję jak poranną rosę.

Kochanko moja! Smutku się nie boisz
Jak anioł Polski—wierzę w Ciebie, wierzę —
Łez nieodrzucisz—może uspokoisz,
Albo nad smutnym odmówisz pacierze
Ach! ta modlitwa, za Twoją modlitwę
Oddałbym życie!...

Słowa mi ciężą—chciałbym pięknej pieśni
Bez słów—tę mowę Tybyś zrozumiała,
Bo nieraz myślę, że twoi rowieśni,
To anioł z nieba, albo lilja biała
I strach mnie zbiera przed tobą, aniele,
Że chciałbym klęknąć, cicho jak w kościele.

I to co czuję przelać w twoją duszę
Jakby modlitwę nieodzianą w słowa
Jakby pragnienie.—Czemuż łamać muszę
Śpiew na wyrazy? aż skleci się mowa
Ale tak inna, jak kwiat zasuszony
I taka nędzna jak król bez korony.

Pani! przed tobą cichy i spokojny.
Jak swojski sokół—czekam odpowiedzi,
Czy mię rozgrzyszysz?—Niemam w sercu wojny
I wszystko przyjmę, jakby po spowiedzi,
Jednak nade mną niebo promienieje.
O! nie gaś słońca, pani! daj nadzieję.

1871. Kwiecień.

Bronisław Korsak.

Z CYKLU EROTYKÓW.

1.

Nie wierzę.

(Sonat).

Mówisz: „kocham“ i patrzysz prosto w moje oczy,
I ręka twoja miłośniczo szuka mojej dłoni,
I włosy twoje czują tuż przy mojej skroni,
A wzrok twój mgła czarowna namiętności mroczy.

Czemu kibici twojej ramie nie otoczy?
Czemu wziąć cię w objęcia jakaś siła broni?
Jak głaz zimna pierś moja od twej piersi stroni,
I bez wzruszenia patrzę w twój obraz uroczy.

Czemu, kiedy twarz twoja przed mym wzrokiem blednie
Gdy słowo „kocham“ szepcesz cicho... może szczerze,
Ja przed uczuć porywem bronię się bezwiednie?

Czemu zwątpień pożary w mojej duszy szerzę?
Czemu me serce czuje tak marnie, tak biednie?
Ach, bo uściskom twoim, słowom twym—nie wierzę!

15 maja 1900 r.

2.

Tyś piękna.

Tyś piękna! białe twoje ramiona pieszczę
I usta twoje wilgotne, rozchylone,
I patrzę w oczy twoje cudne, złowieszcze
Wewnętrzny, cichym żarem rozognione.

I rozkosz czuję, kiedy w chwili szalu
Widzę namiętność, co cię zмага, kruszy...
Ja rozkosz czuję, nie czując zapalu:
Wszystko ci daję, wszystko—oprócz duszy!

Tyś piękna! kiedy po chwilach pieśnocy,
Oprzesz swą główkę na mojem ramieniu,
Gdy od kominka pada refleks złoty
Na włosy twoje, co lśnią dziwnie w cieniu,

Mówisz, że kochasz, że będziesz kochała,
Ja słucham, milczę... twój głos mię nie wzruszy,
Mówisz, żeś mi się na wieki oddała...
Ja daję wszystko, wszystko—oprócz duszy!

Tyś piękna! kiedy o szarej godzinie
Twe lekkie palce o klawisze trąca,
Jedna za drugą w dal melodja płynie...
Patrzę na ciebie, piękną i myślącą;

Mówisz o sztuce rozumnie, głęboko,
Twój głos o moje obija się uszy,
Słyszę, podziwiam, lecz zimne me oko:
Wszystko ci daję, wszystko—oprócz duszy!

Sierpień 1901.

3.

Wczoraj.

On.

Z jasnych księżycy promieni
Lutnię uwilem przecudną...
Pójdź luba: w gwiazd oczy wpatrzeni,
Wśród nocy, wśród dziwnych jej cieni
Znajdziemy tę chwilę uludną,
Co zwykle szczęściem się zwie!

Niech pieśni czar nas owionie!...
To boska melodja ciszy....
Na oczach mych połóż twe dłonie,
Niech księżyc wysrebrzy nam skronie.

Prócz nas nikt tej pieśni nie słyszy—
Nas dwoje i gwiazdy tam dwie....

Ona.

Ach, daj mi pan pokój z gwiazdami,
Nudny pan jesteś bezczelnie!
Przecież... jesteśmy dziś sami,
A pan.... nie! dzień w dzień, wieczorami
Mam gapić się na tę patelnię,
Co w wierszach księżycem się zwie?!

Mężczyźni!—to dziwne istoty:
Ot—w tym dziś poeta się budzi,
Gdy ja chcę palącej pieśnyczoty,
Gdy ja omdlewam z tęsknoty
Ten wtedy księżycem mię nudzi....
.... Nie widzisz-że, czego ja chcę?!

D z i ś.

On.

O luba, daj słodkie tve usta,
Daj wszystkie upojeń rozkosze!
Wszak miłość bez pieśnyczot—to pusta
Formułka; o luba, daj usta!
Ty wiesz: ja oporu nie znoszę
I siłą biorę, gdy chcę!

Podniecaj pieśnyczotą palącą
Ten pożar, co w piersi mej płonie!
Niech zmysły z rozkoszy się zmacą!
Niech falą potężna, gorącą
Krew nasza przelewa się w łonie
I żarem upojeń niech wre!

Ona.

Ach, nie bądź pan znów tak namiętny,
Ja --dziś chcę się oddać marzeniu,

Cheć wznowić ten wieczór pamiętny,
Ten wieczór pogodny i smętny....
Tak cicho nam było w lip cieniu,
A księżyc nas szukał we mgle....

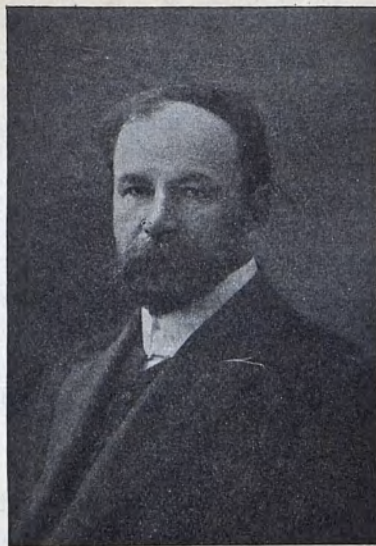
Przejdźmy się nieco nad morze....
W mej duszy cisza się budzi,
Ostatnie gasną już zorze....
Tak słodko.... przejdźmy się..... może
To pańskie zapaly ostudzi....
.
A zresztą.... dziś spać mi się chce.

Październik 1903.

Bohdan Korsak.



Herb Inflant.



Kazimierz Noiszewski, Docent Akad. lek.

Powstawanie i rozkład wyobrażeń wzrokowych.

Dwa są poglądy na powstawanie wyobrażeń wzrokowych: według jednego, doświadczenie osobnika jest źródłem wytwarzania wyobrażeń, według drugiego poglądu, wyobrażenia wzrokowe uważane są jako wrodzone.

I. Müller, główny przedstawiciel poglądu o wrodzonych wyobrażeniach wzrokowych, jest zdania, że jedyną miarą wielkości przedmiotu jest wielkość obrazu na siatkówce.

Nauką jego o podmiotowej tożsamości dwóch obrazów jednego przedmiotu na dwóch siatkówkach można dobrze wytłumaczyć zlewanie się ich w jedno wyobrażenie o przedmiocie i powstawanie podwójnego widzenia przy padaniu obrazów przedmiotu na miejsca, nie stanowiące w dwóch siatkówkach jednot; ale nauka o tożsamości dwóch siatkówek nie jest w stanie wytłumaczyć powstawania wyobrażeń odległości i pozornej wielkości przedmiotu. Przeciwnie, Berkeley i Kondyllak utrzymują, że doświadczenie życiowe osobnika wytwarza wyobrażenia wzrokowe. Helmholtz, podobnie jak Berkeley i Kondyllak, jest zdania, że pierwsze wyobrażenia wzrokowe powstają przy pomocy dotyku, a następnie z wnioskowań analogicznych w ten sposób, że obrazy, padające na lewe połówki siatkówek, rzutują się w przestrzeni przedmiotowej na prawą stronę, bo niezliczona ilość doświadczeń przekonała nas, że przedmioty tych obrazów tam zawsze się znajdowały.

Bain, zarówno wyobrażenia wzrokowe, jak i dotykowe, uważa za skojarzenia swoistych odczuć z poczuciami mięśniowymi. Podług Bain'a wyobrażenia przestrzeni i czasu powstają w ten sposób, że z kolejnymi wrażeniami ze skóry lub siatkówki kojarzą się kolejne poczucia mięśniowe. Słabą stroną nauki Bain'a jest pomieszanie odczuć barwnych z wyobrażeniami wzrokowymi, uważa on bowiem i odczucia barw jako wyobrażenia, powstające ze skojarzeń.

Gdyby jednak odczucia barw oparte były na skojarzeniach, to osoby cierpiące na wrodzony barwoślep, byłyby zdolne do stopniowego nabywania wyobrażeń barwnych, jak naby-

wają wyobrażenia przestrzenne osoby ze ślepotą wrodzoną po operacji. Tymczasem, przeciwnie, urodzeni ze ślepotą na barwy pozostają przez całe życie barwślepcami.

Szkoła Bain'a czerpie dowody słuszności swego poglądu na powstawanie wyobrażeń wzrokowych głównie ze spostrzeżeń nad osobami, które urodziły się ślepe lub utraciły wzrok wkrótce po urodzeniu, a odzyskały go później przez operację.

Zdaje się nawet, że pogląd o dziedzicznym pochodzeniu wyobrażeń wzrokowych powstał dzięki spostrzeżeniom lekarzy, operujących ślepych od urodzenia, Chesselden'a, Wardrop'a, Franz'a i innych.

Odmiennego poglądu na powstawanie wyobrażeń wzrokowych jest Wundt, utrzymujący zgodnie ze starą szkołą, że „pierwotną istotą wyobrażenia może być tylko czynność połączenia kilku lub wielu wrażeń odczutyh (*Empfindung*)“. Jeżeli dla Wundt'a i jego szkoły wyobrażenie jest tylko połączeniem odczuć, to dla Clarka Murray'a wyobrażenie jest przedstawieniem (reprezentacją), czyli ponownym okazaniem się w świadomości odczutego w przeszłości wrażenia, przez skojarzenie z wrażeniem, odczuwanym obecnie.

Moje badania nad powstawaniem i rozkładem wyobrażeń wzrokowych ograniczają się do wyobrażeń wielkości przedmiotu i wyobrażeń umiejscowienia przedmiotu w przestrzeni.

I. Wyobrażenia umiejscowienia przedmiotu w przestrzeni.

Gdy dłuższy czas patrzę na płomień świecy, a potem zamykam oczy, widzę znowu obraz płomienia przed sobą. Obraz ten nazywa się obrazem następczym albo powidokiem. Rozpatrując przedmioty, znajdujące się w pokoju, widzę je kolejno; gdy patrzę na lampę, nie widzę książki, którą przed chwilą czytałem; gdy patrzę na książkę, nie widzę lampy, przedmioty bowiem pozostają na właściwych im miejscach. Inaczej powidoki. Powidok płomienia prześladuje mnie wszędzie, tak nap., gdy przenoszę wzrok z płomienia świecy na zadrukowaną stronicę książki, ciemny obraz płomienia zasłania mi właśnie to miejsce, na które patrzę. — Oczywiście więc, że wyobrażenie o umiejscowieniu powidoku zależnym jest od tego aktu ruchowego, z którym w danej chwili łączymy je. Przytym obraz na siatkówce może wstępować w połączenia nie tylko z samymi ruchami oka, ale również z ruchami głowy, szyi i całego ciała.

Jeżeli, leżąc na boku prawym, spojrzę na okno, a następnie obrócę się na wznak, to powidok okna zmieni swe położenie w przestrzeni: znajdując się poprzednio z prawej strony, w kierunku pionowym, po obróceniu się na wznak, znajdować się będzie w górze nade mną i w kierunku poziomym t. j. powidok okna tam będzie się znajdował i tak będzie położony, jak gdyby wraz ze mną obróciło się i samo okno.

Jeżeli położę się na wznak, a okno będzie się znajdowało w nogach, to, po obróceniu się na stronę prawą lub lewą, obróci się i powidok, stając się z pionowego poziomym, a gdyby to był powidok, otrzymany od wrażenia stojącego człowieka, to człowiek ów obecnie wydałby mi się leżącym. — Oczywiście, że obraz na siatkówce nie może zmienić swego położenia, ale przy obracaniu się na strony obraz siatkówki łączy się z innymi aktami ruchowymi, daje więc inne wyobrażenie o swym umiejscowieniu w przestrzeni.

II. Wyobrażenie wzrokowe wielkości przedmiotu.

Na wyobrażenie wzrokowe wielkości przedmiotu składają się dwa czynniki:

1. Wielkość obrazu przedmiotu na siatkówce i
2. Wielkość napięcia ogniskującego w oku patrzącym na przedmiot.

Im większy jest obraz przedmiotu na siatkówce oka, tym większym wydaje się nam przedmiot; odwrotnie, im mniejszym jest napięcie ogniskujące w oku, tym większym wydaje się nam przedmiot.

Im mniejszy jest obraz przedmiotu na siatkówce oka, tym mniejszym wydaje się nam przedmiot; odwrotnie, tym mniejszym wydaje się nam przedmiot, im większym jest napięcie ogniskujące w oku.

Jeżeli porównamy zachowanie się rzeczywistych obrazów z zachowaniem się powidoków, to zauważymy, że przedmiot, im dalszy, tym wydaje się mniejszy, przeciwnie powidok, im dalszy, tym wydaje się większy.

Jeżeli popatrzymy czas jakiś na płomień świecy, a następnie staniemy w odległości 1-go metra od ściany, oznaczonej na centymetry i zauważymy, jaką przestrzeń zajmuje na ścianie powidok płomienia świecy, to, oddalając się o 2, 4, 8 metrów od ściany, spostrzegamy, że wielkość powidoku płomienia powiększa się równomiernie do kwadratów z odległości między okiem a ścianą.

Jednak przy przenoszeniu powidoku na bardzo wielką odległość, nap. na obłok, równomierność powiększania się powidoku ustaje i powidok na chmurze nie o wiele jest większy od powidoku z odległości 20—30 metrów.

Dla zrozumienia, dlaczego przedmiot, im dalszy, tym wydaje się mniejszy, a powidok im dalszy tym wydaje się większy, należy sobie uprzytomnić, że wielkość rzeczywistego płomienia świecy na siatkówce zmienia się w zależności od odległości, wielkość zaś już otrzymanego na siatkówce wrażenia płomienia świecy, jego powidoku, pozostaje bez zmiany. Jak w pierwszym, tak i w drugim wypadku na wyobrażenie wielkości przedmiotu składają się te same dwa czynniki, ale w wypadku z rzeczywistym płomieniem świecy na siatkówce oba czynniki, wielkość obrazu na siatkówce i wielkość napięcia ogniskującego, są zmiennymi w zależności od odległości przedmiotu; gdy w wypadku z powidokiem zmiennym jest tylko czynnik napięcia ogniskującego, wielkość zaś obrazu powidokowego na siatkówce pozostaje bez zmiany. Tak więc wyobrażenie wielkości przedmiotu jest syntezą obrazu na siatkówce z aktem ruchowym napięcia ogniskującego w oku; jak zobaczymy, syntezą jest i wyobrażenie o wzrokowym umiejscowieniu przedmiotu w przestrzeni.

III. Wyobrażenie wzrokowe umiejscowienia przedmiotu w przestrzeni.

Wzrokowe umiejscowienie przedmiotu w przestrzeni może być jednooczne i obooczne. Jednooczne wzrokowe umiejscowienie przedmiotu odbywa się przez ustalenie linii spojrzeniowej oka na przedmiocie.

Linia spojrzeniowa jest prostopadłą punktu przedmiotowego w przestrzeni na siatkówkę oka; tylko bowiem linia spojrzeniowa nie ulega załamaniu w ośrodkach przeziernych gałki oka, jest ona linią prostą, łączącą punkt przedmiotowy w przestrzeni z punktem podmiotowym w siatkówce oka.

Wszelka inna linia kierunkowa, ulegając załamaniu, łączy z punktem podmiotowym siatkówki punkt pozorny w przestrzeni. Kierunek, w którym pozornie spostrzegamy punkt przedmiotowy, może się zmienić na kierunek przedmiotowy przesunięciem linii spojrzeniowej, ale linia przedmiotowa, ustawiając się w kierunku pozornego spostrzegania punktu przedmiotowego, musi następnie odchylić się od punktu pozornego na wielkość kąta załamania ośrodków przeziernych oka. Odchylenie to jest *odchyleniem odprzedmiotowym* punktu pozornego.

Pomimo odchylenia odprzedmiotowego punktu pozornego, możemy jednak trafić w odpowiedni punktowi pozornemu punkt przedmiotowy, nauczywszy się pojmować to odchylenie.

Że tak jest, dowodzi następujące doświadczenie: po zasłonięciu jednego oka przed okiem drugim, ustawia się szkło klinowe i zmusza się badanego osobnika trafić palcem w niewielki krążek czarny na białym papierze. Badany osobnik z początku trafić nie umie, uderzając

palcem w strony i w kierunku przeciwnym załamaniu klina; ale, po kilku nieudanych próbach, zaczyna trafiać w sam środek krążka.

Jeżeli teraz odbierzemy szkło klinowe z przed oka, badany znowu nie umie trafić w krążek, ale teraz uderza palcem w stronę i w kierunku załamania klina.

Wielkość, oznaczona mianem kąta widzenia, jest tylko pozorną wielkością przedmiotu; *rzeczywistą wielkość przedmiotu wymierzamy kątem przedmiotowym* t. j. kątem, zawartym między dwoma kierunkami linii przedmiotowej t. j. spojrzeniowej.

Kąt przedmiotowy długo nie zwracał na siebie uwagi, dopiero nauka o bezładzie wzrokowym wykazała doniosłe znaczenie tego kąta. Zdolność ustalania linii spojrzeniowej na przedmiocie jest bardzo ważną w życiu; na tej zdolności linii spojrzeniowej oparte są: astronomja, ballistyka, miernictwo, a i człowiek pierwotny tylko dzięki tej własności linii spojrzeniowej mógł trafić kamieniem lub strzałą w swą zdobycz. Oczywiście jednak, że oprócz ustalenia linii spojrzeniowej potrzebna jest jeszcze składnia (syntaxia) ruchów ręki i całej postaci z poruszeniami linii spojrzeniowej. Porównywając ruchy piszącej ręki z poruszeniami linii spojrzeniowej, przychodzimy do wniosku, że ruchy piszącej ręki są tylko naśladowaniem poruszeń oka. Oprowadzany przedmiot spostrzegamy poruszeniami linii spojrzeniowej tak samo, jak to później uczynimy ołówkiem lub piórem. Nim malarz nakreśli czyjąś postać dłonia, już wprzód jego „oczy przeszły od stóp do warkoczy“.

W bezładzie wzrokowym chory albo wcale nie może ustalić swej linii spojrzeniowej na przedmiocie, albo ustala ją w mniejszej lub większej odległości od przedmiotu (niedopremiotowanie).

IV. Obooczne wzrokowe umiejscowienie przedmiotu w przestrzeni.

Jednoczne wzrokowe umiejscowienie przedmiotu w przestrzeni zostaje osiągnięte przez ustalenie na przedmiocie linii spojrzeniowej jednego oka, ale ustalenie linii spojrzeniowej jednego oka na przedmiocie nie daje nam jeszcze wzrokowego wyobrażenia odległości przedmiotu. Dla wzrokowego wyobrażenia odległości przedmiotu koniecznym jest ustalenie na przedmiocie linii spojrzeniowej jednocześnie prawego i lewego oka.

Wyobrażenia wzrokowe odległości przedmiotu wytwarzają się podług zasad geometrii wykresnej. Geometria wykresna daje nam możność wykreslania ciał trójwymiarowych w przestrzeni z taką dokładnością, że z tych wykresłań można odtworzyć postać, wielkość i miejsce przedmiotu w przestrzeni, wtedy, gdy fotogram, otrzymany przez załamanie promieni, odbitych od przedmiotu na siatkówce, nie daje żadnego wyobrażenia o odległości przedmiotu i tylko bardzo niedokładne wyobrażenie o innych własnościach przestrzennych przedmiotu.

Od pewnego czasu w mianownictwie anatomicznym oka i mózgu zaczęto używać wyrazu „rzuty“ (projekcje), raz oznaczając tym mianem linje kierunkowe oka, drugi raz włókna korony promienistej w mózgu. W tym ostatnim znaczeniu szczególniej Meynert lubił używać miana rzutów.

Jak wiadomo, układy włókien korowych całej półkuli zbiegają się do wzgórka wzrokowego, jak do ogniska, a pasma skroniowe i potyłowe tych włókien mają tak uderzające podobieństwo do promieni, że już Vieusseigne oznaczył je mianem „grand soleil rayonnant“, a Gratiolet nazwał je promieniami wzrokowymi, sądząc, że promienie te pochodzą bezpośrednio ze szlaków wzrokowych.

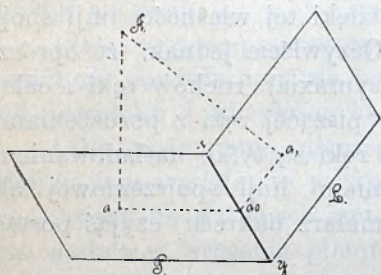
Meynert wykazał bezpodstawność tego przypuszczenia, ilość bowiem włókien w szlakach wzrokowych jest zbyt niedostateczną dla utworzenia torów wzrokowych kory mózgowej.

Anatomja i fizjologia zapożyczyły miana „rzuty“ z geometrii wykreślnej, gdzie linjami rzutów oznaczają dwie prostopadłe, poprowadzone od punktu przedmiotowego w przestrzeni do dwóch płaszczyzn, ustawionych pod danym kątem.

Zwykle w geometrii wykreślnej biorą dwie płaszczyzny — poziomą i pionową, oznaczając ich przecięcie linią ziemi albo osią rzutów.

Rzutem punktu na płaszczyźnie nazywa się podstawa prostopadłej z tego punktu na płaszczyznę; podstawa prostopadłej nazywa się też wyobrażeniem na płaszczyźnie punktu w przestrzeni.

Jeżeli nap. z punktu A rzutujemy prostopadłą na płaszczyznę P , to podstawa tej prostopadłej „ a “ jest wyobrażeniem na płaszczyźnie P punktu A w przestrzeni.



P płaszczyzna pozioma

L płaszczyzna pionowa

xy linja ziemi albo oś rzutów

a rzut przedmiotowego punktu A w przestrzeni na płaszczyźnie poziomej

a_0 rzut punktu A na płaszczyźnie pionowej

a_0 przecięcie rzutów a i a_0

Ponieważ wszystkie punkty w przestrzeni na prostopadłej Aa mają ten sam rzut a , więc rzut na jednej płaszczyźnie nie wykreśla jeszcze miejsca przedmiotowego punktu A w przestrzeni i dla wykreślenia jego potrzebny jest rzut przedmiotowego punktu A na drugiej płaszczyźnie L . Rzutując z punktu A prostopadłą na płaszczyznę L , otrzymamy drugi rzut punktu A , mianowicie a_0 , który jest wyobrażeniem na płaszczyźnie L punktu A w przestrzeni.

Jeżeli znane są dwa rzuty punktu A w przestrzeni na dwóch płaszczyznach, ustawionych do siebie pod danym kątem, to przecięcie prostopadłych do rzutów na tych płaszczyznach najściślej wykreśla umiejscowienie przedmiotowego punktu A w przestrzeni.

Płaszczyzny P i L w stosunku do mózgu i oczu nie są płaszczyzną poziomą i pionową, ale prawą i lewą, więc i rzut a przedmiotowego punktu A w przestrzeni na płaszczyźnie prawej będzie rzutem prawym, a rzut a_0 tegoż punktu A w przestrzeni na płaszczyźnie lewej będzie rzutem lewym.

Przytym płaszczyzny prawa i lewa nie są do siebie prostopadłe, jak to się zwykle przyjmuje w geometrii wykreślnej, lecz ustawione do siebie pod coraz to innym, ale zawsze danym kątem. Wielkość tego kąta zależy od wielkości ruchowego aktu napięcia mięśni średnich prawego i lewego oka.

Akt ten ruchowy ma to samo znaczenie dla syntezy odległości, co akt ruchowy ogniskujący dla syntezy wielkości wzrokowej.

W geometrii wykreślnej przyjmują, że dwie płaszczyzny, na które punkty przedmiotowe dają swe rzuty, ciągną się w nieskończoność, żeby każdy przedmiot, nawet największy, mógł być rzutowany na te płaszczyzny.

Co się tyczy siatkówek, to po pierwsze powierzchnie ich nie mogą być uważane za płaszczyzny, a po drugie same te powierzchnie są zbyt ograniczone, żeby przedmioty wielkie mogły być na nich rzutowane.

Oczywiście, powierzchnie prawej i lewej siatkówki nie mogą być uważane jako płaszczyzny, ale możemy wziąć dowolnie małą część siatkówki w każdym oku u podstawy linii spojrzeniowej i uważać ją jako płaszczyznę prostopadłą do linii spojrzeniowej, a następnie

powiększać obszar tej płaszczyzny w nieskończoność zmianami jej położenia przez zmianę kierunków spojrzeniowych.

Dzięki miejscowości linii spojrzeniowej nawet jeden punkt podmiotowy może wykreślić wszystkie możliwe punkty, płaszczyzny i powierzchnie przedmiotowe w przestrzeni.

Wyobrażenie wzrokowe każdego przedmiotu składa się z wielkiej liczby spojrzeń, skierowanych w górę, dół, prawo i lewo, naprzód i w tył. Linja, łącząca kolejne punkty spojrzeniowe jest linią wyobrażającą przedmiot. Każdy z kolei punkt przedmiotowy zostaje rzucony podwójnym rzutem zawsze na te same punkty naosne prawej i lewej siatkówki, *ale na coraz to inne punkty korowe wzrokowych obrębów półkul mózgowych.*

Korę obrębu wzrokowego możemy sobie przedstawić jako niezmierny układ rzutów linii spojrzeniowych, z których każdy rzut jest środkiem coraz to innego pola widzenia, bo każdemu spojrzeniu odpowiada właściwe temu tylko spojrzeniu pole widzenia. Kora obrębu wzrokowego nie jest powtórzoną na korze mózgu siatkówką oka, ale układem ogromnej ilości podwójnych półsiatkówek, mianowicie skroniowej prawej z oczową lewą w półkuli prawej i skroniowej lewej z nosową prawą w półkuli lewej, ułożonych w kierunku biegu linii spojrzeniowych.

Zawoje obrębu wzrokowego prawej i lewej półkuli są jakby połówkami jednego cylindra, na których poruszenia linii spojrzeniowych prawego i lewego oka kreślą jak stygmografy na walcu linie swych dróg.

Do uzmysłowienia rzutów odprzedmiotowych na korze obrębu wzrokowego mogą nam posłużyć wykreślenia krojów w tygodniku mód.

Jest rzeczą zadziwiającą, jak wielka liczba krojów mieści się na jednej stronie arkusza!

Linie tych krojów krzyżują się ze sobą i na pierwszy rzut oka wyglądają, jak płatnina bezładna, ale nie zbladzi wśród nich krojczyni, idąc obiem spojrzeniem za tą lub inną linią, otrzymuje ten lub inny potrzebny jej krój.

Linja spojrzeniowa zmienia swe miejsce w przestrzeni nie tylko przy poruszeniach gałki oka, ale i przy poruszeniach głowy.

Jeżeli poruszenia linii spojrzeniowej, spowodowane ruchami gałki oka, można porównać do kreślących ruchów stygmografu na walcu, to ruchy głowy można porównać z rozwijaniem papieru na walcu. Bez ruchów głowy tak, jak pióro bez rozwijania zawojów papieru stygmografu, linja spojrzeniowa kreśliłaby swe wyobrażenia wciąż na tych samych miejscach zawoju. Jeżeli poruszenia oka dają nam coraz to nowe pole widzenia, poruszenia głowy stawiają przed nami coraz to nowe spojrzeniowe pola. Że ruchy głowy zmieniają spojrzeniowe pola wnosimy stąd, że poruszenie linii spojrzeniowej, spowodowane ruchami gałki oka przy unieruchomionej głowie, nigdy nie sprowadzają pozornego ruchu przedmiotów, ale jak tylko poruszymy głowę, czy to przy ustaleniu oka na przedmiocie, czy bez ustalenia, natychmiast występuje pozorny ruch przedmiotów. Jeżeli w myśli przedłużymy linię spojrzeniową w jedną stronę do przedmiotu, a w drugą do kory obrębu wzrokowego przeciwległej półkuli mózgu, możemy sobie przedstawić, że gdy koniec przedmiotowy linii spojrzeniowej oprowadza przedmiot w przestrzeni, koniec podmiotowy tej linii wykreśla wyobrażenie tego przedmiotu na korze obrębu wzrokowego.

Przy przejściu przedmiotowego końca linii spojrzeniowej od punktu przedmiotowego *A* do punktu przedmiotowego *B*, koniec podmiotowy linii spojrzeniowej przechodzi od punktu korowego *a* do punktu korowego *b*, łącząc te punkty korowe łukiem spojrzeniowym skojarzeniowym *ab*. Łuk ten jest rzutem korowym linii *AB* w przestrzeni przedmiotowej.

Dla tego, żeby punkt przedmiotowy, odbijający się na obwodzie siatkówki, mógł stać się punktem spojrzeniowym, linja spojrzeniowa powinna się ustawić w kierunku tego punktu. Tym aktem ruchowym punkt wrażeniowy na obwodzie siatkówki zostaje połączony łukiem

spojrzeniowym skojarzeniowym z punktem naośnym siatkówki. Oczywiście, że dla takiego skojarzenia obadwa punkty muszą stać się rzutami korowymi. Gdy wszystkie punkty siatkówki zostaną łukami spojrzeńnymi połączone z punktem naośnym siatkówki, wówczas i wszystkie punkty siatkówki stanowić będą jedną całość. Taką siatkówkę możnaby porównać do siatki pajęczej z pajakiem pośrodku: pajak zajmuje tylko środek siatki, a przez włókna swej sieci odczuwa jednocześnie całą sieć, chociaż, tworząc swą sieć, musiał łączyć kolejno każdy obwodowy punkt swej sieci z punktem środkowym. Z łukami spojrzeńnymi znajdują się w połączeniu łuki skojarzeniowe rąk i nóg: poruszenia ręki przy pisaniu, rysowaniu, trafianiu do celu, a nawet przy ujmowaniu przedmiotów są powtórzeniem poruszeń linii spojrzeńnej oka. Jest to składnia — syntaxia ruchów wszystkich naszych członków z poruszeniami linii spojrzeńnej.

Oprowadzany przedmiot spostrzegamy poruszeniami linii spojrzeńnej tak samo, jak to czynimy ołówkiem lub piórem. Ruchy ręki wykreślające obraz przedmiotu mogą zastępować ruch linii spojrzeńnej oka, gdy uszkodzony zostanie związek między poruszeniami tej linii i obrazem na siatkówce. Tak np. przy aleksji oprowadzanie liter palcem wystarczy do ich odczytania. Moglibyśmy też owe oprowadzanie liter wykonywać poruszeniami nogi lub języka, gdyż „nie tylko ręką, ale językiem, głową i nogą porusza dziecko uczące się pisać“, zauważył słusznie Lewes, ale niesłusznie tłumaczył ruchy te tylko nadmiarem odruchów u dziecka; dziecko bowiem uczące się pisać zaprawia nie tylko rękę, ale cały swój układ mięśniowy w ład porządku wzrokowego. Nikt z nas nie uczył się pisać nogą lub językiem, a jednak kto pisać umie, może tak samo, jak ręką na papierze, napisać literę nogą na piasku.

Na XIII-ym międzynarodowym Zjeździe Lekarskim w Paryżu wybrany został jako główny programowy temat dla Sekcji Okulistycznej Zjazd wzrokowy obręb korowy.

Temat ten był bardzo starannie opracowany przez trzech referentów: Angelucci'ego Bernheimera i Henschena.

Ponieważ poglądy Angelucci'ego na obręb wzrokowy, według własnych słów jego, w niczym się nie odróżniają od poglądów Bernheimera, więc oczywiście zupełnie wystarczy zastrzymać się tylko na poglądach Bernheimera i Henschena.

Bernheimer przede wszystkim wskazuje na wadliwości techniczne, dopuszczane przy usuwaniu istoty korowej mózgu: ostra łyżka i Paquelin używane do usuwania istoty korowej mózgu zawsze prawie spowodzają uszkodzenie układów podkorowych łukowych i rzutowych. Powstające więc po usunięciu obrębu wzrokowego zaburzenia wzrokowe pochodzą nie tylko z uszkodzenia kory obrębu wzrokowego, ale daleko więcej z uszkodzeń dróg podkorowych. — Oprócz tego Bernheimer utrzymuje, że plamka żółta nie ma stałego umiejscowienia na korze.

Bernheimer i Angelucci są przeciwnikami hipotezy Munka o siatkówce korowej, Henschen jest jeszcze dotąd zwolennikiem Munka.

Według Henschena, korowy obręb wzrokowy znajduje się na średniowej (medialis) powierzchni potyłowej okolicy półkuli. Przypuszcza on, że górny brzeg fissurae calcarinae odpowiada górnej, a dolny brzeg dolnej połowie siatkówki.

Zdaje się, że głównym dowodem istnienia siatkówki korowej dla Henschena są te wypadki kliniczne, gdzie stronoślep wyraża się perymetrycznie w postaci odcinków górnych lub dolnych w polu widzenia. Tak przynajmniej wygląda z jego odpowiedzi Munkowi podczas rozpraw.

Znaną jest rzeczą, że według Munka i jego szkoły na korze obrębu wzrokowego, jak na ekranie odbijają się obrazy przedmiotów w tym samym porządku, jak na siatkówce: po środku obrębu wzrokowego znajdują się te części przedmiotu, które w siatkówce oka znajdują się w okolicy plamki żółtej; naokoło zaś tego środka korowej siatkówki mieszczą się uczestki, odpowiadające obwodowym uczestkom siatkówki.

Munk jest przekonany, że wycinając uczałek korowego obrębu wzrokowego w mózgu, sprowadza ślepotę takiegoż uczałka w siatkówce oka, a jako dowód słuszności swego poglądu przytacza doświadczenia, dokonane na psach. Pies, któremu wycięto uczałek korowy obrębu wzrokowego, przedstawiający plamkę żółtą siatkówki, nie podchodzi wprost do jadła na podłodze, ale przedtem obraca głową na wszystkie strony.

Munk utrzymuje, że pies z wyciętym uczałkiem obrębu wzrokowego dlatego obraca głową na wszystkie strony, że utracił możność przyjęcia wrażenia leżącego na podłodze jadła naosną częścią siatkówki.

P. Czet., osoba, posiadająca węch fenomenalny, a wzrok bardzo osłabiony, zwróciła moją uwagę, że i ona, chociaż nie wycinano jej żadnego uczałka obrębu wzrokowego kory mózgowej, wykonywa jednak podobne ruchy głowy, gdy szuka powonieniem jakiegobądź woniącego przedmiotu. Gdy zwróciłem się następnie do myśliwych, wszyscy oni podawali zgodnie, że psy myśliwskie z tak zwanym górnym węchem, gdy węszą, zawsze obracają głowę na strony: pies węszący wciąga do nosa płynący w powietrzu prąd woni; prąd ten jednak następującym po wdechu wydechem byłby odpędzany; dla uniknięcia tego pies wdycha powietrze z wonią w kierunku płynącej woni, a wydecha je w stronę od prądu. Te więc ruchy operowanego przez Munka psa, na których on głównie opiera swe przypuszczenia istnienia siatkówki korowej zupełnie identycznej z siatkówką oka, jak widzimy, wcale nie należą do porządku wzrokowego, a są ruchami porządku węchowego. Pies wzrokiem nie może już znaleźć jadła i szuka go, węsząc, jak zwierzynę.

Samo przez się nasuwa się tu pytanie jakby zachowywał się człowiek z uszkodzonym obrębem wzrokowym kory.

Fürstner spostrzegał, że osoby, cierpiące na niewład postępowy, jakkolwiek dobrze widzą, nie mogą jednak policzyć pigulek i piszą wiersz następny na wierszu już napisanym.

Badanie pośmiertne mózgu wykazywało zmiany chorobowe w obrębie wzrokowym półkuli przeciwległej oku dotkniętemu, które Fürstner nazywa „osobliwym zaburzeniem wzrokowym“ (eigenthümliche Sehstörungen). Zmianami tymi Fürstner był mocno zdziwiony, przyjęto bowiem, mówi on, że w takich razach mamy za życia stronoślepie (hemianopsia); tymczasem Fürstner z naciskiem zaznacza, że przy niewładzie postępowym ani razu nie spotkał się ze stronoślepiem („Hemiopie niemals nachweisen konnte“).

Zresztą nietylko Fürstner, ale Kraft-Ebbing i Mendel, mówiąc o zaburzeniach wzrokowych przy niewładzie postępowym, nie wspominają prawie o stronoślepiu. Oprócz ślepoty zmysłowej i stronoślepu, jako następstwo uszkodzeń obrębu wzrokowego kory mózgu uważane są jeszcze: zwężenie pola widzenia, ślepota umysłowa, bezład wzrokowy i rozkład wyobrażeń wzrokowych.

Zarówno doświadczenia na zwierzętach, jak i spostrzeżenia kliniczne nad chorymi na niewład postępowy tylko w wyjątkowych wypadkach wykazują jako następstwo ślepotę zmysłową lub stronoślepie. A i te wyjątkowe wypadki najprawdopodobniej nie są następstwem uszkodzeń kory obrębów wzrokowych, ale podkorowych części mózgu.

Zwężenie pola widzenia oddawna spostrzegano u osób cierpiących na niewład postępowy; okazało się jednak, że zwężenie granic wrażliwości siatkówek u osób cierpiących na niewład postępowy jest tylko jednym z objawów bezładu wzrokowego. Sprawdzając badania Rieznikowa nad chorymi na niewład postępowy w klinice Bechterewa, znajdowałem dosyć często obwodowe ograniczenia wrażliwości siatkówek, później jednak przekonałem się, że za wyjątkiem wypadków barwikowego zwyrodnienia siatkówki, trafiającego się nieraz u chorych na niewład postępowy, u innych granice te można bardzo znacznie rozszerzać i tak np. wystarczyć wskazówką, żeby granice, zwężone do 25°, rozszerzyć do 60°, a nawet do normy.

Zajmującym byłoby porównać objaw zwężenia pola wrażliwości siatkówek u chorych na

niewład postępowy ze spostrzeżeniem Dransart'a nad stopniowym rozwojem pola widzenia u 19-letniego młodzieńca, ślepego od urodzenia, po usunięciu obuocznej zaćmy wrodzonej. Dransart stwierdził, że u operowanego z początku wcale nie było widzenia obwodowego: widział on tylko te przedmioty, które padały na naosną część siatkówki. Zwężenie pola wrażliwości siatkówki, tak przy niewładzie postępowym, jak i wypadkach ślepoty wrodzonej późno operowanych, tłumaczą się tym, że, jak już powiedziano wyżej, żeby jakibądź punkt przedmiotowy, padający na obwód siatkówki, mógł stać się punktem spojrzeniowym, linja spojrzeniowa oka musi się ustawić w kierunku tego punktu. Ruchowym tym aktem punkt wrazeniowy na obwodzie siatkówki zostaje połączony łukiem spojrzeniowym z punktem naosnym siatkówki.

Wardrop (Phylosoph. Transact. 1826 p. 529) podaje: kobieta ślepa od urodzenia, której powrócono wzrok drogą operacji, nie umiała przez czas bardzo długi ustawiać linji spojrzeniowej w kierunku przedmiotu. Chcąc znaleźć jakibądź przedmiot, obracała ona głowę na wszystkie strony dotąd, aż potrzebny przedmiot wpadł jej nakoniec w oko. Ale i wtedy nie była w stanie zatrzymać oka na przedmiocie, tracąc go natychmiast z widoku. Jest to jeden z objawów bezładu wzrokowego, który polega na niemożności wiązania wrażenia na siatkówce z aktem ruchowym. Jeżeli wiązanie nie jest niemożliwe, ale tylko niedokładne, to taki mniejszy stopień bezładu nazywa się niedoprzedmiotowaniem (inadobjectio).

Dla zrozumienia zarówno związku, jak i różnicy pomiędzy ślepotą umysłową a bezładem, należy sobie uprzytomnić, że ślepotą umysłową jest rozkładem wytworzonych już wyobrażeń wzrokowych, bezład zaś niemożnością tworzenia wyobrażeń: pies z wyciętym obrębem wzrokowym nie poznaje bata, więc nie okazuje obawy, gdy batem mu grożą, ale trzask bata przestrasza go; odwrotnie pies z wyciętym obrębem słuchowym nie obawia się trzasku bata, ale widok bata go straszy.

Mówiąc o bezładzie ruchów i rozkładzie wyobrażeń, jesteśmy na granicy fizjologii z psychologią, mając po tamtej stronie skurczów mięśniowych i ich inerwacji — sądy, pojęcia i wyobrażenia.

Pflüger, a za nim Kussmaul (Die Störungen der Sprache tł. pol. Warsz. 1880. str. 106) utrzymywali nie bez słuszności, że rdzeń kręgowy posiada zdolność sądzenia. — Również i Longet uważał bezład ruchów po zniszczeniu tylnych słupów rdzenia jako rozstrój władzy sądzenia o położeniu członków w ich stosunku do przedmiotów świata zewnętrznego.

A jednak nie można odruchów rdzenia kręgowego, a nawet odruchów wczaszku (encephalon) uważać jako sądy, sądy bowiem są formą woli wybierającej, odruchy zaś formami woli raz na zawsze wybranej. W najprostszej formie sąd jest przyjęciem lub nieprzyjęciem odczuwanego przez wrażenie przedmiotu: tak! lub nie! Tak dalece prostą jest ta forma sądu i tak pierwotną, że znajdujemy ją u każdej czującej istoty. Ruch przyjęcia lub nieprzyjęcia staje się następnie odruchem tego, co było przyjęte lub nieprzyjęte w fizjologii; pojęciem tego co było przyjęte lub nieprzyjęte w psychologii. Im częstszym, bardziej jednostajnym bywał sąd o jakimbądź przedmiocie, tym trwalszym staje się pojęciem przedmiotu ruch tego sądu. Jeżeli bowiem odruchy nie są sądami, te nie ulegać się zdaje wątpliwości, że są one pochodnymi sądów t. j. pojęciami. Tak utkwienie wzroku na punkcie w przestrzeni pierwotnie jest sądem — wybraniem tego punktu, twierdzeniem o tym punkcie; ale następnie, gdy zniknie uczucie, które punkt ten wybrało, ruch utkwienia wzroku na tym punkcie staje się pojęciem tego punktu w przestrzeni. Dotąd w badaniu ślepoty duchowej, albo lepiej umysłowej nie zwrócono uwagi, że ślepotą duchową jest rozkładem wyobrażeń wzrokowych t.j. rozkładem wrażień siatkówkowych z aktami ruchowymi czyli, pojęciami.—To mi nasunęło myśl zbadania stanu najpierwotniejszych wyobrażeń wzrokowych u osobników, których życie umysłowe uległo zupełnemu rozkładowi, u osób chorych na niewład postępowy.

Po raz pierwszy miałem sposobność badania chorych na niewład postępowy w r. 1895, w Tworkach, dokąd umyślnie w tym celu przybyłem. Chory Ś. R. lat 44 z oddziału D-ra Bucelskiego z rozpoznaniem: *paralysis progressiva in stadio dementiae*.

Chory posiada wzrok dobry, czyta najdrobniejszy druk. Pokazałem choremu kapelusz i zapytałem: co to jest? Odpowiedział mi, że nie wie. Podałem mu kapelusz do ręki i zapytałem go znowu: co to jest? Odpowiedział, że nie wie. Zapytałem go, do czego to służy? Odpowiedział mi, że nie wie. Wtedy sam mu powiedziałem, że to jest kapelusz. Na to chory: a! kapelusz! Do czego służy kapelusz? W odpowiedzi, chory włożył go sobie na głowę.

Widzimy tutaj, że wrażenie wzrokowe i wrażenie dotykowe kapelusza zostało rozłączone z pojęciem kapelusza jako pokrycia głowy i połączenie wrażenia słuchowego „kapelusz” z pojęciem pokrycia głowy zostało zachowane. Tak samo, jak z kapeluszem, rzecz się miała i z parasolem deszczowym: wrażenie wzrokowe i wrażenie dotykowe od parasola zostało rozłączone z pojęciem ochrony od deszczu, ale samo pojęcie ochrony od deszczu i połączenie wrażenia słuchowego z pojęciem ochrony od deszczu zostało zachowane. Chory wogóle nie ma już wyobrażeń wzrokowych i nie pojmuje znaczenia przedmiotów wzrokowych, z wyjątkiem kilku, jak: nóż, guzik, palec, nos.

Inny chory, który czytał biegle po polsku, rosyjsku, niemiecku, francusku i angielsku, nie poznawał w atlasie zoologicznym łabędzia, konia, psa, nie umiał odróżnić człowieka od ryby. Gdy zwracałem jego uwagę, że to nie ryba, ale człowiek, albo nie wąż, ale łabędź, — odpowiadał: „być może, nie znam się na tym”. A jednak, nie rozpoznając ryby w atlasie, wypowiadał całe traktaty o rybach. Zajmującym jest porównanie wypadków rozkładu wyobrażeń wzrokowych z wypadkami t. zw. afazji wzrokowej: obrazy wzrokowe pozostają też w połączeniach z pojęciami, afatyk wzrokowy poznaje przedmioty, ale nie umie ich nazwać, bo zniszczone lub zawieszone zostały drogi, łączące wyobrażenia wzrokowe z ich nazwami. Dlatego chory na afazję wzrokową nazywa przedmioty nie zwykłymi nazwami, ale nazwami pojęciowymi; nap. żuka nazywa „gryzący”, ptaka „latający”, słonia „ten wielki”.

Mówiąc o rozkładzie wyobrażeń, niepodobna ominąć tych wypadków chorobowych, w których ma miejsce nie rozkład wyobrażeń, ale nieprawidłowa ich synteza, a mianowicie, połączenie wrażenia z niewłaściwym mu pojęciem.

Tu należą wypadki tak zwanego pisma zwierciadlanego, wyobrażenie przedmiotów, stojących po stronie prawej, że się znajdują po lewej stronie lub odwrotnie; widzenie przedmiotów stojących prawidłowo, że są wywrócone do góry dołem i t. d.

Badanie połączenia wrażenia z niewłaściwymi pojęciami ma doniosłe znaczenie ze względu na to, że ulegają tu zaburzeniu połączenia wrażenia siatkówkowych z tak pierwotnymi pojęciami, jak góra i dół, prawa i lewa strona, przód i tył. Tak Hotz (The Opfilholmic Record. styczeń. 1900) doniósł o chorej 10-letniej dziewczynce, która nie mogła czytać z książki, trzymanej zwyczajnie, ale z książki, trzymanej do góry dołem, czytała biegle.

Znaki próbne na tablicy zawieszanej na ścianie widzi ona odwrotnie, to jest dołem do góry, ale gdy Hotz obracał tablicę dołem do góry, widziała znaki próbne stojące prawidłowo. Jednak przedmiotów wielkich i dalekich, jak domy i ludzi nie widziała wywróconymi dołem do góry.

W sekcji neurologicznej XIII Zjazdu Międzynarodowego Lekarskiego w Paryżu Sollier utrzymywał, że pismo zwierciadlane zależy od błędnych wyobrażeń o prawej i lewej stronie i jako dowód przytoczył, że, poddając osobnikom histerycznym, że ich ręka prawa jest ręką lewą, wytwarzał u nich pismo zwierciadlane.

Nauka o tworzeniu się wyobrażeń wzrokowych z połączenia obrazów siatkówkowych z aktami ruchowymi tłumaczy nam różnicę pomiędzy pseudohalucynacjami a halucynacjami prawdziwymi. Pseudohalucynacje bowiem zachowują się, jak powidoki, prawdziwe zaś halu-

cynacje, jak przedmioty rzeczywiste. Od wzrokowej pseudohalucynacji tak, jak od powidoku, niepodobna się odwrócić, ponieważ zarówno pseudohalucynacja wzrokowa, jak i powidok porusza się razem z okiem i głową; przeciwnie, od halucynacji wzrokowej prawdziwej możemy nie tylko odwracać się, ale nawet uciekać.

Zasadnicza różnica pomiędzy pseudohalucynacją, a halucynacją prawdziwą, polega na odmiennym zachowaniu się obrazu wzrokowego w wyobrażeniu tworzącym halucynację prawdziwą od zachowania się obrazu w wyobrażeniu tworzącym pseudohalucynację względem łączących się z nimi aktów ruchowych.

Wszystko bowiem, co było mówiono o powidokach odnosi się i do pseudohalucynacji.

Jak z powidokiem, tak i z obrazem wzrokowym w pseudohalucynacji akty ruchowe nie łączą się syntetycznie w całość nierozdzielalną, ale tworzą z nim połączenia chwilowe, nietrwałe, ustępując swe miejsce coraz to innym aktom ruchowym.

Przeciwnie halucynacje prawdziwe zachowują się tak, jak rzeczywiste przedmioty, ponieważ w halucynacjach prawdziwych obraz wzrokowy tworzy z aktem ruchowym całość nierozdzielalną. Osoby, cierpiące na halucynacje prawdziwe, mogą odwracać się od przykrych dla siebie widziadeł, bo obraz wzrokowy połączony tu jest nierozdzielalnie ze ściśle określonym kierunkiem umiejscowienia w przestrzeni.

Wiadomo też, że chorzy, dręczeni widziadłami, uciekają od nich lub chowają się przed nimi, czego by uczynić nie mogli, gdyby owe widziadła stałe i wszędzie mieli przed oczyma.

Dla dokładniejszego zrozumienia różnicy pomiędzy halucynacjami prawdziwymi a wrzekomem porównajmy wypadek halucynacji wzrokowej, opisany przez Krafft-Ebbing'a z wypadkiem halucynacji wzrokowej, podanym przezemnie (Post. Okul. r. 1904).

U Krafft-Ebbing'a chłopiec 15-letni w grudniu r. 1873 bez żadnej widocznej przyczyny stał się zamysłony, ociężały, ponury.

Kilka razy widział on Madonnę, siedzącą na obłokach ponad górą, w białych szatach. Przed Nowym Rokiem znowu widział ten sam obraz, ale już tylko jego miniaturową, latającą naokoło jego palca. Mamy tu wybitny wypadek wzrokowej pseudohalucynacji, który zachowywał się, jak powidok.

Wielkość obrazu zależała tu od wielkości napięcia ogniskującego w oczach: przy patrzeniu na chmury wielkość napięcia równała się 0, więc obraz wydawał się mu wymiarów olbrzymich, przeciwnie, przy patrzeniu na palec napięcie ogniskujące było bardzo wielkie, więc ten sam obraz wydawał się jak miniaturowy.

W wypadku podanym przezemnie chory widział również obraz Madonny, wielkości naturalnej osoby dorosłej i jednocześnie usłyszał głos nakazujący: „Nie patrz!“.

„Obraz zaczął precz oddalać się, opowiadał chory, a ja padłem na kolana i przymknąłem oczy; gdy później raz jeszcze rzuciłem okiem dostrzegłem, jak ten sam obraz, ale już zupełnie maleńki, ginął w obłokach“.

Widzimy, jak odmiennie zachowuje się prawdziwa halucynacja wzrokowa od pseudohalucynacji. — Chory, doświadczający prawdziwej halucynacji wzrokowej, widzi, że obraz z oddalaniem się staje się coraz mniejszy; przeciwnie, cierpiący na pseudohalucynację wzrokową chłopczyk Krafft-Ebbing'a widzi obraz Madonny wielkich rozmiarów na obłokach, zbliżając zaś ten sam obraz staje się maleńki.

Zadaniem pracy niniejszej było ściślejsze odróżnienie wyobrażeń od pojęć. Wyobrażenia dzielą się podług zmysłów na wzrokowe, słuchowe, dotykowe (skórne), smakowe i węchowe; konieczny zaś składnik każdego wyobrażenia — pojęcia są zawsze tylko ruchowe. Wrażenie i sąd są ostatecznymi pierwiastkami umysłu.

Z sądów powstają pojęcia, połączenia pojęć z obrazami zmysłowymi (wrażenia) dają najwyższy rozkwit myśli — wyobrażenia.



Marjan Szadurski.

Chciałbym pieśń dzisiaj śpiewać...

Chciałbym pieśń dzisiaj śpiewać wesołą... Nie mogę.
Jakaś smutna melodja w duszy mej się błąka,
taka smutna, bezmierna, jak wieczna rozłąka
i niesie z sobą śmiertelny lęk, trwogę...

W duszy mej coś się łamie, jakiś ból nią targa,
jakieś dzwony pogrzebne, chóry z cmentarzyska...
I łza gorzka, piekąca, z pod powieki tryska
i płynie cicha, cicha, niema skarga...

Chciałbym skrzydła rozwinąć i jak ptak skrzydlaty
lecieć w chmury, przez zorze wieczorne zalane...
Chciałbym umrzeć i duszą ulecieć w zaświaty...

Lecz nie mogę. Mój duch swoje skrzydła złamane
wlecze po ziemi i w błocie je szarga...
W duszy mej dźwięczy cicha, niema skarga.

Gdy umrę...

Gdy umrę w jasny, letni wieczór cichy
Srebrzyste rosy może lży uronią,
misternie kwiatów rzeźbione kielichy
na Anioł Pański może mi zadzwonią,
zaszumia Requiem sine jodły-mnichy
i łany kłosów z pochyloną skronią
w ten chór wieczorny swój cichy szept wplotą...
Może przesiąkłe bezmierną tęsknotą

mgły siwe wstaną z nad jezior opali,
w zadumie cichej zawisną nad tonią
i słuchać będą opowieści fali,
którą kołysze kryształową dłonią
zorza, płonąca czerwienią koralu...
Może rusałki, co się na dnie chronią,
uderzą w dzwony zatopione szklanne,
a one może zagrają Hosannę...

Pajęczyn może rozpuszczone włosy,
jak struny harfy, cichutko zabrzączą
wśród trzin, okryte brylantami rosy,
co w srebrnych niciach lśnią, migocą tęczą...
Wiew wiatru może wplecie szum w te głosy
na wód zwierciadle kładąc się obręczą...
A kiedy zdmuchnie ostatni blask słońca,
gromnice-gwiazdy zapali wisząca

noc nad mą trumną... A może przylecą
émy szare do mnie... Pomiedzy stokrocie
wylegną może robaczki, co świecą...
Zakwitną może gdzieś w lesie paprocie
i mnóstwo światel dokoła rozniecą,
niby rozkwitłych na ziemi gwiazd krocie...
A może... błysnie gdzieś wpośród nich na dnie
łza, co z ócz ludzkich potajemnie spadnie...

Z cyklu: Jesień.

IV.

Ostatnie kwiatów oszronione kiście,
ostatnie blaski jasnych, złotych zórz,
ostatnie żółkle, zwiedłe, uschłe liście,
zwiastuny burz...

Ostatnich słów szept drżący na rozstanie,
ostatnich spojrzeń tajemnicza nić,
ostatnie ciche, pełne bólu łkanie...
A trzeba żyć...

Marjan Szadurski.



Pierwotwór A. Zalewskiego.

Wjazd wojewody Jana-Antoniego Chrapowickiego na Województwo Witebskie.



Wojewoda J.-A. Chrapowicki.

„Anno 1761, Februarius 5

Wiażdżałem do Witebska na Woiewództwo; potykali mnie nayprzód bracia gromadno. Miał mowę S. P. Adam Kisiel competenter, któremu odpowiedziałem; do tego mieysca iachalem z bliższemi krewnemi saniami, a z tąd po ceremoniach konno iachalem; moia chorągiew nadworna szła przodem, potem P. P. obywatel przedemną, za mną prowadzono konie Tureckie y rumaki bogato poubierane; potem młodź, pokoiowi y różni ludzie; na końcu kornet Dragoni y cechy szły z obu stron gromadne, y pola ulice pospółstwa mnóstwem naciśnione były, iachalem prosto do Fary, gdzie oddałem pokłon Tróycy Przenayświętszej, z tąd idąc wstąpiłem po drodze do Cerkwi murywaney Błahowieszczenia, tam ieden ex religione Greca miał do mnie mowę po łacinie, któremu przyzwocie odpowiedziałem, z tąd iusz iachalem z bracią do pałacu mego, gdzie hoynie wszystkich asz do nocy tractowałem— z dział srodze bito...”

(Wyjątek z „Dyaryusza Wojewody Witebskiego Jana - Antoniego Dwóch Imion Chrapowickiego” str. 232, wyd. 1845 r.).



Stanisława Studnicka-Gizbert.

Z LAT DZIECIĘCYCH W DYNEBURGU.

„Od kolebki biegła za mną czarodziejska
Baśń tęczowa“.

Dawno już, bardzo dawno wyjechałam z rodzinnego Dyneburga. Od tego czasu wiele się tam zmieniło: miasto się rozrosło, po wsiach siedzą inni ludzie.... Kore-spondencje do pism z różnych okolic kraju dają nam wprowadzić pewien obraz życia społecznego na kresach, nie mówią jednak wcale, jak się tam ułożyło życie rodzinne domów polskich, jak się wychowują dzieci i jakie są one. .

Chciałabym w wydawanej obecnie książce Witebskiej dać czytelnikom obraz życia rodzinnego w Inflantach polskich z przed laty 25—30.

Może zestawienie przeszłości z teraźniejszością będzie dla jednych miłym wspomnieniem własnego dzieciństwa, innym zaś kontrast między tym, co jest, a tym co było, nasunie jaką myśl pożyteczną, może....

Będę tu mówiła przeważnie o własnym domu rodzinnym, różnica bowiem między naszym życiem rodzinnym, a życiem innych rodzin polskich w Dyneburgu i okolicach była raczej ilościową niż jakościową, polegała głównie na sile natężenia zabarwienia narodowego, zasadniczo zaś barwa wszędzie była ta sama.

Czym się wówczas i jak bawiły dzieci? Treścią życia dzieciennego były, jak zawsze, cacka, książki, baśnie, pieśni i nieskończone zabawy—wytwory własnej ich fantazji. Ulubione zabawki dzieciinne, te, o których marzyły one przed każdą choinką, przed imieninami i t. p., były to lalki w strojach polskich lub litewskich, amarantowe czapeczki „z białym piórkiem ponad uchem“, konie, szable, broń różnorodna; były także ulubione książki—„Bajarz polski“ Glińskiego, „Wizerunki królów polskich“, „Pieśń o Ziemi Naszej“, powieści Teresy Jadwigi, „Śpiewy historyczne“ Niemcewicza.

Dziś jeszcze pamiętam w dzieciństwie urządzone żywe obrazy, o udział w których dobijali się nasi ówcześni towarzyszek i towarzysze; występowała najczęściej, okryta czerwoną koldrą, zamiast płaszcza, „Helena w stroju niedbałym, gdy syna trzyma u łona, co go zwano Leszkiem Białym“, obok „Goworek stary“ z długą, siwą brodą; również często przedstawialiśmy Jadwigę i Jagiełłę, to znowu Sobieskiego, depczącego Turka (podług posągu na moście Łazienkowskim w Warszawie), Kościuszkę, przysięgającego na Rynku Krakowskim i t. p.

Marzeniem dzieci było widzieć Wilję, Niemen, Wisłę, Wilno—co to „w lasach siedzi, jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi“, Warszawę, Kraków.

Z Dyneburga licznie wówczas wyjeżdżano do Warszawy i za granicę przez Kraków—z miast tych przychodziły do nas cudne upominki: lalki w strojach narodowych, zbiory pieśni patriotycznych, medale pamiątkowe, a później, gdyśmy już byli starsi, dzieła wieszczów naszych (znane nam poprzednio tylko z kajetów, przepisywanych ręką matki lub ciotki naszej), „Czas“ i „Djabeł“. Prawdopodobnie wyjeżdżano również i do Petersburga, lecz stamtąd nikt nam nie nigdy nie przywiózł, znaliśmy go tylko ze słów mickiewiczowskiej Telimeny i—nie myśleliśmy o szukaniu tam w przyszłości szczęścia lub kariery.

Gdy dzieci, zmęczone bieganiem lub wojną (ścinaliśmy częstokroć laskami wierzchołki zarastającej ogródek nasz pokrzywy, niby zastępy nieprzyjacielskie, wdzierające się na nasze terytorjum), przychodziły do starszych dla odpoczynku, zastawały ich najczęściej przy wspólnym czytaniu. Przyszło które dziecko na chwilę, już odejść nie mogło — porywał je czar słyszanej opowieści. Kolejno zbierały się wszystkie; przed oczyma słuchających stawały, jak żywe, sceny i ludzie lat dawnych: cudne obrazy „Starej Baśni“, barwne sienkiewiczowskie opisy bitew, postacie Zagłoby, Bohuna, Księcia Wiśniowieckiego, szumiały tajemniczo lasy „Nad Niemnem“. Młodzież żyła z przeszłością, znała ją i kochała — znała i kochała Ojczyznę, marząc o poświęceniu się dla niej w przyszłości.

W owych czasach nie było szkół polskich w kraju, wysyłanie dzieci do szkół Krakowa i Warszawy, jakkolwiek się praktykowało niekiedy, było dla wielu zbyt kosztownym. Dzieci więc uczęszczały do miejscowych szkół rządowych. Cóż jednak znaczyły usiłowania nauczycieli wobec czytowanej w domu Improwizacji Konrada lub psalmów Krasińskiego.

Mniejsze lub większe przykrości, jakie spotykały młodzież w szkołach średnich, znoszono raźnie—miały one nawet urok cierpienia.

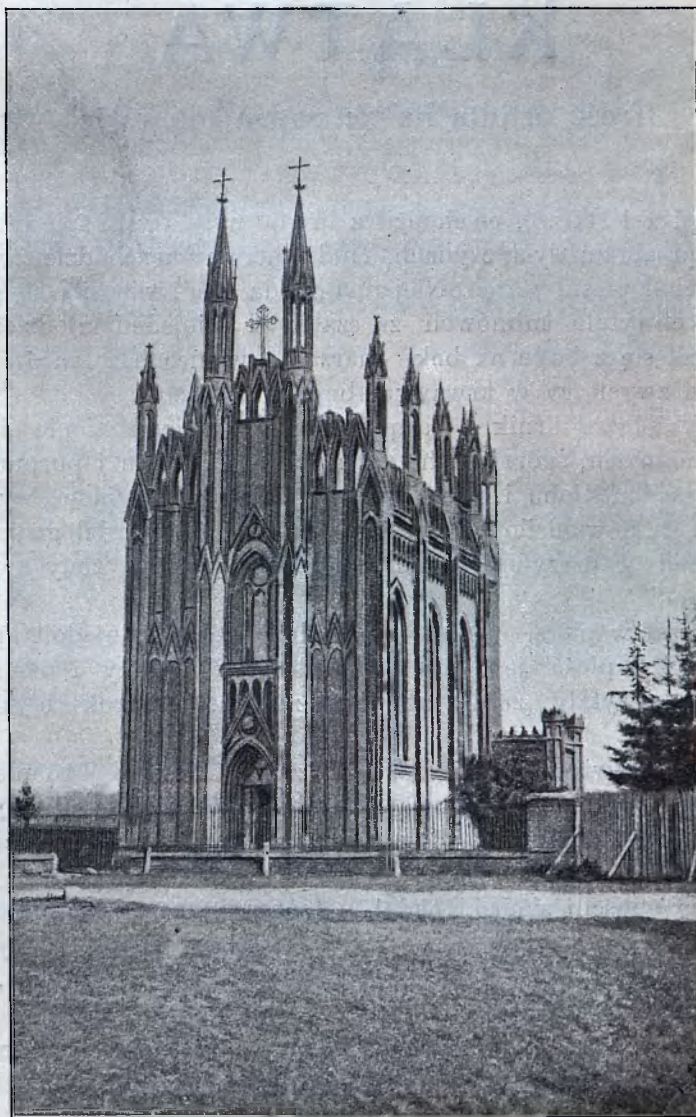
Wszystko wynagradzały wakacje letnie—tu się żyło całą pełnią. Wcześniej nauczono dzieci kochać przyrodę, patrzeć na jej piękno poniekąd przez pryzmat poezji wieszczów naszych: obłoki, przechodzące nad głowami, grzyby i drzewa w lesie przywoływały na usta odnośne ustępy z „Pana Tadeusza“. Podczas wieczornej wycieczki łódką lubiliśmy patrzeć w „twarz miesiąca“, co prowadzi „smugiem fal“, „nabijaną światłem drogą“, lub razem z Ujejskim podziwialiśmy kraj nasz, „jak zastawiony dla gości stół, różnowzorowym kryty kobiercem“.

Każdy z nas i naszych znajomych miał ulubionego autora, za którego kruszyliśmy kopje w nieskończonych dyskusjach.

Z wiekiem zmieniały się gusta, lecz idea przewodnia pozostawała niezmienną. Jeśli kto dla różnych „izmów“ porzucał chwilowo wyniesione z domu zasady, to wyrwać ich na stałe z siebie nie potrafił — wracały z nową siłą: to, co w młodości było ideową miłością ojczyzny, zmieniało się u ludzi dojrzałych w „czynów stal“.

O ile wiem, nie dało to nasze pokolenie żadnych „Białorusinów“, „Litwinów“ i t. p., tylko poczuwających się do łączności z całym krajem Polaków kresowych.

S. Studnicka - Gizbert.



Widok byłego kościoła Saryńskiego. *)

*) Kościół zbudowany w r. 1857 przez Ignacego Łopacińskiego. W r. 1865 został skonfiskowany, według brzmienia raportu gubern. Witebskiego, Wierowkina, za swą „wspaniałość“. Wszystkie próśby i sądy już go nie zwróciły,

KŁĄTWA.

Treść osnuta na tle podań łotewskich.

W pewnym kraju żył starzec, co chodził z lirą od wsi do wsi i śpiewał o poległych bohaterach, o ich sławnych, przebrzmiałych czynach, a lud, chciwy starych dziejów, tłumnie się zbiegał ze wszech stron i słuchał pieśni starca. Niejedna młoda pierś wznosiła się głębokim westchnieniem, niejedna dłoń chwytała mimowoli za szablę i niejeden młodzieniec w nocnej ciszy niespokojnie przewracał się z boku na bok, marząc o wieńcach z laurów i wawrzynu, okrywających dumne czoło zwycięzcy w krwawym boju z wrogiem.

Najwięcej jednak śpiewał lirnik o jasnym słońcu, lejącym ciepło i światło na ziemię, o jego ognistych promieniach, gorejących na horyzoncie złotem i purpurą, a wzrok słuchaczy wznosił się wówczas ku niebu i dusze ulatywały w niedoścignione wyżyny.

I nagle kraj lirnika nawiedziło nieszczęście. Nieprzyjaciel zalał go krwią i pożogą: miasta, wsie, dwory obrócił w perzynę, matki oplakiwały synów, żony mężów, kochanki kochanków.

Gniew i żal zawrzał w piersi lirnika na widok nędzy i niedoli kraju; z lirą w dłoni szedł między walczących i pieśń jego brzmiała słowami zemsty i nienawiści, a zmęczone i zniechęcone dłonie chwytały znowu za miecz, zagasły wzrok błyskał nową nadzieją i ogniem...

A gdy się śpiewak zjawiał pod osierocone strzechy, dźwięki jego pieśni nabierały dziwnej łagodności i ciepła, zdawały się ujmować zbolale dusze ludzkie w miękkie, kochające dłonie i tulić je litościwie, słodko, z cicha szepcąc o wiecznej szczęśliwości tam, gdzie niema bólu, ani łez, ani nieszczęścia, jeno radość i jasność i wieczne wesele... Zdawały się mówić o spotkaniu z tymi, co opuścili ziemski padoł, o spotkaniu na wieczne nierozstanie...

A oczy, gorejące ogniem rozpacz, zaczynały tracić swój posępny wyraz — usta, wykrzywione bólem, poruszały się z cichą modlitwą, pierś wznosiło westchnienie, a potok łez dawał ujście tęsknocie, szarpiającej duszę.

Lirnik przebiegał kraj cały, a droga jego, jak jasny promień słońca, odbijała na czarnym tle żałoby i smutku. Wieści o sile jego pieśni doleciały uszu nieprzyjaciela. Rozesłano setki gońców, by go schwytać i żywcem przyprowadzić na królewski dwór. Starzec nie myślał wcale o grożącym mu niebezpieczeństwie, szedł wciąż dalej i dalej i śpiewał...

Nareszcie udało się wysłańcom królewskim schwytać śpiewaka. Uradowana zgraja żołdaków, wyszydzając i bijąc go, chciała mu zabrać lirę, ale było to zadanie nad ich siły: wier na towarzysza doli i niedoli wymykała im się z rąk i wracała do swego pana jeszcze

śpiwniejsza, niż przedtem. Wtedy skępowano starcowi dłonie i przyprowadzono go przed króla, a ten z szyderym śmiechem kazał go wrzucić do wilgotnego zamkowego lochu.

I zaczęły płynąć dni za dniami w posępnej samotności, mroku i grobowej ciszy. Ściany podziemia, pokryte pleśnią, lśniły kroplami wilgoci, co powoli spływała na ziemię, tworząc cuchnące kałuże... Pajaki i stonogi pełzały po całym cieple, a gdy więzień, zmęczony czuwaniem, zasypiał na zbutwiałej słomie, jaszczurki i ślizkie ropuchy przesuwwały mu się po twarzy i rękach — zimne, wstrętne...

Jedyne okienko więzienia, małe i mocno zakratowane, wychodziło na morze. Umieszczone tak wysoko, a zwrócone ku północy — nie wpuszczało do podziemia promienia słońca. Szum fal morskich podczas nawałnicy był jedynym głosem ze świata, a dzban wody i kawał chleba jedynym jego gońcem.

Tak mijały dni, miesiące, lata... Starzec zapomniak, ile godzin dzieli go od chwili, kiedy po raz ostatni oglądał słońce i świat Boży. Lira tylko pozostała mu wierną i dawała mu chwile zapomnienia i odpoczynku. Smutno brzmiały jej struny pod palcami, taką skargą i żalem dźwięczały one, że nawet posępne skały, sterczące z morza pod samym oknem, ronily łzy ciężkie nad smutną dolą pieśniarza. Białe mewy, dosłyszawszy smutne dźwięki, dobywające się z pod ziemi, zaczynały krążyć dokoła zakratowanego okienka i wtórować krótkim, urywanym jękiem; ryby morskie wynurzały głowy z pod wody i, w braku mowy, wzrokiem wyrażały swe współczucie. Fale morskie, uderzając o ściany zamku, zdawały się szemrać tajemną pogroźkę jego mieszkańcom, a syreny świetlanym korowodem, płasząc co wieczór na ciemnych falach — długimi włosami ocierały łzy z oczu, a nad rankiem szły do morskiego króla i zanosily mu skargę na podłe plemię ludzkie, niszczące piękno i moc wolnego ducha, i błagały swego pana, by się ulitował nad starym lirnikiem i wyrwał go z wrogich rąk.

Długo opierał się potężny władca wód ich namowom, lecz nareszcie ustąpił. Dosiadł najbystrzejszego trytona, podniósł się na powierzchnię spienionych fal. Wspaniała świta delfinów, wielorybów, morskich koni i lwów otoczyła uwielbionego swego dobroczyńcę. Nimfy morskie, rozpuściwszy po wietrze długie włosy, przystroiły głowy w wieńce z muszli i kwiatów wodnych — sznury poplątanych koralu spadały im na pierś obnażoną, a w dłoniach lśniły pęki srebrzystych lilji wodnych i morskich wodorosli.

A za tym błyszczącym, świetnym orszakiem sunęły raki olbrzymie, potrzaskując ostrymi kleszczami; gwiazdy morskie toczyły się, jak bystre — ślizkie koła; cudacznie rozrośnięte polipy wyciągały cienkie ramiona do wiotkich postaci rusalek, mieniających się mdłemi barwami przeróżnego kwiecica i srebrnym blaskiem łuski migotliwej. Ryby, ujrawszy nadciągający orszak królewski, wstrzymywały swój lotny pęd, pochylając głowy, lekko poruszały skrzelami na dowód swego uwielbienia. Stary król ze swą liczną świtą powoli się zbliżył ku okienku podziemia i dał znak trójzębcem, a ryk wichru zamilkł nagle, burzliwe fale przyczołgały się do stóp pana i zaczęły mu je lizać, jak dzikie lwy, poskromione silnym wzrokiem pogromcy. Srebrzysta piana tylko bielila się w blaskach księżyca, jak stado śnieżnych łabędzi na powierzchni wód.

Długo... długo głucho milczenie panowało dokoła... nagle jeden czysty, kryształowy dźwięk zadrgał w powietrzu, za nim drugi, trzeci. To lira zaczynała śpiewać pod palcami śpiewaka. Żałosna skarga wzbila się ku niebu w noc ciemną, skarga na niedolę ojczyzny, szarpanej przez wroga, na krew braci, niewinnie przelaną, na ucisk i ciemnotę, panujące dokoła — pieśń brzmiała tęsknotą do gwiazd lśniących na ciemnym niebie, do pól i lasów szumiących, do sinych wód, barwną wstęgą wijących się po zielonych łąkach i do słońca złotego — jasnego... promienistego słońca...

Coraz głośniejsze, coraz boleśniej dźwięczała skarga lirnika, a wszyscy słuchali jej w milczeniu, nie mogąc się otrząsnąć z jej czaru.

Potężnemu władcy wód dwie duże łzy wypłynęły z pod powiek i lśnąciami perłami upadły na dno morskie. Potym gniewem zapalało mu oblicze. Uniósł się wysoko ponad fale i groźnie wyciągnął prawicę ku czerniejącemu w mroku nocy zameczysku

. Huczno i gwarno na pańskim dworze. Tysiące świec goreje w wysokich brązowych lichtarzach, stoły uginają się pod ciężarem zrabowanych podbitym mis srebrnych i dzbanów staroświeckich, pełnych jadła i wyszukanych trunków... Brzęk kryształowych szklaneczek i złotych puharów zagłuszają wybuchy śmiechu, — ale nad tym górują gniewne i szydercze urągania nad podbitymi, rzucane przez podnieconych winem biesiadników. Zwycięzcy uczują w zdobytym zamku nad kościotrupami poległych dawnych właścicieli. Rękami, zboczonymi niedawno krwią podbitych, wywlekli skarby, naczynia ukryte, olbrzymie makaty i szaty wzorzyste, z piwnic stare miody — wina i nalewki. Uczują okrutni przybysze i piekielną radością jaśnieją ich zbójcekie twarze, błyszczą posępne oczy... Na wysokim tronie zasiadł nowy pan i władca kraju... Dumnie się, rozparł na gronostajach i atlasie, drapieżnym spojrzeniem wodzi dokoła, wyzywająco spogląda na wiszące na ścianie wizerunki dawnych gospodarzy. Tłum dworzan w bogatych strojach otacza go barwnym kołem. Wszyscy starają się czytać w spojrzeniu jego każdą najdrobniejszą chęć, życzenie... Silny i ufny w swą potęgę, a okrutny, nieubłagany w wyrokach, budzi on w tych zajętych, służących duszach, drżenie i obawę.

Lecz dziś pan się bawi — jest łaskawy, więc: „hulaj dusza, ile się da!“ Śpiew głośnie rozlega się przy stole; żołnierskie sprośne piosenki obijają się o ściany gmachu, a stary zamek zda się słuchać tego wszystkiego zdziwiony... smutny... Muzyki brak jeno wesołym biesiadnikom... Nagle ktoś przypomina o starym lirniku, wrzuconym przed laty do lochu. Mówią o nim panu — ten złowrogo się uśmiecha — klaszcze w dłonie i wydaje służbie rozkaz przywieść więźnia do biesiadnej sali... „Będziemy mieli wesołą zabawę“, leci z ust do ust. Słychać głuchy odgłos kroków w długim korytarzu zamkowym — szczeł kajdanów, zdejmowanych z rąk śpiewaka, podwoje się otwierają, wszystkich spojrzenia biegną ku drzwiom. W progu staje lirnik. Błada, wymęczona twarz jego, długie, srebrne włosy, zgrzybiała, smutna postać dziwnie odbija na tle uczujących... Wychudłe dłonie przyciskają do piersi lirę śpiewną. Wchodzący rozgląda się dokoła, odurzony gwarem, okrzykami i weselem, panującym w sali. Przeciera duże, zmęczone oczy raz jeden, drugi... nagle dziki okrzyk wydziera mu się z gardła, zdławionego trwogą i świadomością nowego nieszczęścia: „Mrok! Ciemność dokoła! Ja nie nie widzę! O słońce! słońce!“

Cha! cha! cha! wesoło śmieją się rozbawieni biesiadnicy i ponurą radością błyszczy wzrok pana: „Słuchaj — rzecze on do starca — dużo miał wolnego czasu i samotności w swych wspaniałych komnatach pod ziemią. Dużo pieśni ułożyłeś pewno, rozmyślając o przeszłości. Zaśpiewaj nam pieśń, którąby lud twój pochwycił i na cześć moją śpiewał, a jeśli ci się uda zasłużyć na mą pochwałę, daruję ci wolność! Słyszysz — wolność!“

A starzec wzniosł pochyloną na piersi głowę, ociemniałe oczy obrócił ku tronowi i takimi się ozwał słowy: „Chcesz pieśni, panie — pieśni od lirnika, co lata całe tęsknił do swobody, co życie całe wielbił złote słońce, duszą wzlatywał pod niebios wyżyny i niósł wśród ludzi pochodnię ognistą. Chcesz pieśni, panie, a za pieśń wesołą, co zdoła wzbudzić śmiech pusty wśród rzeszy, co cię otacza pozłacanym tłumem, za pieśń mi taką obiecujesz, panie wrócić swobodę — zabrawszy mi światło, zabrawszy blaski niebieskich promieni, zabrawszy jasność różowej jutrzeńki — lasów ojczystych i pół obraz piękny. Więc słuchaj, panie, słuchajcie wy, słudzy, słuchajcie, mury starego zameczyska, i nocy ciemna, słuchaj pieśni mojej, a ty, wichuro, co wyjesz i płaczesz, nieś pieśń wesołą aż pod stopy Boga, nieś mą wesołą, mą biesiadną pieśń“. Głośnie zabrzmiały gwałtownie szarpnięte struny liry i złowroga, posępna melodia oblała się o wysokie sklepienia:

„Przekleństwo wam, coście zaleli kraj krwią i pożogą.
„Przekleństwo niszczycielom szczęścia i spokoju jego mieszkańców.
„Przekleństwo krzewicielom kłamstwa, fałszu i obłudy.
„Przekleństwo panom mroku i przemocy.
„Przekleństwo niszczycielom światła i wrogom słońca!“

Zamilkł lirnik. Rozkołysane gniewne struny drgają wciąż niesfornie pod drżącymi palcami. Budzi się z osłupienia pan potężny — blady z wściekłości, co mu rozsadza pierś, każe sługom schwytać śpiewaka. „W morze go!“ brzmi dokoła... Nagle straszliwy szum fal przykuwa wszystkich do miejsca. Wściekły prąd wichru wlatuje do sali, gasi świece jarzące, przewraca kosztowne naczynia na stole, huk nawałnicy uderza o ściany zamku, zdruzgotane szyby okien z cichym brzękiem padają na podłogę, a spienione, gniewne fale wdzierają się do wnętrza komnaty — złowrogie, mściwe. Lodowate technienie śmierci ścina wszystkim krew w żyłach, a fale wciąż się zbliżają ze złowieszczym rykiem i szumem, wspinają się coraz wyżej i wyżej...

Wszystko, co żyje, zdjęte lękiem i trwogą, rzuca się ku drzwiom, chcąc się ratować ucieczką. Nigdzie łaski, znikąd ratunku! Z otwartych podwoi wdiera się nowy prąd wody i zatapia izbę — zlodowaciałe dłonie wyciągają się ku niebu błagalne — rozpaczne...

A wśród burzliwych wód, na olbrzymim trytonie, ukazuje się król morza, w koronie z pereł i koralu na głowie i trójzębcem w dłoni. Powoli zbliża się do lirnika i, ujmując go za rękę, rzecze: „Pójdź za mną wraz ze swą lirą do mego podwodnego pałacu, zdala od ludzi i świata, co ci nie dał nic, prócz bólu i męki. Dusza twa, kołysana śpiewem fal, spocznie cicha i marząca, nabierając nowych sił do innego życia: — życia głębin niezbadanych i światów tajemnych, a ociemniały wzrok przeniknie niedościgłe wysokości ducha i otworzy się na inne, pozaświatowe, niebiańskie cuda. Pójdź, śpiewaku, do mnie, dalej od tego plemienia jaszczurczego o małym duchu i giętym, służalczym karku. Śmierć samotna czeka ich w spienionych nurtach mego królestwa; — przekleństwo ohydy i wstrętem okryje ich imię“.

Dziko wyje wicher północny, z głośnym łoskotem przewalają się fale wód spienionych. Białe mewy krążą nad morskimi bałwanami. Gdzie niegdyś zamek stary stał, wir wodny kłębi się i burzy...

Na posłaniu traw morskich i miękkich kwiatów leży siwy starzec — mocno ścisnął w zlodowaciałej dłoni lirę... I śni o słońcu... o jasności wielkiej i o przestrzeni bez miary i końca.

Jadwiga Skrutkowska (Pajon de Moncets).

JANKA KUPAŁA.

Z pieśni o ziemi naszej.

Biała Ruś — kraj smutny taki.
Ludzie tam: Symonek, Janek,
Szpak i gęś — jedyne ptaki,
napój — czystej wody dzbanek.
Pola — wydmy i kamienie
gęsto potem złane,
łąki — same tam korzenie,
z osoką zmieszane.
Choćby cię nie w ciemę bito
z pól nie zbierzesz snopu:
z sadzą ci urodzi żyto,
w owsie moc świerzopu.
Niebogate tam i wioski,
w sady się nie stroją
i gdzieniegdzie jeno brzoźki
jak tyczki w nich stoją.
A w tych wioskach lud ubogi,
praca w łęk go gnie,
wiecznie w łapciach, w gnoju nogi,
łachman plecy tnie.
A w tych wioskach lud ubogi,
mało co rozumie,
oberwany, nieodziany
i czytać nie umie.
Każdy z góry nań spoziera
i głupim nazywa —
mnie się jednak na płacz zbiera,
w piersiach coś się zrywa:
bo choć biedny, ciemny, głodny,
smutny, jak mogiły,
bliski jest mi lud ten, rodny,
i dlatego miły

.
.
.

A kto tam idzie?

A spójrz-no, bracie, na tę chatę moją:
ściany jej zgniły, przez dach leją deszcze,
wewnątrz gnój leży i stoi na gnoju . . .
I dziwię się sam, że trwa jeszcze . . .

Maciej Buraczok.

A kto tam idzie w tej zwartej ławinie,
co za gromada, kiejby rzeka płynie?
Białorusini.

Cóż oni niosą na barkach zgarbionych,
na nogach w „łapciach”, *) na rękach skrwawionych?
Swe ciężkie krzywdy.

I komuż niosą oni krzywdy swoje,
dokąd je niosą przez ból, trudy, znoje?
Światu całemu.

A któż poruszył te tysiączne tłumy,
nieść krzywdy uczył i budził z zadumy?
Nędza, niedola.

I czegoż, czegoż oni chcą, znękani,
ci ślepi, głusi, wiek poniewierani?
Nazwać się: ludźmi.

przełożył m. w. s.

*) Obuwie, plecione z łyka lipowego.

JANKA ŁUCZYNA

(Jan Niesłuchowski).

Swej ziemi.

Szczodrze rzuciłaś nam lasy swe, błota,
wydmę piaszczystą, nieurodzajną,
o matko-ziemiol! Ale z umłota
ziarna nad miarkę mi dasz zwyczajną!
A syn twój, matko, dorodny młodzian,
na kołymadze albo w drabiaku,
w „łapcie“ obuty, w siermięgę odzian,
jedzie szkapiną po błotnym szlaku.
Wszystkaś ty biedna, o ziemio-matko!
Kmieć w pocie czoła orząc swe pole
łzami krwawemi płacze nie rzadko,
płacze i skarży się na swą dolę...
Lecz nigdy w myśli jego nie postanie,
by cię mógł rzucić w zły lub dobrej dobie...
Po wszystkie czasy przy tobie zostanie,
po wszystkie czasy wierność przysięgił tobie.
Bo te chałupy, lasy wyrąbane,
te pola skąpe i niwy bez „paszy“,
te grube, szare siermięgi łatanie
kochamy z duszy, boć to one nasze!...
Wydmy, polane potem kmiecej braci,
da Bóg, urodzą ponad zwykłą miarę,
będziemy syci, chociaż nie bogaci...
W święto, na stole postawimy czarę...
Przez ciemne chmury promienie nauki
zabłyśną jasno i nad naszą niwą
i będą dzieci nasze, nasze wnuki
żyć dolą dobrą, żyć dolą szczęśliwą.

przełożył m. w. s.



Wacław Gizbert-Studnicki.

Z ARCHIWUM DYNEBURSKIEGO.

(vol. 3, 4 i 6 z 1797 r.)

I.

Szlachta osuńska bezrolna.

W jednej z 16-tu gmin wiejskich powiatu dyneburskiego, w Inflantach Polskich, w gminie osuńskiej, stanowiącej za polskich czasów wójtostwo osuńskie starostwa rzeżyckiego, było przy nadziale 1863 roku 1091 dusz włościańskich skarbowych, a wiele ich było dawniej, danych nie posiadamy, ale przechowany w archiwum miejskim dyneburskim dokument wskazuje, że w r. 1797 włościanie wójtostwa osuńskiego służyli 46 dzierżawcom.

Dokumentem tym jest zwrócona do marszałka powiatu dyneburskiego (szambelana Benisławskiego) „najpokorniejsza prośba“ Rafała Tarwida, złożona 3 nowembra 1797 r. „imieniem wszystkich szlachty; współsąsiadów moich“ (Tarwida), mieszkających w majątności Osuniu, „w arendowy sposób“ i za nieumiejętnością pisma, obcym charakterem podpisanych na osobliwym rejestrze“.

Oto ów rejestr, ułożony przez nas w porządku alfabetycznym z zachowaniem w nawiasach numerów porządkowych nazwisk rejestru. Bejnar Tadeusz (22), Bortkiewiczowie Jerzy (3) i Dominik (7), Budkiewicz Kazimierz (17), Œwikliński Antoni (45), Czerniawski Władysław (34), Erdmann Szymon (4), Grzybowski Józef (27), Józefowicz Jerzy (26), Junkiewicz Michał (37), Kossowski Teodor (19), Kruman Adam (42), Kukielowie Symon (24) i Antoni (28), Kutkiewicz Piotr (30), Landberg Jan (44), Łaski Jan (33), Mackiewicz Jan (23), Malecki Jan (10), Malkiewicz Florjan (6), Małachowski Jan (8), Miączyński Antoni (16), Margiewicz Wincenty (31), Odachowski Stanisław (18), Piotrowski Jan (11), Rogiński Ferdynand (38), Rusiecki Demetrjusz (21), Samuyło Józef (13), Siklaniewicz Mikołaj (1), Sielicki Michał (36), Skobowski Jerzy (20), Stankiewiczowie Michał (12) i Wincenty (15), Szauman Wincenty (29), Szpakowski Stefan (41), Szyszło Tobjusz (2), Tarwidowie Michał (9), Ignacy (32), Dominik (35), Józef (40),

Rafał (46), Wasilewski Adam (43), Weryha Józef (14), Wierzbicki Felicjan (39), Wysocki Andrzej (5), Zienkiewicz Antoni (25).

Podpisani upraszają J. W. Marszałka, aby „nas biednych, nieoświeconych i nieumiejących pisma szlachtę“ dokładnie i jasnie o tym poinformować raczył, „dla jakich to mianowicie szlachty w Dworzanskiej Izbie są herby“ i jak się zachować wobec ukazu senatu z dnia 27 sierpnia (8 września) 1797 r. o wywodzie szlacheckim: „czy dążyć do Witebska, czy ple-nipotenta wysłać?”

„Są tu pomiędzy nami, powiada Rafał Tarwid, 4 „gatunki“: to jest—jedni, uczyniwszy wywód, mają swoje gramoty (dyplomy szlacheckie) i herby na miejscu, w domu; drudzy mają złożone papiery do wyvodu w Dworzanskiej Izbie; trzeci mają w odległości miejsca papiery i herby swoje u rodziny; czwarte zgoła nie mające nic u siebie i nigdzie“.

Czy cała ta szlachta osuńska była rzeczywiście szlacheckiego pochodzenia, nie będziemy tu rozstrzygali tej kwestji; dla nas w tym wypadku wystarczy stwierdzenie faktu, że szlachty bezrolnej i takich, co za szlachtę się podawali, było w końcu XVIII w. na tej przestrzeni, gdzie w r. 1863 uwłaszczono, około tysiąca włościan, z górą 40 rodów.

Od jak dawna szlachta osuńska, wymieniona w rejestrze 1797 r., osiadła w Inflantach polskich można otrzymać pewne wskazówki po dokładnym przejrzeniu lustracji i inwentarzów starostw dyneburskiego, rzeżyckiego, marjenhauskiego i lucyńskiego; według lustracji starostwa rzeżyckiego z 1738 r., spotykamy w *wójtostwie osuńskim* z liczby 40 nazwisk wymienionych w naszym rejestrze z 1797 r. zaledwie cztery wyżej przytoczone: Piotrowskich, Szyszłów, Rogińskich i Tarwidów.

II.

Kilka cyfr i spis szlachty powiatu dyneburskiego z 1797 r.

W wykazach „dyspartamentu“ (rozkładu) rekrutów w powiecie dyneburskim (vol. VI archiwum m. Dyneburga) mamy kompletny spis obywateli ziemskich tego powiatu i liczbę dusz „rewiskich“, posiadaną przez każdego z obywateli w powiecie dyneburskim.

Oto spis z r. 1797, przez nas w porządku alfabetycznym ułożony, nazwisk obywatelskich powiatu dyneburskiego: Benisławski, Borchowie hr. Józef i Michał, Brzeziński, Felkerzambowie Ksawera i Antoni, Gizbert, hr. Hylzen, Januszewiczowa, Korffowa szambelanowa, Łabuński, Mohlowie Dyonizy i Franciszek, Oskierko, hr. Plater, Römer, Ryek, Schroedersowie Barbara, Franciszek, Dyonizy, Stefan, Szadurscy Józef i Konstancja, Weyssenhoffowie Teresa i Michał, hr. Zyberk, Żebrowski. Wszyscy wymienieni wyżej obywatele (dwudziestu sześciu) posiadali 32.372 „dusz rewiskich“.

Pozatym hr. Plater i starościna Korffowa dzierżawili starostwa, pierwsze o 2889, drugie o 2922 duszach, nadto 2245 dusz rewiskich należało do pięciu plebanji (od 62—215 dusz) i dwóch klasztorów (dominikański—256, jezuicki—1327 dusz), wreszcie pięciu urzędników, przeważnie eks-wojskowych, miało 13 dusz rewiskich. Ogółem liczono w całym powiecie 40,441 włościańskich dusz rewiskich.

Według ukazu cesarskiego z dnia 1/13 września 1797 r. z każdych 500 dusz pobierano na skompletowanie wojska.

III.

Spis urzędników ziemskich powiatu dyneburskiego, obranych w 1797 r.
(Archiwum miejskie dyneburskie. IV fol. 6).

Sądu podkomorskiego.
Podkomorzy Dyonizy Mohl.
Komornik Antoni Bujewicz.
Woźny Jan Puchalski.

Sądu ziemskiego, v. powiatowego.
Sędzia Major Jan Ryck.
Podsędzkowie Jan Schroeders.
Ignacy Gizbert.
Notarjusz v. pisarz Nowicki.

Woźni: Aloizy Rutkowski.
Władysław Moczulski.
Michał Daniłowicz.

Niższego sądu ziemskiego.
Asesorowie: b. asesor Józef Żebrowski.
Michał Ryck.

W zgromadzeniu szlacheckiem.
Deputatem Franciszek Mohl.

Spis obywateli ziemskich powiatu dyneburskiego z roku 1797.

Nazwiska i imiona	Ilość włościan		Ilość włościan
Benisławski Michał	181	Starostwa, posiadane przez:	
Borch hr. Józef	3832	Hr. Platera	2889
i Michał	4494	Staroścień Baronową Korffową	2022
Brzeziński Józef	108	W posiadaniu urzędników:	
Felkerzamb Ksawera	517	1. Lekarza Broze	1
i Antoni	665	2. Pułkownika Hulewicza	6
Gizbert Ignacy	20	3. Kasjera rządowego Piatkina	3
Hylzen hr.	5507	4. Pułkownika Hrawena	1
Januszewiczowa Anna	296	5. Sekretarzowej Daniszewiczowej	2
Korffowa, szambelanowa bar.	2771	Plebanje (parafje), posiadające włościan:	
Łabuński Rajmund	81	1. Birżagolska	62
Mohlowie Dyonizy	362	2. Dyneburska	118
i Franciszek	720	3. Fejmańska	173
Oskierko Hieronim	902	4. Nidermujska	94
Plater hr. Kazimierz	1666	5. Osuńska	215
Römer Józef	330	Klasztory:	
Ryck Jan	2086	Dominikanów w Agłoni	256
Schroeders Barbara	27	Jezuitów w Dyneburgu	1327
Franciszek	17		
Dyonizy	100		
Stefan	4		
Szadurscy Józef	1819		
i Konstancja	624		
Weyssenhoffowie Teresa	1094		
i Michał	419		
Zyberk hr. Józef	2259		
Żebrowski Franciszek	76		



Wanda Gizbert-Studnicka.

Kilka uwag o idei Boga w „Improwizacji“.

Prometeusz—Konrad sięga po władzę Boską, aby „swój naród, jak pieśń żywą, stworzył“— „pieśń szczęśliwą“... A gdy władzy takiej zdobyć nie może, podsuwa mu szaleństwo rozpaczy ideę piekielną: nie ojciec rządzi światem, lecz despota srogi, nielitościwy...

* * *

Albo istnieje moralny porządek świata, „ludy płyną, jak łańcuch zórawi, w postęp“... istnieje najwyższa mądrość przedwieczna, najdoskonalsza, świadoma siebie potęga dobroci najlitośniej—gdy ból odkwita pięknem, a śmierć jest szczeblem ku wyżynie... istnieje Bóg...

Albo wszechmoc dobra, piękna i mądrości nie istnieje, nie rządzi światem Bóg — bezmyślne fale czasu zmywają człowieka i narody, jak proch je krusząc. Skąły rozkruszone są po tysiącach o mil tysiące odległą mielizną. Jedyna panuje konieczność — ślepy, nieubłagany despotyzm niwelacji...

.

* * *

Ksiądz Piotr przyjmuje proste, katechizmowe określenie Boga: „Istota najdoskonalsza“, „Mądrość przedwieczna“, „Dobroć najwyższa“, — oto Bóg. Obowiązkiem zaś katechizmem człowieka jest poznawać Mądrość przedwieczną, kochać Dobroć najwyższą, czcić Doskonałość niepojętą.

* * *

.....
Ksiądz Piotr, przed Bogiem „sługa pokorny, cichy“, jest nieugięty w obliczu senatora, przed którym drżała Litwa, płaszczyła się Warszawa. Pokora bowiem rodzi się albo z poczucia nicości własnej, lub z poczucia wielkości istoty wyższej. Pokorę najgłębszą daje taka wyżyna ducha, skąd widzi się wielkość bóstwa. Zamiary i drogi Boskie widział ks. Piotr na tej wyżynie — szczęście narodu swego.

I nie może być inaczej.

*

*

*

Kto wierzy w przyszłość, bez względu na to, jakiej używa nomenklatury—w Boga wierzy, a gdy siebie ateistą, czy materjalistą nazwie, błąd terminologii, nie zaś grzech niewiary popełni.

Kto pesymizmem czarnym przyszłość mroczy, ten, choćby teologiem i Kościoła najprawowierniejszego był napozór filarem — jest ateistą.



Bajka.



Halszka Sokół (Dynowska).

W czarnym, głuchym borze —
W samym środku. — W sercu jego...
Na zielonej mchów polance —
Stała dziwnych kształtów — chata.
Ściemniałe wiekiem — brązowe ściany.
Dach z szyszek olbrzymów.
Zginiły próg —
W jej wnętrze wiódł.
Z czerwonych kamyków
Składana podłoga —
Liścia żółtego stosa pod ścianą...
U góry — pajęczyn, pleśni i porostów państwo! —

W tej dziwnej chacie
Mieszkało pacholę. —
Na suchych liściach
W nocy się kładło...
Do ściany ciemnej. —
Głowę tuliło.

A jeść. — Jeść dawał ojciec
Orzeł czarny.
W szponach swoich przynosił —
Raz pisklę nagie —
To znów mysz małą —
A czasem strzép ciała ludzkiego. —
Orle dziecko brało wszystko. —

Przed laty, jak teraz piskłę —
Było przyniesione — do chaty.

Wzrastało samo.

Złotym marzeń zamkiem

Była czarna chata.

Tęczami barw — pleśń się mieniła...

Zielone mchy — w pałace rosły...

Pogwary leśne, — głosami

Sióstr, braci — mówiły...

Których nie znał —

A już czuł — Orle sierota. —

Promiennemi oczy

Wodząc dookoła.

Zapuszczał się w głębin las. —

Gonił strzałek chyże loty. —

Z niemą modlitwą

Stawał nad strumykiem,

Który księżycami zataczał srebrnemi —

Pluł białą-zieloną pianą...

I biegł — biegł — tam — gdzieś —

W nieznane! —

Raz, zoczył berbersu grona.

Siadł przy nich, — dając do całunku

Krucze włosów sploty —

Co mu się wiły aż na ramiona...

Innym znów razem,

Leżąc pod paprocią —

Schwytął małe zaje. —

W puszystą sierść,

Twarzyczkę wtulił —

Pijąc z niej ciepła dech.

Przerażone serce,

W dłoń cicho biło.

Zdziwił go ten wewnętrzny ruch. —

Rankiem — to już prawdziwy

Ogarniał go cud! —

Co się tam działo —

W tej otchłani leśnej!

Jaki głęboki szedł śpiew!

Jaka cudu modlitwa!

Jak ten bór grał! —

Orle sierota —

Szczęśliwym tu był. —

Czasem, krwią oko nabiegłe — Ojca
Na pacholęciu spoczęło...
Jakiś niepokój widocznie rósł...
Bo czarne skrzydła,

Rozstawiał szeroko,
Jakby nimi dziecko
Otoczyć chciał. —

A te, pełne wiary —
Dotykało krwawego dzioba...
Gładziło nastroszone pióra...
W ostre szpony rękę różową kładło...
— I śmiało się, — śmiało śmiechem — serdecznym...
Aż motyle i ptaki —
Do zaczarowanej zlatywały się chaty.

Tak trwało jeszcze kilka lat.

W jeden straszliwej burzy dzień, —
Z wichrem i piorunami
Walczył Orzeł czarny. —
Na ziemię go zrzucić chciały —
A on w obłokach — miał
Przerażone burzą — łapać ptaki. —

Walczył, — lecz zwyciężony
Wichru podmuchem wściekłym —
Nad morza brzegiem —
Na skałę niską siadł,
Tutaj, na szarym, mokrym piasku...
Żer zoczył. —
Błado-zielony, kobiecy, leżał
Trup! —
U lewej piersi czerwieniał się otwór.

Chwila — otwór się zwiększył.
Z szponami w ciele —
Dziobem sięgał serca!
Które falami umierającymi —
W krzyczącą jękami wicherów
Otehłań — płynęło. —
W chłód. — Wieczność. —

Jeden huraganu wiew!
Ryk morza! —
Zwycięski czarny ptak —
Spuszcza się groźny —
W swego zamku czarne ściany.
Swoją ofiarę, —
Krwawiące serce kobiety, —
Składa w ręce dziecka —
Które pełne wiary
Widzi w nim:
Czerwony, cudny kwiat! —
Namietnie go całuje —
Wciąga woń oddechem...
Pije ją...
Niebaczny, połyka
Czerwienią broczący szmat.
Naraz błędnie...
Rękami chwyta ojcowskich szpon —
Strzepi ręce młode —
Rzuca się w białe mchy...
Błędny oczy szukając —
Tego słońca — światel...
Tych śpiewów i woni...
Nie widzi nic!
Rozpacz. — Szarpiący we wnętrzu
Ból. —

Nagle — wypreża się —
Wstaje...
Srożną wyzwania dłoń —
Ku ojcu wznosi. —
Za słaby
Pada brocząc łzami.

Helena Dynowska.

Istal. 7/III 1909.



Konstanty Zmigrodzki.



Głód.



Myśl.

Artysta-rzeźbiarz Konstanty Zmigrodzki, już w latach dziecięcych okazywał wielkie upodobanie do sztuki i rzeźbił z kory sosnowej postacie ludzkie. Lecz dopiero po ukończeniu gimnazjum w Rydze oddał się całkowicie pracy na tym polu. Czas jakiś uczęszczał do szkoły rysunkowej bar. Szyglicy w Petersburgu, zaś w r. 1898 wstąpił do Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na wydział rzeźbiarski i kształcił się tu pod kierownictwem prof. K. Laszczki.

W czasie pobytu w Akademii stworzył szereg większych prac, jak „9-ta fala“, „Bajka“, „Stańczyk“, one przysporzyły artyście uznanie i rozgłos w szerokich kołach. Po ukończeniu Akademii, pracuje czas jakiś w Paryżu, zwiedza pracownię artystów: Rodin'a, Bucl'a i innych. Po powrocie zakłada pracownię w Petersburgu, lecz, smagany zwykłą dolą naszych artystów, zmuszony jest objąć w r. 1906 posadę nauczyciela rysunku w szkołach handlowych w Witebsku. Tu, a latem w uroczym Ławcowie (pow. Połocki), nie zaprzestaje pracy rzeźbiarskiej, a również gorąco się oddaje studjom historycznym i archeologicznym, jest czynnym członkiem Wit. Komisji Archeologicznej i Kustoszem jej muzeum.



Bajka.



Pokolenie.



Marzenie.



Przebudzenie.

Rzeźby Konstantego Zmigrodzkiego.



Gustaw Reutt *).

Z POWSTANIA 1863—4.

1. W Moskwie. W r. 1858 wstąpiłem jako student do uniwersytetu w Moskwie. W początku r. 1860 zostałem przyjęty do tajnego sprzysiężenia patriotycznego „Zakon polski“. Moim dziesiątnikiem był kolega Siedlecki. Przysięgę na tajemnicę i posłuszeństwo składałem przed inżynierem Kiniewiczem, którego wtedy po raz pierwszy widziałem. Z powodu należenia do tego związku żadnych czynności nie wykonywałem i żadnych poleceń nie otrzymałem. W końcu tego roku Siedlecki zawiadomił mnie, że dziesiątek jego został rozwiązany i pozostawił mnie swobodę dalszego postępowania—przypuszczam, że to zarządzenie nastąpiło z powodu mego zamiaru wyjazdu do mających się tworzyć legionów polskich we Włoszech.

2. Wyjazd z kraju. W końcu 1860 r. przybyli do Moskwy dwaj studenci uniwersytetu kijowskiego: Cezary Morawski i Włodzimierz Antoniewicz (późniejszy Antonowicz, profesor uniwersytetu kijowskiego) z zawiadomieniem, że mają się tworzyć we Włoszech legiony polskie pod dowództwem generała Mierosławskiego. Prawie wszyscy studenci uniwersytetu Polacy oświadczyli gotowość udania się do Włoch. Mnie było łatwo dostać pożyczkę kilkaset rubli. Napisałem do ojca prośbę o zapłacenie długu i o przebaczenie za nagły i bez pozwolenia wyjazd i w początku stycznia 1861 r. z dwoma kolegami, Wacławem Ambrożewiczem i Rostkowskim, wyjechaliśmy z Moskwy.

*) Gustaw Reutt, syn Tomasza i Katarzyny z Sobolewskich, ur. w 1842 r. w Mosarzu koło Sierocina gub. witebskiej. Gimnazjum skończył z odznaczeniem w Witebsku. Następnie był na uniwersytecie w Moskwie na wydziale matematycznym, skąd na wieść o utworzeniu się polskich legionów wyjechał do Włoch w r. 1861. W przeciągu 2 lat pobytu za granicą był w szkole polskiej wojskowej w Genui i brał udział w pracach przygotowawczych do powstania. Z początkiem r. 1863 wrócił do kraju, brał udział w powstaniu i był ciężko ranny w nogę. Po wyleczeniu się z rany, w r. 1865 wstąpił do szkoły wojskowej w Metz we Francji, poczem w r. 1868 przyjechał do Galicji, gdzie początkowo w Krakowie, a potem we Lwowie pozostał w służbie krajowej, jako inżynier, do r. 1900. Dotknięty ciężką chorobą zmarł d. 8/II 1902 r. we Lwowie.

Później się dowiedziałem, że między kolegami znaleźli się rozważniejsi i wstrzymali ogólny wyjazd, a posłali za legalnym paszportem kolegę Karola Kalinowskiego do Paryża dla zbadania sprawy. Gen. Mierosławski wstrzymał wyjazd do legionów, których formacja, po ukończeniu wojny neapolitańskiej, nie mogła się nawet rozpocząć.

Za paszportem, wziętym na moje imię w sprawach rodzinnych do Ekaterynosławia, ja i moi dwaj koledzy pocztą dojechaliśmy do Kijowa. Studenci kijowskiego uniwersytetu (Dobrowolski, Wł. Henszel, Wileżyński...) radzili, ażeby wstrzymać się z wyjazdem, że pewnych wiadomości o legionach niema, ale wtedy miałem lat 19. Rostkowski został, a mnie z Ambrożewiczem koledzy kijowscy wyprawili dalej pocztą obywatelską od dworu do dworu — najprzód do Wasilkowa do Padlewskiego (ojciec Zygmunta, zabity w powstaniu), potem do Czekańskiego pod Machnówką, następnie dwa dwory Potockich, nakoniec do Bronikowskiego w Bessarabii. Bronikowski porozumiał się ze Strumią, furmanem w Kamieńcu Podolskim. Przyłączyli się do nas Cybulski z uniwersytetu moskiewskiego, Hryniewicz, dawny kozak Sadyka-paszy, Gawroński i Hołyński, ludzie starsi, nie wiem, w jakim celu dawniej wyszli z kraju. W lutym, w nocy, przemytnicy za pieniądze przeprowadzili nas przez Prut, po lodzie do nadgranicznej wioski w Mołdawii.

3. W Mołdawii. W karczmie mołdawskiej wynajęliśmy sanki dla odwiezienia do pierwszego miasteczka. Mołdawianin, mówiący nieco po rosyjsku, wioził nas granicą po zamarzniętym Prucie. Nagle koło komory mołdawskiej raptownie skręcił — wyskoczyło kilkunastu żołnierzy mołdawskich i zostaliśmy uwięzieni.

Następnie, po spisaniu protokołu, pod eskortą odwieziono nas do miasteczka Dorohoj i osadzono w areszcie miejskim. Byliśmy zamknięci, ale było nam dobrze. Mołdawianie przychodzili nas oglądać — jakiś aptekarz Polak przysyłał nam obiady. W kilka dni przybyli w podobny sposób studenci petersburskiego uniwersytetu Kurniewicz, Żeleszkiewicz i Jabłonowski. Do protokołu, który rząd mołdawski spisał, podaliśmy otwarcie, że wyemigrowaliśmy w celu wstąpienia do legionów polskich, formujących się we Włoszech. Po kilku dniach przewieziono nas do Botuszan i pozwolono mieszkać w hotelu i swobodnie przechadzać się po mieście. Zdaje się, że rząd mołdawski z początku wahał się, co z nami zrobić i podobno na przedstawienie konsulów francuskiego i angielskiego, zdecydował się po paru tygodniach nas odesłać do Turcji.

Było nas dziewięciu. W wynajętych dwóch brykach żydowskich, w towarzystwie dwóch żandarmów, dojechaliśmy do Gałacu. W tym czasie odjeżdżała partya Węgrów (paruset) do Włoch, do legionu węgierskiego. Rząd mołdawski wsadził nas na ten sam okręt, którym odpływali Węgrzy i w ten sposób pozbył się nas.

Ochotnicy węgiersey byli weseli, pełni otuchy i dobrej nadziei, dużo z nich mówiło po polsku, a w każdym razie po francusku lub po niemiecku można było z nimi się rozmówić. Dobrze było nam z nimi.

W Konstantynopolu Węgrów przesadzono na inny okręt — my przenieśliśmy się razem z nimi i zameldowaliśmy kapitanowi okrętu, że jesteśmy Polakami; na innych prawach chcemy się udać do Włoch i prosimy o pozwolenie zostania na okręcie. Kapitan oświadczył, że przybędzie poseł włoski i ten zdecyduje. P. poseł rozkazał bezwzględnie wysiąść na ląd.

4. W Turcji. Gdy tylko wysiedliśmy na ląd, podszedł jakiś Turek, rodzaj urzędnika, zaprowadził nas do wąskiej, małej uliczki i prosił, ażebyśmy się zatrzymali. Wkrótce nadszedł poseł włoski i zaczął nas przeproszać za niegrzeczne obejście się na okręcie, tłumacząc, że wobec agentów rządu rosyjskiego, którzy na okręcie byli, nie mógł z Polakami inaczej postąpić — przyrzekł w inny sposób ułatwić nam przejazd do Włoch i polecił nas odprowadzić do zajazdu, utrzymywanego przez Polaka (Janka).

Na drugi dzień przybył do nas Przeździecki, emigrant z 31 r. (inżynier, pułkownik w służbie tureckiej), podobno zawiadomiony przez posła włoskiego, i wziął nas w opiekę wspólnie z innymi Polakami, zamieszkałymi w Konstantynopolu.

Do Konstantynopola zaczęli przybywać nowi emigranci, przeważnie studenci uniwersytetów. Zebrało się nas około trzydziestu. Przeździecki w rozmaity sposób po kilku wysyłał do Włoch.

5. Droga do Włoch. Ja, z kilku kolegami (Olszewski Hilary, Nowacki Leon, Kalinowski Kazimierz, Judycki Józef, Narbutt Franciszek z uniwersytetu petersburskiego...), w kwietniu dostaliśmy się na angielski kupiecki olbrzymi okręt, który podjął się nas zawieźć na wyspę Maltę za bardzo małą opłatą. Z tej podróży przytaczam dwa charakterystyczne wypadki. W Smirnie okręt zatrzymał się 10 dni dla ładowania towarów. Prawie codzień wysiadaliśmy na ląd dla zwiedzania miasta i okolicy. Raz poszliśmy do fryzjera Włocha dla uporządkowania swych czupryn. Po załatwieniu się ciekawy Włoch zaczął rozpytywać skąd się wzięli ci dziwni, dziwacznie ubrani ludzie, gdy się dowiedział, że to Polacy, jadący do Włoch, tak się rozczulił, tak nas zaczął ścisnąć, karmić i poić, że długo nie mogliśmy się wyrwać od niego. Generalny konsul włoski w Smirnie z powodu rocznicy narodowej urządził wielkie przyjęcie u siebie i, za pośrednictwem kupca Polaka, osiadłego w Smirnie, nas zaprosił; prawie zmuszeni byliśmy przyjść. Konsul, w obecności wielkiej ilości dygnitarzy, przyjął nas bardzo serdecznie patryotyczną przemową o braterstwie narodów, o obowiązkach oswobodzonych Włoch do pomagania innym uciśnionym narodom. W całym dawnym królestwie neapolitańskim, świeżo oswobodzonym, patryotyczny zapał był podniesiony do niezwykle wysokiego stopnia. Wszelkie pozdrowienia pomiędzy młodymi i starymi mężczyznami i kobietami zaczynały się i kończyły okrzykami: „Vivo Garibaldi!“ i „Italia Una“. Okręt angielski, w drodze do Gibraltaru, wysadził nas na wyspie Malcie. Tam jakiś Włoch, do którego mieliśmy list rekomendacyjny, ułatwił nam tanie wynajęcie miejsca na okręcie do Messyny.

6. W Messynie. zaczęliśmy poszukiwać sposobu dostania się do Neapolu—do tego czasu było nam dość wygodnie i nie głodno, ale okazało się, że nasza wspólna kasa już jest prawie zupełnie wypróżniona.

Przechadzając się po Messynie i oglądając za sposobem dalszej bezpłatnej podróży, na ulicy spotykałem mego stryja Jana*), który, na prośbę mego ojca, przez Moskwę, Mołdawię Konstantynopol poszukiwał mnie i dopędził w Messynie. Położenie nasze odrazu się zmieniło na dobre—był obiad dobry i wynajęte miejsce na okręcie do Neapolu.

7. W Noli. Dla oszczędności osiedliśmy w Noli, małym miasteczku w pobliżu Neapolu. Wynajęliśmy ogromny pokój w ruinach jakiegoś domu z otworami, gdzie w dość odległej przeszłości były prawdopodobnie okna, drzwi. Po paru dniach było nas 18-tu, a prócz tego kilkunastu już poprzednio wstąpiło do legionu węgierskiego, który stał w Nocerze.

Wojna neapolitańska już była ukończona, nie wiedzieliśmy co z sobą robić. Wkrótce przybyło znowu kilkunastu kolegów, więc musieliśmy donająć drugi pokój w tym samym domu, i po wspólnej naradzie wysłaliśmy dwóch delegatów, Olszewskiego i Nowackiego, do Paryża dla naradzenia się z gen. Mierosławskim i młodzieżą, znajdującą się w Paryżu, co dalej robić. Delegaci nasi wrócili z Paryża z zasiłkiem pieniężnym i radą, aby czekać dalej, nim się co

*) Jan Reut, syn Romualda, rodem z Tadulina (pow. łepelski), był przed powstaniem urzędnikiem w kanclerstwie w Leplu. Gdy na prośbę brata swego, Tomasza, wyjechał odszukać synowca, za granicą znalazł się w gronie młodzieży, myślącej tylko o odbudowaniu ojczyzny. Po powrocie do kraju wstąpił w szeregi powstańcze. Nieliczny oddział, zebrany w lesie pod Leplem, zaskoczyło wojsko rosyjskie, zanim młodzież nieprzygotowana zdołała stawić opór, uległa przemagającej sile i musiała się poddać. Jan Reutt, ciężko ranny, jęczał tak strasznie, że go żołnierze, przed dowiezieniem do Lepla, kolbami dobili.

nie wymyśli. W początkach naszego pobytu w Noli przybyli do nas Karski, współpracownik dziennika „Popolo” i Kramer, uczestnik walk garibaldiowskich. Za namową Kramera wysłaliśmy przedstawienie do Garibaldiiego; zredagował je Karski w ognistych wyrazach, zaczynało się od słów: „La Pologne est une poudrière—il faut une étincelle pour la faire éclater“....

Czy z powodu tego przedstawienia, czy wskutek osobistego przedstawienia Kramera Garibaldiemu, czy wogóle z powodu rozbudzonego entuzjazmu Włoch i zwrócenia uwagi na kilkudziesięciu awanturników, zawiązał się komitet w Genui (którego główną sprężyną był Dr. Occipinti i który uzyskał dom dla nas na mieszkanie w Genui („Casa biancheti“), zebrał pieniądze i zaproponował przeniesienie się do Genui.

8. Projekt wyprawy morskiej do Połagi. Nim komitet się utworzył i nim nas przewieziono do Genui, parę miesięcy mieszkaliśmy w Noli, zwiedzając okolice Neapolu, Pompeę, Wezuwiusz, Nocerę, gdzie stał legion węgierski i t. d. Bardzo często przychodził do nas Kramer i wyciągał nas na przechadzki, na wino, na gawędki, starając się zbliżyć i lepiej poznać. Z tego powodu muszę go bliżej opisać. Józef Kramer miał lat trzydzieści parę, małego wzrostu, silny brunet, znał bardzo dobrze język włoski, francuski i niemiecki, miał paszport poddanego szwajcarskiego jako inżynier cywilny—pochodził podobno z Poznańskiego. Podczas wojny włoskiej był agentem Garibaldiiego; jako handlarz zegarków umiał się wcisnąć do obozu nieprzyjacielskiego i zbadać siłę i położenie wojsk. Był to typ rewolucjonisty, konspiratora, dla którego Garibaldi i Mazini byli wzorami i, zdaje się, dobrymi znajomymi. Kramer po zbliżeniu się i poznanymieniu z nami wybrał czterech: Olszewskiego, Wisłoucha, Buchowieckiego i mnie, wyprowadził na ustronną przechadzkę i zaproponował urządzić wyprawę do Połagi na wzór wyprawy marsalskiej. Plan Kramera był następujący: pod różnymi pozorami—uczenia się musztry, wypłaty żołdu i t. p. zebrać jak najwięcej Polaków do jednego miasta włoskiego n. p. Genui i przy pomocy Garibaldiiego i Maziniego przygotować okręt i broń—a gdy wszystko będzie gotowe, urządzić jakąś wielką awanturę n. p. jakąś wielką bójkę w cukierni, połamanie mebli, potłuczenie luster i t. d. Rozgniewani, a w części udający zagniewanych Włochi wypędzają wszystkich Polaków i wsadzają na okręt celem odesłania do Anglii, jedyne w Europie kraju, gdzie przyjmują wszystkich awanturników politycznych. Raz będąc zgromadzeni, a właściwie uwięzieni na okręcie, można, zamiast do Anglii, wylądować na wybrzeżach morza Bałtyckiego, w okolicach Połagi. Projekt ten był właściwie naśladownictwem tak świetnie i z tak znakomitą skutkiem wykonanej wyprawy marsalskiej. Projekt nie był nowy, bo już w r. 1831 miał zamiar coś podobnego urządzić Jerzmanowski. Projekt nie był tak zły, albowiem późniejsza wyprawa pułkownika Łapińskiego była przedsięwzięta w znacznie gorszych warunkach. W r. 1861 było w Paryżu paruset młodzieży polskiej. We Włoszech było paruset Polaków, którzy, jako ochotnicy pod Garibaldim, mieli udział w wojnie neapolitańskiej—na wschodzie dużo było Polaków z wojny węgierskiej z pod Bema i Wysockiego. We Francji również dużo było emigracyi różnego rodzaju. Pomiędzy tymi było dużo wytrawnych i dobrych żołnierzy. Pod rozmaitemi pozorami można było nagromadzić ich w Genui znaczłą liczbę—oprócz kilku wtajemniczonych, ogół mógł nie wiedzieć o dalszych zamiarach. Pomoc Garibaldiiego była pewna, a może bardzo skuteczna, a nawet tajemna pomoc króla i rządu włoskiego, także była prawdopodobną—wszakże w parę miesięcy rząd włoski nie wahał się zezwolić na założenie szkoły wojskowej polskiej i na ten cel znaczne fundusze przeznaczył. Tajemnica łatwo mogła być zachowana, przygotowanie okrętu i broni na rozkaz Garibaldiiego było bardzo łatwe i niktby nie badał, w jakim celu to się robi. Z Polaków bardzo niewielu potrzebowało być wtajemniczonych, ogół zaspokojonoby pozorami. Mogłaby być szkoła, ta szkoła, z powodu awantur, czy na zażalenie konsula rosyjskiego, mogłaby być zwinięta, rozwiązana lub przeniesiona (zamiast do Cunco) do Anglii lub Ameryki — a w rzeczywistości na brzegi żmudzkie; kilkuset, a może 1000—2000 doświadczonych i wyćwiczonych żołnierzy z uz-

brojeniem na kilkanaście tysięcy, po wylądowaniu na ziemię polską zupełnie niespodzianie, mogło w krótkim czasie posunąć się w głąb kraju i stanowić dobre kadry dla kilkunastotysięcznego oddziału.

W sprawie tego projektu, oprócz nas czterech, w Paryżu byli wtajemniczeni Langiewicz (późniejszy dyktator), Lewandowski (późniejszy dowódca w powstaniu) i Czapski (późniejszy generał).

W celu doprowadzenia tego projektu do skutku, zamiarem Kramera było, ażeby udać się do kraju dla umówienia się z miejscowymi patryotami, aby poczynili odpowiednie przygotowania na przyjęcie wyprawy i dostarczyli część środków dla pokrycia kosztów jej wykonania, ja otrzymałem polecenie udania się do Wilna dla porozumienia się z kapitanem Zwierchowskim (późniejszy pułkownik Topor). W tym czasie komitet Occipintiego uzyskał nam wolny przejazd razem z wojskiem włoskiem do Genui i otrzymaliśmy bardzo wygodne i obszerne pomieszczenie w Genui.

9. Wyjazd na Litwę. Wkrótce potem z Kramerem i moim stryjem wyjechaliśmy do Paryża. Stryj wrócił do kraju, ja czas jakiś zostałem z Kramerem w Paryżu. W tym czasie podobno Olszewski wyjechał do Królestwa, a Buchowiecki na Ruś. Kramer w Paryżu zaprowadził mnie do Langiewicza, zastaliśmy go śpiącego na dywanie na podłodze, a wygodne łóżko było nietknięte—jako tłumaczenie się powiedział, że łóżko dla żołnierza jest za wygodne, trzeba się hartować. Langiewicz zrobił na mnie wrażenie uosobienia energii i zawziętości, ale nie wzbudził sympatii. Lewandowski zaś zrobił wprost przeciwne wrażenie. Kramer był stanowczym przeciwnikiem Mierosławskiego, ale chciał pozyskać dla swego projektu Oskara Aweyda. Poszliśmy do niego, ale gdy Aweyda, jakkolwiek przyznawał wady Mierosławskiemu, jednak oświadczył, że bez niego do żadnych robót należeć nie będzie—dalsze porozumienie z Aweydą zerwane zostało.

Kramer wy dostał dla mnie legalny paszport rosyjski (jako młody Czujko, syn generała rosyjskiego, wracający do kraju). Do Królewca jechałem razem z Kramerem, zatrzymaliśmy się trochę w Kolonii i Berlinie. Podziwiałem w Kramerze umiejętność rozmawiania z każdym kupcem, rzemieślnikiem, policyantem, zdolność zastosowania się do stopnia ich wykształcenia i przedstawienia siebie jako nic nie znaczącego człowieka. Pieniądzy na obu nas mieliśmy mało—Kramer miał jechać przez Poznańskie do Warszawy. W Królewcu, gdy siedziałem już w wagonie, Kramer powiedział, że on ma więcej doświadczenia i łatwiej bez pieniędzy da sobie rady i gdy pociąg ruszał, położył na mojej ławce 30 talarów i oddalił się.

10. Na Litwie. Na granicy paszport okazał się dobry, syn generała, dobrze mówiący po rosyjsku z akcentem moskiewskim, nie wzbudził podejrzenia. W Wilnie odszukałem kapitana Zwierchowskiego i opowiedziałem poco i z czem przyjechałem. Zwierchowski przedewszystkiem sprawdził wiarogodność mej osoby przez sprowadzenie mego kolegi z Moskwy, Ciechanowskiego, następnie oświadczył że jest przeciwny naszej wyprawie morskiej, że Litwa nieprzygotowana i nie chce teraz powstania. Właściwie moje polecenie wypełniłem i mógłbym wracać, ale chciałem przy sposobności odwiedzić różnych kolegów i moich rodziców. Na ulicy w Wilnie spotykałem najniespodzianie stryja, którego przed kilkunastu dniami pożegnałem w Paryżu. Nie spytał się mnie nawet co robię, ale nakarmił i ofiarował mnie swój dokument, rodzaj paszportu, za którym można jeździć wewnątrz kraju. Jeździłem po kraju parę miesięcy od jednego do drugiego kolegi, od Słucka do Szawel, zmieniając kilkanaście razy nazwisko; w domu być nie mogłem, ale z rodzicami się widziałem i dostałem zasiłek kilkuset rubli.

Zwolenników naszego projektu nie znalazłem na Litwie—ogólne przekonanie było, że powstanie jeszcze jest przedwczesne, że lud nieprzygotowany. O wojnie włoskiej, o wyprawie marsalskiej wiedziano tylko z cenzuralnych gazet, zatem pojęcie o tem było niejasne i nie wzbudzające żadnego zapалу.

Ostrzeżono mnie, że policja rosyjska mnie poszukuje; jeden z obywateli nadgranicznych ułatwił mi przejście granicy do Prus wschodnich—dostałem się do Królewca, do wskazanego mi poczwiwego Niemca, fabrykanta Johansona, który mi ułatwił dostanie paszportu, za którym dojechałem do Genui.

II. W szkole wojskowej. Znalazłem się pomiędzy dawnymi kolegami z Noli. Olszewski i Buchowiecki już przedtem wrócili z podobnym memu rezultatem. Szkoła już była zorganizowana pod dowództwem gen. Mierosławskiego. Musztry i nauki wojskowe odbywaliśmy pilnie. Tak było do końca roku 1861. Mierosławski wykładał geografię wojskową Polski, urządzał czasem wieczorki z ponczem i ze śpiewami, przeplatane jego mówkami. Był to człowiek bardzo wykształcony, podług wyrażenia jednego Francuza, umiał wszystko — od talmudu do astronomii, bardzo dobry mówca, szczególnie mowy okolicznościowe, przypadkowe polskie i francuskie były dobre, silne i zwięzłe; w mowach przygotowanych było za dużo napuszonych frazesów. Ale z drugiej strony był to samolub, niezwyklej ambicyi, lekceważący swych zwolenników, nieubłagany i bezwzględny dla tych, którzy mu się sprzeciwiali albo nawet byli mu tylko obojętni.

Część uczniów szkoły przyłgnęło do generała, stali się jego tak zwanymi „gwidami“ i krzywo zaczęli patrzeć na tych kolegów, którzy dla generała okazywali pewną obojętność—intrzygi i plotki zaczęły się rozkrzewiać, których dalszym wynikiem było kilka pojedynków—i miał być pojedynek poręcznika Langiewicza (prof. artyleryi) z uczniem Gustawem Wasilewskim. Wasilewski z dochodzeń w Paryżu przekonał się, że co słyszał i mówił o Langiewiczu było nieprawdą i wymysłem Mierosławskiego — odwołał swe zarzuty i do pojedynku nie przyszło.

W końcu 1861 r. Mierosławski chciał wydać odezwę, potępiającą gen. Rybińskiego i chciał abyśmy tę odezwę podpisali. Możeby nawet można było skłonić do tego, gdyż, nie znając ani historyi, ani zasad wojennych, nie mogliśmy pojąć, że można ustąpić z kraju z armią kilkudziesięciotysięczną, i możebyśmy potępił takiego generała, ale Mierosławski chciał, abyśmy potępił gen. Rybińskiego nie tylko od siebie, ale w imieniu kraju. Do występowania w imieniu kraju nie czuliśmy upoważnienia i około trzydziestu odmówiło podpisu. Wtedy Mierosławski wpadł niezwykle rozdrażniony, krzycząc, że szkołę rozwiąże. Oświadczyliśmy, że my ustąpimy ale prosimy o utrzymanie szkoły nadal. 25 ustąpiło ze szkoły (Ambroziewicz Wacław, Buchowiecki, Czapiński Leopold, Judycki Józef, Ignacy Kurniewicz, Nowacki Leon, Olszewski Hilary, Kalinowski Kazimierz, Dżuganowski, Małagowski, Malinowski, Stoch, Narbutt Franciszek, Stępkowski, Szpyrza, Horski, Wolman Jakób, Żeleszkiewicz Joachim, Wysocki Leopold, Cybulski, Wisłouch, Wasilewski Gustaw, Sztancel, Lamusiewicz, ... i ja).

Z tych wszyscy brali potem udział w powstaniu, prawie wszyscy ranni, ośmiu zabitych.

Zdawało się nam i było uzasadnione, że ruch rewolucyjny w Polsce, rozpoczęty spiskami, modlitwą i męczeństwem, musi się skończyć zbrojnym powstaniem, dlatego chcieliśmy być na każde wezwanie gotowi i jak najbliżej granic Polski—dlatego chcieliśmy się przenieść do Mołdawii. Gen. Mierosławski wystarał się nam o bezpłatny przejazd do Konstantynopola i o zapomogę pieniężną na pierwsze potrzeby; dla załagodzenia sporu i gładkiego pozbycia się nas odegrał następną komedię. Swoim zwolennikom, „gwidom“, przedstawił, że ze względów politycznych potrzebował mieć na wschodzie zastęp ludzi wypróbowanych, tęgich. Nie znając nas, chciał, żeby się sami wybrali, dla tego sam umyślnie udał potrzebę odezwę o Rybińskim, udał groźbę rozwiązania szkoły i czekał, kto się mu oprze i dobrowolnie ustąpi. Po takim przedstawieniu, nieprzyjaźni nam koledzy stali się na razie naszymi przyjaciółmi i zamiast być wydaleniem po uczcie pożegnalnej, po wysłuchaniu entuzjastycznych mów Mierosławskiego, kolegów i Włochów 10 stycz. 1862 r. zostaliśmy w tryumfie odprowadzeni na okręt przy okrzykach paru tysięcy Włochów, zebranych nad brzegiem, którym się zdawało, że to nowa wyprawa wojenna.

Kapitan okrętu robił nam różne dogodności, a gdyśmy przesiadali w Messynie na inny okręt, pożegnał nas wystrzałami działowemi (23 nas odpłynęło na wschód, Wasilewski i Czapieński udali się do Paryża).

12. W Multanach. W Konstantynopolu znowu udaliśmy się pod opiekę starego Przeździeckiego i częściami, po kilku w różny sposób przesiedlaliśmy się do Multan. Ja, w towarzystwie 5 kolegów, kupiliśmy miejsca na okręcie, płynącym do Kustendzi. W Warnie wysiedliśmy dla odwiedzenia Achmetowicza, wychodząc z r. 1848, Tatara-Litwina. Przyjęcie tak było gościnne i obiad tak długi, że spóźniliśmy się na okręt, odpłynął i zabrał nasze łomoki.

Trzeba było dalej ruszyć piechotą. Podróż była uciążliwa, nie było co dźwigać, ale zima była ostra, a ubranie niedostateczne; pochód odbywał się wzdłuż linii telegraficznej, odpoczynki i noclegi po wsiach bułgarskich (za pieniądze), tureckich (darmo), czerkieskich (emigranci z Kaukazu, mówiący po rosyjsku, gościnnie nas przyjmowali), we wsiach tatarskich nie można było dostać ani posiłku ani noclegu, (raz uratował nas od zmarznięcia Ukraińiec — dezertier z wojska rosyjskiego, zamieszkały na końcu wsi tatarskiej). W Bałkanach zawieje śnieżne wstrzymały nas trzy dni. Nakoniec, po mozolnym pochodzie, z odmrożonemi rękami i nogami dostaliśmy się do Kustendzi.

W Kustendzi znaleźliśmy kilku Polaków, którzy nas ugościli i wynajęli brykę żydowską, którą dojechaliśmy do Tulczy. Z Tulczy znowu piechotą przez zamarznięty Dunaj, Izmajłów, Jassy do Botuszan.

W Botuszanach była główna nasza kwatera. Zebrało się nas kilkudziesięciu i porozumieliliśmy się z Miłkowskim w Michalenach, który marzył o wielkiej wojnie ze wszystkimi naraz państwami zaborcami, rozpoczynając zdobyciem Czerniowiec, darowaniem Bukowiny, manifestem polskim Mołdawianom, a następnie tryumfalnym pochodem zdobywania po kolei: Lwowa, Lublina, Warszawy. Było to marzenie żołnierza—poety, w owym czasie dziwaczne i niepraktyczne.

Dla zdobycia chleba rozproszyliśmy się po różnych wsiach i miasteczkach, szukając zajęcia i zarobku po rzemiosłach i gospodarstwach. Na wiosnę przyszła wiadomość od kolegi Korylski, pozostałego w szkole genueńskiej: „Wzburzenie w szkole jest takie, jak przed waszym wyjazdem; przygotujcie nam kwatery w Multanach“. Z tego powodu wysłano mnie do Gałacu na spotkanie nowego transportu Genueńczyków, ale nikt nie przyjechał (Mierosławski ustąpił, komendę szkoły objął gen. Wysocki i nastąpiła zgoda).

13. Podróż do Królewca. W Gałacu pracowałem u stolarza Polaka kilka miesięcy, gdy otrzymałem list z domu, abym przyjechał do Frankfurtu nad Menem dla widzenia się z ojcem. Pieniądze dla mnie miano posłać do Paryża.

Po spieniężeniu rewolweru i zegarka dostałem tyle, aby przez Konstantynopol i Marsylię dostać się do Paryża. W Paryżu znalazłem pieniądze, przesłane przez ojca. Mój paszport, który otrzymałem od rządu włoskiego, gdy nas wyprawiono z Genui, musiałem zanieść do wizy dla przejazdu do Niemiec. Konsul pruski zawizował mój paszport bez żadnej trudności.

We Frankfurcie spotkałem się z ojcem i, korzystając ze względów konsula pruskiego, pojechałem do Królewca. W Królewcu znowu wstąpiłem na dalszą naukę do stolarza.

W końcu 1862 r. komisarz komitetu centralnego, Demontowicz, zachorował w Królewcu i posłał mnie do Jełowickich, w okolicach Torunia, dla odwiezienia pieniędzy.

W domu Jełowickich spotkałem się z Langiewiczem, od którego się dowiedziałem, że komitet centralny odniósł się do emigracyi w Paryżu o przysłanie 10 oficerów, że on jedzie do Warszawy i że mnie czas także udać się do Kraju. Do Królewca musiałem wrócić dla zdania sprawy Demontowiczowi z mojej podróży. Znalazłem tam drugiego komisarza komitetu centralnego, Teodora Jackowskiego, który oświadczył, że jedzie do Warszawy i mnie zabierze

14. **Powrót do Kraju.** W początku stycznia 1863 r. wyjechaliśmy z Jackowskim z Królewca koleją, następnie pocztą do jakiegoś małego miasteczka nadgranicznego. Jackowski wysłał kartkę do p. Grabowskiego, który mieszkał za kordonem nad granicą; w parę godzin przychodzi posłaniec z zawiadomieniem, że pani Grabowska jest chora i wzywa doktora.

Strażnicy rosyjscy przeprowadzają nas o zmroku, Jackowskiego jako doktora, a mnie jako cyrulika i przenoszą nasze tłumoki. Opisuję te szczegóły dla dania pojęcia o potędze organizacyi narodowej. Jackowski wiedział o Grabowskim, ale go nie znał, dopiero po przyjeździe pokazał mu małą kartkę na cienkim papierze, z pieczęcią narodowego komitetu centralnego, wzywającą wszystkich obywateli do udzielenia pomocy okazicielowi.

Grabowski radził udać się do burmistrza sąsiedniego miasteczka, który należy do sprzysiężenia, dla uzyskania legalnych paszportów do Warszawy; mówił także, że pomiędzy strażą są należący do sprzysiężenia i broń przez granicę przenoszą. Na drugi dzień rano Grabowski odesłał nas do sąsiedniego miasteczka. Udaliśmy się do magistratu, zastaliśmy burmistrza w mundurze i kilku poważnych radnych. Jackowski poprosił burmistrza do drugiego pokoju okazał mu kartkę komitetu centralnego i prosił o paszporty. P. burmistrz wraca i głośno każe pisarzowi pisać dla nas paszporty. Okazało się, że nie tylko burmistrz, ale i wszyscy radni i pisarz i woźny należą do sprzysiężenia.

Paszporty na przejazd do Warszawy były zupełnie legalne. Jackowski, lat 40, kulawy, właściciel dóbr, a ja, jako Antoni Bulwicz, uczeń VII kl. gimnazjum. Przed wyjazdem z Królewca kupiłem za 10 talarów od znajomego Niemca, handlarza drzewa, paszport do Warszawy, ale rysopis nie był odpowiedni i nie umiałbym Niemca udawać. Miałem paszport lepszy, ale Jackowski chciał także i ten zużytkować, dlatego na stacyi kolejowej w Ejdkunach po jakichś znakach Jackowski poznał, że jeden z urzędników należy do sprzysiężenia i temu urzędnikowi oddał paszport pruski dla zaopatrzenia go we wszystkie pieczęcie graniczne dla umożliwienia zużytkowania przy sposobności.

W Warszawie byłem kilka dni, widziałem się z Oskarem Aweyda, który polecił mnie jechać do Radomia i dał polecenie do Langiewicza od komitetu centralnego na pasku cienkiego papieru, który wszyłem do krawatki. Zastąłem Langiewicza w Radomiu (Langiewicz przybył z Poznańskiego i nie słyszałem o przejściach, jakie Berg w zapiskach podaje, a dowiedziałbym się, gdyby coś podobnego było). Langiewicz był mianowany naczelnikiem województwa Sandomierskiego i zaczął się krzątać około przygotowań do powstania. Polecenie, które mu przywiozłem, odnosiło się do porozumienia Langiewicza z naczelnikiem województwa Krakowskiego, Kurowskim, co do wspólnego działania. Spotkanie naznaczone było na 17 stycznia 63 r. w Kielcach. Langiewicz do Kielc zabrał mnie i Wład. Barzykowskiego. Pod Kielcami stała bateria dział pod strażą dwóch żołnierzy. Langiewicz, spoglądając na działa poządlawem okiem artylerzysty, powiedział: „gdyby to można zabrać”. Ja z Barzykowskim zostaliśmy w zajeździe, Langiewicz wrócił z konferencyi z Kurowskim bardzo rozdrażniony, zaczął narzekać że Kurowski nie chce rozpoczynać powstania. Gdy zaproponował, aby swych spis-kowych oddał mu do rozporządzenia, nie zgodził się na to; gdy mu zaproponował, aby przynajmniej zabrał działa, które za miastem stoją, odpowiedział, że nie umie się z działami obcho-dzić; gdy mu zaproponował, aby pozwolił mu te działa zabrać, odpowiedział, że to jest w jego województwie.

Nie byłem świadkiem rozmowy Kurowskiego z Langiewiczem, ale powtarzam, com słyszał od Langiewicza bezpośrednio po tej rozmowie.

Wkrótce przybył kurier narodowy i oddał Langiewiczowi kartkę. Langiewicz przeczytał, zbladł i przeszedł się parę razy po pokoju — najprzód podeszedł do Barzykowskiego i szepnął mu parę słów, a potem podeszedł do mnie i również szepnął: „powstanie 22-go”. Przechadzał

się czas jakiś, potem zaczął narzekać, że brak dostatecznego przygotowania w Komitecie centralnym. Mówiono, że znajdzie paki z bronią, żadnej nie znalazł, nawet kos niema, Kurowski nie chce robić i nie chce oddać mu swoich spiskowych. Komitet wezwał 10-ciu oficerów z Francji, przybyło tylko 3 (Lewandowski, Czapski i Langiewicz), ale narzekanie swe zakończył, że my musimy być posłuszni i robić co nam kazano.

15. Przygotowania. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. Zaraz wyjechaliśmy z Kiele, wstąpiliśmy do Suchedniowa, do Klimaszewskiego (później majora), do Jana Prendowskiego w Szydłowcu (później rotmistrza) i do Radomia. Fabrykę broni założono w Mircu, u Józefów Prendowskich, na dziedzińcu osadzano kosy, naprawiano broń t. j. kilkanaście lichych strzelb (przeważnie pojedynki, przywiązywane sznurami), lano kule—dziedziniec był strzeżony przez włościan sprzysiężonych.

W ciągu tych kilku dni przed powstaniem straż złapała jednego dymisyonowanego żołnierza, który wydał się podejrzanym, zamknęto go w osobnym pokoju, dano mu wygody, ale pozostał pod strażą aż do powstania.

Podług planu Langiewicza w wojew. Sandomierskiem wybuch miał nastąpić w 7, czy 9 punktach.

Byłem świadkiem umowy co do napadu w Ilży i Skoryszowie. Kapitan Kochanowski, należący do sprzysiężenia, dowodził kompanią piechoty rosyjskiej w Ilży — miał wezwać całą swą kompanię do swej kwatery (w ogromnej karczynie) dla odczytania jakiegoś rozporządzenia rządowego; broń całej kompanii miała pozostać w rynku, w kozłach, pod strażą dwóch żołnierzy. O zmroku mieliśmy napaść na tych żołnierzy, rozbroić ich i zwięzać, i ze zdobytą bronią uderzyć na karczmę, w której się miał znajdować kap. Kochanowski ze swymi żołnierzami bezbronnymi. Dwóch podejrzanych oficerów miało być poprzednio pod jakimś pozorem aresztowanych, a znowu jakiś zaufany podoficer miał zaproponować poddanie się bezbronnym żołnierzom rosyjskim przed powstańcami, uzbrojonymi w moskiewskie karabiny. Kochanowski zaklinał, aby unikać krwi rozlewu, nie chciał, aby żołnierze z jego kompanii padli ofiarą pierwszego wybuchu. Po kapitulacji kompanii ilżeckiej kap. Kochanowski miał objąć dowództwo nad oddziałem powstańczym i jeszcze w nocy 22-go uderzyć na kompanię wojska rosyjskiego, znajdującą się w Skoryszowie.

Byłem z Langiewiczem w Ilży i oglądaliśmy plac i karczmę.

Ten dobrze obmyślany projekt nie przyszedł do skutku z powodu, że Kochanowski ze swą kompanią na dwa dni przed powstaniem został przeniesiony do Radomia.

Ze wszystkich projektowanych napadów w nocy 22-go stycznia tylko trzy wykonane zostały: 1) w Jedlni, pod dowództwem Cichomskiego (były uczeń szkoły genueńskiej, przezwany się Czarnieckim) i Figetego, oficera kozaków sultańskich Sadyka-Paszy, 2) w Bodzentynie pod dowództwem górnika z Suchedniowa, Dawidowicza i 3) w Szydłowcu, pod dowództwem Jana Prendowskiego.

W Mircu o zmroku zaczęli się zbierać spiskowcy w kościele, prawie wyłącznie włościanie; odbywało się to prawie otwarcie. Dużo kobiet przyszło żegnać swych mężów i braci. Ksiądz miał patryotyczną przemowę i błogosławił spiskowców; już było ciemno, gdy wyruszyliśmy pod Szydłowiec, spotykając gromadki kosynierów.

W lesie pod Szydłowcem w nocy na 23 stycznia zebrało się paruset kosynierów — prawie wyłącznie włościan, widziałem tylko kilku surdutowców. Dano nam wódki, chleba i szynki, podzielono na dwa oddziały i poprowadzono dwiema drogami do Szydłowca; ja szedłem z oddziałem, który miał do przebycia prawdopodobnie dłuższą drogę, gdyż skoro weszliśmy do ulicy miasteczka, już usłyszeliśmy strzały. Szliśmy ku rynkowi i ciągle oddział nasz się zmniejszał; o kilkadziesiąt kroków od rynku znaleźliśmy się w pięciu z Ignacym Maciejowskim

(Sewerem) w bramie domu. Rosyanie dali w naszą stronę parę salw (szeregami ognia) i następnie zniknęli z rynku. My, postawszy czas jakiś, nie wiedząc, co robić w ciemnej zupełnie ulicy, zawróciliśmy do lasu, a następnie wiedząc, że punkt zborny dla wszystkich oddziałów jest wyznaczony Wąchock, poszliśmy do tego miasteczka. O ile słyszałem z opowiadań, drugi oddział, przy którym był Langiewicz, był szczęśliwszy, zdobył parę domów i po ustąpieniu Rosyan przechadzał się po rynku. Nie umiem powiedzieć, czy i o ile opisanie napadu w zapiskach Berga jest dokładne.

Do Wąchocka ze wszystkich stron zbierali się powstańcy. Na drugi dzień było przeszło tysiąc, mieliśmy około 100 zdobytych karabinów rosyjskich, kilkunastu jeńców i kilkadziesiąt strzelb rozmaitego kalibru i stanu, kilkadziesiąt koni i dostateczną ilość kos. Bezwłocznie rozpoczęła się organizacja, utworzono trzy bataliony kosynierów (przy każdym był pluton strzelców): Klimaszewskiego, Dawidowicza i Czachowskiego i pluton jazdy Prendowskiego. Zostałem adjutantem Langiewicza i instruktorem piechoty. Zaraz na drugi dzień odprawiono uroczyste nabożeństwo w kościele i odczytano manifest komitetu centralnego, jako tymczasowego Rządu narodowego.

Wnosząc z napadu na Szydłowiec, trzeba byłoby źle wróżyć o powstaniu — napad był nieudany i niedołączny — nie było broni ani rutynowanych żołnierzy i oficerów. A jednak trzeba podziwiać potęgę organizacyi narodowej — w jednym województwie Sandomierskiem parę tysięcy ludzi wiedziało o powstaniu, niektóre przygotowania odbywały się prawie otwarcie, a tajemnica się nie wydała, Rosyanie byli nieprzygotowani i nie wiedzieli.

A gdyby udał się napad na Ilżę i przybyło kilkaset karabinów, i zostały zdobyte działa pod Kielcami, co wszystko było możebne, gdybyśmy mieli trochę broni, kilkudziesięciu wojskowych, o ileby powstanie w Sandomierskiem miało donioślejsze wyniki, a przynajmniej świetniejszy początek.

„W powstaniu 1863/4 r. było trzy razy więcej krwi i poświęcenia niż potrzeba na wybicie się narodu na niepodległość, ale wybuchło i spłonęło jak proch, rozsypany, ale nie nabity“. (Słowa Mierosławskiego).

W Wąchocku organizacja szła z możliwym pośpiechem. Podobno było parę utarczek rekonesasowych małych, ale nie brałem w nich udziału. 3 lutego Rosyanie uderzyli na Wąchock, po krótkim oporze cofnęliśmy się przez Bodzentyn do Nowej Słupi i założony został obóz w lesie pod Św. Krzyżem; w klasztorze umieszczono małą załogę. Organizacja oddziału postępowała dalej w obozie. 11 lutego znowu zaatakowali nas Rosyanie od N. Słupi i jednocześnie drugi oddział zatarasował klasztor — atak był b. słaby i w tych punktach zostali odparci.

Prawdopodobnie lękając się drugiego, silniejszego ataku, tegoż dnia, po bitwie, Langiewicz wyprowadził nas z gór Ś-to Krzyskich.

Po dwóch dniach marszu przez Raków, doszliśmy do Staszowa, po drodze przyłączyły się do nas inne oddziały.

(Berg mówi o jakichś nadużyciach, jakich oddział Langiewicza miał się dopuścić w marszu do Staszowa — żadnych nadużyć nie było. Langiewicz ściśle tego przestrzegał, nawet płacono za dostarczane pożywienie; chyba jakaś oderwana część oddziału popełniła jakie nadużycie).

16 lutego Rosyanie zaatakowali Staszów, jednak nasze forpocztzy zawczasu dały znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela i zostali celnym ogniem strzelców odparci ze znaczną stratą. Porucznik Wejsenfeld (Białopolski żyd, uczeń szkoły genuieńskiej) zrobił na ochotnika wycieczkę i Ro-

syanie cofnęli się po daniu paru strzałów. Po potyczce koło rowu, w którym Rosyanie stali utworzyła się biała ścieżka od urwanego papieru z ładunków, pomimo to mieliśmy tylko 5 zabitych; opowiadali, że Rosyanie powieźli swych rannych na kilkunastu furach.

Przyczyną tego pomyślnego wyniku było, że pikiety wypełniły swój obowiązek, nieprzyjaciół znalazł nas przygotowanych, byliśmy zasłonięci murami domów i mieliśmy kilku dobrych strzelców, powstańcy byli już obznajomieni z elementarnymi zasadami musztry.

Dłuższe pozostanie w jednym miejscu było niebezpieczne — zawsze skończyłoby się na tem, że nieprzyjaciół w przemagającej sile nas otoczył i rozbił. Czy ten powód, czy, że dla ożywienia kraju potrzeba było się pokazywać w różnych punktach, zbierać ochotników, czy na koniec dla porozumienia się i połączenia z innymi oddziałami, dość, że wkrótce po potyczce pod Staszowem cały oddział wyruszył do Małogoszcza. Tu miał się połączyć nasz oddział z oddziałem Jeziorańskiego, Jeziorański stanął we wsi o parę kilometrów od Małogoszcza. Langiewicz ze starszymi oficerami udał się do niego dla porozumienia się, nie byłem przy tem obecny, ale po powrocie słyszałem opowiadanie, a raczej narzekanie Langiewicza. Langiewicz miał powiedzieć, że dwóch naczelników w połączonych oddziałach nie rozumie, zgadzał się poddać pod jego rozkazy, a przyjąć czy szefostwo sztabu, czy dowództwo piechoty lub jazdy. Jeziorański na to nie przystał, a pod komendę Langiewicza także poddać się nie chciał. Taki był brak amunicyi, że Langiewicz był zmuszony odbierać po parę ładunków u tych, którzy mieli po 5—6 i oddawać tym, którzy nie mieli.

24 lutego Rosyanie zaatakowali nas przeważnymi siłami, dość długo trwała bitwa. Langiewicz został lekko ranny, prosił, aby o tem nie mówiono. Jeziorański objął komendę i zakomenderował odwrót; odwrót nie odbywał się w porządku, ale nie było to rozbitcie oddziału, jak mówi Berg.

Po dość uciążliwym marszu (w nocy nie wolno było ogni palić), po paru dniach zdążyliśmy do Piaskowej Skały; w czasie marszu była mała utarczka pod Uniejowcem, 27 lutego.

Pewna była niechęć między oficerami oddziałów Jeziorańskiego i Langiewicza (dwóch równorzędnych dowódców połączonych oddziałów), dopiero w Piaskowej Skale Langiewicz otrzymał od naczelnika sił zbrojnych lewego brzegu Wisły, gen. Wysockiego, nominację na naczelnika wojskowego województwa Sandomierskiego i Krakowskiego; byłem świadkiem nadejścia tej nominacji i słyszałem, gdy, po jej odczytaniu, Jeziorański powiedział: „Teraz się poddaje pod rozkazy gen. Langiewicza“.

4 marca zaatakowani zostaliśmy pod Piaskową Skałą. Już były pierwsze strzały, gdy rozdawano strzelcom z Krakowa ładunki. W tej potyczce dobrze byli użyci kosynierzy, las zaginał się pod prostym kątem, strzelcy, odstrzeliwując się, cofali się do lasu, Rosyanie postępowali naprzód. Z boru wypadli kosynierzy i, dobrze rąbiąc, zmusili nieprzyjaciela do ucieczki.

Tegoż samego dnia, a raczej w nocy z 4 na 5-go marca atakowaliśmy Rosyan zamkniętych na cmentarzu pod Skałą. W tym ataku zostałem ciężko ranny i na tem się skończył mój udział w powstaniu. W części kraju do granicy austriackiej nie było wojsk rosyjskich i rannych na kilku wozach odwieziono do Krakowa.

W końcu 1864 r. zacząłem chodzić o własnych siłach — powstania już nie było.

Langiewicza znałem stosunkowo dość dobrze i w czasie powstania, jako adjutant, byłem w ciągłych z nim stosunkach. Wiem, że był z Poznańskiego, był w wojsku pruskim, a następnie, jako porucznik, w wojnie neapolitańskiej. Słyszałem jego opowiadanie o tej wojnie z przytoczeniem takich szczegółów, o których tylko naoczny świadek i uczestnik mógł wiedzieć — posiadał wyższe wykształcenie, znał nieźle historię wojen, o ile zaś znał sztukę wojskową tego ocenić nie umiem.

Przekonałem się nieraz, że umiał wyprowadzić oddział z trudnego położenia, właściwie Rosyanie nie zdołali nas nigdy zuienacka napasć.

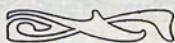
W czasie bitwy zwykle jeździł spokojnie stępą na swym wielkim koniu, nie unikał ognia, ale zarządzeń taktycznych prawie nie wydawał, żadnych fortyfikacyjnych robót nie zarządzał.

Miał dużo zawziętości i prawdopodobnie obronę fortecy prowadziłby wytrwale, ale nie miał wyższego wykształcenia wojskowego, ani nie miał sposobności, ani czasu nabrać doświadczenia starych żołnierzy i nie miał także tego zapалу i natchnienia, które u Garibaldiiego zastępowały naukę i zdolności, które umiał przelać w swych żołnierzy i którymi zwyciężał nieprzyjaciół ojczyzny.

Ambicya i nienawiść do Mierosławskiego pchnęły go do dyktatury—i z niezłego dowódcy oddziału, może dobrego, zrobiła niedołężnego dyktatora.

Po powstaniu dwa razy spotkałem się z Langiewiczem w Galicyi—opowiadał mnie, że miał zamiar przez wystający klin galicyjski pod Sandomierzem przemknąć do oddziałów w Lubelskie, gdyż w Sandomierskiem nie mógł się utrzymać z powodu skoncentrowanych i przemagających sił rosyjskich. Przypadek, czy lekkomyślność któregoś z powstańców ostrzegła straż graniczną o przybyciu Dyktatora i nastąpiło aresztowanie i, jak twierdził, udaremnienie dalszego jego udziału w powstaniu.

Bez doświadczenia, bez znajomości sztuki wojskowej nie mogłem dokładnie ocenić działań Langiewicza i podać historię oddziału—podałem tylko to, w czem brałem osobisty udział.



HISTORJA DOMESTICA

p. Ireniego Wasilewskiego, marszałka połockiego.

Przed kilku laty wpadł mi do rąk gruby foljant, zawierający obszerny manuskrypt, przypominający staroświeckie księgi gospodarcze. Pisany był pięknym charakterem, czarnym, jak tusz chiński, inkaustem, na doskonałym starym papierze, dzięki któremu tak świetnie się bronią przed czasem, wilgocią i niedbalstwem dokumenta starodawne i słoiki z konfiturami.

Księga, posiadając skromny tytuł „Historia Domestica“¹⁾, ozdobiona była podobizną herbu starego i zasłużonego w kraju domu Wasilewskich, bardzo starannie wymalowanego przez autora i zawierała obszerną tego rodzaju monografię z różnych źródeł wyjętą. Dalej następowały notatki i uwagi p. Ireniego Wasilewskiego, marszałka połockiego, przez większą część jego życia wciągnięte; miały one stanowić rodzaj nauki dla potomstwa, były owocem długoletniego doświadczenia przodka i pod tym względem niemałą wagę przypisywał pracy swej autor „Historji“.

Książkę, jako ciekawy dla mnie zabytek lat dawnych, wziąłem do poduszki, a gdy doszedłem do ostatniej kartki, dawno już słońce jesienne zastąpiło świeczkę wieczorną: wciąż wertowałem notatki p. Wasilewskiego i nie żałowałem bezsennej nocy. Przy braku historycznej doniosłości Historia Domestica miała ten urok, że opisywała dawniejsze wypadki w Witebszczyźnie przez długi szereg lat, była bez pretensji, szczerą, naiwną i pocziwą, dobrze cechowała poglądy naszych przodków na poważne chwile, przez nich przeżyte.

Pamiętniki, oczywiście, nie są historją i jej zastąpić nie mogą, ale mają tę dobrą stronę, że, przepuszczając fakta przez alembik osobistych wrażeń i przekonań, tłumaczą nieraz dzieje, lepiej, niż bezstronny historyk zrobić to potrafi. Ale nie pamiętniki swoje pisał p. Wasilewski, notował tylko wypadki chronologicznie, do najdrobniejszych rzeczy skrupulatnie i bez komentarzy. Tegoż porządku trzymać się i my będziemy, streszczając ciekawe dla ogółu ustępy.

Ś. p. Ireni Wasilewski urodził się w r. 1812 w Bieszenkowiczach, powiatu lepelskiego do którego po zupełnym zrabowaniu ich dworu przez Francuzów — i własnych poddanych — schronili się jego rodzice. Z Polkowicz, dziedzictwa p. Klemensa Wasilewskiego, podkomorzego połockiego, ojciec autora z żoną i starszą córką uciekli piechotą podczas napadu na dwór żołdactwa francuskiego i, po długich peregrynacjach, dostali się do Bieszenkowicz

¹⁾ Księga jest własnością wnuka autora, p. doktora St. Wasilewskiego, który mi ją zechciał uprzejmie pożyczyć.

o trzy lekkie wiorsty odległych. Bieszenkowicze, jako miasteczko, były mniej narażone na nocne odwiedziny maruderów i hultajów¹⁾. Zamieszkali więc Wasilewscy w pałacu bieszenkowskim, gdzie właściciel, hr. Chreptowicz, przyjaciel podkomorzego, udzielił im gościnności. Tu też świat ujrzał p. Ireni.

Autor, uczeń wychowanka Jezuitów połockich, rozpoczyna swe notatki od r. 1817. Dzieckiem będąc, widzi historyczną rewję Cesarza Aleksandra I pod Bieszenkowiczami, dla opisanie której kilka kart pustych zostawił. Może zawiodła go pamięć, bo i do dziś nie są one zapełnione.

W r. 1823 wstępuje do gimnazjum Chołopenickiego w Mińsku, gdzie podówczas było 6 klas i 350 uczniów, przybranych w mundury granatowe z niebieskimi kołnierzami i czerwonymi wypustkami. Z tego gimnazjum przechodzi do szkoły Bazylianów witebskich, która uchodziła za jedną z najlepszych na Białej Rusi²⁾. Tu wita przejeżdżającego Cesarza Aleksandra, w grudniu 1825 wykonywa przysięgę Wielkiemu Księciu Konstantemu, a w kilka dni później Cesarzowi Mikołajowi I. Już w następnym roku, będąc w klasie V, wstępuje do kancelarii „Szlacheckiego Zebrania“ w Witebsku, gdzie nasza młodzież szlacheckiego pochodzenia stawiała pierwsze kroki na polu pracy społecznej i służbowej.

W r. 1828 powstają z popiołów rodzinne Polkowicze: p. podkomorzy buduje pałac muryrowany; sprowadzono w tym celu Włocha z Witebska i mularzy z głębi Rosji. Podczas budowy spaliła się polkowska fabryka płócien holenderskich i białizny stołowej, założona kilka lat przedtem przez p. Klemensa. Zapewne zmartwiony tą stratą, ciężko zachorował p. podkomorzy, a w końcu roku życie zakończył, pozostawiając synowi znaczne tradycje i piękny, niezadłużony majątek.

Pro memoria załącza p. Ireni *curriculum vitae* służbowy zmarłego podkomorzego, „Jego formularny spiszek“. Kronikarz, jako typowy obywatel tych czasów, miał słabość do tytułów i orderów, rang i dygnitarstw, nigdy nie zapominał, notując zgon lub ślub powietnika, dodać należny mu „czyn“, a jeżeli ozdobiony był krzyżem orderowym, choćby najniższej klasy, dodać „i kawaler“, nazwać żonę sąsiada „sowiecikową“ lub prezydentową. Należało to do grzeczności polskiej wogóle, a w tych czasach — do pierwszych dowodów dobrego wychowania.

Rok 1831 został wycięty z „Historji“, czy to przez p. Ireniego, czy później — a szkoda. Aczkolwiek wojna 1831 r. nie miała odgłosu w Witebszczyźnie, ciekawą wszakże byłoby rzeczą poznać pogląd obywatela białoruskiego na ówczesne wypadki polityczne. Jednak i tu widzimy stronicę pustą, pozostawioną na późniejsze refleksje autora nad rewolucją, wojną i wywołanym przez nich stanem rzeczy — stronicę niezapełnioną w latach późniejszych.

Natomiast po raz pierwszy mowa o cholery, tak często, w następnych latach nawiedzającej naszą gubernję, a której ofiarą miał paść w Witebsku W. Ks. Konstanty. „Ludzie umierali, chodząc po ulicach, mieszkańcy uciekali z miasta, porzucając swe mienie“. „Przecież ówczesna medycyna borykała się, jak umiała, z epidemią: nacieraniem, piciem „dziegiecia z wódką“, wreszcie ustawicznym paleniem fajek i cygar. Cholera trwała przez trzy miesiące, przy niezmiernie suchym lecie, strącając w mogiły masę ludzi, przeważnie w Witebsku, Połocku i Bieszenkowiczach. Wielki Książę, który przyjechał w początku czerwca do Witebska

¹⁾ Do księgi, jako aneks, załączona przepustka z Witebska, wydana przez prezydenta miasta (maire) p. R. Bohomolca i gubernatora gen. Charpentier 10 sierpnia 1812 r. p. podkomorzemu Wasilewskiemu.

²⁾ Szkoła ta mieściła się w gmachach po-Jezuickich. Rektorem był ks. W. Budzyński, prefektem ks. Koksewicz. Mundur szkoły — frak granatowy, kołnierz i wyłogi pąsowe, guziki żółte. Jako kolegów cytuje autor: Ed. hr. Platera, Ign., Alf., Ed. i S. Wasilewskich, Al. Bułhaka, K., J. i M., Rahożów, Waw., Ig. i Aug. Dyszlewskich, St. Stanilcewicza, St. Korbuta, Z. Choroszczę, M. Mufla, W. Lewickiego, H. Ciechanowieckiego, Drozdowskich, Czarnomskich, Stankiewiczów.

i zamieszkał w pałacu generał-gubernatora ks. Chowańskiego, w końcu tegoż miesiąca umarł po kilkugodzinnej chorobie. Przez trzydzieści dni ciało było wystawione na katafalku w soborze, a potem zawiezione do Petersburga. Za trumną jechała księżna Łowicka z kapelanem swoim, proboszczem witebskim.

W r. 1832 notuje p. Ireni sporo nowych rzeczy: zniesienie Prawa Polskiego (Statut Litewski), wprowadzenie prawa ogólnorosyjskiego i — munduru szlacheckiego. W tym też roku po raz pierwszy przyjmuje udział w wyborach ¹⁾ i zostaje członkiem sądu kryminalnego.

Pod 1833 r. krótkie mamy wzmianki ²⁾ o wypadkach doniosłych w kraju: o zastąpieniu słynnej szkoły Pijarów w Połocku przez korpus kadetów i o zamknięciu klasztorów wszystkich zakonów katolickich, a mianowicie: w Witebsku — Bernardynów, Dominikanów, Trynitarzy i Bazylianów, a w Połocku — Pijarów, Bernardynów i Franciszkanów. W Połocku zostawiono tylko kościół Dominikanów, do którego przeniesiono z po-Jezuickiego ciało błogosł. Andrzeja Boboli. Zmarłego w tymże roku Arcybiskupa Unickiego Martusewicza zastąpił biskup prawosławny Smaragd, ze stolicą w Połocku, gdzie też konsystorz ustanowiono.

Lata ostatnie 1831, 1832, 1833 i 1834 były niezmiernie nieurodzajne, co spowodowało głód w całej Witebszczyźnie. Nieurodzaj w tych czasach był dla ziemian o tyle cięższym od dzisiejszych, że przy pańszczyźnie, prócz chleba powszedniego dla dziedzica i jego dworu i zasiewków, trzeba było żywić poddanych, a nabycie potrzebnej ilości zboża wobec utrudnionej komunikacji było rzeczą nielatwą. To też rząd (1834) zaprowadził obowiązkowe magazyny włościańskie, do których każdy właściciel ziemski powinien był składać potrzebną na zasiewki i wyżywienie ilość ziarna. Dla dozoru nad magazynamiznaczono „deputatów magazynowych“. Taki właśnie honor spotkał i naszego kronikarza ³⁾.

Pod r. 1835 nie prawie nie wpisuje p. Ireni; pod 1836 wpisuje do Historji tylko huragan, który dnia 14 czerwca z gradem wielkości jabłka leśnego przeniósł się z borysowskiego powiatu przez lepelski, połocki i witebski. Trąba ta, szeroka na trzy wiorsty, niszczyła wszystko po drodze, wywracając domy i drzewa, zabijając i kalecząc ludzi i bydło. Posiewy przepadły z kretesem. U krewnych swych, p.p. Dąbrowskich w Osinówce, nazajutrz po burzy, kiedy przybył ich odwiedzić, zastał dom bez dachu i wszystkie budynki gospodarcze porozwalane.

Rok 1837 jest zato bogatszy w notatki. Z nich zacytować muszę: pożar doszczętny Połocka i wstąpienie w związek małżeński autora z panną Zofją Balcewiczówną. O pierwszym fakcie, wobec drugiego — tylko wzmianka, o drugim, jako ważniejszym dla Historji Domesticae — szczegółów dużo, bo p. młody musiał zaprowadzić i czwórkę koni eugowych, za które rs. 370 zapłacił i kocz elegancki z fordeklem za r. 350, oświadczyć się, ślub wziąć i osiaść z żoną w Polkowiczach. Jako dar ślubny od współobywateli otrzymał p. młody marszałkostwo połockie, godność zasłużoną, gdyż, jak widać z kroniki i licznych „komenderówek“ (p. Ireni już piastował urząd członka sądu kryminalnego), nadzwyczaj był czynny, nietylko spełniając urzędowe misje „z zadowoleniem naczelstwa“, ale będąc stale proszony na arbitra lub sędziego we wszystkich kompromisach i sądach polubownych w powiecie. Marszałkował połockiej szlachcie jednak niedługo: zrezygnował w 1839 r. z niewiadomej przyczyny.

¹⁾ P. Ireni podaje nazwiska niektórych tylko elektów, a mianowicie: na marszałka gubernjalnego (po F. Ciechanowieckim) — M. Karnickiego, na prezesów sądów: krymin. — P. Milkiewicza, cywiln. — S. Sipajło, Sumien. — J. Glińskiego. Marszałkiem powiatowym połockim został S. Oubril. Zagałł posiedzenie gen.-gub. witebski, smoleński i mohylewski, gen. ks. Chowański, w obecności gub. cywilnego Schroedera.

²⁾ Tu też kilka stron wyciętych.

³⁾ W roku 1834 odbyły się wybory szlacheckie, po których został marszałkiem gub. J. Szadurski. Z innych wybranych wymienia tylko p. Ireni prezesa Sądów Sumiennych K. Bujnickiego i marszałka połockiego S. Bielikowicza.

Jako marszałek, w lutym 1839, podejmuje w Połocku Arcybiskupa Cerkwi Unickich, ks. Siemaszko i wołyńskiego — ks. Zubko, w obecności których całe duchowieństwo unickie połockiego powiatu przyjęło religję prawosławną. Wystąpienie p. Ireniego z grona urzędników gubernjalnych i narodziny syna Klemensa — są to jedyne godne zaznaczenia notatki przed r. 1844, bo, prócz wzmianki o samobójstwie gubernatora witebskiego, Lwowa (1840), „bez najmniejszego żalu wszystkich“ (dodaje kronikarz), — i bardzo dobrego urodzaju, po którym płacili Żydzi bajeczną sumę 11 r. za beczkę żyta — nie nie spotykamy¹⁾. Ceny takiej nie znali ziemianie nasi; za beczkę bowiem żyta płacono w tych latach od 5—6 rs., owsa — 2—2¹/₂, a za wiadro wódki do 50 kop. Chwilowo, ale bardzo krótko, w r. 1828, cena na beczkę żyta podskoczyła do rubli 50, żeby w następnym wrócić do normalnych 5 r. W roku 1840 znowu podniosły się ceny wskutek nieurodzaju w wielu miejscach państwa i — niestety — na czas dłuższy; z wysokich cen jednak nie mieli się cieszyć ziemianie witebscy.

Od roku 1843 zaczynają się lata klęsk i smutków dla naszego kronikarza. W lipcu znów cholera nawiedza niektóre powiaty i Połock odznacza się ilością ofiar. W roku następnym umiera p. marszałkowa, zostawując mężowi dwóch małych synów: Klemensa i Stasia, a że nieszczęścia kupą chodzą, notuje p. Ireni jeden z najgorszych pod względem gospodarczym lat.: od maja deszcze leją do połowy sierpnia bez najmniejszej przerwy, woda w Dźwinie staje się tak wysoka, jak na wiosnę, zrywa przewozy i unosi łodzie, drogi tak popsute, że kupcy moskiewscy, zwykle zjeżdżający się na słynny jarmark bieszenkowicki, nie mogą dojechać do tego miasteczka. W tym nieszczęsnym roku zaczęli żąć żyta w drugiej połowie sierpnia, a sieli w październiku. W końcu sierpnia — pierwszy silny mróz, po którym znów deszcze do samej zimy. Bydło i konie chorowały i ginęły. Na wiosnę ceny na zboże podniosły się do niebywałych sum, a paszy w całej gubernji nie było już w lutym. Dla wyżywienia swych poddanych zmuszony został zaciągnąć pożyczkę skarbową po 2 r. na duszę, sprzedać znaczną część inwentarza, poznać lichwiarzy.

Następny rok nie był lepszy, bo znowu za suchy. Płaci p. Ireni już po 18 r. za beczkę żyta — jeżeli dostać może. I znowu nieurodzaj, z nową pożyczką skarbową i prywatną, szukanie zboża. Prócz tych smutków mało wiadomości ciekawych, jednak notuje p. Ireni, że w tym 1845 r. kazano Żydom nosić się „po niemiecku lub po rusku“, zarzucając dawniejszy strój z pantoflami i pejsy. Od tego zwolnieni zostali Izraelici, mający mniej niż 10 i więcej niż 60 lat.

W latach następnych notuje marszałek połocki, prócz wiadomości, dotyczących rodziny i pogody, przejazdu dygnitarzy, choroby i skutki żałośne poprzednich nieurodzajów; wpisuje również skrzętnie ciekawe nowości, od wiarogodnych osób słyszane. Do tych ostatnich należy wiadomość o pojawieniu się w sierpniu 1845 r. w gub. mohylewskiej ogromnych stad białych wilków, napadających li tylko na ludzi i od których już (t. j. w ciągu 2 miesięcy) przeszło 27 osób zginęło, i kopję autentycznego, mocno niegrzecznego listu cesarza Chińskiego do królowej Angielskiej.

¹⁾ Przez ten czas odbyły się wybory: w r. 1837 p. Wasilewski podaje wszystkie nazwiska elektów; marszałkami obrani — gubern.: M. hr. Borch, powiat.:—witeb. — M. Eńko, suraż. — T. Bohdanowicz, wieliż. — J. Lipski, horodec. — K. Korsak, newel. — A. Łosowski, siebies. — J. Mieduniecki, połock. — I. Wasilewski, dyneb. — A. Mohl, lucyn. — G. Wielhorski, lepelski — A. Siellawa, rzerzyc. — P. Horożański. Prezesami sądów: P. Milkiewicz, D. Smolak i A. Mohoczy. Na wyborach byli obecni — gen.-gub. Djakow i wice gubernator Gejżeliński.

Następne wybory odbyły się w r. 1840. Z nazwisk podaje tylko marszałka gub. M. Borchę i połockiego W. Reutta.

Więcej nazwisk z wyborów 1144: marsz. gub. M. Hrebicki, powiat.: poł. — A. Reutt, wit. — Eńko, siebiesk. — D. Żebrowski, newel — S. Petrykowski, horod. — Z. Korsak, suraż. — R. Bohdanowicz, wieliż. — G.v. Greifenfels, drys. — E. Snarski, dyn. — W. Szadurski, lucyn. — J. Lipski, lepel. — A. Hrehorowicz.

Nieurodzaj 1844—1845 lat, prócz ruiny materialnej wielu gospodarstw, pociągnął za sobą jeszcze inne opłakane skutki. Włościanie, źle żywieni, bo dostać zboża było niepodobna, „zaczęli się demoralizować, zaprzestali pracować, podawali skargi na swych panów, że dzięki nim umierają z głodu“, że, nie znajdując ani poparcia, ani pomocy, porzucać poczęli swe wioski, idąc przed siebie dla znalezienia chleba. Ruch ten rozpoczął się w kwietniu 1846 r. w Dołosech (siebież. pow.) i ogarnął całkowicie powiaty siebieski, newelski i ludyński, skąd przeszedł do driesińskiego. Na ogromnym tym obszarze włościanie posprzedawali inwentarze, porozbierali swe domy, zniszczyli posiewy i ruszyli „tam, gdzie droga staje się żelazną“, tłumacząc, że „idą do Białego Cara, który im da wolność“. Na wiadomość o tym ruchu przybyło z Petersburga do Siebieża dwóch fligel-adjutantów, a z gubernji — władza cała, lecz nie nie wskórali: postawa wynędzniałych i zgłodniałych włościan była taką, że musiano sprowadzić trzy pułki. Kronikarz, do krótkiej o tym wzmianki dodaje, „że batalij było kilka, gdzie nie mało padło chłopstwa i żołnierzy“, — nim bunt uśmierzono. Włościan poprowadzono napowrót, do miejsc rodzinnych, gdzie gorsza od poprzedniej czekała ich nędza, a pułki rozkwaterowano w gubernji. Gubernator Tatarynow, wskutek tych rozruchów, dostał dymisję, a na jego miejsce naznaczono gubernatorem cywilnym Radiszczewa.

Był to drugi z kolei ruch masowy w gubernji naszej, z formularza bowiem ojca kronikarza widać, iż, będąc sprawnikiem ziemskim połockim w r. 1802, wysłany został do horodeckiego powiatu dla uspokojenia buntu włościan tamecznych. Zdaje się, że przyczyna ruchu w powiecie horodeckim była ta sama, co w innych powiatach w r. 1846, t. j. głód, gdyż skądinąd wiemy, że r. 1802 odznaczał się zupełnym nieurodzajem.

Wskutek starań marsz. gub. Hrebnickiego rząd przyszedł z pomocą podupadłemu ziemiaństwu: „niedoinki“ — a tych nagromadziło się dużo — rozłożone zostały na lat dziesięć, wszelkie kary pieniężne (peni) — darowano i asygnowano na pożyczki obywatelstwu 400,000 rubli, z tym atoli warunkiem, aby takowe były rozdawane wyłącznie dla zakupu zboża. Ulgi powyższe, aczkolwiek bardzo poważne, niestety, nie były wystarczające: cena na żyto w maju 1847 dochodziła do 2—3 r. za pud i wciąż rosła, wobec czego rząd nakazał wydawać, w charakterze pożyczki ze wszystkich magazynów skarbowych znajdujące się tam mąkę i zboże aż do zupełnego opróżnienia składów.

Do nieszczęść 1847 r. dodaje jeszcze p. Ireni znowu cholera, która jesienią z gub. mohylewskiej przeszła do nas przez powiat lepelski, unosząc masę ofiar z głodnego ludu witebskiego. Nie podaje bliższych informacji kronikarz o tej nowej epidemji, lecz powiada, że przypominała chorobę z r. 1831.

W tym samym czasie pojawiła się banda opryszków, pod dowództwem braci Kowalewskich, licząca do 30 ludzi, napadająca dwory, karczmy, cerkwie, poczty i podróżnych. Napadła, między innymi, na dwór p. Dziedziela w Lepelskiem, którego, chcąc zmusić do oddania gotówki, okrutnie torturowała. Wieść o tych grabieżach rozniosła się po całej gubernji, to też wszędzie uzbrojono się i przygotowywano do odparcia rabusiów, aczkolwiek Kowalewscy operowali przeważnie w Lepelskim i Połockim. Dla pojmania bandy wysłano kompanję grenadierów, która goniąc na podwodach za nią, zatrzymała Kowalewskich z siedmiu towarzyszami w styczniu w Obolcach (pow. kopyńskiego) i odstawiła ich do Witebska. Reszta ich kompanów została wyłowioną co do jednego ¹⁾.

Pod r. 1848 opowiada kronikarz o wydarzeniu z kościołem Św. Antoniego w Witebsku, który z Petersburga kazano zapieczętować. Katolicy udali się do generał-gubernatora ks. Go-

¹⁾ O bandzie Kowalewskich, witebskich Rinaldi-Rinaldinich, dużo krąży legend i po dziś dzień. To pewna, że należeli do szlachty i posiadali pewne wykształcenie. Jeszcze niedawno widzieliśmy maczugi, któremi po dworach uzbrajano, w braku innej broni, stróżów z powodu napadów tych sławnych bandytów.

licyna, prosząc o jego wstawienie. Książę przyjął deputację i obiecał, że zrobi należyte przedstawienie do ministerjum, zwracając uwagę na to, iż kościół ten, jedyny pozostały w mieście, jest parafjalnym dla licznych w Witebsku katolików. Rzeczywiście, z sześciu kościołów, istniejących przed r. 1833 — po-Dominikański stał ruiną, również jak Św. Barbary, fara opieczętowana, była obrócona na magazyn, po-Jezuicki został soborem, po-Pijarski — kirchą, a Trynitarzki — zamknięty. Ze zdziwieniem dowiedział się generał-gubernator — i zakomunikował deputacji, — że rozporządzenie o zamknięciu kościoła Św. Antoniego było wywołane propozycją ks. oficjała Laskiego, zarządzającego djecezją mohylewską. Wskutek przedstawienia ks. Golicyna wstrzymano zamknięcie świątyni i gdy ks. Laski, w przejeździe do Witebska, pojechał z wizytą do generał-gubernatora, usłyszał od niego, jak i od marszałka Hrebnickiego, wcale nieprzyjemne rzeczy ¹⁾).

Rok 1848 wogóle byłby znacznie pomyślniejszy od poprzednich, gdyby nie cholera — ciągły gość gub. witebskiej. Leczone od niej, jak opiewają przepisy urzędowe, wódką z papryką i kroplami z amonjaku, lecz leki niewiele pomagały i z wielką szybkością epidemja opanowała Witebsk, Połock i Bieszenkowicze, rozchodząc się po wsiach i miasteczkach. O ile była silną w Połockiem i Lepelskiem widać z tego, że w samych Bieszenkowiczach umarło przeszło 200 osób na niespełna 3000 mieszkańców, w majątku p. Reutta, Andrzejowie, pod Ullą — 30, a w Teklecewilu (tamże) koło 100. Umarli wówczas: b. gubernator witebski gen. Żyrkiewicz, p.p. Hłasko, Sakowicz, a w Ulle i Bieszenkowiczach proboszczowie ks. Kuczyński i Zranicki; z kompanji Meklemburskiego pułku, idącej z Witebska przez Bieszenkowicze, większa część oddziału została w miasteczkowym szpitalu, gdzie też umarli prowadzący ją kapitan i kapelan pułkowy. Panika ogarnęła wszystkich: uciekali i włościanie z wiosek i panowie z dworów, zabrał też rodzinę i p. Ireni z dóbr swoich do innej miejscowości, choć po wyszczególnieniu licznych, wypróbowanych sposobów ratowania się od epidemji, pozostawionych do wyboru czytelnika, kładzie nacisk na to, że cholera wcale straszną nie jest, trzeba tylko „być wesołym i nie smucić się“. Prawda, że ów niezawodny środek wniósł do księgi *post factum* kiedy ustała „choroba“, która pożegnała nasze strony w sierpniu po dwóch miesiącach strasznego swego pobytu.

Po smutnych latach, jak promienie słoneczne po burzliwej nocy, ma p. Ireni kilka chwil jaśniejszych. Podrośli mu synowie Klemens i Staś, dotychczas chowani przez guwernera, rodowitego Francuza, Żana Fransua Skunczewicza, z wojska napoleonowskiego, pobierającego rubli 4 miesięcznie. Odtąd cieszy się p. Ireni latoroślami i ich postępami w naukach. Urodzaje są lepsze, życie płynie normalnie. Notuje pod 1849 r. przewożenie przez Witebsk brył żelaznych, ciągnionych przez 16 par wołów, dla pomnika w Połocku, rezultatem czego było doszczętne połamanie wszystkich mostów po drodze. Pomnik ten wykończono w tym samym roku i otwarto w r. 1850 w obecności Następcy Tronu i wszystkich oficerów, uczestników wojny 1812 r. Sporo znalazło się takich weteranów z pośród naszego obywatelstwa i w tej liczbie marszałek Milkiewicz, którego, jako starego i zasłużonego żołnierza, długo wypytywał Wielki Książę o bitwie pod Połockiem.

¹⁾ W styczniu odbyły się wybory szlacheckie niezwykle burzliwe. Marszałkiem gub. pozostał M. Hrebnicki, z innych obrano: połockim — J. Hłasko, lepelskim — R. Ciechanowieckiego, witeb. — J. Chludzińskiego, dyneb. — M. Szadurskiego. Podczas elekcji jednemu z kandydatów, słynnemu graczowi, wrzucono kartę as karowy, co miało doprowadzić do unieważnienia wyborów. Zebranie delegowało deputację do Petersburga dla podziękowania Cesarzowi i przedstawienia próśb: o zmniejszenie do połowy podatków przez lat 15, o założeniu Banku Ziemskiego na 52 lata (?) o pozwolenie oddawać pożyczki skarbowe zbożu — ziarnem, o darowanie kar pieniężnych (peni).

W tym samym roku odbyły się wybory szlacheckie ¹⁾. Jedynymi, godnymi zaznaczenia, epizodami wyborów była propozycja p. S. Oubрила, pierwsza u nas od r. 1819, nadania wolności włościanom i natychmiastowego ułożenia warunków uwłaszczenia, który to projekt przyjęty został ogromną większością głosów, i ks. Oldenburskiego — pożyczki na produkta rolne. Pożyczki miały być wydawane z kasy księcia na zboże, z opłatą 5% rocznie. Szkoda, że prócz wzmianki o tej propozycji, niewiadomo, przez kogo przedłożonej, nie mówi kronikarz o dalszych jej losach. W tych czasach ciężkich warunków ekonomicznych kraju, projekt otwierał ziemianom kredyt tani (stopa procentowa była w pięćdziesiątych latach bardzo wysoka) i łatwy, gdyż nie wymagał formalności, utrudniających pożyczki z instytucji kredytowych skarbowych.

Daleko więcej ogół interesowało wprowadzenie akcyzy. Dużo o tym mówiono jako o projekcie rządowym (akcyza została zatwierdzona w następnym 1851 r.) Rzeczoną projekt ogromnie straszył ziemian, aczkolwiek pobieranie 75 k. od wiadra wypędzonej okowity nie przedstawiało nic przerażającego dla właścicieli gorzelni, lecz skutek samych pogłosek o podatku wielu nie tylko przestało pędzić, ale nawet zamykało swoje karczmy. Dziwna też rzecz, że w mowie przy zagajeniu wyborów generał-gubernator musiał tłumaczyć ziemianom znaczenie nowego prawa i uspokajać ich obawy.

Następne lata mało dostarczały materiałów: same notatki o śmierciach, urodzinach, o cenach na zboża, o mianowaniach urzędników i — narzekania na słynne Inwentarze. Zbliżał się czas i dojrzewał projekt, opracowywany przez długie lata, — nadania wolności włościanom. Już w końcu czterdziestych lat przez organa władzy miejscowej zbierano materiały dla nowego prawa, żądano przedstawienia spisów poddanych każdego i warunków ich bytu w każdym poszczególnym majątku, t. zw. Inwentarzy ²⁾. W r. 1854 Rząd rozdać kazał Inwentarze swoje, podług których zmniejszała się pańszczyzna i stawała jednakową dla wszystkich włościan gubernji. Nowa ustawa głosiła, że chata, niezależnie od ilości dusz w niej zamieszkanych, daje męskiej odslugi (pryhonu) dni trzy, a żeńskiej — jeden tygodniowo. Jeżeli chata nie posiada dwu koni, to odrabia tylko półtora dnia przyhonu. Szarwarku (zhonu) — 12 na rok, a za nieodrobienie dni zhonu lub przyhonu dusza (respectively—gospodarz) płacić ma za dzień męskiej odslugi kop. 15 sr., a żeńskiej — 10. Ustawa normowała też pensję dworowym ludziom i służbie po rubli sr. 20 rocznie, a innym, nie mającym kwalifikacji, ale znajdującym się przy dworze po rubli sr. 8 i uwalniała od pańszczyzny (pryhonów i zhonów) kluczników, setników, starostów cerkiewnych. Jednocześnie, na mocy tegoż prawa, grunta, znajdujące się w używalności włościan, nie mogły być im odebrane i zabraniało się przeprowadzać ludzi z jednej chaty do drugiej. Termin wprowadzenia rządowych Inwentarzy był naznaczony na 10 maja.

Jak poprzednio z akcyzą, ogłoszenie Ustawy napełniło trwogą serca ziemian, którzy widzieli w niej zupełny upadek gospodarstw rolnych: „nie będzie można tak małą wysługą zarabiać pola i opłacać długów“ — woła zrozpaczony kronikarz, aczkolwiek obsługa dawniejsza, jak widać z jego notatek, niczym się nie różniła od ustalonej przez Inwentarze rządowe. „Jak tu“ — pisze dalej — „gospodarować u nas, gdzie trzeba chłopowi zawsze dać na nasiona,

¹⁾ Marsz. gub. obrany był M. hr. Borch, prezesami sądów K. Swołyński, J. Lisowski, i A. Ciechanowiecki z marszałków pow. cytuję tylko połockiego-Reutta, Iepel. — P. Ciechanowieckiego, drys. — I. Łopacińskiego.

Marsz. Borch niedługo piastował urząd, bo 16 marca 1852, wskutek zatargów z gen.-gub. ks. Golicynem, zesłany został do Jarosławia.

²⁾ W witebskiej gubern. komisji dla sprawadzenia Inwentarzy udział brali: gubernator gen. Jermołów, wice-gubernator, urzędnik z ministerjum i deputowani obywatele: S. Podwiński, N. Spasowski, Bohuszewicz A. Ciechanowiecki, A. Mohuczy, J. Bykowski i J. Chludziński.

przekarmić, konia kupić, i podatek zapłacić. Obywatele pograżyli się w największy smutek i niewiedzenie, jak postąpić przy ciągłych nieurodzajach i odłużonych majątkach do skarbu i partykularnie...“ W tych ostatnich słowach tkwiła przyczyna rozpaczny ziemian: zdawało się, że z nową ustawą, mającą na celu unormowanie pracy, ustanie zupełnie robota poddanego, a pozostanie tylko — przekarmienie jego w złych latach i opłacanie podatków z mocno obdłużonych majątków.

Ten strach przed widmem braku rąk roboczych może nawet dodatnio wpłynął na kulturę, jako bodziec dla ociężałych i zacofanych rolników: zaprowadzono narzędzia, których brak był wielki i powiększono inwentarze żywe; sam p. Ireni, zaraz po przeczytaniu nowej ustawy, nabył „amerykańską czechunną maszynę“ do młócki, konie robocze i najął parobków. To samo uczynili jego sąsiedzi.

Wprowadzenie w życie Inwentarzy jednak nie nastąpiło w maju, a to wskutek (tak twierdzi kronikarz) starań marszałka gub. mohylewskiej, ks. Lubomirskiego, który specjalnie dla tego jeździł do Petersburga, ¹⁾ ale już zaszła zmiana w usposobieniu ziemian do tak krytykowanej Ustawy. Takie czytelnik wrażenie wynosi, czytając poprzednie jeremiaszowe lamente, a zaraz potem piękne rozmyślenia nad obowiązkami obywatela względem ludu. Trochę było wstydu, trochę oswojenia się z nowym prawem, a może górę wzięły uczucia szlachetniejsze. Bądź co bądź nad Inwentarzami niema już utyskiwań i gdy w kilka lat później ustanowiono komitety dla opracowania warunków przyszłego uwłaszczenia i wolności, w naszych guberniach najzgodniej i najprędzej ukończono pracę nad wielką reformą. Pozostanie to piękną stronicą w historii kraju naszego.

P. Ireniego, pogrążonego w refleksjach nad Inwentarzami, oczekiwał jeden z boleśniejszych ciosów w jego ciernistym życiu. Jak wyżej mówiliśmy, miał synów dwóch, którzy z podferuły Francuza Skuncewicza wstąpili do szkół: Staś do korupsu połockiego, a Klemens — do gimnazjum witebskiego ²⁾.

Nie może się nachwalić p. marszałek pierwszego z tych zakładów, gdzie syn był otoczony istotnie ojcowską opieką oficerów i nauczycieli. W maju (1854) otrzymał biedny kronikarz pierwszą smutną wiadomość o chorobie Stasia. Poleciał aż do Połocka, zastał syna w łazarecie i z pozwolenia dyrektora (gen. Lermontowa) zabrał go do Polkowicz, ale nie pomogły ani wiejskie powietrze, ani ojcowskie zabiegi: do zdrowia nie wrócił i skonał na rękę rodzica. Czytając przestronne i rozpaczliwe opowiadanie p. Ireniego, trzęsącą się pisane ręką, o zgonie syna — łzy cisną się do oczu.

Następuje długa przerwa w kronice, i gdy ustał trochę ból, p. Ireni bierze za pióro. Sypią się notatki o pogodzie, o nawiedzinaх sąsiadów, o śmierciach i chorobach. Dalej już długie wyciągi z gazet ówczesnych o wojnie, która dopiero się rozpoczynała w Krymie. O wojnie dużo, gdyż p. marszałek lubiał politykę, skrupulatnie czytywał wszystko na co natrafiał i zostawiał dla przyszłych pokoleń ekstrakt nabytych wiadomości.

Jest też i o cholery, bo o tym gościu dawno nie słyhać było, ale o epidemji same wzmianki, krótkie, *pro memoria*, bo Witebszczanin do niej już się przyzwyczaił, trochę z góry ją traktował. Zresztą obywatelstwo jest zajęte formowaniem milicji (opólczenia), zgodnie z ukazem, i p. Ireni z tego powodu jedzie do Witebska. Na wszelki wypadek, choć się nie obawia cholery (która jednak 800 osób w samym mieście przeniosła na świat lepszy), pisze testament, Witebsk bowiem był głównym siedliskiem epidemji.

¹⁾ Wprowadzone zostały 10 stycznia 1856 r.

²⁾ Do książki załączony jest rysunek, przedstawiający mundur ucznia gimnazjum witebskiego. Ubiozem był frak czarny z czerwonym kołnierzem i rękawami. Na kołnierzu podwójne złote hafty, guziki żółte na fraku: 9 dla zapięcia, po 3 na rękawach, po 3 po bokach i 4 z tyłu. Czapka z czerwonym lampasem.

Dyrektorem był Beryngow, inspektorem Lebiediew.

Na utworzenie gubernjalnego „opoleczenia“ kazano dać po 12 dusz męskich od tysiąca, a kto mniej sta dusz posiadał — dać miał trzech milicjonerów. Na ekwipowanie każdego asygnowano rb. 15 i uchwalono podatek po 2 k. z duszy, prócz tego postanowiono dać na utrzymanie w ciągu dziewięciu miesięcy po 16 pudów mąki i 1½ pud. krup, bieliznę potrzebną i buty po parze na każdego dostarczonego żołnierza. Naczelników do milicji wybierano z dy-misjonowanych oficerów. Po miesiącu „opoleczenie“ witebskie wyruszyło na teatr wojny.

W roku 1856 ¹⁾ skasowane zostało generał-gubernatorstwo witebskie, mohylewskie i smo-leńskie, które trwało od 1772 r., i sztab wielkorządcy, wynoszący do sześćdziesięciu osób. Ostatnim generał-gubernatorem u nas był gen.-adj. ks. Urusow, który bardzo sympatyczną po sobie pamięć zostawił; poprzednikami jego byli generał-adjutanci: Djakow, ks. Goliceyn (przy nim wojen. gub. był sławny gen. Jermołow), Ignatjew, ks. Chowański.

Kampanja krymska przerwała pracę nad uwłaszczeniem włościan, z jej końcem znowu roz-poczęła się działalność komitetów w gubernjach nad wolnością chłopu rosyjskiego. Dn. 15 stycz-nia 1858 r. był naznaczony pierwszy zjazd marszałków powiatowych dla omówienia porządku zajęć, lecz roztrząsano przeważnie stosunki marsz. gub. Jurjewicza i gubernatora Kołokolcewa, bardzo naprężone podówczas. Marszałkowie podzieleni byli, jak zresztą i obywatelstwo, na dwa obozy: arystokratyczny (tak go nazywa p. Ireni), popierający gubernatora, i demokra-tyczny — marszałka. P. Ireni należał do drugiego; szkoda, że nie podaje bliższych szczegółów o przyczynach waśni, rozdzielającej ziemian w tak poważnej chwili.

W marcu odbył się zjazd nowy obywatelstwa dla wyborów członków komitetu guber-njalnego, t. zw. włościańskiego, w którego skład weszli marszałkowie powiatowi, dwóch człon-ków od korony (b. marszałkowie P. Milkiewicz i P. Ciechanowiecki) i po dwóch delegatów z każdego powiatu.

Jest to ostatnia wiadomość *ex publicis*, wniesiona do kroniki rodzinnej p. Wasilewskie-go. Dalej dopisek ołówkiem: „R. 1859 syn mój Klimuś, służący w wojennej służbie w Nizow-skim pułku, życie zakończył i ja przestałem już zapisywać notatki w tej księdze. Smutek i rozpacz mię ogarnęły!...“

Więcej już nie p. marszałek nie notował aż do śmierci (1872 r.). Zapisywał wszystko: i pogodę i ceny i plotki i artykuły z pism dla tych ukochanych synów. Świat ten pożegnali, nie miał dla kogo gromadzić tego, co uważał za skarb wiadomości pożytecznych lub ciekawych.

Wertowałem stronicie kroniki, do której autor wlewał wspomnienia dni smutnych i we-sołych, co widział i co słyszał. Czasami jest naiwny, czasami imponuje głęboką wiarą, czymś poczciwym, zacnym i prawym. A ile rozpaczy, ile boleści w tych ostatnich wierszach, którym notatki swe zakończył. . .

Po drodze z Bieszenkowicz do Witebska z traktu widać wśród drzew starych biały, pię-trowy pałac. Majątek należy do włościan, dom pusty, drzwi znikły, okna bez szyb, mało gontów zostało w dachu pałacyku p. Ireniego, mocnej jeszcze budowy, a z tyłu, pod zgni-łymi krzyżami, obok żony i dzieci, w zachwaszczonym ogródku spoczywa snem wiecznym, na cudzej już ziemi, p. marszałek Wasilewski.

Wł. Ciechanowiecki.

Boczeków, sierpień 1909 r.

¹⁾ Elekcje, które odbyły się w roku 1856, były bardzo burzliwe. Część szlachty była przeciwna wyborowi marszałka Jurjewicza, który chciała obalić. Większość zaś obstawała za wyborem. Były gorszące epizody. Same elekcje trwały miesiąc cały. Marszałkiem gub. został Jurjewicz St., prezesami sądów: E. Snarski, A. Ciechano-wiecki, K. Swołyński, pow. marszałkiem lepelskim — N. Spasowski, połockim — J. Reutt.

Poprzednie elekcje 1853, były tak samo burzliwe, osobiście powiatowe wybory w Drysieńskim i Wi-tebskiem.



W. Reuttówna.

WSPOMNIENIE.

W ubogim sklepiku, położonym na jednej z nędzniejszych ulic Lwowa, siedziała we wrześniowe południe Żydówka, tęskny wzrok śląc ku zamkniętym drzwiom.

— I kiedyż otworzą się one i wejdzie gość, by bodaj coś za parę groszy kupić. Ciężko idzie handel, ludzie nic nie kupują, a tu dzieci o chleb wołają.

Wtem gwałtownie otwarły się drzwi i wpadła przez nie mała, może dwunastoletnia, dziewczynka.

W przekrzywionym kapelusiku, w niezapiętym kaftaniku, z rozpaczą w oczach, biegła przez ulice.

Wbiegła tak gwałtownie, że zanim sklepikarka opamiętała się, ta już wisiała jej u szyi, wołając z rozpaczą:

— Ciociu, ciociu, Reutt umiera!

I wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Porwała się sklepikarka, zapomniała i ona o swej trosce.

— Co, co, wołała, co ty mówisz? kto? Ta twoja nauczycielka, ta najlepsza?

I nagle sama wybuchnęła płaczem równie wielkim, jak tulące się w jej ramionach dziecko.

Nie знаła umierającej, nie widziała jej nigdy, a odczuła tę śmierć, jak jakąś wspólną, wielką krzywdę.

I jak w tym nędznym sklepiku, tak po wszystkich niemal ulicach Lwowa, w zamożniejszych i uboższych domach, rozlegał się dnia tego taki serdeczny płacz dziatwy, wznosił się jeden okrzyk bólu:

— Umiera, umiera ta nasza najlepsza, ta ukochana—wołały serca dziecięce.

Któż ona była ta, ukochana? skąd przyszła i czemuż śmierć jej taką ogólną żalność sprawiła?

Z nad Dźwiny dalekiej tu przyszła. Nad kolebką jej, w starym dworze ongi zawieszoną, zabrzmiała surma wolności. Zaśpiewano najpiękniejszą pieśń naszą. A śpiewali ją najbliżsi, ukochani dzieciny.

Nim sama pieśń zdołała zanucić, już echa jej przebrzmiały. Natomiast żałobną pieśnią bohaterom swym szumiały stare litewskie jodły. U ognisk rodzinnych gospodarzyli obcy. Z cichych gniazd wyrzucano pisklęta. A po gościńcach słychać było zgrzyty kajdan.

Nowa pieśń, co duszę młodą owionęła.—I myśleć uczyła.

— Ręce, nogi skuć można, lecz dusza wolną być musi.

A ogień wszak złoto oczyszcza.

I w ogniu bólu ofiarnego kształciła się dusza dziewczęcia. Jak dawna Litwinka, wajdelotką została, co Znicz święty miała niecić przez życie całe.

Koszttem pracy, zaparcia się siebie i ofiary wielkiej zapewniła ukochanej matce cichą mogiłę w ojczystej ziemi. Wyrzucona z gniazda rodzinnego, po śmierci tejże przyszła do Lwowa. Odeszła Dźwinę rodzinną, odeszła od borów ukochanych. Ale Znicz swój ze sobą zabrała. Ogień ofiary i pracy społecznej roznieciła tu w nowym środowisku. Przyszła tu walczyć o duszę polską. Polskę budować.

Budziła dusze, kształciła serca młodociane.

Ojciec, ukochani tam, z nad Dźwiny, dali życie dla sprawy świętej. Ona szła w ich ślady. Bojownica wielka, a niestrudzona.

Śmierć ją wzięła, jak żołnierza, na placu boju. Padła na posterunku, w szkole, przy pracy.

W chmurny jesienny dzień chował Lwów jedną z najlepszych, najrozumniejszych nauczycielek polskich.

„Miej serce i patrzaj w serce“, mówiła zawsze czynami swymi Wanda Reutówna. To też nikt tak, jak ona, nie umiał budzić serc dziecięcych, nie umiał ich prowadzić po drodze ofiarnej pracy. I nikt chyba tych serc młodych a czystych zdobywać tak nie umiał, jak ona. Za trumną szły szeregi jej uczennic.

20-to letnia praca plon wydała obfity.

Szły więc i kobiety dorosłe, matki uczennic i dziewczyny młode, wchodzące w życie i dziatwa mała.

Z całego tego tłumu, który zalegał ulice, jakby z jednej piersi wznosił się, jak pieśń pogrzebowa, płacz chóralny. Jęk dziatwy serdeczny. Takiego pogrzebu nie widział Lwów, takiego płaczu rzewnego dzieci nie słyszał nikt, kto razem z tą dziatwą nie płakał nad świeżą mogiłą.

O ziemio Witebska, tyś nam ją dała. Tobie cześć i chwała za dziecię twe!

M. Gozdawa.

KARTKA Z PAMIĘTNIKÓW KAFRA.

Dziś, gdy wewnątrz Afryki przestaje być tajemnicą i promienie kultury europejskiej, niesione przez podróżników, misjonarzy i oręż zaborczy, przedziereją się do najgłębszych jej części, ta Afryka, oszołomiona potęgą białych i cywilizacją ich, zwraca oczy z trwogą i zaniepokojeniem na Europę. W przodujących klasach wielu krajów tych dzikich ludów, budzi się chęć poznania świata dotąd nieznanego, by zbadać jego ustrój, kulturę i odkryć tajemnicę jego potęgi. Obecnie już wielu kafrów podróżuje po krajach naszych, przyglądając się wszystkiemu, co wpadnie w oko z największą uwagą i robiąc spostrzeżenia, aby co możebne a pożyteczne przenieść do swej ojczyzny.

W przypadkowy sposób w ręce redakcji pewnego czasopisma geograficznego w Niemczech, dostały się urywki z pamiętników młodego Kafra z nad brzegów środkowej Zambezy, podróżującego po Europie, a notującego swe spostrzeżenia, aby dzielić się nimi i z młodszym bratem.

Oryginalne są jego poglądy, częstokroć niedorzeczne, czemu się dziwić nie można, gdyż to syn dzikiej Afryki, pozbawiony światła i wszelkiej kultury.

Przytaczamy niektóre ustępy z tego pamiętnika w mniemaniu, że mogą zainteresować, zarysowując barwy, w jakich ukazuje się nasz świat temu podróżnikowi.

— Przypominasz bracie, — tak młody Kafr rozpoczyna swój pamiętnik, — z jakim wstętem wybierałem się w podróż do Europy, ulegając rozkazom ojca, namowom przyjaciół i prośbom czcigodnego Gotliba, naszego misjonarza. Przyznawałem się otwarcie, iż nie widzę żadnej korzyści z podróży. Cudów tych krajów dalekich nie warto oglądać. Mogą one zaspokoić próżną ciekawość, lecz przenieść je do ojczyzny nie zdołamy. Poznanie zaś tajemnic uspołecznienia białych i ich zwyczaju, może być nawet szkodliwe. Zaraziwszy się nimi, możemy tę truciznę zaszcześcić w ojczyźnie. Usposabiały mię do takiego mniemania moralne nauki ojca Gotliba. Przypominasz zapewne, gdy wtajemniczając w treść swej wiary, nauczał nas głównych jej prawd i obowiązków, jakie na człowieka wkłada. A gdy po wielu tygodniach nauki, chcąc zbadać jakie postępy uczyniliśmy, spytał mię:

— Powiedz co jest cnotą, a co jest grzechem?

— Cnotą—gdy zdołam bliźniemu odebrać wszystko co ma i potem go zabić, grzechem—gdy bliźni ze mną to samo uczyni — odrzekłem.

Gotlib, usłyszawszy tę odpowiedź, zapłakał. — Oniemieliśmy z podziwu, nie mogąc zrozumieć, dla czego zalewa się łzami.

Gdy pierwsze wrażenie smutku minęło i płacz się ukoił, Gotlib z największym zapalem wpajał, że najcięższym grzechem jest krzywda bliźniego, a bliźni jest każdy z ludzi.

Więc nietylko ludzi zabijać nie można, lecz nawet najmniejszej krzywdy czynić, każdego człowieka należy kochać, jak siebie samego, choćby był naszym nieprzyjacielem.

Niechę słów tej nauki w całości powtarzać, bo je pamiętasz, również i to przerażenie, jakie nas ogarnęło, gdy je słuchaliśmy. Gdybyśmy chcieli do niej się zastosować, cóżby się z nami stało i naszą drogą ojczyzną. Gdybyśmy nieprzyjaciół, zamiast zabijać, puszczaali wolno, własności ich nie zabierali—byłoby to przecie zdrada.

Podróż mię straszyla. — Po co jadę do kraju, gdzie zdrada jest obowiązkiem?

Dziś, gdy stanąłem na gruncie europejczyków, czuję, jak niesprawiedliwie ich oskarżałem. Wołam przepełniony radością, szczęśliwy jestem, że poznałem ich mądrość i wielkie cnoty obywatelskie.

Nie będę opisywał wszystkie cuda, jakie oglądam. Nie będę opowiadał o gmachach olbrzymich, z ich bogactwami, ani o maszynach, które same, bez ludzi, wyrabiają wszelkie przedmioty od największych, aż do drobnych, jak żdźbło i które, zamiast ludzi, najciężej pracują, ani o światłach olśniewających, co bez ognia płoną i o tysiącu innych dziwów, boby mi czasu zabrakło, odkładam to przyszłości. Dziś pragnę podzielić się tem, co największą moją uwagę i uwielbienie obudza i jest najpożyteczniejszem dla każdego kraju. Chcę mówić o wojsku i broni.

Sztuka w zabijaniu, choćby najliczniejszych tłumów, tych bliźnich, których chrześcijańskie pobożne ludy białe uczą miłować jak siebie samych, doprowadzoną jest do najwyższej doskonałości o jakiej my pojęcia nie mamy. Słusznie nazywają nas dzikimi. Widząc ich broń morderczą, przyrządy do zabijania ludzi, nie możemy się obrażać za taką nazwę. Broń, która sięga na metę najodleglejszą, w jednej chwili zmiata szeregi nieprzyjaciół, wyrzuca mnóstwo pocisków z niepojętą szybkością, z wnętrza tych pocisków wylatują jeszcze inne, a wszystkie kaleczą, zabijają, rozrywają ciało nieprzyjaciela. Co za rozkosz!

Są też materiały wybuchające z okropną siłą, któremi można zburzyć, wysadzając w powietrze, nietylko gmachy największe, lecz i całe miasta wraz z ludźmi i tem wszystkiem, co w sobie mieszczą. Niestety, jest w nich ta niedogodność, że wyrzucają w powietrze domy z całą ich zawartością. Z większym byłoby pożytkiem, gdyby wylatywały tylko mury i ludzie, a wszelkie sprzęty i kosztowności, pozostały dla zwycięzcy. Do tej doskonałości biała, oświecona rasa jeszcze nie doszła. Pewny jestem, iż prędzej, lub później, ukaże się wielki wynalazca, który obmyśli środek, aby po wybuchu łup mógł się dostać w całości burzycielowi.

Daremniebym się wysilał, opisując rozmaite rodzaje broni, pocisków, prochów i przyrządów do zabijania. Chcąc to wykonać musiałbym całą bibliotekę opisać. Wolę przysłać ci książki, specjalnie traktujące o wojsku i broni. Rozumie się wszystkich przysłać nie mogę, ograniczę się do najciekawszych i najniezbędniejszych, kierując się wyborem znawców; przysłę ci tylko ośmdziesiąt książek. Ojciec Gotlib ci dopomoże przeczytać i wytłumaczy, czego nie rozumiesz.

Niezrozumiałym mi się wydaje zapal tego Gotliba, z jakim występował przeciw kłamstwu, nazywając je grzechem, hańbiącym człowieka. Obludę, grzechem głównym. Uczynki wasze, wołał, powinny z mową waszą się zgadzać. Obludnikiem jest ten, który inne zasady wygłasza, a innych się trzyma w czynach swoich. Przyszedłem do was, aby podzielić cnoty miłości bliźniego, prawdy i szczerości zaszcześcić w umysłach waszych nieoświeconych.

Gdym płynął z Afryki, na statku wielu było podróżnych, pomiędzy nimi białych mnóstwo. Ci biali są mili w obejściu, pełni ogłady i uprzejmości. Zapoznałem się bliżej z pewnym

młodzieńcem, przyjemnym towarzyszem podróży. Opowiadał mi wiele o swych krajach. Po między innemi, że nie tylko wiara zmusza do dobrych uczynków, że niezależnie od niej, w imię miłosierdzia i współczucia dla doli bliźniego, powstały zasady braterstwa wszystkich ludów, aby szczęście stało się dostępne dla każdego, jednakowo dla białego i czarnego człowieka. Im naród jest wykształceńszy, tem gorliwiej rozkrzewia te zasady. Że w Europie, najpotężniejsze i najoświecześnie ludy, już krocą z hasłem ludzkości na czele.

Zostałem zdziwiony taką bezinteresownością, lecz i zasmucony zarazem. Bo wojownicza ojczyzna moja, podbiła piękny i żyzny kraj sąsiedniego ludu. Zwyciężywszy, ujarzmiła go. Mniemałem więc, że temu ludowi zmuszeni będziemy wolność przywrócić i oddać wszystko co odeń zabraliśmy. Że to nieszczęście jest nieuniknione, gdyż z niezachwianą mocą mój szlachetny towarzysz twierdził, iż światło prawdy wkrótce się przedrze w najdalsze strony świata i całą kulę ziemską ogarnie, jak Europę już ogarnęło.

Lecz od innych podróżnych się dowiaduję, że właśnie te ludy, które mają być najoświecześnie w Europie, zdobywają jeden po drugim kraje czarnych w Afryce. Że większą jej część już zawojowano. I nie tylko Afryka ulega takiemu losowi, lecz i inne części świata. Łupieżtwo i zaborczość zdobywczych ludów nienasycone. Chociaż tyle zdobyły, pragną zdobyć jeszcze więcej. Pchane niepohamowaną żądzą chciwości, pędzą na wyścigi, by nowe zabierać kraje.

Zamieszkując najodleglejsze szęści Kafreryi o tych zaborach słyszeliśmy, lecz nie wyobrażaliśmy sobie, aby je dokonano w takich rozmiarach. Gotlib też o nich mówił, lecz nie dokładnie, zlekka napomykając. Znowu nigdybym nie przypuszczał, że tak postępują ludy. apostołujące braterstwo narodów. Lecz takie postępowanie dla mnie najzupełniej zrozumiałe,

Wstępując do Europy, najpierw znalazłem się w granicach potężnego państwa, zasługującego na największy szacunek z powodu militarnej potęgi. Obywatele tego państwa, nie kto inny, lecz oni sami, tytułują je krajem „Bojaźni Bożej“. Chociaż poniekąd uprzedzony podczas żeglugi, iż nie wszystkim szyldom i hasłom, wywieszonym w Europie, wierzyć można, przyznaję się, iż z pewnym dreszczem obawy powtarzając słowa „Bojaźni Bożej“, wstępowałem w granice tego kraju. Myśląc, jak trzeba się wystrzegać, aby jakim niebaczem słowem, lub czynem nie ściągnąć na siebie nagany w miejscu, gdzie tylko cnota panuje. Wkrótce spostrzegłem, że to było zbytnią obawą. Bo jeżeli idzie o dążności polityczne, to kraj ten wcale się nie różni od mojej ojczyzny. Tylko o tyle, że dążąc do tych samych celów, daleko zręczniejsz postępuje. Rozglądając się w szczegółach jego obecnego życia i minionej przeszłości, dowiedziałem się, że było to niegdyś małe, nędzne państwo, które łamało traktaty i najuroczystsze zobowiązania, gdy z wiarołomstwa można było skorzystać. Zdradziło kraj, którego było hołdownikiem, niejednokrotnie zaprzysiegając mu wierność i przyjaźń. Korzystając z nieszczęść tego kraju, namówiło sąsiadów, aby go podbić i pomiędzy sobą rozdzielić.

Życzenia te spełniły się, państwo „Bojaźni Bożej“ wspaniale zyskało łupy. Przy podziale ostało rozległe prowincje i liczny lud ujarzmić mogło.

Zapytuję ciebie, cóż może być wznioślejszego nad szereg takich czynów wielkiego rozumu. Jakież sofizmata o poszanowaniu zasady braterstwa ludów mogą się równać z niemi. Czują jakie uwielbienie budzą w twem sercu i obudzą we wszystkich szlachetnych duszach Kafreryi.

Nie skończyłem jeszcze, państwo „Bojaźni Bożej“ obiecało ludowi ujarzmionemu, zabierając jego ziemię, ojcowskie rzady.

Przyobiecało mu zachowanie wszelkich praw własności, wolności osobistej, wolności wiary, modłów, obrzędów religijnych i języka.

Mniemasz zapewne, że teraz obietnicy dotrzymano. Że państwo „Bojaźni Bożej“, po tylu zdradach, gdy temu podbitego ludowi wszystko zabrało, uniesione nieroztropną litością, da mu swobodę życia, zwłaszcza, że spełnia on wszelkie obowiązki obywatela. Płaci podatek,

służy wojskowo, idzie na wojnę gdzie mu każą, choćby miał się bić z bracią swą ujarzmioną przez inne ludy. Posądzasz zapewne, iż się uniesie fałszywym wstydem i dla zachowania pozorów ludzkości, którą się tak szczyci, uzna człowieka w bliżnim, wyzuwszy go z ojczyzny.

Bynajmniej,—mądry obywatel państwa cnót wzorowych, żadnych nie zna wyrzutów sumienia gdy idzie o krzywdę słabszego.

Od stu przeszło lat znęca się nad ujarzmionym ludem. Nie ukrywa, iż chciałby go wytępić. Żadnej z obietnic danych nie dotrzymuje, owszem, jawnie je gwałci.

Panujemy też nad podbitym ludem i staramy się wszelkie stąd wyciągnąć korzyści. Obarczamy go podatkami uciążliwymi, do żadnych nie dopuszczamy zarządów, wszystkie lepiej opłacane swoim oddajemy w jego nawet kraju. Nawet tu wymyślamy nad potrzebę rozmaite posady z grubem honorarjum, aby dać ziomkom zarobek. Tak samo staramy się dręczyć, tyranizować zwyciężonych, bo każda ich męczarnia, każda troska, prawdziwą jest dla nas rozkoszą.

Postępujemy podobnie, lecz przyznać muszę, nie z taką zręcznością. Mnóstwo środków udręczenia uszło naszej uwagi. Będę je pilnie notował, aby zastosować u siebie.

Któżby np. z naszych rodaków odgadł, jak ważną rzeczą są szkoły i nauka, rozumie się wzorowane na europejskich.

Gdy powrócę, wystąpię z projektem zakładania szkół ludowych, średnich i uniwersytetów. Stworzę stronnictwo patriotyczne na którego czele stanąwszy, zgrupuję dokoła siebie najmędrze żywioły, aby w swe ręce pochwycić kierownictwo nauką i szkołą, poznałem jak niemi trzeba kierować.

Szkola jest bardzo użytecznem narzędziem, można się nią posługiwać w najrozmaitszych celach. Np. wykladać historję z największą swobodą, pozbywszy się wszelkiej przestarzałej rutyny. Wysławiać przeszłość, cnoty i wielkość swego narodu; podnosić je do najwyższej apoteozy. Wysławiać zwycięstwa, których nigdy nie odnosił. Zarazem bezwarunkowo potępiać bezwstyd, hańbę historii i wiary podbitego ludu. Można zmyślać co się podoba byle wszczepić w sercach uczącej się młodzieży tego ludu wstręt do ojczyznej przeszłości.

Taka nauka historii jest bogobojnym uczynkiem. Oduczy innoplemienną młodzież od wszelkich mrzonek patriotycznych, a w naszej głęboko zaszczerpi patriotyzm i miłość ojczyzny.

Wiele jeszcze pożytecznych celów można dla nauki znaleźć. Wspomniałem tylko o jednym wśród mnóstwa innych. W swoim czasie o nich opowiem. Trzeba jednak pamiętać i zawsze mieć na widoku, iż wszelka nauka powinna być patriotyczną.

Domyślam się, iż zachodzisz w głowę, gdzie znajdziemy tylu nauczycieli, zwłaszcza profesorów na uniwersytety. Naiwność twa granic nie ma. W Europie się dowiedziałem, iż wielu profesorów nie ma nic wspólnego z nauką. Czyż mniemasz, że w naszej Kafirerii takich zabraknie. Ręczę ci, znajdziemy ich tylu, iż nietylko dla nas wystarczy, lecz będziemy mogli wysyłać do innych krajów, gdyby o to prosiły. Zresztą szkoły nasze będą zakładami specjalnie skierowanymi ku udręczeniu innoplemienną młodzieży, aby ją do karności i posłuszeństwa wdroić i wzniecić miłość do naszego wielkiego narodu i jego szlachetnego języka. Opornych, którzy nie zechcą po kafryjsku uczyć się i modlić, karać będziemy bez litości.

Wydatek utrzymania szkół, uniwersytetów, opłatę nauczycieli, profesorów i zwierzchności całej, rozumie się, hojnie wynagradzanych, bo w celach oświaty skąpić nie można;—wydatek ten poniesie naród innoplemienny. Niechby spróbował się opierać, tem gorzej dlań. Wystawimy go na hańbę powszechną przed światem całym, jako wroga nauki. Co nie przeszkodzi, że znajdziemy dużo niezawodnych środków do zmuszenia, aby nałożony podatek był najregularniej płacony.

Wszak prawda, że to będzie świetną inicjatywą, gdy wystąpię, wołając o prawa naszego języka i oświatę. Zostanę twórcą i założycielem oświaty wśród ludu dzikiego.

Wiekopomną sobie sławę zbuduję. Rozgłosi ona me imię w najdalsze strony. Ludzkość z wdzięcznością będzie je wspominała. Po mojej śmierci — obyż mi nieba najsędziwszych lat dożyć pozwoliły, abym dzieło rozpoczęte mógł dokończyć, — ukażą się w pismach rozczulające nekrologi. Rodacy będą oplakiwali zgon zasłużonego męża. Może pomnik wzniosą!

Dotąd w najzupełniejszym zaniedbaniu była u nas kwestja wiary i wyznania podbitego ludu. W naiwności swej obojętnie patrzyliśmy na sprawę sumienia, dając wszelką swobodę, aby każdy wierzył, jak mu się spodoba.

Ojciec Gotlib niejednokrotnie się wyrywał z zamiarem, aby iść do podbitego kraju i tamtejszy lud nawracać. Stanowczo temu sprzeciwialiśmy się. Tyle nasłuchaliśmy się o dobrodziejstwach jego wiary, tu na ziemi i po śmierci w życiu przyszłym, iż byliśmy zazdrośni, aby te dobrodziejstwa i na wrogów naszych nie spłynęły. Strasziliśmy dzikością, fanatyzmem i bezprzykładnym uporem niegodziwego ludu. Nie zrażało to gorliwego Gotliba. Odpowiadał, że w sprawach wiary, można niekiedy użyć łagodnego przymusu. Żądał tylko, aby mu do apostołowania pomocników dodano. Nikt się na to nie zgadzał. Dziś całkiem inaczej na to patrzę. Należy mu dać wszelkie poparcie, pomocników ilu zechce, aby śpieszył i niewiernych nawracał...

Tu urywa się pamiętnik Kafra...

K. Petryżycki.





Jan Barszczewski.
[1794—1851].

PÓŁNOCNA ZORZA. *)

Światło dziwne zapala niebieskie sklepienie,
Płomienieią obłoki, znikły nocne cienie;
I górną przestrzeń blask ten jaśniejszy od słońca
Ognistą rzeką przebiegł od końca do końca.

Zdaleka świt północney lampy błysnął w cieniu,
Ta się pali na niebie, tam gdzie na jeleniu
W bystrym biegu Laponiec śnieżne mija pola,
I gdzie w lasach Sybirskich polują Sobola.

Lampo! oświeć tam niebo skryte mgłą i nocą;
Nieieden mając życie tam strute przemocą,
Duszy znękaney pamięć skrywając głęboko
Szuka w niebie nadziei wznosząc łzawe oko.

Lecz oto nowy widok: z chmur ognistych fali
Słupy, jako Tytany w rozpaloney stali
Powstają, raz olbrzymim zbliżają się krokiem
I znowu dzielą szyki swe krwawym obłokiem.

Juljo! nim jeszcze ta północ głęboka,
Chciałbym daleko lecieć, tam sen z twego oka
Na chwilkę spłoszyć krótkim na ciebie spojrzaniem,
Ukazać niebo dziwnym pokryte płomieniem.

Nieieden, widząc blask ten i krasne obłoki,
Roknie pożar wojny i krwawe potoki,
Lecz ja, com w duszy przeklął los ludziom zdradliwy,
Nie chcę łąz moją gasić ogień nieba mściwy.

*) Wyciąg z listu do J. K... z dnia 16 października 1838 r.

¹⁾ Duchy niebieskie! co wieczność bez końca,
Bez końca światy, niezliczone słońca,
I niepojętey przestrzeni granice
Prędzey zwiedzacie niż pęd błyskawicy,
Pan wasz zszedł na świat, zostawił niebiosy;
Świat w Oceanie światów—kroplą rosy.
Zszedł na świat... człek im pogardza i w gniewie
Nauczyciela krzyżuie na drzewie.
Planet tłum zczerniał od żalu, od trwogi
I leciał w przestrzeń bez granic z swej drogi.
Wśród światów fali, jak wieloryb ziemia
Wyrzuca z piersi żywe ludzkie plemia.
Węgłem zgaszonym—słońce w oczach ludu,
Lud cud ogląda, wierzy temu cudu.
Wierzy lud... — w księdze ta pamiątka; wiary
Hasłem — krzyż, słowo w świątyniach ofiary.
Lecz chciwość, zdrada, pycha, zemsta wściekła
Popiera jeszcze rząd na ziemi piekła.
Ludzie! gdzież wiara, gdzież jest prawdy droga?
Gdzież miłość bliźnich, gdzież jest miłość Boga?!

Jan Barszczewski, zwany przez współczesnych „Lwem literatury białoruskiej“, urodził się w r. 1794 w Morohach, na granicy Newelskiego i Siebieżskiego pow., Witebskiej gub.

Pochodził ze sfery, o której biograf J. Barszczewskiego ²⁾ mówi, „że nie wiedząc o sobie, nie mając uznania samej siebie w swej istocie, posiada najwięcej żywotnych elementów narodowych, przechowując, z niezgładzonym przez cywilizację charakterem, najwięcej narodowych pamiątek. Uboga ta klasa szlachty, mająca tak blizki stosunek z klasą ludu wiejskiego, iż prawie zlewa się z nią w jedno — przedstawia w sobie przejście i połączenie tych dwóch stanów“, którym poeta swe pióro poświęcił.

Barszczewski nauki pobierał w połockim Kolegium Jezuitów, gdzie już zasłynął jako „Wierszopis i Orator“. W tym czasie napisał między innymi utworami „Rabunki Mużykou“, w białoruskim narzeczu. W utworze tym dowiódł głębokiej znajomości nie tylko wad, zalet, lecz i języka ludu białoruskiego. Wraz z ukończeniem Kolegium zaczyna się dla poety nieprzerwane pasmo tułaczek w pogoni za chlebem nauczycielskim. Wkrótce potem opiera się o Petersburg. Tu był ma lepiej zabezpieczony, może się więcej oddawać ulubionej poezji,

¹⁾ J. Barszczewski w liście do J. K... z dnia 24 sierpnia 1839 roku, załączonym do przesyłanej Biblii Now. Test., pisze o niej:

„...O gdyby świat ią czytał z uwagą, kończyłyby się te klęski narodów i prześladowania; prawo Zbawiciela jedyne tylko jest, co może dać pokój światu. Ja, rozważając wielkość tego Prawodawcy z uczuciem, w myśli przelatywałem te idee, które w następnych napisałem wierszach:...”

²⁾ Romuald Podbereski „Białoruś i Jan Barszczewski“—wstęp do „Szlachcie Zawalnia“. Pet. 1884 r.

lecz wzamian wypływa inna troska — tęsknota za ukochaną ziemią rodzinną, o której mówi: ¹⁾

„Rodzinna ziemiol tve góry wyniosłe,
Łąki i wody w krąg trzcina obrosłe,
I lasy, gdzie blask nie przenika słońca,
Zawsze się w mojem malują wspomnieniu,
W zielonej barwie, w wiosennym promieniu,
Jak gdyby obraz jaki czarujący,
Brzmi w mej pamięci tęskny śpiew rolnika
I nieuczona pasterska muzyka,
Kiedy w rozległych borach nad jeziorem
Echo powiększa dźwięk kobzy wieczorem,
Lub gdy się chłodząc gmin wieczornym cieniem,
Po dziennych trudach, pod niebios sklepieniem,
Przed domem w grono zebranych usiada,
I słucha, kiedy starzec opowiada
Niegdyś od przodków słyszane zdarzenia,
Od pokolenia te do pokolenia
Idąc, o dawnych wspominają ludach,
O bohaterach, o wojnach, o cudach!..

Tęsknota sprowadza Barszczewskiego latem — w czasie wolnym od fachowych zajęć — na rodzinną Białoruś, zwiedza ją pieszo z notatnikiem w czapce, pełen miłości do tej ziemi, jej ludu, skrzętnie notujący jego podania i charakterystyczniejsze cechy. Ażeby zrozumieć jak silne było u Barszczewskiego ukochanie ziemi i poświęcenie się literaturze, mówi Podbereski ²⁾, że „trzeba znać go osobiście, trzeba go widzieć z kijem pielgrzymim w ręku, tak jak ja go spotykałem w moich podróżach, pieszo, wśród gminu białoruskiego, na tratwach Dżwiny, w przydrożnych karczmach, na drózkach ledwo ubitych w lesie i na wielkich gościńcach“.

Zimą zaś rozszerza B. swój widnokrąg umysłowy, pogłębia pogląd na życie i zadanie poezji w owoczesnych petersburskich kółkach literackich ³⁾ w których bywał też niezadługo przedtem Adam Mickiewicz, którego rady i poprawki głęboki pozostawiły ślad na treści, a także i na języku ⁴⁾ utworów Barszczewskiego.

W roku 1840 rozpoczął Barszczewski wydawnictwo „Noworocznik Niezabudka“, w którym umieszczał utwory swoje, oraz licznych współpracowników, jak naprz.: Podbereskich, W. Reutta, Sztyrmerów, G. Szepielewicz i licznych innych.

Roczniki te odznaczały się wielką rozmaitością treści, to też zyskały gorliwe poparcie ziomków i powędrowały pod strzechy, które przedtem nic, prócz ksiąg do nabożeństwa i kalendarzy nie widziały, budząc uspiętego ducha, zachęcając wogóle do czytania. Na schyłku egzystencji „Niezabudki“ — w r. 1844 wydał i poprzedził wstępem krytycznym R. Podbereski prozaiczny utwór Barszczewskiego — „Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach“ — za „homeryczną“ prostotę sposobu opowiadania nazwany „Rapsodem białoruskim“.

W tym utworze Barszczewski ośmiesza i karci liczne ujemne strony obywatelstwa, jego stosunek do włościan, chociaż trudno się nie zgodzić z A. Pypinem ⁵⁾, że Barszczewski sam się nie pozbywa pewnej protekcyjności względem ludu, że niedostatecznie zastanawia się nad jego

¹⁾ „Szlachcic Zawalnia“, str. 12. Szkic północnej Białejrusi.

²⁾ Str. 39 wstępu do „Szlachcic Zawalnia“.

³⁾ List do I. K... z 20 września 1842 r. (ze zbiorów ś. p. Wacława Fedorowicza).

⁴⁾ Julian Bartoszewicz w biografii Barszczewskiego (Dziennik Warszawski № 22—24 z r. 1851) między innymi mówi, że Mickiewicz „poprawiał wiersze B.“

⁵⁾ А. Н. Пыпинъ „Исторія Русской Этнографіи“ т. IV „Бѣлоруссія и Сибирь“. Str. 62, wyd. 1892 r.

ekonomicznym stanem, co było konieczne zarówno dla względów literackich, jak i z punktu widzenia społecznego.

Część pozostałych swych prac wydał Barszczewski w książce „Proza i wiersze“ t. 1 ¹⁾ w Kijowie, w r. 1849, rychło przed skonem, który nastąpił w Cudnowie, dnia 11 marca 1851 r...

Można się teraz nie zgadzać z poglądami i charakterystykami Barszczewskiego, można je uważać za zbyt powierzchowne, lecz trzeba przyznać, że wielką rolę odegrał poeta w przebudzeniu myśli, samookreślenia, humanitarnych haseł współziomków, że jego nawoływanie:

„Ludzie! gdzież wiara, gdzież jest prawdy droga?

Gdzież miłość bliźnich, gdzież jest miłość Boga?

nie przebrzmiało bez echa.

Wit. F.



¹⁾ Prace o których mówiłem są tylko częścią utworów Barszczewskiego, reszta—niewydana jest podobno w zbiorach rodziny hrabiów Rzewuskich.



Tadeusz Dmochowski.

Tadeusz Dmochowski, art. malarz, ur. 1858 r. w gub. Mińskiej, pow. Pińskim. Po klęskach jakie spadły na rodzinę w 1863 r., utracie matki, zniszczeniu dóbr i zesłaniu ojca, wychowywał się w domu babki swej na Inflantach polskich, stąd ścisła łączność z temi stronami, którą artysta dotychczas podtrzymuje, spędzając rok rocznie część lata w majątku krewnych w pow. Dynaburskim.

Jako artysta kształcił się w Warszawie, w akademii petersburskiej, następnie w Krakowie był w bliskich stosunkach z Gierymskim i korzystał ze wskazówek mistrza Matejki.

Z usposobienia romantyk, przyczem w charakterze jego subtelny romantyzm Heinego harmonijnie się łączy z rycerską staropolską fantazją, pod względem techniki poprawność rysunku zalicza do elementarnych warunków twórczości artystycznej. Nie jest przeciwnikiem



Dworek na Inflantach.

nowych kierunków, lecz nie hołduje tym hasłom chwilowym a z wodniczym, którymi często szarlatanizm stara się zamaskować swe nieuctwo. Rozgłosu nigdy nie szukał, brzydząc się wszelką reklamą. Posuwając samokrytycyzm i surowość względem samego siebie do przesady, rzadko tylko

występuje na widownię publiczną. Jeno najbliżsi znajomi dostępują niekiedy rozkoszy zajrzeć do wnętrza grubej teki, zawierającej jego dorobek artystyczny. Prócz krajobrazów i kompozycji historycznych, posiada artysta wybitną specjalność: jest on bezsprzecznie najpoważniejszym dziś a bodaj w Polsce jedynym znawcą heraldyki, t. j. nie tyle jej strony genealogicznej, ile artystycznej, mianowicie znaków, symbolów, oraz ornamentów heraldycznych. Dwa olbrzymie witraże w kościele Marjackim w Krakowie, skomponowane z motywów heraldycznych, a wykonane podług kartonów naszego artysty, stanowią dowód widoczny niepospolitego w tym kierunku uzdolnienia i znajomości.

Na zakończenie nie sposób pominąć działalności pedagogicznej Dmochowskiego.

Wytrawny znawca sztuki, jej historii i rozwoju, nie jest zasklepionym w swej specjalności fachowcem. Przeciwnie, erudycja jego we



Wanda.



Krak.

wszystkich dziedzinach nauk humanistycznych jest zadziwiająca; jeżeli dodamy charakter jak kryształ czysty, zasady niewzruszone i serce gorejące wielką miłością kraju ojczystego—przyznamy, że taki człowiek wywierać musi wpływ niezatarty a zbawienny na wszystkich, którzy mieli szczęśliwą sposobność z nim się zetknąć i pracować pod jego kierunkiem.

J. O.



Red. Jan Obst.

B a ś ń.

U podnóża gór Wałdajskich, raz w jasną noc księżycową pod namiotem niebotycznej jodły, dwie rusalki źródlane—Wołga i Dźwina,—cichy rozhovor wiodły.

Wołga: Dokąd niebaczna, niesforna siostró kierujesz bieg swój? Alboż nie były nam te mechy aksamitne wspólną kolebką? Nas wykarmiły piersią swą te same chmury i jedną pieśń u powicia nuciły nam jodły stuletnie. Połącz swój nurt srebrzysty z mojemu wodami, przed nami kraj rozległy, otwarty, który mnie jedynie uznaje panią i matką i królową.

Niezmierzone, szmaragdowe równiny ścielą się na wschód, na północ i ku południowej stronie. Najbystrzejsze oko nie ogarnie i nawet myśl lotna niezdolna objąć nieskończonych dali. Białe mury świątyń i monasterów przegładają się w mej toni, nad niemi tysiąc kopuł różnobarwnych lśni się i mieni w promieniach słońca i tysiąc dzwonów piersią spiżową głosi chwałę wielkiej ojczyzny mojej. Bogate grody i przyziemie, szare siola, lasy szumiące i bezbrzeżne stepów morze, dziedzictwo moje. Niezliczone tratwy płyną nieprzerwanym łańcuchem, wiozą bogactwa wschodu: cenne kruszce z Uralu, futra sobole i kosztowne perskie tkaniny. Na brzegu, w noc ciemną, w koło ogniska siedzą „burłacy“ i prostując zgarbione plecy nuca tęskne piosenki o swej niedoli, co tak głęboka jako nurt „matuszki Wołgi“, tak bezbrzeżna, jak moje wody, gdy wiosną zaleją szerokie pola. I jak wspaniały bieg mój, tak majestatyczne ujście. Nie ku oceanom toczę swe nurty, gdzie tysiąc innych zlewa się rzek; moje wody nigdy obcych nie zroszą wybrzeży, kiedy znużona daleką drogą spocznę w królewskim łożu morza Kaspijskiego. Mojem jest to morze, dla mnie wyłącznie potężną dłońią Stwórcy wyżłobione, jedyne na świecie co w dumnym odosobnieniu nie chce się łączyć z innych mórz obszarem.

Dźwina: Co ciebie nęci—przeraża mnie, siostró! Wprawdzie krótki mój bieg, często najeżony zdradliwymi skałami, które z trudem omija flisak ubogi. Na falach swych nie splawiam skarbów wschodu: złote ziarno z pól ojczystych, srebrna przędza lnów i dorodna sośnina—oto skromne wiano moje, które niosę Bałtykowi. Lecz tam, w przepaścistych głębiach jego, nurt mój jednoczy się z wodami pobratymczego Niemna, który przedziwne pieśni śpiewa, zasłyszane gdzieś w biegu: o gałązce litewskiego chmielu, co wdziękami pruskiej topoli nęcona, rzekę kraśnym przeskakując wiankiem, na obcym brzegu łączy się z kochankiem. Tam Wisła, z dalekich gór Karpackich rodem, cudną baśń snuje o smoku okrutnym i dzielnym królu,

który smoka zabił i gród wspaniały zbudował sobie na chwałę, na postrach wrogom i światu na podziw. Tysiąc lat minęło—gród stary wciąż jeszcze się wznosi, strzeliste wieże jego kościołów toną w obłokach, a na wzgórzu wyniosłem, gdzie niegdyś była jaskinia smocza, wciąż jeszcze stoi zamek stary. Mchem obrosły głazy jego, siwizna przyprószyła dumne niegdyś czoło. W nocy gwieździste samotny rozpamiętywa stare dzieje o bohaterskich królach, o minionej chwale, a Wisła słyszy wszystkie te powieści, przechowuje wiernie, by je złożyć na dno morza—na pereł więcej.

Gdzie Niemen, gdzie Wisła, tam Odra łączy mętny swój nurt— mętny, bo plemię wraże obsiadło jej wybrzeża. Lecz Odra pamięta czasy, gdy była rzeką słowiańską, a słupy żelazne, głęboko na dnie jej łóżyska wbite, niby ukryty wyrzut sumienia mącą hyży bieg potoku.

Siostró Wołgo, jakkolwiek blisko stały nasze kolebki, sama przyroda w niezbadanej swej mądrości tu wzniosła między nami granicę wód. Nie sposób kazać wstecz płynąć potokom. Twoja na wschód prowadzi droga, bywaj zdrowa!... Mnie—na zachód przeznaczenie woła.

To rzekłszy, uroczą rusalka, na wiatr rozpuści jasne włosy i zatoczywszy krąg szeroki, lekko w dal płynie, a za nią w ślad biegnie struga srebrzysta, igrając cudnie w pierwszych promieniach budzącego się dnia.

Jan Obst.



Środki lecznicze ludu naszego.

Jako przyczynek do ludoznawstwa rodzinnego podajemy szereg przepisów lekarskich przed pół wiekiem mniejwięcej „z własnej praktyki oraz z ust ludu prostego“ zanotowanych na Inflantach w pow. Rzeżyckim.

Poznać chorego na życie i śmierć: Wziąć mleka niewieściego do łyżki i uryny chorego wpuścić piórem lub patyczkiem kroplę na mleko. Skoro się zmiesza z mlekiem—pewien zdrowia; skoro odłącza się jak oliwa—niepewien życia.

Proste lekarstwo na wielorakie choroby: W końcu maja lub początkach czerwca, kiedy rośliny najobficiej kwitną, rano zbiera się krowiniec do 12 funtów i ten krowiniec we 12 garncach wody krynicznej rozmieszać i na 24 godzin postawić w ciepłe, potem tynktura ta zlewa się ostrożnie, która będzie dość przyjemnego zapachu (?) zlewa się do butelek i można zakorkować. Choremu dawać naczeczko i wieczorem po 12 łutów tej tynktury, jeżeli choroba jest wewnętrzna, a gdy powierzchowna, to dolegliwe części ciała tą samą tynkturą zmywać.

Na wielką chorobę: Gdy ta choroba napadnie, dać choremu kopyto łosie trzymać i nosić w jakim naczyniu przy sobie.

Angielska choroba u dzieci leczy się wanną przygotowaną z liścia paproci lub smarowaniem tłustością węgorzową.

Brodawki zniszczyć: w sobotę, kiedy gospodynie stół mają zwyczaj zmywać, to pierwszą wodę spuściwszy, a drugą gdy się splukiwa, to pod tą wodę ściekającą trzymać brodawki, tak aby dobrze się opłukały; w następną sobotę to samo powtórzyć—giną choćby największe były.

albo: smarować pianą z pod pach konia spoconego, lub mulem zostawionym na ścianie od ocierającego się wieprza.

albo: ukraść (!) kawałeczek mięsa krwistego albo jabłka i tem trzy razy posmarować, za każdym razem zakopując mięso czy jabłko do ziemi; to jak zgnije jabłko czy mięso i brodawki poginą. Zawsze robi się kradzionem a nie inszem.

Od cholery: na butelkę wódki bierze się łut aloesu, łut sekwaseru, łut salmonjaku i dawać cierpiącemu w początkach słabości parę razy w dzień po pół kieliszka z pół kieliszkiem wody.

Od dyaryi: arkusz papieru pocztowego skręciwszy w gałkę włożyć w pół kwarty mleka słodkiego i mocno zgotować, tak aby papier zupełnie się rozgotował i tak przygotowane mleko wypić. Jeżeli od pierwszego razu nie przestanie to powtórzyć.

albo: gałązek brzozowych cienkich spalić na popiół i tego wziąć dobrą łyżkę do kieliszka wódki, rozmieszać tak, aby nie było gęste, wypić i — od pierwszego użycia tego lekarstwa ustaje.

Dziąsłowy ból u dzieci uśmierzysz smarując dziąsła mózgiem zajęczym.

Na febrę tereyanę: bierze się plewka ze środka skorupy jajka kurzego, obwiązać je około czwartego palca, który serdecznym i pierścieniowym zowiemy, a febra porzuci.

albo: wziąć kawałek książki żydowskiej, wydrukowany kawałek zgotować i dać wypić.

Od febry: 13 żuków zwyczajnych ususzyć i 13 ziarek kawy palonej utłuc i zmieszawszy dać wypić w kawie przed paroksyzmem.

albo: złowiwszy dwie lub trzy żaby do garnka, nalać pół kwartą wody, gotować mocno, potem ostudziwszy precedzić i dać wypić przed paroksyzmem.—Dobry sposób.

albo: dwa raki żywe włożyć do garka i nalać winem i to niech stoi przez noc, nazajutrz naczecz to wino wypić.

albo: dawać pić gotowany korzeń ajerowy z szaławieją.

Na chorobę francuską: pić rutę zamiast herbaty, a do rana przykładac koński kał świeży. Sposób ten praktykowany z pomocą.

Glisty umorzysz zażywając kilkanaście kropel dziegieciu w piwie, albo pokrzywę warząc w miodzie.

albo: plastr na wyprowadzenie robaków: liści piołunu garść jedną, dwa ząbki czosnku, gotować to razem w mleku do gęstości plastrowej i potem przykładac do pępka.

Od gorączki z przeziębienia: pomiot gęsi białej ususzony w piecu starć na proszek, którego łyżkę stołową do kwarty piwa wysypawszy zagotować mocno i na noc choremu dać wypić.

albo: lina żywego rozplatawszy do pięć przykładac.

Od bólu głowy: w dzień ścięcia Św. Jana t. j. 29 sierpnia wyciąć w ogrodzie główkę kapusty, ale przed ścięciem zmówić najprzód 5 pacierzy i później tę główkę zasuszyć. W razie bólu głowy listkami tej kapusty okładać głowę, ale przed obwiązaniem także zmówić 5 pacierzy.

Od głuchoty: łyżkę stołową soli zwyczajnej wysypać do trzech kwatek wody krynicznej na 24 godzin; potem spać idąc do ucha cierpiącego głuchotą wlać tej wody łyżeczkę herbatnią i tem uchem nie obracać się do poduszki — tak postępując przez 7 lub 8 dni głuchoty się pozbędiesz.

Na kaszel: trzy myszy złowić i ze skóry obedrzeć, nogi i głowy poodrzucać, wypatroszyć i gotować w 9 kwartach wody, potem precedzić i dawać pić ostudziwszy.

albo: zielone borowe szyszki warzyć i pić—zapobiega też suchotom.

Od kataru: grzanek chleba pszennego w oliwie usmarzwszy zjeść.

albo: na noc do podeszwy przyłożyć śledzia na pół rozdartego, lub wycierać podeszwy czosnkiem.

Na koklusz: rzepę wydrążyć, w to wydrążenie nasypawszy cukru wstawić na noc do pieca gorącego. Cukier stopnieje i z sokiem rzepy zmiesza się—wielce jest pomocnym.

Kolki uspokoisz stłukszy na proszek szczękę szczupakową, ten proszek w piwie ciepłym pijac.

albo: wnętrzności wileze na proszek osuszyć, utrzyć subtelnie, ćwierć łuta na jeden raz wypić w czemkolwiek ciepłym.

Na kołtun i parchy: biorą się dwie żaby ropuchy, kładą do garnka polewanego, oblepia się z wierzchu ten garnek i trzyma poty przy ogniu nim nie uschną, potem stłuc na proszek, głowę natrzeć sadłem wieprzowem i przysypać tym proszkiem, przykryć głowę pęcherzem i obwiązać.

Od bólu w kościach: dobrze się rozparzywszy w łaźni miejsce gdzie doświadczasz bólu wysmarować szpikiem końskim, wybranym z kości konia zdechłego.

Od krosty: szczyny końskie, masło świeże i drożdże, gotować i tem smarować ciało.

Zamawianie krwi płynącej z rany: bierze się naczynie drewniane, napelnia wodą i to naczynie trzymając nad raną mówić następujące słowa:

Zastanów się krew w ranie

Jako woda w Jordanie

Kiedy św. Jan Chrystusa Pana chrzcil.

Po wymówieniu trzy razy huknąć na krzyż (?) nad tą wodą, potem wodą zmyć ranę.

Od krwotoku: trzy razy powiedzieć: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

Niech krew zostanie w tobie
Jak Chrystus uczynił w sobie!
Niech krew zostanie w żyłę
Jak Chrystus uczynił ukrzyżowany;
Niech krew zostanie nieporuszona
Jak Chrystus pan uczynił w swojej męce. Amen.

Kurczom zapobieżysz nosząc podwiązki ze skórki węgorzowej.

Liszaj namazać śmietaną słodką i dać psu zlizać.

Na zapalenie nerek: wątrobę jeżową suszoną na proszek utartą z miodem zmieszać i pić.

Na obstrukcję: siedzieć nad wodą kryniczną, zimną, póki solucji nie będzie.

Od zapalenia oczu: przykładąć glinę z białkiem.

albo: utłuc węgli brzozowych, zalać takowy proszek wodą chłodną, przecedziwszy, przykładać.

Na ślepotę wpuść do oka kroplę żółci szczupakowej.

Oczy bolące przemyć mydłem, którym obmywano trupa.

albo: żółć zajęczą z miodem mieszaną wpuszczać do oczu.

Lekarstwo na paralusz: żółć niedźwiedzia.

Na parchy: Gadzin kilka włożyć do garnka, wstawić do pieca, z nich będzie galereta, którą namazać głowę.

Na puchlinę: wątrobę wilczą ususzyć na proszek, ćwierć łuta wypić.

Na raka i fistuły: Weźmij wody wapiennej, dodaj świeżego łajna ludzkiego aby się sformowało na kształt kaszy i tą ciepłą przykładać do rany.

Na reumatyzm w głowie: Owcę ostrzydz w pokoju i ciepłym runem głowę obłożyć.

Na trudne niewiast ciężarnych rodzenie: w ciężkiem porodzeniu dają pić skrom zajęczy, biorąc jedną łyżkę i gotując w piwie.

Od róży: wiosenną porą zbierać skrzek żabi i takowy przecedziwszy wodą zmywać różę.

albo: uciąć czarnemu kotowi ogon i krwią płynącą wysmarować miejsce gdzie jest róża.

Zamawiać różę: Irion†Sirion†Kirion†Karyon†Koforyn†Stylida†Stalitura†Kakara†Idota†Strydota†Syon†Bryon†et†Deus†Meus.

Te słowa wypisać na skorynie chleba.

albo: wypisać na karteczkach: Sator—Areto—Tenet—Opera—Rotas. Rano i wieczorem po karteczce zjadać.

albo: „Szedł Pan Jezus przez łąkę i znalazł trzy róże, jedna stała, druga spadła, trzecia zginęła † i ty zgiń † przez moc Pana naszego † Jezusa Chrystusa“. Powtórzyć te słowa trzy razy i przyłożywszy rękę do miejsca bolącego powiedzieć: Amen.

Na suchoty: Pokrzywę w maju suszyć, tarć na proch i z cukrem zmieszawszy jeść.

Od szkorbutu: pączki sosnowe gotować w wodzie i pić z winem.

Na trąd: jeść mięso jeżowe, które cerę czerstwą czyni.

Od ukąszenia gadziny: tą samą gadzinę, która ukąsiła, zabić i krwią onej posmarować ranę.

albo: przykładać żaby brzuszka.

albo: pszczołę żywą złowiwszy w chleb wmieszać i dać gałkę zjeść.

albo: Cząber (macierzankę?) gotować a tę wodę pić i cząbrem ciepłym okładać miejsce ukąszone.

albo: pójść do łaźni, wziawszy jedno wiadro z wodą, drugie próżne. Wodę przelać trzykrotnie z pełnego wiadra do próżnego przez gorące kamienie, powtarzając te słowa: „Kamień, kamień, obmywasz ty usiakuju wieru i usiakij narod, abmyj ty hada niaczystaho, praklataho, wieru, siłu i moc jaho“. Potem tej wody kieliszek dać wypić, resztą obmyć ranę.

Aby nie upić się: przed rozpoczęciem pijatyki zeskrobać z noża zakalec chleba i takowy zjeść—zastrzedz się można od upicia się.

Wytrzeźwić pijanego: Jądra same wysmarować szpiginarem (?) a wnet wytrzeźwieje.

Na odchodzenie uryny podczas snu: mysz lub kopytka wieprzowe spalić i na proszek starlszy dawać pić.

Na chorobę St. Walentego podkładać kwiatem piwonii i tenże kwiat pić zalawszy.

albo kruka żywego złowiwszy rozdarć na połowę, krew zebrać i dać wypić choremu.

Maść na wrzody: żywicy jodłowej, wosku i sadła po równej części roztopić.

albo przykładać pomiot gęsi, albo skrom zajęczy.

Od psa wściekłego: ukąszonego trzeba w wodzie zimnej trzymać póty nim manja minie, coraz wodę zmieniając, aby w zimnej siedział. Pewną gospodynię przez psa wściekłego ukąszoną trzymano w wodzie i tym sposobem uleczona została. Kiedy przemocą w wodzie zimnej ją trzymano, chętka ją brała aby kogo mogła ucałować, a całując aby ukąsić. Potem czyniła relację, że ledwo uczuła zimno po 24 godzinach, gdy jad zaczął przez wodę ustępować.

albo: bierze się szklankę octu winnego, łyżkę soli szarej, garść liścia róży polnej, pięć kawałków czosnku, szczyptę piłwin żelaznych, utłuc to wszystko w moździerzu, dolewając po trosze octu winnego, potem precedzić, co się zostanie w chustce, z tego się robi plaster i przykłada do rany, likwor naczcho wypić, potem nie nie jeść i nie pić przez trzy godziny, potem spokojnie jeść obiad.

Brud napadający na ciało t. j. wszy wygubić: złowiwszy żabę zieloną ugotować w wodzie i tę wodę wypić, brud wystąpi wraz z pod skóry i sam przez się natychmiast wyginie.

Bólu zębów żeby nie doświadczać trzeba paznogie na rękę i nogach nie w inny dzień tylko w piątek ociosać.

albo: dzieciom przy wyrzynaniu się ząbków, aby w przyszłości bólu zębów nie doświadczało, pierwszy ząbek monetą srebrną potrzeb, następnie jaknajprędzej monetę oddać żebrakowi.

Na ząb bolący przykładać: główkę chmielu, albo prochu myśliwskiego szczyptę, albo korzeń lilii wodnej żółtej, albo złowiwszy świerszcza żywego i uwinąwszy w muślin trzymać tegoż świerszcza na bolącym zębie, albo zdechłego psa ząb spalić utarć na proszek i przykładać.

Zamawiać ból zębów: W Imię Ojca y Syna y Ducha Świętego. Amen.

— Wielki Książę, czy byłeś ty na tamtym świecie?

— Byłem.

— Czy widziałeś świętych?

— Widziałem.

— Czy bolą u nich zęby?

— Nie bolą.

— Niech że (tu imię wymówić tego komu bolą) nie bolą.

Za przemówieniem tych wyrazów huknąć mocno w gębę cierpiącego i plunąć na ziemię. To wszystko trzy razy powtórzywszy, na końcu przeżegnać się.

Te wyrazy mówić przy cierpiącym stojąc naprzeciw księżycy.

Pomaga tylko chrześcijanom, a żydzi nie doświadczają ulgi.

Sposób ten nauczony przez starszą osobę młodszą jest skuteczny, a młodszy jeżeli starszego nauczy, żadnego skutku nie uczyni.

Odkrył ten sposób zamawiania bólu zębów kapitan wojsk polskich Kiewlicz, służący za Napoleonem I Cesarzem Francuskim.



Z HERBARZA LITEWSKIEGO.

RYSUNEK TAD. DMOCHOWSKIEGO.



Herb miasta Witebska.



Herb miasta Połocka.



Pieczęć miasta Witebska.



Pieczęć miasta Wieleża.

DZIAŁ NUTOWY



VALSE TRISTE.

Ks. Jadwiga Liguori di Presicce Chludzińska.

PIANO.

p legato

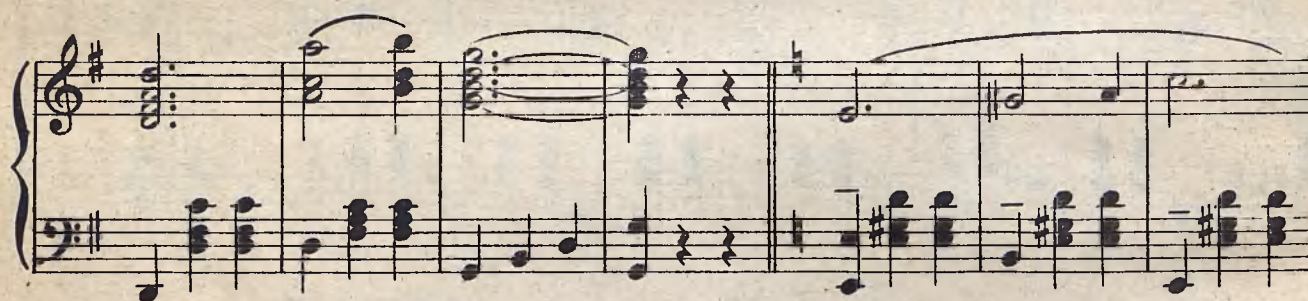
The musical score is written for piano in 3/4 time, key of D major. It consists of four systems of music. The first system is marked 'piano' and 'p legato'. The second system continues the melody and accompaniment. The third system is marked 'mf' and 'piano'. The fourth system is marked 'f' and 'piano'. The score features a mix of eighth and sixteenth notes in the right hand, often beamed together, and a steady accompaniment of eighth notes in the left hand. There are several slurs and accents throughout the piece. The notation is in a standard musical style with a treble and bass clef for each system.



First system of musical notation. Treble clef, key signature of one sharp (F#). The right hand features a series of chords and single notes, with a *p* (piano) dynamic marking. The left hand consists of a steady bass line of chords, with a *ped.* (pedal) marking under the first measure.



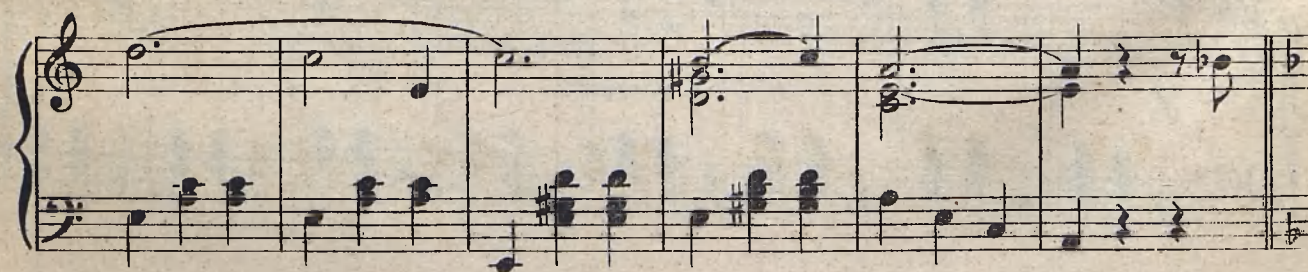
Second system of musical notation. Treble clef, key signature of one sharp (F#). The right hand continues with chords and single notes, featuring a *pp* (pianissimo) dynamic marking. The left hand maintains the bass line of chords, with a *ped.* marking under the first measure.



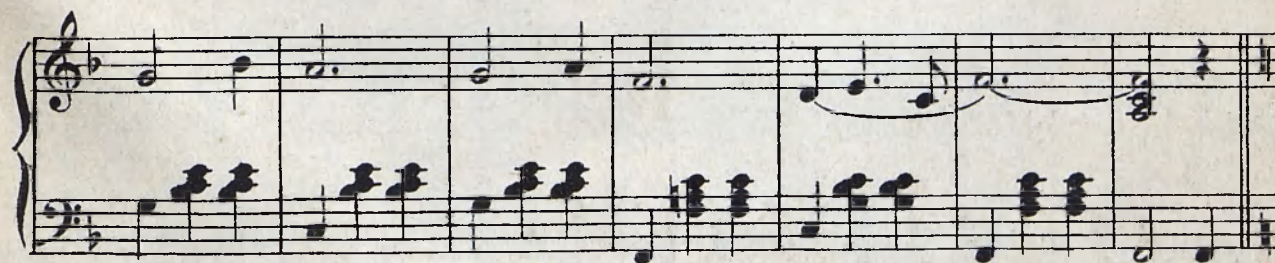
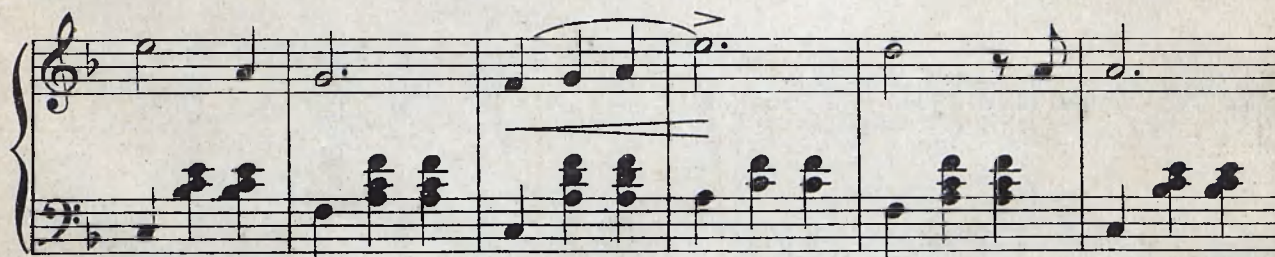
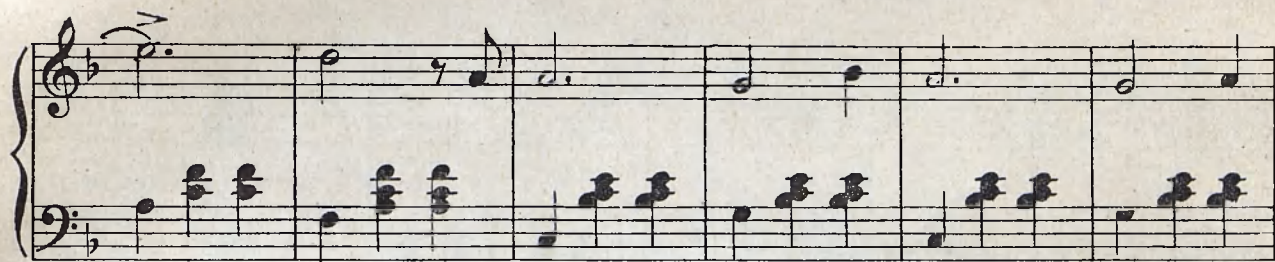
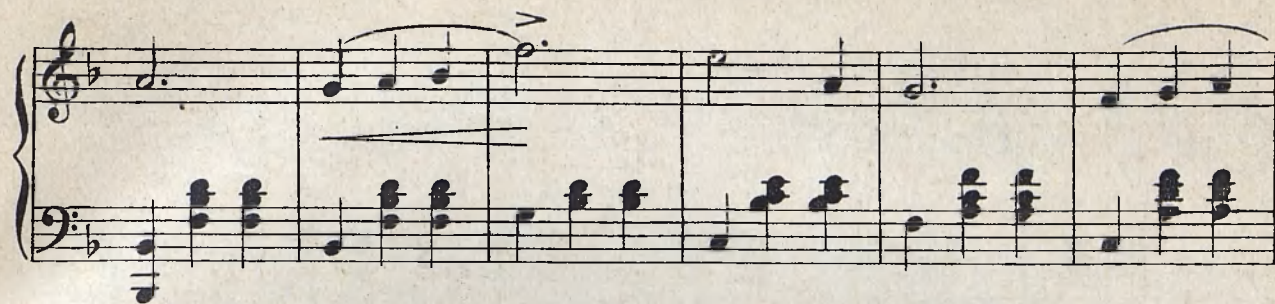
Third system of musical notation. Treble clef, key signature of one sharp (F#). The right hand features a series of chords and single notes, with a *f* (forte) dynamic marking. The left hand continues the bass line of chords, with a *ped.* marking under the first measure.

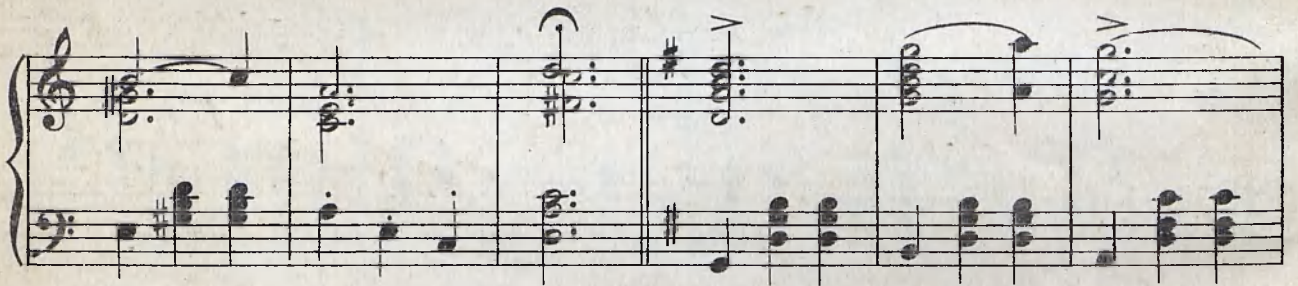
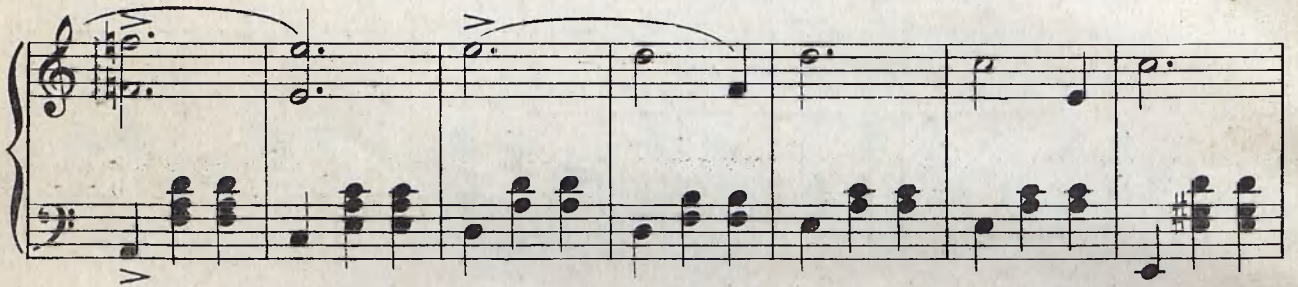


Fourth system of musical notation. Treble clef, key signature of one sharp (F#). The right hand features a series of chords and single notes, with a *pp* (pianissimo) dynamic marking. The left hand continues the bass line of chords, with a *ped.* marking under the first measure.



Fifth system of musical notation. Treble clef, key signature of one sharp (F#). The right hand features a series of chords and single notes, with a *f* (forte) dynamic marking. The left hand continues the bass line of chords, with a *ped.* marking under the first measure.





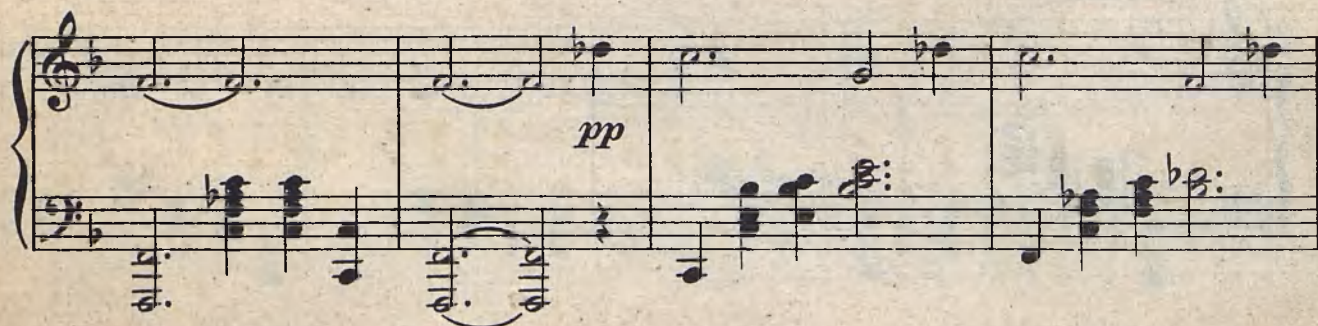
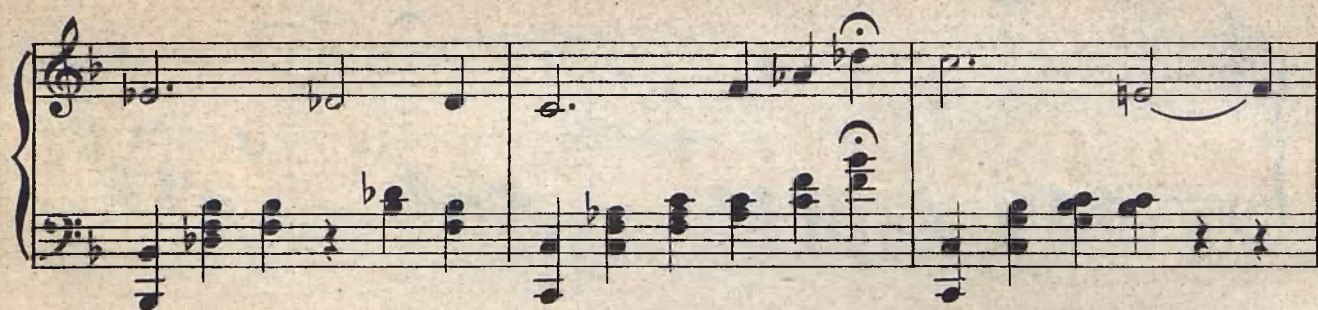
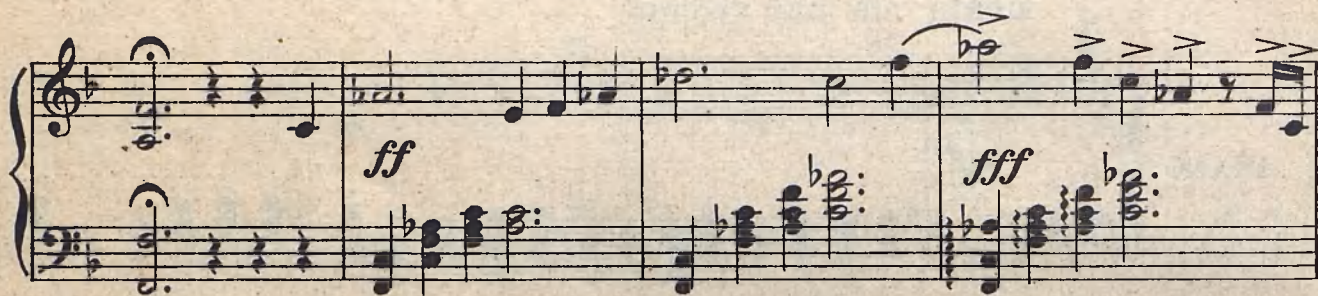
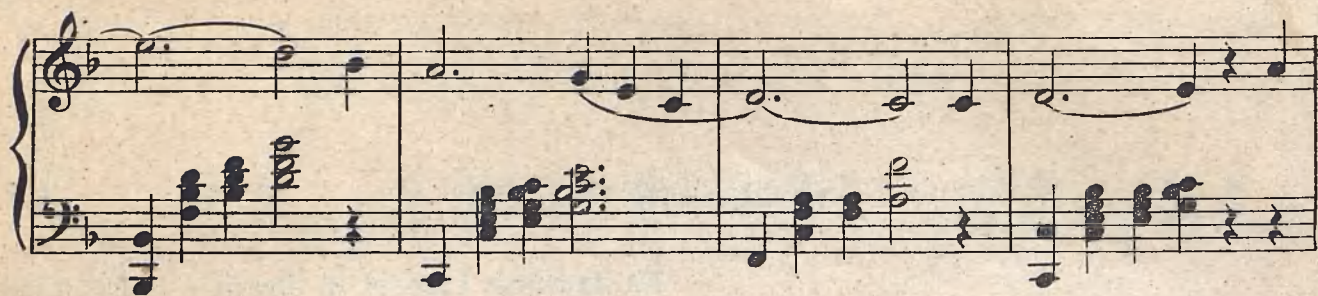
SÉRÉNADE SLAVE.

Ks. Jadwiga Liguori di Presicce Chludzińska.

Lento ma non troppo.

PIANO.

The musical score is written for piano in a grand staff (treble and bass clef). It is in 2/4 time and the key signature has two flats (B-flat major). The tempo is marked "Lento ma non troppo." The score consists of four systems of music. The first system begins with a mezzo-forte (*mf*) dynamic and includes accents (>) on the first and third measures. The second system features a piano (*p*) dynamic in the second measure and a forte (*f*) dynamic in the fourth measure. The third and fourth systems continue the melodic and harmonic development. The score is written for piano with a grand staff (treble and bass clef).



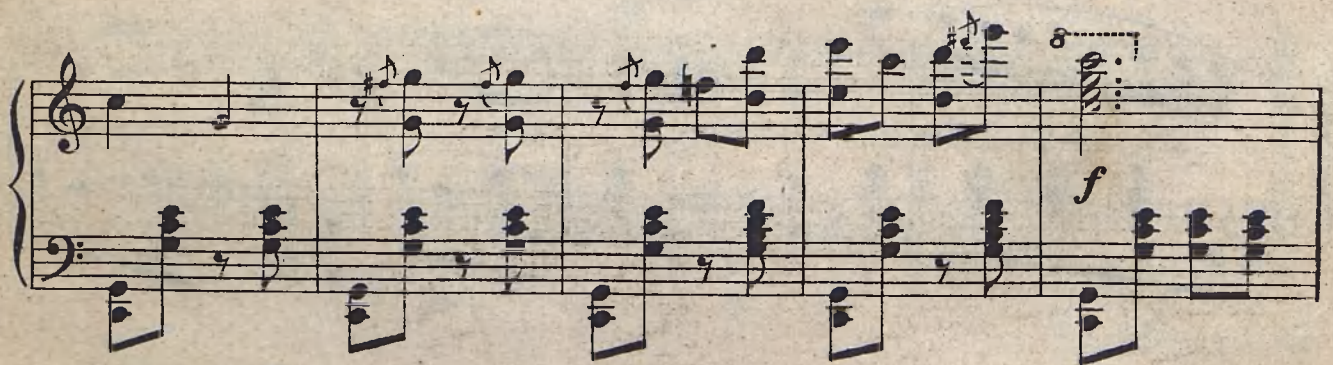
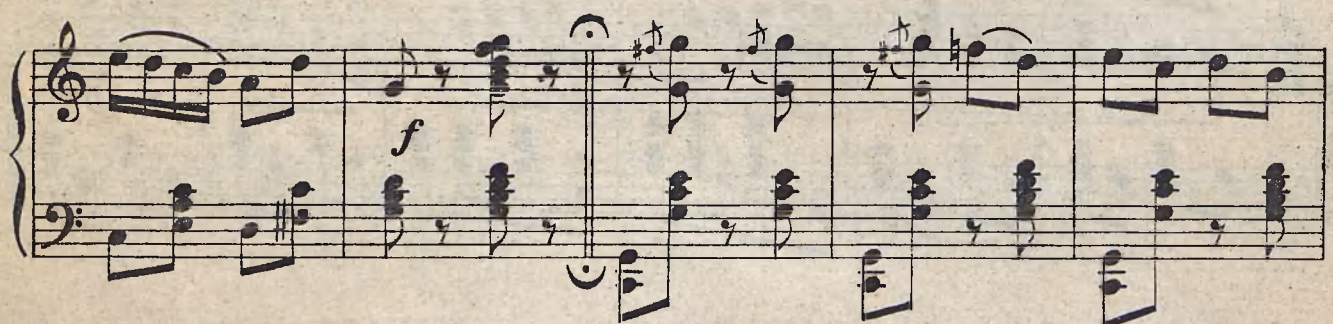
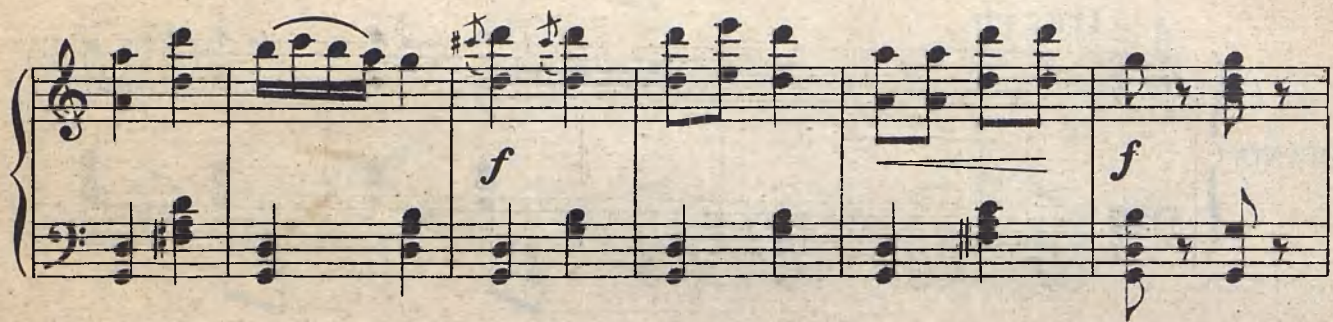
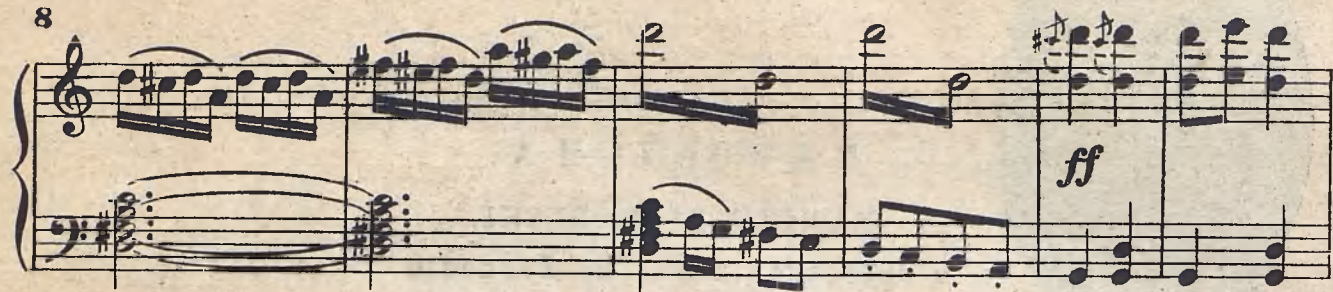


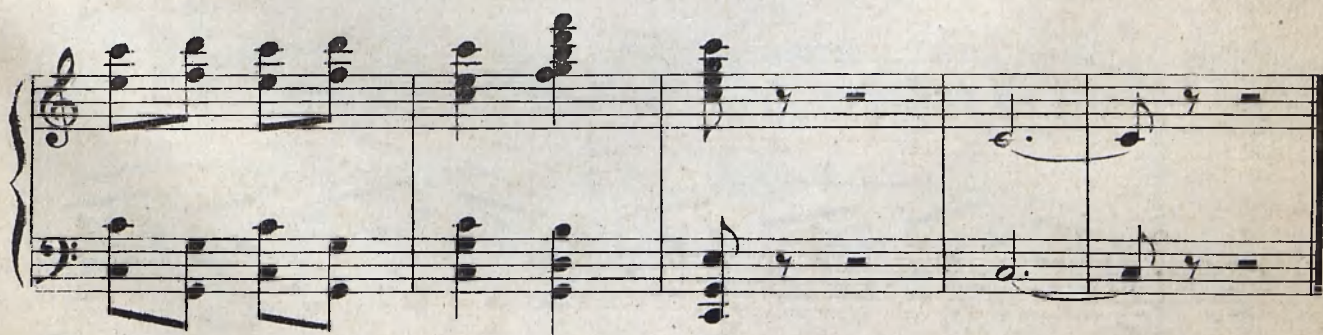
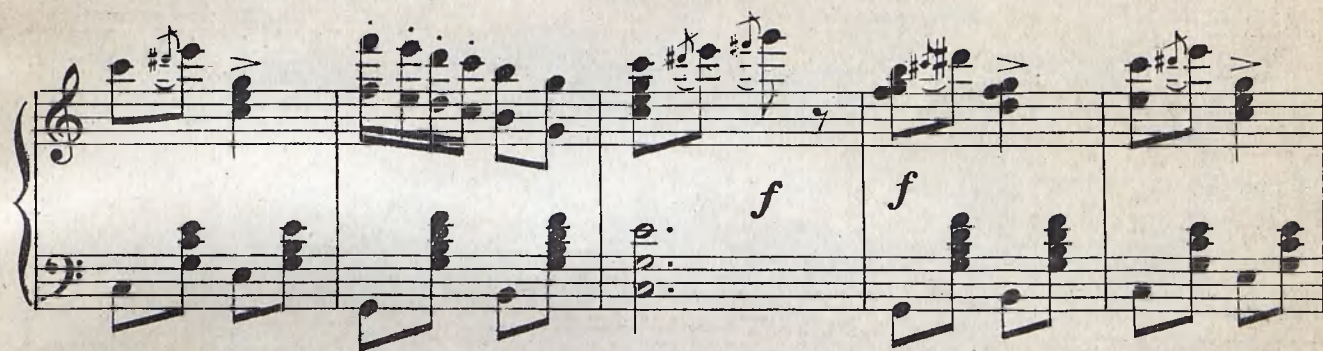
LAWONICHA.
TANIEC BIAŁORUSKI.
z operetki „Tarus na Parnasie.”

Józefa Szadurskiego

Allegro.

PIANO.





TĘSKNOTA.

Andante cantabile.

Muzyka i wiersze Marjana Chrapowickiego.

PIANO.

The first system of musical notation for the piano accompaniment. It consists of a grand staff with a treble and bass clef. The key signature is two sharps (F# and C#), and the time signature is 12/8. The music begins with a forte (f) dynamic, followed by a piano (p) dynamic. The right hand features a melodic line with a crescendo leading to a forte (f) dynamic, marked 'espreivo'. The left hand provides a harmonic accompaniment with chords and moving lines. Dynamics include *f*, *p*, and *f*.

The second system of musical notation. It continues the piano accompaniment. The right hand has a melodic line with a crescendo. The left hand has a moving bass line. Dynamics include *f*, *p*, and *f*. There are markings for 'Led.' and asterisks (*) at the bottom of the system.

The third system of musical notation. It continues the piano accompaniment. The right hand has a melodic line with a crescendo. The left hand has a moving bass line. Dynamics include *f*, *p*, and *f*. There are markings for 'Led.' and asterisks (*) at the bottom of the system.



First system of musical notation. The treble staff contains a melody with eighth and sixteenth notes, and the bass staff contains a rhythmic accompaniment of eighth notes. The key signature is three sharps (F#, C#, G#). The system is divided into two measures by a bar line. Below the first measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk. Below the second measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk.



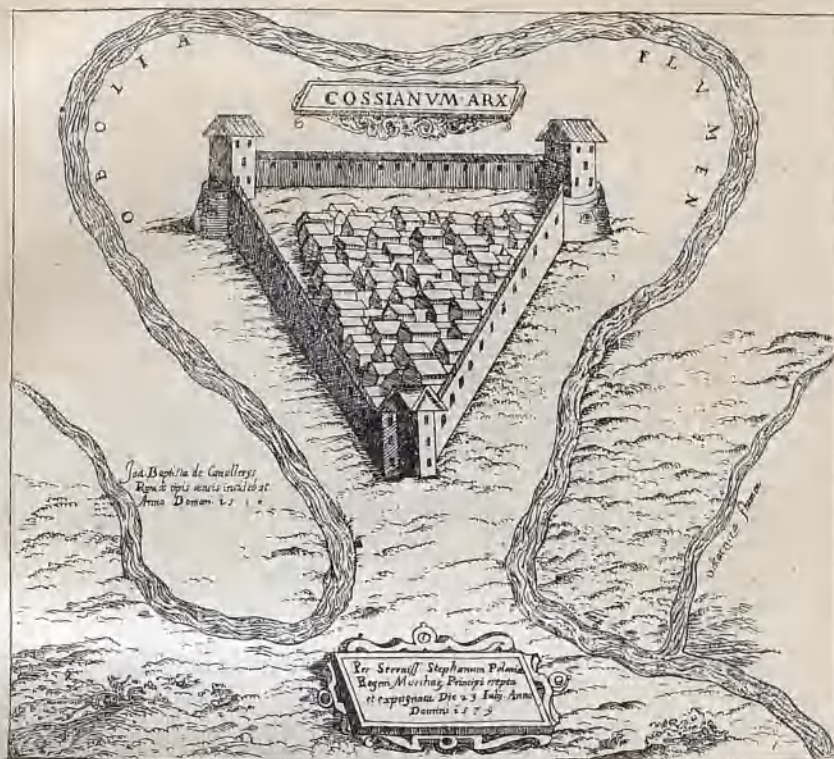
Second system of musical notation. The treble staff contains a melody with eighth and sixteenth notes, and the bass staff contains a rhythmic accompaniment of eighth notes. The key signature is three sharps (F#, C#, G#). The system is divided into two measures by a bar line. Above the first measure, the word "rall." is written. Above the second measure, the word "a tempo" is written. Below the first measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk. Below the second measure, the word "p" is written, followed by an asterisk.



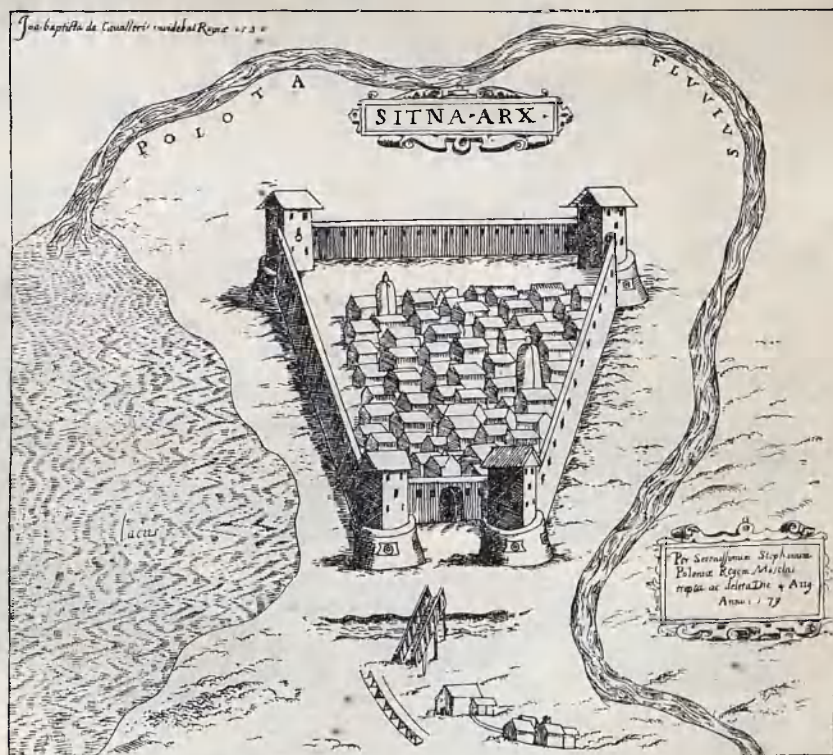
Third system of musical notation. The treble staff contains a melody with eighth and sixteenth notes, and the bass staff contains a rhythmic accompaniment of eighth notes. The key signature is three sharps (F#, C#, G#). The system is divided into two measures by a bar line. Above the first measure, the word "mp" is written. Above the second measure, the word "f" is written. Below the first measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk. Below the second measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk. Below the third measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk. Below the fourth measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk.

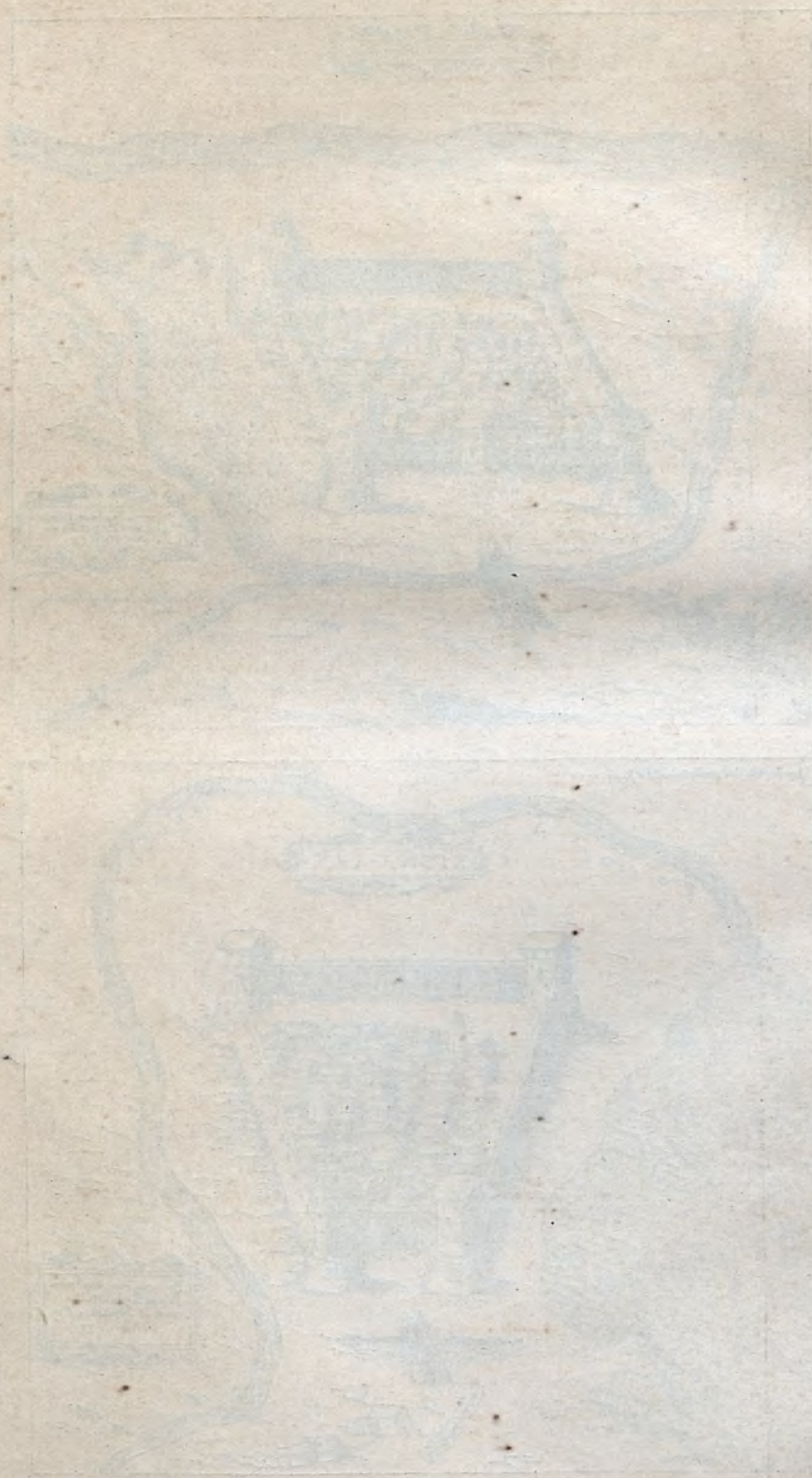


Fourth system of musical notation. The treble staff contains a melody with eighth and sixteenth notes, and the bass staff contains a rhythmic accompaniment of eighth notes. The key signature is three sharps (F#, C#, G#). The system is divided into two measures by a bar line. Above the first measure, the word "rall." is written. Below the first measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk. Below the second measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk. Below the third measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk. Below the fourth measure, the word "Tad." is written, followed by an asterisk.









OBSIDIO ET EXPVGNATIO MVNITISS ARCIS POLOCENSIS PER SERENISS STEPHANVM POLONIAE REGEM

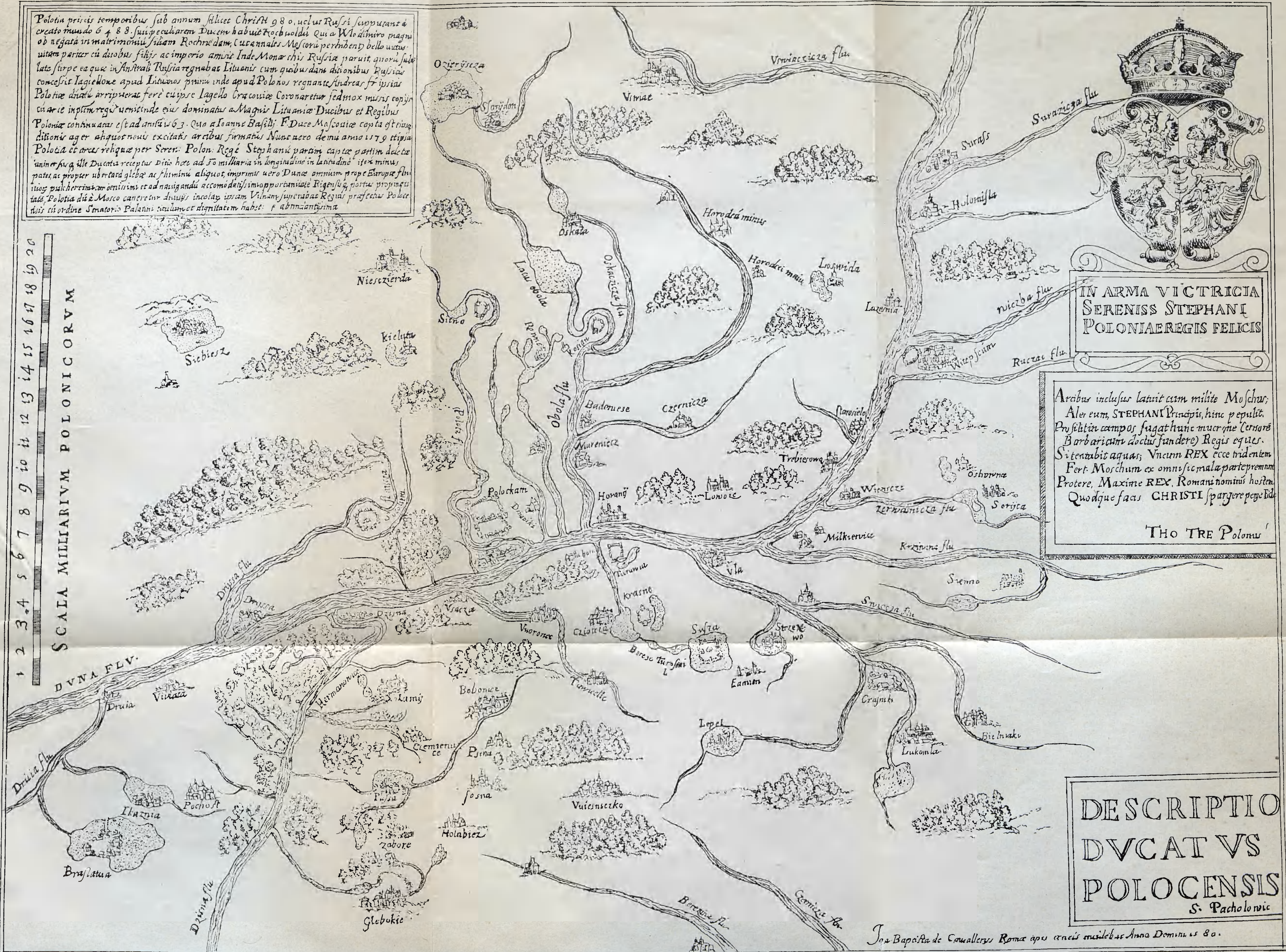


OBSessa XI AVG
CAPTA XXIX EIVSD
ANNO M D LXXIX

Delineavit impis Castris SPachowina

POLOTIA EX DVABVS ARCIBVS SVPERIORE AC SCLOPETARIORVM OPPIDOQ. ZAPOLOTA CONSTANS ITA SITV LOCI
PROPVGNACVLIS AC INPRIMIS BOMBARDARVM APPARATV PVLVERE GLOBIS COMMEATV MILITVM PRAESIDIO MV-
NITA ET IN TRVCTA VT MERITO NON SOLVM MOSCHOVIAE SED TOTIVS SEPTENTRIONIS FIRMISSIMVM PROPVGNACVLVM
EXISTIMARETVR. GRESSA A SERENISS POLONIAE REGE STEPHANO XI-AVGVSTI ET MOSCHIS STRENVE DEFENDENTIBVS EREPTA XXIX EIVSD ANNO DOMINI M D LXXIX
Ioann. Baptista de Caualleris Romae typis aeneis incidebat Anno Domini 1680

Polonia prius temporibus sub annum scilicet Christi 980. uelut Rusi suorum a creato mundo 6488. sui peculiarem Ducem habuit Rochboldus qui a Wladimiro magni ob negata in matrimonium filiam Rochne dam, Lucannales Moscorum perhibens bello uictus uitam pariter cu duobus filiis ac imperio amisit. Inde Monarchi Rusiae paruit, quoru sub lato stirpe ea quae in Australi Russia regnabat Lituania cum quibusdam diuionibus Russiae concessit Lagellone apud Lituanos primum inde apud Polonos regnante Andreas fr. ipsius Poloniae diuionem arripuerat ferè cu ipse Lagello Cracouiae Coronaretur sed mox muris conijr cu arce impleri regu uenit inde eius dominatus a Magnis Lituaniae Ducibus et Regibus Poloniae continuatur est ad annum 63. Quo a Ioanne Basili. F. Duce Mascoviae capta est diuio diuionis ager aliquot nouis excitatibz armatibz firmatus. Nunc uero de m. anno 1579 et ipsa Polocia et arce reliquae per Seren. Polon. Regē Stephanū paratū capite partim delecte uniuersa q. ille Ducatus receptus diu huc ad 50 miliaria in longitudine in latitudine itex minus patet ac propter ubertatē glebae ac fluminū aliquot imprimis uero Dunae omnium prope Europae flui tiuoz pulcherrimū uenitū et ad nauigandū accomodatū/imopportunitate Rigenisq. portu propinquitate Polocia diu Mosco caneretur diuys incolaz uiam Vilnam superabat Regiū praefectus Polocis diu cu ordine Senatorio Palatini uulueret dignitatem habet. f. abhmanissima



DESCRIPTIO
DVCA TVS
POLOCENSIS
S. Pacholonic

Jo. Baptista de Cavallero Roma apu. c. 1680. Anno Domini 180.

723

УЧЕБНИКЪ ВЪВЕДЕНІЯ

1880

Introligatornia
FRANCISZEK MUSIOŁ
PIEKARY ŚL., ul. Jorzębinowa nr 2

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000180644



III 562127

N.P.